Bazyli Pietruczuk

BLIZNY

Bazyli Pietruczuk

BLIZNY

BIAŁYSTOK
2010

Redaktor
MIROSŁAWA ŁUKSZA

Opracowanie edytorskie
JERZY CHMIELEWSKI

Okładka
ADAM PAWŁOWSKI

ISBN 978-83-909799-1-8

A to znaczy, że stał się człowiekiem!

Kapral Wiesiek zerwał się z pościeli na gwizdek dyżurnego kompanii. Zaczął z przyzwyczajenia szybko się ubierać, rozglądając się po nieznajomej sali. Gdy nachylił się, by zasznurować juchtowe trzewiki, jedne z tych, w które obuła go ojczyzna, aby nie myślał, że za darmo ugania się po górach, lasach, błotach i polach za tymi, którym nie w smak demokracja ludowa. Poczuł ogromny ból w głowie, przemieszczający się z tylnej części czerepa w czołową. Ból był tak ostry, że chłopak pomyślał – czy nie wyprze prawego oka? Wyprostował się i zaklął po wojskowemu, że musi wybiegać na zbiórkę. Spojrzał na zegarek: Uuu... Szósta pięć, a on jeszcze w sali. Pal licho, już dwa lata, a wciąż tylko biegaj i biegaj! Ale zrobiło mu się wstyd przed samym sobą, że jest żołnierzem, a marudzi...

Nagle wbiegł do sali dyżurny i zapytał: „Jak ty się nazywasz?". Usłyszawszy nazwisko, powiedział: „Ty nie musisz wstawać razem ze wszystkimi, gdyż jeszcze nie masz przydziału do kompanii. Na razie jesteś do dyspozycji dowódcy drugiego batalionu i możesz spokojnie spać aż do śniadania".

Wiesiek ucieszył się, że może jeszcze trochę potrzymać zbolałą głowę na czyściutkiej, słomianej poduszce, jakiej dawno nie oglądał w warunkach polowych. Pośpiesznie zdjął trzewiki, stawiając je „na baczność" pod taboretem, na taborecie ułożył ubranie w kostkę,

a sam wsunął się pod jeszcze ciepły koc. Nabił sobie głowę plątaniną myśli i sen już go się nie imał. Rozmyślał nad dotychczasowym losem, który nigdy mu nie sprzyjał.

Od dzieciństwa miał wbite w siebie, że jest brzydki, brzydko chodzi i w ogóle nie jest taki jak wszyscy ludzie, bo ma „końskie ryło". O to postarała się macocha i uległy jej ojciec. Ta sytuacja z dzieciństwa i lat młodzieńczych wyryła w jego psychice głębokie piętno na długie lata, jeżeli nie na całe życie. Później się przekonał, że dziewczęta za nim szalały, ale im nie wierzył.

Leżąc pod ciepłym kocem Wiesiek rozmyślał o tym, co będzie z nim jutro, za miesiąc, za rok. Wiedział, chociaż niezbyt jasno, że pozostanie w wojsku w czasie pokojowym to nie to samo, co w czasie wojny, gdy potrzebne jest szybkie bieganie i umiejętność jakiego-takiego strzelania. I nie to samo co pasienie krów, gdzie nie wymagano żadnego wykształcenia, byle tylko co rano, do wschodu słońca wyganiać stado na pastwisko, dobrze je doglądać, nie żądać od gospodarzy pomocy tzw. *kolejnika*, jeść co raczą dać i nie przeważać puda, czyli 16 kg żyta, które otrzymywało się za pasienie jednej krowy od kwietnia do grudnia. Nawet w wojsku – co innego być podwładnym i wykonywać rozkazy innych, a co innego samemu wydawać rozkazy, nie mając odpowiedniego wykształcenia i nie znając w stopniu dostatecznym polskiego języka.

Żołnierz odbywający zasadniczą służbę wojskową ma obowiązek nauczyć się śpiewać, aż do obrzydzenia, wciąż te same piosenki, umieć opisywać powierzoną mu broń, umieć strzelać, aby Polska nie zginęła i wykonywać, często-gęsto bzdurne polecenia swych drużynowych – i to wystarczy żeby być dobrym żołnierzem-obywatelem. Natomiast podoficer zawodowy – myślał Wiesiek – powinien umieć ładnie chodzić, przyzwoicie się zachowywać, posiadać dużo wiedzy ogólnej... A ja co? Co ja najlepszego narobiłem pozostając w wojsku? – posmutniał jeszcze bardziej chłopak.

Na dodatek wspomniał okres katowicki swej służby. Tam był uważany przez przełożonych za żołnierza dobrze orientującego się w polityce, oczywiście w takim zakresie, w jakim była ona podawa-

na w czasie zajęć polityczno-wychowawczych, dobrze strzelał zarówno ze zwykłego karabinu jak i z broni automatycznej – w czasie ostrych strzelań nigdy nie chybił, za co otrzymywał pochwały przed frontem kompanii w czasie wieczornych apeli. A mimo to cierpiał straszne poniżenia ze strony drużynowego, który był gotów podległą sobie drużynę wymordować byle tylko zasłużyć na stopień kaprala. „Kosooki pistolet", jak po cichu go nazywano, nie lubił nikogo, ale Wieśka najbardziej – jakby bał się konkurencji. Nazywał go „asem" i gnoił zarówno fizycznie jak i moralnie. Jeżeli ktokolwiek w szeregu odezwał się lub zaszemrał, wywoływał Wieśka i zmuszał do czołgania się po najbardziej zabłoconych miejscach. „Asowi" odechciewało się żyć od ciągłego czołgania się po błocie i znoszenia obelg, ale nigdy do nikogo nie poszedł na skargę. Zresztą, do kogo miał iść, jeżeli – myślał, – nikt mu i tak nie pomoże, bo widocznie w wojsku tak powinno być...

Z przykrych rozmyślań wyrwał Wieśka tupot podkutych żołnierskich trzewików po posadzce piętra bloku przeznaczonego dla kompanii i trzaskanie drzwi sal oraz krzyki przejętych swoją rolą dowódców drużyn, którzy dwoili się i troili, aby dogodzić dowódcom plutonów, nie mówiąc już o dowódcy kompanii – ogromnym autorytecie w oczach gołogłowych rekrutów.

Aby otrząsnąć się z resztek przygnębiających myśli, Wiesiek dziarsko udał się do umywalni, która co prawda nie stanowiła luksusu, ale zawsze to lepsze niźli baligrodzkie strumyki czy inne przeręble, gdzie przez dwa lata pododdziały Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego obmywały swych ogłupiałych, gotowych na każdą hecę żołnierzy. Z przyjemnością się ogolił, gdyż już czarny mech pokrył cieniutką powłoką jego opaloną słońcem, wyszlifowaną wiatrem i deszczem twarz. Dokładnie, jak uczyli lekarze, wymył się i w całkiem już dobrym nastroju pośpieszył do stołówki.

Z żołnierskiej stołówki Wiesiek wrócił do zakwaterowania kompanii i jął z zainteresowaniem lustrować otoczenie. Wszędzie czysto, ład i porządek. Na ścianach hasła, portrety wodzów światowej sławy i daty historycznych bitew z nazwami miejscowości...

– Kapral Wiesiek, do dowódcy kompanii! – nieco za energicznie zawołał podoficer służbowy.

Dowódca kompanii, porucznik Molski, zapytał Wieśka jak się czuje, czy jest zadowolony, że w końcu w koszarach i powiedział bez zbytnich ceregieli, że kieruje go na zastępcę dowódcy plutonu szkolnego, bo tak sobie życzyło dowództwo II batalionu. A plutonem szkolnym dowodzi bohater KBW, chorąży Józef Uss.

Zapoznanie się Wieśka z dowódcą plutonu odbyło się w godzinach południowych, gdy chorąży Uss powrócił z plutonem z zajęć polowych. Spotkanie przebiegało po wojskowemu. Wiesiek wszedł do pokoju dowódcy plutonu i przepisowo zameldował się. Chorąży wstał z krzesła z rozwichrzoną, jasnoblond czupryną na łysiejącej głowie i przywitał się niedbale z kapralem. Przez chwilę stali na przeciw siebie i każdy po swojemu taksował drugiego uporczywym wzrokiem. Trudno powiedzieć co myślał chorąży o przybyłym na jego zastępcę kapralu. Ale Wieśkowi chorąży wydał się mało energiczny, dobroduszny, bo miał spokojny głos, posiadał chyba kompleks niższości. Był niedużego wzrostu, średniej tuszy, zgrabnej budowy ciała, miał białe brwi i niebieskie, a raczej biało-niebieskie oczy z białymi rzęsami. Aż dziw bierze, – myślał Wiesiek, – że taki niepozorny człowiek został bohaterem KBW w walce ze zbrojnym podziemiem o utrwalenie władzy ludowej. Od razu też zastanowił się – jakie wykształcenie może mieć ten człowiek?

U Wieśka wszyscy oficerowie i podoficerowie starszej rangi byli „uczonymi". Kaprale nie, bo wiedział jak odbywała się rekrutacja do Szkoły Podoficerskiej. To prawda, że nie wszyscy podoficerowie chodzili do szkoły tylko przez dwie zimy, jak on, ale bodaj niewielu też miało ukończone 7 klas, nie mówiąc już o wykształceniu średnim. Jednak oficerowie to oho! – myślał Wiesiek. – Oni muszą mieć wykształcenie z cywila i szkołę oficerską skończoną i na wszystkim się znać. Byli też i tacy podoficerowie, którzy myśleli, że Wiesiek to nie byle kto. Widocznie, jak i Wiesiek, gnębili się kompleksem niższości, uważając wszystkich pozostałych za bardziej od siebie wykształconych.

Tak rozmyślając, Wiesiek przyglądał się chorążemu i w gruncie rzeczy był zadowolony, że dowództwo batalionu skierowało go na stanowisko zastępcy takiego dowódcy plutonu, który bohatersko darł się z wrogami młodocianej władzy. Jeszcze i to przyszło mu do głowy, że chyba powinien polubić swojego dowódcę plutonu, bo na pewno obaj pochodzą z tej samej biedoty wiejskiej. Może chorąży i z miejskiej biedoty, ale powinien być, jak na pierwsze spojrzenie, fajny chłop, gdyż nie splajtował przed kulami przeciwnika i za to został odznaczony Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari.

Dopiero wieczorem Wiesiek dowiedział się dokładnie co to za pluton szkolny. Okazało się, iż byli to żołnierze z wyboru do szkoły oficerskiej KBW w Legnicy. Był to element dobrany zgodnie z ówczesnymi wymogami pod względem klasowym i chłopcy już posiadali odpowiednie przygotowanie. W dzień uczęszczali do jednej z rzeszowskich szkół celem uzupełnienia wykształcenia. Prawdopodobnie dowództwo batalionu oceniło zasługi Wieśka w walce z reakcyjnym podziemiem i doszło do wniosku, że da sobie radę na stanowisku zastępcy dowódcy tego plutonu, ponieważ w terenie już piastował tę funkcję, ale w jednostce liniowej, uganiającej się za, jak wówczas nazywano, bandami reakcyjnego podziemia. Teraz pozostał w służbie nadterminowej, niech więc razem z plutonem uczęszcza do szkoły.

Z jednej strony wdzięczny był kapitanowi Zapałowiczowi za skierowanie go do II batalionu z sugestią, aby pozostał na wspomnianym stanowisku, bo to nie pluton strzelecki, w który trzeba wtłamszać to, co się samemu zdobyło w czasie dwuletniej wojaczki i ćwiczeń, i chodzić z nim codziennie w pole na ćwiczenia i warty. Ale z drugiej strony przerażała go myśl, że zamiast dowodzić plutonem – będzie jego popychadłem. To nic, że dyscyplina wojskowa daje preferencję przełożonemu – medytował Wiesiek, – ależ nie daj, Chryste Panie, sytuacji, którą można wytworzyć samemu wokół siebie nieodpowiednim zachowaniem się, złą polszczyzną, niewiedzą ogólną i w dodatku – mądrzeniem się. Wystarczy, aby żołnierze dostrzegli swoją faktyczną wyższość nad tym, którego mają słuchać i wykonywać jego rozkazy, aby stał się pośmiewiskiem nawet dalej niż w plutonie.

Wiesiek pamiętał doskonale, jak było gdy przyszli do woja chłopcy z jakim-takim wykształceniem i cwaniacy z miast. Oni w oczy kpili z podoficerów, którzy nie tak mówili lub stawiali się „co to ja". Tylko dyscyplina wojskowa i strach przed odpowiedzialnością hamowały ich przed praniem po mordzie tak niektórych oficerów, jak i podoficerów za ich głupie zachowanie się i poniżanie podwładnych z pozycji starszego stopniem. Wiesiek pamiętał też jak sam niejednokrotnie zaciskał zęby, aby nie strzelić po pysku swojego drużynowego lub, już w Szkole Podoficerskiej, kaprala Kiszkę, który kazał sobie salutować tyle razy ile razy koło niego się przechodziło. Któregoś razu Wiesiek uznał, że tym razem nie zasalutuje, więc musiał żabką skakać na drugie piętro i z powrotem. Nie darmo w czasie ćwiczeń ze ślepą amunicją, któryś ze strzelców wypalił do starszego strzelca Brodzińskiego z ostrej. Wszyscy żałowali, że nie trafił, a oficer informacyjny, który prowadził dochodzenie w tej sprawie niczego nie wykrył bo lufy były zadymione u wszystkich. Warto tu zauważyć, że szef kompanii szkolnej, kapral Kiszka, był fajnym chłopem, tylko coś mu odbiło i zemścił się na Wieśku, natomiast starszy strzelec Brodziński mściwy był zawsze i wszędzie. Nawet gdy wojsko wyjeżdżało na operację, jego pozostawiano w koszarach do znęcania się nad innymi rekrutami, gdyż w przeciwnym razie mógłby dostać ołów nie z przeciwnej strony.

Wiesiek już miał niemałe osiągnięcia w ramach dostępnej mu wiedzy wojskowej, ponieważ był bardzo ambitny i cieszył się dobrą pamięcią, a więc od tej strony nie miał się czego obawiać albo wstydzić. Strzelał wyjątkowo dobrze, broń piechoty rozbierał i składał na czas z zawiązanymi oczami, musztrę umiał zademonstrować żołnierzom osobiście i nauczyć ich praktycznie. Nawet trochę poznał topografię, potrafił posługiwać się kompasem, mapą i poruszać według azymutu. Obawiał się natomiast „szerszych wód" – polskiego, matematyki i innych przedmiotów, które wchodziły w zakres nauczania plutonu, ponieważ w tych sprawach nikt go nie „okrzesywał" i był ni be ni me, chociaż ciężko było mu do tego przyznać się przed kolegami, nie mówiąc już o podwładnych.

Ale trudno, stało się i trzeba losowi sprostać. No, może nie tyle losowi co obowiązkom, które legły na barki i głowę wiejskiego, nieobytego, niewykształconego, wręcz zahukanego chłopaka z chwilą napisania raportu. Jego treść Wiesiek pamięta do dziś: „Uprzejmie proszę o pozostawienie mnie w wojsku jako podoficera nadterminowego. Prośbę swą uzasadniam tym, że chcę służyć wielkim ideom socjalistycznym". Kropka, podpis. Była to pierwsza prośba, jaką kiedykolwiek Wiesiek pisał. I byłaby, prawdopodobnie, nie aż tak prosta i zwięzła, gdyby nie inspiracja pisarza kompanii, która kiedyś kwaterowała w Baligrodzie. Wrył się on Wieśkowi w pamięć nie tylko dlatego, że zainspirował go do napisania podania o pozostanie w wojsku, kiedy mu to zaproponowano, ale i dlatego, że o mały włos nie zginął z jego ręki.

Pisarz kompanijny czyścił pistolet dowódcy kompanii porucznika Kuczewskiego, siedząc w kancelarii zaimprowizowanej w budynku szkolnym w Baligrodzie i niechcący wystrzelił, wybijając podwójne szyby w oknie. A Wiesiek w tym czasie wyszedł z sieni budynku i szedł tarasem na plac. Kula tylko bokiem otarła się o trzeci od góry guzik jego bluzy. Nawet nie zdążył się przestraszyć, ale gdy spojrzał w okno, z którego posypało się szkło, ujrzał bladego pisarza patrzącego wybałuszonymi oczyma na Wieśka. Ten jednak nie zareagował na wypadek nawet mrugnięciem oka – poszedł, gdzie miał iść. Jeżeli ten chłopak jeszcze żyje to wie, że nikt o niczym w kompanii nie wiedział i chwali Wieśka za dyskrecję. W przeciwnym wypadku nie obeszłoby się bez udziału oficera informacyjnego, który w tej jak raz kompanii miał dwie pary „uszu", a to nie byle gratka donieść o takim „wydarzeniu".

Dzisiaj, z perspektywy dziesiątków lat od wydarzeń i chyba w ogóle należy wierzyć w przeznaczenie. Wiesiek wiele razy mógł zginąć od zwykłego przypadku, ale warto wspomnieć o dwóch charakterystycznych. Jeden już wiadomy, a drugi był wcześniejszy, lecz oba machnęły śmiercią przed samiutkim nosem. Ten wcześniejszy wydarzył się w 1943 roku na torach pomiędzy wsią Dobrywoda, gdzie się mieścił garnizon niemieckiego pododdziału ochrony kolei,

a Kuraszewem, na szlaku kolejowym Czeremcha-Hajnówka, którędy szły niemieckie transporty na Wschód i z powrotem. Pewnej nocy Wiesiek szedł jednym torem, a drugim torem sunął mu na przeciw pociąg załadowany czołgami, który ciężko sapał i ogromnie dymił. Wiatr rozesłał dym po torach i niczego nie było widać. Wiesiek pomyślał, że trzeba zejść z toru, bo może jechać pociąg z Hajnówki... Tylko zszedł na pobocze gdy obok śmignął parowóz pędzący do Czeremchy. Wiesiek podziękował Bogu za poddanie dobrej myśli i uratowanie go od miażdżącej śmierci.

* * *

Wieczorem Wiesiek dowiedział się od dowódcy plutonu, że będzie żywił się w stołówce oficerskiej i wkrótce przekonał się ile, kosztuje nieobycie i nieśmiałość. Zupełnie nieświadomie naraził się na niepotrzebny wstyd. Oto nazajutrz z kapralem Bieleckim udał się na śniadanie do wskazanej stołówki, którą obsługiwało dwoje ludzi – mężczyzna i kobieta. Kaprale siedli do stolika, na którym postawiono po dwie kromki chleba ze smalcem i po kubku zbożowej czarnej kawy. Chłopcy zjedli i, mówiąc brzydko, wytarli gęby i poszli sobie. Poszli obaj, ale z tą różnicą, że jeden nie zapłacił świadomie, a drugi nieświadomie.

Wieśkowi nawet do głowy nie przyszło, że dopuścił się kradzieży. W Katowicach też już jadł w stołówce oficerskiej, jako podoficer służby czynnej i nikt od niego żadnych zapłat za wikt nie pobierał. Tymczasem tutaj już trzeba było płacić gotówką lub wykupować talony żywnościowe na cały miesiąc. O tym dowiedział się zbyt późno, aby nie przeżyć wstydu. Myślał, że jeżeli nie płacą mu żadnych pieniędzy to i on nie musi. Już od lipca liczy się podoficerem nadterminowym, a jeszcze ani razu nikt mu nie dał żadnych pieniędzy, chociaż kiedyś wspominano o jakiejś miesięcznej pensji. Myślał, że o wszystkim zostanie powiadomiony przez oficera dyżurnego kompanii. Tymczasem wpadł, jak przysłowiowa śliwka w kompot.

Po powrocie ze szkoły, jak gdyby nigdy nic, Wiesiek poszedł na obiad do tej samej stołówki, bo innej w brygadzie nie było, ale cho-

ciażby i była to też poszedłby do tej, bo nie był niczego świadom i nie spodziewał się, że dzień, w którym zjadł śniadanie za darmo i przyszedł na takiż obiad, okaże mu się feralny. Usiadł przy jednym z wielu stolików dość dużej jadalni, prawie przy komplecie konsumentów i czekał, aż poznana rano pani przyniesie mu talerz z zupą. Na pewno smakowitą, bo oficerowie zajadali aż im się uszy ruszały, a i jemu w żołądku piszczało. Czekał i czekał, a ta pani obniosła wszystkim zupę i już niektórzy drugie danie zaliczają... Co jest? – myślał głodny podoficer. – Czyżbym podpadł u tej pani lub nie podobam się jej od pierwszego razu? Dlaczego ona tak demonstracyjnie mnie omija i rzuca pogardliwe spojrzenia w moją stronę? Wiesiek w końcu zaczął wstydzić się otoczenia, gdyż siedzący przy stoliku i w pobliżu widzieli, że coś nie tak. Przychodzili, zjadali i odchodzili, a ten siedział i nie orientował się w sytuacji. Wreszcie podeszła do niego oczekiwana osoba, lecz nie z talerzem a ze słowami: – A pan na co czeka? Obiadu pan nie dostanie, bo nie zapłacił pan za śniadanie!

Boże, żeby ona była ludzka – zawołała go gdzieś na zaplecze i wyprała po gębie! Mniej by się wstydził, niż słysząc te słowa, wypowiedziane w sposób wyrafinowany, żeby wszyscy słyszeli, kto on. Wiesiek nie widział swojej twarzy, ale czuł, że go krew zalewa ze wstydu i to u progu zawodowego życia wojskowego. Nie wiedział co ma ze sobą i z zaistniałą sytuacją począć. Wstał więc z krzesła i poszedł do drzwi, prowadzony już to złośliwymi, już to współczującymi oczyma wojskowej braci. A wszystko dlatego, że nie był obyty chociaż na tyle, by móc przeprosić za zaistniały rano incydent.

Nie był mu miły nie tylko ten dzień i to przeklęte wojsko, i ten mundur, i wreszcie ten dzień, gdy przyszło mu pojawić się na świat. Chciało się płakać ze złości, że w takim pięknym, a jednocześnie tak niezrozumiałym, nieprzystępnym świecie nie umie się obracać, nie może poradzić sobie z tak, wydawałoby się prostymi sprawami i nieskomplikowanymi wydarzeniami. Szedł do swojego plutonu nie widząc po drodze napotykanych ludzi. Aż jeden z bardziej służbistych oficerów zatrzymał go i zapytał, dlaczego nie oddaje honorów starszym stopniem? Teraz Wiesiek przeprosił i starą śpiewką wojskową

rzekł, iż nie zauważył. Oficer uśmiechnął się, a kapral jeszcze bardziej rozsierdził się na siebie, że do niczego się nie nadaje w tym, jakże twardym i apodyktycznym świecie.

* * *

Chodząc do szkoły razem z plutonem, Wiesiek nie siedział w ławce, jak wszyscy uczniowie, a na krześle koło okna, co go wyróżniało. Nie tylko podwładni, ale i nauczyciele na pewno myśleli, że ma to już za sobą. A Wiesiek przysłuchiwał się wykładom i wielce się dziwił, że jego podwładni rozmawiają z nauczycielem matematyki niby po polsku, ale jakoś dziwnie. Mowa ich była przeplatana jakimiś zupełnie niezrozumiałymi, bo nigdy nie słyszanymi wyrazami. Podchodzi taki do tablicy, rysuje jakiegoś zniekształconego kozła i nazywa to „iksem". Później wprowadza jakieś dziwne pojęcie i to niezgodne z tym co napisał, a nauczyciel kiwa głową, że niby dobrze. Boże, – myślał, Wiesiek, – jak to dobrze, kiedy uczeń pisze „cosinus" a mówi „kosinus"? Jakieś „alfy", „bety" i to wszystko odnosi się do kątów... Mnie też uczyli o kątach na podoficerce, ale o „kontach nachylenia", o „kontach ustawienia", o „kontach spadku", „maszerować pod kontami", „co to jest azymut", lecz bez jakiś tam „sinusów" i „cosinusów". Oho, to już wyższa matematyka, której ja nigdy nie zrozumiem. A dałbym wszystko, żeby stało się to jak najszybciej, – marzył biedny chłopak. W czasie przerwy żołnierze też się o coś spierali i jeden drugiemu tłumaczył jakąś regułę matematyczną i uczył wiersza:

W pierwszej czwórce wszystkie plusy,
W drugiej tylko sinus,
W trzeciej tangens i cotangens,
A w czwartej cosinus.

Wiesiek przysłuchiwał się dyskusjom żołnierzy na korytarzu i patrząc na ich popisywanie się przy tablicy, coraz bardziej popadał w depresję. Z nieopisaną przykrością myślał: Mam dwadzieścia dwa lata, a nic nie wiem o roli jakichś tam oznaczeń kątów, kiedy ci już

tymi znakami umieją się posługiwać i obliczać różnego rodzaju kąty w różnych płaszczyznach i obojętnie jakich figur geometrycznych, lub przy pomocy iksów, igreków i zetów – obliczać różne tam niewiadome. Zrobiło mu się gorzko już nie po raz pierwszy.

Poczuł żal do całego świata, a najbardziej do sanacji i Niemców. Sanacja nie zapewniła mu ani jednego dnia bycia w szkole, bo gdzież jej tam biedacy i sieroty, a Niemcy napadając na Związek Radziecki przerwali mu naukę. Kończył trzy oddziały i nauczycielka, widząc jego męczarnię przy macosze, zaproponowała, że postara się, aby go skierowano do szkoły zawodowej. – Tam dadzą ci bursę, ubiorą i będą uczyć na traktorzystę – mówiła pocieszając. Ale on nie zgodził się, gdyż nie wyobrażał sobie życia bez swojej wioski, która niczego dobrego nie zapewniała, ale trzymała niczym magnes. I kolegów żałował zostawić... Zawiozą gdzieś do Mińska, albo i do Moskwy – myślał, – i co ja tam sam będę robił. Obiecanki Nadieżdy Afanasijewnej były zachęcające, lecz jednocześnie na duszę trzynastoletniego chłopca kładł się jakiś niepojęty smutek. Widocznie bał się nieznanego. Już widział oczyma wyobraźni te dalekości i myślał o uciekinierach do Rosji w czasie I wojny światowej. Wielu z nich nie powróciło do swoich ukochanych wiosek, pól i o, patrzcie, jakich cudownych zagajników, gdzie wiosną wyśpiewują ptaki i aż gęsto od gniazd. A gdzie piękniej śpiewają skowronki niż u nas, jeżeli w ogóle śpiewają...

Wiesiek nie mógł pojąć swym dziecinnym rozumem, że gdzieś daleko też można żyć i mieć lepiej niż w domu, bo można jeść chleb przez nikogo nie wymawiany. Jego serce truchlało na samą myśl o oddaleniu się od swoich pól, łąk, od wsi i ludzi nie tkniętych żadną cywilizacją. No, może nie żadną, lecz na pewno bardzo od niej odstających, bo mało kto znał litery, zarówno rosyjskie jak i polskie. Wszystkiego było mu żal. Także Nadieżdy Afanasijewoj, która miała go odprawić w nieznane, a sama dalej uczyć w jego rodzinnej wsi. Teraz też jest daleko od domu, a żyje przecież lepiej. Jest zastępcą dowódcy plutonu, nosi mundur wojskowy, o którym w dzieciństwie tak bardzo, chociaż skrycie, marzył – bo jawnie nie wolno mu było niczego chcieć, ani komukolwiek o czymkolwiek się zwierzyć. Ma pi-

stolet i, co najważniejsze, zapewniony chleb – aż do śmierci. Nie jest błahą sprawą i to, że dosłużył się stopnia podoficera, któremu szeregowi, nawet z odznaczeniami, oddają honory wojskowe, a to znaczy, że stał się człowiekiem. To diametralna różnica w porównaniu z wioską, gdzie był najbiedniejszy, a więc i najgorszy.

Ale mimo doznanych na aktualnym etapie „zaszczytów" poziom ludzi, wśród których miał egzystować przerażał go. Nie chciał być gorszym od innych, a nie wiedział jak być lepszym lub chociaż równym, skoro wszyscy inni aż tak są wykształceni. Już po raz nie wiadomo który, przerażony wizją własnej przyszłości przyrzekał sobie, że jutro napisze raport o zwolnienie z wojska i raz na zawsze wyzbędzie się skrupułów, iż jest gorszy od innych. Pojedzie w swoje strony i wżeni się do jakiejś wdowy, która go zechce i jakoś będzie gospodarzył. Tam będzie wszystkim równy, bo pracować lubi, a i nikt mu nie wytknie, że ciapa bo w wojsku nie służył. Służył i dochrapał się stopnia podoficerskiego, co nie wszystkim było dane. Wielu służyło w sanacyjnym wojsku do 1939 roku, wielu w Armii Czerwonej i wojowało z Niemcami. Dużo chłopaków służyło i jeszcze służy w odrodzonym Wojsku Polskim, a jeszcze żyją i tacy, którzy służyli w wojskach „cara-batiuszki". Wszyscy, którym było sądzone wrócić do domu, wrócili szeregowcami, a ja wrócę kapralem – myślał Wiesiek ze smutkiem, że na kapralu zakończy „karierę" wojskową, podczas gdy jego dzisiejsi podwładni może zostaną dowódcami batalionów, pułków, a może i dywizji. Będą sławnymi ludźmi...

Po zajęciach Wiesiek przyprowadził śpiewający pluton do koszar, pożyczył pieniądze i poszedł rozliczyć się za te nieszczęsne śniadanie i, jeżeli pozwolą zjeść – kolację. Dzień zakończył się szczęśliwie, bo wszystko się naprawiło. Po kolacji odzyskał humor i zrezygnował z napisania raportu o zwolnienie go z wojska. Ale czy była to ostateczna decyzja? Pożiwiom, uwidim... Capstrzyk dla szkolnego plutonu był formalnością, bo żołnierze uczyli się w dzień i w noc, aby w Szkole Oficerskiej nie być matołami.

* * *

Wszyscy, którzy w nim służyli wiedzą, że wojsko musi być wojskiem – rozpamiętuje Wiesiek. Tam musi panować dyscyplina, wiele wzajemnego zaufania, koleżeńskości i nawet wzajemnego poszanowania. To prawda, że przełożeni wymagają aby ich szanowano, nawet wówczas gdy z tych czy innych powodów na to nie zasługują, ale co można zrobić skoro tak stanowi regulamin i zakorzeniona w wojsku tradycja. U Wieśka jednak tak się składało, że nie musiał zmuszać się do pozorów szacunku wobec swych przełożonych. On ich po prostu lubił i szanował za to, że tolerowali go takim, jakim był, a wydawało mu się, że był najgorszy. Ta myśl, wbita mu w ciemię przez macochę nigdy go nie opuszczała.

Zupełne inna opinia o nim panowała natomiast wśród kolegów, przełożonych i wszystkich, którzy się z nim spotykali. Opinię tę wyrobił sobie prostotą i szczerością wyrażania myśli, chociaż w tych czasach można było przypuszczać, że powinien „cieszyć się" inną opinią, gdyż panowała powszechna podejrzliwość i wszędzie były macki „Informacji", a Wiesiek zawsze bez ceregieli wyrażał swoje zdanie. Nie ważne, jakie było to jego zdanie, ale uważał, że o wszystkim trzeba mówić, by było jasne. Był bardzo przychylny ustrojowi Demokracji Ludowej i gotów był w każdej chwili poświęcić dla niej życie. Tym bardziej, że jak dotychczas ono go nie pieściło. Z Wieśka, jak i z wielu innych jego rówieśników, jak z plasteliny można było ulepić kogo się chce. Bardzo niewielu nie zgodziłoby się na wyczyn kamikadze dla ojczyzny, która stała się robotniczo-chłopską, a on wziął i „podpadł".

Któregoś pięknego, letniego dnia kompania porucznika Kuczewskiego zaległa w cieniu bukowych drzew, by choć trochę odpocząć po pięciodniowym kołataniu się po górach w poszukiwaniu 50-osobowego oddziału zbrojnego, który według danych wywiadowczych uzyskanych przez Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Lesku miał gdzieś tu grasować. Leżąc do góry brzuchem na trawie, obok żołnierzy swego plutonu i pracownika UB, któ-

ry prowadzał kompanię, Wiesiek i inni kaprale zaczęli głośno zastanawiać się dlaczego chodząc przez pięć dni po lasach i górach nie spotkali przeciwnika. Po wymianie banalnych, bo już wszystkim znanych opinii, że upowcy mają tak porobione kryjówki, że ich nie wykrywają nawet psy, Wiesiek, jako dobry patriota i przekonany, że zna dobrze język ukraiński, powiedział: – Ech, chyba ja pójdę do bandy! – ale nie wyjaśnił po co on tam pójdzie. Pracownik UB spojrzał na niego niczym na wariata, albo na wroga, lecz o nic nie zapytał i nie podjął żadnej dyskusji. I tak na razie zostało.

Po pewnym czasie Wiesiek odczuł, że wszyscy jakoś bardziej nim się interesują, oficerowie więcej o nim rozmawiają i, jakby nie wiedzieli, pytają skąd pochodzi, jakiego jest wyznania i jakie ma wykształcenie. Kiedyś porucznik Rygiel nawet zaprosił Wieśka do kancelarii i chwaląc go zaczął zachęcać do nauki, obiecał nawet, że będzie go uczyć ułamków. A nie tak dawno przecież krzyczał, że trzeba Wieśka aresztować za to, że w czasie potyczki z „bandą" nikogo nie wziął do niewoli ani nie zastrzelił. „Banda" po prostu wycofała się i pod osłoną dżdżystej nocy rozpierzchła po górach. Ale dowódca kompanii, usłyszawszy tę propozycję, wydarł się z kolei na niego: – Najpierw, kurwa, łap bandytów, a później będziesz aresztował dowódcę plutonu!

To oczywiste, iż po wypowiedzi, że „pójdzie do bandy" Wieśkiem bardziej się zainteresowano. Nie ulega wątpliwości, że sprawdzano czy nie jest przychylny podziemiu, a po drugie wypowiedź Wieśka nasunęła myśl pracownikom operacyjnym UB czy aby nie wykorzystać możliwości kaprala znającego język ukraiński do rozpracowania i zlikwidowania którejś jednostki Ukraińskiej Powstańczej Armii. W czasie kilku ćwiczeń polowych prowadzonych przez porucznika Juszczaka jacyś dwaj cywile podchodzili do niego i prosili, aby pozwolił porozmawiać właśnie z Wieśkiem. Pierwsza rozmowa była prowadzona na łące za pagórkiem, zaś druga i trzecia w miejscu postoju, ale już przez innych pracowników UB.

Należy sądzić, że pracownicy bezpieczeństwa, którzy na łące prowadzili rozmowę z Wieśkiem po ukraińsku, nie zakwalifikowali go na

agenta, który „rozwali" od wewnątrz ukraińskie podziemie, ale przełożeni im nie uwierzyli i skierowali do Cisnej kolejnych, celem potwierdzenia pierwszej opinii lub jej oddalenia. Porozmawiali o tym i o owym przez około 15 minut i odjechali życząc Wieśkowi przyjemnej dalszej służby.

Później powstała koncepcja wprowadzenia do jednej z działających grup zbrojnych drużyny żołnierzy 3 kompanii II batalionu KBW pod dowództwem kaprala Stefana W., jako rzekomych dezerterów. Pomysł widocznie upadł, gdyż z 3 kompanii nie tylko drużyna, ale nawet żaden żołnierz nie „zdezerterował". Nigdy na ten temat nikt ze Stefanem nie rozmawiał, bo wiadomo, że w tym czasie wszystko było ścisłą tajemnicą. Ciekawość spowodowałaby interwencję oficera informacyjnego i mogłaby źle się skończyć dla ciekawskiego. Stefan też nigdy o tym nie wspominał nawet dla najlepszego kolegi. Ale należy przypuszczać, że wytypowano Stefana jako tego, który również znał język ukraiński, a on z kolei namówi „obiecankami" podległą sobie drużynę, z którą dołączy do pierwszego lepszego pododdziału wrogiego ugrupowania i poprosi o „azyl". Stefan, jak i Wiesiek znał język ukraiński, ale żeby się nim posługiwać na równi z tutejszymi Ukraińcami – oho, to jeszcze daleko. Wybiegając na przód można zaznaczyć, iż w chwili obecnej Wiesiek prowadzi korespondencję z redakcją Radia Kijów i z redakcją kijowskiego tygodnika „Wisti z Ukrajiny", skąd odpisują mu, że doskonale *wołodije ukrajinśkoju mowoju*. „Gdyby ją tak znali Ukraińcy, to nie trzeba byłoby wprowadzać ustawy!" - powiedziała redaktor Olga Zariczańska z Radia Kyiw. Ale wówczas, kiedy planowano użyć Wieśka i Stefana jako agentów do rozbicia od środka upowskiego podziemia, raczej skończyłoby się to dla obu podoficerów tragicznie. Po Wieśku zapłakałaby tylko jakaś grusza lub jabłoń, z których zbijał owoce będąc małym chłopcem, bo z ludzi na pewno nikt. Ale Stefan miał już żonę, dziecko i rodziców. Szkoda, że tak się później zbłaźnił przed Wieśkiem i zniweczył koleżeńskość zawartą w ciężkich chwilach. Ale może to i lepiej, że jego prawdziwe oblicze samo się zdemaskowało.

W okresie walk z ugrupowaniami zbrojnego podziemia Wiesiek cieszył się opinią jednego z najodważniejszych, jeżeli nie najodważniejszego podoficera bieszczadzkiej epopei. Ale jego odwaga wypływała stąd, że koniecznie chciał zginąć i być pochowanym na cmentarzu wojskowym w Baligrodzie, ponieważ po odbyciu służby wojskowej nie miał do kogo i po co wracać. Dlatego w czasie potyczek nie kładł się na ziemię, chociaż było to wbrew naukom i rozkazom przełożonych. Z taką też opinią zajął miejsce zastępcy dowódcy plutonu w kompanii dowodzonej przez porucznika Molskiego, podległej dowódcy II batalionu, kapitanowi Filipiakowi.

To, że Wiesiek cieszył się dobrą opinią na nowym stanowisku wśród jeszcze nie poznanych kolegów i przełożonych poświadcza fakt, iż przewodniczący Zarządu Batalionowego Związku Młodzieży Polskiej Jan Olczak, tworząc koło w 3 kompanii zaproponował Wieśka na przewodniczącego tego koła. Propozycja została przyjęta jednogłośnie. Ale żeby o tym już nie mówić należy dodać, że Wiesiek niewiele uczynił, czy też zdziałał na tym polu, gdyż nadal musiał wyjeżdżać w teren, chodzić do szkoły i co najważniejsze – nie chciał się tym zajmować. Zresztą, działalność po linii ZMP w siłach zbrojnych pokrywała się z siłą moralną i bojową danego pododdziału – gdzie byli odpowiednio przygotowani oficerowie i podoficerowie, tam panowała dyscyplina i jednocześnie koleżeńskość, a gdzie pełniono służbę „na odtrąbiono", aby dzień do wieczora, to tam i ZMP niewiele pomogło.

W batalionie dowodzonym przez kapitana Filipiaka, którego szefem sztabu był porucznik Zakrzewski, oficerowie byli niby na zamówienie, za wyjątkiem jednego pedancika, który na wszystkich patrzył z góry, gdyż był przystojny i zawsze ładnie ubrany. Ale nie powinien był tego okazywać, tym bardziej, że piastował funkcję I sekretarza organizacji partyjnej batalionu, która wtedy z punktu widzenia MON nie miała jeszcze racji bytu. Zebrania partyjne członków PPR odbywały się niby po kryjomu, chociaż dowództwo brygady o tym wiedziało i nie zabraniało. Wiesiek też na te zebrania uczęszczał, gdyż będąc na urlopie przywiózł z Kleszczel zaświadczenie, że jest człon-

kiem PPR. Oddał je zastępcy dowódcy batalionu do spraw polowych. Ale później to zaświadczenie gdzieś zaginęło, gdyż po dziesiątkach lat okazało się, na ile można wierzyć sprawdzającemu, że w aktach personalnych Korpusu czegoś takiego nie znaleziono.

Wiesiek nie lubił tylko szefa kompanii, w której pełnił służbę, bo to był wymoczek o oliwkowej twarzy, z ogromnymi, odstającymi uszami, a w dodatku do wszystkich się czepiał. Najbardziej kolegował się z podoficerem uzbrojenia kompanii (taka funkcja też była), kapralem Jankiem Chmielewskim, oczywiście, poza Mundkiem Domaradzkim i Cichoszem ze swego plutonu. Spoza swojego batalionu najpierw poznał dowódcę plutonu psów – plutonowego, który miał serce z prawej strony. Przypadli sobie do gustu, a gdy Wiesiek otrzymał pierwsze pobory – wypili w kasynie po butelce wermutu i Wiesiek ledwie wrócił do koszar. Najgorzej było iść przez bramę wejściową, gdzie mógł go „przyhaczyć" oficer inspekcyjny. Ale nie, nic podobnego się nie stało. Kapral szczęśliwie dobrnął do łóżka i cicho położył się spać. Nazajutrz żałował, że po dwóch latach „odpoczynku" znów się upił.

Zresztą, prawdę mówiąc, z Wieśka była nieprzeciętna fajtłapa i to wszędzie tam, gdzie trzeba było być energicznym i dbającym o siebie. Dlatego też pierwszą pensję pobrał dopiero w październiku, chociaż należała mu się już od lipca. Żył z żołdu i krępował się kogokolwiek zapytać co i jak. Gdy ktoś mu powiedział, że trzeba iść do kasy brygady po pieniądze, to Wiesiek najpierw zapytał za co mu mają zapłacić, a później, już przy kasie, gdy kasjer odliczył mu siedemnaście tysięcy złotych, brał je drżącymi rękami i zżymał się ze wstydu, że bierze niezasłużenie. Za co aż tyle, za co? – myślał. W swojej wsi harował dniami i nocami za darmo, chodząc boso i w zgrzebnej koszulinie. A tu obuty, ubrany po wojskowemu i jeszcze mu dali aż tyle forsy za to, że pójdzie do szkoły albo z plutonem w pole na przechadzkę. Od kasy odszedł niby złodziej przyłapany na gorącym uczynku, zamiast zapytać: – A gdzie jest forsa za poprzednie trzy miesiące? Uciekł od kasy z siedemnastoma, zamiast odejść z podniesioną głową z sześćdziesięcioma ośmioma tysiącami polskich złotych.

Mając taką sumę pieniędzy Wiesiek myślał, że cały świat należy do niego. Zaczął wypuszczać się do miasta i przyglądać się dziewczynom. Ale zamiast nich lub jednej z nich – wpadł w ramiona, w przenośni i dosłownie, starszej od niego o dwanaście lat wdówki, mieszkającej samotnie we wsi Pobitno, przylegającej do ogrodzenia koszar IV Brygady KBW.

Wiesiek z chwilą dorastania nigdy nie traktował poważnie dziewcząt młodszych od siebie lub rówieśnic. Zawsze wolał kobiety starsze od siebie albo i podmamusiałe. Dopiero takie budziły w nim żądzę. I właśnie taka pani, piękna czarnulka, fryzjerka z zawodu, „wpadła" mu w oko gdy był w Pobitnie u krawca, który miał mu uszyć nowy mundur. O „szarej" godzinie zaprosiła go do swego mieszkania – wiejskiej chatki na dwie rodziny. Wiesiek, nie znając sytuacji, zapytał czy nikomu nie będzie przeszkadzał. – Nie – odpowiedziała śmiejąc się. – Nie będzie pan nikomu przeszkadzał, gdyż mąż śpi. Chłopak nastawił uszy i nie chciał wejść. Ale wdówka otworzyła drzwi i zachęcająco popchnęła go do środka, mówiąc: – Niech się pan nie boi jak nie-żołnierz. Mówię, że mąż śpi!

Gdy weszli do pokoju powiedziała, siadając na tapczan: – Posuń się stary bo gość chce koło ciebie usiąść! Wtedy chłopak zorientował się, że oprócz nich nie ma nikogo w domu. Wdowa zaczęła opowiadać o śmierci męża, Wiesiek współczująco patrzył na nią, ale w głębi duszy cieszył się, że będzie miał wygodę na dalszą służbę. To teraz tak groźnie wygląda, że kobieta była starsza o 12 lat. Ale wtedy, gdy on miał 22 a ona 34 lata nie stanowiło to problemu, gdyż jej ponętność i uroda przyćmiewały niejedną młodą dziewczynę. Ale gdy spostrzegł, że wdowa po paru godzinach obcowania jest już gotowa do łóżka, przypomniał sobie przestrogi lekarzy o chorobach wenerycznych. Udał, że nie rozumie jej aluzji i powiedział, że musi już iść do koszar. Żałował, ale bał się. Ona zaś go obcałowywała, mdlejąc w jego ramionach. Po ochłonięciu zaczęła go przepraszać za swe zachowanie, a on zaczął się śmiać z siebie, że jest takim gapą i nie wie jak różnie kobiety reagują na te sprawy. Tonem usprawiedliwienia poprosiła go, aby się nie śmiał, bo coś podobnego przydarzyło się jej

po raz pierwszy. – To twoja wina – powiedziała, – że doprowadziłeś mnie do takiego stanu. Myślałam, że wyzionę ducha.

Niestety, ten pierwszy raz był zarazem ostatnim, ponieważ niebawem skierowano go na kurs szefów kompanii do Warszawy. Ale chłopak poczuł się dowartościowany i życie stało się weselsze. Jeszcze tylko raz zaszedł do pięknej kobiety z kolegą Owczarkiem, aby pokazać jaką ma fajną kochankę. Kobieta była niezadowolona, że zjawił się w towarzystwie, a gdy dowiedziała się, że przyszedł się pożegnać, chciała mu ofiarować szablę. Wiesiek odmówił, bo nie wiedział co z nią zrobić, a stary wyga, szeregowy Owczarek, zwiadowca oddziału konnego brygady poprosił by mu ją dała. Na pewno posiada ją do dziś i wspomina ich oboje z politowaniem. Ale wracajmy do wojskowych obowiązków naszego bohatera.

Gdy Wiesiek wszedł już w życie plutonu, kompanii i batalionu na obowiązującym i dostępnym mu poziomie, zaczęto wyznaczać go zgodnie z grafikiem do różnych służb. Pewnego razu przypadła mu w udziale służba dyżurnego w batalionowej kuchni. Każdy inny ucieszyłby się, że naliże się „smakołyków", których nigdy nie było za dużo w wojsku, a Wiesiek bał się, iż nie potrafi sprostać temu zadaniu. Ale rozkaz jest rozkazem, bo wojsko – wojskiem. Tu nie ma rzeczy niemożliwych.

Tego dnia wymył się szczególnie starannie, przyszył bielusieńki kołnierzyk do bluzy, wyczyścił kamasze i poszedł przyjmować służbę w tej cholernej kuchni. Poprzedni dyżurny przekazał prowiant znajdujący się w magazynie przykuchennym, a były w nim rzeczy, o których Wiesiek nigdy nie słyszał i nie miał o nich zielonego pojęcia. Dla niego były znane takie składniki żołnierskiego wiktu jak chleb, mięso, mąka, kasza, sól i cebula. No, jeszcze marchew. A tu mu przekazują jakieś pietruszki, selery, pory i inne diabli wiedzą co, wszystko w paczuszkach. Wiesiek najchętniej to wszystko gdzieś by schował, żeby w czasie swej służby nie mieć z nim do czynienia. Ale co poradzisz, skoro to wszystko trzeba będzie wydawać kucharzom na przygotowanie trzech posiłków. Stary dyżurny po koleżeńsku, lojal-

nie uprzedził Wieśka, żeby uważał, bo kucharze to nieprzeciętni cwaniacy i mogą wykiwać, gdy zobaczą że ćwok.

Myśl o niedaniu się kucharzom nabrać na plewy postawiła Wieśka w stan ciągłego czuwania, aby któryś z nich przychodząc do magazynu nie ścibrył czegoś, co mógłby później wymienić na gorzałę. Ale ci, gdy na drugi dzień trzeba było przygotowywać obiad, spróbowali wykiwać go w taki sposób, że nie ustrzegłby się tego największy cwaniak. Przyszli we dwóch do magazynu i pobrali mięso przeznaczone na obiad dla całego batalionu. Część miała iść na ugotowanie zupy, a reszta, dużo większa – na porcje do drugiego dania. Gdy przyszła pora obiadowa okazało się, że nie ma mięsa na porcje. Owszem, żołnierze zjedli tłustszą niż zazwyczaj zupę, ale drugie danie było bez mięsa. Powstał skandal na całą brygadę i natychmiast zaczęto szukać winnych, którzy mogliby „puścić" mięso na wódkę – tak posądzano, zamiast na porcje obiadowe dla całego batalionu.

Kucharze, przesłuchiwani przez oficera informacyjnego i dowódcę batalionu, zlękli się zaistniałej sytuacji ponieważ w zeszycie pokwitowali ilość pobranego mięsa, ale tłumaczyli się tym, że dyżurny polecił im całe mięso przeznaczyć do zupy, a na drugie danie przygotować ziemniaki z sosem. Wówczas dowódca batalionu kapitan Filipiak, mądry i życzliwy wszystkim oficer, wspólnie z informacyjnym zaczęli wypytywać Wieśka jak to było na prawdę i radzili mu po przyjacielsku, aby do wszystkiego się przyznał dobrowolnie to sąd złagodzi wyrok. Na dźwięk słowa „sąd" Wieśkowi po grzbiecie przemaszerowało mrowie, ale zebrał się w sobie i rzeczowo, jak mu się wydawało, wyjaśnił, iż mięso z magazynu wydał za pokwitowaniem i zgodnie z obowiązującą normą. – Co z tym mięsem zrobili kucharze tego nie wiem – tłumaczył się Bogu ducha winien chłopak, – ponieważ nie moją rzeczą było rozkazywać fachowcom, jak mają gotować obiady. Oni mają ustalony jadłospis i wszystko, co było potrzebne do obiadu z magazynu wydałem.

Oficer informacyjny krzyknął na Wieśka, że dobry podoficer służbowy wszystkiego dopilnuje, ale nie taka gapa jak on... Zaś dowódca batalionu poprosił aby jeszcze raz pójść do kucharzy. O czym

była rozmowa między dowódcą batalionu i oficerem informacyjnym a kucharzami nikt nie wie, ale rezultat był taki, że trzej kucharze zostali zamienieni przez jakichś innych, a sami powędrowali do aresztu. Wiesiek bał się, że z nim będzie to samo i czekał, kiedy przyjdzie informacyjny, poleci zdać pistolet i pas, lecz nie miał racji ponieważ dowódca batalionu od razu zorientował się co jest grane i wiedział, że Wiesiek w tym palców nie maczał, nie mówiąc już o ustach.

W taki oto sposób Wiesiek doświadczył jeszcze jednej życiowej nauki. Już dowodził plutonem w walce z przeciwnikiem, prowadził ćwiczenia kompanii, ale po raz pierwszy zetknął się z tak wyrafinowanym cwaniactwem i złą wolą. Tym bardziej, że nigdy nie spodziewał się, iż ktoś może kraść prowiant, którego i tak nigdy nie było pod dostatkiem dla młodych, wyganianych organizmów. Teraz przypomniał sobie jak w Baligrodzie żołnierze jedli mamałygę i dorsze, a funkcyjni, tj. szef kompanii, magazynier i pisarz – boczek wędzony. Kiedyś magazynier, przyłapany przez Wieśka gdy niósł do kancelarii ów wiktuał zawinięty w gazetę, dał mu kawałek. Och, jak smakował, ale to było tylko raz, a oni mieli go częściej. Wiesiek o nic nikogo nie podejrzewał, bo myślał, że tak musi być. I teraz też go niewiele nauczyło, gdyż pozostał ufnym i naiwnym żołdakiem.

Nowa wpadka

Nie wiadomo na jakim szczeblu, ale powstała koncepcja, aby oprócz zabezpieczenia operacyjnego przez Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego dodatkowo skierować do Fabryki Porcelany w Boguchwale pluton KBW, celem ochrony zewnętrznej zakładu przed ewentualną dywersją ze strony wrogiego podziemia, które według informacji posiadanych przez WUBP w Rzeszowie chciało ją wysadzić w powietrze. Tę informację przekazał Wieśkowi zastępca dowódcy batalionu w czasie rozmowy sondażowej.

Wiesiek prowadzał do szkoły pluton, razem z którym i sam miał zdobywać wiedzę, a więc dowództwo batalionu nie rozkazywało mu, aby objął dowództwo ochrony Fabryki Porcelany w Boguchwale,

a pytało, czy nie zechciałby tego uczynić. Oficer prowadzący rozmowę na ten temat powiedział, że dowódca batalionu najbardziej stawia na niego, jako na podoficera odważnego, sprytnego i zasłużonego. Mile połechtany lekkoduch nie tylko, że zgodził się, ale przyjął propozycję z zadowoleniem. – No, jeżeli zgadzacie się, – powiedział na zakończenie rozmowy zastępca dowódcy batalionu, – to pamiętajcie, że dowództwo batalionu pokłada w was nadzieję i wierzy, że naszego, ani dowódcy brygady zaufania nie zawiedziecie, swój żołnierski obowiązek wypełnicie z honorem, a tam zobaczymy. Wiesiek wyprężył się na baczność i wyrecytował: – Ku chwale ojczyzny, obywatelu poruczniku. Porucznik podał rękę i rozstali się.

Wiesiek z powierzonym sobie plutonem z jakiejś innej kompanii wytypowanym do ochrony obiektu przyjechał do Boguchwały, rozlokował żołnierzy w przeznaczonym dla niego budynku na terenie fabryki i poczuł się jakoś bardzo swojsko – swobodnie i niezależnie. Z rozmowy z angażującym go oficerem dowiedział się, że fabryki trzeba strzec jak źrenicy oka, lecz wcale go to ani nie parzyło, ani nie ziębiło. Obiecał i sam w to uwierzył, że na pewno nie zawiedzie zaufania, którym go darzyło dowództwo. Tym bardziej, że dowódca IV Brygady, pułkownik Edward Koniński był Wieśkowi dobrze znany jeszcze z podgrupy „Sanok" i z podgrupy „Gorlice". Poza tym kiełkowało w nim coś takiego jak moralny obowiązek, taki bez wyraźnego rozkazu wojskowego.

Uczestniczył już w zebraniach organizacji partyjnej, gdzie przede wszystkim kładło się nacisk na wychowanie ideowe oficerów i podoficerów. Było mu nijako słuchać, gdy pewnego razu „obrabiano" na takim zebraniu chorążego Kaczora. Nawet podoficerowie zabierali głos i karcili Kaczora za jakieś tam niewłaściwe zachowanie. Wiesiek nie wiedział o co chodzi w tym niewłaściwym zachowaniu się chorążego, gdyż na zebranie przyszedł z opóźnieniem, ale już uświadamiał sobie, że zrobienie czegoś nie tak jak wymaga regulamin lub honor żołnierski, jest piętnowane przez ogół członków partii i to bez względu na stopień. Spodobało mu się to i zaczął lubować się w takich górnolotnych pojęciach jak honor, poświęcenie, ideowość, wierność za-

sadom i wszystko co nieustannie słyszał na zajęciach polityczno-wychowawczych, a na tym zebraniu od podporucznika-pedancika, który pełnił obowiązki sekretarza tej, jeszcze jakby podziemnej organizacji partyjnej.

Po rozlokowaniu i uporządkowaniu plutonu, Wiesiek poszedł do biura fabryki i zameldował, z jaką misją przybył. Odbierający meldunek, chyba dyrektor, zapytał czy żołnierze są zadowoleni z zakwaterowania, jak się czują w nowej roli itd., po czym zaproponował zwiedzenie zakładu. Poprosił jakiegoś fachowca, aby zajął się Wieśkiem i oprowadził go po fabryce. Inteligentny dyrektor odgadł zamiar Wieśka, który przyszedł do biura, aby go zapoznano z położeniem zakładu i był ciekaw co też tam takiego wytwarzają, że reakcja chce wysadzić obiekt w powietrze.

Majster oprowadzał kaprala po zakładzie i pokazywał od początku do końca jak wyrabia się porcelanę. Wiesiek w życiu może i gdzieś trzymał jakiś wyrób porcelanowy, ale na pewno nie miał pojęcia z czego i jak go wytwarzają. Tu zaś zobaczył takie cudeńka kuchenne, serwisy do kawy, różne figurki, wazy, misy, półmisy i filiżanki. W innym miejscu pokazano mu tak ogromne izolatory elektryczne, o których istnieniu lub zastosowaniu do czegoś nawet mu się nie śniło. Oprowadzający wyjaśniał do czego to wszystko służy i coś chyba mówił o eksporcie, ale Wiesiek był oszołomiony tym, co przepływało w przenośni i dosłownie przed jego dziecięcymi, rozszerzonymi z podziwu oczyma. Bardzo przy tym żałował, że jego wiejscy ziomkowie tego nie widzą i nigdy nie zobaczą, a chwalą się, że wszystko wiedzą. Podziwialiby – patrzcie ludońki, do czego to się dochrapał ten nasz sierota i oberwaniec?! Chodzi sobie w mundurze po fabryce, a majster wszystko mu pokazuje, jak jakiemuś ministrowi i tłumaczy... Oj, musi co świat chyli się ku upadkowi. Tak by powiedzieli, ale niestety, nie widzieli w jakim poszanowaniu jest ten, który nie tylko, że nie mógł marzyć o nauce, ale nie mógł też głośno mówić, że chce być żołnierzem, bo by go rodzice przywołali do porządku chichocząc: – A gdzież ty durniu się nadajesz do wojska, jak ty jesteś ni do Boga, ni do ludzi...

Po zwiedzeniu całej, czy nie całej fabryki i jej produkcji – Wiesiek w to nie wnikał, bo wiedział, że coś może być objęte tajemnicą służbową lub wojskową, zaproszono go do pomieszczenia, w którym były rozstawione na półkach różne porcelanowe figurki i naczynia, nie przypominające mu niczego z rodzinnej wsi. Znajdowały się tu same panie, które te naczynia ręcznie malowały. Jedna z nich opuściła miejsce pracy i podeszła do mężczyzn, aby opowiedzieć Wieśkowi o pracy swojej i brygady. Dziewczęta z sympatią spoglądały na młodego kaprala i uśmiechały się. Wiesiek prawdopodobnie rumienił się na twarzy, bo czuł jej gorąco, ale trwał w niezachwianej pozycji słuchając opowiadania o pracy w tym dziale i o zamówieniach na jego wyroby.

Po pobieżnym pokazie sali z porcelaną i dziewczętami ją malującymi, jedna z pań zaproponowała Wieśkowi, jako podarunek na pamiątkę pobytu w fabryce jakąś tańczącą figurkę. Ale „czubaryk", nie będący niczego świadom i znający się ma savoir vivre tyle co kot na miodzie, odmówił przyjęcia podarunku, tłumacząc, że jeszcze będzie czas na podarki, gdyż przybył tu dopiero dzisiaj i chyba na długo. Kobiety ustąpiły, ale nietrudno domyślić się co o nim powiedziały po jego wyjściu. Najpewniej nie bez racji nazwały go głupim, że nie wykorzystał momentu do zdobycia pięknej boguchwalskiej pamiątki, którą mógłby szczycić się przez całe życie, podobnie jak i szablą, którą zaproponowała mu zakochana pani.

Chłopak nie znał się na tym i chyba było mu obojętne – mieć tę figurkę czy nie mieć. A może wiedział, że i tak mu to ukradną? Kobiety mogły się domyślić, że chłopak jest skromny i nie leci na darmowe posiadanie czegoś, albo z chichotem zastosowały doń rosyjskie przysłowie, które mówi, że spotykają według ubioru, a odprowadzają według rozumu. Bo to, że Wiesiek im się spodobał nie ulegało żadnej wątpliwości. Niektóre patrzyły na jego figurę niby urzeczone, co zauważył oprowadzający go i po wyjściu powiedział. Przy tym nie omieszkał dodać: – Jeżeli pan tu dłużej pobędzie, to nie ma najmniejszej wątpliwości, iż wyjedzie pan żonatym. Wiesiek nic nie powiedział, bo takie słowa zawsze go krępowały. Jak się później oka-

zało nie tylko przegapił figurkę z porcelany i ewentualną żonę, ale już na drugi dzień znalazł się w Rzeszowie, a odbyło się to tak.

Jeszcze nie zdążył rozstawić posterunków zgodnie z prowizoryczną instrukcją dyrektora, gdy do kwatery „wpadła" kobieta z lamentem, że mąż ją bije i wygania z domu. Prosiła, ba, wręcz błagała dowódcę plutonu o szybką interwencję, bo mąż porżnie wszystkie jej ubrania. Wiesiek, zawsze gotów nieść pomoc pokrzywdzonym, zamiast odesłać skarżącą się panią do komisariatu MO, wziął ze sobą jednego strzelca i pobiegł ratować sytuację. Po wejściu do mieszkania zobaczyli, że istotnie ubrania były porozwalane i panował bałagan w mieszkaniu, ale w oczach i na twarzy małżonka skarżącej się nie widać było szaleńczego gniewu, którego można było spodziewać się patrząc na zapłakaną kobietę. Po krótkiej rozmowie z żołnierzami małżeństwo pogodziło się – rzekomo nigdy nie było zgodniejsze niż dziś, wzięło się za sprzątanie ubrań i bielizny pakując je do szafy.

Mieszkanie w try miga zostało z grubsza uporządkowane, a na stole gospodyni szybciutko rozścieliła bielusieńki obrus, na którym, niby za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki, znalazł się litr wódki i obfitość, jak się Wieśkowi zdawało, zakąski. Gospodyni zaczęła, a mąż ją podtrzymał w pianiu pochwał pod adresem pana kaprala, dzięki któremu oboje zrozumieli swój błąd, który o mały figiel nie doprowadził do katastrofy życiowej – rozbicia małżeńskiego (jakby przed nimi i po nich nikt tego nie robił). – Mąż nerwus – ciągnęła sympatyczna pani, – zdenerwował się w pracy i chciał wyładować się na żonie. A ja, jak ta wariatka od razu pobiegłam do wojska szukać ratunku. Nie chciałam lecieć do milicji, bo oni zaraz protokół spisują i narażają na ciąganinę. A wy, patrzcie, przyszliście i paroma życzliwymi słowami doprowadziliście do zgody dużo od was starsze małżeństwo. Wypijmy więc za naszą zgodę i za waszą służbę, żeby wam u nas, w Boguchwale dobrze się żyło i spokojnie przebiegała służba. Szczególnie jesteśmy wdzięczni panu kapralowi za jego mądrość i takt w postępowaniu.

Wiesiek poczuł się wniebowzięty pod wpływem potoku słodziutkich słów i aż się skurczył ze szczęścia, że jego „mądrość" została od-

kryta aż w dalekiej, dotąd nie znanej Boguchwale. Słowa gospodyni, jak jakiś narkotyk powodowały odejście zmęczenia psychicznego i nawet fizycznego. A parę kieliszków wódki dodało mu tak cudownych myśli i nadziei na dobre życie mimo różnych, tu i ówdzie, potknięć. Może nawet w przyszłości będę oficerem – myślał rozanielony chłopak. – Jeżeli już teraz potrafię pogodzić zwaśnione małżeństwo, to co mówić po szkole oficerskiej? Ale, jak wszędzie tak i tu, od razu przypomniał swoją rodzinną wieś i radość z serca uleciała niby ptak.

Atmosfera w mieszkaniu panowała iście przyjacielska i zdawałoby się od dawna panująca, aby można było kogokolwiek o cokolwiek posądzać. Gospodarze dziękowali za pomoc w ułożeniu na nowo życia małżeńskiego, a podwładny Wieśka na sposób miastowy, w imieniu swego dowódcy i własnym podziękował gospodarzom za wspaniałe przyjęcie, którego nikt się nie spodziewał u progu służby na rzecz zakładu, który jest solą w oku reakcji. Szeregowy tak pięknie mówił, że Wiesiek ponownie rozpłynął się w szczęściu, bo myślał, że gospodarze ocenią go jeszcze wyżej niż cenili. No bo co by było, gdyby przemówił kapral, jeżeli szeregowy tak potrafi?

Pożegnali się „przyjaciele" po przyjacielsku i rozeszli. Żołnierze poszli wykonywać swe obowiązki, a rzekomo zwaśnione małżeństwo pozostało w domu, niewątpliwie aby rozkoszować się pogodzeniowymi pieszczotami. Idąc ulicą, szeregowy mówił do kaprala: – No, pogodziliśmy awanturników, a teraz można sobie wyobrazić co się tam dzieje! On jej tak da pod ogon, że chyba ten dzień popamięta do końca życia. Wiesiek odburknął „uhu", ale rozmowy nie podtrzymał, gdyż na jego duszę padł niepokój, czy słusznie postąpił idąc godzić nieznajomych ludzi i pić z nimi wódkę. Jeżeli dowództwo dowie się o tym, a dowie się na pewno, gdyż trudno sobie wyobrazić, aby posyłając pluton do wykonania tak ważnego zadania jak ochrona fabryki, Informacja nie posłała z nim swojego człowieka, czyli „uszaka". Ale od czegóż jest takie pojęcie jak nadzieja? Gdy tylko Wiesiek pomyślał, że jakoś to będzie, od razu zrobiło się fajniej i weselej. Wstąpiła weń nadzieja, że wszystko będzie dobrze, bo on nic złego nikomu nie uczynił, oby tylko donosiciel nie poprzekręcał faktów lub nie popuścił lejców fantazji.

Powrócili do plutonu podochoceni wypitą wódką i zadowoleni, że wykonali obywatelski obowiązek. Szeregowy dołączył do kolegów, a Wiesiek zajął się ustalaniem kolejności pełnienia służby i dyżurów przez podwładnych. Zdążył tylko rozstawić posterunki i usiąść z żołnierzami, aby omówić jak będzie z dyżurem, a tu wparowuje do pomieszczenia tylko co opuszczony gospodarz z kilkoma butelkami wódki w rękach i wrzeszczy, że on kocha wojsko polskie i musi się z nim napić.

Wiesiek zląkł się, że może podpaść naprawdę, bo któż to widział wpuszczać cywila do pomieszczenia wojskowego i w dodatku z gorzałą? Ale chyba lęk zlekceważył, gdyż pozwolił sobie na grzeczność nie wyrzucania intruza z kwatery. A ten pomyślał sobie, że trafił na betkę i dawaj żołnierzy częstować alkoholem chodząc z pokoju do pokoju, tudzież wykrzykiwać jaki to on wielki patriota i Polak. W dowód przywiązania i miłości do wojska zaczął wszystkich po kolei obcałowywać. Żołnierze na takie pieszczoty nie mieli ochoty, bo nie wpompowali w siebie tyle wyskokówki ile on i byli po prostu trzeźwi. Po paru minutach, gdy już facet nie miał wódki, żołnierze przeprosili go i na mrugnięcie dowódcy wyprosili z pomieszczenia, motywując swą postawę tym, że są zmęczeni i muszą kłaść się spać.

Nazajutrz raniutko przysłano inny pluton tego samego batalionu pod dowództwem kaprala Barabasza, a Wieśka z plutonem odwołano do koszar „za picie alkoholu w mp. z jednym z podejrzanych o chęć wysadzenia fabryki w powietrze".

Kapral Barabasz z dumnie podniesionym czołem, w sposób właściwy każdemu zarozumiałemu plebejuszowi patrzył na Wieśka jak na chuligana i przejmował od niego jeszcze nie zasiedziałe posterunki i obowiązki. Wiesiek nie miał mu wiele do powiedzenia, a ten z kolei zasyczał: – Gdy wrócisz do koszar nie chciałbym być w twojej skórze! To nic, że zasyczał, ale Barabasz był fajnym chłopem i to co powiedział Wieśkowi miało stanowić ostrzeżenie przed burzą, aby przygotował chociaż parasol ochronny. Barabasz doskonale wiedział o istnieniu i roli Informacji, a więc ani chwili nie wątpił, że Wieśkowi nie ujdzie na sucho jego wybryk. Nie trzeba nikomu mówić, w jakim

nastroju wracał Wiesiek do Rzeszowa. Samego miasta się nie bał, ale przecież tam stacjonuje „jego" brygada i batalion, i jest to samo dowództwo, które mu zaufało aż w takim stopniu...

Nic mu za to nie zrobili. Nawet oficer informacyjny nie raczył go przesłuchać. I to właśnie spowodowało, że Wiesiek najchętniej zapadłby się pod ziemię. Wstydził się nie tylko oficerów ale i kolegów. Wiedział, że zawiódł zaufanie przełożonych. Żeby chociaż ktoś o coś zapytał, to może dałoby się choć trochę opowiedzieć i usprawiedliwić, a tu nic. Wszyscy milczeli, a jemu wydawało się, że każdy patrzy na niego jak na złodzieja.

Przydzielono go z powrotem do plutonu szkolnego na to samo stanowisko i pozwolono uczęszczać do szkoły. Na dłuższą metę jednak to się nie udało, bo wojsko miało jeszcze moc innych zadań w walce o utrwalenie władzy ludowej. Pluton nadal chodził do szkoły, a Wiesiek jeździł po terenie, a więc w dalszym ciągu nie było mu dane zdobyć wiedzy chociaż na poziomie podstawówki.

Życie koszarowe biegło swoim wojskowym torem, z jego plusami i minusami. Czego mógł oczekiwać od służby wojskowej taki chłopiec jak Wiesiek, nie posiadający wykształcenia? Mógł tylko spodziewać się, że wojsko zapewni mu jaki taki byt jeżeli będzie dobrym żołnierzem, gdyż w wojsku o sentymenty raczej trudno, chociaż czasami temu i owemu coś się uda. Wywinięcie kozła w Boguchwale mogło go zdrowo kosztować, ale widocznie dowództwo pożałowało jego młodego wieku i postanowiło sprawy nie rozdmuchiwać, aby dać mu możliwość wykazania się w dalszej służbie, nie wypominając wykroczenia, które można było różnie zakwalifikować w czasach ostrej walki klasowej wspomaganej orężem.

Jankowe wesele

W trakcie wymiany dowódcy kompanii porucznika Molskiego na porucznika Woźniaka i dowódcy batalionu kapitana Filipiaka na kapitana Woźniczkę, który do KBW przyszedł z wojsk liniowych, Jankowi Chmielewskiemu zachciało się żenić. A że od chwili zawar-

cia znajomości przypadli sobie z Wieśkiem do gustu, Janek zażyczył sobie, aby to właśnie on był jego świadkiem i drużbą. Janek na pewno wszystko załatwił legalnie, raportem, który musiał napisać prosząc o pozwolenie zawarcia związku małżeńskiego, a więc przepustkę też otrzymał albo nawet urlop okolicznościowy, gdyż był już podoficerem zawodowym. Natomiast Wiesiek, nic nikomu nie mówiąc, wbrew rozkazom, zakazom i nakazom, uważając, że wolnemu wola, a zbawionemu raj, pojechał razem z Jankiem gdzieś do podrzeszowskiej wsi, aby pełnić rolę drużby i pobyć na polskim weselu.

Z samego wesela Wiesiek, niestety, prawie nic nie pamięta i nie wie co się stało, że nic nie pamięta. Wie tylko, że w czasie zbliżania się do posesji panny młodej spotkała ich trzyosobowa wiejska kapela grając marsza, a później narzeczona w towarzystwie innych kobiet wprowadziła Janka i Wieśka do izby. Koniec, kropka. Poza tym pamięta, jak przez mgłę, powrót do Rzeszowa jakimś samochodem ciężarowym pod plandeką. A pamięta tylko dlatego, że jeden z pasażerów aż do znudzenia powtarzał wszem i wobec, że jego żona to kurwa.

Wiesiek do dziś nie wie, jaką pociechę miał z niego Janek, ponieważ nigdy nie było na ten temat rozmowy. Należy jednak przypuszczać, że niewielką, jeżeli nie żadnej. A to dlatego, że Wiesiek wcale nie znał polskich, katolickich, a tym bardziej miejscowych zwyczajów, więc należy domniemywać, że robił gafę za gafą, albo zachowywał się spokojnie, nie dając powodu do wielu komentarzy. Nie pamięta nawet czy w ceremonii weselnej towarzyszyły mu druhny, drużbanci i inne swańki. Nie wierzy w zabobony, ale nie może odpowiedzieć na pytanie dlaczego właśnie nie pamięta tego jedynego wydarzenia w tym czasie, gdy zaczął wchodzić w polskie środowisko, w nieznaną mu kulturę, zwyczaje i obyczaje? Po latach, które upłynęły od wesela można przypuszczać, znając jego przywiązanie do władzy ludowej, że Wiesiek po wypiciu kilku kolejek zaczął śpiewać piosenki radzieckie. Nie wiadomo jak tam było, ale musiało coś być, skoro taką pamięć jak u Wieśka wytrącono z orbity.

W cywilu, w swojej wsi Wiesiek pełnił obowiązki starszego drużby dwukrotnie. Były tam jednak zupełnie inne warunki: znani ludzie, mniej więcej znane obyczaje i sama ceremonia ślubu cerkiewnego. Janek wprawdzie nie brał ślubu kościelnego, ale i cywilnego Wiesiek nie pamięta.

Wrócił do koszar podpity i trochę zmęczony i natychmiast położył się spać, chociaż bez nadziei godziwego wypoczynku, gdyż za pół godziny miała być pobudka. Zdrzemnął się dwie godziny bo aż do pół do ósmej – na sygnał „pobudka" nie zareagował, a kolegom żal było budzić. Słyszeli, że dopiero co zasnął.

Nie zdążył się ogolić jak przybiegł goniec z batalionu i zameldował dyżurnemu kompanii, że Wiesiek ma natychmiast stawić się u dowódcy batalionu, kapitana Woźniczki. Wiesiek wiedział o co chodzi, ponieważ kot zawsze wie gdy szperkę zeżre. No, doigrałem się, – pomyślał glancując kamasze, – jeszcze nieznany dowódca batalionu od razu pozna mnie z tej drugiej strony i zapamięta. Dlaczego nie rozmawia ze mną dowódca kompanii tylko od razu sam dowódca batalionu? Skąd on wie, że mnie nie było przez kilkanaście godzin w koszarach? A może tu chodzi o coś innego? Nie, na pewno dowódca kompanii przed odejściem doniósł, aby mnie poskromić, a dowódca batalionu chętnie zgodził się na rozmowę, aby u progu nowego stanowiska uczyć podwładnych moresu. Jest okazja aby pokazać, że się jest dowódcą batalionu a nie mięczakiem. Zresztą – myślał dosyć trzeźwo, jak na podpitego, – może to i lepiej, że wzywa mnie sam dowódca. Zobaczy mnie osobiście i wyciągnie własne wnioski, a nie na podstawie czyjegoś raportu. Raport, a szczególnie w takich wypadkach, zawsze jest naciągany, żeby pochlebić jednemu, bo dowódca, a upokorzyć drugiego, bo podwładny. Wiesiek już słyszał, jak się robi z igły widły i bał się ingerencji osób trzecich, szczególnie lizusów, których nie brak w każdym środowisku i są gotowi na wszystko, aby tylko awansować. W wojsku lizusostwo jest najbardziej niebezpieczne dla ludzi porządnych, otwartych, gdyż „zagrażają" wszelkiego typu hipokrytom. A to powoduje, iż szukają oni dziury w całym, byle tylko coś spreparować i „ładnie" ująć w raporcie. Na pod-

stawie fałszywych donosów ginęli nie tacy jak Wiesiek, bo marszałkowie, generałowie i inni.

Szedł „dezerter" jak na Sąd Ostateczny, ale co zrobisz, skoro taki los spotyka każdego lekkoducha. Dobrze, że zdążyłem się ogolić i umyć – myślał. – Szkoda tylko, że w ustach jakoś zasycha, język niby u krowy, choć ty bierz i trawę wcinaj. Zameldował się energicznie i bez zająknięcia, chociaż z wysiłkiem, bo język nie był odpowiednio naoliwiony i wartko się nie obracał. Dowódca siedział za biurkiem niezbyt wykwintnym, jak na owe czasy przystało i był zły lub udanie złym okiem taksował kaprala, a ten nie wiedział co ma dalej robić. Kapitan uderzył dłonią po blacie biurka i jednocześnie zapytał: – Gdzie byliście przez prawie dobę i dlaczego nikomu nie powiedzieliście o planowanym oddaleniu się z koszar? Wszyscy szukają pana kaprala, a jego nie ma! Wiesiek wyprężył ciało jeszcze bardziej na baczność i powiedział, że był na weselu swego kolegi, Jana Chmielewskiego...

– A co to za generał z tego Jana Chmielewskiego – krzyknął zaczerwieniony ze złości dowódca, że Wiesiek nie wymienił stopnia przed nazwiskiem.

– To kapral, szef uzbrojenia...

– Wiem! – przerwał kapitan. – Już dużo wiem o takich jak wy.

Pokrzyczał kapitan na Wieśka, pouświadamiał go i obiecał: – Jeżeli jeszcze raz coś podobnego będzie miało miejsce, to wtedy nie liczcie na żadną pobłażliwość z mojej strony. Będziecie żałować, że was matka narodziła. Wiesiek, co prawda, nie był „otrzaskany" w niuansach języka polskiego, ale dobrze rozumiał, że tym razem zostanie pomiłowany, gdyż dowódca użył zwrotu „jeżeli jeszcze raz..." Wiedział, że o teraz może być spokojny, bo skończyło się tylko na strachu. Usłyszał „Odmaszerować!" Wykonał w tył zwrot i poszedł na śniadanie, ucieszony, że pobył na weselu i nie został ukarany.

Dowódca plutonu był zły na swego zastępcę, bo chyba też „oberwał", ale nikt niczym Wieśkowi nie docinał, tak jakby się go bano lub czekano aż gdzieś wpadnie z kretesem, a on ze zdwojoną energią wziął się za wojsko i znowu życie popłynęło normalnym, kosza-

rowym trybem, pełnym niewygód, trosk i napięć. Ale – jak uważał młody kapral – trybem zaszczytnym i godnym pozazdroszczenia przez tych, którzy udają, że jakoby nie zależało im na sławie wojskowej i choćby na jednym dniu pomaszerowania w mundurze wojskowym, aby liczyło się, iż taki wie co to jest mundur, i sfotografowaniu się w nim na pamiątkę dla przyszłych wnucząt. Nic z tego lebiegi – aby mieć zdjęcie w żołnierskim mundurze, trzeba służyć w wojsku. Żałujcie...

Sprawy Wieśkowej „dezercji" nie postawiono nawet pod osąd zebrania partyjnego, co mu dało do myślenia. – Nikt mi nie dokucza gdyż wszyscy uważają, że nie ma z kim mieć do czynienia czy odwrotnie – mają mnie za równego chłopa? Myśli podobnej treści nawiedzały go częściej, bo często popełniał gafy, za które nie ponosił konsekwencji.

Jako zastępca dowódcy plutonu był zobowiązany stawiać stopnie w dzienniku ocen szkolenia żołnierzy. Zaniedbywał to celowo, ponieważ nie miał rozeznania, jakie oceny mają inne plutony, a wiedział, że coś trzeba fałszować, żeby było w porządku przed przełożonymi, jak to się robiło na strzelnicy za jego rekruckich czasów, gdy nie było ścisłej kontroli. Siedział w rowie przy tarczy żołnierz z zadaniem pokazywania jak jego koledzy trafiają – miał w ręku gwóźdź i patrzył kto do której tarczy celuje. Jeżeli ktoś był równym chłopem a nie trafił do tarczy, to mu przebijał ją gwoździem i strzelec zadanie wykonywał. A jeżeli jakiś cwaniak nie trafiał i siedzący przy tarczach dziury mu nie przebił, to strzelania nie ukończył i ponosił konsekwencje – czołgał się po błocie, jeżeli prowadzący strzelanie sobie tego życzył lub chociaż niósł aż do koszar sprzęt strzelniczy, oblewając się siódmymi potami.

Poza tym, Wiesiek wiedział z własnej, dwuzimowej praktyki w radzieckiej podstawówce, że aby zasłużyć na piątkę, trzeba odpowiedzieć bez zająknięcia na wszystkie pytania postawione przez nauczycielkę. A tu nie był pewny czy żołnierze tak potrafią, a gorszych stopni nie chciał stawiać. Ale gdy został przyparty do muru przez szefa sztabu batalionu, porucznika Zakrzewskiego, aby do tego i te-

go dnia dostarczyć mu zeszyt ocen plutonu, Wiesiek uzupełnił dziennik według własnego widzimisię. Posiedział, ponarozmyślał komu jakie stopnie postawić. Ale że wszystkich chłopaków cenił wysoko i darzył żołnierską lojalnością, więc w rubryce ocen tego przeklętego dziennika powstawiał czwórki i piątki. Gdy zaniósł dziennik do szefa sztabu ten aż jęknął. Ale Wiesiek nie dowiedział się, dlaczego porucznik Zakrzewski jęknął – z radości, że taki dobry pluton czy dlatego, że dziennik został bezczelnie sfałszowany, gdyż szef sztabu nie komentował.

Jest jeszcze jeden zastanawiający fakt w tym wszystkim. Dlaczego szef sztabu batalionu zawsze ze wszystkim zwracał się do Wieśka a nie do jego przełożonych – oficerów? Chyba dlatego, że był zdolnym i posłusznym podoficerem albo ciamajdą, którego można było wszędzie pchnąć bez oporów. A może po prostu porucznik Zakrzewski polubił tego chłopaka z sobie znanych powodów. Dosyć, że Wiesiek to odczuwał i pozostawał dumny, acz nie wiedział jak jest faktycznie. A faktycznie to było tak, że Wiesiek był owszem lubiany, ale i sprawdzany.

Kiedyś się zdarzyło, że zdezerterował żołnierz jednej z kompanii 2 batalionu (nie wiadomo zresztą, czy rzeczywiście była to dezercja). Łącznik z batalionu co tchu przybiegł do dyżurnego kompanii, w której służył Wiesiek i zameldował, że z rozkazu dowódcy batalionu Wiesiek ze swoim plutonem ma natychmiast wyruszyć na poszukiwanie dezertera. Wiesiek piorunem poderwał pluton i ni przypiął ni przyłatał, pobiegł szukać dezertera w okolice stadionu sportowego. Wbiegając na stadion, któryś z żołnierzy zauważył, że jakiś człowiek, prawdopodobnie w wojskowym ubraniu, przesadził ogrodzenie i śmignął w zarośla. Wiesiek dał rozkaz, aby przypuszczalny rejon zarośli okrążyć. Po chwili wyciągnięto za kołnierz dezertera z krzaków i przyprowadzono go dowództwa batalionu. Wiesiek do dzisiaj nie zna prawdy, ale rozkaz wykonał, a w wykonaniu miał dużo szczęścia czy jakiś nieznany mu jeszcze wtedy zwierzęcy instynkt. Dlaczego na przykład nie pobiegł z plutonem na dworzec PKP czy do miasta, skąd dezerter mógł dosyć swobodnie odjechać w wybranym

przez siebie kierunku? Otóż nie, on wiedziony „długim" nosem pobiegł właśnie na stadion. Nie otrzymał za to ani pochwały, ani nagrody. A tak, na wyrost trzeba rzec, że Wiesiek nie miał szczęścia do nagród. Pochwały owszem, miał, ale nagrody pieniężne, jak i kule – nie imały się go. Tym razem nie otrzymał pochwały dlatego, że samowolnie pojechał na ślub Janka.

Dowództwo IV Brygady KBW w Rzeszowie zorganizowało możliwość dokształcania żołnierzy zawodowych i nadterminowych. Kto miał wykształcenie podstawowe mógł ubiegać się o zezwolenie na kształcenie się w szkole średniej, a kto nie miał ten dokształcał się w podstawówce. Wiesiek zrezygnował z uczęszczania do szkoły z plutonem z uwagi na wysoki poziom i zaczął uczęszczać do wieczorowej szkoły podstawowej wspólnie z cywilami. Nie wiedział, do której klasy uczęszcza – kazano mu przychodzić do jakiejś klasy, więc przychodził.

Trwało to jednak krótko, bo jak mówią Rosjanie *choroszewo po niemnożku*, tak i u Wieśka. Nie miał szczęścia do rozkoszy. Wciąż jeszcze trwały walki bratobójcze w zniszczonym i wykrwawionym kraju. Trzeba było wyjeżdżać na tak zwane akcje i wyniszczać wrogów socjalizmu. Wyjeżdżał też pluton szkolny, z którym Wiesiek był najbardziej zżyty, szczególnie z podoficerami – Cichoszem i Mundkiem Domaradzkim. Dowództwo może i chciało stworzyć warunki do nauki całej niedokształconej kadrze, ale faktycznie z tych przywilejów korzystali żołnierze funkcyjni, którzy obijali się przy sztabach. Wiesiek zawsze zazdrościł Tadkowi Bonieckiemu, który zaraz po obiedzie wychodził do miasta z teczką, a więc szedł do szkoły każdego dnia. Natomiast Wiesiek miał zajęć po czubek głowy i nikt nie martwił się, aby go odciążyć, bo wojsko jest wojsko i basta. Trzeba robić to co nakazuje regulamin i czego wymaga dowództwo.

Pewnego popołudnia, zresztą zgodnie z rozkładem zajęć, Wiesiek prowadził ćwiczenia z zakresu musztry. Dzisiaj już nawet nie pamięta, czy radzieckie „w ręce broń" było już wprowadzone do musztry w całym Wojsku Polskim, czy też tylko tu i ówdzie wprowadzano je, jakby samowolnie. Ale marsz pododdziału w szyku zwartym i kara-

biny trzymane w taki sposób, że prawa ręka jednego żołnierza opierała się o bok drugiego, tego z prawej, a bagnet prawie przy uchu żołnierza poprzedniego rzędu, wyglądał na prawdę imponująco, szczególnie wtedy, gdy wojsko było już zgrane.

Wiesiek z plutonem przerabiał właśnie tę musztrę. Nagle wartownik z bramy głównej wrzeszczy „Warta pod broń!" Warta garnizonowa wysypała się przed wartownię, by zgodnie z regulaminem powitać dowódcę brygady pułkownika Edwarda Konińskiego, któremu dowódca warty powinien złożyć meldunek. Pułkownik Koniński wjechał na plac koszarowy swą Skodą i kazał kierowcy, aby zatrzymał się tuż za bramą, a sam poszedł do ustawionej w dwuszereg warty, aby przyjąć raport od jej dowódcy.

Na raban powstały w związku z pojawieniem się dowódcy brygady na placu koszarowym II batalionu Wiesiek zareagował w ten sposób, że zatrzymał pluton, skomenderował go w dwuszereg i czekał co będzie dalej. Ale pułkownik Koniński nie dał mu długo rozmyślać. Przyjął raport dowódcy warty, po czym odwrócił się w kierunku Wieśka i krzyknął: – Kapralu, do mnie! Wiesiek pomyślał: Żeby to szlag trafił, dokąd ja będę podpadał? i pobiegł na spotkanie najwyższego autorytetu brygady z duszą na ramieniu, chociaż nie ze strachu, a ze wstydu przed plutonem. A Koniński krótko: – Kapralu, zróbcie tak jeszcze raz. Oho, pomyślał Wiesiek, dostanę za wprowadzanie obcej musztry w szeregi wojsk KBW lub za to, że ćwiczę żołnierzy po południu. Skąd dowódca brygady ma wiedzieć, że to jest pluton szkolny, który w dzień uczęszcza do szkoły, a po obiedzie wykonuje plan zajęć zgodnie z ich rozkładem?

Ale zebrał się w sobie i wrzasnął: – Pluton na moją komendę, baczność! Na ramię broń! Czwórki w prawo zwrot! Naprzód marsz! Po kilku krokach dał komendę „Spocznij!", by po chwili swoim tubalnym głosem skomenderować „W ręce..." – pluton przybił podkutymi trzewikami, aż ziemia jęknęła i świst odbił się pomiędzy blokami koszar, a Wiesiek odliczył: raz, dwa, trzy i krzyknął „...broń!" Na tę ostrą i wyraźną komendę żołnierze jak jeden mąż w tej samej sekundzie rzucili karabiny łożyskami o dłoń lewej ręki tak, że słychać

było tylko jeden stuk. Pluton szedł równiutko, zarówno w rzędach jak i w szeregach.

Po przebyciu około pięćdziesięciu metrów dowódca brygady rozkazał: – Kapralu, zatrzymajcie pluton i zawołajcie waszego dowódcę kompanii! Wiesiek jeszcze bardziej nie wiedział o co chodzi pułkownikowi, ale nie stracił rezonu i nie dryfił. Wiedział, że pomyłek w komenderowaniu nie robił, a więc nie stracił tak zwanej głowy. Zatrzymał pluton jak należy, do dowódcy brygady powiedział „Tak jest!" i pobiegł po dowódcę kompanii, porucznika Woźniaka. Ten również nie wiedział po co ma się zameldować u pułkownika Konińskiego i rzucił „mięsem" z myślą, że chyba znów Wiesiek narozrabiał. Pomaszerował na plac a skruszony Wiesiek za nim. – Obywatelu pułkowniku, porucznik Woźniak mel...

– Dajcie spokój poruczniku, nic mi nie meldujcie, bo i tak większej satysfakcji mi nie dacie niż ten pluton – pokazał ręką w stronę żołnierzy stojących w dwuszeregu. Wiesiek w tym momencie doznał ulgi, bo już gdzieś słyszał, że słowo „satysfakcja" nie jest słowem złym, jest to coś takiego jak uciecha. A dowódca ciągnął dalej: – Cały pluton otrzymuje ode mnie siedem dni urlopu.

– A dowódca plutonu też? – zapytał porucznik Woźniak.

– A jakże! – krzyknął uśmiechnięty pułkownik. – Pluton bez takiego dowódcy, to nie pełny pluton.

Usłyszawszy słowa dowódcy o komendę „Rozejść się!", żołnierze biegli do bloku tak energicznie, że ziemia drżała bardziej niż podczas marszu krokiem defiladowym. Każdy z nich chciał czym prędzej znaleźć się w pociągu wiozącym go do rodzinnych miejsc, gdzie na każdego ktoś czekał. Niejedna matka w czasie obrządku żywego inwentarza, chodząc po podwórzu wszędzie widziała ślady syna, jego psoty, płacz i chichot z byle czego, jego nieposłuszeństwo i uległość czasami. Teraz było jej wszystko najdroższe, najmilsze, więc skrycie, po cichu popłakiwała, ukradkiem wycierając łzy szorstką dłonią...

Wiesiek jechał do nikogo, bo chociaż miał ciotki, wujków i krewnych pół wsi, był przekonany, że nikt na niego nie czeka i nikt po nim nie wyciera łez. Chyba, że może ukradkiem któraś z koleżanek,

ale kto to wie. Te siedem dni urlopu, które mu wpadły niby ślepej kurze ziarnko, lepiej spędziłby w Rzeszowie na zwiedzaniu miasta i odwiedzaniu kin, bez martwienia się o wikt i opierunek, niż w tak zwanej rodzinnej wsi. Ale co zrobić, skoro chłopak był i pozostał domatorem. Najdroższą mu była jego brutalna, nieprzychylna podlaska wioska, w której kaleczono go fizycznie i moralnie. A może mu chodziło nie o ludzi a o możliwość pobyć jeszcze raz w tych miejscach, które zdeptał swymi wiecznie bosymi i ciągle pokaleczonymi stopami, oblał obficie łzami i krwią? A może na przekór wszystkiemu i wszystkim jechał do wsi, aby pokazać ziomkom, że jest kimś, bo kapralem KBW, a tego jeszcze nikt nie osiągnął jak wieś wsią. Nie wiadomo więc, dlaczego Wiesiek jechał „do domu", ale jechał i cieszył się. Zresztą to był już drugi urlop w tym roku. Pierwszy był wiosną w nagrodę za dobrą służbę, a ten przypadkowo, ale też w nagrodę i to aż od dowódcy brygady. Czasami i biedakowi szczęście sprzyja, ale on szczęścia wykorzystać nie umie, bo doń nie przyzwyczajony.

We wsi odczuł inną atmosferę niż ta, którą „cieszył się" za pierwszym razem. Teraz koleżanki i koledzy byli bardziej przychylni i jakoś gościnniejsi. Ale i Wiesiek też był inny. Wiosną był ubrany w drelichowy mundur, a teraz mundur z gabardyny, dopasowany do figury, nowiutki płaszcz oficerski, trzewiki oficerskie i czapka też nowa. Po prostu niebywałe, co władza ludowa uczyniła z wczorajszego łazarza, który wykonywał katorżniczą pracę, a nigdy nie miał pod dostatkiem nawet chleba powszedniego. Zarówno krewni, jak i obcy wynajmowali go do wykonywania najcięższych robót, nie zawsze dając w zamian okraszoną skwarkami lub zabieloną mlekiem zupę. A gdy wygłodniały pożerał tę pochlobkę ze zwierzęcym apetytem – bali się, żeby za dużo nie zżarł. Wiesiek teraz wie, że ten, niby nieskąpy naród mierzył miską zupy wieczorem całodzienną harówkę. Najlepszą ze wszystkich harówek była traczka, bo wtedy, ze względu na obecność trzeciej osoby cudzej, gospodarz dawał obiad i kolację. Śniadania nie, bo przecież „wiadomo, że każdy śniadanie je u siebie". Owszem, ale nie każdy. I oni o tym wiedzieli, że Wieśkowi nikt nie dał śniadania, ale też nie dawali, bo by dzień traczki za drogo ich kosztował.

A przecież traczowało się darmo, tylko za obiad. Kolację już jadł każdy u siebie, ale nie Wiesiek.

Teraz, kiedy Wiesiek paraduje w prawdziwym mundurze, prawdziwego wojska, to i ludzie go darmo nie tylko karmią, ale i obficie poją. Teraz już za darmo nie żałują słoniny i kiełbasy, a jeszcze wczoraj woleliby nie dać nic za cały dzień nadludzkiego wysiłku. Nadludzkiego, bo bez względu na pogodę i o głodnym pysku.

Wiesiek nawet zląkł się takiej rozpusty, jaka go spotkała w rodzinnej wsi i nosił się z zamiarem pójścia do spowiedzi. Ale dnie jakoś tak szybko ulatywały, że zanim wytrzeźwiał już trzeba było wracać do jednostki. On i bez spowiedzi był pewien przychylności Niebios, ponieważ do cerkwi parafialnej przekazał złoty, albo tylko pozłocony krzyż, który znalazł obok cerkwi w jednej ze spalonych bieszczadzkich wiosek. Wiesiek zawsze lubił być usprawiedliwiony, nie patrząc na to jakiego rodzaju czyn miał podlegać usprawiedliwieniu oraz niejednokrotnie wyzierał z niego lekkoduch, prowadząc do zguby, ale często mu się „upiekało". Częściej jednak „obrywał". Koło Lublina w Majdanie pobiła go jakaś banda, która rabowała pociąg. Wiesiek jednego z niej nazwał był bandytą, kiedy ten krzyknął na niego, aby schował tę stalinowska mordę, gdy Wiesiek wyjrzał z okna wagonu.

* * *

Po powrocie do jednostki dowiedział się, iż ktoś zaproponował, aby został szefem kompanii. Według rozmówcy odbyła się nawet dyskusja na posiedzeniu sztabu batalionu i wszyscy oficerowie byli za tym. Szczególnie kandydaturę Wieśka popierał kapitan Odrowąż-Petrykowski, co Wieśka dziwiło, ponieważ był on dowódcą innej kompanii i chyba znał go najmniej. Jednak jakoś udawało się Wieśkowi tak lawirować, aby nie objąć stanowiska „matki" kompanii, choćby przez pewien czas, gdyż po prostu bał się, że nie poradzi sobie. Pozostawał nadal w plutonie szkolnym i już z nim uczęszczał do szkoły, bo taka była wola dowództwa. Z powszechnej musiał zrezygnować i basta.

Widocznie jednak komuś o podobnej doli zależało na tym, aby Wiesiek piął się w górę i nie chciał dać za wygraną – z nastaniem zimy wysłano go na kurs szefów kompanii do Warszawy. Nie wiadomo, czy w ten sposób nie wyrządzono chłopcu niedźwiedziej przysługi, odrywając go od zajęć szkolnych. Ale dowództwo batalionu było chyba przekonane, że na stanowisku szefa kompanii Wiesiek poradzi sobie i bez matury.

Krzywda jak każda

Na kurs szefów kompanii Wiesiek pojechał nawet z zadowoleniem – bo do Warszawy i do Korpusu. Ale z drugiej strony obawiał się, że nie poradzi sobie. Poza tym szkoda mu było pozostawionego plutonu, z którym zżył się jak z rodzonymi braćmi.

W Korpusie spotkał samych starych repów zahartowanych w służbie wojskowej, nawet byłych frontowców. Spostrzegł, że są sami sierżanci i starsi sierżanci, ani jednego, poza nim, kaprala a nawet plutonowego. Poczuł się jeszcze gorzej, bo za okres służby zdążył poznać tych zarozumiałych zupaków. Ale co zrobisz, gdy komuś zachciało się zrobić z niego szefa kompanii?

Komendantem kursu był kapitan Sałter lub Sauter. Trudno zgadnąć, gdyż jego podpisu Wiesiek nigdy nie widział, a ze słyszenia nie można wywnioskować, gdyż mało kto z Polaków wymawia „ł". Był to cherlawy i przygarbiony oficer, o szczupłej twarzy z zapadniętymi policzkami, cienkim nosie i bystrymi, rozbieganymi oczkami. Trudno mówić o jego wykształceniu, ale sądząc z zachowania nie posiadał więcej niż podstawówkę. Lat miał około pięćdziesięciu, lecz pomarszczona twarz, niska, szczupła i przygarbiona postać wskazywały na więcej. Był dosyć sympatyczny i można by go szanować, gdyby nie okazał się tchórzem w stosunku do niektórych sierżantów, a zwykłym chamem w stosunku do Wieśka.

Kurs szefów kompanii – jego ranga i obecność starszych podoficerów podziałały na Wieśka przygnębiająco i tylko jego ambicja zdobycia wiedzy nie pozwoliła zrezygnować i wrócić do Rzeszowa. Nie

myślał o niczym innym jak tylko o tym, aby w miarę dobrze wypaść w końcowym efekcie i nie przynieść wstydu dowództwu batalionu i swoim kolegom z plutonu szkolnego. Nie być gorszym od innych zarozumialców, a dlaczego by nie lepszym?

Zajęcia rozpoczynały się o godzinie ósmej w sali wykładowej tego samego budynku, w którym kursanci spali, ale wszystkie inne obowiązki wynikające z regulaminu były wykonywane poza blokiem. Służby wartowniczej na zewnątrz kursanci nie pełnili, jedynie dyżurnych kursu. Obowiązek dyżurnego przypadł Wieśkowi zaraz po przyjeździe. Wykonał go jak to się zwykło mówić w wojsku – z honorem, gdyż czynił to z przejęciem, żeby dobrze się spisać.

Upłynął tydzień czy dwa, gdy przyszła kolej objęcia dyżuru przez starszego sierżanta o rudych włosach, białych oczach i sinym, garbatym nosie. W czasie zajęć własnych w godzinach popołudniowych ten typowy pijaczyna wszedł do pomieszczenia zajętego przez kursantów i zaczął kogoś szukać oczyma. Kiedy trafił na Wieśka odezwał się: – O, wy, chodźcie ze mną.

– Dokąd? – zapytał Wiesiek. Wówczas sierżant wrzasnął:

– Co was to obchodzi? daję rozkaz i musicie iść!

– Ja odrabiam lekcje! – próbował bronić się Wiesiek. – I nigdzie nie pójdę. Tym bardziej, że dopiero niedawno miałem służbę...

– Dobra, k... twoja mać – zaperzył się i jeszcze bardziej spurpurowiał sinonosy kursant. – Nie idź, ale pożałujesz tego.

Na tym sprzeczka się skończyła, gdyż Wiesiek nie zareagował na obelgi sierżanta i wydawałoby się, iż wszystko idzie swoją koleją. Wiesiek nie był pamiętliwy, więc myślał, że i jemu upiecze się niesubordynacja wobec kolegi-kursanta. Oho, sierżant o pijackiej fizjonomii nie dał za wygraną.

Na drugi dzień po śniadaniu słuchacze kursu, zamiast zasiąść na ławkach w sali wykładowej, musieli wyjść na zbiórkę na plac koszarowy. Komendant kursu coś tam moralizatorsko bełkotał, ale nikt nic nie rozumiał i nie wiadomo było o co mu idzie i czego chce. Aby podeprzeć swą bzdurną tyradę powołał się na autorytet Lenina i wielkiego wodza narodów Stalina. Po czym już z „czystym" sumieniem

wywołał Wieśka z szeregu i postawił twarzą przed frontem ustawionych w dwuszereg kursantów, mówiąc: – Oto kursant, który wczoraj nie usłuchał służbowego i nie wykonał jego rozkazu! Mało tego, że w okresie walki z bandytyzmem wykazał niesubordynację i tchórzostwo, to jeszcze groził sierżantowi. Za takie postępowanie chuligana plamiącego godność żołnierza osławionego Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego powinien stanąć przed sądem wojskowym. A już szczytem wszystkiego jest to, że też wczoraj jednemu z was zginęło wieczne pióro i można dać głowę, że to on je ukradł!

– To daj – powiedział Wiesiek półgłosem.

– Co tam mamroczecie? Wstąpić do szeregu. I zapamiętajcie, że do jednostki wrócicie z odpowiednią charakterystyką.

Było mroźno, ale Wieśkowi zrobiło gorąco przed szeregami kolegów, z których wielu uwierzyło Sałterowi i solidaryzowało się z nim. Ale co można było zrobić? Trzeba było przełknąć jeszcze jedną gorzką pigułę i milczeć, gdyż zgodnie ze znanym już wojsku powiedzeniem „daj człowieka, a paragraf zawsze się znajdzie".

Po skończonym kursie Wiesiek powrócił do Rzeszowa na łono tego samego II batalionu, lecz nie objął stanowiska szefa kompanii, bo nikt mu tego nie zaproponował, ani nie rozkazał, by je objął. Trzeba domniemywać, że groźbę o złej charakterystyce Sałter spełnił. Tak więc „odcisku" na opinii młodego chłopaka dokonał stary, nieobiektywny oficer, który ohydny donos pijaczyny w mundurze osławionego KBW przyjął za fakt i w dodatku przyszył mu kradzież wiecznego pióra, chociaż nikt takiej kradzieży nie zgłaszał. Gdyby sierżanta i kapitana nurtowało sumienie za pokrzywdzenie kogoś, to by porozmawiali z nim i wyjaśnili sytuację w czasie trwania kursu. Ale to właśnie oni okazali się butnymi tchórzami, którzy gotowi byli na wszystko, aby tylko „zachować twarz".

Jak się później okazało, kapitan Sałter w całym Korpusie był znany z tego, że w czasie inspekcji sanitarnej w kuchni podległej mu kompanii zjadł robaka. A było to tak. Organ inspekcyjny, kontrolując pododdział Sałtera zaproponował, aby ten pokazał kuchnię żołnierską, by sprawdzić co żołnierze jedzą i jaki jest jej stan sanitarny. Ktoś

z ekipy kontrolującej zagarnął chochlą gotującą się w kotle strawę i z przerażeniem krzyknął: – Panowie, zobaczcie jaki robal!

Najszybszy do chochli był Sałter. Podskoczył i też krzyknął: „Gdzie robak, jaki robak? To skwarka!" Po czym chwycił robaka niby pacuka w palce i... zjadł. Był śmiech, zdziwienie i złość, ale nie było dowodu do sporządzenia protokołu i ukaranie winnego, chociaż nie koniecznie Sałtera. Powstał taki harmider, że nikomu nie przyszło do głowy, aby poszukać w kotle następnego okazu i nie dopuścić do zjedzenia go przez kapitana. Trudno bowiem sobie wyobrazić, aby jeden jedyny ugotowany w żołnierskiej zupie robak trafił od razu do chochli kontrolującego. Było ich więcej, ale cwaniak zawsze ma szczęście, więc i tym razem się udało.

A Wiesiek? Wiesiek, chociaż sławy na feralnym kursie nie zdobył, to jednak zdobył trochę nowej wiedzy. I to nie tylko wiedzy dotyczącej sprawowania „władzy" w kompanii, ale i tej, życiowej, potrzebnej wszędzie, chociaż nie zawsze zgodnej z posiadanym przez Wieśka charakterem. On nigdy nie lubił być dokuczliwym i nie pchał się tam, gdzie go nie proszono. Na kursie zaś uczono, że człowiek, a szczególnie szef kompanii powinien być przedsiębiorczy i nieustępliwy w dążeniu do osiągnięcia celu. Szef kompanii nigdy nie będzie dobrym szefem jeżeli będzie unosił się ambicją, albo będzie zgadzał się ze wszystkim co przełożony powie. To Wiesiek zapamiętał na całe życie.

Powrót na łono swojego batalionu ucieszył Wieśka, ale brak rozkazu o mianowaniu go na szefa kompanii martwił i zawstydzał. Jest przecież ambitnym człowiekiem i nie w smak mu było po zakończeniu kursu szefów kompanii pozostać na stanowisku zastępcy dowódcy plutonu, chociaż wiedział, że to jest to, co mu pomoże trochę się podkształcić. Przypuszczał i chyba słusznie, że w jego karierze wojskowej tamę postawił Sałter, pisząc złą, krzywdzącą charakterystykę. Bardzo to przebolał, czując się nieszczęśliwym i bezradnym w pokonywaniu ludzkiej złośliwości i nieprawości. Nikomu o niczym nie mówił, przed nikim się nie skarżył, a więc nie ulżył swej doli zwierzając się przed kimś wyrozumiałym. Chodził przy-

gnębiony i nie wierzył, że kiedykolwiek to brzemię usunie się z jego psychiki. Żył niby dusza bez ciała, a swe obowiązki wykonywał chyba tylko siłą woli człowieka nie widzącego perspektywy życiowej.

Aż pewnego razu w sobotę któryś z kolegów zaproponował mu pójście na zabawę do pewnego, najgorszego chyba lokalu albo świetlicy przy ulicy Lwowskiej. W sali huczało jak w ulu, w powietrzu wisiał odór alkoholu i dymu tytoniowego, przez którego siną zasłonę ledwie przenikało światło żarówek. W tej atmosferze Wiesiek poczuł się tak jak u siebie, we wsi. Zrobiło mu się jakoś tak swojsko, ale tylko na chwilę, bo zaraz przypomniał sobie, że to nie jego wieś, nie jego koledzy i nie jego czas na zabawę. Zaczął rozglądać się po sali, gdzie stały grupkami lub siedziały przy stolikach dziewczęta. W pewnej chwili jego wzrok zatrzymał się, chociaż jak wydawało mu się, dyskretnie, na pewnej blondynce siedzącej przy stoliku w towarzystwie koleżanki. Ona też nań spojrzała lecz tylko przelotnie, jak na każdego i dalej prowadziła rozmowę z przyjaciółką.

Gdy orkiestra zaczęła grać „Co godzinę zegar bije, w nocy i wśród dnia, dziwne serce w sobie kryje, dziwne serce ma..." Wiesiek podszedł do niej i poprosił do tańca. Po przyjrzeniu się z bliska Wiesiek stwierdził, że jego partnerka jest wśród najładniejszych dziewcząt, jeżeli nie najładniejsza. Przyjemnie mu było trzymać ją w ramionach, bo i pachniało od niej przyjemnie. Było widać, że oboje umieją tańczyć, chociaż na dzisiejszy gust można byłoby mieć do Wieśka pretensję, że tańczył w czapce. No cóż, każdy zachowywał się tak jak potrafił. Na pewno każdy chciałby zachowywać się salonowo albo chociaż z jaką taką ogładą, ale skąd ją miał brać, gdy wielu z tańczących nie widziało nawet filmu, w którym pokazywano by salony. A on jeszcze się bał, aby mu czapki nie skradziono. Wiesiek nie wiedział skąd pochodzi jego partnerka, ale przypuszczał, że z miasta, gdyż wskazywał na to sposób w jaki tańczyła i ubiór. To go właśnie krępowało.

Po skończonym „kawałku" Wiesiek zdobył się na to, by ją odprowadzić do stolika, przy którym siedziała i zapytać, czy może poprosić o następny taniec. Dziewczyna z uśmiechem obiecała i ni to żar-

tami, ni to na serio ostrzegła: – Niech pan uważa, bo mam wielu adoratorów.

Dziewczyna Wieśkowi spodobała się, ale żeby być w porządku wobec jej adoratorów i nie wywołać jakiegoś bałaganu, w jednym z kolejnych tańców zapytał rubasznie: – Dlaczego pani bawi się tylko ze mną mając tylu adoratorów? Partnerka przyjrzała mu się uważnie, przytuliła i powiedziała: – Owszem, są tu tacy co się zalecają, ale niech się pan nie boi – mnie z nimi nic nie łączy. A po drugie, ja chcę dzisiaj bawić się z panem. Po czym zaproponowała, aby się nie bawić w ceregiele i mówić sobie ty, podając swoje imię. Wiesiek też przyznał się jak się nazywa i już bawili się bardziej swobodnie.

Po zabawie odprowadził dziewczynę do domu. No, za mocno powiedziane, bo nie do domu a pod dom. Przy pożegnaniu nie dał za wygraną i zapytał, czy jeszcze się zobaczą. Dziewczyna zgodziła się i w ten sposób zawiązała się najpierw przyjaźń, a później, jak to często bywa, miłość. Rzadkie były spotkania ze względu na wojskowe, nie normowane obowiązki Wieśka, ale były. Dziewczyna mieszkała tylko z matką w przystosowanej do tego celu piwnicy. Lokum było gustowne, chociaż skromnie urządzone i to dawało poczucie przytulności, ale Wiesiek był tam zaledwie kilka razy.

Ciesząc się ładną, chociaż biedną dziewczyną, napisał do wujecznego brata list, żeby przyjechał i ją zobaczył. Paweł, który dopiero w 1947 roku powrócił z Armii Radzieckiej, na zaproszenie Wieśka przyjechał do Rzeszowa na urlop. Zaszli razem do dziewczyny, która przygotowała zjeść i wypić, gdyż została uprzedzona o przyjściu. Paweł pochwalił gust wujecznego brata, zabawił kilka dni w Rzeszowie, po czym pożyczył od niego czternaście tysięcy i pojechał do domu szukać swojego szczęścia, bo miał już 25 lat. Odjeżdżając powiedział: – Jeżeli nie myślisz wziąć za żonę którejś ze swoich stron, to żeń się. I pojechał i już go nic nie obchodziło, jak i nigdy nikogo z jego rodziny nie obchodziło jak Wiesiek żyje i kto, i kiedy go łupcuje.

Wiesiek może ożeniłby się z dziewczyną, która go kochała i była gotowa na wszystko, ale niespodziewany wyjazd do Szkoły Oficerskiej KBW w Legnicy pomieszał mu szyki, a może dopomógł

mu uciec od ożenku z dziewczyną, która nie była mu przeznaczona. Nigdy do niej nie napisał. Teraz męczy go sumienie, że zachował się jak tchórz. Po latach spotkał kolegę z tamtych lat szczenięcych, który przypomniał mu wspólne wypady na zabawy. Okazało się, że pamiętał i tę dziewczynę. – Umarła – powiedział sącząc przez słomkę napój firmowy w jednym z lokali Kołobrzegu, gdzie obaj przyjaciele z wojska spotkali się w sanatorium.

Awans

Nadszedł maj, a wraz z nim czwarta rocznica powstania Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wiesiek do rocznic przywiązywał tylko tyle wagi ile one znaczyły z punktu widzenia trochę lepszego żarcia lub wolniejszego czasu, gdy żołnierz mógł otrzymać przepustkę do miasta na parę godzin, z którymi przeważnie nie wiedział co robić, bo nie posiadał pieniędzy by zajść do knajpy, nie mówiąc już o spędzeniu czasu w lepszym lokalu na dancingu. Odwiedził jakieś kino i biegł do koszar, żeby nie spóźnić się na kolację i apel wieczorny. Przeważnie wracał godzinę-dwie przed upływem terminu przepustki, gdyż nie mając zegarka nie wiedział, która godzina. A spóźnienie z przepustki zaraz wykorzystywano do gnębienia człowieka tak, że chętnych do ich otrzymywania w niektórych jednostkach było coraz mniej, bo każdy żołnierz chciał bezkolizyjnie odbyć swą służbę, którą diabeł wymyślił i szczęśliwie wrócić do domu.

Ale po pierwsze, tych rocznic w jego służbie było mało, bo w terenie ich nie obchodzono, a te, które były w koszarach, tak dawały w tyłek, jak mówią żołnierze, że wolałby ich nie mieć, ponieważ zawsze bardzo bolały nogi od nauki marszu, bo nic tylko przybij i przybij i noga wyżej i mocniej! A po drugie kapral, któremu przez ten ostatni rok nie najlepiej się wiodło, nie spodziewał się otrzymać jakiegoś awansu czy odznaczenia w związku z tą, wcale nie okrągłą rocznicą. Przepustki go nie interesowały, gdyż już doszedł do tego, że do miasta miał prawo wychodzić kiedy chciał. Z tym tylko, że trzeba było powiedzieć przełożonemu.

Po śniadaniu zarządzono zbiórkę całego batalionu na placu alarmowym – w pełnej gali oficerowie i z bronią żołnierze. Ogólnie podniosły nastrój udzielił się też Wieśkowi, wszak święto jest świętem. Tę samą ceremonię wykonywano w całej brygadzie, jak zresztą na pewno, w całym Korpusie, ale jak mówią Rosjanie – *pobatalionno*. Wiesiek ze swoim plutonem stał na czele kompanii porucznika Woźniaka. Pogoda była na medal, żołnierze dowcipkowali i wróżyli klepiąc się nawzajem po naramiennikach jednym lub dwoma palcami, co miało oznaczać starszego strzelca albo kaprala. Możliwe, że niejeden z nich czegoś się spodziewał, ale Wiesiek – niczego. Zazdrościł im tylko wesołego nastroju.

Po dokonaniu takich formalności jak przyjęcie raportu przez dowódcę batalionu od poszczególnych dowódców kompanii, odegranie hymnu narodowego, szef sztabu batalionu porucznik Zakrzewski odczytał rozkaz awansowy. Było kilku sierżantów, kilku starszych sierżantów i masa kaprali. Wieśka, co było dla niego niespodzianką, awansowano do stopnia plutonowego. Od tego momentu jego los zmienił się diametralnie i jak można przypuszczać, nie za bardzo zaszkodziła mu zła charakterystyka wystawiona przez kapitana Sałtera, czy Sautera, na kursie szefów kompanii. Tym bardziej, że o czym jak o czym, ale o tym, co miało się stać za parę dni, Wiesiek nawet w najskrytszych marzeniach nie pomyślał i nie śniło mu się w najprzyjemniejszych snach, jeżeli je kiedykolwiek śnił.

Wiesiek umoczył usta w kawie, zaciągnął się dymem z papierosa i zapytał, czy nie jestem zmęczony jego błahymi opowieściami, po czym ciągnął dalej.

– Z miastem już trochę się zżyłem, a z losem pogodziłem się do reszty, bo innego wyjścia nie widziałem, – stwierdził ze smutkiem. Do pogodzenia się z losem „zmusił” go poznany rok wcześniej starszy sierżant Armii Radzieckiej Mit’ka Pugin, który pełnił służbę w plutonie łączności w Rzeszowie. Po zapoznaniu się z radzieckimi łącznościowcami, Wiesiek czasami zachodził do nich w wolnej chwili, by posłuchać radzieckich piosenek, których był fanatykiem i gry na gitarze. A na gitarze grał właśnie Mit’ka Pugin. Grał cudownie,

jak wydawało się młodemu kapralowi. Siadali obaj na parapecie okna – jeden w polskim, drugi w radzieckim mundurze, otoczeni wiankiem kolegów w *gimnastiorkach* i słuchali melodii wydobywanych ze strun gitary palcami Mit'ki. A już zupełnie na brzmienie hawajskiej gitary przechodziła jego *siemistrunnaja*, gdy Mit'ka kazał Wieśkowi targać za gryf gitary, a sam artystycznie przebierał jedną ręką, a struny szarpał drugą... Było tego za mało, aby zaspokoić spragnioną wolności duszę. Mit'ka mówił, że dla ojczyzny trzeba poświęcić nawet życie, a nie tylko wolny czas, nawet w oddali od domu. On wojował na froncie, posiada masę odznaczeń i jeszcze nie wie, kiedy zostanie zwolniony do cywila i ujrzy starą matkę, rodzinę. – A *ty u siebia* – dodawał jakby z wyrzutem. bardzo wszyscy tęsknili za domem, chociaż wiedzieli już, że wojna w ich życiu nic nie zmieniła na lepsze. czasem w rozmowie słyszało się takie wypowiedzi: *nadieli pagony, dadut i zagony*. Okazało się jednak, że pagony przywrócono jeszcze w 1943 roku, a kołchozy pozostały. Do nich nawet zmęczeni wojną i wytęsknieni żołnierze niechętnie chcieli wracać. Czasami trawestowali pieśń *Ordiena, miedali nam strana wruczyła...* na: *Ordiena, miedali nam niczewo nie dali, eto znajet każdyj z nas bojec, my gotowy k boju towariszcz Woroszyłow, my gotowy k boju – Stalin nasz otiec*. Za tego rodzaju przeinaczenia nie jeden mógł beknąć, ale nie wytrzymywali i tam-siam swoje zdanie wyrażali. Oni najlepiej wiedzieli, jak żyją ich rodziny w kołchozach, ale gdyby ponownie powstała groźba agresji na ich ojczyznę, bez wahania poszliby kłaść swe młode głowy w jej obronie. Taki to już naród.

Zmiana losu

I oto nastąpiła zmiana losu, o której tylko co Wiesiek mówił. Polegało to na tym, że po awansie na plutonowego, któregoś dnia został on wezwany do wydziału kadr brygady. Miał się zameldować u kapitana Zapałowicza. Wiesiek był zaskoczony i zdziwiony tym faktem, ponieważ niczego dobrego od nikogo nie oczekiwał i nie spodziewał się, że jeszcze coś może go spotkać przyjemniejszego od

awansu na plutonowego. Może chcą mnie przenieść do innej jednostki lub zwolnić z wojska – myślał idąc ulicami miasta.

Odnalazł pokój, w którym urzędował kapitan Zapałowicz, ten przystojny i życzliwy żołnierzom oficer. Wiesiek znał go i z przyjemnością zameldował się zgodnie z regulaminem, acz bez żadnej tremy. Kapitan podał rękę plutonowemu i z leciutkim uśmiechem zaproponował, aby ten usiadł. Wiesiek posłusznie zajął miejsce na krześle i w duchu przygotowywał się na wszelką ewentualność, żeby nie być czymś zaskoczonym. Tym bardziej, że chłopak zawsze miał sobie coś do zarzucenia będąc wychowanym w warunkach spartańskich, a może lepiej rzec – w warunkach chamskich, gdzie z nikim i z niczym się nie liczono, a kogoś delikatniejszego, nie dorównującego innym w dziele rozbojów uważano za ciamajdę.

Po krótkiej chwili milczenia kapitan poważnie zapytał: – Czy wiecie, kolego plutonowy, po co was wezwałem?

– Nie wiem, obywatelu kapitanie.

– Tak przypuszczałem, że się nie domyślacie, bo i skąd wam mogło coś podobnego przyjść do głowy. Postanowiliśmy, to znaczy dowództwo brygady postanowiło skierować was do szkoły oficerskiej KBW w Legnicy. Co wy na to?

– Obywatelu kapitanie, ja nie mogę iść na żadną szkołę, gdyż nie posiadam odpowiedniego wykształcenia – „bronił się" ucieszony plutonowy, podobnie jak niegdyś, w 1939 roku udawał, że się broni przed przyjęciem nowiusieńkiego munduru żołnierskiego w zamian za swój łachman. Rada by dusza do raju, ale grzechy nie puszczają! – myślał wówczas, gdy los zesłał uciekającego przed Niemcami żołnierza polskiego, który zamierzał przeodziać się w cywilne ciuchy i udawać rolnika. I teraz, kiedy spotkał się z ponętną propozycją udania się do szkoły – aż oficerskiej! Boże, jaka radość i jaki smutek i żal, że to zakichane wykształcenie, a raczej jego brak wiąże ręce i ogranicza karierę wojskową. Ale wtedy, mimo „obrony", żołnierz mimo wszystko nakłonił go by oddał ojcowską, podartą marynarkę za jego nową bluzę. To i teraz może coś z tego będzie. Wiesiek sprzeczając się z kapitanem próbował wysondować opinię o sobie.

Chodziło mu przede wszystkim o to, na ile dowództwo brygady jest poinformowane o zajściu w Boguchwale. To nic, że w obronie kolegi ale nigdy mu to nie przyniosło ulgi i zawsze się bał, że ktoś mu to wytknie. A drugie co go niepokoiło to, czy istnieje charakterystyka napisana przez Sałtera. Bzdurna, krzywdząca ale wystawiona i leżąca gdzieś w teczce jak jakiś ropień, który boli i nie daje spokoju na przyszłość. Poza tym Wiesiek miał sporo grzechów na swym sumieniu. Niektórych z tych grzechów bał się, a niektórych się wstydził. Chociażby ten „wybryk" w fabryce porcelany w Boguchwale, czy samowolne oddalenie się na ślub Janka Chmielewskiego. Już te dwa przykłady mogły Wieśka zdyskwalifikować jako porządnego podoficera. Tego się wstydził. Natomiast bał się i wstydził jednocześnie tego, że jeszcze może być pociągnięty do odpowiedzialności za uderzenie w twarz oficera WOP, który w Baligrodzie zaatakował go nocą po pijanemu z pistoletem. Wiesiek zabrał mu pistolet i raportówkę, wytrzaskał po gębie i na tym pozostało. Na drugi dzień pistolet oddał, ale oficer obiecał zemstę. A więc Wiesiek i tego się bał. Nie bał się i nie miał powodu wstydzić się faktu zaistniałego jeszcze w Bieszczadach, gdy z zasadzki uciekł oddział milicjantów, którzy wspólnie z plutonem dowodzonym przez Wieśka mieli schwytać grupę żołnierzy UPA przedzierających się do Czechosłowacji. Ale ktoś mógł zwalić na niego winę zmniejszając swoją i odpowiednio spreparowany dokument też mógł się plątać po aktach osobowych plutonowego i szkodzić. Wtedy jeszcze opinie nie były jawne i nikt z żołnierzy nie wiedział co kto o nich pisze lub mówi. Wszystko wyłaziło na wierzch wtedy, gdy człowiek stawał przed sądem lub awansował na wyższe stanowisko.

Wiesiek mógł przypuszczać, że jeżeli proponują mu wyjazd do szkoły oficerskiej, to znaczy, że cieszy się dobrą opinią wśród przełożonych, mimo że wiedzą o jego występkach, albo nie wiedzą. Myśleć o tym, że nie wiedzą byłoby naiwnością, bo przecież ostatnie dwa fakty z II batalionu miały miejsce przed kilku miesiącami. Z kursu szefów kompanii też opinia świeża, chociaż niezawiniona. Mógł jedynie domniemywać, że w opinię Sałtera nie uwierzono, a dwie pozostałe darowano. Nikomu o tym nie wspomina, bo się wstydził.

Rzeczywiście – z rozmowy Wieśka z kapitanem Zapałowiczem okazało się, że Wiesiek jest dobrze notowanym podoficerem w brygadzie, jego postawa żołnierska i moralna kwalifikuje go na przyszłego oficera, mimo że jeszcze nie posiada odpowiedniego wykształcenia.

– Ale będzie posiadać! – przekonywał kapitan i ciągnął: – Do nas sami przychodzą i proszą, aby kierować do szkoły, którą wam proponujemy, ale my nie każdego chcemy, chociaż wiemy, iż potrzebne wykształcenie posiada.

Wiesiek rósł z radości i nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu, że oto on, wczorajszy sierota przez wszystkich pomiatany i poniewierany, bity i obrażany, jest kierowany do szkoły oficerskiej! Po prostu dech zapierało z radości. Kapitan zapytał: – No co, kolego, dogadaliśmy się?

– Tak jest, obywatelu kapitanie! – wypalił Wiesiek.

– No to się cieszę. czekajcie na zawiadomienie, a teraz możecie odejść – rzekł kapitan, podając Wieśkowi rękę na pożegnanie.

Nadszedł dzień pożegnania brygady. Wiesiek był przyzwyczajony jeszcze w cywilu, że nikt się nim nie zajmuje. Wiedział o tym i było mu przykro, ale co miał robić? Tymczasem tu, w IV Brygadzie KBW doznał iście rodzicielskiego ciepła. A było mu ono cieplejsze niż może być w rzeczywistości, ponieważ wyolbrzymiał je sobie, nie wiedząc jakie faktycznie jest ciepło rodzicielskie. Otóż zawołano Wieśka do dowództwa brygady, gdzie przyjął go sam szef sztabu pułkownik Baranowski, w obecności kapitana Zapałowicza. W czasie rozmowy pułkownik powiedział Wieśkowi, że zarówno dowództwo batalionu, jak i brygady jest z niego zadowolone i spodziewa się, że ich zaufania nie zawiedzie.

– Mamy nadzieję – ciągnął pułkownik – że po skończeniu szkoły powrócicie do naszej brygady, a my chętnie was przyjmiemy. Wstał z krzesła, uścisnął plutonowemu rękę, życząc powodzenia w nauce i dodał: – Władza ludowa stworzyła wam tę możliwość, a więc wykorzystajcie. A teraz zameldujcie się u dowódcy kompanii i powiedzcie mu, aby napisał na was charakterystykę i oddał szefowi sztabu batalionu, celem zatwierdzenia.

Wiesiek nie wiedział jaka była pierwsza charakterystyka sporządzona przez dowódcę kompanii, gdyż nie został zapoznany z jej treścią, ale musiała być nie taka, jakiej sobie życzył szef sztabu batalionu porucznik Zakrzewski, gdyż nakazał jej poprawienie., o czym Wiesiek dowiedział się od pisarza.

Plutonowy naprędce rozliczył się z szefem kompanii z posiadanego wyposażenia, poprosił swego najlepszego przyjaciela Mundka Domaradzkiego, aby jego prywatną walizkę z książkami i innym skromnym „majątkiem" przesłał do ciotki pod wskazany adres w Orli, a sam z zalakowaną kopertą i rozkazem wyjazdu oraz oficerską torbą polową udał się na dworzec PKP aby jechać do Legnicy.

Szkoda mu było zostawiać kolegów i już jako-tako obżyte miasto, ale co zrobić, gdy taki jest los każdego wojskowego. Jadąc pociągiem Rzeszów – Wrocław ponownie rozmyślał nad swym losem i zgadywał co go czeka w przyszłości. Był dumny, że od pułkownika Konińskiego otrzymał jesienią siedem dni urlopu za piękną musztrę, a teraz pożegnał go aż szef sztabu brygady. Nie każdemu poświęca się tyle uwagi, bo i czasu by nie starczyło, a tu patrzcie!

Ciarki mu po skórze przeszły, gdy w swych rozmyślaniach przypomniał macki wszędobylskich oficerów Informacji. Był pewny, że i w jego plutonie jest „ucho", albo i kilka, przy pomocy których penetrowano nie tylko synów „kułaków" czy innych niepewnych. Informacja interesowała się wszystkimi i wszystkim, a jednak nie wszystko wiedziała, jeżeli człowiek sam siebie jej nie naprowadził będąc „klepą". Oficer informacyjny trzeciego batalionu z Sanoka na przykład wiedział, że Wiesiek strzelał z automatu pod oknem żony oficera WOP-u w Cisnej, ale nie wiedział, że w okolicach Cisnej, w głębokim jarze w szuwarach Wiesiek dostrzegł mgiełkę ni to pary ni to dymu, wydobywającego się ze stoku góry. Pluton szedł tym wąwozem przeskakując z wykrotu na wykrot i już ze zmęczenia czekał tylko, aby wejść gdzieś na równiejsze miejsce i odpocząć. W wąwozie też można było usiąść lecz istniała obawa, że nieprzyjaciel może łatwo zaatakować.

Wiesiek szedł z tyłu plutonu i ujrzawszy tę mgiełkę nie posłał tam nikogo celem wyjaśnienia jego spostrzeżenia, a poszedł osobiście.

Gdy zbliżył się na odległość kilku metrów widział wyraźne wydobywanie się dymu z pieczary zastawionej drzwiami. Przez swoją lekkomyślność nawet nie zdjął z pleców pepeszki, aby zaatakować kogoś tam obecnego. Ot, po prostu, jak do sąsiada – odepchnął drzwi i ujrzał dwoje staruszków, którzy ledwie stali na nogach, gdyż bodaj dusza uciekła im do pięt na widok wchodzącego żołnierza. Na pewno byli przekonani, że w tej dziupli nikt ich nie znajdzie. Tymczasem rumor odsuwanych drzwi i... „gość".

– Szczo wy tut robyte? – zapytał Wiesiek.

– Niczoho, my tut tilky schowałyś pered waszymy, koły nasze seło wywozyły...

– A seło wasze stojiť, czy zhoriło?

– Synok, zhoriło do tła, a ludej wywezły na zachid i deś na piwnicz.

– A szczo wy tut jiste?

– Ot, majemo trochy suchariw, ta chto szczo prynese...

Wiesiek wiedział, że od czasu akcji „Wisła" upłynęło zbyt wiele czasu, aby mieli jeszcze zabrane ze sobą suchary. Nie było wątpliwości, że im żywność dostarczają ludzie z oddziałów UPA, którzy jeszcze tu i ówdzie zostali.

– A ne bojitesia, szczo was tut chto-nebuď zdybaje i potiahne?

– Bojimosia, ałe ne znajemo szczo robyty, my wże duże stariji.

– Poky szczo – robite tak, szczob ne buło wydno dymu z waszoji nory.

– Oj, spasybi tobi dytia, nechaj tebe Hospoď błahosłowyť, szczob tebe kuli ne brały, szczob ty zdorowyj wernuwsia dodomu, jakszczo ty nas załyszajesz żywymy – tuląc do siebie kaprala płakała staruszka.

Wiesiek nie miał przy sobie nawet chleba, bo niósł go ktoś inny, aby dać im. Przykro mu się zrobiło. Wyplątał się z nory i poplótł się w ślad za plutonem, mając niejako pretensję do staruszki za błogosławieństwo „żeby cię kule nie imały", gdy on przez cały czas myśli tylko o tym, żeby zginąć, bo nie ma gdzie do domu wracać. Nie ma domu. W domu jego ojca panoszy się macocha i to jeszcze gorsza niż ta

z najstraszniejszej bajki... I to panoszy się z synem Iwanem, który niby dwie krople wody podobny do Graba, męża wiejskiej akuszerki z Dubicz Cerkiewnych. Tamten nawet swojej wnuczce zrobił dziecko.

W szkole i na poligonie

Po przyjeździe do Legnicy Wiesiek, zgodnie z poleceniem zameldował się w kancelarii komendanta szkoły pułkownika Hańskiego i oddał kopertę. Tam też polecono mu zameldować się u dowódcy kompanii, nazwisko którego brzmiało znajomo. Wyszedł ze sztabu i spotkał porucznika Żubra, którego znał jeszcze z Katowic, z okresu unitarnego, gdy dzisiejszy porucznik odbywał jako podchorąży praktykę z dowodzenia plutonem. O ile Wiesiek uwielbiał swego dowódcę plutonu, też praktykanta, podchorążego Przybyszewskiego, o tyle nienawidził i bał się podchorążego Żubra. Ale ujrzawszy go po tylu latach, już jako stary podoficer, ucieszył się, że spotkał kogoś znajomego i podbiegł do niego: – Obywatelu poruczniku, melduje swoje przybycie na szkołę oficerską i do kompanii obywatela porucznika. Czy obywatel porucznik mnie poznaje?

Radość ze spotkania raptem prysła, gdy Wiesiek zobaczył ten sam wzrok porucznika i ten sam cyniczny wyraz twarzy z jednoczesnym byczym spojrzeniem: – Nie przypominam sobie kogoś takiego".

Wieśkowi zrobiło się „łyso", więc nie podążał za idącym po schodach porucznikiem, a odwrócił się i poszedł szukać miejsca zakwaterowania kompanii, do której został przydzielony. Odechciało mu się i szkoły, gdy zobaczył komu będzie podlegać. Wiesiek jest optymistą i bezgranicznie wierzy ludziom i ich rozumom, dobroci. Nastroje, lepsze czy gorsze, przychodzą i odchodzą, a ludzie pozostają. To nic – myślał, – że mnie tak obcesowo potraktował porucznik Żuber, ale to wcale nie znaczy, że jest on złym człowiekiem, przecież ja go też nie lubię, a ucieszyłem się, gdy ujrzałem. Ale chyba nic dobrego tu nie będzie. Czort go wie. Już pierwsze wrażenie nasunęło nieco cienia na szczęście doznane w Rzeszowie podczas rozmowy z kadrowcem i szefem sztabu brygady.

Aklimatyzacja chętnych na podchorążych trwała krótko, gdyż niemal z kopyta rozpoczęło się intensywne szkolenie. Była masa teorii, ponieważ program studiów był napięty do ostateczności, czyli do granic wytrzymałości, jak mówili niektórzy oficerowie. Chciano realizować przeładowany program szkolenia nie patrząc na możliwości i zdrowie nie tylko podchorążych ale i kadry. Oprócz dziedziny ogólnowojskowej i polityki, która każdemu gardłem wychodziła albo lulała do snu po zajęciach polowych, uczono też savoir vivre-u. Oficer, – mówiono – nie tylko powinien umieć dowodzić wojskiem, ale i zachować się w każdym towarzystwie. Powinien umieć posługiwać się nożem, widelcem i nie mlaskać opychając się schabem, jak też nie siorbać zajadając kapuśniak. Niewiele jednak, zdaniem Wieśka taka nauka daje, gdyż i dzisiaj, już starzy pułkownicy siorbią, mlaskają i łyżki po kawie oblizują, chociaż zasady dobrego wychowania na pewno znają.

Praktyki też nie skąpiono. Mężczyźni, szczególnie z dzisiejszych wojsk desantowych, na pewno nie zdziwią się tym, ale nieobytym z wojskowością piecuchom włosy powinny się zjeżyć. Otóż w Szkole Oficerskiej KBW, w innych też, nie szczędzono wysiłku, aby przygotować przyszłych oficerów na wszelkie trudy i niewygody współczesnego pola walki. Wyciskano wszystkie soki, aby oficer umiał dobrze biegać, czołgać się, strzelać z każdej broni piechoty, pokonywać forsownym marszem bez wytchnienia dziesiątki kilometrów, wyśmienicie ćwiczył na przyrządach gimnastycznych i miał opanowaną do perfekcji walkę wręcz oraz umiał dowodzić podległym sobie pododdziałem wojska. Nie uczono tylko, co logicznie trzeba uznać za ogromną pomyłkę, taktycznego wycofywania się z pola walki, jeżeli zajdzie tego nieodzowna konieczność, nawet dla przegrupowania jednostek.

Tak więc, po śniadaniu podchorążowie musieli pokonywać 800-metrowy pas szturmowy, który teraz nazywają torem przeszkód. Potem forsowny marsz trzydzieści kilometrów w pełnym rynsztunku, dwa kilometry biegu, strzelanie do tarcz na ocenę. Wreszcie krótki odpoczynek i marsz powrotny do koszar ze śpiewem. Po powrocie

z takich ćwiczeń jeść się nie chce, nie tylko co. Ale niechby ktoś spróbował położyć się do łóżka nie umyty. Jutro musiałby stanąć do karnego raportu.

Po miesiącu zaprawy w koszarach, gdzie rzekomo odpoczywali starzy, wytyrani po terenie podoficerowie, wywieziono podchorążych na poligon do Strachowa, gdzieś w pobliżu Bolesławca. Tu nawet było fajniej niż w mieście, w betonowych blokach, bo w lesie i w namiotach, chociaż warunki stworzono frontowe. Oczywiście na niby, bo chociaż było ciężko, ale jedzenie było normalne i nad głowami nie pękały szrapnele, ani nie sypały się bomby z nieba.

Na poligonie dużo czasu poświęcono szermierce i zawodom sportowym. W takiej dziedzinie jak na przykład boks Wiesiek był zupełnym dyletantem. Może nawet nigdy nie widział walki bokserskiej, bo niby gdzie miał ją widzieć, pochodząc z zabitej wioski, a w wojsku nie był ani razu na stadionie, bo w górach i w lasach takowych nie ma. Pewnego razu zorganizowano arenę i kompania, w której Wiesiek pobierał naukę stanęła do bokserskich eliminacji celem wyłonienia najlepszych i doprowadzenia do mistrzostw o puchar komendanta szkoły czy wojewody. Chłopcy boksowali lepiej lub gorzej, ale wiedzieli co to takiego boks. Natomiast Wiesiek, jak się rzekło, nigdy nie oglądał ringu. Wiedział, że coś podobnego istnieje, ponieważ w 2 batalionie IV brygady służył kapral Kosek, zwany Mońkiem ze względu na semickie rysy twarzy, który był bokserem. Pewnego razu w świetlicy Moniek pokazał próbę swoich umiejętności tak, że wielu kaprali padało niby podciętych kosą. I to wszystko co Wiesiek wiedział o boksie. Gdy w kompanijnych eliminacjach przyszła kolej na niego i zaczęto mu zakładać rękawice bokserskie, a w przeciwległym rogu postawiono kolegę, jak się mu wydawało, wyższego i potężniejszego, Wiesiek postanowił nie dać za wygraną.

Gdy tylko ktoś krzyknął „Ring wolny!" rzucił się na przeciwnika i zaczął okładać go pięściami nie patrząc na jakieś tam reguły i prawie na oślep. Otwierał tylko jedno lub drugie oko, aby widzieć gdzie jest rywal. Wokół ringu huczał śmiech i doping. Przeciwnik zasłaniał się jak mógł rękawicami i odwracał się do Wieśka tyłem, bo widocz-

nie już bolała go głowa, a sędziowie pokładając się ze śmiechu nie przerywali walki. gdy przeciwnikowi pociekła krew z nosa rozbitego cepami Wieśka, wyskoczył za liny i chodu a rozpalony Wiesiek za nim. Był śmiech i gwizdy. Wiesiek patrząc spode łba na wszystkich, skonfundowany zdjął rękawice i oddalił się z miejsca ogólnej radochy. Od tego momentu rękawic bokserskich nie miał nie tylko na rękach ale i w rękach.

Cóż, nie każdy musi być bokserem. Z innych przedmiotów Wiesiek nie miał stopnia niższego od czwórki, zaś jego predyspozycje fizyczne i psychiczne dawały gwarancję na dobrego oficera, gdyż był energiczny, chociaż bardzo skromny i zahukany, posiadał czysty tubalny głos i lubował się w wydawaniu komend. Tę ostatnią cechę przełożeni chyba szybko w nim dostrzegli, chociaż nic o tym nie wiedział. Wyszło to na jaw, gdy z wizytacją obozu miał przyjechać dowódca Korpusu generał Konrad Świetlik.

Dowódca batalionu kapitan Mazur, stary, doświadczony oficer z frontu, polecił aby postawić Wieśka na miejscu aktualnego dyżurnego obozu, bo gdy ten zamelduje to generał odniesie wrażenie, że to jakaś zwykła, podrzędna jednostka, a nie Szkoła Oficerska KBW. Odnaleziono więc Wieśka i mianowano dyżurnym obozu na czas wizyty dowódcy Korpusu. W obozie, jak zwykle przed taką wizytą, krzątanina dopinająca wszystko na ostatni guzik, a Wiesiek, założywszy opaskę na rękaw lewego ramienia przechadzał się alejkami pomiędzy namiotami i wyczekiwał, kiedy ten generał przyjedzie. Miał tremę, bo jeszcze nigdy nie meldował się generałowi, ale co i jak ma mówić – wyuczył się na pamięć.

Wreszcie doczekał się – idzie generał w otoczeniu oficerów, a przecież nie widział żadnych samochodów wjeżdżających na teren obozu. Generał sadzi szybkimi krokami wprost na Wieśka, a ten jak nie wrzaśnie „Baczność!", aż echo poszło po lesie i sprężystym krokiem rusza generałowi na przeciw. Po wysłuchaniu meldunku stojąc na baczność, generał z błąkającym się na ustach uśmieszkiem zapytał:

– Czy w waszej szkole wszyscy są tacy hałaśliwi, że aż o mało mi bębenki w uszach nie nawaliły?

– Tak jest, obywatelu generale, ja jestem najcichszy ze wszystkich – zażartował plutonowy bez uśmiechu na twarzy, ale ciesząc się w duchu, że przyszła mu do głowy taka myśl.

– To was specjalnie postawiono na dyżur, aby ktoś inny mnie nie ogłuszył?

– Tak jest obywatelu generale, – potwierdził Wiesiek, zadowolony z takiego obrotu sprawy bo generał podał mu rękę, poklepał po ramieniu i zapytał skąd pochodzi. Na dalszą rozmowę nie miał czasu, bo oto na donośny głos dyżurnego ze swego biura-namiotu wyszedł dowódca batalionu i szybko maszerował generałowi na spotkanie, z przygotowanym przez siebie meldunkiem. Kapitan Mazur mówił ciszej niż jego podwładny:

– Obywatelu generale, dowódca batalionu, kapitan Mazur melduje...

– Czołem, towarzyszu kapitanie, przerwał mu generał. – Pokażcie mi swoje gospodarstwo, a wy, plutonowy, dajcie spocznij bo podchorążowie po kolana zapadną w ziemię.

Po odjeździe generała Wieśkowy dyżur skończył się, ale nie kazano mu wracać do ćwiczeń na polu, tylko pozostać do pomocy dla szefa kompanii. Przed przyjęciem dyżuru Wiesiek pozostawił karabin na stojaku i już do wieczora go nie ruszał. Gdy po obiedzie kompania czyściła broń, on z szefem kompanii, starszym sierżantem Dzikowskim, poniósł bieliznę do pralni. Pralnia znajdowała się na terenie 14 Brygady Artylerii Ciężkiej, dość daleko od ich obozu, ale z braku własnej trzeba było korzystać z domówionej. Póki zdali bieliznę, póki wypili w kantynie po butelce jakiegoś soku z wodą, bo upał był niemiłosierny, póki przywlekli się spoceni do namiotów, to i wieczór nastał. Po kolacji zajęcia własne, ale nie czyszczenie broni lecz wkuwanie przedmiotów objętych programem. Potem capstrzyk i spać. Letni dzień jest długi, nawet wytrwałemu żołnierzowi nogi zabolą i w krzyżach poczuje zmęczenie. Tym bardziej tego dnia, gdy było tyle wrażeń i piekielny upał. W każdym razie Wiesiek swej broni nie wyczyścił. owszem, myślał o tym, że w czasie ćwiczeń karabin mógł się zakurzyć, ale darował sobie jego czyszczenie – może nikt nie zauważy.

Następnego dnia kompania starych podchorążych, zgodnie z rozkładem zajęć udała się na ostre strzelanie z automatów PPSz. Strzelanie odbywało się w pełnym rynsztunku i w maskach przeciwgazowych co stwarzało dodatkowe utrudnienie. Karabiny były ustawione w kozły, a na liniach ogniowych leżały automaty. Na linii wyjściowej każdy z podchorążych otrzymywał 9 nabojów i miał wszystkie pociski wpakować w tarczę przedstawiającą pół człowieka. Czas nieograniczony, odległość sto metrów, strzelać można zarówno seriami jak i pojedynczo. Dziewięć trafień – ocena bardzo dobra.

Właśnie w tym dniu ćwiczącą kompanię postanowił wizytować zastępca komendanta szkoły do spraw wyszkolenia bojowego major Romanowski. Gdy Wiesiek ułożył się na stanowisku strzeleckim i gwiżdżąc nosem, bo jakoś niewyraźnie czuł się po wczorajszej zimnej wodzie wypitej w kantynie 14 BAC, próbował jak najcelniej trafiać strzałami pojedynczymi w sam środek tarczy, major położył się przy nim i obserwował jak ten daje sobie radę. Trwało to bardzo krótko, bo Wiesiek „załatwił" tarczę szybko i bez pudła. Major klepnął go po plecach i poszedł do stojących kozłów. Brał karabin po karabinie i sprawdzał ich czystość.

Po zakończeniu strzelania podchorążowie, którzy strzelali na bardzo dobrze i dobrze cieszyli się, bowiem wiedzieli, że za tego rodzaju osiągnięcie mogą otrzymać pochwałę w wieczornym rozkazie dowódcy kompanii, a ci, którzy strzelali mniej udanie czuli się trochę nieswojo. Major Romanowski zarządził zbiórkę kompanii, co dla nikogo nie było zaskoczeniem, gdyż wiedzieli, że przełożony wyższego szczebla chce podsumować wyniki ćwiczeń. Podchorążowie szybko, jakby na pokaz, ustawili się w dwuszeregu, po czym zamarli w bezruchu, bo oto zastępca komendanta szkoły otworzył usta. A major Romanowski bez żadnego wstępu zapytał i jednocześnie rozkazał:
– Czyj to karabin diewiendiesiont szest, wystąp!

Winowajcy krew buchnęła do głowy, skronie zaczęły intensywnie pulsować, a w gardle wyschło. Ale mysiej nory w pobliżu nie było, a biec do lasu jakoś nie przyszło mu do głowy. Chociaż ten manewr też byłby głupi, bo naraziłby na pośmiewisko, a tak tylko na

wstyd wobec dowództwa i na ewentualne współczucie kolegów. Był to Wiesiek, który wystąpił z szeregu i czekał co z nim major zrobi. Tymczasem major Romanowski, na modną wówczas nutę o wartości żołnierza, a szczególnie oficera, zaczął z patosem:

– Jak pokazało dzisiejsze strzelanie, podchorąży Wiesiek strzela dobrze, a nawet bardzo dobrze, chociaż wątpliwe, czy mu zawsze tak się udaje, za to karabin ma brudny. I co z tego, że siedząc w okopie mógłby zgładzić nawet jednym strzałem wrogiego żołnierza, gdy jego karabin nie wystrzeli z tej prostej przyczyny, że nie jest wyczyszczony. To nie żołnierz a podchorąży, jeszcze nawet mający ochotę być oficerem, który nie dba o powierzoną sobie przez Ojczyznę broń. Ja mu tego nie daruję! Dowódca kompanii, w rozkazie wieczornym udzielić podchorążemu *surowu naganu*. Wieśkowi rozkazał wstąpić do szeregu a dowódcy kompanii, ale nie był to porucznik Żuber lecz jego zastępca, polecił dalej prowadzić zajęcia. Sam zaś pojechał do Legnicy.

Wieczorem wielu podchorążych otrzymało pochwałę a Wiesiek surową czyli ostrą naganę. Też miałby pochwałę ale ten przeklęty karabin, którego numer pamięta do dziś, przekreślił taką możliwość. Major nawet nie okazał wspaniałomyślności i nie sprowadził faktów do zera: wystrzelałeś piątkę, ale jednocześnie miałeś brudny karabin, więc nie zostaniesz ukarany ale nie będziesz też wyróżniony. Z tym Wiesiek chętnie by się zgodził, bo dyscyplina jest dyscypliną i inaczej być nie mogło. Ale zaraz aż *surowu naganu*?

Życie, jak wszędzie na poligonach toczyło się a może pędziło swoją koleją, życie w kraju – swoją, a jeszcze inne, te tak zwane podziemne jeszcze innymi drogami. Z tym tylko, że jak mówiono na zajęciach polityczno-wychowawczych, krecia robota różnych wrogich grup i grupek, którym niedawno odebrano broń, popieranych przez ośrodki zagraniczne, w dużej mierze paraliżowała tę normalną, z dużym wysiłkiem i entuzjazmem podjętą pracę odbudowy i przebudowy zrujnowanego kraju z jego pokapitalistycznym, w dodatku zniszczonym wojną przemysłem i takimż rolnictwem. Bieda w kraju aż piszczała, ale ludzie, ci prości obywatele, którzy uwierzyli w socjalizm, dniami i nocami wytężali swe siły nie pyta-

jąc ile im za to ktoś zapłaci – za miskę zupy. A wroga reakcja czyniła wszystko, aby uniemożliwić władzy ludowej szybsze zbudowanie oczekiwanego, tak zwanego lepszego jutra, do którego swą cegiełkę dokładał realizowany wówczas Plan Trzyletni. Do istnienia takiej sytuacji, oprócz zamaskowanego wrogiego podziemia, walnie przyczyniał się oficjalnie działający i oddziaływujący na szerokie rzesze społeczeństwa kler katolicki.

W Szkole Oficerskiej KBW w czasie apeli porannych i wieczornych trzeba było obowiązkowo śpiewać Rotę, ale już nie było obowiązku udziału w modlitwie. Była przyjęta następująca zasada, chyba uzgodniona na wszystkich szczeblach, że w czasie apelu dyżurny kompanii lub jej szef komenderował: „Do Roty!" Wówczas żołnierze zdejmowali nakrycia głów i przyjmując postawę zasadniczą śpiewali. Po odśpiewaniu Roty padała komenda „Rozejść się!" Kto nie chciał stawać do modlitwy odchodził na stronę, a dla reszty znowu padała komenda „Do modlitwy!"

Z tego należy wnosić, że nawet w szkole tak komunistycznej nikogo nie dyskryminowano za to, że się modli, ani za to, że się nie modli. Chociaż zgodnie z prawdą trzeba powiedzieć i to, że tolerancja tolerancją, a laicyzacja następował bardzo szybko. Powodowało ten proces chyba to, że wykładowcami byli prawdziwi komuniści albo udający komunistów-ateistów, którzy dążyli do wpojenia przyszłym oficerom ideologii wymyślonej przez Marksa, a siłą i głodem wbijanej do głów przez „wodza narodów". Oprócz tego, świadomość oficerów i nie tylko, kształtowały patriotyczne piosenki wojskowe, które pokazywały fakty historyczne w nowej perspektywie. W tym okresie w wojskach KBW bardzo popularna i lubiana była pieśń:

Wara od Odry, od Nysy wara,
Od naszych granic precz!
Ziemia to polska, piastowska stara.
Zachód to nasza rzecz.
Nie papież nam Wybrzeże dał,
Ni Śląsk biskupów był.

Ziemię tę żołnierz polski krwią zlał,
Na niej praojciec żył...

Poza tym, nie sposób było uniknąć kontaktów z żołnierzami radzieckimi stacjonującymi w Legnicy, którzy u jednych wzbudzali ciekawość, u innych wrogość, jeżeli chodzi o ludność cywilną. Natomiast nie było tej wrogości wobec nich u słuchaczy Szkoły Oficerskiej KBW. Może i był ktoś pojedynczy wrogo ustosunkowany, ale bał się ujawniać swe poglądy. Większość na pewno sympatyzowała z czerwonoarmistami, którzy byli skorzy do pomocy w różnych sprawach i darzyli Polaków sympatią.

Dlatego też sposób ich ćwiczeń, marszu i dyscypliny przenikał niejako w szeregi polskich jednostek wojskowych. A szczególnie szybko przenikały ładne i melodyjne marszowe piosenki radzieckie. Na przykład bardzo szybko „przylgnęła" do słuchaczy piosenka „Artylerzyści", którą wykonywali w dwóch językach:

Gorit w sierdcach u nas lubow k ziemle rodimoj.
My w smiertnyj boj idiom za czest' strany.
Pyłajut goroda ochwaczenyje dymom,
Griemit w siedych lesach surowyj bog wojny.
Artilleristy, Stalin dał prikaz.
Artilleristy, zowiot otczyzna nas.
Iz mnogich tysiacz batariej za slozy naszich
Matieriej, za naszu rodinu „Agoń! Agoń!"
Niech słyszy przyjaciółka i matuś kochana.
Niech słyszy cały mój rodzinny dom
Jak gniecie wroga dziś stalowy nasz huragan,
Jak z polskich armat wali się na wroga grom!
Artilleristy, Stalin dał prikaz.
Artilleristy, zowiot otczyzna nas.
Iz mnogich tysiacz batariej za slozy naszich
Matieriej, za naszu rodinu „Agoń! Agoń!"
Nadejdzie dzień zwycięstwa i koniec pochodów,

Zanim wrócimy do wiosek swych i miast.
Na cześć ojczyzny swej i cześć swego narodu,
Radosny salut damy het, z milionów gwiazd!
Artilleristy...

Tak było w wielu sprawach wśród młodzieży wojskowej. Zresztą, nie mniejszy był entuzjazm i wśród młodzieży cywilnej, a to drażniło wielu, choćby z tego względu, że wczorajsze ciemne masy zdobywają wykształcenie i zajmują eksponowane i różne inne stanowiska w administracji, wojsku i wszędzie w Odrodzonej Polsce, która jest w dodatku zaprzyjaźniona ze Związkiem Radzieckim, gdzie narody „śpią" każdy z każdą i jedzą z jednego kotła. Nie, do tego dopuścić nie można, aby i w Polsce tak było...

Cud lubelski

Pewnego letniego, bodaj sierpniowego dnia batalion jak zwykle zajmował się ćwiczeniami polowymi. Kompania, w której służył Wiesiek, miała akurat zajęcia polityczno-wychowawcze. Do żołnierzy siedzących w ceniu drzew podszedł nieznajomy oficer i coś cicho powiedział prowadzącemu zajęcia. Odszedł ze sto metrów i usiadł na pniu, a prowadzący szkolenie wyznaczył po nazwisku kilku podchorążych, którzy zgłosić się do tego oficera na rozmowę, w tym też Wieśka. Teraz wiadomo, że był to oficer informacyjny i w ten sposób odbywał spotkanie z informatorem, którego kamuflował wołając na rozmowę kilku innych. Wiesiek był tym zaskoczony, bo kolejny raz myślał, że wpadł. Ale rozmowa była tego typu: skąd pochodzicie, co robiliście w cywilu, z jakiej jednostki przyszliście na szkołę i tak dalej, aby wypełnić trochę czasu.

Nagle obok lasu przemknął gazik wiozący oficera. Czyżby znów diabli nadali generała? – pomyślał Wiesiek. Gazik mknął do grupy ćwiczącej musztrę i tak gwałtownie zahamował przez nimi, że aż zapiszczały opony, a spod kół wydobyły się kłęby kurzu. Z samochodu wyskoczył siwy pułkownik z mnóstwem baretek na mundurze, co

świadczyło, że był żołnierzem frontowym i od razu skierował się do oficera prowadzącego ćwiczenia. Chyba poprosił go o przerwanie zajęć, gdyż za chwilę rozległ się sygnał „Zbiórka!"

Gdy batalion z jakimś złym przeczuciem uformował się w nakazanym szyku i podchorążowie zamarli w oczekiwaniu na wiadomość, pułkownik, blady i ze łzami w oczach wykrztusił:

– Towarzysze podchorążowie, reakcyjne podziemie uważa, że mało krzywd i bólu wyrządziło ojczyźnie, która dopiero co zaczęła dźwigać się z ruin i zgliszcz wojennych. Nasza Ojczyzna, Polska Demokratyczna zaczęła z entuzjazmem, chociaż i z przeszkodami odbudowywać się i budować nowe zakłady przemysłowe, jakich nie mieliśmy dotychczas, trasę W-Z w Warszawie i wiele obiektów z rodziny przemysłu ciężkiego! Nasz rząd dąży do tego, aby jak najszybciej polepszyć byt swych obywateli, żeby przestało brakować chleba i do chleba. Tymczasem kler katolicki widząc, że rząd komunistyczny ma posłuch w narodzie i wziął się nie tylko za odbudowę, ale i przebudowę kraju, jego stolicy i innych miast oraz rolnictwa, postanowił zorganizować kolejny „cud", aby w ten sposób oderwać chłopstwo od piętrzących się prac polowych. Na ten, pożal się Boże, „cud" walą ludzie z całej Polski i nikt nie może temu zapobiec. Przeto, w imieniu dowództwa Korpusu zwracam się do was o wzięcie udziału w przywróceniu ładu i porządku w Lublinie. Już rozmawiałem z komendantem szkoły, wyjedziecie jeszcze dzisiaj.

Krótko przemówił frontowy oficer, wskoczył do oczekującego nań gazika i pomknął w sobie tylko znanym kierunku. Rzeczywiście, jeszcze tego samego dnia załadowano podchorążych do samochodów ciężarowych i powieziono do Wrocławia, gdzie zakwaterowano ich na noc w jakichś koszarach, gdzie w materacach roiło się od pluskiew. Noc przeszła więc na walce z tymi śmierdzielami, choć też stworzeniami Bożymi, a raniutko załadowano ich do pociągu i powieziono do Lublina „na cud".

Dotarli tam wieczorem i pieszo, ponieważ w celu uniknięcia zainteresowania zagranicznych korespondentów ruchami jednostek wojskowych, szkołę wysadzono na jakiejś podlubelskiej stacyj-

ce. Przybyłe wojsko od razu zostało podporządkowane dowódcy III Brygady KBW w Lublinie i otrzymało zadanie wychodzenia siłami plutonów na drogi wiodące do miasta, celem prowadzenia rozmów z zorganizowanymi grupami pielgrzymkowymi prącymi na Lublin. Proszono, aby odstąpiły od uczestnictwa w zorganizowanym cudzie, tłumacząc, że jest to wroga działalność kleru rzymskokatolickiego przeciw władzy ludowej. Wyjaśniano, że nie ma żadnego cudu takiego jak sobie wyobrażają. – Jest to celowa robota aby was odciągnąć od żniw i tym samym zniweczyć zbiory zbóż z waszych pól, a co za tym idzie – doprowadzić kraj do klęski głodowej.

Takie też zadanie postawiono przed słuchaczami szkoły w Legnicy, wiedząc, że wielu z nich brało udział w akcji agitacyjnej przed referendum czerwcowym w 1946 roku i w wyborach do Sejmu Ustawodawczego. Wielu z nich jeździło po wsiach z pogadankami politycznymi, co odniosło pozytywny skutek, ponieważ ludność zaczęła nabierać zaufania do władzy ludowej i zdawać broń. Ba, nawet w wyniku tych rozmów „leśni" zaczęli się ujawniać.

Szkołę podzielono na plutony i hajda agitować napotkanych pielgrzymów, aby opamiętali się i wrócili do normalnego życia, do żniw. Przy spotkaniu z plutonem pielgrzymka zatrzymywała się i słuchała o co tym komunistycznym wojakom chodzi. Gdy tylko mówiący podawał w wątpliwość istnienie cudu sfingowanego przez wojujący kler katolicki dla takiego i owego celu, przywódcy pielgrzymek od razu wzniecali raban, że komuniści zabrali im Boga i nie dopuszczają, aby ludzie ujrzeli jak Matka Boska płacze nad dolą narodu polskiego. Dalej już nikt nie słuchał niczyjej agitacji ani próśb, prąc zaciekle do przodu. Zdawało się, że gdyby to nie wojsko, a oni mieli broń palną, to by zrobili z żołnierzy miazgę i zaliczyli na chwałę Boską. Owszem, były sporadyczne wypadki, że ludzie usłuchali żołnierskich wyjaśnień i czy to ze strachu, czy może wskutek wywołanego żołnierką perswazją poczucia obowiązku wobec samych siebie i swoich rodzin, aby nie pozostały głodne zimą po zmarnowaniu zboża na pniu, wracali do pociągów i jechali z powrotem.

Ale większość nie słuchała nikogo i nie dała się „zwieść", tylko z pieśniami religijnymi i łzami w oczach gorączkowo śpieszyła, aby jak najszybciej dotrzeć do katedry i czołgając się wśród szpalerów księży i kleryków z workami na pieniądze, zobaczyć przez chwilę „płaczącą" Matkę Boską. Przez chwilę tylko, gdyż te szpalery duchowieństwa i kleryków ciągle ponaglały: „Szybciej się posuwać bo inni też chcą zobaczyć!" I pełzł naród na kolanach niby powolna czarna rzeka wyznaczonym korytem, wkładając do worków może ostatni grosz, a zanim to uczynił, ileż kilometrów musiał przebyć pieszo z poobcieranymi nogami – wiedzieli to tylko ci, którzy to przeżyli.

W mieście panował chaos, spekulacja, kradzieże i rozboje. Wojsko, UB i milicja z największym trudem jako tako zabezpieczały porządek. Nawet dowódca III Brygady KBW i komendant wojewódzki MO mieli obandażowane głowy i siniaki pod oczyma, nie mówiąc już o oficerach mniejszego formatu. Jednak w rozmowie z żołnierzami utrzymującymi ład nie wykazywali zacietrzewienia i jakiejś chęci zemsty na organizatorach międzynarodowej hecy. Instruując żołnierzy prosili o zachowanie spokoju i wykazanie maksimum dojrzałości politycznej jak i taktu w stosunku do awanturników szukających okazji do bójek. Pouczono żołnierzy, aby nie wyciągali rąk, gdy któryś będzie atakował ich krzyżem. Chodziło o to, iż zacietrzewieni wielbiciele Boga nastawiali krzyże pod sam nos żołnierza i wołali: – Masz pachołku stalinowski, masz, zabierz nam i to święte drzewo, na którym rozpiąłeś Chrystusa i rzuć je pod nogi, ty bandyto! Wystarczyło żeby żołnierz wyciągnął rękę, aby się odpędzić jak od natrętnej muchy, a już go fotografowano i zdjęcie z odpowiednimi komentarzami obiegało prasę światową. Czy ktoś z czytelników tych gazet mógł domyślić się, że to prowokacja? On widział na własne oczy, że polscy żołnierze „odbierają krzyże" wierzącym i już.

Celem rozpędzenia nacierających na komendę MO, koszary i komitety, pododdziały przyjmowały szyki bojowe zwane „rombem w przód" i skutecznie rozczłonkowywały grupy na grupki a funkcjonariusze UB co agresywniejszych wichrzycieli wyłapywali i wpycha-

li do aresztów. Żołnierzom nie wolno było używać kolb jak i bagnetów, groził za to sąd.

Wokół katedry pozajmowali miejsca różni spekulanci, którzy na przykład za „święty" obrazek wielkości pocztówki brali po sto złotych. A księża w katedrze i jej okolicach zbierali tyle pieniędzy, że odwozili je w znanym sobie kierunku samochodami ciężarowymi. UB na pewno wiedziało gdzie są one przechowywane, ale nie Wiesiek. Wojsko miało tyle pracy, że żaden nie był wewnątrz katedry i nie przekonał się osobiście – płakała Matka Boska czy nie płakała. Słyszeli tylko czasami, że i z tych czołgających się nie wszyscy widzieli łzy cieknące z obrazu, ale to chyba przez to, że oczy mieli zasłonięte własnymi.

Po dużych wysiłkach ze strony delegacji rządowych w rozmowach z wyższym duchowieństwem Kościoła rzymskokatolickiego wreszcie udało się uprosić, aby uspokojono Matkę Boską i tym samym zakończyć bardzo dla Polski Ludowej uciążliwy problem jeszcze jednego „cudu", zaistniałego jak raz w czasie zbioru zbóż.

Wracając pociągiem do miejsca postoju żołnierze byli pełni wrażeń, a to powodowało, że nie pozostawali zbyt zmęczeni, śmiali się, dowcipkowali, jak to młodzież. I nie byłoby w tym miejscu niczego ciekawego do opisania, gdyby nie fakt, że po powrocie do Strachowa Wieśka postawiono na zebraniu partyjnym pod pręgierzem. Chodziło o to, że jeden z kolegów z plutonu doniósł na Wieśka, iż ten w czasie podróży z Lublina rozpychał się i potrącił automat wiszący na oparciu siedzenia. Gdy sekretarz organizacji odczytał tego rodzaju obwinienie, Wieśkowi włosy stanęły dęba ze zdziwienia, że ktoś mógł coś podobnego powiedzieć, gdyż w pociągu nic się nie stało. Faktycznie, w pewnym momencie ktoś go popchnął i Wiesiek oparł się plecami o pepeszkę, ale ani spadła ona z wieszaka, ani zabrzęczała. Koledze o imieniu i nazwisku Czesław C. chodziło o to, żeby coś działo się w szkole, żeby wywołać jakąś sensację. Nikt nie wiedział kto to doniósł; wylazło szydło z worka w czasie dyskusji nad oskarżeniem, przed którym Wiesiek wcale się nie bronił, nawet nie poprosił o głos celem usprawiedliwienia się, gdyż nie miał z czego. W konsekwencji

podchorążowie zabierający głos w dyskusji ośmieszyli Cześka, a dowódca plutonu, który odbywał praktykę w tej kompanii, postawił kropkę nad „i", mówiąc: – Jeżeli podchorąży C. (Wiesiek nie chce wymieniać jego nazwiska bo mieszka w Białymstoku i będzie mu łyso) nie ma nic lepszego do roboty jak tylko podsrywać kolegów, a w tym przypadku jednego z najlepszych wśród was, to niech weźmie się za naukę i pilnuje swojego nosa, gdyż ja jadąc z wami nic złego nie zauważyłem w zachowaniu nie tylko Wieśka, ale i was wszystkich. Proszę potraktować głupi donos za niebyły, bo to dla Wieśka jest krzywdzące.

Skończył się okres szkoleniowy na poligonie. Szkoła a konkretnie batalion szkolny powrócił do koszar. Tu też życie płynęło wartkim żołnierskim nurtem, bo trzeba było intensywnie, aż do bólu w czerepie odrabiać zaległości spowodowane cudem. Poza tym, obowiązkiem żołnierzy wywodzących się z ludu było nieść pomoc temu ludowi. W związku z tym, mimo napiętego do ostateczności programu nabywania wiedzy dowódczej, batalion podjął zobowiązanie pomocy władzom miasta w wybudowaniu jakiegoś tam odcinka linii trolejbusowej w Legnicy.

W czasie prac ziemnych jednego z popołudni Wiesiek poznał plutonowego podchorążego Kostka Borowskiego, z którym zetknął się w Poznaniu, będąc tam swego czasu służbowo. Kostek też się przyznał, że pamięta go, ale w tej termezji nigdy nie przyszło się porozmawiać. Kostek Borowski w poznańskim pułku KBW piastował funkcję dowódcy plutonu ochrony pułku, a Wiesiek czasami, chociaż bardzo rzadko, wyjeżdżał z pracownikami WUBP w Rzeszowie po aresztowanych lub ich odwoził.

I tak oto, pracując na legnickiej ulicy zaprzyjaźnili się dwaj podchorążowie wywodzący się ze wsi w Białostockiem, zamieszkanych przez ludność nazywaną białoruską mniejszością narodowościową, którzy dzięki władzy ludowej mogli znaleźć się aż w szkole oficerskiej, aby być oficerami Ludowego Wojska Polskiego. Spotykając się na krótko wspominali swe dzieciństwo i lata szczenięce, jak to wzrastali boso i w głodzie, w jesiennych szarugach, w spiekocie czy w mrozie, to jed-

nak wszystko jedno w parcianych spodenkach i boso. Z nieukrywaną melancholią wspominali też i chwile szczęścia, gdy to młodzież wieczorami wylegała z chat po całodziennej harówce w polu i sadowiła się na ławeczkach śpiewając pieśni wiosenne – smutne i wesołe, przekazywane z pokolenia na pokolenie, w Wieśkowej wsi nazywane *rohulkami*, a w innych wioskach – *ohulkami*, jak gdzie. Nikt nie żalił się na los, gdyż i tak nie widział sposobu na jego poprawienie. Dorośli coś tam mówili o burżuazyjnym ucisku, niektórzy nawet należeli do KPZB, aby walczyć o władzę radziecką. Policja ich aresztowała i wsadzała do turem, a młodzież i dzieciarnia żyli tak jak im starsi, czyli rodzice pozwolili w warunkach biednej, przeludnionej wsi. Wspominali o niedzielnych zabawach organizowanych przez kawalerów i bójkach na tych zabawach.

– Niejeden do dziś nosi znamiona tych wydarzeń na głowie i bokach, – śmiał się Kostek, a wielu zabito. – Wiadomo, jak to wśród młodzieży w naszych, zabitych deskami wioskach.

– Różnie bywało, ale szkoda tych wiosek, pól i kolegów, którzy tam teraz żyją i uprawiają swe zagony, – podtrzymał go Wiesiek z żalem, – ale u mnie nie ma ni domu, ni łomu. Tam i teraz jeszcze młodzież kultywuje tradycje starszych, jeszcze stoją chaty kryte strzechą i ulice wybrukowane „kocimi łbami". To wszystko na prawdę biedne, ale do łez kochane, takie swojskie, takie mile sercu, że aż płakać się chce. Nie szkoda tylko cięgów otrzymywanych od macochy, zimnego błocka, od którego nogi pękały i krwawiąc miesiły je, bo w chacie siedzieć nikt nie pozwolił, – żalił się Wiesiek. A Kostek na to:

– A widzisz, a teraz Władza Ludowa nie odrzuciła nas z powodu niskiego urodzenia i nie ma nam za złe, że rekrutujemy się z zabitych wsi i że jesteśmy chłopami, i że jesteśmy Białorusami, i że byliśmy pastuchami. Skierowano nas do szkoły, jak każdego innego i będziemy oficerami. Czy ci to się kiedyś śniło? Czy słyszałeś kiedy, żeby w wojsku sanacyjnym jakiś *Białorus* był oficerem? A teraz zobacz, skończymy szkołę, dadzą nam ubrania oficerskie z *gabardiny*, pasy z koalicyjkami, pistolety do boku, buty oficerskie i w dodatku będą

płacić. Bratku, – cieszył się Kostek, – żyć nie umierać! Tylko żeby jakaś *swołocz* nie wywołała nowej wojny, bo ta, jak wiadomo, pochłonie znowu nas miliony. Jeżeli nie będzie wojny to mieliśmy szczęście, że zostaliśmy skierowani do tej szkoły i mądrze postąpiliśmy zostając w wojsku nadterminowo. Nie wiem, jak ty – ciągnął Borowski – ale ja prawie niespodziewanie tu wylądowałem.

Wiesiek też powiedział jak było, że też niespodziewanie i w szybkim tempie. Jeszcze Wiesiek nie omieszkał pochwalić się, że przed wyjazdem na szkołę przyjął go szef sztaby brygady pułkownik Baranowski, a Kostek przez zazdrość odrzekł, że go też ładnie pożegnali, ale nie mógł przez zwykłą uczciwość skłamać, że go też żegnał szef sztabu, chociaż nie brygady, ale niechaj sobie i pułku. Nie, rozmowa między nimi była szczera i obaj jednakowo cieszyli się tym, co ich spotkało.

Szkoła tętniła życiem, które płynęło wartko, a więc i wartko potoczyły się wydarzenia, związane z dalszym losem Wieśka, go denerwowały i jeszcze bardziej przekonywały o ludzkiej nieżyczliwości, chamstwie, jak i jego własnej nieprzydatności na oficera LWP. On był prostym, nieobytym i bez chytrości chłopcem, który uważał, że najlepsza jest uczciwość, bo wtedy sumienie nie męczy. Tymczasem właśnie ów nie lubiany przez nikogo dowódca kompanii, którego Wiesiek znał jeszcze z Katowic, kolejny raz udowodnił, że owszem warunki są jednakowe dla wszystkich, ale jakże różne są ludzkie charaktery i to one wyznaczają, a przynajmniej biorą udział w wyznaczaniu dalszej drogi życia. Nie mówiąc już o przychylności lub nieprzychylności innych osób. Widać to szczególnie w wojsku, gdzie panuje rygor, panoszenie się i odgrywanie mocniejszego – stanowiskiem, lizusostwo itd., co stwarza szczególną atmosferę. Postępowanie porucznika Żubra coraz bardziej Wieśka deprymowało i złościło. Oto przykład. Pewnego razu, już po powrocie do koszar, na zbiórce kompanii dowódca zapytał: – Kto z was ostatnio nie był na strzelnicy? Wystąp! Wiesiek, zgodnie z prawdą, wystąpił z szeregu, a dowódca kompanii podszedł do niego, stanął nos w nos i wrzasnął:

– Dlaczego nie byliście na strzelnicy?!

– Dlatego, obywatelu poruczniku, że w tym dniu miałem służbę – odpowiedział Wiesiek.

Wtedy porucznik Żubr czy Żuber zaczął mrugać drwiąco, na przemian to jednym to drugim okiem, a Wiesiek stał na baczność i nie wiedział co ma robić. Porucznik podniesionym głosem, żeby słyszała cała kompania, krzyknął:

– Patrzcie go, kłamca. Wstąpić!

Wiesiek wstąpił do szeregu, ale dzień miał już spaskudzony, bo jego ambicja została urażona tym, że ktoś nazwał go kłamcą, jak też samą postawą krzywonogiego oficera. Jego nogi były jego sprawą, ale on tę „ułomność" chyba dostrzegał i myślał, że jego podwładnym też to przeszkadza. A może był aż tak zarozumiały z powodu czarnego wąsa pod nosem, że wszyscy inni byli dla niego zwykłymi brzydalami. Kto go wie.

Wieczorem Wiesiek zwierzył się z tego zajścia Kostkowi. Ten, zamiast się zdziwić, powiedział: – To ty jeszcze nie wiesz, że to świnia? Już nieraz chłopaki szykowali się dać mu koca, ale jakoś się odwleka.

Chociaż Wiesiek niczego nie wyczuwał ani nie zauważał w zachowaniu kolegów i przełożonych w stosunku do jego osoby, to jednak musiało się coś dziać, chociaż na bardzo wąską skalę. A może tylko kiedyś była jakaś rozmowa pomiędzy dowódcą kompanii a niektórymi jego zaufanymi. Bo przypomniał się Wieśkowi incydent na szczeblu plutonowy – plutonowy. W czasie ostatniej służby mianowicie, gdy Wiesiek nie poszedł na strzelnicę, na obiad podchorążowie otrzymali po pół konserwy mięsnej. Faktem było, że nie każdy tą połówką mógł się najeść, ale skąd miał wziąć więcej? Natomiast plutonowy podchorąży Zygmunt Boguta pomyślał sobie, że dyżurny zawsze coś tam w zanadrzu ma albo może skombinować, więc zwrócił się do niego z takimi słowami: – Te, daj jeszcze tej konserwy, bo się nie najadłem.

Wiesiek był za głupi żeby coś skombinować, a dali tyle, że w sam raz po połówce. A nawet gdyby miał to też by nie dał z uwagi na ton jakim odezwał się Boguta – nawet ciężko mu było wymienić imię kolegi tylko „te". Wtedy wypalił do Wieśka z grubej rury: – Ty, kurwa, ruski harbuzie, jakbyś chciał to byś dał!

Te dwa fakty spowodowały, że Wiesiek i Kostek napisali raporty o zwolnienie ze szkoły oficerskiej do cywila. Wiesiek nie wie czym motywował swój raport Kostek, ale zwierzył się Wieśkowi, że mu tu już zbrzydło być poniewieranym.

– Pójdę – mówił – do pracy w UB i też będę miał mundur *gabardinowy*, pistolet, blisko do domu i nie będę ganiał żołnierzy. Skąd oni, kurwa, wiedzą, że jesteśmy *ruskimi*? – pieklił się nie na żarty Kostek.

– A cóż tu wiedzieć, mają nasze charakterystyki – odpowiedział Wiesiek.

Wiesiek zaś, będąc oburzonym na tego rodzaju traktowanie, nic nikomu nie mówił i nawet nie poskarżył się oficerowi informacyjnemu, że czuje się dyskryminowany przez niektórych, a od razu napisał raport o zwolnienie go do cywila. Jest pewne, że w tym czasie, gdyby Wiesiek zgłosił zachowanie się dowódcy kompanii lub powiedzenie Boguty to nie on poszedłby do cywila a oni. On jednak nie chciał nikogo krzywdzić. Postanowił wspólnie z Kostkiem, że pójdą do UB i kropka.

Zwolnić się ze szkoły w czwartym miesiącu studiów, gdy już wszyscy byli poznani i sprawdzeni, nie było tak łatwo. Tym bardziej, że obaj dobrze się uczyli. Oficerowie byli zaskoczeni decyzją podchorążych i każdy na swój sposób próbował z nimi prowadzić rozmowę na ten temat. Właśnie wtedy papież Pius XII rzucił na Polskę klątwę, która narobiła takiej wrzawy i strachu w społeczeństwie polskim, że bali się nawet niektórzy oficerowie i teraz już nikt nie pamięta jak ją załagodzono. W tym też czasie zawołał Wieśka do siebie zastępca dowódcy batalionu do spraw polityczno-wychowawczych kapitan Nowak. W czasie przekonywania Wieśka do pozostania w szkole, między innymi mówił o tym, że jest dobrze widziany, dobrze się uczy i nikt do niego nie ma żadnej pretensji ani uwag. A to, że papież rzucił na Polskę klątwę go nie dotyczy, bo jest przecież wyznania prawosławnego.

Wiesiek nie zdawał sobie nawet sprawy z jakiejś tam klątwy i nie rozumiał jej znaczenia żeby się bać. A wyrozumiałemu kapitanowi odpowiedział, że raportu o zwolnienie nie wycofa, gdyż coraz gorzej

tu się czuje. Ten rozłożył ręce i powiedział: – Wola wasza, ale wiem, że będziecie żałować. Wiesiek strzelił kopytami i odmeldował się.

Wrzesień przebiegał w normalnym tempie szkolenia, nie bacząc na napiętą sytuację w kraju, będącą lustrzanym odbiciem międzynarodowej. Nawet papieska anatema nie ostudziła zapału młodzieży uczącej się w tej szkole do zdobycia szlifów oficerskich. Pewnego pięknego dnia dowódca batalionu kapitan Mazur widocznie postanowił osobiście przekonać się jak jego podwładni starszego rocznika opanowali taktykę walki ofensywnej na broniącego się nieprzyjaciela.

Batalion dowodzony przez kapitana Mazura nacierał na „wroga" broniącego pewnego wzgórza, porośniętego lasem i krzewami. Podchorążowie, wspierani ogniem moździerzy i cekaemów, prawie w oka mgnieniu pokonali kilkukilometrową przestrzeń i po mistrzowsku, stosując właśnie ruch z ogniem, zupełnie jak z nieba zwalili się na pozycję zaciekle broniącego się „nieprzyjaciela" i roznieśli go w pył i puch.

W tej akcji Wiesiek ciągnął maxima. Poorane pole, krzewy, zarośla i inne przeszkody w szybkim ciągnięciu cekaemu spowodowały, że plutonowy podchorąży odczuł bardzo mocno bóle w krzyżach. Takie same zresztą jak kiedyś podczas ćwiczeń w Czudcu. Bolało tak, że aż drętwiały nogi i Wiesiek myślał, że już wyzionie ducha. Ale gdy padła komenda „Cekaem na stanowisko!" Wiesiek obrócił go lufą do przodu i padł przy nim niby podcięty. Dało to trochę odpoczynku, gdyż prowadzenie ognia, nawet długimi seriami, jest lżejsze od krótkich skoków w tyralierze. W każdym razie chyba coś się tam ułożyło bo ból przestał być przerażający i nie zapierało tchu.

Po zakończeniu ćwiczeń sami broniący się opowiadali, że naprawdę byli zaskoczeni taką siłą ognia i szybkością nacierających, a prowadzący natarcie kapitan Mazur nie mógł powstrzymać się od największej chyba pochwały pod adresem podwładnych. Wreszcie trochę się opanował i rzekł:

– Koledzy podchorążowie, pierwszy raz w życiu widziałem coś podobnego, chociaż długie lata byłem na froncie.

Stary kapitan nie przebywał na co dzień w polu podczas ćwiczeń więc nie zdawał sobie jasno sprawy z postępów osiąganych przez jego batalion. Nie widział i nie obchodziło go to ile potu wyciekło z ciał żołnierz, aby doprowadzić do perfekcji współdziałanie różnych rodzajów broni na współczesnym polu boju. Podczas takich ćwiczeń niejednemu trzeszczały kości i wyłaziły oczy z orbit od ciężaru i przesilenia, ale to przecież było chlebem powszednim żołnierza.

Gdy z ust dowódcy batalionu płynęły słowa zachwytu i pochwały, żołnierze też się cieszyli. Było im przyjemnie myśleć, że dotychczasowa służba żołnierska nie poszła na marne – ktoś zauważył i docenił trud dla Ojczyzny w nielekkim żołnierskim rzemiośle. Mądre powiedzenie, że im więcej potu na ćwiczeniach tym mniej krwi w walce było realizowane skrupulatnie przez wszystkich, kto poważnie traktował obronę ojczyzny przez niespodziewaną agresją z zewnątrz.

Po patetycznym i pełnym radości przemówieniu kapitana Mazura wojsko wracało do koszar kompaniami ze śpiewem. Jedna z kompanii pięknie, na głosy śpiewała radziecką pieśń żołnierską w języku polskim i rosyjskim:

Żołnierzu do szeregu stań,
Karabin w ręce weź.
Faszyści nasz pustoszą kraj,
Faszystom powiedz: Precz!

Pust' jarost' błagarodnaja
Wskipajet kak wołna.
Idiot wojna narodnaja,
Swjaszczennaja wojna!

Po powrocie z ćwiczeń Wiesiek znów zaczął żałować i zastanawiać się nad uczynionym krokiem – raportem o zwolnienie z wojska, w którym różnie bywa: dobrze i źle, ale już cel wytyczony i na przyszłość, jak wszystko będzie normalnie, chleb będzie miał zapewniony. Wróci do Rzeszowa a tam go nie skrzywdzą. Ale w tym samym

czasie Kostek był nieubłagany, zarówno w materii natychmiastowego odejścia z wojska, jak też i w tym, że obowiązkowo wstąpi do UB i też będzie żył, tylko że lepiej, bo bez wojskowej trąby – tak wśród swoich nazywano dyscyplinę.

Sprawa ich odejścia do cywila oparła się aż o komendanta szkoły pułkownika Hańskiego, który też przekonywał dwóch uparciuchów aby się zastanowili i posłuchali dobrych rad swoich przełożonych, którzy im dobrze życzą. Ale była to już ostateczna rozmowa, po której pułkownik Hański powiedział: – Trudno, na upór lekarstwa jeszcze nie wynaleziono. Jesteście wolni, czekajcie na decyzję.

Trzeciego października 1949 roku dwaj plutonowi podchorąży zostali zwolnieni ze szkoły i skierowani do Wydziału Kadr KBW w Warszawie, gdzie ich zdemobilizowano i z odpowiednimi charakterystykami skierowano do macierzystych RKU. Obaj, chodząc po Warszawie już jako cywile i może ostatni raz, kupili sobie jednakowe, zresztą bardzo twarzowe, garnitury i pieszo poszli na dworzec PKP Warszawa Wileńska. Przechodząc Trasą W-Z, przed tunelem od strony Pragi kazali zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie w nowiuteńkich garniturach, i z polowymi torbami oraz maleńkimi pakuneczkami maszerowali przez most Kierbedzia, już wtedy Śląsko-Dąbrowski, aby jak najszybciej dostać się do pociągu odjeżdżającego do Białegostoku.

Jadąc z mieszanymi uczuciami w kierunku rodzinnych stron byli bardzo ciekawi, co zawierają te szare, zalakowane koperty, które wieźli ze sobą do RKU w Bielsku Podlaskim. Nie mogli jednak nic poradzić z powodu pieczęci lakowych, więc musieli pogodzić się z paskudnym losem, który powodował, że człowiek sam coś na siebie wiózł i nie wiedział co. A charakterystyki jeszcze wtedy mogły być różne, ale napisane z własnym widzimisię przełożonego, któremu zlecono to zrobić. A kto miał napisać opinię Wieśkowi jeżeli nie porucznik Żuber, który dowodził jego kompanią. – Trudno – powiedział Kostek. – Co napisali to napisali. Z tym tylko, że jeżeli zechcieli nas uderzyć, to nam sknocili opinię, i nikt nas do UB nie przyjmie.

W Białymstoku koledzy rozstali się, bo Kostek miał do kogoś zajść czy jechać do Pawłów jakimś innym środkiem lokomocji,

a u Wieśka z miejsca powstał problem – dokąd jechać, u kogo zamieszkać? Pojechał do Bielska Podlaskiego, a stamtąd pieszo udał się do Orli, gdzie mieszkała jego ciotka, siostra ojca. Owszem, przyjęła go, bo to i ładny chłopiec i robotnik będzie darmowy, ale nie jak bratanka. Ciotka była aż nadto skąpa aby bezinteresownie udzielić komuś schronienia, a już nie daj Boże talerz zupy postawić. Wiesiek doskonale o tym wiedział lecz na prawdę nie miał innego wyjścia jeżeli chciał „cieszyć się" wolnością w swoich rodzinnych stronach, wśród swoich ludzi, a nie gdzieś tam w wojsku, w cudzym kraju.

We wskazanym terminie Wiesiek poszedł do RKU aby zanieść tę kopertę i zameldować się. Tam dopiero żołnierz po kryjomu pokazał mu końcowy fragment jego charakterystyki. Przeczytał i omal nie zapłakał z żalu, że wśród ludzi istnieje takie skurwysyństwo. W szkole nie miał niższych ocen niż czwórki i gdy przyszło zwalniać się z własnej woli do cywila, wszyscy zabiegali aby pozostał na uczelni a teraz napisali: „Umysłowo słabo rozwinięty..." Podpis: płk Faryna. Gdyby napisali: naiwniak, fajtłapa i jeszcze czort wie co, to byłoby prawdą, bo on rzeczywiście jest łatwowierny, ulegający cudzym wpływom i po dziecinnemu dobroduszny. Ale żeby napisać o nim, że jest słabo rozwinięty umysłowo – miotał się w duchu Wiesiek, – to jest najohydniejsze chamstwo po to, by złamać życie. Teraz już wiedział, że nikt i nigdy nie przyjmie go do pracy w UB, bo gdzie jak gdzie ale tam głupich nie potrzebują.

Plótł się biedny chłopaczyna z powrotem do Orli, przyznając wszystkim krewnym i nawet macosze rację, że nie tylko powinien ciężko u nich pracować za jeden kawałek chleba i dziękować Bogu, że chcą by u nich pracował. Fakt faktem, że nie był rozgarnięty i przedsiębiorczy, gdyż w przeciwnym razie pojechałby w Polskę szukać jakiegoś lepszego zajęcia, choćby do kopalni. Ale gdzież tam, on woli być poniewieranym parobkiem lecz wśród swoich. To tak i miał.

Po tej całej demobilizacji Wiesiek postanowił przez jakiś czas pobyć u ciotki i zdać się całkowicie na los szczęścia – co będzie to będzie. Posiadał nowy garnitur jakiego nikt w Orli nie miał i mundur z błyszczącymi guzikami, co robiło wrażenie nie tylko wśród star-

szych ludzi, którzy nieraz zatrzymywali go na ulicy i pytali gdzie i w jakim wojsku służył, ale i wśród dziewcząt, które tłumnie przychodziły do ciotki, rzekomo zagrzać się w dni świąteczne, kiedy w cerkwi odbywały się nabożeństwa. Bywało, stały i z lubością mu się przyglądały, a on nie zwracał na nie uwagi, gdyż uważał, że to są jeszcze dzieci. Teraz, kiedy Wiesiek jest starym człowiekiem, jedna z nich w czasie wspomnień tak powiedziała: – Ty durniu. Nie zwracałeś na nas uwagi, a my po nocach śniłyśmy o tobie. A czyż nie słyszałeś jak wieczorami skrobałyśmy cegłami po szybach okiennych, żeby ciebie zainteresować i chociaż porozmawiać? Wiele z nas było gotowych wyjść za mąż za ciebie, ale ty zadzierałeś nosa i chyba czekałeś na królewnę z bajki.

To oczywiście nie prawda, że Wiesiek czekał na królewnę z bajki, jak komuś się wydawało. On nigdy nie znał, a przez to nie cenił swojej wartości, gdyż inni ją „obniżali" jak tylko mogli, poczynając od dzieciństwa. On po prostu zdał się na los szczęścia i na wujka, o którym później. Młócił u cioci owies, chociaż ciocia miała męża, ale po co on miał się trudzić cepem skoro darmowy robotnik sam przyszedł? No, nie taki już darmowy, bo przecież trzeba było mu dać jeść. Jednak to jedzenie, czyli wikt, było bardzo skromne, tym bardziej, że był to już bodaj post *pilipuwka*. A jeśli nawet jeszcze nie to i tak spożywane posiłki były postne lub prawie zupełnie postne, bo gdy była zupa to nawet nie okraszona olejem, a placki ziemniaczane ciotka piekła na patelni pomazanej palcem namoczonym w oleju. – Oj, skąpa była ta moja ciocia, skąpa. Nawet pracującemu bratankowi nie dała po ludzku jeść – uśmiecha się Wiesiek. – A przecież wojsko, którym wzgardziłem, karmiło normalnie. Ale co się stało to się nie odstanie.

Po przeciwległej stronie ulicy, obok cerkwi mieszkała rodzina Sylwestra Kubajewskiego, składająca się z trzech piękniś – Ani, zwanej Handzią, Oli i Marysi oraz dwóch synów. Jeden z nich, ożeniony z pasierbicą ciotki Wieśka, mieszkał gdzieś na Ukrainie, a drugi, Janek, był starszym sierżantem czy starszyną Armii Radzieckiej, a później oficerem, dowódcą kompanii Wojska Polskiego. Po powro-

cie z Armii Radzieckiej Janek przez kilka lat mieszkał razem z rodzicami, pracując ojcem w kaflarni. Właśnie ta rodzina była bardzo serdeczna i przychylna Wieśkowi. On z kolei bardzo chętnie tam zachodził, gdyż podobała mu się najstarsza z sióstr – Handzia, która po powrocie z pracy przymusowej w Niemczech pracowała w sklepie spożywczym. Wiesiek znał ją jeszcze z czasów służby wojskowej, gdy będąc w 1948 r. na urlopie odwiedził ją wraz z wujecznym bratem Pawłem przy okazji parogodzinnego pobytu w Orli u ciotki. Raczej nie odwiedził a zapoznał. Do dziś pamięta jak przyjemnie został przyjęty i poczęstowany na tak bielusieńkim obrusie, że mógł go przyrównać tylko z nowiutkim prześcieradłem, na którym poszczęściło mu się wyspać pierwszej nocy po przyjściu do wojska. Cieszył się, że spotkała aż taka satysfakcja i przychylność ze strony dziewczyny, za którą oglądali się najprzystojniejsi kawalerowie nie tylko z Orli, i to chłopcy pierwszej gildy, jak tu mówią. A ona dumnie nosiła głowę i prawdopodobnie za żadnego z nich nie zechciałaby wyjść za mąż. Była wesoła i śmiała się, żartowała, ale wszystkich trzymała na dystans. Zresztą, trudno powiedzieć jak to byłoby z tym dystansem gdyby któryś ośmielił się „zaatakować". Ale jakoś tak się składało, że każdy ochkał i achkał do Handzi, a bał się oświadczyć. A jak fajnie tańczyła! Wiesiek był z nią w świetlicy na zabawie i owszem, tańczył, ale też niczego nie sugerował odnośnie uczucia jakie żywił do niej od pierwszego wejrzenia.

Tak więc Wiesiek, po całodziennej młócce owsa, spędzał wieczory w domu ukochanej dziewczyny, będąc uwielbianym przez jej rodziców. Janek w domu nie siedział z młodszym od siebie towarzystwem – był po uszy zakochany w Marysi Zajączkowskiej i po pracy pędził do niej każdego dnia na złamanie karku. A jakże, pożenili się. Potem jakimś sposobem powołali Janka do wojska i zrobili dowódcą kompanii, tak że i Marysia musiała zostawić Orlę i jeździć z mężem po Polsce. Po jakimś czasie Janek zwolnił się z wojska, powrócił z rodziną do ukochanej Orli i poszedł do pracy w zawodzie kaflarza, któremu całe życie oddał jego ojciec a może i dziadek. Zbudował w Orli piękną „murowankę" i był razem z Marysią szczę-

śliwy, że żyją w rodzinnym kręgu, w rodzinnej osadzie i na prawdę we własnym domu.

Wieczory u Handzi przebiegały przyjemnie i wesoło, chociaż na pewno niejeden z kawalerów wolałby, aby w kuchni, gdzie łuskali pestki, być z nią sam na sam. Co jednak mógł kto zrobić skoro te trzy Kubajewszczanki były oblegane przez wielbicieli i to po kilku na jedną? Po powrocie z wieczorynek do cioci sytuacja ulegała zmianie. Pryskał gdzieś wesoły nastrój – chyba pod wpływem kaganka czy lampy naftowej i starszych ludzi, którzy wieczorem nic nie robili, a po prostu wcześnie kładli się spać. I tak pełznął czas, z dnia na dzień, w oczekiwaniu nie wiadomo czego.

Wreszcie, zgodnie z tym co postanowił wspólnie z Kostkiem Borowskim opuszczając szkołę oficerską, Wiesiek pojechał do WUBP w Białymstoku i złożył tam podanie o przyjęcie do pracy. Ale uczynił to tylko dlatego, że tak obaj postanowili gdy usiłowali wydostać się z wojska. Wiesiek był przekonany, że nikt go do UB nie weźmie, chociażby z tego powodu, że nie posiada wykształcenia. A już na pewno odmówią mu gdy przeczytają charakterystykę ze szkoły podpisaną przez pułkownika Farynę, że jest słabo rozwinięty umysłowo. Bardziej już myślał o małżeństwie aniżeli o pracy w UB, ale każdy z młodych gdzieś uciekał, więc i on postanowił spróbować szczęścia nic nikomu nie ujawniając. Myślał, że trzeba jakoś organizować sobie własne życie a nie siedzieć przy ciotce i za ciężką pracę wyglądać czy ciocia postawi jakiejś pochlobki. Chciał ożenić się z Handzią, ale nie śmiał jej o to zapytać. Owszem, tańczył z nią kiedyś w świetlicy i dobrze było, ale żeby zapytać? Krępował się i bał, że jego propozycja może Handzię rozśmieszyć i straci ją nawet jako koleżankę. Wiesiek nie wiedział czy Handzia darzy go czymkolwiek i nawet nie spróbował jej kiedykolwiek pocałować, aby przekonać się jaka będzie jej reakcja.

Z Białegostoku nic nie przychodziło w odpowiedzi na podanie, nawet odmowa, co w jego mniemaniu świadczyło o tym, iż nikt nawet nie zechciał zawracać sobie głowy, aby zainteresować się kimś takim. UB to nie jakaś tam cegielnia, w której każdy może pracować,

aby tylko chciał i miał siłę. Wiesiek ze swej strony jednak tak wysoko cenił pracę w kaflarni, chociaż słyszał o niej tylko z opowiadań fachowców, że nie śmiał prosić Sylwestra Kubajewskiego albo Janka aby go tam zarekomendowali. A zresztą – myślał, – nawet gdy mi się uda ożenić to gdzie zamieszkam z żoną? A w mieście dostaną jakąś bursę i będzie mógł pracować. Tylko, że już trzeba będzie rozstać się na zawsze z myślą o *gabardinowym* mundurze, pistolecie i gwiadkach...

Po kilku dniach wspólnych kontaktów – wieczorynek u państwa Kubajewskich, orlańscy chłopcy jakby pogodzili się z obecnością „obcego" Wieśka i stali się mniej nieufni, bardziej towarzyscy i nawet zaczęła kiełkować przyjaźń. Interesowało ich jak też w tym wojsku jest, jak czuje się tam młody chłopak, który zostawia rodzinny dom, rodziców, kolegów.

Na takie pytania Wiesiek odpowiadał z mieszanymi uczuciami: – Chłopcy, ja nie znam uczucia, targającego odchodzącym do wojska rekrutem, który zostawia rodziców – ja ich nie miałem. Ale wiem, że bardzo ciężko jest rozstawać się nawet z „kocimi łbami", którymi wybrukowane są w większości nasze wioski. Żal jest zostawiać dziewczęta, kolegów, zagrodę, jaka by ona nie była biedna. Koniom, krowom i owcom jest wszystko jedno kto je karmi i podściela, one nie mają aż tak rozwiniętych uczuć w stosunku do gospodarza, jak do własnego jagnięcia czy cielęcia. A ot zostawić w obejściu psa nie jest wcale takie proste. Ja odchodząc do wojska – ciągnął Wiesiek – żałowałem pola, które miało mi rodzić zboże, aby jakoś żyć, żałowałem koleżanek i kolegów, którzy powracali do domu z różnych stron świata, aby zacząć życie od nowa. Oni będą się żenić i wychodzić za mąż, a ja muszę jechać gdzieś w nieznane, zostawiając dosłownie wszystko i psa, który żałośnie skamlał i siadając kładł po sobie uszy i czołgał się, zachęcając abym nie odchodził. Oblizywał się i łasił abym został, a ja płakałem, że odchodząc do wojska pozostawiam jednego, jedynego przyjaciela. Właśnie tego Burka, który wyczuwał, iż widzimy się po raz ostatni. I tylko ten jeden pies żałował mego odejścia ze wsi. Byłem zdrowy i silny, – mówił Wiesiek, – wtedy jako robotnik byłem wszystkim potrzebny. Tym bardziej, że za nic nie trzeba mi było pła-

cić i nawet nakarmić. A teraz ciotki i wujkowie się pochowali, żeby broń Boże nie dać mi na drogę kawałka chleba i mieć czyste sumienie. To ta druga strona medalu, która odbija jak było i czy trzeba płakać zostawiając to wszystko do diabła? Szkoda było rzeczułek, łąk, pól, sadu i psa, ale nie ma co żałować takiego narodu...

– No dobrze, – przerwał Wieśkowi jeden z kolegów, – ale powiedz nam coś o broni. Czy na przykład dobrze jest z niej strzelać, bo ja bym bardzo chciał.

– Co do broni przyjacielu, to ja nie chcę się chwalić, – zaczął Wiesiek, – ale kiedy kompania, w której służyłem otrzymywała broń, ja otrzymałem od razu ręczny karabin maszynowy Diektiarowa, który waży dwadzieścia kilogramów bez amunicji. Otrzymałem też pomocnika, który nosił za mną dyski do tego kulomiotu. A na strzelnicy z żadnej broni piechoty nie pudłowałem. Można tym niby się pochwalić. Ale jak to mówią – *mołodiec na protiw owiec, a na protiw mołodca sam kak owca*.

Jak się rzekło, Wiesiek nie spodziewał się żadnego zawiadomienia w sprawie pracy w Urzędzie Bezpieczeństwa i szczerze mówiąc bardzo tego żałował, gdyż zawsze był cholernie ambitny i przeżywał piekielnie jeżeli coś mu się nie udawało. Myślał sobie: – At, nie wszyscy muszą pracować w UB i być ubranymi po wojskowemu. Trudno, nie będę miał ani pistoletu ani gwiazdek. Trzeba myśleć o żeniaczce, tylko jak to powiedzieć Handzi. Bał się, że ona go wyśmieje, gdy dowie się o propozycji. Tańczył jeden wieczór z nią w świetlicy, ale żeby kiedyś pocałować? Broń Boże, bał się nawet o tym myśleć. Postanowił jednak sprawdzić jeszcze raz swój los i użyć sposobu od dawna na wsiach praktykowanego – swatów. Zwrócił się do wujka z prośbą o zapytanie Ani czy wyjdzie za mąż za Wieśka. Wujek bardzo chętnie wyraził zgodę na pośredniczenie, bo lubił być swatem, gdyż w czasie tych ceremonii można było darmo pojeść i popić, a i sława też coś znaczyła, że niby marszałek ważna osobistość na każdym weselu. Wiesiek cieszył się, że może coś z tego wyjdzie, ponieważ wujek Roman miał dar do przekonywania ludzi w ogóle, a dziewcząt do zamążpójścia w szczególności. Amator żeniaczki nie wiedział co Ania

do niego czuje, czy może nie czuje nic, ale bardzo polegał na możliwościach wujka. Trapiło go tylko to, że nie wiedział gdzie by zamieszkać z przyszłą żoną. Dumny był, że Ania pracuje w sklepie spożywczym, że jest sławna ale jakoś nie bardzo zdawał sobie sprawę z możliwości zagarnięcia jej dla siebie i tylko dla siebie. Radości z takiej możliwości do siebie nie dopuszczał, gdyż już nieraz przekonał się, że cieszyć się nigdy nie było mu dane tak na prawdę, do końca. Ileż to razy w dzieciństwie słyszał obiecanki, że ktoś mu kupi scyzoryk lub piłkę gumową jeżeli dzień pobronuje czy popasie stado. I... nigdy tej obietnicy wobec niego nikt nie wykonał, chociaż on na nią po stokroć zasłużył. Taki już jest ten świat...

Aż oto przychodzi zawiadomienie, że ma się stawić 15 listopada do pracy w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego. Serce mu podskoczyło do gardła ni to z radości, że jednak będzie miał mundur wojskowy i pistolet, ni to z żalu, że będzie musiał pozostawić rodzinne strony, które kocha i do których tęsknił brodząc po Bieszczadach, kolegów, wśród których czuł się swojo, gdyż dorównywał im w jego pojęciu. Natomiast w pojęciu kolegów Wiesiek ich przewyższał, a to mu odpowiadało, bo nie czuł się zagubiony, jak to kiedyś było. A najgorzej było rozstawać się z dziewczętami, bo zawszeć to któraś z nich mogła być jego żoną.

Tak więc wuj obiecał, że w czasie najbliższego pobytu w Orli porozmawia z dziewczyną i postara się w jak najlepszym świetle przedstawić go Ani. Przy okazji dodał: – Oho, brat ty mój, żeby ta dziewczyna zechciała wyjść za ciebie to ty byś miał raj nie życie. Czy ty wiesz ile ona zarabia?

Wizja rajskiego życia jeszcze bardziej uszczęśliwiała sztubaka, który niewiele od życia wymagał. Ucieszony nadzieją czekał na rezultat obiecanej rozmowy. Czekał z dnia na dzień i jakoś to się wydłużało. Po Ani nie było widać żadnej zmiany w postępowaniu względem Wieśka. Jak i poprzednio zawsze była miła. Wreszcie pewnego dnia wuj we właściwy sobie sposób zawołał spotkawszy Wieśka: – Te, chodź, coś powiem. Po sposobie zachowania się wuja i jego rozmowie Wiesiek wyczuł, że coś nie tak, ale zapytał: – Rozmawialiście?

– Tak bratku, rozmawiałem – odpowiedział wuj, patrząc sobie pod nogi, – lecz Handzia nie zgodziła się wyjść za ciebie.

To wystarczyło aby Wiesiek poczuł się jeszcze bardziej nikomu niepotrzebny niż był i to go unieszczęśliwiło chyba do reszty. Cóż – myślał – prawdę macocha mówiła, że jestem podobny do wszystkich zwierząt, a więc która dziewczyna by za takiego wyszła? Tym bardziej Ania.

Młodość jednak robi swoje, a troska o życie tę młodość podpiera i nakazuje szukać wyjścia z sytuacji – choć byle jakiego, choć maciupkiego, żeby tylko jakoś po świecie się pałętać i broń Boże nie być żebrakiem lub złodziejem. Dziewcząt było w bród, do wyboru, ale co można zrobić, jeżeli Wieśkowi zdawało się, iż wszystkie one patrzą na niego z góry? On nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest przystojny, niebrzydki i sympatyczny. Gięła go do ziemi dramatyczna przeszłość i sytuacja, w której tkwił. Przecież żadnej dziewczynie nie mógł zaoferować nawet mieszkania i nie mógł zaimponować chociaż jakim takim dobrobytem, bo nie miał żadnego, nawet skromnego poparcia temu co by komuś mógł naobiecywać. Tym bardziej teraz, gdy jego stan jest wszystkim znany. Żeby z nieprawdy robić prawdę to trzeba być cwaniakiem, a nie Wieśkiem, który nie potrafi prawdy powiedzieć tak jak inny skłamie. Tęsknota do rodzinnych miejsc powodowała, że pewnego razu pojechał do swojej wioski, chociaż nie bardzo wiedział do kogo ma zajść. Dowiedział się, że w Dubiczach Cerkiewnych jest wesele. Ot pójdę – pomyślał, – zobaczę, może potańcuję, jeżeli spotkam kogoś znajomego.

Dochodząc do chaty, w której odbywało się weselisko podszedł, jak robił zazwyczaj, pod okno, aby zobaczyć co się tam dzieje, bo jakoś ani pod oknami, ani na podwórku nie widać ludzi. W chacie też było mało weselników, bo po przyjeździe ze ślubu i zjedzeniu obficie zakrapianego obiadu poszli bawić się do innej chaty, jak to jest w zwyczaju. Ale ku swemu miłemu zdziwieniu i zadowoleniu, Wiesiek ujrzał przy kaflowym piecu Galę Samojlik siedzącą wraz z matką. Siedziały jak na wieczorynkach a nie jak na weselu i o czymś rozmawiały. Aż dziw Wieśka ogarnął, że zawsze weso-

ła i skora do zabaw Gala siedziała przy piecu, spokojniutko gwarząc z młodą jeszcze, ale już dawno owdowiałą matką. Chociaż mieszkali w różnych wsiach, Wiesiek znał Galę od dzieciństwa, a to ze względu na to, że była sławną córką regenta chóru cerkiewnego. A po stracie ojca, który był zesłany na Syberię, jeszcze jako podlotek przychodziła do jego wsi pracować, by zarobić na kawałek chleba. Gala była bardzo fajna i jak mu się wydawało – nieosiągalna dla niego. Ale to tylko tak mu się zawsze wydawało, bo był nieśmiałym durniem. Był od niej o dwa lata starszy, lecz przed wojskiem nie mógł o niej marzyć, gdyż Gala miała ogromne powodzenie u starszych i bogatszych chłopców. Teraz już był po wojsku, a to co innego. Stał pod oknem i z mieszanymi uczuciami – przeważał żal i smutek, przyglądał się dziewczynie, która ani się domyślała, że ktoś ją obserwuje, a już na pewno nigdy by nie zgadła, że Wiesiek.

Gala znała Anię z Orli i nawet obie się przyjaźniły. Któregoś razu, gdy Wiesiek jeszcze z wojska przyjechał na urlop, spotkał Galę, która powiedziała mu, że kiedyś rozmawiała z Anią na jego temat. Ania zwierzyła się Gali, iż Wiesiek jej się podoba. Teraz Wiesiek, patrząc w okno przypomniał to sobie i pomyślał, że Ania Gali skłamała lub Gala Wieśkowi. Zatem może by tak wejść do chaty i porozmawiać z Galą? – rozmyślał Wiesiek. Ale jak można samemu, nieproszonemu wejść do chaty, żeby ktoś pomyślał, iż znalazł się pretekst do najedzenia się. Nie, Wiesiek tego nie zrobi. Tymczasem do Gali i jej matki przysiadła się jeszcze jedna kobieta i, jak gdyby wyczuwając nastrój stojącego pod oknem chłopca, zaśpiewały:

Ach, wspomniu ja junyje leta,
Kak ja mołodaja była,
Krasotoju była ja dowolna
I w mire kak roza cwieła.
Zaczem ja tiebia polubiła
I duszu tiebie otdała?
Na swietie ja wsio pozabyła
I szczastia s toboj nie naszła.

Szesnadcat' mnie let minowało
I cztoże słucziłoś so mnoj;
Sorwał on kak s rozy cwietoczek
I brosiw stoptał pod nogoj.
Zaczem że ty topczesz nogami
Niewinnuju duszu moju?
Ach, buď że ty proklat słowami
Złodiej za izmienu swoju.
Nie szyjtie mnie biełogo płattia,
Ono mnie sowsiem nie k licu
Soszyjtie mnie żołtogo cwieta
Ja s miłym w razłukie żywu

Wiesiek znał tę pieśń z dzieciństwa i bardzo ją lubił, ale teraz, gdy stał pod oknem i patrzył na wcale nie obojętną sobie osobę, ta rzewna melodia stała się jeszcze i wyrocznią jego losu. Nie wszedł do izby gdyż obcy mu był tupet. Tylko łzy rozmazały mu obraz siedzących przy kaflowym piecu kobiet. Ze ściśniętym z żalu sercem powlókł się do „swojej" rodzinnej wsi, gdzie go nikt nie czekał. Poszedł chyba do wuja, który przez całe życie mianował się wujem tylko dlatego, że był bratem jego matki, co bez skrępowania pozwalało mu na wysysanie soków z siostrzeńca, bez dawania czegokolwiek w zamian.

Po trzydziestu kilku latach, gdy Wiesiek już posiadał i cieszył się czterema pięknymi wnuczkami i Ania pożeniła oraz wydała za mąż czworo dzieci i też została babcią, spotkali się oboje u brata Ani, Janka Kubajewskiego. Wiesiek zajechał na jakieś spotkanie autorskie do jednej z podorlańskich wiosek i przy okazji odwiedził przyjaciół. Oni, co prawda, w życiu spotkali się nieraz, kiedyś nawet Ania kilka razy odwiedzała go w Warszawie, raz z mężem nocowała. Ale nigdy nie poruszali tematu ze swej młodości, chociaż Wiesiek zawsze o tym pamiętał, że Ania go nie zechciała, lecz nie zaczepiał. On zawsze swe krzywdy przeżywał sam.

I oto, w pewnym momencie zostali tego wieczora sam na sam. Zaczęli rozmowę od „Jak żyjesz?" Ania ze łzami w oczach opowie-

działa krótko o sobie, a Wiesiek o sobie, chociaż na ogół jedno o drugim wszystko wiedzieli. Korzystając z okazji i przypływu szczerości Wiesiek zapytał:

– Powiedz mi, Aniu, bom ciekaw, chociaż przeszło tyle lat od naszej pierwszej znajomości, dlaczego nie zechciałaś wyjść za mnie za mąż? Czyżby dlatego, że nie byłem nachalny i nigdy ciebie nawet nie pocałowałem?

Ania opuściła oczy, zapłakała i odpowiedziała pytaniem na pytanie:

– A tyś mi proponował małżeństwo?

– Osobiście nie proponowałem, ale pytał ciebie w moim imieniu mój wujek, czy zechcesz mnie poślubić...

– Co? – przerwała mu Ania. – Twój wujek przychodził do mnie tylko wtedy, gdy chciał wziąć na kredyt nafty, śledzi czy jeszcze czegoś innego. Natomiast pierwszy raz słyszę, że miał mnie pytać o to, czy wyjdę za ciebie za mąż. Nawiasem mówiąc, nigdy mi nie zapłacił za wzięte na kredyt towary, nic więc dziwnego, że wstydził się mnie widzieć, a ty naiwny uwierzyłeś mu. Chociaż był twoim wujem, nie przestał być chamem, który nie mając czystego sumienia, który za jednym pociągnięciem złamał nam obojgu życie. A ty, zdawałoby się chłopiec po wojsku, dlaczego posłużyłeś się wujem, zamiast samemu mnie o to zapytać? Widocznie chciałeś i bałeś się, że wróciłam z Niemiec rozpuszczona, a ja jak wyjechałam tak przyjechałam bogobojnie uczciwa. W Niemczech nawet nie pozwoliłam nikomu się pocałować i co mi z tego przyszło?

W przedwojskowym życiu Wieśka była jeszcze Ola, której tak samo nigdy nie pocałował, chociaż wiedział, że jest przez nią lubiany. Ale odejście z miejscowości, w której parobkował spowodowało, że z Olą rozstał się na zawsze. I też trzeba żałować, gdyż miłość była pierwsza, a Ola bardzo dobrą dziewczyną.

15 listopada Wiesiek przystąpił do pracy w WUBP na stanowisku młodszego wywiadowcy. W ankiecie, którą wypełniał, nawypisywał tyle niepotrzebnego, że aż mało tego co potrzeba. Napodawał wujków, ciotek i ciotecznych, a nie podał, że należał do ruchu oporu, że

w wojsku był ranny i wiele innego. A wszystko dlatego, że nie posiadał przy sobie żadnych dokumentów świadczących o tym, iż współpracował z partyzantką radziecką, jak i o tym, że był ranny w potyczce z żołnierzami UPA. Zresztą, odniesione rany na polu walki ani nie umywały się do ran, które przeżywał w cywilu. Sprawa tylko w tym, iż patrząc z perspektywy lat, że gdyby był podał w ankiecie personalnej chociażby te dwa fakty, byłby szybko awansował jak inni, nie patrząc na brak wykształcenia. Życiorys pisał też możliwie jak najkrócej, bo mu już zbrzydło siedzenie w tym pokoju, gdzie każdy wchodzący pracownik przyglądał mu się, a on krępował się, aby ktoś niepowołany nie dostrzegł jego niewyrobionego charakteru pisma oraz ewentualnych błędów ortograficznych. Myślał, że oni wszyscy są tak wykształceni, iż jemu tu nie powinno być nic do szukania. Ale przecież sam o to prosił, więc musi dopełnić obowiązku, który mu wyznaczono. Sam przecież w podaniu o przyjęcie do pracy napisał, jak kiedyś w wojsku, że prosi o przyjęcie do pracy w UB, gdyż chce służyć wielkim ideom socjalistycznym. A teraz patrzeć na ich, pracowników kręcących się po pokoju, wykształcenie i zrezygnować – nie pasuje dla podoficera KBW. I jakoś tam „załatwił" tę przeklętą ankietę, znaczenia wszystkich rubryk której też nie rozumiał. Zamiast nakłamać na swoją korzyść, niechcący nakłamał na niekorzyść. Chociażby to, że w rubryce „kiedy i do jakiej partii należał (należy)" napisał, że jest bezpartyjny, a przecież będąc w IV Brygadzie KBW był na liście członków partii i uczęszczał na zebrania. Gdyby to sprawdzili – dowiedzieliby się, że mówi prawdę, gdyż w II batalionie dokumentacja istniała. Wiesiek od urodzenia nie był przedsiębiorczy, nie dbał o siebie i zawsze wolał stracić, aby komuś było dobrze, komuś dogodzić. Przy tym wszystkim jego życie rodzinne było jednym pasmem zgryzot, płaczu, głodu i chłodu oraz bicia i najohydniejszych przezwisk. To skrzywiło jego psychikę do tego stopnia, że wstydził się ludzi, gdyż wiedział, że jest najbrzydszy we wsi, najgłupszy i najgorszy.

W wydziale przyjęli go sympatycznie, gdyż był „plutonowym z wojska". Wiesiek sam słyszał, jak naczelnik wydziału dzwonił do oficera dyżurnego informując, że „dyżur w wydziale dzisiejszej nocy

będzie pełnił nowo przyjęty pracownik, ale można na nim polegać, gdyż jest plutonowym z wojska". Naczelnik nie wiedział, że Wiesiek słyszy lub Wiesiek nie wiedział, że naczelnik chce, aby Wiesiek słyszał tę opinię o sobie. Zresztą dyżur Wieśka w wydziale nie był zwykłym dyżurem, a raczej sprawdzianem jego czujności i lojalności. Mianowicie przyprowadzono mu do pokoju aresztowanego lub niby aresztowanego i dano do zrozumienia, że ma go pilnować przez całą noc. No to Wiesiek pilnował, czyli obaj siedzieli przy biurku przez cały wieczór nic do siebie nie mówiąc. A gdy Wiesiek uznał, że trzeba odpocząć po całodziennej pracy i długiej wieczornej bezczynności, jakże męczącej bo bez słowa i czort wie z kim, kazał „aresztantowi" położyć się na krzesłach, a sam, wiadomo – plutonowy powinien trzymać fason – zajął pozycję leżącą na biurku. Spał tak mocno, że ów „zatrzymany" lub rzeczywiście zatrzymany mógł go udusić gołymi rękami i spokojnie opuścić gmach WUBP. Ale tak się nie stało i nikt nie wie dlaczego. No, może nie nikt, ale Wiesiek na pewno nie wie.

Nazajutrz obaj jak na komendę zerwali się ze swych mebli z obolałymi bokami i zdrętwiałymi kończynami, posiadali na krzesłach i ukradkiem zezowali jeden na drugiego. Co w tym momencie myślał podopieczny Wieśka nie wiadomo, ale Wiesiek cieszył się, że żyje i był bardzo wdzięczny zatrzymanemu za to, że nie spłatał mu żadnego figla co spowodowałoby nie tylko pożegnanie się z dalszą pracą.

Na to ich milczące taksowanie się wszedł naczelnik wydziału i zapytał: – No, panowie, jak przeszła noc? Panowie, niby muchy w smole odpowiedzieli, że normalnie. – To dobrze – rzekł naczelnik i zabrawszy ze sobą aresztowanego opuścił pokój. I na tym wszystko się skończyło. Wiesiek, nie wiedząc co ze sobą robić, a nie śmiał zapytać czy po nocy będzie miał wolne, poszedł do łazienki, obmył się i udał do bufetu na śniadanie. A po śniadaniu, jak gdyby nigdy nic przystąpił do pracy, a raczej do nauki zawodu i czekania, aby szybko przeleciał dzień, chociaż w sekcji było nieźle, gdyż wszyscy byli rówieśnikami, poza kierownikiem i sporo z nich było wesołkami. Część chłopaków dopiero co przyszło do pracy w UB wymigując się od wojska, Wiesiek po wojsku a Adam Bajraszewski znalazł się w organach BP

od razu z frontu. Był to, i zresztą jest, chłopak bojowy i nieprzejednany. nawet radziecki doradca nazywał go *gosudarstwiennym obwinitielem*, ale, oczywiście w żartach. Wszyscy po cichu zazdrościli mu odznaczeń przyniesionych z wojny.

Wiesiek zamieszkał u Stefana, kolegi z wojska, który wraz z żoną i dwójką dzieci zajmował dwa pokoje z kuchnią w drewnianym domku przy ulicy Węglowej. Obaj do pracy chodzili pieszo aż na ul. Mickiewicza, ale młodość jest młodość. Nawiasem mówiąc, Stefan wszedłby do wspomnień Wieśka jako bohater pozytywny gdyby w późniejszym okresie życia nie narobił Wieśkowi tylu świństw. Jednak trzeba powiedzieć, że Stefan w WUBP pracował już ponad rok i był z pracą operacyjną bodaj na tyle „otrzaskamy", że już sam pozyskiwał tajnych współpracowników i prowadził sprawy rozpracowania operacyjnego, czym ogromnie szczycił się przed „surowym" Wieśkiem. A przecież też posiadał tylko cztery klasy podstawówki.

Wiesiek do pracy w kontrwywiadzie przystąpił w całkiem surowym stanie, jeżeli nie liczyć trochę praktyki i teorii zdobytych w czasie okupacji i w KBW. A wiadomo, że tego „zdobytego" do niczego zaliczyć nie można, gdyż praca, do której teraz przystąpił była wybitnie kontrwywiadowcza i to wcale nie przeciwko takim amatorom jak on sam. Ale jego upór, ambicja, chęć posiadania munduru i pistoletu, a więc bycia kimś – czyniły cuda. W sekcji podległej Władysławowi D., który posiadał jedną gwiazdę i nie wiadomo czy był podporucznikiem czy chorążym, najstarsi stopniem byli Wiesiek i Henryk Piętka. Pozostali kapralami albo szeregowymi. Ba, naczelnik Wydziału „A" też był tylko w stopniu podporucznika. Po latach na stopień majora awansowali razem były naczelnik wydziału Piotr A. i były jego podwładny, plutonowy z wojska Wiesiek.

W całkowitym jednak wyprostowaniu się i podniesieniu głowy przeszkadzało Wieśkowi wydarzenie, które zaistniało w święto Pokrowy w 1946 roku. On wiedział, że przełożeni przyjmując go do pracy przeprowadzili wszechstronny wywiad o nim i też wiedzą o jego grzechu. Mniejsza o to, zawinionym czy nie, ale on wstydził się

tego. Nawet na zabawie nie mógł czuć się beztrosko i nigdy nie mógł śmiać się całą piersią. Zazdrościł wszystkim, że mają czyste sumienia i są wolni od podejrzeń. Jemu świat został na zawsze zaciemniony, ale nigdy nie zdobył się na odebranie sobie życia i wegetował dalej. Sprawa w tym, że bójkami, porżnięciami i zabójstwami we wioskach w owym czasie nikt się za bardzo nie przejmował i nawet sądy były liberalne, ale Wieśkowi to bardzo przeszkadzało i nigdy nie pogodził się z faktem, że po pijanemu uderzył rówieśnika scyzorykiem, gdy ten chciał Wieśka bagnetem „przypiąć" do ściany. A było to tak. Wiesiek z kolegą z Policznej stał przy ścianie i przyglądał się tańczącym. Nagle głupi pijany kumpel brata macochy Ihnatka wraz z nim z niemieckimi bagnetami wpadli do izby i do Wieśka z wrzaskiem: „Ty, bladź, faszysto!" i – trach bagnetem w ścianę z całej siły! Wiesiek przysiadł, więc nie został zabity. Póki Mitia wyrywał bagnet ze ściany, Wiesiek mu pod pachą prześlizgnął się do tyłu, wyciągnął scyzoryk i dziabnął go z tyłu w głowę. Wystarczyło kilka sekund, aby zafajdać Wieśkowi całe życie i dać pożywkę innym pijackim „świętym" mętom do oblewania go brudami i zapsucia opinii. Wiesiek swoim życiem zaświadczył, że jest porządnym człowiekiem: kocha ludzi, którzy u niego na to zasłużyli, kocha swój kątek – ziemię ojczystą, uwielbia dzieci i zwierzęta; kiedy widzi cielaczka, źrebaczka czy pisklęta, zachowuje się niczym małe dziecko. W chwili obecnej najciekawszym dlań programem jest Animal Planet i Najzabawniejsze zwierzęta świata. Dzieci też go kochają. Ale dużo by o tym mówić, więc niech zostanie ogólnik...

Kierownik sekcji obserwacyjnej „Witek" od czasu do czasu interesował się nowo przyjętym podoficerem i „zahaczał" go rozmowami na różne tematy, aby zorientować się w stopniu inteligencji tylko co upieczonego wywiadowcy. Którejś niedzieli spotkał Wieśka na ulicy i zaproponował odwiedzenie „jego" mieszkania. W mieszkaniu, które było lokalem konspiracyjnym, zaproponował mu aby przeszedł do sekcji obserwacyjnej...

Wiesiek był dla WUBP bardzo wygodnym pracownikiem, chociażby z tego względu, że pracował dniami i nocami, niczego w zamian nie dopominając się, a wyjeżdżając w teren, obojętnie – na

dzień czy na tydzień, nigdy nie brał delegacji, ani nie żądał zwrotu kosztów podróży. Myślał, że po to mu płacą, aby miał na wszystko, a nikt go z tego błędu nie wyprowadzał.

Będąc wolnym i niezależnym człowiekiem, według opinii kierownictwa mającym najwięcej czasu, oprócz swych normalnych obowiązków, coraz częściej był wykorzystywany do prowadzenia obserwacji ludzi pozostających w zainteresowaniu Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. To mogło grozić dekonspiracją, gdyż Wiesiek był pracownikiem oficjalnym, często chodził w mundurze i każdego dnia wchodził oraz wychodził z budynku WUBP, a więc mógł być widziany przez ludzi raczej niechętnych tej instytucji. Ale co to go obchodziło, skoro kierownictwo na tę sprawę patrzyło jakoś przez palce. Oni lepiej wiedzą – myślał i cieszył się, iż jest wszędzie dobrze widziany.

Kiedyś kierownik sekcji realizacji poprosił Wieśka, aby pójść do miasta na spacer. W czasie spaceru pokazał mu człowieka i kazał prowadzić za nim obserwację w taki sposób, aby nie zostać zauważonym, a zauważyć wszystko co robi, z kim się spotka, co gdzie kupi, co gdzie rzuci lub podniesie i tak dalej. Wiesiek chodził za wskazanym człowiekiem a kierownik za nimi. Po kilku godzinach pan Władysław podszedł do Wieśka i powiedział: – Starczy, pójdziemy do biura, opiszecie coście zapamiętali.

Po napisaniu relacji z obserwacji „obiekta", który to dokument w żargonie operacyjnym nazywa się „komunikatem", Wiesiek zaniósł go kierownikowi do sprawdzenia. Ten przeczytał i pochwalił, że będą z niego ludzie. Po kilku dniach spec od obserwacji „Witek" poprosił do siebie nowo upieczonego wywiadowcę i zapowiedział, że biorą pod obserwację pewnego faceta, który dokonał przestępstwa gospodarczego. Obiekt zostanie przyjęty pod obserwację na rogu ulic Elektrycznej i Mickiewicza. – Musicie ustalić, gdzie pójdzie po pracy. Powierzam tę misję tobie, bo nie mam nikogo innego – dodał, – i uważam, że zadanie wykonasz.

Wiesiek ucieszył się z powierzonego mu zadania i o wyznaczonej godzinie poszedł na wskazane miejsce, aby według rysopisu podjąć

pod osobistą obserwację domniemanego lub rzeczywistego przestępcę celem ustalenia ewentualnych kontaktów i miejsca zamieszkania. Przyszedł na ul. Elektryczną na jakąś budowę i ku swojemu zdziwieniu ujrzał nie jednego, a kilku facetów o podobnym rysopisie, szczupłych i w kapeluszach. Ba, nawet mieli mniej więcej podobne garnitury. Co robić, którego z nich brać pod obserwację? A może wrócić do „Witka" i zapytać, który z nich jest ten właściwy? Ha – myślał, – zapytać to znaczy wydać siebie, że się jest lebiegą. Widocznie wywiadowca winien po prostu nosem wyczuwać, kto z nich jest przestępcą, a nie dryfić i prosić kogoś o pomoc. O, wezmę tego co to pobiegł z baraku do wykopu i coś tam głośno hałasował, po czym znowu wrócił do baraku – pomyślał Wiesiek. – To chyba ten.

Jak postanowił tak i zrobił. Gdy domniemany „obiekt" wyszedł zza ogrodzenia, Wiesiek „przykleił" wzrok do niego i niby po sznurku chodził za nim po całym Białymstoku, aż go szlag chciał trafić. Wreszcie późnym wieczorem „odprowadził" go aż na Pieczurki i ustalił adres, pod który obserwowany wszedł. Po zdaniu relacji „Witkowi" okazało się, że wywiadowca obserwował i ustalił adres nie tego co trzeba. A po miesiącu „Witek" śmiejąc się opowiadał Wieśkowi, iż „przestępcą" był odpowiedni człowiek podstawiony przez niego, aby sprawdzić, jak Wiesiek wykonuje postawione mu zadanie. Obserwowany był zaskoczony, że chodząc po ulicach miasta i jego zakamarkach, nikogo podejrzanego za sobą ani obok siebie nie widział. Stwierdził więc, że ten nowo upieczony wywiadowca jest asem obserwacji, a nie nowicjuszem. Gdy mu „Witek" wyjaśnił, jak było na prawdę, obaj setnie się uśmieli.

Wiesiek dał się poznać jako dobry organizator konwojów. Pewnego razu konwojował do Gdańska cały wagon aresztowanych i każdy z nich chwalił, że jeszcze nie spotkał tak fajnego i uprzejmego podoficera bezpieki.

– Chyba pan nie jest z bezpieki? – pytali niektórzy aresztowani.

– Dlaczego? – pytał Wiesiek. – Właśnie, że jestem z bezpieki i wykonuję polecenie swych przełożonych konwojowania was.

– O, to pan długo tam nie popracuje! – wyrokowali. – Albo nigdy pan nie awansuje.

At, niech sobie plotą! – myślał Wiesiek. – Są źli na bezpiekę, że ich za coś aresztowała, to na nią psioczą im mnie chcą przeciw niej nastawić.

W Gdańsku, przy przekazywaniu aresztowanych, wielu życzyło Wieśkowi pomyślności i dziękowało za dobre traktowanie w czasie podróży. Wiesiek był zażenowany i nie wiedział, czy ma się z nimi pożegnać, jak z przyjaciółmi czy odejść bez słowa, aby nie podpaść gdańszczanom, którzy zaraz odmalują raport do Białegostoku, jak to plutonowy Wiesiek skumał się z zatrzymanymi. Otrzymał pokwitowanie i razem z załogą udał się na dworzec, aby czym prędzej wrócić do macierzystej jednostki i mieć wszystko z głowy. Ale tego rodzaju konwój Wiesiek wykonał tylko raz i czuł, że to było również sprawdzanie jego przydatności do służby w WUBP.

Wśród indywidualnych konwojów różnych zatrzymanych przez WUBP w Białymstoku, a było ich kilka, Wieśkowi najbardziej wrył się w pamięć konwój jakiegoś aresztowanego z Kolna.

Wykonując polecenie naczelnika Wiesiek wziął pistolet, torbę polową i wartownika z pepeszką, przydzielonego mu z komendantury. Aresztowanego przyprowadzono mu do pokoju. Do Kolna trzeba było jechać samochodem ciężarowym z plandeką, który wówczas spełniał funkcję dzisiejszego autobusu PKS. Ciężarówka, chyba studebaker, była załadowany ludźmi po brzegi, chociaż wszyscy jakoś siedzieli, Wśród cywilów Wiesiek umieścił powierzonego sobie zatrzymanego, a sam zajął miejsce naprzeciw. Wartownik trzymał pepeszkę na kolanach, a Wiesiek pistolet w kaburze. Aresztowany był młodym człowiekiem o bystrym spojrzeniu i sympatycznym wyrazie twarzy. Świdrującym wzrokiem przeszywał konwojentów, jak gdyby badając ich stan psychiczny i próbując zahipnotyzować. Siedział na ławce bez kajdanków i bodaj nikt z pasażerów nie miał pojęcia kto z kim i dokąd jedzie.

Samochód trząsł niemiłosiernie, niektórzy podróżni drzemali, inni sennie rozmawiali o bazarowych cenach, a jeszcze inni o jakiejś

bójce w jednej z białostockich knajp, gdzie powybijano szyby, połamano stoliki, tudzież zmasakrowano iluś tam konsumentów, czyli stałych bywalców knajp polujących na „jeleni". Jesienny dzień jest krótki, więc „autobus" dojechał do Kolna gdy było już ciemno. Po zatrzymaniu się zdemobilizowanego wojskowego wehikułu na końcowym przystanku ludzie zaczęli wyskakiwać przez burtę na kamienny plac. Wiesiek uchylił brzeg plandeki by zorientować się czy ktoś na nich czeka i ujrzał z przerażeniem, iż samochód jest otoczony jakimś wojskiem. Wartownikowi polecił zostać z zatrzymanym w samochodzie, a sam zeskoczył – niech będzie co będzie. W tym momencie podszedł do niego oficer i zapytał: – Gdzie masz aresztowanego?

– W samochodzie, a o co chodzi??

– Nie uciekł?

– Nie, a dlaczego miał uciekać?

– I przygód żadnych w drodze nie miałeś?

– Jakie przygody, o co tu chodzi?

– A o to, kolego, że ten facet już trzy razy uciekał...

Na tak zwanym dworcu oficer przejął od Wieśka aresztowanego i z wojskiem w sile plutonu gdzieś go poprowadził, a konwojenci z Białegostoku pozostali na łasce losu, nie znając miasta, gdyż obaj znaleźli się w nim po raz pierwszy. Poszli szukać szczęścia, że może ktoś ich przytuli na nocleg i.. znaleźli. Zajrzeli do chałupki z bladym światłem, gdzie mieszkały dwie panie, matka z córką. Po kolacji wartownik z komendantury od razu zasnął albo udawał że śpi, a Wiesiek zaczął rozmowę z córką, która uwiła pościel w tym samym pokoju. Zresztą był tylko jeden pokój i kuchnia, gdzie poszła spać gospodyni. Wiesiek nie mógł zasnąć i do rana się męczył.

Gdy raniusieńko wychodzili z gościnnego, aby trafić na ustaloną godzinę powrotu do Białegostoku owym „pekaesem", ku przerażeniu plutonowego wartownik zapytał: „Czy obywatel plutonowy jest przekonany, że zdał aresztowanego we właściwe ręce?" Wieśkowi krew uderzyła do głowy i aż język wysechł ze strachu – Boże, co to będzie, jeżeli rzeczywiście zamiast plutonu KBW aresztanta przejęli jego ko-

ledzy z oddziału „Ryby"? Ale co zrobić, gdy lekkoduchowi nie przyszło do nawet głowy, aby upewnić się, kto od niego przyjmuje człowieka, którego przecież miał zawieźć do PUBP w Kolnie. Markotny wracał do Białegostoku, ale nie tracił rezonu, udając przed wartownikiem, że nic się nie stało.

Do wydziału dotarł gdzieś w godzinach południowych i zameldował naczelnikowi swój przyjazd oraz wykonanie zadania. Naczelnik, jak i oficer w Kolnie, zapytał: – No jak, nie mieliście w drodze jakiejś pierepałki z konwojowanym? Na Wieśkowe stwierdzenie, że żadnej pierepałki nie było, naczelnik uśmiechnął się i zadał kolejne pytanie: – Czy wiecie kogo żeście wieźli?

– Wiem, ale czy to prawda, że trzy razy uciekał spod konwoju?

– Prawda, lecz nie chcieliśmy was uprzedzać, bo byście się bali jechać, a innych trzeba by wysyłać z dziesięciu.

W taki sposób szefostwo wydziału wdrażało Wieśka do pracy operacyjnej. Trwało intensywne szkolenie teoretyczne i praktyczne. Najwięcej czasu poświęcał mu spec od obserwacji „Witek" i kapitan R. od polityki i historii. Kapitanowi było chyba nawet przyjemnie spacerować z młodszym od siebie kolegą i opowiadać mu historię ruchu robotniczego, gdyż Wiesiek szybko orientował się i chłonął podawane mu wiadomości. Czasami rozmawiali też o kobietach, ale Wiesiek nie miał wielkiego doświadczenia w tej materii, więc czerwienił się i rozmowy nie kontynuował. Kapitan R. rozumiał to i przez delikatność nie kpił ze sztubaka, przechodząc do innego tematu, który nie wydawał się krępujący.

W każdym razie Wiesiek odczuwał przyjazną atmosferę wśród kolektywu ponieważ był plutonowym z wojska, a chyba żaden z kolegów prócz Adama w wojsku nawet nie służył. Byłe jeszcze dwie dziewczyny w wydziale – sekretarka i maszynistka. Pani Marysia była jeszcze panną a pani Raja już chyba mężatką lub coś w tym rodzaju, a może też panną. Obie były fajne ale Wiesiek nawet nie śmiał o nich marzyć, chociaż koledzy nie raz podpuszczali. Teraz czasami spotyka panią Marię i podziwia jej takt, powagę i powab. Pani Raisy nie widział nigdy od chwili wyjazdu do Warszawy.

Ten białostocki okres – jesień i zima na przełomie lat 1949/1950 był dla Wieśka okresem tak samo trudny co i „zaszczytny". Cieszył się, że syn wiejskiego biedniaka jest pracownikiem organów Bezpieczeństwa Publicznego, posiada odpowiedni mundur, pistolet i błyszczący gumowy płaszcz. Gdy szedł wieczorem po mieście to i oficerowie salutowali, bo trzy małe, srebrne beleczki na otoku czapki robiły wrażenie gwiazdki, przez co mogło się wydawać, że mają do czynienia z majorem. Natomiast ogromnie przeżywał nie tak dawną bójkę na zabawie i wciąż martwił się, że jest zbyt niedouczony, by móc sprostać zadaniom, które na niego nałożono, a przecież w przyszłości będą one poważniejsze i bardziej skomplikowane. To wszystko powodowało, iż czuł się nikomu niepotrzebny, nieśmiały i mimo wszystko uległy. A to z kolei utrudniało mu życie do reszty.

Któregoś zimowego dnia o pogodzie czysto jesiennej, bo nie było śniegu a tylko mżył „kapuśniaczek", naczelnik wydziału polecił Wieśkowi, aby udał się do BUPB w Bielsku Podlaskim i zameldował się u szefa. Wniebowzięty, że otrzymał misję przeprowadzenia wywiadu odnośnie kogoś bardzo ważnego w pobliżu swojej miejscowości, złapał torbę oficerską niby czort grzeszną duszę i pognał na dworzec. Zajechał do Bielska i w budynku, w którym w 1945 roku nie chciano z nim nawet rozmawiać o pracy w UB, został przyjęty przez starszego sierżanta Ż.

– O, dobrze, że jesteście. Pojedziecie do Orli i przeprowadzicie wywiad odnośnie Jakuba Strelczuka ze wsi Krzywa. Pojedziecie rowerem.

Wiesiek, chcąc uchodzić przed szefem za starego i doświadczonego, o nic go nie zapytał i o nic nie poprosił. Złapał rower i dawaj jechać, jednak co parę kroków musiał z niego schodzić, gdyż ciągle spadał łańcuch. Mógł od razu zawrócić i poprosić o inny rower, a jeżeliby nie mieli to nie jechać. Ale Wiesiek od dzieciństwa zakompleksiony, wstydził się to zrobić, aby nie powiedzieli, że nie umie jeździć na rowerze. Był chłopcem wysportowanym, ale póki zajechał do Orli miał mokrą koszulę, chociaż był tylko w mundurze, który został mu

z wojska. Dobrze – myślał, – że nie mam płaszcza, bo bym chyba się umordował na śmierć przez tę swoją głupotę.

W Orli mu poszczęściło, gdyż był dzień albo targowy, albo rolnicy zdawali jakiś kontyngent. Było też wielu gospodarzy z Krzywej, których zaczął pojedynczo prosić do jakiegoś pomieszczenia w budynku Gminy, aby dowiedzieć się coś o Strelczuku. Wszyscy mówili co wiedzieli, a Wiesiek z płonącymi uszami na skrawkach papieru notował ołówkiem. Po przeprowadzonej rozmowie przykazywał, aby nikomu ni... ni... Każdy obiecywał, że rozmowę zachowa w tajemnicy.

Czego tylko Wiesiek nie dowiedział się o Jakubie Strelczuku. I to, że Strelczuk był członkiem Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, a później był agentem „defy" i wydawał komunistów w jej ręce, i o procesie komunistów w Białymstoku, gdzie Strelczuk zeznawał jako świadek oskarżenia i został postrzelony przez innego komunistę Sergiusza Prytyckiego, którego z kolei podziurawiła policja, ale wyleczył się i żyje gdzieś w Związku Radzieckim. Po tym zajściu w sądzie, w wyniku którego Strelczuk został tylko ranny w ucho, „defa" przeniosła go do Bydgoszczy czy Torunia, celem rozpracowywania tamtejszych komunistów, bo mimo strachu jakiego najadł się w sądzie i odniesienia rany, nie wyrzekł się funkcji agenta defensywy. Dowiedział się Wiesiek i tego, że Strelczukiem nie pogardzili też Niemcy. W okresie hitlerowskiej okupacji były agent „defy" stał się agentem tajnej policji – Gestapo. Oprócz tego któryś z indagowanych rolników powiedział, że wierszyk pod tytułem „Car liter" też napisał Strelczuk, chociaż podpisał się niejaki „Szerszeń". Tu Wiesiek był w kursie spraw, bo ten satyryczny wierszyk znał na pamięć. Nawet, dla podkreślenia swej „wiedzy", zacytował jego fragment, a rolnik powiedział: – No, no. Nie darmo do UB wybierają najzdolniejszych. Dzisiaj Wiesiek wie, że rolnik był kpiarzem, gdyż sam recytował „Cara litra" na białoruskiej mowie tak jak był napisany. A wiersz ten „sławił" porządki panujące w ZSRR, oparte o samogon.

Jeden z rozmówców powiedział do Wieśka: – Panie oficerze, czy jak wam tam, po co wy przeprowadzacie wywiad o Strelczuku, jeże-

li on od dawna siedzi za oceanem? Kiedy Trzecia Rzesza kapitulowała to Strelczuk już był w Ameryce. I niechaj pan będzie pewny, że tam mu włos z głowy nie spadnie, gdyż i tam są służby, którym się przyda. Dobrych psów wszędzie nakarmią.

Gdy Wiesiek nasłuchał się tego wszystkiego, nabazgrolił ołówkiem co dało się uchwycić, a resztę zapamiętał, jak opętany – bez obiadu, który obiecał sobie zjeść w stołówce, bez odwiedzenia cioci i Handzi – popędził do Bielska. Szlag go tylko trafiał na wehikuł, z którym nie mógł dać rady. W Orli może ktoś by i zreperował ten łańcuch, ale Wiesiek zapomniał poprosić, a więc w drodze powrotnej nie zostało na nim suchej nitki i piekło w piersiach.

Dotarł do PUBP wieczorem, ale wówczas pracownicy UB nie mierzyli godzin pracy więc Wiesiek był pewien, że zastanie szefa, który mu zlecił przeprowadzenie tego wywiadu. A jakże by inaczej, szef był w biurze i prawdopodobnie czekał na przybycie białostockiego wywiadowcy.

– O, jesteście, a my już myśleliśmy, że zostaliście w Orli na noc, albo w drodze coś złego spotkało – przywitał Wieśka gdy ten wszedł do pokoju.

– Nie, wszystko w porządku – odparł zmęczony wywiadowca i od razu zaczął opowiadać czego dowiedział się o Strelczuku. Szef słuchał i uśmiechał się, bo widocznie już wszystko wiedział, ale mimo to kazał siadać za stół i pisać co ustalił. Wiesiek mordował się do późnych godzin, aby sklecić coś w rodzaju „wywiadu", oddał to szefowi i poszedł do pociągu. Do domu wrócił po północy głodny i wymęczony, ale zadowolony, że jeden wywiad ma już za sobą. Jak go ocenią – myślał. Później jeszcze raz posyłano Wieśka do Orli z tą samą misją, ale już chodziło o mniej ważną osobę i w jakimś innym celu to było robione.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia wyznawców katolicyzmu. Kierownictwo wydziału i organizacja partyjna na pewno uradzili, aby Wieśka przyłączyć do rodziny któregoś z pracowników celem spędzenia wolnego czasu, jeżeli ktoś go miał. Widocznie stanęło na tym, że nowo przyjętego wywiadowcę weźmie do siebie Stefan Cz.

Był on jednym z sympatyczniejszych pracowników wydziału „A", ale do dziś Wiesiek nie wie jakiego był wyznania. Dosyć, że zarówno kolega z pracy, jak i jego żona, przyjęli Wieśka bardzo gościnnie i sympatycznie na wigilijnej wieczerzy, natomiast Wiesiek nie może powiedzieć, czy i on był taki. Wie, że w życiu popełnił niejedną gafę, a więc może i tam wywinął jakiegoś kozła. Nie pamięta i basta. Pamięta tylko, że nie dzielono się opłatkiem, który Wieśka w wojsku doszczętnie skompromitował. Teraz już wiedziałby co się z nim robi.

W każdym bądź razie, było bardzo sympatycznie i miło, chociaż bardzo wątpliwe, czy Wiesiek do tej atmosfery dołożył rąk lub pieniędzy. Nie znał się wówczas na żadnym jakimś tam, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli sawuar wiwrze, chociaż od urodzenia był raczej grzeczny i uprzejmy. Jak mawiała Handzia do Luby – sympatyczny i ułożony. Ale któż to go kiedykolwiek układał? W jego wsi, gdzie wyrastał i „wychowywał się", im człowiek był ordynarniejszy tym bardziej szanowany przez jednych – bo się go bali, a przez innych – bo chcieliby być takimiż. A jak jeszcze miał więcej hektarów i lał każdego, kto mu się próbował choć kapkę sprzeciwić, to już w ogóle był rozumnym i czcigodnym obywatelem. Jakieś tam „dziękuję", „przepraszam", czy „spasibo" – nie były w modzie. Owszem, lubiły to stare matrony z „lepszych" domów, ale nikt im tej przyjemności nie dostarczał. Nikt z młodzieży, a tym bardziej tej dorastającej, nie życzył sobie być podobnym do jakichś tam maminsynków, lecz do tych, co to na ulicy i zabawie o byle co wszczynali bójki i zachęcali: „Bij gada, zabij i patrz czy równo puchnie!" O! – to był wzór *gieroja*, który nie wybaczał najmniejszego przewinienia słabszemu a na mocniejszego organizował grupę sobie podobnych i też wygrywał. Skąd więc Wiesiek miał mieć wpojoną kulturę poprawnego bycia, jeżeli i w domu tego nigdy nie widział? W takich a nie innych warunkach ówczesnej rzeczywistości wyrastał nasz bohater. Miał wrodzone poczucie wstrętu do niechlujstwa, ale właśnie przez to podlegał szykanom, biciom przez macochę i poniewierce. Zawsze mierziło go jedzenie z jednej miski, z kim by to nie było, ale żadnej rady na to nie miał i ze łzami złości musiał podporządkować ogólnym zasadom, przez wszyst-

kich tolerowanym a może nawet i nie dostrzeganym. Chociaż ciotka Marysia zawsze go chwaliła, bo wchodząc do mieszkania mówił *zdrastujtie* i szybko uczył się kolęd czego mu zazdroszczono.

W szkole oficerskiej, co prawda, uczyli zachowania się w towarzystwie i przy stole. Ale to była kropla w morzu w porównaniu z tym, co każdy z podchorążych wyniósł z domu. Jeżeli człowiek przez całe życie siorbał i mlaskał to czy przestanie? Może by i przestał, ale czy nauczy się za jednym zamachem? Tym bardziej, że przecież nikt na co dzień na to nie zwracał uwagi. Uwagi na tego rodzaju zachowanie nie były zwracane przez tych co mogli czegoś nauczyć prawdopodobnie z kilku przyczyn. Po pierwsze – nie wiedzieli, że trzeba komuś zwracać uwagę na podobne zachowanie, bo im to w uszach nie zgrzytało i strun nerwowych nie szarpało. Drudzy nie zwracali uwagi bo chcieli, aby „cham" zawsze i wszędzie się kompromitował, a innym było obojętne jak kto je, gdyż byli tolerancyjni i wiedzieli, że kiedyś się nauczy. A niedbajło jak siorbał tak siorbie.

Pierwszy bal sylwestrowy

Wiesiek już się wyprowadził od kolegi bo daleko mu było chodzić do pracy z Węglowej na Mickiewicza i jeszcze z innego powodu. Znalazł sobie mieszkanie przy ul. Przemysłowej 9, u państwa Sosnowskich. Nowa gospodyni pobierała opłatę za mieszkanie 30 złotych, chociaż Wiesiek nie wiedział dużo to czy mało, ale cieszył się, że poborami dysponuje sam. Stołował się w kasynie, a opierała go pralnia. Chociaż pewnego razu, pod nieobecność Wieśka, pani Sosnowska przejrzała jego poprane ciuchy i postanowiła wyprać je po swojemu. Uprane pokazała Wieśkowi. Ten się ucieszył, ale nie zapytał ile jest winien. Podziękował i przeszedł nad tym do porządku dziennego. Później wynagrodził to wielokrotnie, gdyż opłacał mieszkanie jeszcze przez wiele miesięcy, chociaż już mieszkał w Warszawie. Ale fakt faktem, że nie umiał postępować taktownie z przyczyny, jak się rzekło, drastycznego braku wychowania. Dzisiaj jest już zupełnie inny, ale doskonale pamięta o tamtym.

Wieczór wigilijny Wiesiek spędził u państwa Czerniakiewiczów, zaś na dwa wolne dni pojechał do swojej wsi, aby popościć i ponudzić się, gdyż tutaj oczywiście trwał post, a na Boże Narodzenie trzeba było czekać jeszcze dwa tygodnie. Odwiedził kolegów i koleżanki w czasie prządek przy lampie naftowej, powałęsał się po wsi nikomu niepotrzebny i na drugi dzień wrócił do Białegostoku.

Nie zdawał sobie sprawy z jakiegoś tam przygotowywania się do Sylwestra. Było to dlań tajemnicą i tyleż niespodzianką. Kobiety mówiły o nowych kreacjach, te miastowe oczywiście, bo te co dopiero przyjechały z wiosek mówiły o sukienkach balowych. Mężczyźni szeptali kto z kim będzie siedział przy stoliku i ile by tu zabrać ze sobą wódki... Wiesiek wiedział, że jeżeli będzie zabawa to wódki i zakąski też nie zabraknie, gdyż bufetowa na pewno o to zadba. Nie wiedział tylko, jak się ubrać – założyć garnitur, który w październiku kupił w Warszawie czy mundur? Pomyślał sobie, że lepiej będzie w mundurze, gdyż na nim widać dystynkcje plutonowego, a na garniturze nie widać nic. Nie pomyślał, że będąc w garniturze mógłby odgrywać oficera, a tak każdy widzi, iż jest tylko podoficerem. Ale jemu było wszystko jedno, bo i tak powinien być wniebowzięty – któż to widział, żeby syn biednego chłopa, w post świętego Filipa, kiedy powinien jeść ziemniaki z postem, szedł na zabawę gdzie będzie wódka zakąszana mięsnymi potrawami? Wódka owszem, ale mięso i kiełbasa? Czasami zdarzało się i w domu wypić szklankę samogonu, ale pod cebulę lub kwaszonego ogórka. A tu patrzcie, mięso!

Poszedł sam, gdyż jeszcze nie przyhołubił sobie żadnej koleżanki ani przyjaciółki. Inni przychodzili też jak komu wypadało – z żonami, narzeczonymi i znajomymi. Przypadł mu stolik mieszanego towarzystwa, ale nie było nikogo znajomego. Na początku towarzystwo mierzyło się nawzajem wzrokiem i panowała jakiś czas dosyć niezręczna sytuacja. Wiesiek czuł się najgorzej, gdyż nie miał nikogo przy boku, a do par nie śmiał się wtrącać. Tym bardziej, że byli to sami cywile, a więc diabli wiedzą kto.

Wreszcie chyba przyszła pora poczęstunku, bo jeden z żonatych powiedział: – No, proszę państwa, czas napić się po kieliszku i roz-

ruszać. Wypito w milczeniu po kieliszku składkowej wódki i sięgnięto po zakąskę. Wiesiek zaś, pomny słów oficera żeby nie pchać się pierwszemu, nie sięgnął po zakąskę wcale. Jedna z pań siedzących na przeciwko przyglądała mu się, a to jeszcze bardziej go deprymowało. Była ładna, jak mu się wydawało i ładnie ubrana. Zgrabnie posługiwała się widelcem i nożem, w odróżnieniu od – chyba – męża, który jadł bardzo łapczywie i niechlujnie. Po paru kieliszkach towarzystwo rzeczywiście zaczęło się „docierać" i częstować się papierosami. Wiesiek nie palił, więc odmówił chcącemu go poczęstować, a ten z ironią: – O, patrzcie państwo, już plutonowy, a jeszcze nie dorósł do mężczyzny! Wiesiek prowokację puścił mimo uszu, chociaż na pewno się zaczerwienił.

Po jakimś czasie po sali i wśród stolików popłynęła ciepła, wpadająca mile w ucho melodia wydobyta z przyniesionych przez muzykantów instrumentów – Przybądź do mnie po ten kwiat paproci... Wieśkowi najbardziej podobał się akordeon – instrument znany i lubiany z dzieciństwa. Nigdy nie zapomni akordeonisty z Kleszczel, który oprócz melodii do tańca wygrywał jeszcze takie różne „śmieszne" kawałki, które dzieci szybko zapamiętywały, ale śpiewały tylko na pastwiskach, bo w domu otrzymywały cięgi od rodziców za brzydkie słowa. Ot choćby taki: Każda panna tego chwali, co ma buta dziewięć cali, albo: Na cmentarzu głośne krzyki, tam się prują nieboszczyki. Za co tu bić dzieciaki? A jednak bito. Och i durne te dzieciństwo... Z rozmyślania nad tym właśnie swoim durnym dzieciństwem wyrwała Wieśka pani z naprzeciwka: – Czego pan taki smutny? Zapraszam pana do tańca, bo mój partner nie potrafi.

Wiesiek zerwał się na równe nogi i speszony odrzekł: – Ja też chyba nie potrafię – chociaż wiedział, że taniec mu trudności nie sprawia. Grali tango. A któż do tanga staje obojętnie? Tango ściele na duszę mgiełkę ukojenia, spokoju, jakiegoś zadowolenia, a czasem melancholii wręcz. W tym momencie Wiesiek doznał zadowolenia, gdyż został zaproszony do tańca przez kobietę, która wcale nie była mu obojętna. W tańcu coraz bardziej przylegali do siebie, aż w końcu poczuł jej wypukłą pierś przypartą do swojej, ordynar-

nej żołnierskiej piersi. Pani, aby coś mówić, zaczęła chwalić Wieśka, że niby dobrze tańczy, a ten ni to zadowolony, ni to speszony, zaczął się usprawiedliwiać, że żołnierz dopiero co przybyły z lasu nie może tak tańczyć jak ona. Partnerka uśmiechnęła się sympatycznie i jeszcze bardziej przylgnęła do munduru. Oboje zamilkli na chwilę, bo on nie miał jej widocznie nic do powiedzenia, a ona z kolei nie chciała go peszyć zbyt „dorosłą" rozmową. Ale po chwili Wiesiek poczuł jej palce zatopione w jego czuprynie nad karkiem i lekkie muskanie po szyi. Zrobiło mu się przyjemnie ciepło i szybciej zapulsowały skronie. Przycisnął podochoconą damę niemal z całej mocy do siebie, nie napotykając oporu z jej strony. Przywarli do siebie ciałami na półmrocznym parkiecie tak, że aż poczuli ich szczegóły. Pani szepnęła do ucha Wieśkowi, że trzeba się opanować, ponieważ tańczący zaraz zaczną zwracać na nich baczną uwagę. – Ale niech pan obieca, że będziemy tańczyć cały wieczór tylko we dwoje, niech pan nie szuka innych partnerek – poprosiła. Wiesiek chętnie się zgodził. A że ten taniec już się skończył, więc trzeba było prowadzić partnerkę do stolika.

Przy stole było już wesoło i gwarno, wszyscy ze wszystkimi o czymś gawędzili. Tylko plutonowy i jego partnerka od tańca milczeli, spoglądając z ukosa na towarzystwo. Wiesiek po żołniersku, a jednocześnie po sztubacku snuł różne proste myśli, może nawet o chwilowym szczęściu, a już bez wątpienia o możliwości posiadania jej chociaż od czasu do czasu. Nie wiedział natomiast o czym myślała „jego" pani i nie mógł nawet przypuszczać. Dostrzegł tylko, że czasami patrzy ukradkiem w jego stronę z iskierkami w oczach i lekkim uśmiechem. Bardzo mu się podobała gdyż była jak raz w jego typie. Wiesiek od najmłodszych lat miał swój typ kobiety chociaż nie śmiał o tym nawet myśleć, a co dopiero powiedzieć komuś. I właśnie tu spotkał swój typ kobiety, wobec którego trudno było być obojętnym. Chociaż tak naprawdę to nie on tylko ona go spotkała, bo to właśnie ona zaprosiła go do tańca. W innym wypadku, z jego nieśmiałością do tego by nie doszło. Zachęcony wypił zaproponowany kieliszek, zakąsił tym co mu podsunęła życzliwa partnerka i gdy mu-

zykanci znów zagrali, teraz on poprosił ją do tańca, o dziwo – przepraszając towarzystwo, po wojskowemu kiwając głową w kierunku jej męża. W tańcu znowu było przyjemnie, znowu krew zaszumiała, ale Wieśka przygniatała nieśmiałość i obawa, aby ktoś nie spostrzegł jak tuli mężatkę. Ona niby przez zapomnienie tuliła swą twarz do niego i palcami pieściła włosy z tyłu głowy... Gdy spojrzał w jej rozmarzone oczy – syknęła udając niezadowolenie: – Nie patrz na mnie tak tymi węglami, bo ci tu stopnieję i co oddasz mężowi?

– Nie będzie tak źle, usiądzie pani przy mężu cała i zdrowa...

– Cała tak, ale nie zdrowa, bo ty mnie do szału doprowadzasz.

Nastąpiła przerwa w tańcach ponieważ muzykanci udali się na kolację. Sala kasyna huczała jak ul, rozmawiał każdy z każdym przekrzykując się nawzajem. Milczało tylko dwoje ludzi, od czasu do czasu spoglądając ukradkiem na siebie, jak gdyby byli skłóceni, a przecież, przynajmniej dzisiaj, pożerała ich wzajemna sympatia i nie było najmniejszej wątpliwości, że w sprzyjających okolicznościach bez oporu poszliby do łóżka. Mąż partnerki Wieśka coś udowadniał swemu sąsiadowi przy stoliku z lewej. Ona udawała, że jest na wszystko obojętna, a Wiesiek nie mając z kim rozmawiać, podparł brodę kułakami i siedział do nikogo się nie wtrącając.

Raptem obiekt Wieśkowego zainteresowania poprosił o głos i chwilę ciszy. Gdy wysepka ciszy w morzu wrzawy – stolik dwojga raptem zakochanych, zwrócił na nią uwagę – poprosiła, aby napełniono kieliszki. A gdy i to uczyniono, rzekła: – Proszę państwa, za parę minut powitamy Nowy Rok. Powitamy go jak najserdeczniej i z nadzieją, że każdy następny będzie lepszy od poprzedniego i tak aż do dobrobytu po latach nędzy i wyrzeczeń. Rok dobiegający swego kresu dla przeciętnego człowieka był normalny – pracowaliśmy, kłopotaliśmy się o codzienność, trudziliśmy się, a czasem nawet było wesoło. Gorzej było żołnierzom, którzy niestety musieli i jeszcze często muszą prowadzić walkę z reakcyjnym podziemiem. Osobiście bardzo się cieszę, zresztą wspólnie z mężem, że mamy przy stoliku wojakę, plutonowego Wojska Polskiego! Jestem szczęśliwa, jeżeli panu plutonowemu jest z nami dobrze. Jeżeli pan plutonowy bę-

dzie nadal przebywał w Białymstoku, bardzo chętnie możemy się zaprzyjaźnić, a teraz wypijemy jego zdrowie!

Wszyscy ochoczo przechylili kieliszki, a wojak nie wiedział co ma począć – przemilczeć miły toast czy coś powiedzieć? Dobrze, dobrze, ale co i jak ma mówić? Boże, żeby lepiej była milczała... Z kłopotu wyręczyła go orkiestra i... partnerka, która na dźwięk orkiestry reagowała nie dającym się ukryć rumieńcem. Spojrzała na Wieśka i dała pojąć, aby ten pośpieszył się z zaproszeniem. Wiesiek zaczął odczuwać siebie coraz śmielej, a więc chyżo podskoczył do czekającej go partnerki i poszli w tan. Nagle rozległ się grzmot w bęben i zgasło światło. Zanim sztubak się zorientował co się rozchodzi, czy czasem nie jakiś napad, już miał wpite gorące usta kobiety w swe wargi. Oboje tak mocno się tulili, jakby pragnęli dyfuzji i całowali się, całowali... Rozbłysło światło i tańczące, a raczej całujące się pary rozeszły do stolików, aby składać życzenia swoim bliskim i znajomym. Wiesiek wzorem innych składał życzenia noworoczne swoim współbiesiadnikom, ale myślał tylko o jednej, tej, której słowa „kocham cię, kocham...", wypowiedziane w ciemności, śpiewały mu w uszach.

Zbyt to jednak było piękne, żeby długo trwało. Zaraz po powitaniu Nowego Roku przyszedł do kasyna goniec od oficera dyżurnego WUBP i wyczytał po nazwiskach, kto ma się zgłosić do gmachu. Wśród wyczytanych był też Wiesiek. Gdzieś w terenie pokazała się banda. Na tym zakończył się Wieśkowy pierwszy bal sylwestrowy. I to zakończył się tak, jak się rozpoczął – nagle i bez żadnych ceregieli. Wiesiek na bandę nie pojechał, ale i na bal nie poszedł. Więcej nigdy nie spotkał kobiety, która w chwili uniesienia wyznała mu miłość. A może istotnie się zakochała i do dziś żałuje, jeżeli żyje, że też go nie spotkała? Na pewno w chwilach słabości lub w czasie bezsennych nocy przypomina ten wieczór i wstydzi się, że będąc mężatką dała się ponieść nowemu uczuciu. Cóż, w taki sposób najczęściej rodzi się miłość i tak samo bardzo często ktoś inny na tym cierpi. Któż to zbada wyroki Boskie w tej materii wśród grzesznego ludu?

Epizodzik kolejnych niezręczności

W życiu Wieśka przeplatały się niezręczności z gafami, jak u każdego, kto za bardzo wszystkim się przejmuje lub wszystko lekceważy.

Nadszedł prawosławny karnawał 1950 roku. Jest to jedna z pór na zawieranie związków małżeńskich i bodaj najweselsza pora roku, gdyż większość gospodarzy już uporała się z omłotami, a więc roboty jest już tylko tyle, że trzeba oporządzić żywy inwentarz – narżnąć sieczki zanieść pod pysk gotowego siana i czasem podesłać świeżej słomy. Czasem pojechać po drwa – jeżeli po smolne i dobrze palące się to do Puszczy Białowieskiej, a jeżeli tak na odtrąbiono, aby tylko przed sobą i innymi udawać, iż ma się czym palić, to do olchowego zagajnika. Niech się żona morduje z ugotowaniem śniadania, co go to obchodzi... Było też co zjeść, ponieważ prawie każdy zadusił jakiegoś warchlaka, a niektórzy to i dobrego wieprza. Jednym słowem, naród odpoczywał, relaksował się, jak byśmy to dziś powiedzieli i jadł kartofle omaszczone skwarkami ze słoniny lub kapuśniak ugotowany na żeberku czy sadle. Młodzież organizowała zabawy i dobierała się w pary.

W ten właśnie karnawał postanowił ożenić się Paweł Tarasiuk, który był wujecznym bratem Wieśka. Znalazł sobie dobrą i rozumną dziewczynę aż w Żukach, w dodatku o dziewięć lat młodszą od siebie. Wiesiek pełnił już honorową funkcję starszego drużbanta u wujecznego brata Szymona, chociaż sam nie wie dlaczego został o to poproszony, będąc zahukanym biedakiem. Gdy teraz prosił go o to samo Paweł, nosił już wojskowy mundur z dystynkcjami plutonowego, a więc mieć takiego drużbę było już dla pana młodego zaszczytem.

Wszystkie ceremonie związane z przygotowaniem wesela obeszły się bez Wieśka, gdyż wiadomo, że nie był osiągalny, bo pracował w Białymstoku, a szkoda, bo sporo jest tych przyjemności przedweselnych. W niedzielę, na samo wesele też przyjechał z opóźnieniem. Gdy wszedł do chaty goście już siedzieli za stołami. Przy panu młodym siedział cioteczny brat Jurek, ale gdy tylko Wiesiek poka-

zał się w weselnym domu od razu opuścił honorowe miejsce, a Paweł poprosił spóźnionego przybysza, aby je zajął. Wiesiek jakoś się przepchał na ławę pod obrazami na należne mu miejsce obok pana młodego. Powiódł oczyma po weselnych gościach i napotkał gniewny wzrok jednego ze swych byłych prześladowców, który też był gościem. Zrobiło mu się przykro, że jeszcze ma wrogów, ale nad tym przeszedł do porządku dziennego, ponieważ tego i tak już nikt nie zmieni, a wesele i funkcja Wieśka w nim, stwarzały nastrój uroczyście-świąteczny, przynajmniej dla wczorajszego pastucha.

Niegdyś w tej samej chacie Wiesiek stał podczas jednych z chrzcin w przejściu pomiędzy kuchnią a pokojem gościnnym i łykając ślinę czekał, że może ktoś mu da kawałek mięsa z pszennym albo chociaż z czarnym chlebem. Dostał tylko postną kaszę, do której wrzucano grosze na tak zwany *perepuoj*. Dobre i to – myślał, – gdyż był wygłodzony a kasza jaglana. Teraz zaś siedzi na honorowym miejscu, jest starszym swatem, w cerkwi będzie trzymał koronę nad głową młodego w czasie ślubu i jest nadzieja, że otrzyma w prezencie wyszywany ręcznik – jeżeli taki sam ceremoniał istnieje w Żukach jak tu... Będąc starszym u Szymona otrzymał taki cudowny ręcznik, ale szybko go stracił. Gdy został wówczas w nocy obudzony na kolację i przyszedł z komory gdzie pilnował pościeli, goście weselni razem z młodym pękali ze śmiechu. Pilnując pościeli nie wiedział, że trzeba samemu wziąć ręcznik. Jedna ze swaniek zgarnęła pościel razem z ręcznikiem i gdzieś schowała. Goście ze śmiechu aż się popłakali i dawaj „grzać" samogon.

Po obficie zakropionym śniadaniu, chociaż niektórzy ponaglali, bo do cerkwi w Kośnej daleka droga, goście powychodzili zza stołów a Paweł, jak każe zwyczaj, pozostał na swoim miejscu pod obrazami i czekał aż druhny i swańki zaczną śpiewać *Wspomahaj bateńku wołami, koronami, złotymi, dolarami, czerwonymi czerwońcami...*, a goście weselni podchodzić do stołu i do przygotowanej do tego celu miski będą wrzucać grosiwo. Na taki śpiew weselnych, ale bardzo smutnych pieśni nie ma mocnych. Ten tylko nie zapłacze, kto ma serce z kamienia. Płakał niby bóbr Wiesiek i płakał Paweł, jako młody,

a ludzie podchodzili i kładli na chusteczkę przeznaczone przez siebie kwoty. Wiesiek będąc kontent, że został wyróżniony funkcją, nie patrzył co kto położy, bo znał już skąpstwo swoich ziomków, i przeznaczył na wspomożenie 500 złotych, gdy inni kładli po dwadzieścia, dziesięć, a czasem pięćdziesiąt złotych. Po tej płaczliwej ceremonii odsunięto stół od ław, aby młody mógł swobodnie chodzić dookoła. Paweł obszedł stół trzykrotnie kłaniając się matce, ojcu i rodzinie, trzykrotnie przeżegnał się przed obrazami i opuścił rodzinny dom, aby zająć miejsce w przygotowanym konnym pojeździe, w którym będą jechać funkcyjni.

Na podwórzu stało już kilka zaprzęgniętych w rącze konie wozów, do których sadowiło się całe weselne bractwo. A pierwszy zaprzęg z panem młodym i starszymi ojciec Trofim z matką Barbarą obchodzili dookoła z chlebem i solą, błogosławiąc na drogę życiową i życząc szczęścia. Następnie talerz z chlebem i solą położono przed koniem, aby go rozjechał.

Z harmonią i śpiewem pojechali przez Jelonkę i Kleszczele aż do Kośnej, gdzie miał odbyć się ślub. Do cerkwi w Kośnej dotarli w ciemnościach, gdyż zimowy dzień jest króciutki, a goście nigdy się nie spieszą mając pod nosem gorzałkę i żarcie. Panna młoda ze swoim weselem już czekała i, jak mówiła, bała się, że nie przyjadą. Po drodze, dojeżdżając już do cerkwi, wypadła z wozu rodzona siostra młodego Natalia i została poturbowana. Ale w tym ferworze nikt takim „głupstwem" się nie przejmował. – Żyje? – Żyje! No to czego jeszcze trzeba?

Natalia była bardzo wytrzymałą dziewczyną i po dziadku ze strony ojca – krzepką. Kiedyś, jeszcze w dziecięcym wieku Natalia popadła w stado koni wracających galopem z pastwiska. Wiesiek też znalazł się w ich środku, ale machając kijem powodował, że go omijały, a Natalię turlały kopytami z pięćdziesiąt metrów i nic. Wstała, gdy stado przebiegło i pobiegła płacząc do domu. Tu też podniosła się z ziemi ze śmiechem i wyrzutami wobec samej siebie, iż jest niezdarą. Później widać było, że kuleje i trzyma się za boki, ale nikt głośno nie zwracał na to uwagi i nikt nie współczuł. Wylizała się i dożyła

do sześćdziesięciu czterech lat, choć przy końcu życia była przy złym stanie zdrowia. Pogrzeb odbył się w dniu urodzin Wieśka.

W cerkwi podskoczyła do Wieśka jakaś młoda, strojna niby wierzba dziewczyna i przypięła mu do klapy białą kokardę. Okazało się, iż była to starsza druhna Oli, Katarzyna Sukaczuk. Po długiej ceremonii cerkiewnej całe weselisko pojechało do domu rodziców panny młodej na obiad. Tam znowu polała się wódka i zaczął weselny szum, ale zanim to nastąpiło, starsza druhna wręczyła Wieśkowi tekst wiązanej mowy, którą on miał wygłosić zgodnie z rytuałem w odpowiednim momencie. Ten tekst chodził z rąk do rąk i na pewno gościł nie na jednym weselu. Słowa tego tekstu nie nosiły cech poezji i rymy były częstochowskie, ale miał on ogromne wzięcie w narodzie, gdyż zawierał myśli prawdziwe, proste, a jednocześnie powiewało z niego jakąś tajemniczością. I właśnie ta tajemniczość, wynikająca ze słów jakiegoś domorosłego poety kazała ludziom słuchać go ze wstrzymanym oddechem. Wiesiek stał pośrodku chaty i czytał, a naród z uwielbieniem w oczach patrzył nań. W sieniach i pod oknami też było pełno ludu, aby zobaczyć młodego i jego drużynę. Słyszało się dolatujące z sieni słowa: – O, ależ fajnego chłopca Ola sobie wybrała! A popatrzcie, jaki fajny starszy swat, a jak pasuje do naszej Kati, oho!

W pewnym momencie żukowscy chłopcy wparowali do sieni i podali zapiskę panu młodemu z żądaniem pięciu litrów wódki za dobre wychowanie Oli. Wiesiek, gdy przeczytał tę karteczkę, próbował się targować, aby chłopcy z sieni zniżyli cenę. Ale Paweł bez słowa przystał na ich żądanie i obeszło się bez bicia okien. Chłopaki popili, pojedli i razem z weselnikami bawili się na zabawie. Mało tego, Paweł przez całe życie wśród tej społeczności miał mir i uchodził za bardzo porządnego człowieka.

Po weselu, gdy Wiesiek miał już odjeżdżać do Białegostoku, Paweł pochwalił się ile mu rzucono grosiwa na wspomaganie. Nie omieszkał zaznaczyć, że ojciec chrzestny jako jedyny położył mu pięćset złotych. Wiesiek nic nie odrzekł, ale zrobiło mu się pewnie tak samo przykro, jak było przykro Jurkowi pozostawiać miejsce

starszego swata, gdy Wiesiek wszedł do weselnej chaty. Wiesiek przecież wiedział, że to była jego pięćsetka, a nie ojca chrzestnego.

Wesele Pawełka nauczyło Wieśka być sknerą, ale trzeba też opowiedzieć jak za to zapłacił, bo daj czy rzuć to i tak jeden diabeł. Już kilkanaście lat później zjawił się u niego w Białymstoku kolejny cioteczny brat i poprosił za kuma. Wiesiek wypierał się, że jest oficerem i członkiem PZPR, a więc nie wypada wchodzić mu do cerkwi, tym bardziej podawać dzieci do chrztu. Ale cioteczny brat nalegając użył najmocniejszego argumentu mówiąc, że odmowa spowoduje, iż dziecko nie będzie szczęśliwe. Na takie dictum Wiesiek zgodził się, bo nie chciał aby z jego powodu ktoś, a tym bardziej niemowlę było nieszczęśliwe.

I tak jesiennej niedzieli Wiesiek z kumą Helą powieźli dzieciaka do cerkwi w Korninie, aby batiuszka nadał mu imię zgodnie z prawosławnym rytuałem i jak Pan Bóg przykazał. Batiuszka odprawiał modlitwy, a w pewnych momentach trzeba było razem z nim się żegnać – Wiesiek tego nie czynił. Po zakończonej ceremonii chrztu, w luźnej rozmowie ksiądz zapytał: – Przepraszam pana, czy mogę wiedzieć jakiego pan jest wyznania? Chyba katolickiego, bo widzę, że nie prawosławnego. Wiesiek odpowiedział, że jest bezwyznaniowcem. Ksiądz z zażenowaniem wyraził myśl, że dzieci chrzci się według wyznania ich rodziców, ale jest to wasza sprawa – dodał. Wiesiek zapłacił za chrzest i dał sto złotych kobiecie, która ceremonię chrztu dopełniała pięknym śpiewem, kuma Hela zawinęła maleńką Irenkę w pieluchy i koronki, i hajda do Korytysk, aby rodzicom i gościom prędzej przywieźć wiadomość o nadanym imieniu.

Po suto zakropionym wódką obiedzie, wyznaczona babcia przygotowała półmisek wyścielony serwetką (nie wiadomo dlaczego nie miskę z kaszą jaglaną, jak w Grabowcu), do którego goście mieli wrzucać pieniądze w odpowiedniej chwili, gdy w większości wiosek jest śpiewana pieśń *Oj, czyj to horod ne horodżany, ne tynowany...* Kum mia być pierwszy, więc wszyscy co chytrzejsi krewni wybałuszyli oczy, ile to on wrzuci – żeby nie za dużo, bo i im nie będzie wypadało dać mniej. A on, zamiast wyciągnąć papugę stuzłotówek i pod-

niósłszy do góry, jak to robią niektórzy, położyć z szykiem na talerzu, wyjął z kieszeni dwadzieścia złotych i brzdęk na talerz. Zrobił to bezmyślnie ponieważ tak bardzo bolała go głowa, że nie zastanawiał się nad tym co czyni.

Część gości osłupiała, chociaż wszystkim było na rękę, że nie muszą wysilać się z datkami. Ale oto jeden z gości złośliwie zauważył: – Coooo? Taki sławny kum i kładzie na talerz dwadzieścia złotych? Wieśkowi jakby po mordzie dał przy wszystkich. Ale kuma też położyła dwadzieścia, jej mąż, który siedział obok tak samo tyle. Wszyscy szli za przykładem kuma. Skonfundowany i skompromitowany Wiesiek na takie dictum gościa z naprzeciwka zaproponował, aby powtórzyć składkę. Wtrącił się jednak ojciec nowo ochrzczonej Irenki i powiedział, żeby się nie wygłupiali, bo jemu nie chodzi o pieniądze lecz o dobrą gościnę i o szczęście dziecka. Może goście bezfunkcyjni bawili się dobrze i beztrosko, bo było co wypić i czym zagryźć, ale Wieśkowi było nie do zabawy. Był skompromitowany, zawstydzony i aż do mdłości bolała go głowa. Był to rok dlań tragiczny finansowo, lecz kogo to obchodzi.

Siedział za stołem na honorowym miejscu i, nie zważając na brzęk szkła oraz zachęcające *Nu, to na zdorowje!*, kolejny raz żałował, że dał się wciągnąć w kumy i na pewno stał się powodem drwin na długie lata. Odechciało mu się pić i jeść. Gniewała go radość gości i bezczelność w piciu. Po prostu zazdrościł im wesołości, będąc tylko figurantem za stołem zastawionym wiejskimi przysmakami. Wreszcie, w którymś tam momencie, znająca się na rytuale babcia powiedziała do kumów, że już trzeba śpiewać *Mnohaja leta*, co odpowiada polskiemu Sto lat! A w czasie tego śpiewu kum powinien roztrzaskać o stół podany mu talerz. Boże, gdy babcia podała mu ten talerz i z uśmiechem nakazała, aby talerz rozleciał się w drobny mak, Wiesiek aż ożył. Złapał talerz oburącz i tak nim trachnął o stół, że istotnie rozsypał się w drobny mak, a goście uderzyli w dłonie, że to niby z kuma taki zuch, a dziecko będzie szczęśliwe.

Irenka okazała się bardzo ładną dziewczyną, jak i jej dwaj bracia – Janek i Włodek. A gdy wychodziła za mąż to już było zupełnie

inaczej, wielu się skompromitowało ale nie Wiesiek. Weselisko było huczne, młodych na progu chaty witano szampanem, który właśnie przywiózł Wiesiek z żoną, a nie tradycyjną gorzałką. A czy jest w życiu szczęśliwa? Kto to wie, przecież szczęścia, jak i pieniędzy nigdy nie jest za dużo. Ma męża, dwie córeczki, własny dom w Hajnówce i ojca Iwana, który jest najlepszym ciotecznym bratem Wieśka.

* * *

Pracując w białostockim KW - kontrwywiad Wiesiek był w stanie wykonać wszystko, co tylko przełożeni powiedzą, bo jeszcze w wojsku uwierzył, a teraz ostatecznie się przekonał, że władza ludowa to nie pusty dźwięk. A przede wszystkim podobało mu się, że Polska jest w braterskich stosunkach ze Związkiem Radzieckim. Zawsze kochał Związek Radziecki, więc tym bardziej miał do niego pretensję, że po wyzwoleniu zostawił jego wieś w Polsce. Wiedział, iż będzie musiał zginać plecy przed panami i służyć obszarnikowi za łaskawy kawałek chleba i poniżanie oraz to, że będzie musiał iść do wojska i czyścić buty panom oficerom i podoficerom, a oni będą go prać po mordzie. Teraz widział *Białorusów* oficerami i to nie tylko w wojsku, ocierał się o doradcę radzieckiego i kolegował się z łącznościowcami radzieckimi, wiedząc, że jego los będzie inny niż przed 1939 rokiem. Teraz nie tylko, że nosi mundur wojskowy, ale jest plutonowym i referentem WUBP, walczy z tymi co to zarówno nienawidzą ZSRR, jak i nie chcą władzy ludowej w Polsce – sługusami rządu londyńskiego, a więc burżuazyjnego, którego oddziały zbrojne paliły wsie białoruskie razem z ich mieszkańcami. A przecież to ten rząd w chwili napaści Niemiec na Polskę zwinął manatki, zabrał żony z papużkami i uciekł do Rumunii, pozostawiając żołnierzy w okopach, naród na pastwę losu, a Ojczyznę na zgubę. Co mu tam naród, burżuje ratowali swe cielska i zagrabione dobro...

Wiesiek i teraz, jak wówczas w KBW, był gotów w każdej chwili oddać życie za władzę ludową i nawet zostać kamikadze, jeżeli tego będzie wymagała Ojczyzna – Polska Demokratyczna. On na swe oczy widział, że chociaż rząd polski, to jednak nie taki jak przed wojną; na

równi traktuje *Białorusów i* Polaków. Piotr Antoniuk jest naczelnikiem ważnego wydziału. Wielu kierowników sekcji i grup operacyjnych też jest *Białorusami i* nikt do tego nic nie ma. Wszyscy razem gromią pozostałości po bandach reakcyjnego podziemia i wspólnie wykrywają wrogą działalność obcych wywiadów na terenie Polski, tym samym utrwalając swoją, bo ludową władzę. zarówno Polacy i *Białorusowie*, Litwini, Ukraińcy i inni organizują koła Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i prawie masowo, mowa oczywiście o pracownikach WUBP, wstępują w szeregi Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wiesiek nie chciał pozostawać w tyle – wstąpił do TPPR i cieszył się, że może jeździć rowerem po materiały do Zarządu Wojewódzkiego TPPR. Ósmego marca 1950 r. został legalnym, bo w wojsku było inaczej, członkiem PZPR, a po jakimś czasie, na zebraniu ZMP, przewodnicząca Zarządu Koła Raisa Nalegacz ogłosiła wszem i wobec, że Wiesiek pozostaje honorowym członkiem ZMP. Ta decyzja jeszcze bardziej uskrzydliła naszego plutonowego.

Teraz żałował, że w ankiecie personalnej nie podał korzystnych momentów życiorysu, ale trudno, przepadło. Jednak nadal wisiał nad nim cień macochy mówiącej o jego bezwartościowości i zajścia na zabawie, gdy ranił napastnika, który chciał przebić go bagnetem. To powodowało, że Wiesiek wolał by mówiono o nim jak najmniej, a i sam o sobie wolał nie mówić. Nawet przychodziło mu na myśl, że pewnego razu, w jednym z przeprowadzonych wywiadów przełożeni dowiedzą się o chuligańskim zajściu i oddadzą pod sąd, ponieważ zrodziła się wersja, że on tego chuligana nie zranił a zabił. Nikt mu z tym jednak nie dokuczał, ale z tego powodu Wieśkowi wcale nie było lżej. Wiedział, że żadna dziewczyna nie wyjdzie za niego za mąż i że każdy jego na pozór wesoły śmiech zostanie przez kogoś potępiony. Utożsamiał opinię nieludzkiej macochy z opinią swego obecnego otoczenia i bał się, że każdy jego krok, każde słowo zostanie szyderczo wyśmiane lub złośliwie przeinaczone i w odpowiedni sposób spożytkowane.

Wciąż myślał, że wywiadowcy zbierając opinię o nim w jego wsi dowiedzą się, iż był nazywany Berkiem Hubatym i dziesiątkiem in-

nych przezwisk i epitetów, które przeniosą na grunt wydziału, a to jeszcze i całego Urzędu. Ciarki go przechodziły na myśl, że z niego, zasłużonego plutonowego, koledzy i przełożeni mogą zrobić pośmiewisko. Tymczasem chyba się mylił, gdyż był traktowany poważnie i po ludzku, mimo grubych niedociągnięć w pracy operacyjnej w okresie początkowym. Uczestniczył w zebraniach partyjnych i nawet zabierał głos w dyskusji. A w pracy operacyjnej brał przykład ze starszych i bardziej od siebie doświadczonych kolegów. Niektórym zazdrościł ich wiedzy i umiejętności życia. Drażniły go tylko wieczorno-nocne zebrania, jak nie partyjne to jakieś inne. Ale czegóż to się nie robi dla zlikwidowania międzynarodowego imperializmu?! Pamięta jak jednej nocy jakiś major w mundurze wopisty godzinami o czymś truł. Gdy dostrzegł, że ten i ów kima, natężał głos i krzyczał, że ustrój socjalistyczny jest wyższy od kapitalistycznego, który trzeba wykorzenić do reszty i to na całym świecie!

Przyszła wiosna. Wiesiek otrzymał piękne gabardynowe umundurowanie i oficerskie trzewiki co spowodowało, że poczuł się śmielej i bardziej potrzebny. Nigdy nie myślał o zarobkach i godzinach pracy. Pracował ile trzeba, jak wszyscy, byleby podołać obowiązkom. Już się zżył ze środowiskiem i miał kolegów. Nadal jednak za najlepszego kolegę uważał Stefana, u którego początkowo mieszkał, a później często odwiedzał, jeżeli miał czas w niedzielę, gdyż do Stefana przychodziły znajome dziewczęta. Ale że Stefan już dawno był żonaty i miał dzieci, więc miał też inne obowiązki niż Wiesiek, więc ich spotkania były coraz rzadsze, ponieważ Wiesiek uznał, iż przychodzące tam dziewczęta, Gienia i Aleksandra, były dla niego za młode. W końcu kontakty prywatne ustały zupełnie. Gdyby wiedział kim po latach okaże się jego „najserdeczniejszy" kolega...

Mieszkając u państwa Sosnowskich przy ul. Przemysłowej, Wiesiek pokolegował się z Wiktorem Jakimowiczem, z którym spędzał wolne chwile. Chodzili czasami gdzieś za miasto i trenowali strzelanie z pistoletów TT. Tak się w tym wprawili, że bez pudła trafiali do kieszonkowego lustereczka z odległości kilkudziesięciu metrów. Wiesiek mógł sobie, jak zresztą i Witek, znaleźć bardziej cie-

kawe zajęcie, ale jakoś nie. Chociaż dzisiaj Wiesiek nie jest w stanie powiedzieć, czy Witek nie miał jakiejś dziewczyny, ale on nie. Tam gdzie mieszkał była fajna dziewczyna o imieniu Irena, ale była już studentką Uniwersytetu Wrocławskiego. Kiedyś na niedzielę przyjechała do rodziców i Wiesiek ją widział, nawet leżąc w łóżku – sam a nie z nią – zamienił parę słów. Nie znał jej stosunku do siebie, ale nie śmiał nawet z panną Ireną rozmawiać. Ona studentka – myślał – a ja nie mam nawet podstawówki. Pani Irena zaś prawdopodobnie właśnie po to zamieniła z nim parę słów, aby zorientować się kto zacz. Zobaczywszy, że rozmowy nie podtrzymuje, odeszła do swego pokoju i od tego czasu więcej się nie widzieli. Tym bardziej, że Wiesiek niebawem wyjechał do Warszawy.

Życie wciąż niby struna napięte

Któregoś razu wezwano Wieśka na rozmowę do szefa WUBP. Idąc tam myślał o najgorszym. Miał za sobą grzech i przypuszczał, iż właśnie opinia o nim dotarła już i do szefa. Teraz zapadnie decyzja co z nim zrobić, a to koniec jego przypuszczalnej kariery, którą sobie wymarzył. Bał się iść, ale co miał robić? Szef jednak przywitał się z nim i pokazał krzesło, na którym ma usiąść. Wiesiek wolał stać, bo chciał, aby rozmowa z przełożonym była jak najkrótsza. Ale nie, szef Mikuś usiadł za biurkiem i nakazał Wieśkowi zajęcie miejsca siedzącego, gdyż rozmowa będzie nader poważna. No to Wiesiek usiadł prawie automatycznie i zamienił się w słuch.

Major Mikuś bez zbytecznych wstępów zapytał plutonowego, czy zechciałby wyjechać z Białegostoku do Warszawy celem wykonania bardzo trudnego, ale jakże, jak mu się wydaje, zaszczytnego zadania. – Rozmawiałem już – kontynuował – z towarzyszem Antoniukiem, który zaproponował waszą kandydaturę z wielu powodów, ale najważniejsze jest to, żeście nie żonaci i bodaj najlepiej tu z nas wszystkich znacie się na wojsku. Wiem, że w wojsku zdobyliście odpowiednie wykształcenie wojskowe i stopień plutonowego...

– Tak jest obywatelu majorze – wszedł w słowo Wiesiek – ale tam na pewno trzeba człowieka wykształconego, a ja co?

– Na ile ja się orientuję – z kolei przerwał mu szef – to tam bardziej trzeba znać rzemiosło wojskowe niż maturę, którą niejeden się szczyci, a o wojsku nie ma pojęcia. Zresztą, teraz w naszym aparacie niewielu posiada średnie wykształcenie, bo przed wojną, wiecie jak dbano o kształcenie klasy robotniczej czy chłopów, do których należycie i w naszych organach przeważnie tacy są. Jest to pokolenie, które będzie musiało zdobyć się na nie lada wysiłek, aby pracując posiąść przynajmniej średnie wykształcenie, a nieodzowne będzie i wyższe. Jesteście jeszcze człowiekiem młodym i jeżeli tylko zechcecie dacie sobie wszędzie radę. Jeszcze jest i taki warunek, że kandydat do wykonania tego zadania musi być człowiekiem partii. Jeżeli nie chcecie żyć w Warszawie, to my was tylko oddelegujemy na jakiś czas, a potem będziecie mogli wrócić z powrotem do Białegostoku i tu się ożenić, założyć rodzinę, dom, a o pracy w naszych organach możecie być spokojni. Zameldujcie jutro naczelnikowi o swojej decyzji, a teraz możecie odejść.

– Obywatelu szefie, ja już decyzję podjąłem. Jadę.

– No to bardzo dobrze – rzekł szef wstając zza biurka. – W takim razie powiedzcie naczelnikowi, że nasza rozmowa doszła do skutku i szykujcie się do wyjazdu na nie mniej niż na rok czasu. Do widzenia, tylko nie zawiedźcie naszego zaufania, bo będzie nam wszystkim wstyd za was.

Wiesiek nie był przyuczony ani przyzwyczajony do czułych powitań, ani pożegnań. Jak na razie jego życie składało się z bardziej z przykrości niż przyjemności.

Zanim pojechał do Warszawy przeżył jeszcze jeden wstyd przyczyniony mu przez żonę Henryka Piętki, a wynikłą z jego własnej lekkomyślności. Pewnej karnawałowej soboty w kasynie była zabawa a Piętkowa na ten wieczór zatrudniła się w charakterze szatniarki. Wiesiek wychodząc z kasyna na wezwanie oficera dyżurnego ujrzał ją i zażartował: – A nie przemęczy się pani targając kożuchy? Z tej garderoby tylko głowa pani wystaje – i poszedł do wydziału. Tam jak

raz zastał Henryka i też to samo powtórzył, z tym tylko, że zapytał Heńka, czy jego żona musi się zajmować cudzymi ciuchami.

Nie wiadomo o czym to małżeństwo rozmawiało w domu i jak była postawiona sprawa wypowiedzi Wieśka. Dosyć, że któregoś razu Wiesiek zaszedł do kasyna na obiad, gdzie przy jednym ze stolików ujrzał Piętkową, ale zajął miejsce przy innym stoliku, przy którym siedział już dosyć podtatusiały mężczyzna i obierał pomarańczę. Gdy tylko Wiesiek usiadł, Piętkowa wstała zza stołu, wyszła na środek sali i dawaj okładać go najróżniejszymi świńskimi epitetami za obrazę jej w oczach męża i jego kolegów. Wiesiek gotów był pod ziemię się zapaść, gdyż jego zdaniem nic złego na nią nigdy nie powiedział. Z początku chciał udać, że to nie do niego, ale ona, żeby nie było wątpliwości o kogo chodzi – tyciała palcem w jego stronę. Wyłajała, wywstydziła i wyszła z kasyna. Ot tobie masz. To chyba za to, że wzgardził jej siostrą, a nie za „obrazę", bo takowej nie było.

Teraz pakując niechytry majątek do maleńskiej walizeczki, Wiesiek był zły na siebie, że nie odpłacił głupiej babie pięknym za nadobne. Ale co zrobić, skoro w chwilach zaskoczenia zapomina języka w gębie.

Odmeldował się u naczelnika, ale nie pamięta czy pożegnał się z kolegami i pojechał do Warszawy. Przed tym jednak uzgodnił z panią Sosnowską, że nadal będzie płacił za mieszkanie. Pani Sosnowska chętnie na to przystała, bo co jej szkodziło nie mieć lokatora, a mieć parę groszy? Wiesiek zaś ze swej strony miarkował, że może w Warszawie nie zagrzeje miejsca, a więc po powrocie do Białegostoku będzie miał gotowe mieszkanie i to niedaleko pracy.

Do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego Wiesiek dotarł jeżeli nie wieczorem, to na pewno głębokim popołudniem. Zgodnie z rozkazem zameldował się w gabinecie wicedyrektora Departamentu X, podpułkownika Józefa Światło. Podpułkownik był niewysokiego wzrostu, otyły i, na co Wiesiek zwrócił uwagę przy pierwszej rozmowie, miał brzydkie uzębienie. Przyjął Wieśka bardzo sympatycznie, ale rzeczowo i krótko. Zapytał skąd pochodzi, gdzie służył w wojsku i jaki posiada stopień. Po czym dał skierowanie do hotelu MBP przy

ul. Słonecznej. – To niedaleko stąd – poinformował – idźcie i odpoczywajcie. Gdy już wszyscy się zjadą, wówczas pomyślimy co z wami zrobić, a na razie, póki co spokojnie sobie mieszkajcie i zwiedzajcie Warszawę.

Z Koszykowej na Słoneczną rzeczywiście nie jest daleko, więc Wiesiek nie musiał szukać żadnego środka lokomocji, lecz prościutko aleją I Armii Wojska Polskiego pomaszerował w kierunku placu Unii Lubelskiej, niosąc swój skromniutki, żołnierski bagaż, którego nawet trochę się wstydził. Ale jest, niech będzie, może się przyda. W hotelu rozlokował się w przydzielonym sobie pokoju i cieszył się, że może mieszkać w takich warunkach – łóżko mięciutkie, pościel bielutka, a wszędzie nieskazitelna czystość, jak na gust kilkuletniego mieszczucha. Po parkiecie wprost bał się chodzić, bo ten stwarzał sytuację nie obeznanego z taflą lodową, na której w każdej chwili można było się rozciągnąć. Stołował się w restauracji na parterze hotelu i zwiedzał stolicę w pobliżu miejsca czasowego zamieszkania.

Stolica w dalszym ciągu robiła przygnębiające wrażenie, chociaż był tu nie tak dawno na kursie szefów kompanii. Wydawało mu się, że gruzów nie ubyło, mimo iż wszędzie wrzała praca. W okolicy ulic Marszałkowskiej i Litewskiej wciąż jeszcze sterczały powyszczerbianie kikuty zbombardowanych gmachów. Gdzieś w obrębie Nowego Światu, Młodzieży Jugosłowiańskiej i Powiśla były prowadzone intensywne prace przez hufce Służby Polsce i inne brygady robotnicze. Wieśkowi wydawało się, że stolicę trzeba będzie odgruzowywać przez dziesięciolecia, a co dopiero marzyć o jej pierwotnym wyglądzie. Tak rozmyślał, chociaż przedwojennej Warszawy nie widział chyba i na rysunku, a tylko słyszał na wykładach polityczno-wychowawczych i od kolegów warszawiaków. Po takiej wędrówce wśród gruzów i powyszczerbianych domów wracał do hotelu markotny i przygnębiony. Ale wygląd pokoju, jego estetyka oraz stołówka, a w niej zwinne kelnerki podające smaczne jadło, od nowa wlewały w Wieśka falę optymizmu i wracała nadzieja na dobre życie. Trwał jednak w napięciu: co z nim zrobią, po co go tu ściągnięto? Przypuszczał, że skierują go do szkoły wywiadowczej,

a następnie odprawią gdzieś za granicę lub jeszcze bardziej przeszkolą w dziedzinie wojskowej i poślą do jakiegoś ugrupowania komunistycznego walczącego o wyzwolenie swojego kraju z imperialistycznej niewoli.

Ciekawość sytuacji i napięcie nerwów prawie do ostateczności, nie pozwalały na normalne i spokojne spanie. Najdłużej trwały wieczory, gdyż w samotności nie wiadomo było co ze sobą zrobić. W restauracji goście hotelowi jakoś szybko się zaprzyjaźniali i wesoło spędzali wolny czas. Jak im dobrze – zazdrościł Wiesiek, – oni nie muszą przed nikim niczego ukrywać. Przyglądał im się i próbował analizować co kto może sobą przedstawiać. Interesowało go i to, że jakaś niemiecka czteroosobowa rodzina stołowała się w restauracji MBP, ciągle zasiadając przy tym samym stoliku i gniewało, że kelnerki oprócz normalnego jadła dostarczanego wszystkim gościom, jakby demonstracyjnie, nikogo się nie krępując, Niemcom dodatkowo przynosiły wino i pieczone kurczaki. Może to byli jacyś emigranci albo kto? Dosyć, że karmieni byli po królewsku, chociaż i tak wyżywienie było dobre.

Goście hotelu byli przeważnie cywilami, chociaż tu i ówdzie przebijali się wojskowi. No, może nie wszyscy ubrani w mundury byli wojskowymi, ponieważ oficjalni pracownicy MBP również chodzili w mundurach wojskowych różnych formacji. Wiesiek miał obowiązek być po cywilnemu i absolutnie z nikim się nie zadawać. Szczęście, że posiadał jaki-taki garnitur kupiony właśnie w Warszawie, gdy zdemobilizował się z KBW i parę koszul na zmianę. W sumie wyglądał schludnie, a nawet przystojnie, ponieważ szary kolor garnituru jakoś bardzo pasował do jego figury i kruczoczarnych włosów, o które zresztą Wiesiek nigdy się nie troszczył.

Wtedy jeszcze powszechnej wykwintności w ubiorach nie było. Społeczeństwo pozostawało na dorobku, a wieś równała się z miastem, a więc i Wiesiek mógł uchodzić za inteligenta pośród spotykanych na korytarzach czy w restauracji gości. Gdyby ktoś mu się bliżej przyjrzał, to by na pewno dostrzegł wiele uchybień w zachowaniu i sposobie jedzenia. Ale, prawdopodobnie, niewielu było ta-

kich wśród pracowników aparatu bezpieczeństwa, którzy z domu rodzinnego wynieśli aż tak staranną ogładę towarzyską, że mogli tworzyć Wersal. Ale bardzo wielu było ludzi nad wyraz skromnych, a to wzbudzało sympatię i przychylność do nich, a niekiedy i zwykłą pobłażliwość. W każdym bądź razie Wiesiek nigdy nie natrafił na takie chamstwo ze strony funkcjonariuszy UB, którzy znaleźli się w miastach ze wszystkich frontów walk, z oddziałów partyzanckich i z zahukanych wiosek, jak w 1987 czy 1988 roku w Komendzie Rejonowej MO w Białymstoku, gdy to oficer milicji w stopniu porucznika walił nogami w drzwi stołówki, bo kelnerki nie otworzyły tych drzwi za minutę trzynasta – nudząc się w biurze, nie mógł doczekać się obiadu. Wiesiek myślał, że jest to jednorazowy wybryk tego oficera. Ale gdy zapytał kasjerkę o tego rodzaju zachowanie, ta odpowiedziała, że tak dzieje się każdego dnia, jeżeli choć o minutę spóźnią się z otwarciem stołówki. No i jak tu można porównywać chłopców z pól i lasów z dzisiejszymi, zdawałoby się już obytymi i kulturalnymi oficerami?

W tamtych czasach wszyscy czuli się swoi i wszyscy byli między swymi, chociaż każdy przecież miał do wykonania w stolicy jakieś własne, odrębne zadanie lub, tak jak Wiesiek, oczekiwał na coś nieznanego.

Wywiadowca, pomny przykazań podpułkownika Światło, starał się wchodzić do restauracji wówczas, gdy było najmniej ludzi, czyli pod koniec każdego posiłku i nie wdawać się w żadne rozmowy, nawet z kelnerkami. Spożywał co mu podano i wychodził do pokoju lub do miasta. Jak to we wsi mówią: wolnemu – wola, a zbawionemu – raj. Co chciał to i robił.

Po paru dniach doszło do spotkania i zapoznania się całej grupy o tym samym przeznaczeniu. Okazało się, że w czasie zjeżdżania do Warszawy i zamieszkania w wyżej wymienionym hotelu wszyscy wywiadowcy mieli podobne zalecenie – z nikim się nie zadawać i nie nawiązywać kontaktów. Mieszkali i chodzili obok siebie nie wiedząc kim są. Przyjechali po jednym ze wszystkich WUBP, oprócz miasta stołecznego Warszawy. Ale tylko dwóch miało przeszkolenie

wojskowe – Wiesiek i jeden z trzech Janków. Wszyscy po skończonej podstawówce lub małej maturze poszli pracować do bezpieki. No i zrządzeniem losu znaleźli się w jednym pokoju hotelowym, zwołani przez pomocnika podpułkownika Światły, porucznika czy kapitana Brandta. Od tej pory byli razem i nawet niektórzy z nich zrobili sobie grupowe zdjęcie, ale dalej, chociaż już wspólnie żyli w niepewności – co dalej?

Fantazja każdego z wywiadowców szła w takim kierunku, w jakim najchętniej się lubował lub gdzieś czytał, albo słyszał już pracując. Wiesiek osobiście był przekonany, że zostaną skierowani na dłuższe przeszkolenie wojskowe, może nawet do szkoły młodszych dowódców, a później zostaną wysłani do jakiegoś wyzwalającego się państwa celem niesienia pomocy w jak najszybszym zrzuceniu imperialistycznego jarzma. A był przekonany dlatego, bo jeszcze w 1948 roku coś takiego słyszał. Mianowicie, po pododdziałach IV Brygady KBW rozniosła się fama, że wkrótce będzie nabór ochotników celem wyjazdu do Indonezji czy gdzieś. Konkretnie nie znał kraju, ale doskonale pamięta, że ochotnicy mają jechać do Marcosa. Później jednak ta pogłoska zacichła, a bodaj nawet była fałszywa, gdyż żadnej rekrutacji, przynajmniej w IV brygadzie nie było. Ale teraz na pewno po to tu nas zgrupowano – myślał, chociaż od komentarza się powstrzymywał, bo i bał się być wyśmianym przez innych.

W dyskusji na ten temat byli fantaści i przyziemni, optymiści i pesymiści, jak zresztą wszędzie. Pesymiści zbijali „fantazjerów" swymi wywodami w rodzaju: – Czego się bracie cieszysz nie znając powodu, dla którego tu jesteśmy? Żeby mieli nas zrobić wywiadowcami za granicą, to by na pewno wybierali ludzi bardziej wykształconych i specjalistów w różnych dziedzinach, którymi wywiady się interesują. Chyba, żeby posłali nas na kilka lat do szkoły wywiadowczej, to wtedy zgoda, bo dadzą nam odpowiednie przygotowanie teoretyczne – nauczą jak się posługiwać miniaturowym sprzętem fotograficznym i radiowym, jak dokonywać obróbki laboratoryjnej tych zdjęć, jak werbować obywateli danego państwa do sieci szpiegowskiej, jak posługiwać się tajnopisami, atramentem sympatycznym i wszystkie-

go, co jest związane z wykonywaniem funkcji wywiadowcy na terytorium obcych, wrogich nam państw. Przy tym pamiętajmy, że konspiracja za granicą odgrywa niepoślednią rolę, ponieważ takie kontrwywiady jak japoński, angielski czy amerykański jest bardzo trudno wyprowadzić w pole. One dysponują odpowiednio wykwalifikowaną kadrą pracowników, mają doskonały sprzęt radiowy, fotograficzny, podsłuchowy. A i pieniędzy też nie żałują, aby nie dopuścić na swoim terytorium działalności szpiegowskiej wywiadu radzieckiego czy zaprzyjaźnionych z nim takich państw jak Polska. I gdyby takich „speców" jak my ktoś zechciał wysłać za granicę w celach wywiadowczych, to byłoby jawne pozbycie się nas, to byłoby niczym nie uzasadnione przestępstwo. A czyż my zasłużyliśmy na to, by być skazanymi, i to jeszcze za granicą? – ironizował Wiesiek z Poznania. – Chociaż – dodał – nikt z nami się nie musi liczyć, bo też nikt za nami się nie ujmie z tej prostej przyczyny, że nikt za nami nie stoi. Ot, jesteśmy to jesteśmy, a gdybyśmy gdzieś się zapodzieli to i pies z kulawą nogą o nas by nie zapytał.

Wywody poznaniaka, jego wrodzony talent i sposób rozumowania wszystkich bardzo zainteresowały i równolegle pobudziły pozostałych do jeszcze większego wysiłku w fantazjowaniu.

Dyskusje trwały godzinami w dzień i w nocy, a z „góry", jak gdyby żadnego zainteresowania grupą. W ciągłym oczekiwaniu napięcie nerwowe sięgało zenitu i niektórych zaczęły ponosić nerwy. Bardziej wytrzymali i zrównoważeni, albo radzi, że nic nie robią, mówili: – A co, wam tu źle? Jeść dają, śpimy lepiej niż u rodzonej mamy, a więc o co chodzi? Przyjdzie czas, a dowiemy się po co tu jesteśmy. A póki co rwijcie na mieście warszawianki i używajcie, bo nikt z nas nie wie, co go czeka w najbliższej przyszłości i w cnocie może wykorkować.

– Oho! Kobiety jak raz dadzą ci trwać w cnocie. Ja ją straciłem jeszcze w dzieciństwie – zaśmiał się Janek z Olsztyna i zaczął opowiadać ze szczegółami o swym gorącym romansie z młodą mężatką, z którą pasał krowy. Chłopcy słuchali niby urzeczeni i każdy myślał o własnych przeżytych przygodach w tej materii, bo na pewno nie było takiego w tej grupie, któryby do tej pory nie przeżył chwili

uniesienia w postaci uczucia szlachetnego i tego wulgarnego, do którego są popychani młodzi chłopcy chwilową nieodpartą żądzą posiadania kobiety.

– To wszystko prawda co mówicie, że wszystkiego dowiemy się we właściwym czasie, ale dobrowolne skazanie się na nerwówkę? To już lepiej siedzieć w domu, wykonywać co przełożeni każą i mieć spokój. Z drugiej strony, każdy z nas już dorósł do żeniaczki i powinien to uczynić, aby jakoś zacząć stabilizować swe życie – nie bez tęsknoty filozofował Janek z Kielc. Jego może i nie całkiem poważne zdanie o żeniaczce, bo jeszcze każdy miał na to czas aby zakładać rodzinę, często nie mając własnego kąta, – zapadła w serce bydgoszczanina, który już od pierwszego wejrzenia nie budził w nikim z grupy sympatii, ponieważ na niczym się nie znał, a najczęściej filozofował udając mądrego i obytego w świecie. Otóż ów bydgoszczanin ni z tego, ni z owego oświadczył zupełnie poważnie, że musi wracać do domu, ponieważ ma narzeczoną, której w brzuchu coś kołacze. Chłopcy wybuchli śmiechem, że kolega w ten sposób dał pojąć, iż nie jest gorszy od Janka z Olsztyna, a Rysiek zapytał: – Co jej kołacze? Może spała na łące i żaba jej tam wskoczyła, co?

– O, o, żaba. Nie bądź taki mądry, bo moja narzeczona nie jest ze wsi, jak ty, żeby na łące spała.

– A co, wstyd spać na łące? To ty już się wypierasz, że w dowodzie osobistym masz cepa skrzyżowanego z widłami? To jest chamstwo! Tylko ktoś taki jak ty wyrzeka się swojego pochodzenia. osobiście nie chcę nikogo obrażać, ale bodaj wszyscy tu obecni pochodzimy ze wsi. Zresztą, o to może obrazić się tylko głupek – zaperzył się Rysiek. Ja jestem z miasta – wtrącił Władek, a reszta milczała.

Bydgoszczanin, żeby przekonać obecnych jak się odbywa kołatanie dziecka w brzuchu, bo został wyśmiany przez Ryśka, zaczął niezdarnie udowadniać: – O, tak stuka: stuk, stuk, tu, tu, tu. A jej brzuch drży, bo to będzie chłopiec. Wszyscy się roześmieli, a Rysiek nie dał za wygraną i poradził: – Jedź ty, bracie, do domu i nie psuj nam renomy. A gdy już będziesz w Bydgoszczy, to od razu zgłoś się do kadr i przyznaj się, że nie nadajesz się do pracy w naszych orga-

nach. Poproś, niechaj cię dadzą gdzieś do cegielni to może się nadasz do mieszania gliny. Chłopski filozof z Bydgoszczy chyba rzeczywiście wziął pod uwagę radę Ryśka, bo rzeczywiście po paru dniach wyjechał z Warszawy nic nikomu nie mówiąc i wszelki ślad po nim zaginął.

Kiedy tak chłopcy rozprawiali wróżąc co ich spotka w najbliższej przyszłości, Wiesiek słuchał i ze wszystkimi się zgadzał, bo diabli wiedzą, kto z nich będzie miał rację. Ale osobiście był przekonany, że się rekrutuje ochotników do pomocy prezydentowi Marcosowi na Filipinach. I kiedy nastąpiła przerwa w dyskusji, on z grupą podzielił się swymi przypuszczeniami, mówiąc: – Wiecie co, panowie? W wyniku zwycięstwa koalicji antyfaszystowskiej nad niemieckim faszyzmem i japońskim militaryzmem, narody świata postanowiły zrzucić jarzmo obcego panowania nad sobą i chwytają za broń, aby ze swoich ziem wypędzić różnych zaborców i kolonizatorów, takich jak Anglia, Francja, Holandia i inne, aby swój los wziąć w swoje ręce (Wiesiek wiedział to wszystko z wykładów polityczno-wychowawczych). Wśród narodów pragnących żyć samodzielnie i nie być wyzyskiwanymi przez obcy kapitał jest naród filipiński pod przewodem Marcosa. Jest to na pewno tajemnica państwowa, ale ponieważ panowie gubią się w domysłach, to i ja powiedziałem swoje przypuszczenie. A ono jest takie, że nas na pewno poślą na jakieś specjalne przeszkolenie i rzucą na Filipiny w charakterze wywiadowców.

Tę wypowiedź niektórzy podtrzymali, a inni skrytykowali, mówiąc, że tyle jest roboty w Europie, iż im bez Filipin starczy jej po szyję. Na Filipiny dadzą wytrawnych wywiadowców ze Związku Radzieckiego, a z Krajów Demokracji Ludowej mogą dać najwyżej jakieś jednostki wojskowe, aby orężnie pomogły gromić imperializm amerykański i jego popleczników. Uff – wspomina Wiesiek. – Trzeba było posłuchać, jak niektórzy dobierali słowa i ważyli je, jak gdyby mieli w kieszeni co najmniej dyplomy średniego wykształcenia. Szczególnie Władek ze Szczecina.

„Wybrańcy losu” żyli w napięciu i zbijali bąki. Od czasu do czasu przychodził do nich Mietek, podwładny podpułkownika Światły

i prosił, by byli cierpliwi. – Spokój i cierpliwość zostaną suto wynagrodzone – śmiał się.

– Tak, ale ile można żyć w napięciu i nie wiedząc co z nami zrobicie? – odezwały się dwa głosy.

– A co, wam tu źle? Zwiedzajcie na razie Warszawę i cieszcie się, że to właśnie wy zostaliście wybrani do wypełnienia tak ważnej misji.

– Owszem, ale czy misja będzie przez nas wykonywana w kraju, czy za granicą? – zainteresował się ktoś z grupy.

– Mogę was zapewnić, że za granicą, ale więcej niczego ode mnie nie wymagajcie, bo i tak nic nie powiem. Pułkownik zakazał.

Mietek okazał się sympatycznym i wesołym oficerem. Posiedział, powiedział kilka kawałów i poszedł, a chłopaki uderzyli w nowe koncepcje i rozgorzały nowe spory, nierzadko dziecinne. Aż oto zabrał głos Janek z Olsztyna. Był to chłopak wysoki, szczupły blondyn z nieustannym uśmiechem na twarzy i sympatyczny, a to mu zjednywało słuchaczy. Może to było też powodem, iż w szczenięcym wieku został niemal zgwałcony przez dużo od siebie starszą panią.

– Wiecie co? – powiedział, – jeżeli Mietek mówi prawdę, że będziemy wysłani za granicę, to moim zdaniem tylko po to, by nas „podpalić", że niby jesteśmy polskimi ciemnymi typami i zwrócić na nas uwagę kontrwywiadu. To znaczy tego kontrwywiadu, na czyim terytorium będziemy wysadzeni. A równolegle zaś z nami poślą prawdziwych, przygotowanych wywiadowców dla wykonania konkretnego zadania czy zadań...

– To co, według ciebie wyślą nas na przykład do Jugosławii i nie każą nic robić tylko chodzić po ulicach i wabić kontrwywiad? – ironizował Rysiek.

– Chciałbyś nic nie robić – replikował Janek – tylko przesiadywać w kawiarniach i trwonić państwowe pieniądze? O nie, bratku. To nic, że będziesz „podpalony", ale właśnie dlatego będziesz miał do licha zadań, po to, by twój kumpel mógł spokojnie zbierać wiadomości dużej wagi, potrzebne twojemu krajowi. Podychasz tylko tyle, ile będziesz potrzebny w rozgrywce. Jeżeli okażesz się neptkiem, czyli, jak

to w naszym żargonie się mówi, „płotką", wówczas „zdejmą" ciebie w każdej chwili i narobią szumu na cały świat, że taki to a taki kontrwywiad, czyli np. jugosłowiański, rozpracował i udaremnił dalszą szpiegowską działalność agentów polskiego wywiadu. Tymczasem polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych na wszelkie sposoby będzie dementować te wiadomości, podawane przez odnośne władze kraju twego czasowego pobytu. A przyparte do muru zebranymi niezbitymi dowodami twej szpiegowskiej działalności, żeby udowodnić swoją rację – wyrzekną się takiego wywiadowcy jak ty, żeby nie mrugać oczyma ze wstydu. A ciebie osądzą, zamkną w więzieniu i będziesz kitował, jak za zboże, wyznaczony ci wyrok.

Oto dlaczego wybiera się ludzi nieżonatych i najchętniej nie mających rodziny. A tyś, bracie, myślał, że jesteś wybrańcem bogów i zaraz posadzą ciebie w jednej z naszych ambasad, abyś „godnie" reprezentował Polskę nie mając o niczym zielonego pojęcia.

Ta, nikt nie wiedział – ironiczna czy poważna wypowiedź osadziła wszystkim smutek na serca, gdyż w gruncie rzeczy każdy z grupy wiedział co sobą reprezentuje w tak niebezpiecznej i pożerającej wszystkie rozumy dziedzinie, jaką pozostaje wywiad. To nie taki wywiad, który stosuje milicja chodząc po sąsiadach i wypytując o tego czy owego, wcale nie dbając o konspirację...

Trudno zresztą teraz pojąć jak się czuli i co myśleli ci chłopcy, nie znając wiszącego tuż nad nimi losu. Nie wiedzieli, a mimo wszystko byli gotowi podjąć jego wyzwanie. Świat też żył w napięciu, bo nie najlepiej wyglądała sytuacja pomiędzy dwoma obozami o różnych ustrojach społeczno-politycznych i nabrzmiałych wzajemnych uprzedzeniach, stykających się w Berlinie. W Azji Południowo-Wschodniej toczyła się wojna wyzwoleńcza w Wietnamie. Niepewna, a nawet bardzo napięta sytuacja panowała na Półwyspie Koreańskim. Zatem było widać, że istnieje wiele zapalnych i tlących się punktów pożogi wojennej, które pośrednio i nawet bezpośrednio tyczyły samej Polski Ludowej i jej sojuszników. Dlatego też ci chłopcy mogli się wszystkiego spodziewać, nie wykluczając i tego, iż rzeczywiście mogli być wysłani za granicę, jako ochotnicy do jakiejś armii walczą-

cej z kolonializmem, chociaż niekoniecznie w charakterze zwykłych zabijaczy. Tym bardziej, że coraz to nowe wiadomości prasowe biły na alarm o grożącym konflikcie zbrojnym w Korei i w Berlinie, gdzie czołgi byłych aliantów ustawiały się na przeciw siebie na długość lufy i tylko czekały na rozkaz otwarcia ognia.

Napięcie na świecie rosło do czerwoności i u ściągniętych do Warszawy chłopaków też. W związku z tą sytuacją prawie jednogłośnie zgodzili się z tym, że zostaną skierowani właśnie na Półwysep Koreański, w ramach bratniej, internacjonalistycznej pomocy, gdyż było wiadomo, że Amerykanie się wtrącą. Tymczasem...

...Nic z tych domysłów

W połowie czerwca, w asyście dwóch już znanych oficerów, przyszedł do hotelu podpułkownik Józef Światło i całą rzecz wyświetlił. Przede wszystkim przeprosił za długie trzymanie w napięciu – Ale – powiedział szczerze, – musieliśmy dopełnić wiele formalności, jak sami wiecie takich wypadkach jest przyjęte. Tym bardziej, że każdy z was musi być czysty jak kryształ, gdyż powierzone wam zadanie nosi znamiona wagi państwowej. Po sprawdzeniu każdego z was mamy pewność, że tę misję możemy śmiało wam powierzyć. Wiem, że Mietek obiecywał wam – ciągnął Światło – wyjazd za granicę, ale on tylko żartował, żeby was trzymać w jeszcze większym napięciu. Ja mu za to natarłem uszu, bo myślę, że u was napięcia i tak nie brakowało. Na zagranicę macie jeszcze czas. Na razie, towarzysze, trzeba będzie popracować w kraju, ale też w charakterze wywiadowców, czego już dłużej przed wami, towarzysze, nie będę ukrywał.

Podpułkownik mówił dużo i z patosem o niebezpieczeństwie grożącym Demokratycznej Polsce ze strony zewnętrznej jak i wewnętrznej reakcji. – Żeby temu zapobiec musimy ich przechytrzyć i poobcinać skrzydła, odrąbać pazury. Wasze długie oczekiwanie było podyktowane między innymi i tym, że musieliśmy jeszcze raz zweryfikować i dopracować naszą taktykę działania przeciw imperialistycznym agentom tu, na terenie Warszawy, w powiązaniu z całym tery-

torium kraju. O co konkretnie chodzi powiemy wam nieco później, gdy przejdziecie odpowiednie przeszkolenie w jednej z jednostek garnizonu warszawskiego. Otóż, nie bądźcie zaskoczeni, że ubierzemy was, towarzysze, w mundury wojskowe, ale wszystkich jako szeregowców i po cichu, w odpowiedni sposób wprowadzimy do wybranej jednostki. Wiemy, że poza towarzyszem plutonowym ciężko wam będzie w tym wojsku, bo żeście w nim nie służyli, ale nie padajcie duchem, jakoś sobie poradzicie. Przede wszystkim chodzi o to, żebyście się wśród żołnierzy waszej kompanii nie zdemaskowali kim faktycznie jesteście. O waszym desancie w prostej linii wie tylko dowódca brygady i dowódca kompanii, do której zostaniecie wprowadzeni. Ubranie was w mundury i wprowadzenie do jednostki załatwimy już dziś. A teraz posłuchamy kogo zaproponujecie na swojego dowódcę grupy. Podajcie kandydaturę, niechaj będzie demokratycznie, ale my ze swej strony też mamy propozycję. Niemniej czekamy na wasz wybór – kończył Światło i usiadł.

Wstał Władek ze Szczecina i na dowódcę grupy wywiadowców zaproponował... Wieśka. Uzasadnił to tym, że Wiesiek jest najstarszy stopniem. Wszyscy się z tym zgodzili, a Światło zapytał Wieśka, czy zgadza się przyjąć tę, całkiem niełatwą funkcję. Wiesiek nie spodziewał się czegoś podobnego i był zaskoczony, ale co miał robić, skoro koledzy obdarzyli go aż takim zaufaniem. Wstał i powiedział: – Nie znam jeszcze obowiązków i zadań, jakie grupie wyznaczono, ale skoro towarzysze i kierownictwo MBP zaufało mi, to zgadzam się być dowódcą. Frazesów wyniesionych ze szkoleń polityczno-wychowawczych Wieśkowi nie brakowało i był gotów na wszystko za ojczyznę. Z takich jak on w Japonii właśnie tworzono grupy samobójców zwanych kamikadze. Wiesiek brak wiedzy ogólnej nadrabiał patosem i bezgranicznym oddaniem władzy ludowej.

Podpułkownik pogratulował grupie wyboru i powiedział, że propozycja Władka jest identyczna z jego propozycją. Można przypuszczać, że wybór Wieśka na dowódcę grupy był uzgodniony zawczasu. Trzeba też zaznaczyć, że w wyniku „odsiewu" w grupie pozostało tylko ośmiu wywiadowców, którzy stanowili grupę czyli drużynę „woj-

ska" mającego się desantować w wyznaczonej i uzgodnionej jednostce.

Pewnego pięknego czerwcowego wieczoru pod bramę koszar przy ul. Podchorążych pomaszerowało dwójkami ośmiu wybrańców. Już było po capstrzyku, ale dowódca odpowiedniej kompanii czekał na nich przy bramie. Kiedy Wiesiek zameldował przybycie grupy, porucznik N. poprosił ich do bloku rozmieszczenia swej kompanii i nakazał bez szmeru położyć się spać, ułożywszy mundury w przepisową kostkę. „Kostki" przepisowe nie były, bo Wiesiek nie miał za dużo czasu, aby ich tego nauczyć, ale nikt nie miał pretensji.

W czasie szkolenia wojskowego chłopcy spisywali się na schwał, jeżeli chodzi o dyscyplinę i posłuszeństwo. Natomiast, poza Wieśkiem, żal było patrzeć na ich marsz i ćwiczenia z bronią. Oficerowie widząc ich, pożal się Boże, ćwiczenia, nie mogli dojść skąd się wzięło takie wojsko. Nazywali tę grupkę desantowców ćwiczących musztrę w składzie plutonu czy kompanii wojskiem świętej Jadwigi i śmieli się lub złościli. Ale drużyna jak jeden mąż udawała tylko co powołanych rekrutów i basta. Natomiast Wiesiek czuł się starym wiarusem.

Któregoś razu w czasie nocnego alarmu batalion ustawiono kompaniami na placu koszarowym, gdzie podoficerowie jak zawsze mają najwięcej do gadania i nawet ubliżania swoim podwładnym. Wiesiek usłyszał jak jeden sierżant nazwał żołnierza ciulem i ofermą. Nie wytrzymał i głośno zauważył: – Panie sierżancie, skończyły się czasy, kiedy żołnierzami poniewierano niby bydłem. Teraz, kiedy ministrem obrony narodowej stał marszałek Rokossowski, nie wolno poniżać godności człowieka.

Sierżant o wyglądzie pedanta podskoczył do Wieśka i też zaczął go „ustawiać". Nadszedł dowódca kompanii i przerwał ceremonię pomiędzy „jakimś rekrutem" i sierżantem. Skończyło się na tym, że w dzień przyszedł do kompanii ów sierżant i płaszczył się przed Wieśkiem. Widocznie dowódca kompanii powiedział mu trochę kim są ci „rekruci". Wiesiek powiedział mu, że nigdzie z tym nie pójdzie, ale wystarczy pomiatać żołnierzami w sposób zupacki. Rozstali się więc „w przyjaźni".

Po dwóch tygodniach szkolenia „rekruci", jak niespodziewanie pojawili się tak też niespodziewanie znikli, też w nocy, bez żadnego rozgłosu.

Jeden z oficerów X Departamentu cichcem wprowadził umundurowanych wywiadowców do zawczasu przygotowanego lokalu konspiracyjnego, który mieścił się za willą kardynała Stefana Wyszyńskiego przy ul. I Armii Wojska Polskiego, gdzie mieściły się garaże niektórych jednostek MBP. Tam żołnierzy zakwaterowano i kazano czekać na jutrzejsze przyjście do nich podpułkownika Światło.

Nazajutrz do miejsca zakwaterowania wywiadowców przybył J. Światło i, będąc w dobrym humorze, zapytał jak przebiegało szkolenie i czy nie nastąpiła dekonspiracja. – Bo jeżeli chodzi o zadanie, które wam powierzamy, to w oczach żołnierzy, którzy was ewentualnie poznają na ulicy nie stanowicie atrakcji czy sensancji. Tym bardziej, że żołnierze nie mają pojęcia o naszej pracy. Nie wolno wam jedynie z nimi kolegować się i wprowadzać do miejsca zamieszkania, gdyż jest to lokal konspiracyjny, od dzisiaj przeznaczony niby na potrzeby wojska, żeby plączący się tu kierowcy nie domyślali się o waszym i naszym zadaniu. Dlatego ja do was przychodzę niezauważenie i tak będzie nadal. Kontakty nasze będą się ograniczały do niezbędnych narad, a komunikaty, które będziecie codziennie sporządzać, będziecie oddawać do kiosku „Ruchu", który wam wskażemy. A teraz do dzieła.

Otóż zostaliście sformowani w grupę żołnierzy KBW, którzy dotychczas stali na posterunku i ochraniali byłego ministra obrony narodowej, marszałka Żymierskiego, który jest podejrzany o to, że może chcieć dokonać przewrotu wojskowego albo w dogodnej sytuacji prysnąć za granicę i tam organizować kampanię antypolską. Będziecie stać na posterunku, lecz zadanie wasze będzie odmienne od tego, które pełnili żołnierze KBW. Waszym zadaniem będzie obserwowanie każdego kroku marszałka – wiedzieć kiedy i, w miarę możliwości, gdzie wyjeżdża, z kim wyjeżdża (tu brać pod uwagę żonę i córkę) i który kierowca go wiezie. Do waszej wiadomości

podaję, że Żymierski posiada do dyspozycji dwa samochody, dwóch szoferów i adiutanta w stopniu majora. Jeden z kierowców nazywa się Zybert, drugi Linek, a stary major w stanie spoczynku, który zawsze chodzi po cywilnemu nazywa się Zięba. O nich wam wolno wiedzieć tylko tyle ile sami powiedzą. Nie wolno wam ich indagować. Do rozmowy z Ziębą i kierowcami wytypujemy waszego dowódcę, który swobodnie będzie mógł zaprosić każdego z nich do restauracji i co nieco wyciągnąć. Ale uważajcie, – tu zwrócił się do Wieśka, – aby nie przeholować w wyciąganiu wiadomości. Róbcie to ot tak sobie, niby od niechcenia. A wiadomo, że przy gorzale języki się rozwiązują – uśmiechnął się raczej ironicznie wicedyrektor X Departamentu. – Na pobyt w restauracji pieniądze dostaniecie, chociaż nie powinniście nigdy przedawkować. Uczcie się od Anglików, oni są flegmatyczni i nigdy wam drugi raz nie zaproponują kielicha, jeżeli powiedzieliście „starczy". Ot, postawcie po setce, śledziku i ewentualnie kawę. Nie upierajcie się, bo będzie podpadające, kiedy oni wam zaproponują rewanż. Poza tym wy, towarzysze, będziecie żywili się z kotła żołnierskiego przynosząc sobie żarcie z jednostki, a to ma i tę dodatnią dla konspiracji stronę, iż wszyscy się przyzwyczają, że jesteście normalnymi kabewiakami, trzymającymi straż przy byłym ministrze, ale wciąż marszałku Polski. Natomiast wasz dowódca dla prestiżu będzie otrzymywał ekwiwalent na jedzenie w restauracji. Taki już jest los każdego dowódcy. Dowódca otrzyma też krótką broń palną, a wy wszyscy automaty, takie same jakie są w chwili obecnej na wyposażeniu brygady KBW. I pamiętajcie, że macie nie przeszkadzać, a pomagać zgłaszającym się do was na posterunek oficerom operacyjnym, którzy będą mieli różne zadania do wykonania w willi rodziny „Roli" czy w jej obrębie. Zaraz przyjdzie na umówione miejsce oficer z brygady, który przekaże protokolarnie ten posterunek waszemu dowódcy i od tej pory obiekt przechodzi pod waszą opiekę.

Wiesiek poszedł na wskazane miejsce i od porucznika KBW przyjął posterunek, podpisując akt zdawczo-odbiorczy w trzech czy czterech egzemplarzach. Po czym zabrano wartownika – żołnierza służby czynnej, a Wiesiek postawił wartownika – wywiadowcę apa-

ratu bezpieczeństwa publicznego, z zadaniem nieustannej, całodobowej inwigilacji niedawnego ministra obrony narodowej, w przeszłości dowódcy Armii Ludowej i członka Krajowej Rady Narodowej.

Marszałek Żymierski miał żonę i jedną córkę, może o parę lat młodszą od wywiadowców. Wywiadowcy szybko zaprzyjaźnili się z adiutantem, majorem Ziębą, który okazał się człowiekiem bardzo życzliwym, lubiącym żołnierzy, wódkę i kobiety. Z kobietami było najwięcej kłopotu, ponieważ czasami trzeba było regulować ich przepustowość. Miał swą pakamerę adiutancką wybudowaną od ulicy, bo willa Żymierskich stała w głębi podwórza. Do majora Zięby każdego wieczora przychodziło po kilka kobiet. Dobrze, jeżeli wyszedł i powiedział żołnierzowi, aby nikogo na podwórko nie wpuszczał. Ale gdy zapomniał, w adiutanckim pomieszczeniu słyszało się krzyki, płacz i wyzwiska. Wypadał wówczas z mieszkania i łajał wartownika za „podłożenie mu świni". A wartownik bronił się, że jest Bogu ducha winien. Nazajutrz kończyło się to śmiechem i kręceniem głowy ze strony majora, jakie to te baby są durne. W lokalu zaś komentowano te scysje i wszystko szczegółowo opisywano dla Światły. Pan Zięba też bodaj pochodził ze wsi lub posiadał tam kogoś krewnego, ponieważ czasami przywoził ze wsi wędliny i częstował chłopaków, z którymi się zżył jak wojak z wojakiem.

Wiesiek zaś, wykonując zadanie, próbował namawiać kierowców Żymierskiego na piwko do restauracji „Pod Dwójką" przy ul. Marszałkowskiej. Zybert nigdy nie skorzystał z zaproszenia, wymawiając się obowiązkami rodzinnymi lub innymi. Natomiast Linek chętnie szedł do restauracji i był bardzo miły. W czasie rozmów mających na celu wydobycie potrzebnych informacji, Wieśkowi czasami udawało się dowiedzieć kiedy, dokąd i z kim marszałek wyjeżdża.

Tego rodzaju informacje też były bardzo potrzebne, ponieważ w czasie nieobecności całej rodziny marszałka odpowiednie komórki mogły wyczyniać wszystko co chciały z jego willą. Był tam założony podsłuch – już w pierwszych dniach objęcia posterunku przez chłopaków Józefa Światły. Ale przeszukania mogły być stosowane przy każdym ich wyjeździe. Chyba jednak Żymierski wyczuwał pismo no-

sem, ponieważ najczęściej wyjeżdżał tylko w towarzystwie kierowcy. Jeździł po całej Polsce, ale wcale nie było widać, iż prowadzi lub usiłuje prowadzić jakąś wywrotową działalność. Gdyby coś podobnego robił lub organizował pucz to byłoby wiadomo od razu, ponieważ nie zrobił kroku bez „opieki" Biura „A" i innych służb. W portach w pogotowiu stały ścigacze, na wypadek gdyby marszałkowi zachciało się „prysnąć" za granicę. Lotnictwo też było obstawione.

Wiesiek dobrze zapamiętał podpułkownika Józefa Światłę, wicedyrektora X Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, który zajmował się rozpracowywaniem członków rządu i góry partyjnej. Warto więc pokrótce scharakteryzować człowieka, który cieszył się nieograniczonym zaufaniem Jakuba Bermana i samego Bolesława Bieruta.

Podpułkownik Światło był wzrostu średniego, dosyć otyły, spokojny i rozważny w mowie, o wyraźnie semickim wyglądzie, palił dużo papierosów. W rozmowie z wywiadowcami ciągle wymagał wielkiego patriotyzmu i poświęcenia dla socjalizmu, a tym samym – dla ojczyzny. Kiedyś przyszedł do lokalu konspiracyjnego i dostrzegł, że Rysiek jest na lekkim rauszu. Od razu jakby coś weń wstąpiło – nie ten Światło. Usiadł przy stole i dalej prawić morały: – Widzę, towarzysze, że wykonując tak poważne zadanie, pozwalacie sobie na picie wódki. A czy pomyśleliście, czy wam choć raz przyszło do tych łepetyn, że wasi rodzice może nie mają za co kupić sobie czapki? Czy wiecie jak naród haruje, żeby się wyżywić i dźwignąć kraj z ruin? Czy wam, przychodzi do głowy, jakie zadanie stoi przed nami w dziele kolektywizacji wsi, a wy wódkę pijecie!

– Towarzyszu pułkowniku – odezwał się „winowajca" – ja mam wolne i pozwoliłem sobie na setkę wódki. Nie chodzę po restauracjach, ani po barach i nie świńtuszę, jak inni. Kupiłem ćwiartkę i we dwóch do obiadu ją „obaliliśmy". Czy to aż taki grzech, towarzyszu pułkowniku?

– Grzech, bo nie spodziewałem się, że w biały dzień moi chłopcy pozwalają sobie na zakrapiany obiad. Jeżeli jeszcze raz coś podobnego zobaczę, albo się dowiem, nie będę zważał na nic, a odeślę do ma-

cierzystej jednostki z opinią o nieprzydatności do pracy w kontrwywiadzie.

To była pierwsza i ostatnia tak ostra uwaga tego wysokiego funkcjonariusza w stosunku do kogokolwiek z grupy. W stosunku zaś do Wieśka Światło nigdy nie miał żadnej uwagi. Widocznie tolerował go takim jakim był.

W czasie trwania wojny koreańskiej, która tylko co wybuchła, sytuacja w grupie nie uległa żadnej zmianie, a marszałek Żymierski był tak samo inwigilowany. Natomiast śmielej poczuli się ludzie czy organizacje działające przeciw władzy ludowej, zwłaszcza wtedy, gdy Ameryka wysłała swe okręty na pomoc Seulowi. W ogromnej szybie Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki przy placu Unii Lubelskiej wisiała mapa Korei, przy której każdego dnia z rana gromadziły się grupki osób, aby sprawdzić jak są ustawione chorągiewki wyznaczające front pomiędzy Koreą Północną i Południową. Nie można ukryć, że w wyniku przesunięcia się frontu w kierunku południowym sporo ludzi cieszyło się, iż Północ, czyli Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna posuwa się do przodu, inni odchodzili bez słowa. Wiesiek i jego koledzy też szczerze byli uradowani początkowymi sukcesami Północy i każdego dnia analizowali mapę, bojąc się aby coś się nie zmieniło. Przede wszystkim chodziło o to, aby nie wywołano pożogi światowej, gdyż jeszcze od poprzedniej, która w Europie zakończyła się pięć lat temu, kraj jeszcze nie odetchnął. Prawda, że gruzy z ulic miast zostały usunięte, a w Warszawie nawet oddano do użytku Trasę W-Z, ale kikuty rozstrzelanych kamienic sterczały zarówno we Wrocławiu jaki i w Warszawie. Wiesiek w wolnych chwilach, chodząc po ulicach w pobliżu placu Unii Lubelskiej, oglądał jak ogromne ciągniki przy pomocy grubych lin waliły szkielety zbombardowanych gmachów na ul. Marszałkowskiej i rogu Litewskiej, aby w ich miejsce mogły powstać nowe. Przykre było dla młodych i wcale nie doświadczonych chłopaków i to, że ludność stolicy gnieździła się w ruinach, piwnicach, szałasach i innych ruderach, a prymas Stefan Wyszyński w pojedynkę zajmował piętrową, czy dwupiętrową, willę przy Alei I Armii Wojska Polskiego 12, za którą w podwórzu mieścił

się ich lokal konspiracyjny. Jako duchowny i duchowy przywódca katolickich mas mógł udzielić przytułku kilku nieszczęsnym rodzinom. Ale gdzie tam...

Nie było zadaniem grupy siedzącej na zapleczu willi kardynała Wyszyńskiego zajmowanie się jego osobą ze strony X Departamentu, tym się zajmowali inni, ale mimo woli ruchy wokół willi były widziane i komentowane: – Dzisiaj w nocy znowu przychodziła do Wyszyńskiego jakaś babka.

– To chyba ta, która chodziła się spowiadać, iż bez zgody Wyszyńskiego oddała się mężowi – dowcipkował ktoś inny. A wszyscy zgodnie wyrokowali, że za takie postępki tak wysoki duchowny powinien być wyklęty.

Wiesiek, jak i każdy wywiadowca z jego grupy, był zameldowany fikcyjnie u jednego z pracowników X Departamentu, a mieszkał razem z grupą w lokalu, stołował się zaś w restauracji przy ul. Marszałkowskiej 2, gdyż celem zachowania jak najgłębszej konspiracji nie wolno mu było stołować się w żadnych stołówkach MBP i MON, chociaż chodził w mundurze z granatowym otokiem na czapce, o czym wszyscy wiedzieli, iż jest to formacja KBW. Mógł wprawdzie wybrać każdą inną na terenie miasta, ale to była jedna z popularniejszych jadłodajni w pobliżu jego miejsca pracy i zamieszkania. Jego częsta obecność w tym lokalu musiała zwrócić czyjąś uwagę.

Pewnego razu do Wieśka, mimo wolnych miejsc przy innych stolikach, podeszła urodziwa dziewczyna i zapytała czy może się przysiąść. Wiesiek nie widział powodu, dla którego można było odmówić miejsca przy „jego" stoliku. Tym bardziej, że dziewczyna była rzeczywiście ładna.

Jedli co każde sobie zamówiło, ale Wiesiek czuł się nieswojo w towarzystwie tej damy i operując widelcem spostrzegł, iż mu lekko drżą ręce. Powodu takiego stanu łatwo jest zgadnąć. Bystra obserwatorka też to dostrzegła, przystąpiła więc do realizacji celu, dla którego się dosiadła.

– Przepraszam pana plutonowego za niedyskrecję, ale widzę, że pan jest jakiś spięty lub czymś podenerwowany. Co się stało, czyżbym była tego przyczyną?

– Mało to jest powodów do złego samopoczucia albo zdenerwowania? – odparował plutonowy, aby w chwilę później wpaść w dumę, że to tak mu się udało odparować spostrzeżenie jakiejś dowcipnisi, która „musiała" przysiąść jak raz do jego stolika. Ta zgrabna odpowiedź dodała chłopcu animuszu i kolejny raz przypomniała, że mężczyzna powinien być mężczyzną i nie poddawać się zbytnim emocjom w każdej sytuacji.

Dziewczyna, usłyszawszy mowę przystojnego „czubaryka", bez mrugnięcia okiem ponownie zapytała: – Pan chyba z Wileńszczyzny? Wiesiek skłamał, że owszem z Wileńszczyzny i pomyślał, iż ciężko mu będzie prowadzić dysput na temat tego regionu, jeżeli ta gówniara zacznie go wypytywać. Ale na szczęście ona tylko udała, że się cieszy ze spotkania *ziemlaka*. – Ja też się urodziłam w Wilnie – oświadczył, – ale po zajęciu tego miasta przez bolszewików w 1939 roku rodzice z trojgiem dzieci przyjechali do Warszawy i już zostaliśmy na zawsze.

W czasie spożywania obiadu dziewczyna jeszcze kilka razy próbowała zachęcić Wieśka do rozmowy, ale ten się bał, że nie będzie się ona kleiła, gdyż każdy temat, poza wojskiem, będzie dlań nie na rękę, ponieważ on na niczym nie znał się tak, jak mogła to prezentować dziewczyna, którą pierwszy raz widzi. Żeby nie wydać się jej śmiesznym, wolał ograniczyć rozmowę do zdawkowych, „uczonych" odmruknięć, niż odsłonić swoje faktyczne czy domniemane dyletanctwo.

Po obiedzie dziewczyna zaproponowała, żeby przenieść się do jakiejś miłej, zacisznej kawiarenki, gdzie byłoby można spokojnie o wszystkim pogwarzyć. – Z panem tak świetnie się rozmawia – dodała bezczelnie z uśmiechem na pięknej buzi, nawet się nie rumieniąc. Na tę propozycję chłopak nie przystał z kilku przyczyn. Po pierwsze, obawiał się, że może go zobaczyć ktoś z przełożonych lub kolegów i donieść, że w godzinach pracy przesiaduje w kawiarni. Takie donosy rzeczywiście były, ale bez żadnych konsekwencji, gdyż

Światło Wieśkowi na to pozwolił. Po drugie nie chciał, aby przypadek zrządził, że zobaczy go jego stała dziewczyna, niedawno poznana w nocy na ulicy, pracująca w Instytucie Techniki Budowlanej przy ul. Narbutta, a więc niedaleko. A po trzecie nie znał przyczyny, dla której ta nieznajoma tak doń „przylipła". Ale, żeby nie wypuścić pięknego ptaszka z rąk, nie dowiedziawszy się kto zacz, Wiesiek wyparł się brakiem czasu na wspólne picie kawy i proponował, że spotkają się jutro w tym samym miejscu, a później oboje podejmą decyzję, jak spędzić wolne popołudnie. Dziewczyna udając, że niechętnie, a może nie udawała, ale zgodziła się, że następnego dnia o godzinie 14.00 zjedzą obiad „Pod dwójką".

Nazajutrz, o umówionej godzinie Wiesiek wszedł do restauracji i jak zawsze został pięknie powitany przez kelnera pana Rysia, humorystę, który Wieśka, jak matronę przy powitaniu całował w rękę, a ten się nie wzbraniał i obaj chichotali. Na sali, jak na zamówienie, wczorajszy stolik też był wolny. Oczekując na dziewczynę Wiesiek rozglądał się po sali, gdzie jak zawsze zresztą, siedzieli ludzie w różnym wieku, a przy niektórych ze stolików młodzi mężczyźni zachowywali się zbyt hałaśliwie, gdyż obalili już parę setek. Zrobiło mu się jakoś nieswojo, jak niegdyś, gdy nie dopilnował krowy, która weszła w szkodę, że oto on, wczorajszy wiejski oberwaniec, któremu obca była jakakolwiek kultura czy czyjeś współczucie, dzisiaj siedzi przy stoliku warszawskiej restauracji w mundurze podoficera Ludowego Wojska Polskiego i czeka na dziewczynę. Czyż nie wstyd mi tu zażywać burżuazyjnych przyjemności – myślał, – kiedy moi przyjaciele, z którymi służyłem w KBW w pocie czoła harują na roli? Czuł się niby wyrzutek społeczeństwa i aż ciarki biegały mu po plecach na tę myśl, że darmo zżera chleb przez tychże kolegów wyprodukowany. Koledzy, z którymi nie tak dawno uganiał się po lasach i górach, nawet nie pomyślą, że on siedzi w restauracji i za chwilę będzie pił kawę z miejską dziewczyną, która, kto wie, czy nie posiada średniego wykształcenia. Uspokoił się jednak, gdy pomyślał, że tak nie jest i ucieszył, iż nie jest pasożytem i żadnym tam wyrzutkiem społeczeństwa. Nie moja to wina, że spełniam taką funkcję jaką spełniam – myślał.

Żałował też, że jego koleżanki i koledzy ze wsi nie wiedzą, iż jest pracownikiem kontrwywiadu, ba – nawet dowódcą grupy, która działa w konspiracji dla dobra sprawy. Szkoda też – myślał podniesiony na duchu, – że nie można przed nikim się nawet pochwalić, iż wykonuję zadanie niegdyś należne wyższym sferom i mam zaufanie u przełożonych. Ot by zazdrościli. Oni myślą, że jestem wartownikiem...

Z rozmyślań w oczekiwaniu na dziewczynę wyrwał go męski głos: – Czy można się przysiąść?

Wiesiek podniósł oczy na mężczyznę, który stał przy jego stoliku, a ten intruz powtórzył: – Czy mam przyjemność z plutonowym Piotrowskim?

– Tak, słucham pana.

– Pan pozwoli, że usiądę?

– A czy koniecznie musi pan siedzieć jak raz przy tym stoliku?

– Tak, mógłbym usiąść przy innym, ale dziewczyna, z którą pan się wczoraj umówił jest moją córką. Niestety, Jola dzisiaj nie mogła przyjść, ponieważ zaszły nieprzewidziane okoliczności, więc prosiła mnie, abym pana przeprosił i przyjął pańską propozycję spotkania w innym terminie. Może być nawet jutro.

– No cóż, przykro mi, że panna Jola nie mogła przyjść. Ale spodziewam się, iż pańska córka jest porządną dziewczyną, skoro prosił pana, aby ją usprawiedliwić.

– O, to bardzo porządne dziecko i najmilsze z trojga jakie posiadam. Dwóch chłopców jest żonatych i mających swoje domostwa, a w nich po dzieciaku, natomiast Jola jeszcze jest z nami. Ale, at, tylko patrzeć jak wyfrunie niby pisklę z rodzinnego gniazdka. Martwimy się oboje z żoną, żeby nie złapała jakiegoś warszawskiego cwaniaka, bo zginie. Pragniemy żeby trafił się jej chłopak gdzieś z naszych stron, byłych kresów wschodnich, jak to mówią – zza Buga, tak jak my jesteśmy.

Wypowiadając te swoje „szczerości" przed plutonowym, domniemany ojciec domniemanej Joli zajął miejsce naprzeciwko Wieśka i dosyć głośno, tubalnym głosem zawołał kelnerkę, która niezwłocznie podeszła i zapytała: – Słucham pana hrabiego? Ten poczerwie-

niał i lekko mrugnął lewym okiem, odwróciwszy głowę do niej, żeby Wiesiek nie widział tego gestu. Ale wzrokowi Wieśka nigdy nic nie uszło, więc pomyślał: Oho, nie wiem co tu jest grane, ale trzeba mieć się na baczności. Mężczyzna u kelnerki zamówił dwie setki, dwie porcje karpia po żydowski, dwie porcje flaczków i wodę mineralną.

Po odejściu kelnerki od stolika mężczyzna, niby tłumacząc się przed plutonowym, powiedział: – Jaki tam ze mnie teraz hrabia. At, zna mnie z Wileńszczyzny, toj tak, po staremu tytułuje. Wiesiek nie wiedział co ma powiedzieć, a bał się rozszerzać temat, więc usprawiedliwienie puścił mimo uszu. Jednak, gdy ten deklarował się jako wileńszczuk i wyrażał swoją sympatię wobec dawnych Kresów Wschodnich, Wiesiek zauważył, chociaż nie za bardzo się rozeznawał w regionalnych żargonach, że facet wcale nie mówi tak, jak niektórzy jego koledzy z wojska, którzy pochodzili z Wileńszczyzny czy z terenów Białorusi, a nawet z Białostocczyzny. Trzymaj się człowieku na baczności – pomyślał, – ponieważ, prawdopodobnie ktoś próbuje zastawić na ciebie sieci, w które możesz wpaść niby płotka. Ciekawe, czego on będzie chciał, skoro zamiast przeprosić za córkę i odejść, zamówił poczęstunek, nie pytając mnie o zgodę? – nasrożył się plutonowy, nic po sobie nie dał poznać. Zachowywał się nad podziw naturalnie, jak już trochę nauczono go w wojsku i w dotychczasowej pracy.

Kelnerka przyniosła żądane potrawy i życzyła smacznego. „wileńszczuk" bez zbytniej ceregieli wychylił setkę i zaczął spożywać karpia dwoma widelcami, za co Wiesiek pochwalił Boga, bo doprawdy nie wiedział po co ta pani przyniosła po dwa widelce, zamiast dać każdemu po widelcu i nożu. Nigdy nie słyszał, że rybę je się dwoma widelcami, a noża można używać tylko do śledzia. U Wieśka z savoir vivrem było nietęgo, jak i u innych chłopców ze wsi, którzy dopiero stawiali pierwsze kroki na ścieżce cywilizacji. Z domu tego nie wyniósł, gdyż jego otoczenie nie zwracało najmniejszej uwagi co z czym się je, albo jak się je. Tam chodziło o najedzenie się. Kiedyś na jednym z wesel gospodyni postawiła na stole wieprzową galaretę w potężnej misie, a nie podała łyżek. Uczyniła to przez zapomnienie lub ze złości na „darmozjadów". No to chłopcy jedli gołymi rękoma i co im

zrobisz? Nawet nie dopominali się łyżek. Kiedy miska została opróżniona, ktoś postawił następną, ale łyżek już nikt nie doniósł. A tu jakieś ceregiele, czym co sie je. Wiesiek jeszcze na tyle „otrzaskany" nie był. Prawda, był wrażliwy i zwracał baczną uwagę, aby „strzelać" jak najmniej gaf, ale w swym otoczeniu nie miał od kogo brać przykładu. W Szkole Oficerskiej KBW uczono posługiwania się sztućcami i prawidłowego siedzenia przy wspólnym stole, lecz warunki wojskowe, z do ostateczności napiętym programem zawodowym, nie pozwoliły na osiągnięcie „Wersalu". Dlatego też Wiesiek w ogólnym zarysie wiedział, że istnieje forma poprawnego bycia przy stole, ale nie wiedział jak to się robi i był bardzo wdzięczny „wileńszczukowi" za wyręczenie go od kompromitacji, chociaż nic by się nie stało, gdyby Wiesiek zaczął jeść rybę jednym widelcem, bo noża przecież na stole nie było. Ale przydało mu się to na przyszłość.

„Wileńszczuk" delikatniutko, dwoma palcami wybierał z warg trafiające się oście, palce wycierał serwetką i niby od niechcenia, żeby o czymś mówić, powiedział do Wieśka: – Ot, tyle czasu rozmawiamy, a wciąż nie mogę się zorientować po akcencie, skąd pan pochodzi.

– A niech pan zgadnie.

– No, wie pan, jak ja mogę zgadnąć, kiedy nastały czasy, że akcenty są tak samo pomieszane, jak narody. Tym bardziej, że Kresy Wschodnie mają bardzo podobne, śpiewne akcenty, tak z Wileńszczyzny, jak i z południowych, byłych ziem Polski, chociaż tam i tam mieszkają Polacy. Teraz to już nie. Po tak zwanym wyzwoleniu, nasze ziemie południowo-wschodnie odeszły do Rosji razem z Wilnem, Grodnem i Lwowem. A zatem i Polacy stali się Rosjanami, według nomenklatury Stalina i Bieruta... Ale to nie tak.

Wieśka aż poderwało z krzesła, bo już wyczuł, że ma do czynienia z wrogiem lub z prowokatorem. Ale nic nie dając po sobie poznać dalej proponował, aby ten odgadł skąd on pochodzi, zastrzegając się, że nie jest z Wileńszczyzny. Wiesiek nic o Wileńszczyźnie nie wiedział, więc postanowił „przyznać się", że jest z Lubelszczyzny. Miał w swoim plutonie wspaniałych chłopaków z tego regionu, takich jak Tadek Furtak, Józef Sykut, Mietek Targoński. I to właśnie ci żołnierze

trochę opowiedzieli mu o tym województwie. To Mietek Targoński opowiadał, że pochodzi z Łukawki kiela Lubartowa. A Józek Sykut, nie znoszący kłamstwa gdy słyszał, że ktoś na kogoś próbował zwalić winę, mówił „Sami srata a na kota zganiata". Tym powiedzonkiem „załatwiał" każdego cwaniaka.

– A ja byłem przekonany, iż plutonowy pochodzi właśnie z Wileńszczyzny.

– Nie, proszę pana, pochodzę z Lubelskiego.

– Tak? O, to cudownie. Znam Lubelszczyznę jak własną kieszeń!

Wieśka mało krew nie zalała, że „wpadł" i bodaj oblał się rumieńcem, ale nie zdryfił: – Tak, jestem z Lubelszczyzny, z regionu, gdzie się toczyły najzacieklejsze walki z faszyzmem, a przed wojną z sanacją i burżuazją. Jestem z jednej z najbardziej zahukanych wiosek naszego biednego lecz bohaterskiego powiatu, a szerzej – regionu i szczycę się tym, że wyrosłem na podoficera Ludowego Wojska Polskiego.

Wiesiek specjalnie miotał wyuczonymi terminami, aby pokazać panu hrabiemu, że z taką kategorią ludzi trudno jest wygrać pojedynek na temat polityki, że nie na darmo też służył w KBW, gdzie mu wpojono miłość do Socjalistycznej Ojczyzny, a miłość do Związku Radzieckiego miał w sercu już dawno, ponieważ jeszcze przed wojną słyszał, jak we wsi mówili „polityczni", że w ZSRR nie ma gnębicieli i gnębionych. W 1939 roku zaś sam się przekonał, że mówili prawdę... Ale jakoś w żaden sposób Wiesiek nie zdołał pojąć, dlaczego radziecki urzędnik w 1940 roku przyszedł do jego ojca i nakazywał jechać do lasu na *zagotowkę* drewna. Gdy ojciec go prosił, aby nie zmuszał go do tak ciężkiej pracy, ponieważ jest chory na płuca, ten odpowiedział, że w Związku Radzieckim ludzie pracują nawet bez płuc. To było tak wymowne, że niespełna czternastoletni chłopak rozpłakał się, czując nieludzkie podejście do jego chorego ojca. Ale teraz to nie miało znaczenia wobec siedzącego przy jednym stoliku wroga Polski Ludowej i socjalizmu w ogóle.

– A czy pan plutonowy wie, że bolszewicy wbili nóż w plecy Polsce, gdy ta toczyła walkę z Niemcami?

– To jest wasza wroga propaganda, żeby zohydzić Związek Radziecki, bo o jakim tu nożu może być mowa, gdy Związek Radziecki przekroczył granicę Polski dopiero siedemnastego września, a nie pierwszego. I przekroczył po to aby nie pozwolić Niemcom na okupację ziem Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy, które wbrew woli tych narodów zostały oddane pod okupację polską w wyniku jakichś tam traktatów podpisanych przez osłabioną i wycieńczoną młodą republikę bolszewików. Lenin musiał to zrobić, gdyż sytuacja wewnętrzna i zewnętrzna były dla niego bardzo niekorzystne. Różne interwencje państw obcych oraz boje z białymi generałami powodowały, że Lenin, niestety, musiał pójść na kompromis i pół Białorusi oddać polskim panom. Taki sam los spotkał Zachodnią Ukrainę, a teraz repczecie na Sowietów, iż zadały nóż w plecy i okupują duże połacie Polski!..

– Oho – wpadł w słowo hrabia, – widzę, że komuniści dobrze popracowali, aby takich jak pan przekonać do swoich dążeń i celów. Oni zawsze grali na ludzkiej ciemnocie...

– Bardzo łatwo im było nas przekonać – wtrącił podekscytowany podoficer, przerywając hrabiemu – ponieważ wszyscy wiedzą, że na zachód od Bugu Niemcy krwawo rozprawiali się z Polakami, podczas gdy Ukraińcy i Białorusini dopiero wtedy poczuli wolność i nabyli praw obywatelskich – stali się ludźmi. Dopiero wówczas uzyskali możność uczęszczania do szkół, wyjazdu do pracy na zarobki, gdzie tylko chcieli i mogli się uczyć, nawet na traktorzystów... To Wieśkowi najbardziej leżało na sercu, bo zawsze chciał zostać traktorzystą, a nie został.

– To prawda, że przed wojną nie każdy miał dostęp do studiów, ale z drugiej strony, po jaką cholerę one mu były potrzebne, kiedy on miał wąski wycinek swoich obowiązków. Na przykład, rolnik miał swoje zagony, które powinien był uprawiać i kwita. Po co mu było zaprzątać łepetynę nauką, gdy on i bez tego doskonale znał swój warsztat pracy. Albo robotnik, który miał wszystko podane pod nos, aby tylko wyrabiał jakieś detale i uczciwie pracował, zamiast burzyć ustalony porządek na bolszewicki ład...

– A dlaczego to taka masa żebraków chodziła po wsiach i prosiła kawałka chleba i noclegu, aby gdzieś pod dachem, jeżeli za sanacji było tak dobrze, ha?

– To byli lenie, którym chciało się jeść, a nie chciało się pracować, bo zawsze i wszędzie znajdą się jacyś leworęczni...

– Ja też jestem leworęczny, a pracuję od małego...

– Tu nie chodzi o to, kto w której ręce bat trzyma. Pan mnie źle zrozumiał. Leworęcznymi potocznie nazywa się ludzi, którzy są leniwi.

– W mojej wsi wszyscy pracowali dniami i nocami, a tego biednego chleba i to nie mieli pod dostatkiem, nie mówiąc już o słoninie. A Bolek, który nigdzie w Polsce nie mógł znaleźć zatrudnienia u nas pasł konie. Bo nie wiem, czy pan wie, ale u nas wtedy konie pasło się tabunem.

Wiesiek powiedziawszy to znów się zląkł, że hrabia może dobrze znać wieś, którą on tuż tuż miał wymienić, a gdzie właśnie nie pasiono koni w ten sposób. Ale prawdopodobnie hrabia nie znał Lubelszczyzny tak jak się pochwalił i nie przypierał Wieśka do muru. A może tabunami konie pasiono wszędzie, jak krowy i owce? Plutonowy wiedział, jak było w jego wsi, a nie orientował się dokładnie, jak było w kraju.

– A już o studiach, o których pan opowiada – ciągnął – to w naszej wsi, ba, w całym powiecie, nikt nawet nie miał prawa pomarzyć. Z naszej wsi tylko dwóch chłopców na rowerach jeździło do gminnego miasteczka do piątej i szóstej klasy. Reszta, komu się udało szczęśliwie dobrnąć do czwartej klasy podstawówki, na tym pozostawała. Natomiast za Sowietów wszyscy mogli iść do szkoły i do pracy. Nawet taki biedak jak ja też poszedł od razu do drugiej klasy, chociaż za pańskich, cudownych czasów nie byłem w szkole ani jednego dnia. Od nas wielu pojechało na Donbas do kopalni węgla, inni poszli kopać kanał w Brześciu, a jeszcze inni wyjechali w głąb Rosji uczyć się na marynarzy, kolejarzy, kombajnistów i traktorzystów. Poszli też do milicji i na gajowych. Kilku powołano do armii, a wielu pracowało przy budowie umocnień granicznych nad Bugiem. A pan mi tu o nożu w plecy.

Wiesiek wiedział, ale zataił przed hrabią, jak niektórzy z jego wsi wiali z Donbasu, bo głodowali i za byle pięć minut spóźnienia do pracy szli do więzień. Zataił też opowiadania, które słyszał od tych, co pracowali przy budowie schronów na linii Bugu, jak tam było ciężko. I ile było śmiechu gdy niemieckie samoloty zrzucały ogromne głazy z napisami „Pomagamy budować umocnienia". Nie mówił hrabiemu, żeby nie dać mu dodatkowego atutu w dyskusji przeciwko Związkowi Radzieckiemu, bo i sam w te „brednie" nie bardzo wierzył. To prawda, że Antek, jego sąsiad, uciekł do Donbasu, aby, jak powiedział, w domu nie spać na wałkownicy, po kilku miesiącach przyjechał wychudzony i z kolei potulnie się przyznał, że już woli spać na czym się da, aby tylko w domu. Bo tam ciężka praca, głodno i łatwo można trafić za kraty albo do obozu – skarżył się.

– A czy pan plutonowy choć cośkolwiek słyszał o wywózkach na „białe niedźwiedzie"? – z poczerwieniałą twarzą, sarkastycznie zapytał hrabia.

– Słyszałem i wiem, że wywozili ludzi wrogich władzy radzieckiej lub tych na kogo donosili sąsiedzi, że są tej władzy wrogami. Wywozili współpracowników „defy", policjantów, leśniczych, którzy współpracowali z policją i innych krwiopijców, o których wiedzieli. U nas był gospodarz posiadający czterdzieści hektarów i nikt go nie ruszył, bo też nikt nań nie złożył doniesienia. Z naszej wsi też nikogo nie wywieźli, chociaż też niektórzy byli nieprzychylni władzy radzieckiej. Mój wuj nawet był gajowym od 1922 roku i też go nie wywieźli. Inna sprawa, że dzięki wywiezieniu niejeden pozostał przy życiu i żyje do dziś, a ci co pozostali w domu potracili życie w obozach koncentracyjnych i w piecach krematoryjnych. A ile zostało wywiezionych na przymusowe roboty do Rzeszy i już nigdy do domu nie wróciło.

Dziwne, że tak nagle porobiliście się niewinni i pokrzywdzeni. A przecież wiemy, jak było naprawdę. czy to nie Polska odzyskała niepodległość w wyniku zwycięstwa wielkiej socjalistycznej rewolucji październikowej? Czyż to czasem nie Lenin dał Polskę Polakom i zabezpieczył niepodległość? Lenin. A jak później Polska za to się

odwdzięczyła? Czyż nie poszła zbrojnie razem z innymi imperialistami, jako interwent, aby zdusić młodą Republikę Rad? A gdy to się nie udało – przez cały międzywojenny okres szczuto naród polski przeciwko pierwszemu państwu socjalistycznemu na kuli ziemskiej. Przeciwko rosyjskim braciom, chłopom i robotnikom, którzy potrafili zrzucić z siebie jarzmo obszarników i kapitalistów.

– Uhuhu..., ależ z pana polityk od siedmiu boleści. Nie darmo mówi się, że daj kurze grzędę to ona powie, że „wyżej siędę". Ale skoro nam tak dobrze się gwarzy, to ja jeszcze zamówię po setce, bo nie ma z czym jeść flaczków.

– Nie, ja też mam pieniądze i mogę dwie setki zamówić. Pan i tak się wykosztował – sprzeciwił się Wiesiek i zaraz poprosił kelnerkę.

Po drugiej „setce" rozmowa potoczyła się bardziej wartko, bo śmielej. Hrabia na pewno górował nad plutonowym w każdej dziedzinie i z każdej strony, bo raz, że był człowiekiem już pod pięćdziesiątkę, dwa, że jeżeli w samej rzeczy był hrabią, to co mu tam jakiś demokratyczny podoficer, a trzy – różniło ich wychowanie i doświadczenie życiowe. Z tą bodaj różnicą, że hrabia nigdy nie służył w wojsku i był ciekaw, jak wyglądają dzisiejsi podoficerowie, pachołki stalinowskie. Na pewno pieklił się w duchu, że musi wieść dysputę z takim nieukiem, ale cel uświęca środki, gdyż trudno sobie dzisiaj wyobrazić, by prawdziwy hrabia, chociaż oficjalnie pozbawiony tej godności i majątku, pofatygował się do podrzędnego lokalu., gdzie jakieś tam bolszewickie popychadło oczekiwało spotkania z jego córką.

Z zachowania wobec kelnerki można było wnioskować, iż „wileńszczuk" był raczej częstym gościem tego lokalu, chociaż na pewno w innym towarzystwie niż obecnie. Ten mężczyzna wyglądał rzeczywiście imponująco w oczach plutonowego – wysokiego wzrostu, dobrze zbudowany, podciągnięty, chociaż już nie najmłodszy, o okrągłej twarzy z wydatnym podbródkiem, wypielęgnowanej, różowej cerze, z siwymi włosami na zgrabnej głowie z wydatnymi zatokami czołowymi. Wiesiek naprawdę mógł czuć się skrępowany wobec niego. Ale już to ze względu na sposób zachowania się „ojca" Joli, już to z powodu wypicia dwóch „setek", Wiesiek czuł się tak jak z kolegą. Śmiało

więc zaczął traktować hrabiego, jak kogoś nieomal równego sobie, a ten cierpiał w imię jakiegoś „szczytnego" celu. Wiesiek tylko przez cały czas pamiętał na sposób nowo upieczonego czekisty, że musi się mieć na baczności, żeby czegoś niestosownego nie palnąć, co mogłoby jeszcze bardziej skomplikować i tak jego ciężką sytuację. W tym miejscu plutonowy przypomniał sobie jednego z wykładowców na kursie szefów kompanii w Korpusie: „Żołnierz Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego bez względu na posiadany stopień i pełnioną funkcję powinien zawsze pamiętać, że służy narodowi i socjalistycznej Ojczyźnie. Stoi na straży jej bezpieczeństwa, niwecząc zakusy zarówno wewnętrznych jak i zewnętrznych wrogów, którzy występują pod różnymi postaciami i w różnego koloru maskach. Jeżeli będzie miał to na uwadze – nic i nikt nim nie zachwieje. A już na pewno nie pójdzie na lep pięknych słówek, wielkich obiecanek, a nawet gróźb ze strony podstępnego i nie przebierającego w środkach wroga!"

To przypomnienie jeszcze bardziej uodporniło Wieśka na elokwencję i zewnętrzny wygląd swojego biesiadnika, który ani chybił jest wrogiem Polski Demokratycznej. Teraz tylko trzeba szukać w pamięci przykładów, które by odbijały argumenty „wileńszczuka".

Nie wiadomo o czym w tej chwili myślał właśnie „wileńszczuk", ale było widać, że nad czymś mocno się zastanawiał, marszcząc czoło i nie patrząc w talerz dobierając resztę wspaniałych flaczków. Odsunął talerz od siebie, przysunął filiżankę z kawą i dopiero teraz wyjął z kieszeni paczkę angielskich papierosów „Pleyers". W jakimś dziwnym zamyśleniu długo grzebał się przy ich otwieraniu, jak gdyby nie był pewny czy może je pokazać czy lepiej schować z powrotem do kieszeni, aby nie drażnić imperialistycznymi papierosami komunistycznego podoficera, który oprócz „mew" i „śnieżek" żadnych innych ćmików nie widział. Otworzył jednak i zaproponował:

– Zapalimy po jednym, imperialistycznym?

– Nie, ja nie palę żadnych.

– Nie dają?

– Dają, ale żołnierzom służby zasadniczej, a ja już jestem zawodowym. Dostaję pensję i mogę z nią robić co mi się podoba, ale pa-

pierosów nigdy nie paliłem, jeżeli nie liczyć tej „koziej nóżki" z 1939 roku, dzięki której właśnie nie palę.

– A to pan służył w Armii Czerwonej i „koreszki" kurzył?

– Nie, w Armii Czerwonej nie służyłem i żadnych „koreszków" nie kurzyłem, bo już nie zdążyłem.

– Jak to pan nie zdążył?

– A tak, nauczyć się palić nie zdążyłem, bo tylko co zacząłem i w tym samym dniu odwykłem.

– Ciekawe, niech pan opowie, jak to było i co ja mam z tego rozumieć?

– Co w tym ciekawego? Miałem trzynaście lat, kiedy przyszli do nas Sowiety. Ktoś z miasta przywiózł polskiej machorki, która była tak mocna, że muchy w locie padały. Zebraliśmy się u Piotrowego Grzegorza na wieczorek. Chatynka była mała, okna pozamykane, bo głęboka jesień albo i zima. Żeby nad kimś się pośmiać jeden ze starszych chłopaków sam zapalił i mnie poczęstował tym tytoniem. Zawinął ćmika w gazetę i ja tak samo. Wyszedł papieros ogromny, to się właśnie na froncie nazywało „kozią nóżką". Będąc głodnym , bo cały dzień nic w ustach nie miałem, wypaliwszy to cygaro, głowa poszła w tany. Po paru minutach ponownie padła propozycja żeby zapalić. A jakże, zapaliłem. Już ledwo trzymałem się na nogach. Poszedłem do domu, a tam był barszcz z buraków zupełnie postny, zimny, ale za to słodki. Po paru łyżkach zerwało mnie. Wyskoczyłem za chlewek i tam przesiedziałem wymiotując do północy. Od tego czasu nie biorę papierosów do ust.

– To co, w wojsku panu płacili pieniądze za papierosy?

– Nie, fasowałem je jak wszyscy, ale oddawałem kolegom lub wysyłałem na wieś wujowi.

– A czy ty gówniarzu pomyślałeś o swoim zasranym losie, kiedy zwyciężymy? Czy ty w ogóle wiesz, że zbliża się koniec waszego, to znaczy komunistycznego, panowania, a nie twojego, bo ty w tej całej machinie gówno znaczysz. Ale w ogóle – sowieckiego.

Wieśkowi w oczach pociemniało ze złości, że pije wódkę z nieprzejednanym, znaczy „zakalonym" wrogiem ZSRR i Polski.

Wieśkowi było ciężko znosić każdą obelgę pod adresem Związku Radzieckiego i swojej socjalistycznej ojczyzny, kto by tę obelgę nie wypowiadał. I ten bezczelny, nagły cios o mały figiel nie wyprowadził go z równowagi. Popatrzył prosto w oczy wroga i ostatnim wysiłkiem hamując złość powiedział: – O moim losie myśli towarzysz Bierut i Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. A kto ostatecznie zwycięży i kto z nas dwóch zostanie gówniarzem – pokaże czas.

– Jaki czas, jaki czas? Ten czas już nadszedł. Prawdopodobnie dotarło do pana, że w Korei zaczęła się wojna?

– Dotarło, tylko że nie może cieszyć się z tego powodu, ponieważ chorągiewki na planszy w oknie MPiK na palcu Unii Lubelskiej pokazują kto zwycięża. Niech pan podejdzie i zobaczy, to jest tylko przez ulicę.

– To jest zwykła komunistyczna propaganda, aby takich jak ty wprowadzić w błąd. Tyle amerykańskich okrętów, które zbliżają się do brzegów Korei zmiażdży niby robaki sowieckich sługusów na tym półwyspie razem z ich miastami i przemysłem – coraz bardziej zaperzał się „wileńszczuk".

– To jeszcze się okaże, czy tak łatwo zniszczyć naród, który raz zaznał smaku wolności i niepodległości. A po drugie, Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna ma tak potężnych sojuszników, że po prostu gwiżdże na amerykańskich agresorów!

– Jakich że to takich potężnych sojuszników ma komunistyczna Korea, że może gwizdać na Amerykanów?

– To pan nie wie jakich? O, to jest pan całkowicie zaślepionym fanatykiem, nie potrafiącym rozsądnie myśleć i trzeźwo wyciągać wnioski z zaistniałej sytuacji międzynarodowej – Wiesiek bluzgał frazesami i aż sam się dziwił, iż wszystkie na raz pchają mu się na język. – W swej wściekłości chciałby pan położyć na łopatki Związek Radziecki, a o Chińskiej Republice Ludowej to pan bodaj nawet nie słyszał. To są potężni sojusznicy Korei Ludowej! I to bez względu na to, czy pan tego chce czy nie.

– Wie pan co, panie plutonowy? Jest pan Polakiem i nosi pan polski mundur i na czapce orzełek, chociaż bez korony i podoba się

pan mojej córce. Ale jakże chętnie widziałbym pana przed plutonem egzekucyjnym, a nawet wśród ofiar Hiroszimy. Jest pan ohydnie głupim „czubarykiem", który tak łatwo poszedł na lep komunistów i jeszcze w chamski sposób udowadnia swoje głupie racje. Co pan może wiedzieć o sile bojowej wojsk Stanów Zjednoczonych, kiedy pan dopiero parę lat temu wylazł z gnoju?! Czy pan słyszał o posiadaniu przez Stany Zjednoczone bomb atomowych? To jest gwarancja, że w niedługim czasie komunizm zostanie zmieciony z powierzchni ziemi – używając języka jakim on mówi o kapitalizmie, a takich gówniarzy jak ty porozwieszamy na słupach...

– A czy nie słyszał pan oświadczenia Stalina? On w zeszłym roku powiedział, gdy wystąpił buńczucznie Harry Truman i groził zniszczeniem ZSRR, że jeżeli dojdzie do konfliktu zbrojnego pomiędzy USA i ZSRR, to i u nas znajdzie się tyle bomb ile będzie trzeba, aby unicestwić agresora. A to, że chciałby mnie pan widzieć pod ścianą lub wśród ofiar Hiroszimy to nic dziwnego. Wyście pomagali nawet niemieckim faszystom, którzy postanowili wymazać Polskę z mapy świata i was razem. Ja nie wiem kogo pan dzisiaj reprezentuje, ale obaj wiemy, jak zachowywały się bandy NSZ wobec Niemców, a jak wobec Sowietów i polskich lewicowców. A AK nie miała rozkazu stania z bronią u nogi i czekania na wykrwawienie się dwóch wrogów? Czyż Związek Radziecki nie był waszym wrogiem numer jeden. Był i pozostaje według waszego nieprzejednanego mniemania, chociaż wszyscy porządni ludzie wiedzą, że Związek Radziecki jest przyjacielem wszystkich narodów i to on poniósł największe straty w wojnie z hitlerowskim faszyzmem aby ocalić od zagłady innych. Pan też by spłonął w piecu krematoryjnym, jeżeli nie był pan na usługach Niemców w policji lub gestapo. Agentem mógł pan być. Oni uciekając gwizdali na nich, a nawet rozstrzeliwali, by się taki nie plątał. W jednym byliście dobrymi uczniami. Ale to chyba dlatego, że przedmiot nauki był bardzo „atrakcyjny". Mianowicie, bardzo szybko przejęliście od hitlerowców metodę likwidacji ludności przy pomocy kulomiotów i benzyny. Tak jak hitlerowcy spędzaliście niewinnych mieszkańców „komunistycznych" wiosek do jednej stodoły czy cha-

ty i podpalaliście, sycąc oczy smażącymi się ludzkimi ciałami a uszy wniebowziętymi wrzaskami o pomoc do Stwórcy. Przy tym wcale nie baliście się Jego karzącej ręki, chociaż, jak na ironię losu, nosiliście na szykach ryngrafy z wizerunkiem Matki Boskiej, jak hitlerowcy na paska *Gott mit uns*. Atmosfera przy stoliku była tak gorąca, że obaj dyskutanci tylko siłą woli powstrzymywali się od mordobicia. Nienawiść buchała z oczu iskrami, ale otoczenie nakazywało wstrzemięźliwość, a więc, zarówno wychowany jak i niewychowany, adwersarze starali się zachować, jednemu znany a drugiemu nie, savoir vivre. Ech, gdyby tak na wsi i po cywilnemu, – myślał Wiesiek – ja bym ci pokazał jak obrażać Władzę Ludową i Związek Radziecki. A tu, niestety, muszę wysłuchiwać jawnie wrogich wypowiedzi, bo nie wiem jak się zachować i co robić z tym fantem. Przekonać to on mnie nie przekona do swoich poglądów – z wściekłością myślał plutonowy, – ale co zrobić, aby go unieszkodliwić?

Tymczasem przeciwnik, widocznie jego zdaniem wytoczył działo największego kalibru i z całej siły grzmotnął nim Wieśkowi prosto w twarz, chociaż tylko w przenośni, bo bez armatniego huku a tylko sycząc, jakby się tliła ogromna ilość prochu, powodując żółto-szary obłok śmierdzącego dymu, który kiedyś Wiesiek wywoływał z pocisków armatnich.

– A co powiesz, wielce uświadomiony panie plutonowy, na zamianę marszałka Polski Roli-Żymierskiego przez Rokossowskiego, który jest marszałkiem sowieckim? I drugie pytanie – czym zasłużył marszałek Michał Żymierski żeby do poniewierać po więzieniach i męczyć jak jakiegoś zbrodniarza? – grzmiał przyciszonym, ale jakże dobitnym głosem „wileńszczuk", aż Wiesiek musiał się odchylić, bo mu krople śliny bryzgały prosto w twarz.

Ta „prawda", wyssana z czyjegoś palca, a wypowiedziana ze złości przez jakiegoś obszarnika prosto w nos Wieśkowi tak go rozbawiła, że się roześmiał, mimo napiętej sytuacji. „Wileńszczuk" poczerwieniał, wybałuszył oczy i nie wie z czego ten młokos rży. Wieśka szlag trafiał na takie bzdury. Owszem, towarzysz Bierut podmienił marszałka Żymierskiego innym wybitnym Polakiem, sławnym radziec-

kim marszałkiem, dwukrotnym Bohaterem Związku Radzieckiego, żeby wzmocnić Polskie Wojsko. Ale żeby zaraz zamykać? Co oni plotą i kto tę propagandę rozsiewa? Wiesiek nie miał pojęcia o istnieniu takich chociażby rozgłośni radiowych jak BBC, „Głos Ameryki" czy „Wolna Europa". Nigdy o nich nie słyszał, ani nie widział prasy zagranicznej, która informowała społeczność polską o sytuacji w „obozie socjalistycznym", któremu przewodził Wielki Związek Radziecki, na czele z generalissimusem Stalinem. Rozgłośnie emitowały swoje programy, których słuchano pomimo zagłuszania, a prasę do Polski przemycały przeważnie placówki dyplomatyczne. Ale Wiesiek niczego nie był świadom. I ogarniała go szewska pasja, gdy słyszał nie to co mówili mu przełożeni i rozgłośnia Polskiego Radia, którą słyszał tylko czasami u kogoś. Zamiast się roześmiać gotów był wybuchnąć, ale wpojona dyscyplina wojskowa i nakaz bezwzględnej konspiracji obezwładniały go i wręcz nakazywały być grzecznym, stanowczym i czujnym, bronić swojego stanowiska, czyli punktu widzenia do upadłego, drogą perswazji i nieodpartych argumentów.

I jak raz te „nieodparte" argumenty Wiesiek miał, chociaż wiadomo, że nie z tej strony co „wileńszczuk", bowiem „wiedział" dlaczego marszałek Rokossowski znalazł się na stanowisku ministra obrony narodowej Demokratycznej Polski i co się aktualnie dzieje z marszałkiem Żymierskim, bo przecież to on z grupą nad nim czuwa. Ale „wileńszczuk" myślał, że jego cios oszołomił Wieśka do reszty i ten biedny młodzieniec został odarty ze wszystkich argumentów do dalszej dyskusji. Wpił wzrok w plutonowego i sarkastycznie nacierał:
– No, mów pan, co masz do powiedzenia, słucham.

– Słucha pan? To dobrze, że chociaż pan chce mnie wysłuchać. A więc, niech pan posłucha co ja mam do powiedzenia...

– A masz pan coś do powiedzenia w tej sytuacji? – zarechotał przeciwnik.

– Mam, niech mi pan da powiedzieć. Marszałek Rokossowski, jak i marszałek Żymierski, jest Polakiem, tylko że jego losy potoczyły się inaczej niż Żymierskiego i został radzieckim , a nie polskim marszałkiem. Teraz mamy szczęście mieć takiego człowieka,

który wzmocni nasze siły zbrojne, bo Związek Radziecki nie pożałuje dla Polski swojego uzbrojenia, gdyż na pewno wierzy swojemu marszałkowi. Po drugie, Armia Czerwona i Ludowe Wojsko Polskie będą stanowiły jedną całość. Po trzecie, nasza całość połączy się sojuszem wojskowym ze wszystkimi armiami Europy wyzwolonej przez Związek Radziecki oraz z Chińską Republiką Ludową. A wtedy zobaczy pan co się stanie z imperializmem światowym, na którego czele stoją Stany Zjednoczone, pragnące być żandarmem światowym. Po czwarte, pan tego nie wie i nie chce wiedzieć, ale obaj zdajemy sobie sprawę, iż dotychczas Wojsko Polskie było apolityczne. A czyż żołnierze nie są takimi samymi obywatelami jak wszyscy? Nie są, bo nie mają prawa głosować ani zakładać w wojsku organizacji partyjnych. W KBW to jedynie ZMP działał legalnie, a członkowie PPR zbierali się jakoś tak dyskretnie, po cichu, jakby się przed kimś kryli...

– Dobrze wam tak, sukinsyny – przerwał „wileńszczuk", – bo byście skomunizowali całe wojsko!

– A jak ginąć za ojczyznę, to kto pierwszy ginie, nie żołnierze?

– Wojsko jest wojsko, a nie jakieś tam politruki, żeby przekabacać naród na swoją, komunistyczną stronę. Wojsko powinno być pod rozkazami dowództwa znającego się na sztuce wojennej, a nie pod rządami politruków – Żydów i innej kufajkowej hołoty, która tylko tyle umie żeby wychwalać Stalina!

– Ta kufajkowa hołota, jak pan ją nazywa, wyzwoliła się z jarzma carskiego sama i między innymi, dzięki tej „hołocie" Polska odzyskała niepodległość. A tak, nawiasem mówiąc, Polska burżuazja niemal od razu znalazła się w szeregu interwentów, aby zdławić tych, którzy to przyczynili się do odzyskania naszej niepodległości, ale jej się to nie udało...

– Panie, jest pan Polakiem, czy może Ruskim?

– Jestem żołnierzem Polski Demokratycznej i internacjonalistą. Wywodzę się z biedoty i nigdy nikomu nie pozwolę wskrzesić rządów burżuazyjnych, bo to są rządy dbające o kapitalistów i obszarników, a nie o lud pracujący. Dosyć napatrzyłem się na bezrobotnych, poniewieranych, zawszonych i głodnych, nie tylko mieszczan proszą-

cych o kawałek chleba ale nawet u wiejskich biedaków pokroju mojego ojca. Sam też się nagłodowałem i pies z kulawą nogą nic mi nie pomógł. A teraz jestem plutonowym i wara wam od Rokossowskiego i Bieruta!

– Niechaj będzie po twojemu, skoro nic nie rozumiesz, ale powiedz mi, ty zakuta pało, dlaczego Żymierskiego odizolowano od społeczeństwa, czy on zasłużył na więzienie?

– A jest pan pewny, że marszałek Żymierski znajduje się w więzieniu?

– Tak, jestem tego pewny tak samo, jak tego, że tu siedzę z panem i pijemy wódkę.

– A czy te dwie „setki" niczego panu nie przyćmiły?

– Ja mogę wypić litra i będę przytomny. Jeżeli ja coś mówię, to to „coś" musi być sprawdzone i oparte na faktach!

– O, to rzeczywiście muszę głupio wyglądać w pana oczach, skoro pan bez wahania ośmiela się w żywe oczy kłamać, albo sam pan niczego nie wie. O, tu za rogiem skręci pan w lewo i pójdzie aleją I Armii Wojska Polskiego, możliwe, że za waszych rządów zwała się Aleją Szucha, i nie dochodząc do ulicy Litewskiej, w głębi ogrodzonego podwórza ujrzy pan willę pomalowaną na kremowy kolor. W tej willi mieszka i dobrze się czuje marszałek Rola-Żymierski z żoną i córką. Ale zaraz za bramą zobaczy pan wartownika, który pilnuje nie tylko marszałka, ale i jego całą rodzinę z papużkami włącznie. Posiada też adiutanta i dwa samochody z kierowcami, którymi są panowie Zybert i Linek. Jeżeli pan nie wierzy, to nic nie stoi na przeszkodzie, aby to sprawdzić. Może i zdradzam tajemnicę wojskową co do nazwisk jego otoczenia, ale nie jest chyba tajemnicą, że tam mieszka Żymierski.

– Głupstwa pan opowiada, bo może tam zamiast marszałka Żymierskiego mieszka jakiś sowiecki funkcjonariusz albo generał i nasz żołnierz musi go chronić!

– A czy tak trudno panu podejść do wartownika i poprosić o kontakt z adiutantem Żymierskiego?

– No, jeszcze tego brakowało, aby jakiś enkawudzista pytał mnie czego tu szukam i aresztował.

– Marszałka strzeże nie jakiś enkawudzista tylko żołnierz KBW.

– A cholera was wie, coście za jedni. Myślałem, że z panem porozmawiam jak z bratnią duszą, a okazuje się, że jest pan skomunizowaną, głupią jednostką wątpliwego pochodzenia. Przy tym ciemną jak tabaka w rogu, bo tylko tacy są potrzebni Stalinowi i Bierutowi, fanatycy, którzy za belkę gotowi są sprzedać rodzonego ojca.

Wieśkowi nawet spodobało się, że wróg nazwał go skomunizowaną jednostką i fanatykiem stalinowskim. Święcie wierzył Stalinowi, wierzył też Bierutowi i wszystko by oddał za władzę ludową, która otworzyła wrota na oścież przed wczorajszą biedotą wiejską i miejską, dając możliwość nie tylko szerszego spojrzenia na świat, ale zajęcie jakiegoś miejsca w tym nowym świecie. Wiesiek doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że przed wojną mógłby zaledwie służyć w wojsku jako niedouczony szeregowy, który w razie wojny mógł być tylko mięsem armatnim. Teraz już jest plutonowym, chociaż jeszcze nie zdążył zdobyć odpowiedniego wykształcenia i siedzi w restauracji, politykując z jakąś wrogą szychą. Przy tym ten wróg wcale nie wie, że Wiesiek jest kierownikiem grupy kontrwywiadowczej, czyli ważnym ogniwem w łańcuchu chroniącym Polskę Demokratyczną przed penetracją obcych wywiadów. Jemu ani przez myśl nie przejdzie – myślał plutonowy, – że rozmawia z wywiadowcą w ludowym wydaniu, a to oznacza, że po chłopsku nieugiętym i na wszystko gotowym. Ale do wroga powiedział: – Czy ja panu grożę pistoletem albo prowadzę do komisariatu? To pan, żeby mógł, zjadłby mnie z kiszkami.

– A tak, żebym miał okazję, zbiłbym tę twoją komuniacką mordę na kwaśne jabłko i wrzuciłbym do rynsztoku, abyś tam zdechł, jak pies.

Kiedy „wileńszczuk" wywnętrzniał się, Wiesiek myślał o swych podwładnych i był przekonany, iż oni też by się nie wahali w wykonaniu każdego rozkazu, gdyż byli przekonani, że ojczyźnie trzeba służyć dobrze i z całych sił. Nigdy nie słyszał żadnego szemrania, iż dla „kogoś" muszą się męczyć, chociaż głęboka konspiracja powodowała nerwowość. Nigdy nie pytali dlaczego muszą pracować dniami i nocami za nie najlepsze uposażenie. Mieli ubrania, mieli co jeść i to

wystarczyło. Ba, nawet nie zawsze mieli mundury spod tak zwanej igły, ale musieli o nie dbać, żeby schludnie wyglądać zarówno na posterunku jak i przed marszałkiem. Wiesiek posiadał ubranie najlepsze, bo gabardynowe. Kiedyś Jurkowi K. udało się wyrwać na jakąś rodzinną uroczystość do Katowic, ale miał mundur już nie pierwszej nowości, więc pożyczył od Wieśka gabardynowe bryczesy i pojechał do domu, pochwalić się rodzinie i kolegom, jak to dobrze ma i jak pięknie chodzi ubrany. Wrócił do Warszawy w poplamionych Wieśkowych spodniach, bo gdzieś się tarzał w węglu, a do ich właściciela powiedział, że trzeba je zanieść do pralni. Wiesiek to zrobił i zapłacił za czyszczenie. Ale to tak mimochodem Wieśkowi pomyślało się o tym, że kolega nabił go w butelkę za ileś tam złotych, bo faktycznie to on nigdy nikomu spodni by nie żałował. Miał dosyć pieniędzy, żeby móc żyć dostatnio i jeszcze zaoszczędzić. Kłopot jednak w tym, że nie miał pojęcia o jakichś tam PKO czy też coś w tym rodzaju. Miał tę forsę przy sobie i szastał nią po kawalersku, ale nie wykwintnie, bo nie znał się też na „pańskich" wiktuałach; było mu dobre to co podawali w przeciętnej kuchni w restauracji „Pod 2-ką", a najbardziej lubił kotlety mielone, które były robione pół na pół z bułką, a do tego ziemniaki, kiszoną kapustę lub ogórka. Dziwił się, że ludzie w restauracjach jedzą obiady nie używając chleba. On nie mógłby tak. Bał się gdy nie widział na stole pieczywa zwanego chlebem powszednim. W dzieciństwie łaknął, żeby chociaż raz najeść się chleba z tłustym, gotowanym mięsem, najlepiej z głowizną, a teraz po prostu bał się nie mając chleba. Brał go nawet do kotletów, które i tak były prawie z chleba.

Przyszedł czas, że władza ludowa zechciała dokonać wymiany pieniędzy. Przepadły i u niego tysiące. Ale nikogo za to nie winił i nie przeklinał, bo wierzył, że jeżeli rząd poszedł na taki krok, aby zmienić pieniądze, to znaczy, że trzeba. Jemu zginęły tysiące a innym miliony. Trochę szlag go trafiał, że nic sobie nie kupował, ale czyż głupi patriota nie przyzna racji „swojej" władzy? A więc Wiesiek przyznał i uspokoił się.

Gdy tak rozmyślał nad wycineczkiem swoich strat, które poniósł w życiu, wróg, jak gdyby odgadł jego myśli, pytając:

– A co pan plutonowy myśli na temat tak „ślachetnego" pociągnięcia władzy, jak wymiana pieniędzy?

Wiesiek aż drgnął, usłyszawszy podobne pytanie, bo odniósł wrażenie, że przeciwnik odgaduje jego myśli. Ale w słowie „ślachetnego" wyczuł taką ironię, złośliwość i nienawiść, że nie żałowałby, gdyby nawet nie dano mu trzydziestu złotych za tysiąc, byle tylko tamtemu dużo przepadło, a na pytanie odpowiedział: – Dobrze, że takich jak pan trzepnięto po kieszeniach. Biedoty nie skrzywdzono...

– A właśnie, że skrzywdzono – wtrąciła przechodząca obok kelnerka, słysząc sprzeczkę, – ponieważ ja i moje koleżanki też dostałyśmy po tyłkach, a przecież oszczędzałyśmy z pracy rąk.

– No i co pan na to? – zarechotał triumfalnie adwersarz. – Tak nie jest jak wbito panu do głowy na zajęciach polityczno-wychowawczych.

– Niech się pan ode mnie odczepi. Ja tu pana nie prosiłem i nie czekałem na pański poczęstunek. Nie chcę widzieć pana i odechciało mi się pańskiej córki, bo jesteście oboje moimi wrogami – wypalił Wiesiek niby z automatu, bo już go do reszty wyprowadził z równowagi ten tu hrabia czy farbowany lis, albo wręcz agent jakiejś obcej *razwiedki*. Wiesiek poczuł się bezradny, gdyż zabrakło mu argumentów na odparcie ostatniego pytania tego sukinsyna, który niby częstuje wódką, a chce diabli wiedzą co osiągnąć.

Wiesiek ani przez chwilę nie wątpił, że jeżeli coś robi rząd ludowy, to na pewno czyni to dla dobra klasy robotniczej i biednego chłopstwa. A tym czasem narzeka kelnerka i on sam, jako obrońca tej władzy też dostał po kieszeni. Kelnerka może kłamać, że ją skrzywdzono, aby przypochlebić się hrabiemu, ale jak wytłumaczyć fakt, że i jemu, podoficerowi KBW, też zajrzano do kieszeni?

Nagle Wiesiek przyłapał siebie na myśli, że poddał się zwątpieniu, a to znaczy, że uległ argumentom wroga. O nie. To nie licuje z mundurem pracownika kontrwywiadu, aby choć przez chwilę wątpić w to, co robi rząd Polski Demokratycznej. Stalin mnie postawił, Stalin zdejmie – pomyślał plutonowy i przez zęby wycedził do sie-

dzącego na przeciwko i triumfującego „wileńszczuka": – Wyjdzie pan stąd czy nie, bo zaraz będzie awantura na całą salę!

„Wileńszczuk" nagle i niespodziewanie dla Wieśka „przekręcił się" o sto osiemdziesiąt stopni i przybierając minę najserdeczniejszego przyjaciela rzekł: – Chłopie, bardzo ci dziękuję za postawę. Jesteś jeszcze młodym człowiekiem, a już prawdziwym komunistą, z którego winni brać przykład nawet ludzie starsi. Takich żołnierzy nam trzeba było mieć jak najwięcej w czasie zdobywania władzy, jej utrwalania a i teraz też są niezbędni, gdy międzynarodowy imperializm na gwałt szykuje trzecią wojnę światową. Wybacz mi, że próbowałem miażdżyć cię tak zwanymi argumentami z pozycji wroga, ale takie miałem zadanie od swoich i od twoich przełożonych, aby cię sprawdzić. Na pewno znasz, albo chociaż słyszałeś o generale Romkowskim? To właśnie on mi polecił przeprowadzić z tobą tego rodzaju rozmowę. Kazał „szachować" cię na różne sposoby i obserwować twoją reakcję i zachowanie się w momentach szczególnego napięcia. Jestem jednak przekonany o twojej nieugiętej postawie i tak zamelduję generałowi.

Na takie dictum Wiesiek, nie „otrzaskany" w perfidiach postępowania nie tylko szefów, ale i poszczególnych pracowników aparatu bezpieczeństwa, zbaraniał. Faktycznie, chociaż jego bezpośrednim przełożonym był podpułkownik Józef Światło, to z kolei generał Romkowski był przełożonym nas wszystkich – dumał młody wywiadowca, nie obeznany z kunsztem tego rodzaju aparatów na świecie. Nie uwierzył jednak „przyjacielowi", chociaż udał, że jest inaczej. Rozeszli się w „dobrej komitywie", jak prawdopodobnie mogło się wydawać „wileńszczukowi". Chociaż nie wiadomo czy młodemu wywiadowcy udało się ukryć stan faktyczny pod udaną miną, że niby wszystko w porządku, przed starym wygą, kogo by on nie reprezentował. Umówili się, że jutro Wiesiek będzie czekał na Jolę w kawiarni „Świtezianka" i rozeszli się każdy w swoim kierunku.

Całe popołudnie chłopak chodził jak struty, ponieważ nie wiedział, jak ma postąpić w sprawie zajścia w restauracji – meldować czy poczekać do jutra. Wiedział, że jeżeli nie zamelduje popadnie w niełaskę i wzbudzi podejrzenie względem siebie, bo może rzeczywiście

był dodatkowo sprawdzany przez przełożonych w taki bezpośredni i bezczelny sposób, a po drugie, on i sam nie był dwulicowcem, aby stawiać Bogu świeczkę i diabłu ogarek, ukrywając przed przełożonymi coś podobnego. To o czym mówił „wileńszczuk" było na wskroś przesiąknięte wrogością do władzy ludowej i Związku Radzieckiego, a to najgorsze, co mogło spotkać zaangażowanego plutonowego. Wiedział, że tak czy owak, będzie musiał zameldować. Tylko czy nie da się tego przeciągnąć do jutra. Wreszcie postanowił, wulgarnie wyrażając się, że czort tego nie weźmie, iż zamelduje jutro. Szlag go trafiał, że musi pisać głupie notatki, bo jakaś zaraza musiała mu się napatoczyć i pleść brednie. Mógłby, sukinsyn, podobne wrogości opowiedzieć komuś ze starszych oficerów. Ale on nie, postarał się wybrać jak raz mnie, żeby denerwować i nadawać dodatkowe zajęcie w postaci pisania notatek – pieklił się podoficer.

Wieczorem, jak prawie zawsze od chwili poznania dziewczyny na ulicy, poszedł na ul. Belwederską, wsiadł do „ciuchci" i pojechał na Sadybę, gdzie mieszkała „narzeczona". Od wąskotorówki musiał iść jeszcze spory kawałek drogi do jej willi, ale to nic nie znaczyło młodym, wysportowanym nogom, chociaż w przeszłości nie raz pokaleczonym. Zaszedł i nie zastał w domu, co też nie rzadko się zdarzało, gdyż Bronka bardzo lubiła wyjeżdżać wieczorem do miasta. Żeby wiedziała, że Wiesiek przyjedzie, to by na pewno siedziała w domu, ale on nigdy nie umawiał się na jutro ponieważ nigdy nie wiedział, co go jutro może spotkać. Nawet zdarzało się, że wracając z sadyby autobusem linii „120" wysiadał przednimi drzwiami z autobusu na placu Unii Lubelskiej, a Bronia rozanielona wsiadała tylnymi, aby za chwilę odjechać do domu, bo może „czubaryk" przyjedzie. Ale „czubaryk" tylko pokazywał się, żeby widziała, że on też ją widzi i szedł na kwaterę.

Dzisiaj wrócił tak samo biedny i poniżony przez dziewczynę, której widocznie było wszystko jedno z kim się spotyka, aby tylko mieć rozrywkę i być „kochaną". Był ponury i rozdrażniony przeżyciami dzisiejszego dnia a tu niespodzianka. Chłopcy powiedzieli, że telefonował Światło i prosił, aby się z nim skontaktował. Wieśka zala-

ła gorąca krew, że to już w sprawie dzisiejszego zajścia w restauracji. Zatem, z ciężkim sercem, bo był zmęczony, ale wziął i z konieczności napisał tę cholerną notatkę o rozmowie z „wileńszczukiem", a potem zatelefonował do wicedyrektora departamentu, który interesował się między innymi pozbawionym stanowiska marszałkiem. Pora już była późna, ale Światło jeszcze pracował. Wiesiek zameldował się, a wicedyrektor poprosił go, aby na jutro przygotował tygodniowe sprawozdanie z pracy oraz na godzinę trzynastą zebrał całą grupę w lokalu konspiracyjnym, bo chce z nimi porozmawiać.

Po odłożeniu słuchawki Wiesiek nieco odetchnął i to od razu z kilku powodów – raz, że Światło niczego nie sugerował odnośnie zajścia w restauracji – na złodzieju czapka gore, a po drugie, spotkanie z Jolą było wyznaczone na godzinę siedemnastą. jak długo pułkownik by nie ględził, to i tak starczy czasu, żeby się nie spóźnić na randkę, jeżeli, oczywiście, nie przyniesie ze sobą jakichś nowych zadań, które by sparaliżowały jego zamiary.

Tę noc Wiesiek miał z głowy. Nie mógł zasnąć z uwagi na rozmowę, którą odbył przed południem z typem, który nie wiadomo kim i czym jest, i jakie mogą być tej rozmowy konsekwencje. Myśli ganiały po głowie niby zawirowania śnieżnej burzy i jak wiele razy w życiu, prowadziły nie dalej niż do ślepego zaułka. Próbował przywołać przed oczy wyobraźni swoją wioskę i mieszkających tam kolegów i koleżanki. Próbował wyodrębnić z gęstwiny przeżyć w dzieciństwie jakieś, choćby drobne, przyjemne wspomnienia, żeby zagłuszyć najświeższy kłopot.

Niestety, złapał się na tym, że minionego dnia przeżył więcej nieprzyjemności niźli we wsi przyjemności przez całe szczenięce lata. Ale tęsknił do łąk, których tu nie oglądał. I te tu, gdyby nawet były równie zielone, to i tak daleko im do rodzinnych. Chociaż prawdę powiedziawszy, łąki w jego rodzinnej wiosce nigdy nie były dostatecznie zielone, gdyż zaraz po zniknięciu śniegu, z korzeniami wygryzało je bydło. Tęsknił do rzeczek i strumyków, w których było pełno kiełbi, piskorzy, raków, a w Orlance – miętusów, linów i szczupaków, nie mówiąc już o płociach. On ich nie nadużywał, bo

był za mały, gdy pasł krowy, aby je łowić i za głupi, aby zjeść samemu, gdy coś mu „Bóg posłał", ale cieszył się, że są. Kiedyś, szukając po norach w Orlance raków, natrafił ręką na coś takiego, czego bardzo się zląkł, ale schwyciwszy pod oskrzela już nie puścił. Ze strachu szybko to „coś" wyrzucił na łąkę. Okazało się, iż był to sum długości jego ramienia. Nosił go cały dzień i nie miał komu się pochwalić. Wieczorem zaniósł do Damianowej Marysi, która rybę usmażyła i z rodziną spożyła. On też popróbował, ale daleko było do najedzenia. Mógł zjeść sam i najeść się, ale gdzież tam. Zawsze musiał być chwalony i podziwiany.

Tęsknił za źródełkiem Między Rowami, z którego każdego dnia pił kryształowo czystą wodę by oszukać głodny żołądek. Tęskno mu było za piaszczystą drogą prowadzącą w Szeleszok, którą każdego dnia bez względu na pogodę pędzał stado na wypalone słońcem pastwisko. Wcale nie było mu obojętne grząskie błoto w Buselniku, po którym krowy garnęły brzuchami, a ptactwo gęsto zasiedlało gniazdami olszynnik i wyśpiewywało najróżniejsze, miłe dla wrażliwego ucha melodie, a później wywodziło maleńkie żółtodziobki, którymi Wiesiek nigdy nie mógł się nacieszyć. Ptaszki nosiły swym pociechom muchy i robaki, a on szukał pomiędzy krzewami zajęczego szczawiu lub czarnej porzeczki, aby zaspokoić ten przeklęty głód, który wszystkich dotyczy, lecz nie wszyscy go uznają w stosunku do bliźnich.

Stanęły mu przed oczyma jak żywe kwitnące sady, w których też było pełno ptactwa i rojów brzęczących owadów. W sadzie dziadka oprócz tego wszystkiego, co było u innych sąsiadów, stały jeszcze i ule, jak opowiadali obcy, ale po śmierci dziadka ule się zwiodły. Wiesiek pamięta tylko przesmaczne gruszki i jabłka, jakich chyba nie ma nigdzie na świecie. Sad był tak zarośnięty zielskiem, że swobodnie mogły tam się nieść kury i nikt tych gniazd nie znalazł, chyba że przypadkowo, i bytować zielone żabki łąkowe, rzekotki oraz ropuchy i jeże. Ptaki gnieździły się w wyplecionych przez siebie gniazdkach na wybranych drzewach i krzewach leszczyny, bzu i śliw oraz w dziuplach starych drzew, które powydłubywały dzięcioły. Wiśnie rosły

i wiosną kwitły bliżej studni, tuż przy chatce. Ale to wcale nie odstraszało żwawych i przedsiębiorczych szpaków, które obsiadały czerwono-zielone drzewka i łykały soczyste owoce, a dzieci się przyglądały, bo nie wiedziały, że trzeba je odpędzać, a później dostawały od matki lanie za niedopilnowanie wiśni przed „złodziejami". Kiedy dowiedziały się co z tym fantem zrobić, to już owoce były bardzo przerzedzone. Więc je dorywały do reszty i zjadały same. Soków z wiśni nikt nigdy nie robił, bo był do tego potrzebny cukier...

Za przyrodą rodzinnej wsi i okolic tęsknił bardziej niż za wujeczną siostrą Marysią, która była rówieśniczką i powróciwszy pięć lat temu z Niemiec została na gospodarce, za jej młodszym i starszym rodzeństwem, oraz za Ulaniną Marysią, Pawłową Nadią i innymi koleżankami i kolegami, z którymi rósł i przeżywał różne perypetie, których dostarczało twarde, bezwzględne lub wręcz spartańskie wiejskie życie. Tęsknił w tę noc do tego wszystkiego tak jak kiedyś w dzieciństwie, leżąc na podłodze przykrywając się od chłodu workiem, zatęsknił do Bonifatowego Koli. Tak zapragnął go zobaczyć, że omal nie wstał wśród nocy z podłogi i nie poszedł. Nigdy u Bonifatowego Koli nie był i gdyby nawet nie w nocy tam zaszedł, to oprócz obojętności niczego by tam nie spotkał. Ale ot czemuś tak mu stało markotno i tęskno, że aż nie wiedział co ze sobą zrobić, aby uciec z domu do Koli. Powstrzymało go tylko to, że każdą myśl o chceniu czegoś odpędzał od siebie, niby jakiegoś natręta. Wiedział, że nie ma żadnego prawa czegoś chcieć, o czymś głośno marzyć, a już nie daj Boże – mieć. Teraz służba i odległość od swoich stron powstrzymuje go przed tym by zerwać się z tego tu czystego i wygodnego posłania i pobiec tam. Pobiec i w niedzielę po południu, gdy już ludzie przyjdą z cerkwi, potańczyć na zabawie. Kiedyś tańczył jako najbiedniejszy z biednych, a teraz pokazałby się w wojskowym mundurze i to nie szeregowego, a podoficera zawodowego – w gabardynowym. Dobrze byłoby z już dorosłymi, a to i zamężnymi koleżankami i takimiż kolegami posiedzieć u kogoś przed chatą na ławeczce i posłuchać jeszcze nie zapomnianych dawnych, tęsknych, sentymentalnych pieśni zwanych w jego wsi *rohulkami*, a gdzie indziej *ohulka-*

mi. Te *ohulki* są pieśniami wywodzącymi się gdzieś ze starożytności, ale wciąż były chętnie śpiewane, lubiane i nie zapominane. Bodaj dlatego, że wiernie odzwierciedlały dolę wieśniaków w przedwojennej Polsce i za Sowietów, oraz pasowały do panującej w środowisku atmosfery – siedziało bractwo bose i w niewyszukanych przyodziewkach z lnianego płótna wieczorami na ławeczkach i do późnej nocy zawodziło te pieśni, które bardziej chłodziły ciało z wrażenia, niźli sam wieczorowy chłód ciągnący z łąk. A jakąż radością bywało napawał go widok kopuł cerkwi w Dubiczach, gdy oglądał je rano we wschodzącym słońcu.

Przyszła mu na myśl i piękna dziewucha z Sośnicowic, Magda, którą poznał będąc z pułkiem w jednym z podkatowickich pegeerów przy pieleniu cykorii. Na łące całowali się bez opamiętania do brzasku, aż pułk odjechał do Katowic, a on ledwo w pośpiechu zdążył na jakiś samochód, aby dostać się bez poruty do koszar i nie oberwać za to, że nie pilnował żołnierzy i sam gdzieś się zawieruszył. Ale nic poza tym, gdyż bał się zarazić chorobą weneryczną, która według lekarzy tej jednostki, po prostu szalała w województwie katowickim. To była bzdura, że wszystkie kobiety były zarażone, ale żołnierze bali się. Później wymieniali się listami, lecz wkrótce skończyło się, bo Wiesiek z pułkiem pojechał plądrować po lasach, szukając zbrojnego podziemia.

Wspomniał też z przyjemnością dziewczynę ze Stargardu Szczecińskiego, którą poznał gdy zajechał tam po kontyngent rekrutów. Tak jej się spodobał od pierwszego wejrzenia, jak przekonywała, że wręcz namawiała go do pozostania w Stargardzie i ożenku. Płacząc przy pożegnaniu przyrzekała, że jeszcze nie miała mężczyzny i dotąd nie będzie miała, póki jej się kto nie spodoba tak jak Wiesiek. Jest szczęśliwa, mówiła, że spotkała wymarzonego chłopca i jednocześnie tragicznie nieszczęśliwa, że za chwilę będzie musiała go pożegnać, oby nie na zawsze i zalewała się łzami. Niestety, Wiesiek i tu nie popisał się męską odwagą, już to bojąc się złapać trypra, chociaż miał przyrzeczenie, że dziewczyna jest cnotliwa, już to innych konsekwencji. Dobrze postąpił, bo nie ma wyrzutów sumienia.

Dzisiaj, z perspektywy dziesiątków lat trudno nie przyznać dziewczynie racji, która na pożegnanie objęła go i całując w policzki przez łzy wyrzekła: – Jestem typem dziewczyny, która nie musi wysilać się, aby poznać chłopca, gdyż jest ich pełno, lecz marzeniem moim było poznać kogoś takiego jak pan i zakochać się bez reszty. Dzisiaj tak się stało, ale co zrobić, skoro pan mi nie wierzy lub wręcz kpi sobie ze mnie. Jestem przekonana, że w życiu wpadnie pan jak śliwka w kompot, bo na pana będzie polowało masę dziewcząt, a wybierze pan najgorszą z nich, bo te wyrafinowane puszczalskie potrafią omotać każdego, a później dopiero przelewanie łez i narzekanie na swój los. A przecież ten los każdy sobie wybiera sam, tylko że inni pomagają lub przeszkadzają w tym wyborze. Szkoda mi pana, ale jestem przekonana, że tak będzie, chociaż ja nigdy o tym się nie dowiem. Podała Wieśkowi rękę na pożegnanie, życzyła szczęścia i ze łzami spływającymi po pięknych policzkach odeszła. A ten głupek przyjął od komendanta RKU przygotowanych do drogi rekrutów i powiózł ich aż do Przemyśla.

Wieśkowi w tej chwili wydawało się, że wieczne głodowanie, poniewierki, bicia, poszturchiwania, kaleczenia bosych nóg i wciąż tylko oczekiwanie na czyjąś pochwałę i zmiłowanie za katorżniczy wysiłek są tylko męczącym, koszmarnym snem. A zresztą – myślał, – teraz jestem przecież samodzielnym, a więc mógłbym własne życie ułożyć według własnego, a nie czyjegoś pojęcia... Zdawał jednak sobie sprawę z tego, że wszystko jest mało realne, albo wcale. Wiedział, że pozostanie na zawsze na państwowym chlebie, a mimo wszystko tęsknił za wioską i w związku z tym wiele przeżywał. Jego wioska nie była lepsza i łaskawsza od jego macochy – razem go głodziły, razem ziębiły, poniewierały, przezywały i rechotały, gdy wił się z bólu od sino-żółtych pęcherzy na stopach, od wrzodów na potylicy, brzuchu i nogach. A jednak teraz wszystko wszystkim wybaczył i gotów był z nimi współżyć w istniejących warunkach, byle tylko w swoich stronach, do których nie wiedzieć czemu inni nie tęsknią. Taki był głupi.

A może ci inni też tęsknią, tyle tylko, że udają obojętnych? Na przykład sporo ludzi w czasie pierwszej wojny światowej w 1914 roku

wyjechało do Rosji i wielu z nich już nigdy nie wróciło. A przecież trzeba pamiętać, że u każdego człowieka jest zakodowana w sercu tęsknota do kogoś, do czegoś... Tu chyba wchodzą w grę lepsze warunki bytowania, ożenek lub najzwyklejsze w świecie ludzkie lenistwo i strach przed warunkami ponownego przebycia tej samej drogi, którą przebyli w ucieczce. Potem, owszem, niektórzy przyjeżdżali na czasowy pobyt, już za Sowietów, ale, jak się wydawało, odjeżdżali z powrotem, gdzieś za Ural nawet bez żalu. Ba, dłuższy pobyt nawet w dalekim, cudzym kraju powoduje to, że człowiek się przyzwyczaja, bo tam uzyskał pracę, ożenił się i doczekał dzieci, więc już ten zakątek kuli ziemskiej uważa za swój. Czy przekaże on swoim dzieciom to jak kiedyś tęsknił za domem, za rodzinną wsią, za znajomymi ludźmi? A jeżeli nawet przekaże, to czyż dzieci go zrozumieją, skoro one są u siebie w domu mając mamę i papę?

Po wyzwoleniu Polski i zakończeniu II wojny światowej z ZSRR powróciła tylko okrągła sierota Maria Olesiuk i przytuliła się do wujostwa, póki nie wyremontowała starej, maleńkiej chatynki, która przed wojną opustoszała czy pobudowała takąż malutką na ojcowskim placu. Brat Marysi Jakub ożenił się i pozostał aż w Angarsku. Tam go rzuciły losy chłopca bezdomnego, gdyż władza radziecka znalazła tym dwojgu sierotom przytułek w Brześciu Litewskim, skąd z chwilą najazdu Niemiec na Związek Radziecki ewakuowano ich za Ural. Wieśkowi też proponowano lepsze życie, widząc jakie ma teraz przy macosze, ale on zawsze chorował na rozum – żal mu było zostawiać rodzinną wieś, a w niej koleżanki i kolegów, którym zależało na nim tak samiusieńko jak psu na piątej nodze. Męczył się po łazarzemu, ale trzymał się swej wioski pazurami i zębami, jak wesz kożucha...

No, ale teraz zmądrzałem – myślał – i dałem się wynieść na szerokie wody. Bo czyż nie szczytem tej kariery jest pobyt w Warszawie i kierowanie grupą kontrwywiadowców? Jest zaszczytem i awansem społecznym. W dodatku nikomu z jego kolegów i koleżanek nie przyjdzie nawet do głowy, że ich zapomniany przez Boga i bezlitośnie poniewierany przez ludzi kolega może się nadawać do takiej roli.

To prawda, że kierują nim doświadczeni konspiratorzy i wytrawni oficerowie kontrwywiadu. Ale czy mimo wszystko każdy do tego się nadaje? Tym bardziej, że przecież nie jest zwyczajnym pracownikiem jednej z komórek X Departamentu, a kierownikiem jednej z grup, która wcale nie jest obojętna dla agentów obcych wywiadów w grze „kto kogo". Trzeba pamiętać – rozmyślał Wiesiek niby stary rep, – że agenci wrogich państw są odpowiednio wykształceni, przygotowani do szpiegowskiej działalności i dysponują odpowiednim sprzętem technicznym, a ja co? A jednak jestem kimś.

Ciekawe, co by pomyślał Matronin Antek, z którym w dzieciństwie pasłem krowy i któregoś razu obaj, siedząc na zagonie „hartowaliśmy" swą wolę? – uśmiechnął się do siebie Wiesiek. A było to tak. Antek, z rodu odczajduszów po ojcu, którego zresztą chyba nie pamiętał żył tylko z matką wdową, mając już jedną nogę skurczoną pod kątem 90 stopni, bo zbił rzepkę kolanową w jakimś wypadku, zaproponował Wieśkowi, żeby postawić stopy w bruzdę i jeden drugiemu będzie bił po ich górnej części grudkami skamieniałej gliny. Wiesiek nie chciał być gorszy więc z ochotą przystał na tę propozycję. Usiedli na przeciw siebie, a na front wystawili po jednej nodze. Każdy „dogadzał" drugiemu jak mógł najmocniej. Obaj płakali z bólu, ale nóg honorowo nie zabierali z bruzdy dotąd aż jeden z nich się nie ukorzy. Żaden nie prosił łaski, tylko że bicie nieco osłabło, bo przez łzy nie było dobrze widać stóp. Nagle ktoś zaklął, że bydło w szkodzie. Obaj zerwali się jak na komendę i popędzili, sromotnie kulejąc, aby wygnać żywinę z cudzej saradeli. Człowiek, który klął ich za to, że sami siedzą a bydło zapuścili w jego zagony, widząc ich dziwaczny bieg tak się rozchichotał, że i strach im odleciał. Antek i tak o kiju chodził. Ale kiedy „wujek" zobaczył, jak obaj karaczą, zginając się wpół ze śmiechu krzyknął: – No, macie szczęście, żeście mnie tak rozśmieszyli tym waszym biegiem, a to bym wam tak skórę złoił, że przez tydzień nie siedlibyście na srakach.

Dalej jednak kolegowali się i nigdy słowem o „hartowaniu" nóg nikomu nie wspominali. Może nawet Antek i zapomniał, że coś podobnego między nimi było. Później matka Antka współżyła z dziad-

kiem Wieśka, który rządził swoim gospodarstwem, a u niej pracował. Krzepki był mężczyzna. Bywało, sosny kładł na sanki bez żadnych urządzeń i chyba to powodowało, że ludzie woleli mu się nie narażać. Tym bardziej, że na wszelki wypadek zawsze nosił z tyłu zatkniętą za pas siekierę. Zmarł bodaj rok temu – ni to ze współczuciem, ni to z żalem wspominał Wiesiek utkwiwszy oczy w ledwo dostrzegalny sufit.

A teraz co? Teraz wszyscy chłopcy i dziewczęta powrócili z Niemiec, wielu chłopaków z wojska i zewsząd, dokąd tylko ich los zapędził i zabrali się ponownie za gospodarowanie na swoich zagonach, kto sam, a kto z rodzicami, jeżeli jeszcze żyją. Nie, nie wszystka młodzież wróciła ze świata, wielu gdzieś się zapodziało. Wielu z nich już się pożeniło, a niektórzy jeszcze się byczą, ale ze wsi nigdzie im się iść nie chce, widocznie wytęsknili się za swoimi, a i najmilszy jest własny kąt, własna mowa i cerkiewka nad Orlanką, wokół której każdej niedzieli zbiera się masa ludu...

Przypomniało się Wieśkowi i to, że kiedyś, jeszcze będąc bardzo małym chłopcem, właśnie wtedy gdy kolegował się z Antkiem, zaszedł do niego wieczorem z myślą, że może jego mama da mu coś zjeść. Szedł niby do dziadka, który, jak się wyżej rzekło, chwilowo u niej mieszkał i pracował. Mama Antka, Motrona lubiła Wieśka i zawsze, gdy tam zaszedł, częstowała do chlebem. Tym razem też dała mu kolację, którą razem spożyli i żałując odprawiać dzieciaka do domu, widząc, że sam się nie kwapi, zaproponowała, aby u nich przenocował na jednym łóżku z Antkiem. Wiesiek bardzo chętnie się zgodził z kilku powodów, o których nikt nie zdawał sobie sprawy. Po prostu bał się wracać do domu, bo wiedział, że będzie bity przez macochę za to, iż „gdzieś poszedł", zamiast kołysać dzieciaka, a po drugie, bardzo chciał choć raz pospać w łóżku i pod kołdrą. Po raz pierwszy odczuł prawdziwość pościeli i razem z Antkiem aż z głową zanurzył się pod kołdrę.

Widział Pan Bóg i ludzie, w jakim przyodziewku chodził Wiesiek na co dzień – zgrzebna, podarta koszulina i takież spodenki, ale zawsze boso. Kiedy gdzie zdarzało się mu wyjść do sąsiadów to na nogi

zakładał szmaciane trepki, a na grzbiet starą ojcowską marynarkę. A jeżeli wychodził bez zgody rodziców, to znaczy – uciekał, to wtedy gnał po mrozie w tym, w czym stał nad kołyską, czyli bosy i w „ubraniu" od słońca. Dlatego też dzisiaj, gdy przyszło mu szczęśliwie znaleźć się pod kołdrą – był najszczęśliwszym człowiekiem we wsi. Nawet nie zazdrościł dziadkowi widząc, jak ten zdjąwszy łapcie i rozwiesiwszy ciepłe ale zamoczone onuce wokół pieca, wspiął się na ciepły piec chlebowy, gdzie uprzednio położyła się mama Antka.

Wiesiek, będąc najbardziej wymarznięty i zmęczony, zasnął pod ciepłą kołdrą najprędzej. Przed zaśnięciem trochę słuchał rozmowy dziadka z Motroną. Ale ta była prowadzona szeptem, więc zrezygnował z wytężania słuchu. Przykrył się kołdrą pod sam nos i zasnął. Żeby oddać sprawiedliwość trzeba powiedzieć, że Wiesiek, słysząc propozycję przenocowania w jednej pościeli z Antkiem, pomyślał: – A co będzie, jeżeli u nich nie ma wszy? Ale u kogo ich nie ma – uspokoił siebie i jak siedział w brudnych strzępach, tak i położył się pod Antkową kołdrę.

Dziadek z kochanką jeszcze chyba nie zasnęli, jak mały chłopiec zaczął we śnie drapać swe wychudzone ciało brudnymi paznokciami, gdyż pasożyty karmiące się jego krwią też się rozgrzały pod kołdrą i zaczęły pałaszować wieczerzę. Robiły to tak dokuczliwie, że nawet dzieciak przyzwyczajony do sytuacji darł ciało we śnie.

W pewnym momencie otworzył oczy, bo chyba poczuł ciepło łuczywa i ujrzał pochylone nad nim twarze dziadka i mamy Antka. Zląkł się, bo nie wiedział co się zdarzyło. Mama Antka delikatnym, współczującym głosem uspokoiła go: – Śpij, dzieciaku, śpij. Już i tak się stało co się miało stać. Jutro pościel wyniosę na mróz, Antkowi zmienię bieliznę i wszystko będzie dobrze. Szkoda tylko, że się nie domyśliłam, iż możesz mieć aż tyle wszy.

Takie myśli jeszcze bardziej pogłębiły bezsenność plutonowego. Dlaczego rodzice robią dzieci – zastanawiał się, – a później traktują je jak winowajców, jak przyczynę ich niepowodzeń czy nieszczęść. Zmuszają do nieludzkich wysiłków, nie zapewniając nawet pod dostatkiem chleba i kartofli? Pewnie, że nie wszyscy rodzice, ale dlacze-

go on miał takich? Dlaczego był traktowany jak jakiś podpalacz, złodziej czy zabójca, jeżeli ich nie prosił, aby byli jego rodzicami? Tak – myślał, – moja matka zmarła w półtorej roku po moim urodzeniu, co zdarza się wszędzie. Ale dlaczego ta, którą ojciec pojął za drugą żonę, prawdopodobnie między innymi po to, aby nas opierała i zajmowała się prowadzeniem całego gospodarstwa, zawsze mnie biła? Mało tego, robiła to w bardzo ohydny, sadystyczny sposób, a gdy przytrafiało mi się jakieś nieszczęście – skaleczenie nogi czy wyhodowanie na ciele bolącego gnojniaka-czyraka, śmiała się z uciechy? Żeby w tej chwili pobudzić śpiących obok kolegów i zapytać: – Słuchajcie koledzy, przyszło mi do głowy, aby was zapytać czy macie dobrych rodziców i czyście ich sobie wybrali? Co powiedzieliby o swoich rodzicach – nie wiadomo, ale na pewno nikt z nich nie powiedziałby, że ma takich rodziców jakich sobie wybrał. Może niejeden z nich mógłby się pochwalić, iż ma takich rodziców, jakich by pragnął. Ale żeby wybierał? Natomiast rodzice najpierw spłodzą dziecko, a potem uważają je za zło konieczne i rzucają na pastwę losu. A ten bywa bardzo surowy, niesprawiedliwy i okrutny.

Wieśkowi nie jeden raz bolało podwójnie. Ciało bolało od razów ojca czy macochy, a dusza z tego powodu, że przechodnie zachowywali się tak obojętnie, jakby patrzyli na kogoś łatającego chodaka lub rąbiącego drwa. Z mroków niedalekiej przeszłości Wieśkowi udało się przypomnieć zaledwie jeden fakt obrony go przed rozjuszonym ojcem. Stara Petryczka, siedząc na ławeczce przed swoją maleńką chatynką zobaczyła jak ojciec na ulicy szatkuje swoje dziecko batem, a to wrzeszczy. Podbiegła i wyrwała płaczącego i pokrwawionego chłopca spod bata człowieka, który był gotów zamordować syna tylko za to, że wyszedł na ulicę, pozostawiając na podwórzu pilnowane przez siebie dzieci. Stara kobieta wywstydziła „bohatera" i wyznała mu, iż wiedziała, że jest głupi, ale żeby aż tak... Ojciec nie odszczeknął się, tylko wsiadł do wozu i pojechał w pole po snopy zboża.

– Biedne są te dzieci, które mają głupich rodziców – mówiła Petryczka pocieszając pokrzywdzonego. – Ale nie przejmuj się, wyrośniesz, to odpłacisz pięknym za nadobne. – Pochwaliła, że jest do-

brym chłopczykiem i kazała iść pilnować dzieci, bo ojciec znowu będzie bił, gdy zastanie go poza podwórzem.

Wiesiek wyrwał się z płaczem od swej chwilowej opiekunki i zajął się obowiązkami na podwórzu. Nogi piekły od bata i sączyła się krew, lecz miejsca widoczne łatwo było „opatrzeć" piaskiem i mieć z głowy. Gorzej rzecz się miała z rozciętym policzkiem z prawej strony nosa. Początkowo nie wiedział co począć z sączącą się krwią, kapiącą na koszulę i wabiącą muchy. Później zrywał z lipki liście i wycierał ranę, rzucając je w pokrzywy. Po krótkim czasie rana zaschła i tylko muchy przypominały malcowi, iż na twarzy ma ślady ojcowskich „pieszczot". Po nogach też muchy łaziły i cięły, ale to był dzień ich powszedni, ponieważ mało kiedy te nogi nie krwawiły. Praktycznie tylko zimą, gdy dzieci siedziały w domu.

Zresztą, trzeba pokłonić się prawdzie i rzec, że każde wiejskie dziecko, obojętnie – biednych czy bogatych rodziców, wiedziało, iż najlepszym lekarstwem na rany jest piasek, mocz, a na różnego rodzaju narywy – podorożnik, czyli po łacinie Plantago major, który bardzo skutecznie wyciąga ropę z samoczynnie pękniętej, bo dojrzałej i rozbabranej rany. Niektórzy uważali, że po zranieniu nogi natychmiast trzeba polać ją moczem. To też było skuteczne, o czym Wiesiek sam się przekonywał każdego dnia. Z tym, że czasami szukał jakiejś onucy, aby go nie kłuła w rany trawa, patyki i wszystko co kłuje w lesie czy w polu. Pewnego razu skoczył z płotu tak niefortunnie, że trafił na gwóźdź, który przeszedł pomiędzy kośćmi i przebił nogę na wylot. Malec zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji, lecz mógł liczyć tylko na siebie. Usiadł w zielsku, wyrwał zardzewiały, pięciocalowy ćwiek ze stopy i pomoczył ranę moczem. Ale w obawie przed zakażeniem zaczął szukać kawałka jakiegoś płótna ze starego worka, które mogłoby walać się w sadzie. Znalazł i... „zabandażował" nogę, ale nie tę, którą tylko co zranił. Obie były do siebie podobne i obie jednakowo bolały.

Wszystko to prawda i męczarnia była też jak najbardziej prawdziwa. Ale prawdą jest i to, że sad był pełen ptactwa, które swoim śpiewem było zdolne poruszyć najpiękniejsze struny człowieczej duszy.

Mimo głodu, braku snu, poniewierki, bicia, ran i łez każdy słoneczny poranek napawał małego chłopca uczuciem radości i jakimś niepojętym optymizmem, że może coś się zmieni, że może ludzie staną się lepsi – zauważą, że pośród nich jest ktoś głodny lub wymagając opieki, chory – i dadzą chleba. Symfonia sadu jakby dodawała odwagi do dalszego życia i sił do przetrwania. Mimo, że czasami padał ze zmęczenia idąc z pastwiska, mimo kurzej ślepoty, która go często nawiedzała, gdyż głodował permanentnie, pisku w brzuchu, bo było często tak, że zjadał tylko szczaw z łąki i czarną porzeczkę, mimo bólu nóg, głowy i brzucha – serce się radowało śpiewem przyrody. Chodząc po sadzie deptał sążniste pokrzywy i wystające ponad głowę łopiany, zaglądał jaki ptak gdzie uwił gniazdko i czekał na wylęg piskląt. Cieszył się tymi żółtodziobami, których mógł zobaczyć i dotknąć. Czasem w gęstwinie zielska znajdował gniazdo kurzych jaj. Też się cieszył i niósł do domu, żeby mama pochwaliła, zamiast schować i jeść chociaż po jednym dziennie. Macocha przyjmowała jaja bez słowa i wynosiła do komory, zamykając ją na zasuwę. Potem sprzedawała Geni z Orli.

Rzadko jednak miał okazję cieszyć się ptakami zamieszkałymi w sadzie i upajać swe zahukane serce ich śpiewem, gdyż przeważnie wiódł żywot w polu albo w lesie. Tu mu śpiewało polne i leśne ptactwo, spośród którego wyróżniał kukułkę, jako proroka, bo mu każdej wiosny wróżyła ile lat będzie żył. Zupełnie nieświadomie bał się gołębi, chociaż nie wiedział, że to co grucha w nocy na cmentarzu jest gołębiem. Słyszał od starszych, że na cmentarzu gruchają dusze zmarłych i włosy mu się jeżyły, gdy przyszło w nocy iść po konie lub do wschodu słońca paść krowy w pobliżu tego uświęconego miejsca. Bał się wilków i duchów, ale najchętniej myślami wracał do ptactwa, jeżeli chciał odzyskać równowagę ducha. Był wielkim optymistą albo niepoprawnym lekkoduchem, którego ustrój wewnętrzny był zdolny do niewiarygodnych wysiłków w tłamszeniu tego co mogło go każdego razu doprowadzić do tragedii – samobójczej śmierci w obliczu widoków dnia następnego. Później chyba przywykł do tego, zgruboskórniał. Albo wręcz wyhodował w sobie twarde źdźbło optymizmu,

który pozwolił mu pokonać wszystko, co musiał przeżyć z woli złych ludzi. Jednak ciągła bojaźń ludzi, już niekoniecznie złych i niewiara w ich życzliwość, zwichnęły jego charakter.

Któregoś razu Wiesiek z Antkiem paśli krowy Między Rowami, gdzie spotykał się z Orlanką strumyk mający początek w Grabowcu. Tam była gęsta karłowata olszyna i kępiasta, podmokła łąka. Idąc ponad strumykiem ujrzeli kaczkę ze stadkiem maluchów. Antek „w gorącej wodzie kąpany" krzyknął: „Łap!" A Wiesiek na to: „A komu one będą?" Kaczka z kaczętami nyrnęła do rzeki i tylko ogon chłopcom pokazała. Antek Wieśka nazwał tępakiem, a ten odparował: – Więcej nie złapałbym niż jedno i ty byś mi je zabrał.

Nad ranem chyba zasnął, bo przyśnił mu się jakiś koszmar. Niby wychodzi z pokoju do pokoju i jest przekonany, iż w tym drugim pokoju jakiś święty weźmie go za kołnierz i gdzieś pociągnie. A jakże. Tylko wszedł, jak święty o nieznanym imieniu chwycił go za kołnierz marynarki i wciągnął z powrotem do tego pokoju, z którego wyszedł. Wiesiek ze strachu zerwał się z łóżka. Mimo wczesnej pory nie chciał dalej leżeć w pościeli i jeszcze raz od początku przeżywać to, co się wydarzyło w jego dotychczasowym istnieniu. Ogolił się, umył, ubrał i wyszedł na dwór.

Poranne rzeźwe powietrze wlało się do płuc i z oczu zmiotło resztkę nocnej, męczącej drzemki. Wiesiek znów poczuł się raźniej, bo wiedział i to, że w czasie wizyty pułkownika wiele się wyjaśni i zaistnieje. Po co zawczasu martwić się byle głupstwem, gdy najważniejszych problemów jest wystarczająco, aby osiwieć – rozmyślał idąc Bagatelą w kierunku Belwederu. – Przede wszystkim trzeba wykonać zadanie, do którego został powołany. A co będzie z „wileńszczukiem" i Jolą – czas pokaże.

Po śniadaniu uporządkowano lokal na przywitanie szefa i zajęto się codziennymi obowiązkami, chociaż w podekscytowanej atmosferze, gdyż Światło nie był namolnym intruzem, który każdego dnia coś chce i nic tylko dokucza. Podpułkownik zawsze wiedział czego chce i tylko wtedy przychodził do lokalu konspiracyjnego. A gdy przychodził, zawsze pytał o wyżywienie i czy gospodyni dobrze

sprząta. Ze strony wywiadowców nigdy nie było skarg na sąsiadkę-gospodynię, a tym bardziej nie mogło być żadnych skarg na wyżywienie, gdyż to i tak nic by nie pomogło, ponieważ nie od nich zależało co gotują w specjalnej brygadzie KBW – jedli to, co w danym dniu tamci kucharze przygotowali.

Dzień zapowiadał się piękny, pachniało lipowym kwieciem i topolami, a przed otwartymi oknami od czasu do czasu przesuwały się wysokie cumulusy, zaś przez firankę powiewał leciutki zefirek, przynosząc ulgę w oddychaniu. Wieśkowi znów chciało się żyć.

Punktualnie o trzynastej w przedpokoju rozległ się umówiony sygnał dzwonka. Po otwarciu drzwi przez któregoś z wywiadowców, po cichu wśliznął się Światło, a następnie w kilkuminutowych odstępach „dobili" Mietek P. i Mosze B., przyboczni pułkownika.

Wiesiek najpierw zajął szefa tym, co go najbardziej nurtowało. Światło przeczytał notatkę, którą Wiesiek wczoraj napisał w związku z zajściem w restauracji „Pod Dwójką" i powiedział, że z domniemaną Jolą nie tylko można, ale koniecznie trzeba się spotkać, nie wspominając słowem o wczorajszym zajściu w restauracji z jej rzekomym ojcem. – Ja tymczasem – powiedział pułkownik – zorganizuję obserwację za nią gdy się rozstaniecie, jeżeli oczywiście nie zostaniecie zaproszeni przez nią do domu. W każdym razie, żeby nie tracić sił po próżnicy, bo biuro „A" i tak ma jak zawiązać na swym grzbiecie, umówmy się jakim sposobem powiadomicie o rzeczywistej sytuacji. Albo nie, nie powiadamiajcie. Zarządzę aby dwóch wywiadowców już o godzinie dziewiętnastej było w kawiarni i ją zapoznali. Jeżeli zaproponuje, abyście ją odwiedzili w domu dzisiejszego wieczoru – nie zgadzajcie się, gdyż z tego mogą wyniknąć niezłe tarapaty, w które wy nie możecie być zamieszani, ponieważ macie do wykonania nie mniej ważne zadanie. A w przypadku prowadzonego przeciwko niej czy grupie, do której należy, operacyjnego rozpracowania, możecie znaleźć się w kręgu podejrzanych i nastąpi dekonspiracja nie tylko was, ale i lokalu, a więc i całej grupy. A co za tym idzie – całego naszego przedsięwzięcia, bo departament prowadzący rozpoznanie będzie chciał ustalić wasze miejsce pracy i zamieszkania. Póki mi uda-

łoby się wyjaśnić co do czego i że nie jesteście wielbłądem to już was wykastrują i nastąpi taka „rozwałka", że się nie pozbieramy. A tak ja powiem komu trzeba, żeby osobą tego wojskowego wywiadowcy się nie interesowali, a tylko dziewczyną, która jest z nim w restauracji.

Stanęło na tym, że Wiesiek pójdzie na spotkanie z Jolą, lecz nie przyjmie żadnej jej propozycji, aby się udać do niej do domu czy pod jakiś inny, wskazany przez nią adres.

Narada grupy trwała bardzo długo, ponieważ pułkownikowi zebrało się na gadkę. Zapalał papierosa za papierosem i truł o sytuacji w kraju i na arenie międzynarodowej. Podkreślał jacy to powinni być czujni i oddani Polsce Ludowej jej najlepsi synowie, żeby zabezpieczyć spokojny trud klasy robotniczej i chłopstwa. – To my jesteśmy – mówił – od tego, aby ustrzec nasze zakłady przemysłowe przed dywersją i sabotażem ze strony państw imperialistycznych, które gotowe są dopuścić się każdej podłości, aby tylko osłabić nasz ustrój i nastawić społeczeństwo przeciwko partii i władzy ludowej. Solą w oku międzynarodowego imperializmu pozostaje nie tylko nasza ojczyzna – Polska Ludowa, ale i inne kraje, które zrzuciły z siebie jarzmo rodzimych i obcych wyzyskiwaczy! Zobaczcie co się dzieje w Korei, a sami zrozumiecie do czego jest zdolny imperializm, któremu grunt usuwa się spod nóg. Ale zapamiętajcie moje słowa – już w niedalekiej przyszłości imperializm światowy pod przewodnictwem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej tak samo zostanie zdruzgotany jak faszyzm hitlerowski i militaryzm japoński. Już mu nadszedł kres i dlatego rzuca się we wszystkie strony, szukając ratunku w zabijaniu narodów pragnących swej własnej niezawisłości. Itd., itp., a wszystko to poza zasadniczym tematem, z którym do nich przyszedł odnośnie dalszych przedsięwzięć w rozpracowywaniu powierzonego „obiektu". Jola do „Świtezianki" przyszła punktualnie i w dobrym nastroju. Wyglądała nie to, że pięknie a wręcz cudownie. Ubrana była w sukienkę koloru morza, ładnie uszytą i dopasowaną do jej pięknej figury, a łabędzią szyję i uszy zdobiła biżuteria ze skrzącymi się szkiełkami, które mogły być brylantami lub tylko ich imitacją – któż to może wiedzieć, a tym bardziej młody wywiadowca, który nie rozróż-

niał żadnych klejnotów, a tylko z lubością patrzył, jak grają światłami przy każdym ruchu głowy Joli.

Oprócz urodziwej twarzy, Jola zdawała się być bardzo zgrabną i ponętną dziewczyną. W kawiarni nie było mężczyzny, który by w nią nie wlepiał wzroku. Byli też tacy, którzy wręcz bezczelnie mierzyli dziewczynę wzrokiem od stóp do głowy. A ta, będąc skromną lub taką udając, poprosiła Wieśka, aby się z nią zamienił i usiadła plecami do sali. Plutonowy był dumny, że tego rodzaju piękność zechciała z nim spędzić wieczór w kawiarni. Cieszył się, chociaż znał swoją sytuację i wiedział, że gdyby nawet rzeczywiście jej się podobał, to i tak nic z tego. Niemniej był rad, że wszedł w świat ludzi dorosłych, liczących się i aż tracił świadomość, bo nie przypuszczał, iż coś podobnego mogło się z nim zdarzyć. Ech, – myślał, – żeby nie ta diabelska konspiracja i można było z każdym szczerze porozmawiać... Może rzeczywiście jej się podobam i stalibyśmy się małżeństwem? Bronię zostawiłbym nawet dlatego, że ciągle fruwa po Warszawie szukając nowych przygód. Przy tym, gdzie Broni do Joli, gdyby nawet na równi były „fruwajkami". A co najważniejsze w jego sytuacji, to, że Bronia jest biedna i starsza od niego, a ta wygląda na bogatą i dużo młodszą. Zresztą – myślał, – co mnie wiąże z Bronią, kiedy ona raz ze mną, drugi raz z kimś innym...

Tymczasem Jola wciąż kierowała rozmowę na jego temat – a to skąd na prawdę pochodzi, a to jak się naprawdę nazywa. Niby żartami, ale nie omieszkała zapytać, czy jest żonaty. Wiesiek jak mógł tak „szczerze" odpowiadał na pytania ciekawskiej, jednocześnie obawiał się, aby ta nie zapytała o dowód tożsamości. Nie miał żadnego poza legitymacją służbową wystawioną na jego prawdziwe nazwisko. Gdyby coś podobnego przyszło do tej pięknej głowy, Wiesiek mógłby tylko nie pokazać, tłumacząc się, że w pośpiechu zostawił w jednostce. Ale Jola nie wykazała aż tyle tupetu, by żądać dowodu osobistego. Widocznie rozpracowanie Wieśka rozłożono na etapy, więc, jak w każdej pracy wywiadowczej, postanowiono zachować „zimną krew" i maksimum ostrożności, aby „ptaszka" nie spłoszyć.

Kto wie czy oprócz powierzonego jej zadania, Jola nie chciała zre-

alizować celu prywatnego, ponieważ zachowywała się naprawdę bardzo mile, a w oczach błyskał ogniki sympatii albo pożądania. Gdy dotykał jej ręki – nie zabierała, a komplementy przyjmowała rumieniąc się.

W pewnym momencie Wiesiek przyłapał się na myśli, że wolałby mieć Jolę za żonę i zamieszkać byle gdzie, niźli nosić mundur i wykonywać zadania, o którym mu się nigdy nie śniło. Z drugiej strony, przychodziło Wieśkowi do głowy i to, że ta tu, siedząca przed nim dziewczyna jest aż tak wyrafinowana, iż może nawet pójść z nim do łóżka w imię osiągnięcia zamierzonego celu przez organizację, czy dla organizacji, do której należy lub dla obcego wywiadu. Ta myśl przyćmiła plutonowego w jego marzeniach i kazała zająć miejsce pośród realiów dnia codziennego.

Wiesiek miał nie żałować pieniędzy na poczęstunek Joli, ale nie w sposób rozrzutny. Jeżeli dziewczyna wyrazi zgodę na kieliszek koniaku to zamówić nie więcej niż dwie pięćdziesiątki, kawę i ciastko. Jeżeli nie zechce alkoholu to wystarczy kawa, herbata i ciastka. Ciastka koniecznie, bo kobiety je lubią, ale też koniecznie trzeba zapytać jakie ma być to ciastko, żeby nie narzucać swojej woli. Odwrotnie, trzeba być dżentelmenem i szanować wolę „partnerki".

Pamiętając sugestię zwierzchnika, który jadł chleb nie z jednego pieca, Wiesiek tak i postępował. Okazało się, że dziewczyna woli wino od koniaku i herbatę zamiast kawy, natomiast nie życzy sobie żadnych ciastek. Gdy kelner postawił na stole zamówiony trunek, Jola zaproponowała Wieśkowi żeby wypić „bruderszaft". Ten się niby zgodził, ale bił się z myślami – jak to też wszystko wygląda w praktyce? Czekał aż może Jola coś wyjaśni. Ta zaś podniosła lampkę na wysokość oczu i powiedziała: – Wypijmy, lecz warunki nie pozwalają nam na przypieczętowanie tego pocałunkiem. Jestem Jola.

Wiesiek zrozumiał, iż w kołach inteligenckich panuje taki zwyczaj, że niekoniecznie musi być całus, podniósł tak samo swą lampkę, chociaż na pewno niezdarnie, ale rad, że nie popełnił gafy, też rzekł: „Jestem Wiesław". jednak w toku dalszej rozmowy zwracał się do Joli per pani, aż ona zareagowała: – Jeżeli jeszcze raz powiesz mi „pani"

zamiast Jolu, będziesz musiał płacić haracz – zaśmiała się, – w postaci... No, możesz sobie wybrać w jakiej postaci chcesz bulić haracze, ja proponuję forsę. Wieśkowi w to graj, a cóż mu zależy, żeby młodszej od siebie dziewoi nie nazywać po imieniu? Wręcz był oczarowany sytuacją i rozpierała go duma, że siedzi z piękną dziewczyną w kawiarni – i to aż w stolicy.

Po jakiejś półtorej-dwóch godzinach Jola zaproponowała aby zmienić miejsce pobytu. Na zdziwione spojrzenie chłopca zaśmiała się i rzekła: – Czego wytrzeszczasz gały? Proponuję przenieść się do mnie do domu, aby móc przedstawić cię rodzicom, jeżeli zechcesz.

– Bardzo chętnie – odpowiedział Wiesiek. – Ale ja niczego takiego się nie spodziewając obiecałem koledze, że zastąpię go na służbie.

– No cóż, służba nie drużba. Skoro obiecałeś, słowa musisz dotrzymać. Odprowadź mnie chociaż na przystanek i idź, ale obiecaj, że się jeszcze spotkamy.

– Obiecuję i proponuję, abyśmy się spotkali przy Kolumnie Zygmunta pojutrze, też o siedemnastej.

– Dobrze, będę czekała. Nie zawiedź!

– No wiesz Jolu, że to nie cywil banda. Wojsko jest wojsko i zawsze może coś się wydarzyć. Ale będę się starał, aby nic mi się nie przytrafiło.

– Na pewno przyjadę, bo bardzo mi się podobasz.

Nadjeżdżał tramwaj linii osiemnaście i tu, na Placu Unii Lubelskiej, wywiadowca pożegnał swą „służbową" dziewczynę, która dała mu trochę szczęścia i optymizmu, chociaż wiedział, że od tej chwili jest pod obserwacją i nie ma moralnego prawa mieszać się w zawiłości, aby móc ewentualnie dalej się z nią spotykać i coś planować. Tym bardziej, że jakoś dziwnie wszystko się składało. Był już pewny, że trzeba będzie wyplątać się z sytuacji, póki jeszcze nic się nie stało i wrócić do Broni.

Tramwaj odjechał w kierunku Placu Zbawiciela, a Wiesiek pomny przestróg o zachowaniu konspiracji, udał się na ulicę Rakowiecką do wartownika stojącego w bramie sztabu Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i na chybił-trafił poprosił o nazwisko

„pracującego" w sztabie żołnierza. Wartownik zwołał dowódcę warty, a ten z kolei poprosił Wieśka na wartownię i jął wypytywać o kogo chodzi. Wiesiek „przyznał się", że nie idzie mu o żołnierza lecz tu się skrył, ponieważ zobaczył na ulicy swego dowódcę kompanii z Brygady Specjalnej i nie chciał mu włazić w oczy, bo zaraz będzie się czepiał dlaczego nie jest z żołnierzami. – A ja urwałem się z kumplem na kielicha.

– A, rozumiem – rzekł dowódca warty i zachęcił plutonowego, żeby sobie usiadł i siedział ile będzie trzeba.

– Nie – podziękował Wiesiek. – Ja zaraz sobie pójdę, tylko niech ten facet odejdzie dalej, żeby ponownie się nie natknąć – znowu „szczerze" przyznał się wywiadowca koledze kabewiakowi.

Po wyjściu z Korpusu, Wiesiek jeszcze parę razy sprawdził czy nie ma za sobą „ogona". Nie był tak bardzo przekonany, ale już zbrzydło mu wałęsać się po ulicach i chować w bramach. Poszedł do swego miejsca pobytu przez garaże MBP.

Noc przespał spokojnie – mimo przeżytych wrażeń w ciągu całego długiego dnia. Rano wstał wypoczęty i rześki, a na docinki kolegów o zadawaniu się z nieznajomymi kobietami, odpowiadał też żartami. Widocznie „hycle" podpatrzyli jego randkę z piękną dziewczyną w „Świteziance", chociaż Wiesiek doskonale wiedział, że żaden z nich tam nie był tego popołudnia, ani też wieczorem. Mimo wszystko, któryś z nich zobaczył i powiedział reszcie. Zresztą było tak blisko, że mogli przyjść i pokikować przez okno. Wieśkowi było nawet przyjemnie, że ktoś z kolegów zobaczył z jaką dziewczyną był w kawiarni i na pewno po relacji kolegi wszyscy mu zazdrościli. Ale najgorsze, choroba, jest to, że zaraz musi pisać notatkę o spotkaniu z Jolą.

Po porannej toalecie i śniadaniu, plutonowy raźno zabrał się do roboty. Ale... po napisaniu słów „Notatka służbowa" nie bardzo wiedział co ma dalej pisać, aby ta notatka miała „ręce i nogi". Naciągać niczego nie chciał, zresztą nie był do tego jeszcze nawykły. Tym bardziej teraz nie chciał niczego „przerysowywać", gdyż w grę wchodziła wcale mu nieobojętna dziewczyna, chociaż zdawał sobie sprawę,

a szczególnie po przedwczorajszej rozmowie z jej rzekomym ojcem, że jest podstawiona. Wprawdzie Wiesiek nie mógł wiedzieć do czego jest ewentualnie przygotowywany przez jakiś wrogi ośrodek, ale instynkt zachowawczy nawet takiemu lekkoduchowi nakazywał być ostrożniejszym. To wszystko prawda – konstatował młody *razwiedczyk*, – ale jak ja mam wybrnąć z tą diabelską notatką, kiedy tam na prawdę nic się nie wydarzyło. Trzeba jednak napisać, bo raz, że Światło będzie chciał wiedzieć z pierwszej ręki jak było, a po drugie ci spece od obserwacji też przecież będą pisać komunikat. Wreszcie, zniecierpliwiony, wziął i napisał jak faktycznie było. Nie każda przecież „notatka służbowa" – myślał, – jest dowodem na posadzenie człowieka w areszcie. A że moja nie będzie miała wartości operacyjnej, gdyż nic takiego nie zaistniało, Jola nawet słowem nie odezwała się wrogo przeciwko władzy ludowej.

W południe przekazał notatkę służbową szefowi za pośrednictwem „kioskarki" kiosku „Ruch". Wieczorem zaś uzyskał wiadomość, iż niestety nie może dalej widywać dziewczyny, gdyż jest powiązana z obcym wywiadem i pozostaje w zainteresowaniu departamentu prowadzącego rozpoznanie placówek dyplomatycznych państw kapitalistycznych.

Szkoda mu się zrobiło Joli, ale musiał się pogodzić z istniejącą sytuacją. I żeby być lojalnym wobec chlebodawcy już nawet nie poszedł na umówione spotkanie. Zresztą mógł się spodziewać, że Jola znajduje się pod ciągłą obserwacją Biura „A", jeżeli jest w kontakcie z jakimś agentem obcej służby wywiadowczej, a więc mógł „wyjść" w rozpoznaniu jako jej kontakt i znaleźć się w gronie podejrzanych. Tym bardziej, że wojskowi byli najczulszym punktem zainteresowania MBP, z uwagi na to, że mogli znać wiele tajemnic o własnej i sojuszniczych armiach. W tej sytuacji, w najlepszym wypadku, gdyby kierownictwu X Departamentu udało się wyjaśnić innym co to za plutonowy, to i tak natychmiast zostałby odsunięty od rozpracowywania Żymierskiego, bo to by groziło dekonspiracją grupy i lokalu. A wówczas Wieśkowi byłoby przykro i brzydko nawet przed kolegami.

Z czasem Wiesiek przestał myśleć o przygodnej Joli, a zaczął częściej zajmować się też przygodną, ale z innego boku – Bronią. Był to rok 1950 – okres stawiający przed młodym chłopakiem alternatywę „być albo nie być". Jeżeli sprawdzi się w pracy operacyjnej to pozostanie w organach MBP, ale przecież może i tak się zdarzyć, bo różnych intryg i donosów nie brakowało, że trzeba będzie wrócić na wieś i zacząć gospodarzyć, czyli zacząć życie poprzednie. Z tym tylko, że teraz już jako człowiek „sławny", bo plutonowy. Niemniej nie wiedział na czym i gdzie będzie gospodarzył, gdyż na ojcowiźnie siedziała macocha z dwoma synami, a on tym bardziej nie chciał od niej ni domu ni łomu. Druga sprawa to ta, że jeżeli ożeni się w Warszawie, to może w niej pozostać, o ile znajdzie jakieś zatrudnienie, aby zarobić na chleb przyszłej rodzinie. A to oznaczało, że nie powinien zrywać z Bronią. Utrzymywał więc z nią kontakty w dalszym ciągu, chociaż widział jej ciągotki do więcej niźli jednego chłopaka, w dodatku nie warszawianina, chociaż przystojnego i niebrzydkiego. Może nie tyle chodziło dziewczętom, jak się później przekonał, ale o wiele za późno, o jego urodę, ile o dobroduszną sympatię. Zresztą nikt nigdy nie powiedział, poza macochą, że jest brzydki, a wielu mówiło mu, iż jest sympatyczny. Ale on nawet bodaj tym się nie cieszył, gdyż prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy co to takiego ta sympatyczność.

Bronia jesienią poszła pobierać naukę w piątej klasie szkoły podstawowej, lecz zaraz zrezygnowała, ponieważ okazało się, iż jest w stanie „błogosławionym". Zawsze była histeryczką a gdy zaszła w ciążę mógł z nią wytrzymać tylko Wiesiek, któremu nie były obce płacze i swary. Przy spotkaniu często histeryzowała i udawała albo faktycznie mdlała. Nigdy nie trzeba było lekarza, chociaż Wiesiek i tak go nie szukał. „Czubaryk" nigdy nie wiedział o co tej dziewczynie chodzi, a ona prawdopodobnie się bała, że ją zostawi, gdyż nawet ona nie była pewna jego ojcostwa, trzymając za ogony „kilka srok", a powtarzając w kółko, że go kocha. „Czubaryk" zaś na nic nie patrząc wierzył jej i zawsze był gotów pójść do ślubu, żeby było komu gospodarować jego niemałymi zarobkami, jeżeli zważyć, że oprócz pensji pobierał ryczałt za wyżywienie i przez jakiś czas płacono mu nawet de-

legację, gdyż był tylko czasowo zatrudniony i zameldowany w Warszawie. Dochodziło nieraz do tego, że i w domu, w obecności rodziców i rodzeństwa płakała i uciekała do kuchni. A ten dureń szedł za nią i próbował coś tam po swojemu perswadować.

19 lutego 1951 roku umówili się na Placu Unii Lubelskiej i poszli na ul. Willową do Urzędu Stanu Cywilnego, aby się połączyć więzami małżeńskimi. Bronia była w jakimś starym taniutkim płaszczu, w lichych pantofelkach, a Wiesiek w mundurze wojskowym, ale bez dystynkcji. Jednym świadkiem była najstarsza siostra Broni, a drugiego poprosili na korytarzu w USC – czegoś tam stał, bodaj miał też świadczyć komuś innemu.

Wiesiek nikomu nic nie powiedział o mającym się odbyć ślubie, wstydząc się, że go wyśmieją. Przełożeni oczywiście wiedzieli, bo musiał pisać raport o pozwolenie na zawarcie związku małżeńskiego z taką to a taką obywatelką. Zawołali go do kadr i powiedzieli, że od strony politycznej nic nie mają do jego przyszłej, bardzo odradzali żenić się z nią z innego powodu. Ale widząc jego upór motywowany ciążą, por. Bujnowski powiedział: – A róbcie, człowieku, co chcecie, ale pamiętajcie, że wam odradzałem i nie miejcie do nas pretensji.

Po dokonaniu ceremonii zaślubin, Bronia z siostrą pojechały do domu a Wiesiek do pracy. Nie było żadnego poczęstunku, nie mówiąc już o przyjęciu weselnym w pełnym znaczeniu tego słowa ani nocy poślubnej. Ślub był czysto sierocy, chociaż sierotą był tylko Wiesiek. Nie było powinszowań, gratulacji i nie było prezentów. Oboje weszli w związek małżeński jakby komuś na złość, jakby z żartów jakichś, a może z musu? Dosyć, że Wiesiek wychodząc z sali, gdzie dokonała się przemiana jego stanu cywilnego pomyślał „Oj, chyba to nie na długo" i poszedł za „wybranką".

Wiosną 1951 roku, po zakończeniu rocznego okresu „wojskowej opieki" Wieśkowej grupy nad marszałkiem Żymierskim, samochód udający sanitarkę wywiózł nocą grupę wywiadowców do Świdra. Rano przyjechał w asyście dwóch oficerów Światło, przywożąc ze sobą parę skrzynek wódki i najróżniejszych zakąsek. Gospodyni

opiekująca się willą, w której zakwaterowano grupę, na prośbę pułkownika przygotowała stół i nauczona dyskrecji, przez nikogo nie zauważona, opuściła pokój.

Kiedy całe bractwo zajęło miejsca za stołem, podpułkownik Światło, tytułem najważniejszego w tym gronie zabrał głos i powiedział, że grupa pod kierownictwem plutonowego Wieśka wykonała zadanie na medal. – Szkoda – powiedział, – że nie można tego podać do prasy, bo byście byli stachanowcami. Należy żałować i tego, że ile będziemy tu pracować, zawsze pozostaniemy nieznanymi, cicho-ciemnymi. Gdzieś, w jakiejś gazecie ukaże się zaledwie króciutka notatka o tym, że gdzieś w Polsce rozpracowano i zlikwidowano taką czy inną siatkę szpiegowską i to wszystko. A kto ją konkretnie zlikwidował – wie tylko on i jego przełożeni. Ale trudno, kiedy wybraliśmy sobie taki, a nie inny los. Jak się rzekło, my was do gazet nie podamy, ale za to plutonowego Wieśka awansujemy do stopnia sierżanta, dajemy mu kupon gabardyny na nowy mundur i zezwolenie na uszycie sobie butów oficerskich. Pozostali towarzysze otrzymają pierwsze stopnie podoficerskie i też mogą sobie zamówić u szewców przy ul. Okrzei pantofle – my zapłacimy.

Wypił parę małych kieliszków gorzały, po czym poprosił, aby zawołano gospodynię. Przy całej grupie oznajmił jej: – Chłopcy tu zostaną przez cały tydzień, proszę nimi opiekować się tak jak własnymi dziećmi i żeby w ich menu niczego nie brakowało, na co będą mieli ochotę. To nic, że jeszcze pomidory i ogórki są drogie, chłopcy powinni je mieć pod dostatkiem. Do towarzyszących oficerów powiedział: – No, towarzysze, komu w drogę do domu, temu czas. Niechaj chłopaki tu się śmielej czują i odpoczną po tylu wrażeniach, a nam czas do pracy.

Wieśkowi szewcy z warsztatu szewskiego przy ul. Okrzei na Pradze wykonali takie buty, jakich nie wstydzą się generałowie. Skórka mięciutka, do nogi dopasowane – maleńkie, a zdejmują się z nóg, jak skarpetki, bez żadnego wysiłku. I prawidła do nich wykonali. Ale co głupiemu po rozumie? Pochodził w nich parę lat i sprzedał razem z prawidłami komuś za parę groszy, bo już się nacieszył.

A przecież te buty byłyby do dnia dzisiejszego jako pamiątka, bo dzisiaj znowu są modne oficerki.

W czasie Wieśkowej pracy przy osobie marszałka Żymierskiego nie obeszło się i bez wydarzeń iście niewiarygodnych. Któregoś razu zamarzyło się wujkowi Trochimowi odnaleźć w Warszawie siostrzeńca. A więc zamiast pomagać rodzinie przy pracach polowych lub pilnować lasu państwowego, którego gajowym był od powrotu z Rosji w 1922 r., wuj pojechał do stolicy. Wiedział, że tam popije i zje jak człowiek, bał się tylko, że może nie znaleźć tego, kto mu to zapewni. Z Dworca Wileńskiego poszedł na przystanek tramwajowy przy ul. Targowej, gdzie się dowiedział, jak dojechać do placu Unii Lubelskiej, bo kiedyś Wiesiek mu napisał, że mieszka w jego okolicy. Tu swoim powolnym sposobem wygramolił się z tramwaju i wycelowawszy wzrok w jakiegoś młodego człowieka zapytał: – Nie wiesz czasem, gdzie tu mieszka mój siostrzeniec „Wiesław Piotrowski", który pracuje w UB? Młody chłopak odpowiada: – Wiem, zaraz go powiadomię, proszę tylko czekać.

Dzwoni do lokalu konspiracyjnego porucznik Wasilewski i zawiadamia Wieśka, że przy restauracji „Pod Dwójką" czeka go wuj. Wiesiek zgarnął papiery do szuflady i poszedł sprawdzić co to za wuj odnalazł go w Warszawie. Podchodzi i widzi, iż pod drzwiami restauracji stoi wuj Trochim i ze stoickim spokojem przygląda się spieszącemu tłumowi, biegnącemu w jedną i drugą stronę ulicą Marszałkowską.

Stęskniony do rodzinnej miejscowości i przyrody, ucieszony, że wuj odnalazł go aż w Warszawie, Wiesiek nie pozwolił sobie na dłuższe obserwowanie jego zachowania w stolicy, którą prawdopodobnie przed wyjazdem z domu utożsamił ze swoją wsią, gdzie wszyscy wszystkich znają. Energicznym krokiem podszedł do bliskiego sobie człowieka (niesłusznie uważał go za bliskiego, chociaż był rodzonym bratem matki) i serdecznie go przywitał: – Jak wy wujku mnie tu odnaleźliście?

– Jak to jak? – zdziwił się wuj. – Wiem, że młodzi na całym świecie ze sobą kolegują. No to ja wyszedł z tramwaju i popatrzył

po twarzach ludzi stojących na przystanku. Patrzę, jakiś taki chwacki chłopak jak by to j ty stoi z teczką i patrzy na mnie. To ja sobie myślę, że ty może kiedyś mu opowiadałeś o mnie. Podchodzę do niego i pytam, gdzie ty mieszkasz, a on odpowiada, że u niego. Kazał mi tu stać, a sam powiedział, że ciebie powiadomi. I bacz, nie zełgał, jak to czasem bywa wśród chuliganów. Oho, ja byłem w Moskwie to wiem, jak takie się zachowują.

– No to zajdziemy do restauracji i coś przekąsimy.

– O, tak, bo już ja głodny. Taki szmat drogi, a j śniadanie nie było sytne...

Wchodząc do restauracji i tym razem Wieśka przywitał szerokim uśmiechem kelner, pan Rysio i jak zawsze pocałował go w rękę. Obaj chichotali, a wuj się im przyglądał zgorszony. Po zajęciu miejsca za stolikiem, widać było, że wuja coś niepokoi, ale jakby nie miał śmiałości powiedzieć o co mu chodzi. Wiesiek tylko widział, że wuj jest jakiś zażenowany.

– Wuju, będziemy wódkę zamawiać „setkami" czy od razu całą półlitrówkę?

– Jak masz sumienie męczyć kelnerkę zmuszając ją do biegania za każdą setką, to rób jak chcesz. Ale moim zdaniem zamów co trzeba i niech kobieta posiedzi. A i łatwiej jej będzie obliczyć ileśmy wypili i zjedli, bo tymi setkami to weźmie i się pomyli.

Na takie dictum doświadczonego człowieka Wieśkowi nic innego nie pozostało jak przyznać mu rację.

Po paru kieliszkach wujowi zaczęło zbierać się na szczerość, a więc zapytał: – Dlaczego oficjant pocałował ciebie w rękę, jak batiuszku?

– A, to taki fajny komik, który zawsze mnie całuje...

– Oho, ty coś ukrywasz, chociaż we wsi mówią, że jesteś gdzieś wartownikiem.

– We wsi to mówią, co chcieliby, żeby tak było. Dla was to i wartownik pozostaje za dużym zaszczytem komuś takiemu jak wczorajszy wasz parobek czy pastuch. Księdzem co prawda nie jestem, ale i wartownikiem też nie!

– Toż ja widzę, że nie jesteś wartownikiem, kiedy ciebie po rękach całują. Ale kim ty w końcu jesteś, że nawet w biały dzień możesz ze mną siedzieć w restauracji i pić *wodku*?

– A mało tu siedzi wojskowych? O, popatrzcie, tam w rogu siedzą radzieccy oficerowie, a tam dalej – polscy. Mają wolne, to i mogą sobie posiedzieć...

– Tak, ale to są pułkownicy i podpułkownicy, a ty jesteś wszystkiego plutonowym.

– Wujku, teraz jest demokracja i każdy ma takie same prawo. Jeżeli ma wolny czas i pieniądze, to może sobie się zabawić i nikt do tego nic nie ma. To wam nie za carskich czasów, że szeregowemu żołnierzowi nie wolno było wejść nawet do parku, bo traktowano ich niczym psów.

– No, no. Ty mi tu nie wypowiadaj się na temat carskich czasów, bo jesteś za młody!

– A co, nieprawdą jest, że przy wejściach do niektórych parków wisiały ogłoszenia, iż *sołdatam i sobakam wchod zaprieszczon?*

– A, to w Moskwie albo w Pietrogradzie.

– Aha, w Moskwie to nie ludzie, co?

– Ludzie, ale w wojsku jest pełno różnej ciemnoty i czasem w parku mogą podszczypać nawet carycę. Kiedyś byłem w *zoołogiczeskom parkie*, to tam nawet *papugaj* wyrażał się po żołniersku, kiedy do jego klatki zbliżały się dziewczęta. A my, stojąc z boku, *śmiejaliś*.

– No wujku, trzeba znowu potrwożyć kelnerkę, w butelce sucho.

– Nu, to potrwóż, ale niechaj od razu niesie dwie, jeżeli chce mieć spokój.

Przy rozpijaniu drugiej butelki, a może już przy jej końcu, wuj nie patrząc na miejsce i otoczenie, w którym przebywa zaintonował:

Tam, u horody sucha hrusza hude.
Tam, u horody sucha hrusza hude.
Chaj hude, chaj hude, chaj hude, hude, hude!
Chaj hude, chaj hude, chaj hude, hude, hude!
Tam kozak troje kony wede.

Tam kozak troje kony wede.
Chaj wede, chaj wede, chaj wede, wede, wede!
Chaj wede, chaj wede, chaj wede, wede, wede!

Posłuchawszy jak wuj śpiewał tę ukraińską ludową piosenkę, trudno było powiedzieć, że ją zaintonował. On ją zaczął z całą werwą niezłego barytonu, wykształconego w cerkiewnym chórze. A Wiesiek, też nieźle podchmielony i znający tę pieśń, podążał za wujem:

Na tretioho wychilajet'sia.
Wychila, wychila, wychilajet'sia.
Na-a dywczynu ohladajet'sia.
Ohlada, ohlada, ohladajet'sia!

Wuj okazał się być niezadowolonym ze śpiewu siostrzeńca, bo raz, że służy w wojsku, a nie umie śpiewać na głosy, a po drugie, – nie powtarza dwukrotnie wierszy. – Ale wybaczam ci – rzecze, – boś pijany.

Opanowała ich w restauracji atmosfera iście swojskiej wesołości. Nawet Wiesiek jakby zapomniał o mundurze, poczuł się swobodnie i wiejsko. Tym bardziej, że nikt z gości ani z załogi nie wnosił głośno żadnych pretensji. Po wypiciu drugiej butelki wuj zapytał która godzina, bo musi zdążyć na pociąg do Hajnówki. – A może dasz mi nocleg u siebie? – zaskoczył Wieśka.

– Nie mogę wam dać miejsca, bo sam mieszkam w grupie kolegów.

– O, a co to mi za nowina spać w grupie? Wyśpimy się, a jutro znowu zahulamy, jak ludzie.

– A żyto żąć kto za was będzie? – ośmielił się zapytać plutonowy, bo obawiał się, że w samej rzeczy wuj uprze się, aby nocować w Warszawie i będzie miał pretensję, jeżeli przyjdzie to mu czynić na dworcu PKP.

– Żyto i beze mnie wyżną. Nic się nie stanie, gdy mnie nie będzie dwa dni...

– Dwa dni to kupa czasu w żniwo – bronił się Wiesiek.

– Ty lepiej powiedz, że chcesz mnie *pozbutyś*, bo tobie zbrzydł wuj, który jechał za światy, aby ciebie odnaleźć.

– Nie wuju, nie chcę was się pozbyć, ale wiecie, że u was żniwo, a u mnie inna praca, darmo pieniędzy nikt nie da.

– Wam płacą darmo, bo co wojsko robi, kiedy nie ma wojny? Ot, plącze się po koszarach albo po drogach śpiewając. Są i tacy, którzy jeszcze parę lat temu byli pastuchami i obdartusami, a dzisiaj trwonią państwowy grosz po restauracjach udając panów. *Woszywnyki* wy! Tacy sami ci tam pułkownicy, jak i ty! Ja przeszedłem pół świata, w Moskwie byłem, teraz jestem gajowym, a ty mi żałujesz noclegu.

Wiesiek wiedział nie od dziś, jak go wujowie traktują i bardzo to go bolało, ale wybaczał, ponieważ w samej rzeczy i on o sobie miał takie samo zdanie. On ich, wujków, szanował – nie siebie. Doskonale pamięta, jak z wojska wysyłał papierosy innemu wujowi, gdyż sam nie palił, a ten go grabił i nie szanował.

– Powtarzam, że nie mam gdzie was położyć, bo bym chętnie przenocował.

– Gówno ty byś przenocował. Ty myślisz, że jesteś panem i wujkiem możesz pogardzać. O nie, niedoczekanie twoje!

– Wujku, czy was aż tak kole w oczy to, że jestem podoficerem i mam ładny mundur? Ja wiem, że wolelibyście, abym nadal pasł wasze krowy za darmo, a wyście nawet nigdy nie zapytali, czy chcę kawałek suchego chleba. Nie chleba z mlekiem czy masłem, jaki jedliście z rodziną, a suchego! Nigdy nie zapytaliście i ani razu nikt z was nie podmienił mnie na pastwisku. Nikt z was nie dał mi nigdy jakiejś chociaż brudnej szmaty, abym sobie pozawijał ropiejące stopy i do kości spękane pięty. Waszych było sześć krów, a moja jedna. Powinniście byli paść je przez sześć dni w tygodniu, a ja w siódmy. Tymczasem wy ani jednego dnia nie pozwoliliście mi się wyspać...

– Ty zasrańcu – przerwał Wieśkowi wuj. – Myślisz, że jak jesteś w Warszawie, to możesz na mnie krzyczeć? Zaprowadź mnie na przystanek osiemnastki i ja pojadę na Wileński, a ciebie znać nie chcę, bo ty byłeś pastuchem i będziesz.

Wódka obu odskoczyła. A może tylko Wieśkowi. W każdym razie kolejny raz pożałował, że ma takich samych wujów jak i dziadków. Odprowadził wuja na przystanek, podał mu rękę na pożegnanie. Ale gajowy, mający nie większe wykształcenie od Wieśka, który jest aż plutonowym, „nie zauważył" tej ręki. Wepchnął się do tramwaju i pojechał, a Wiesiek pochwiał się, niby kolejny raz zbity pies, do miejsca pracy i zamieszkania.

W nocy, kiedy się obudził bo już dobrze się przespał, przypomniał sobie biesiadę z wujem i z przykrością skonstatował: – Niezbitym faktem jest to, że wykorzystywali mnie do różnych, najcięższych prac w ich gospodarce, pasłem im krowy, jak już mu powiedziałem – nawet nie za przysłowiowy kawałek chleba, bo mi go nie dawali. W dodatku wyprowadzałem na nocleg ich konie, kiedy oni, nażarłszy się, spali. A teraz jeszcze przyjechał do Warszawy, aby mi przypomnieć kim byłem i kim w jego oczach pozostaję do dziś. Ot, cholerny naród. I znowu nerwy i znowu powrót do nieludzkiej, tragicznej przeszłości. A tu trzeba być rozważnym, mądrym i zrównoważonym. Ech, losie, losie.

* * *

Po odpoczynku w Świdrze cała grupa otrzymała urlop wypoczynkowy, z którym mogła sobie robić co chciała. Chłopaki rozjechali się do domów, pozostając do dyspozycji Departamentu Kadr MBP. Wiesiek wrócił do żony, mieszkającej wspólnie z rodzicami i rodzeństwem. Fajnie miał, bo wszyscy go lubili, ale żona w dalszym ciągu histeryzowała. Wybaczał jej, bo chociaż był ciemniakiem w niejednej sprawie to tu był wspaniałomyślny, ponieważ chyba już gdzieś słyszał, że kobieta w takim stanie zachowywać się może różnie, w tym histerycznie, a więc znosił to z przykrością lecz spokojnie. 21 maja przyszła na świat w szpitalu przy ul. Wolskiej piękna dziewczynka. Rodzeństwo wszczęło panikę, że dziecko jest „wcześniakiem", ale spostrzegłszy, że Wiesiek nic na to nie reaguje tylko się cieszy, że ma dziecko, pogłoski o wcześniactwie zacichły. Maleństwem cała rodzina żony opiekowała się i cieszyła.

Wiesiek otrzymał rozkaz wyjazdu do Wrocławia na kurs kontrwywiadowczy, rozpoczynający się 1 czerwca 1951 roku. Tu, nie wiadomo z jakiego powodu, z miejsca został dowódcą jednego z plutonów kompanii, którą dowodził bardzo sympatyczny porucznik.

Będąc kursantem, ale zarazem dowódcą plutonu, miewał częstsze kontakty z dowódcą kompanii niźli inni, spostrzegł, że jest przez tego oficera jakby lubiany. Po jakimś czasie mógł być pewny, że jest też lubiany przez prawie wszystkich wykładowców, oprócz wykładowcy tematyki polityczno-wychowawczej Curusia, który zresztą, chociaż nie wiadomo dlaczego, został ze szkoły zwolniony i wrócił do swojego zawodu – szewca. A może sam się zwolnił? Nie wiem, ale niech mu się czknie – zażartował Wiesiek.

W takiej sytuacji mógł jechać do domu kiedy chciał, ale trzeba było każdy wyjazd uzgadniać z dowódcą kompanii. W pewnym momencie któryś z kursantów, będąc na przepustce w mieście tak narozrabiał, że dowództwo kursu postanowiło nikomu nie udzielać przepustek aż do odwołania. Tym czasem Wiesiek bardzo tęsknił do żony i maleńkiej córeczki. W czasie wykładów czy samokształcenia nic mu nie wchodziło do głowy bo przeszkadzały temu inne myśli. Nie mógł jednak jechać do Warszawy, gdyż przepustek nie otrzymywali nawet miejscowi kursanci. Co tu zrobić – myślał – żeby jednak pojechać i to legalnie. Poszedł do dowódcy kompanii i przedstawił mu swój plan „ucieczki" na parę dni do domu. Uzgodnili, że gdy jeden z wykładowców wejdzie do sali, Wiesiek zamelduje mu pluton gotowy do zajęć, a ten z kolei powie: „Proszę iść do dowódcy kompanii bo zdaje się, że wzywa was do siebie generał Romkowski".

W taki oto sposób Wiesiek kolejny raz znalazł się w pociągu zmierzającym do stolicy. W pociągu, jak zawsze, było takie przepełnienie, że nie było gdzie postawić drugiej nogi. Jak ludzie wytrzymywali taką podróż, która trwała 12 godzin, trudno sobie dziś uzmysłowić, chociaż w Polsce pociągi zawsze były przepełnione. Wytrzymasz – dobrze, a nie wytrzymasz to czort z tobą.

Wiesiek też był zmaltretowany jak nieboskie stworzenie, ale z Dworca Głównego na Sadybę leciał niby na skrzydłach, by jak naj-

szybciej zobaczyć żonę i ukochaną córeczkę, którą zachwycali się nawet obcy ludzie. Swoim „przylotem" ucieszył wszystkich, tylko nie żonę. Ta przywitała się od niechcenia i zaczęła płakać. Gdy zapytał dlaczego płacze, Bronia z pretensją w głosie histerycznie wrzasnęła:
– Przecież nie z uciechy, że przyjechałeś!

Żal i głupio mu się zrobiło, że pokonał tyle przeszkód, aby się z nią zobaczyć, a okazało się, że w czymś przeszkodził. Niczego nie dociekał, nie robił nikomu żadnych zarzutów, ale na drugi dzień wstał i pojechał do szkoły, znowu stojąc przez całą drogę. Tam miał przyjaciół, z którymi mógł porozmawiać i pograć w warcaby.

* * *

Nauka Wieśkowi szła dobrze, ale ciągle popadał w sytuacje stresowe powodowane przeszłością, zresztą niedaleką i świadomością, że przeszłość ta spowodowała nie wróżące nic dobrego małżeństwo. Z jednej strony cieszył się, że posiada żonę i dziecko, ale z drugiej – tego żałował, ponieważ teraz dopiero zrozumiał, iż jest inaczej niż to mówiła głupia, zła oraz wyzuta z wszelkich ludzkich uczuć macocha, która jeżeli nie biła to chociaż przezywała. Ileż on wycierpiał od niej za to, że ma czarne oczy i włosy. A teraz te czarne oczy i smołopodobna czupryna powodowały, że dziewczęta same się wpraszały do znajomości, albo, żeby chociaż potańczyć. Otrzymywał liściki od wrocławianek z propozycjami spotkań. Dziwił się i nie wierzył, że coś podobnego z nim może się zdarzyć. Nawet w najskrytszych marzeniach nie mogło mu przyjść do głowy, iż dziewczęta same będą mu proponowały spotkania, a jednak... Pewnego razu spacerował z kolegami w niedzielę w okolicach dworca PKP „Nadodrze". Usiedli by odpocząć i poprzyglądać się przechodniom, ciągle gdzieś spieszącym. W tym momencie podszedł do nich jakiś mężczyzna i podał Wieśkowi kartkę z propozycją przeczytania i dania mu odpowiedzi. Wiesiek pisulkę przeczytał i powiedział nieznajomemu, że odpowiedzi nie będzie, ponieważ on nie ma zamiaru spotykać się z nieznajomymi kobietami. Wtedy mężczyzna zapytał go, czy nie można porozmawiać na osobności.

Gdy usiedli na osobnej ławeczce, nieznajomy mężczyzna oznajmił Wieśkowi, że ten list napisała jego sąsiadka, dziewczyna bodaj najładniejsza w całej dzielnicy, młodzieżowa działaczka, która już od dawna mu się skrycie przygląda. – Dzisiaj nadarzyła się okazja, że spotkała pana tu, więc szybciutko napisała i przeze mnie przekazuje. Spotkanie z nią do niczego pana nie zobowiązuje i proszę o niej źle nie myśleć. Zobaczyła pana kiedyś i przyznała się mojej żonie, iż zakochała się w panu od tak zwanego pierwszego wejrzenia. To tyle. Przypuszczam, że chce pana bliżej poznać i może coś wyjaśnić – dodał od siebie nieznajomek, – a jeżeli panu nie będzie odpowiadała, to najzwyczajniej w świecie więcej pan z nią się nie spotka. Teraz jednak radzę podejść i porozmawiać.

Wiesiek odpowiedział, że bardzo mu przykro, ale nie może się z nią spotkać z tej prostej przyczyny, że jest żonaty i ma dziecko. Oddał list , pożegnał mężczyznę i dołączył do kolegów.

Którejś z następnych niedziel albo i następnej od chwili propozycji spotkania, Wiesiek z kolegami poszedł na potańcówkę zorganizowaną na wolnym powietrzu na jakimś skwerze. Tam bawił się z dziewczętami jak popadło, chociaż zawsze się obawiał aby nie dostać kosza, jak kiedyś w Rzeszowie od córki krawca. Ale nic takiego mu się teraz nie przydarzało. W tańcu dziewczęta przytulały się i udawały, że dobrze im się z nim tańczy. On jednak nie wybierał sobie partnerki na więcej niż na jeden-dwa „kawałki". Chciał być niezależny i przy następnych spotkaniach każdej śmiało patrzeć w oczy. Jedna z zaproszonych do tańca, w którejś tam kolejności zaczęła z nim rozmowę od tego, że mu się przygląda od iluś minut i zauważyła, że dobrze tańczy. Sztubak chyba dostał wypieków na niezbyt wypasionej na szkolnym wikcie gębie, bo dziewczyna zauważyła: – Niech się pan nie rumieni za aprobatę odnośnie tańca, bo wielu młodych ludzi umie dobrze tańczyć.

– Tak, ale pani powiedziała, że tańczę pięknie, a tego nie powiedział mi nikt w życiu.

– A co, pan chce, żeby go wszyscy zaraz chwalili?

– Nie powiem, że nie lubię pochwał, ale jakoś wszyscy mi tego skąpią.

– Bo widocznie poza tańcami na żadną inną pochwałę pan nie zasługuje.

Wiesiek zamilkł i nie wiedział co ma odpowiedzieć. Zatkało go i tylko czekał, aby szybciej przestali grać, żeby się pozbyć tej jędzy. A ta „jędza" raz milcząco popatrzyła mu głęboko w oczy po czym opuściła powieki, potem drugi raz. On jednak nadal czuł się skrępowany jej obecnością i zbyt mało był „otrzaskany", aby dorównać dziewczynie elokwencją. Zresztą daleko mu było do niej, ale to się okaże później. W tej chwili jednak gotów był zostawić ją na deskach, mimo że grajkowie rżnęli jakiegoś obertasa.

Dziewczyna, widząc sztubackie zażenowanie partnera, jeszcze raz spojrzała nań przymilnie i rzekła: – Niechże się pan rozchmurzy, ja tylko chciałam się podroczyć. Jest pan świetnym partnerem w tańcu i myślę, że nie odmówi mi pan następnego, gdy ładnie poproszę.

Orkiestra przestała grać, Wiesiek odprowadził dziewczynę na miejsce, z którego wyruszyli do tańca, podziękował jakimś nieokreślonym mruknięciem i poszedł do kolegów.

– Skąd wytrzasnąłeś taką dziewczynę? – zapytał jeden z nich, a drugi mlasnął: – Oho, ale babka!

Wiesiek milczał, ale w duchu pomyślał sobie, iż rzeczywiście fajna dziewczyna i był zadowolony. Gdy poprosił ją do następnego tańca dziewczyna bezceremonialnie powiedziała, że nie chce z nikim innym tańczyć tylko z nim, a więc niech jej nie zostawia, bo inni chłopcy na nią parol zaginają. Tu Wiesiek jeszcze bardziej upewnił się, że coś w tym jest i już nie czekał, aby muzyka tak szybko przestawała grać. W czasie rozmowy w tańcu dziewczę przyznało się, że spodobał się jej od razu i była zaskoczona, że nie zwracał na nią uwagi. Wiesiek odpowiedział, że nie szuka najładniejszych, gdyż ich najbardziej się krępuje. Tym bardziej, że i na tej zabawie jest moc przystojnych chłopaków, gdzie mu do nich.

– Opinię o sobie niech pan zostawi płci odmiennej – zareplikowała nieznajoma. – Są gusty i guściki. Ale żeby dziewczęta do kogoś lgnęły, wcale nie trzeba być lalkowato pięknym... Zresztą, co to pana obchodzi? Dlaczego pan domaga się komplementów, ha?

– Ja się niczego nie domagam – rzeczowo odpowiedział Wiesiek, – ale któż to nie chciałby być lubianym i mieć powodzenie?

– O tak, to jest marzenie każdego człowieka – zgodziła się dziewczyna. – Tylko że nie każdego na to stać, bo Mama Przyroda poskąpiła mu magnesu, który przyciąga przeciwne bieguny. Panu tego magnesu nie brak, ale proszę nie być zarozumiałym. I musi pan wiedzieć, że mężczyźni też nie lubią, gdy ktoś bardziej od nich podoba się dziewczętom, a więc niech pan nigdy nie oczekuje, że przy spotkaniu z pańską dziewczyną będą pana chwalić i rozprawiać o jego zaletach.

Dziewczyna wydała się Wieśkowi, ani chybił, uczoną i coraz bardziej „miękł" przed nią. Bał się, że jeżeli dalej z nią potańczy to zorientuje się, że przewyższa go o całe niebo swym intelektem i z niesmakiem zostawi. Tymczasem, jakby na przekór jego domysłem, dziewczyna powiedziała, że mieszka w pobliżu i bardzo chciałaby zaprosić go do domu. Na, widocznie głupkowatą, minę chłopca panna zareagowała w ten sposób, że jeżeli nie zechce wstąpić do niej do domu to ona przecież siłą go nie będzie ciągnęła.

Słońce było jeszcze dosyć wysoko, piękna letnia pogoda, cudowny nastrój na placówce, który udzielił się też Wieśkowi. Przyjął więc zaproszenie, jak byśmy dzisiaj powiedzieli językiem dyplomatycznym, z zadowoleniem, chociaż nie wiedział co go tam czeka. Jak będę musiał postąpić – myślał, – jeżeli to zaproszenie ma jednoznaczny wydźwięk? Dziewczyna zaprasza do domu, bo może chce od razu uderzyć w miłość łóżkową, a ja przecież jej wcale nie znam. Żeby ustrzec się jakiejś zarazy, będę musiał lawirować, żeby nie dać się skusić na jej wdzięki – konkludował. – A gdzie moralność socjalistyczna? Zdradzać żonę?

Poszedł. Wchodząc do mieszkania Wiesiek zdziwił się przepychowi jaki ujrzał. Mieszkanie stanowiło ogromny kontrast z zewnętrznym wyglądem odrapanego i podziabanego odłamkami pocisków całego domu i poszczerbionego miasta. Wewnątrz zastał wielkie i miękkie fotele, okrągły stół z ażurową serwetą. Podłoga była tak lśniąca, że Wiesiek, nieobyty z podobną sytuacją, bał się na nią wejść, aby nie wywinąć kozła. Już widział taką podłogę w Rzeszowie,

gdy zaprosił go do domu podchorąży Pawlik, ale aż tak nie błyszczała. Okna ogromne, z firankami i zasłonami, a na ścianach jakieś portrety i obrazy wiszące nad ciemnymi meblami, za szybami których stały wyroby podobne z wyglądu do tych, które oglądał w Fabryce Porcelany w Boguchwale i jakieś naczynia szklane (o kryształach Wiesiek nie miał wówczas pojęcia), różnych wielkości i kształtów. Te ciemne meble z mniejszymi i większymi szybkami, z drzwiczkami i szufladkami oraz różnymi załomami, Wieśkowi wydawały się tak tajemnicze, że aż poczuł się nieswojo.

Mieszkanie składało się z trzech pokojów i kuchni tak dużej, że podobnej nie widział u nikogo. Urządzone było z takim przepychem, że Wieśkowi coś podobnego nie mogło się nawet przyśnić. W każdym pokoju wisiał inny żyrandol, ale najbardziej efektownie i znajomo wyglądał żyrandol wiszący w największym pokoju i przypominający *panikadiło* w cerkwi w Dubiczach Cerkiewnych, która spłonęła w czasie wojny. W środkowym pokoju, obok dostojnie cykającego starego zegara, oprawionego w ciemną skrzynię z wyzłoconymi obrzeżami, stało pianino, nad którym wisiał ogromnych rozmiarów gobelin z wyhaftowanymi końmi i żołnierzami z pikami czy jakimiś kijami w różnych, bitewnych pozach. Po przeciwnej stronie stała kanapa a nad nią, na dekoracyjnej tkaninie wisiały szable z różnych epok i wszystkich chyba możliwych armii świata, kindżały, karabele i broń myśliwska różnych kalibrów i wytwórni Europy.

Widząc zdziwienie młodzieńca mnóstwem militariów-trofeów, dziewczyna wesoło zaszczebiotała: – To są pamiątki po moim dziadku, który niegdyś był wielkim człowiekiem, lecz już dawno nie żyje. Ojciec też trochę dodał do tej kolekcji. A wszystko to ma być moje i mojego przyszłego męża, jeżeli na to zasłuży – uśmiechnęła się kokieteryjnie. – Jestem u rodziców jedynaczką, a więc i oczkiem w głowie. Rozpieszczają mnie na swój sposób, ale, jak pan widzi, zmanierowana nie jestem.

– Jest pani zmanierowaną, ponieważ w przeciwnym wypadku nie wprowadziłaby pani do domu kogoś nieznajomego. Przecież znamy się wszystkiego godzinę z widzenia.

– Tak, ale po pierwsze wiem, że pan jest z tej tu szkoły, a po drugie, znam się na ludziach. Pana oczy mówią, że jest pan uczciwym człowiekiem, chociaż jeszcze bardzo młodym. Mam na myśli to, że pan mnie nie udusi – uśmiechnęła się pięknie. – Poza tym, młody człowieku – ciągnęła udając obrażoną – nie jest zmanierowaniem to, że zaprosiłam pana do domu na herbatę, a tylko moim dziewczęcym kaprysem.

– Dziękuję pani za zaufanie i cieszę się, że pani kaprys wybrał mnie.

– Niech się pan zawczasu nie cieszy, bo nie wiadomo co tu pana czeka.

– Czyżbym miał się bać?

– Nie, nie w tym sensie, że ktoś pana napadnie. Po prostu spodziewam się powrotu rodziców, którzy mogą być niezadowoleni, że goszczę obcego mężczyznę... Bo widzi pan, muszę panu coś wyznać, chociaż, jak sam pan powiedział, znamy się tylko godzinę, no, może dwie, ale nawet jeszcze nie znamy swoich imion. Dobrze wychowany młodzieniec powinien już był dawno powiedzieć jak się nazywa, ale nie od wszystkich można tego wymagać, bo nie wszyscy mieli możliwość być dobrze wychowanymi i wykształconymi...

– Na imię mi Wiesiek – wpadł jej w słowo sierżant.

– Bardzo mi miło, a ja mam na imię Katarzyna. Ale nie o to chodzi. Niech pan nie myśli, że jestem lekkoduchem i przyprowadzam pana do domu tylko dlatego, że tak mi się w tym momencie podobało. Nie. Moi rodzice i rodzice mojego tak zwanego narzeczonego chcą nas koniecznie pożenić. Zbyszek też według jego mowy i zachowania bardzo by chciał się ożenić ze mną. Problem jednak w tym, że ja nie chcę udawać. On jest bardzo grzecznym i układnym chłopcem, przy tym tylko rok mu pozostał do ukończenia studiów. A więc w normalnym układzie jakaś przyszłość by się klarowała i dla mnie. Jednak, jak pan wie, nie samym chlebem człowiek żyje. Ja sobie wyobrażam życie małżeńskie w taki sposób, jak mówią słowa jednej z ukraińskich piosenek: *...Rozhniwawsia, rozserdywsia mij myłeńkyj na mene, a jak hlane serce wiane u joho i u mene...* Czy pan rozumie

o co mi chodzi? Zdaję sobie sprawę, że z biegiem czasu Zbyszek by się zorientował, iż nie jest mi z nim tak jak powinno być i kto wie jak by się potoczyły nasze losy. Obecnie on myśli, iż odwzajemniam mu tę miłość, którą on rzekomo darzy mnie kiedy dojrzeję. A ja z kolei boję się, że właśnie w miarę dojrzewania będę stygła jeszcze bardziej, chociaż na obecnym stanie unikam tej rozmowy, aby nie położyć kresu jego nadziejom nie wiedząc do końca co będzie ze mną w obliczu takiej a nie innej postawy jego i moich rodziców. W takiej sytuacji kto wie, czy nie będę musiała wyjść za mąż za Zbyszka wbrew własnej woli i pogrzebania moich młodzieńczych marzeń i wyobrażeń. Byłoby to na pewno małżeństwo niedoskonałe, jak wiele innych na tym Bożym świecie, lecz jeżeli nie będzie innej rady – wieszać się nie pójdę z tego powodu, ponieważ Zbyszek na prawdę jest porządnym człowiekiem i moi rodzice nie widzą nikogo poza nim jako kandydata na zięcia. Powinien pan wiedzieć, że człowiek nie mający tego co chce mieć stara się to zdobyć. To leży w naturze ludzkiej...

– Boże! – pomyślał Wiesiek w tej chwili. – Ja dotychczas nie zdobywałem niczego i chyba niczego już nie zdobędę, chociaż Katarzyna ma rację, że chciałoby się. Tak, owszem, chciałoby się duszy do raju...

– I w tym miejscu – ciągnęła Katarzyna – nie dziwię się ludziom wcale, że zdradzają swoich współmałżonków. Ja wcale nie gwarantuję, że będzie inaczej, jeżeli poślubi mnie mój dzisiejszy „narzeczony", chociaż jako prawy człowiek wolałabym tego uniknąć, nawet ze względu na czystość sumienia. Już jestem tak zwaną dorosłą kobietą i niebawem też kończę studia, a wciąż pozostaję w nieświadomości, jaką przyjemność może dać miłość z kochanym partnerem. Nie wyobrażam sobie tego ze Zbyszkiem. Obcując z nim nie czuję żadnego pociągu do ewentualnego przeżycia rozkoszy płciowej. Czasami nawet myślę, iż nie jestem normalną, gdy koleżanki opowiadają mi o swoich sprawach z chłopcami. Mi się wydaje, że idąc do łóżka ze Zbyszkiem zamiast rozkoszy przeżyłabym zawód, co mogłoby zaważyć na moim całym życiu. A przecież, jak wszędzie słychać i czytając odpowiednią literaturę, sprawy łóżkowe w pożyciu małżeńskim

są najważniejsze, bo one świadczą o wzajemnej miłości, a ten fakt na starość spowoduje szacunek i życie wspomnieniami. Niech pan nie da się nabrać na bogactwo, bo to daje tylko dobrobyt, ale nie daje żadnego szczęścia. Za miłość ludzie oddają majątki, honor i życie. I ja właśnie pragnę, aby być oszalałą na punkcie miłości do swojego męża i być kochaną przez niego, a nie iść do łóżka bo tak nakazuje obowiązek małżeński. Nie prawda, ja takim obowiązkom podporządkować się nie chcę i chyba się nie podporządkuję. Moim zdaniem w małżeństwie powinno być tak, że oboje małżonkowie powinni czekać z niecierpliwością chwili, kiedy nadejdzie czas pójścia spać do łóżka, jak w narzeczeństwie czekali godziny spotkania. O tak, proszę pana, wyobrażam sobie małżeństwo. A co pan o tym sądzi? proszę uświadomić mnie, bo może nie mam racji – zakończyła Katarzyna, wciąż patrząc mu głęboko w oczy.

– Co ja mogę myśleć na ten temat, kiedy ja po pierwsze, nie jestem panią, a po drugie, poruszony przez panią temat jest dla mnie czarną magią, gdyż ja nad tym nigdy się nie zastanawiałem. Jak dotychczas pozostaję nieudacznikiem i ku wielkiemu swojemu żalowi muszę się z tym godzić, bo innego wyjścia nie było.

– Jak to pan jest nieudacznikiem? – zdziwiła się Katarzyna. – Nawet dzisiaj zwróciłam uwagę, że dziewczęta panu się przyglądały. Może nawet zrobiłam dobrze im na złość zapraszając pana do siebie. Może ja też chcę trochę przyjemności, tej egoistycznej, tej niepodzielnej, co? – zaśmiała się piękna dziewczyna, patrząc Wieśkowi prosto w oczy. – Za jedne te węgielki, które panu wmontowała w czoło Bozia...

– Za te węgielki, jak pani to określiła, mnie najbardziej nienawidziła macocha i bijąc za byle co i byle kiedy zawsze przezywała mnie między innymi Cyganem czarnookim, najohydniejszym stworzeniem świata według jej słów...

– Przepraszam, że przerwę panu, ale niech pan wie i to, że każda pokraka nikomu nie wybaczy tego, że nie jest pokraką podobną do niej. Kiedyś dziadek mnie uczył, abym się wystrzegała ludzi ułomnych i ryżych. Czy pana macocha nie jest ryża?

– Nie, jest szatynką, ale bardzo złą kobietą. Mnie biła niby jakiegoś parszywego psa, ale i o swoje dzieci nie dbała. Z sześciorga czworo nie żyje. Charakterystyczne było to, że kiedyś nasz koń kopnął kopytem prosto w czoło jej córkę. Ninka upadła, ale żeby ktoś pomyślał o zawiezieniu dziewczynki do lekarza, której cała głowa była koloru żółto-sinego. Kilkunastoletnia dziewczyna bez żadnej pomocy musiała umrzeć, bo rodzicom było żal paru złotych. Zresztą nikt z nas nigdy nie był wożony do lekarza. Kiedyś mnie – opowiadał Wiesiek – zbił sąsiad do tego, że nie mogłem ruszyć nogą ani ręką. Ojciec zawiózł mnie do miasteczka dla ludzkiego oka, ale nie do lekarza. Przyszedł do furmanki i powiedział, że lepiej kupi śledzia, niż ma oddawać grosze na jakiegoś tam pasibrzucha. I pojechał do domu z leżącym w gnojnicach dzieciakiem.

– O, to miał pan nie tylko złą macochę, ale i głupiego ojca... – Po drugie, proszę pani, jeżeli mam być szczery tak jak pani, to powiem co myślę. Otóż, jeszcze w moim wieku można udawać kawalera i starać się wszelkimi sposobami „przyciągać" do siebie dziewczęta, zarówno te piękne, jak i te mniej piękne, ale za to tak powabne, że obok nich trudno ustać bez „gęsiej skóry". Oboje jesteśmy młodzi i wiemy, że podoba nam się ta osoba, która posiada w sobie jakiś magnes by nas przyciągać. Jest to jednak taki magnes, który burzy w nas krew, a zaciemnia rozsądek. Pani też mi się podoba i byłoby dobrze wolne chwile spędzać razem, chociaż z naszych rozmów korzystałaby tylko jedna osoba, czyli ja, ponieważ tylko pani potrafi zainteresować mnie swoją rozmową, wiedzą i wiele nauczyć. Ja zaś jestem człowiekiem nie tylko nie posiadającym studiów ale nawet podstawowego wykształcenia. A o tym czego nas tu uczą – rozmawiać nie mogę, bo nie mam prawa, chociaż wykładane przedmioty przychodzą mi niby łatwo. Jakiż więc byłby z nas duet do prowadzenia uczonych rozpraw o życiu?

– A według pana rozmowy o życiu mogą prowadzić tylko ludzie z wyższym wykształceniem? – zapytała Katarzyna i gorzko się roześmiała, a Wieśkowi jakby lżej się zrobiło, że niekoniecznie trzeba mieć wyższe wykształcenie aby komuś się podobać.

– To bardzo miłe z pani strony, że nie gardzi pani niedouczonym człowiekiem w mojej nikczemnej osobie, ale przekonałaby się pani, że to tylko na krótką metę, ponieważ w życiu jest masa różnych, nawet niecodziennych okazji, które z biegiem czasu powodują niechęć jednego do drugiego. Czy wyobraża pani sobie jakiś bal czy chociaż zabawę, na którym znalazłaby się pani ze swoim niedouczonym mężem, którego pani kiedyś poślubiła kierując się tylko zachciankami cielesnymi, bo „coś" do niego ciągnęło? Tam raptem jest ktoś, kto również posiada odpowiedni magnes i pociągnie panią erotycznie ku sobie i w dodatku zaimponuje uczonością. Powstanie taka sytuacja, że oboje będziecie spoglądać na siebie czy ku sobie po kryjomu i myśleć o wspólnym zatańczeniu chociaż jednego „kawałka". A myśl o podłożu erotycznym jest tak samo natrętna jak mucha. Najpierw będziecie oboje dążyć żeby potańczyć, ale to na razie. Później będzie pani chciała kiedyś się spotkać, oczywiście on to powinien zaproponować, a jeszcze później, ale nie tak późno, żeby zapomnieć przeżycia z balu, będzie pani chciała zdradzić męża. Oczywiście, tylko raz. Może się zdarzyć tak, że rzeczywiście tylko raz pani pójdzie z tym kimś do łóżka. Ale to będzie tylko wówczas, kiedy nowo poznany kochanek spisze się gorzej od pani męża lub czymś panią zniechęci. Ale co będzie, jeżeli ten erudyta i w łóżku okaże się naukowcem i w tych sprawach o niebo przewyższy tego, za którego pani wyszła z rzekomej miłości? Nieszczęście gotowe – szkoda pani i szkoda pani męża, który nadal jest ufny i zakochany w pani. Teraz można będzie tylko pani współczuć, jeżeli nadal pani będzie współżyć z mężem, bo to dzieci, bo to wspólne gospodarstwo i tak dalej.

– Ależ pan się rozfilozofował! – znowu przerwała Katarzyna. – Jak przysłowiowy chłopski filozof. Jeżeli o to chodzi, to tak samo może być interesujący człowiek niewykształcony jak i wykształcony. Proszę nie zapominać, że wśród ludzi najbardziej ceni się kulturę, a nie wykształcenie...

– A skąd się bierze kultura, jeżeli nie z wykształcenia? – niecierpliwie przerwał Wiesiek. – To przecież szkoły dają wiedzę, ogładę i uczą jak żyć. Skąd biedny wioskowy chłopiec czy dziewczyna mogą

wynieść ogładę towarzyską, jeżeli w jego wsi grzecznego dzieciaka nazywano fajtłapą?

– To prawda, ale jakże wielu ludzi jest niewykształconych, a ujmujących, natomiast wcale niemało jest też wykształconych chamów. I żeby myśleć tak jak pan, to ludzie pobieraliby się z rozsądku, a nie z miłości. Dopiero wtedy byłaby gehenna.

– A dużo jest małżeństw szczęśliwych? – mrużąc oczy ironicznie, bo już nieco ośmielony, zapytał Wiesiek.

– A czy szczęście lub nieszczęście małżeńskie polega na tym, że ktoś jest wykształcony albo nie?

– Może i nie na tym polega, ale poziom powinien być równy, albo chociaż zbliżony. I to zarówno wiedzy, niewiedzy, jak i ogólnego obycia, gdyż różnica poziomów denerwuje oboje i to z tego samego powodu. Do codziennego pożycia między ludźmi potrzebna jest ta sama kultura i bardzo podobne zapatrywania. Oboje muszą być niechluje lub jednakowo schludni. Bo w przeciwnym wypadku jednego z partnerów będzie mierziło siorbanie drugiego, mlaskanie i siąkanie nosa w gołą dłoń, jak i plucie na podłogę. Tolerancja takiego zachowania się partnera będzie powodowała obopólną zgodę i nie zawadzi w szczęściu. Natomiast, nie daj Boże, brak takowej wniesie w pożycie nienawiść i utrapienie. Bywa i tak, że sam siorbnie, ale nie znosi, kiedy to samo robi ktoś inny. Jest to tak zwane widzenie cudzego pod lasem, a nie widzenie swojego pod nosem. Tacy ludzie są najgorsi, bo innych uczą kultury nie mając jej sami.

– Dobroć i zło człowieka jest pojęciem względnym. Wszystko zależy od danej sytuacji...

– Od jakiej sytuacji zależy stosunek człowieka silniejszego do słabszego – przerwał Wiesiek dosyć niegrzecznie, – ordynarnego do grzecznego i potulnego, uczciwego? Pani mówi, że dobro i zło człowieka zależy od sytuacji, a ja z tym się nie godzę częściowo. Pomiędzy dobrem i złem biegnie wyraźna linia podziału. Dobry człowiek zawsze będzie dobrym, bo nie potrafi być złym, jak zły nie potrafi być dobrym nawet wtedy, gdy przymilnie się uśmiecha, bo chce coś od kogoś „wydębić", a dobry pozostaje dobrym, chociaż niekie-

dy jest naburmuszony, bo jeszcze pamięta czyjeś oszukaństwo. Jasne, że porządny człowiek przeważnie traci na bliską metę, a zły przeważnie zyskuje w naszym fałszywym świecie. Dobry człowiek to naiwny człowiek, którego zawsze można wykiwać i cwaniacy to robią. On zawsze ponosi koszty swojej naiwności i wie, że tak jest. On krzywdę po prostu przemilczy, wybaczy, machnie ręką, chociaż boleśnie to przeżyje, gdy jakiś cham zrobi go w konia. Oczywiście, jest to problem bardzo skomplikowany i nie mnie go tu roztrząsać. Ja to odnoszę do ciemnego środowiska wioski, w której urodziłem się i rosłem. W tym środowisku strona moralna odgrywała najmniejszą rolę, albo nawet nie odgrywała żadnej we wzajemnych stosunkach i właśnie tam widać kto jest dobry a kto zły, pazerny, nieuczciwy. Poza tym panowało ogromne zakłamanie, które zresztą panuje nadal, chociaż wciąż coraz bardziej jest obnażane przez samo życie. Ale, wbrew różnym teoriom, nie ośmieliłbym się powiedzieć, iż moralni są bogaci a amoralni biedni. Nie prawda, to zależy od czegoś innego. Znam wielu biednych, przymierających głodem, gotowych wykonać najcięższą pracę za grosze, aby kupić kawałek chleba dzieciom, a kraść nie poszli, czy grabić. Żebrać, owszem, szli. Natomiast „dumni" bogacze czy zamożni nigdy nie gardzili cudzym dobrem, zdobytym nieuczciwie. To jednak też zależy od charakteru, bo musi pani wiedzieć, że odwaga i tchórzostwo również odgrywają niepoślednią rolę w życiu każdego człowieka. Chociaż zarówno tchórzostwo jak i odwaga mogą być potępiane i... chwalone. Jak to rozumieć? A tak, że jest stan psychiczny danego człowieka, czy grupy ludzi o jednakowo niskim poziomie moralnym. I ci ludzie nie omieszkają nazwać zaradnością, w każdym razie określeniem pozytywnym, czyjąś bezczelność czy nawet złodziejstwo, natomiast uczciwą nieśmiałość czy przebaczenie komuś krzywdy – zwykłym tchórzostwem.

– O Boże, ale dał mi pan wykład, że aż w głowie zamąciło. A tymczasem stygnie herbata...

– Nie, to nie wykład, ponieważ ja nie mam pojęcia o psychologii, ale człowiek najbardziej pamięta to, co przeżył na własnej skórze. Nie chcę pani zanudzać swoimi sprawami, lecz kiedy już weszliśmy na

taki poważny temat to jeszcze opowiem pani jedno z tysięcy zdarzeń w moim życiu, które nakazuje mi widzieć ludzi dobrych i złych, chociaż wcale nie chcę tym rozczulać pani. Ot, po prostu opowiem fakt.

Kiedy jeszcze byłem małym chłopcem, chociaż w moim wypadku „małym chłopcem" jest pojęciem umownym, gdyż ja nigdy nie miałem prawa być małym, tak jak nie miałem prawa w swoim dzieciństwie czegokolwiek chcieć. Otóż wdrapałem się na piec z żalem i w obawie, że znajdujące się tam w garnku i pierzu pisklęta pozdychają z gorąca. Nie wiem dlaczego je tam przechowywała macocha. Myślę, że aby zapewnić im ciepło. Pisklęta też piszczały wniebogłosy z głodu. Rozumiałem ich stan, bo sam byłem głodny i od tego bolał mnie brzuch. A propos, czy pani chociaż wie, jak wygląda wiejski piec chlebowy?

– Wiem, bo u nas na Wołyniu też takie są.

– Aha, to dobrze, bo lżej będzie pani mnie zrozumieć. Te pisklaczki tak się darły, że mnie było ich żal. Piec był gorący po gotowaniu śniadania, a od niego nagrzał się też kamienny czy gliniany dzbanek, w którym dusiły się te stworzonka. Wdrapałem się na piec przy pomocy stołka ustawionego na pryczy i pisklaczki wypuściłem, czyli wysypałem z garnka na *czerien* – tak u nas nazywają tę część pieca, na której śpią. Puszyste stworzonka rozpełzły się po piecu, a ja się zląkłem, że pospadają i pozabijają się. Zgarnąłem je więc z powrotem do garnka, z bólem serca, gdyż ujarzmiałem je ponownie na sposób macochy i w dodatku nie mogłem spowodować by miały choć trochę luzu, bo przecież leżały jedno na drugim.

W czasie „operacji" z pisklętami zobaczyłem przy ściance pod szmatą klinek sera, który chyba był położony do wyschnięcia. Zobaczywszy ten ser ucieszyłem się ale i zląkłem. Wiedziałem, że jeżeli go tknę to wieczorem dostanę łupnia. Ale w żołądku piszczało i bolało z głodu. Może tak uszczypnąć, chociaż troszkę – pomyślałem, – chociaż spróbować jak smakuje ten ser, którym macocha czasem karmiła młodsze dzieci. Raz nawet przyglądałem się z zawiścią jak go wpychała niemowlakowi do ust. Wtedy trochę spadło na podłogę. Nachyliłem się by podnieść i zjeść tę zaślinioną okruszynkę. Ale

nie zdążyłem. Macocha była szybsza – nadepnęła na ser i rozmazała go po podłodze.

Może skubnę, o tu, z tyłu – pomyślałem – to nie pozna bo w tym miejscu jakiś on niegładki. Ale gdy uskubnąłem to i sam zobaczyłem, że zrobiłem pakość, gdyż znać było wyraźnie, iż to nie od sernika. Przylepiłem okruszek jak mogłem i po złodziejsku, piorunem spełzłem z pieca. Czekanie wieczoru było jeszcze większym koszmarem niż każdego dnia, z powodu zepsucia sera, a więc i lania. Faktycznie, cięgi mnie nie ominęły. A przecież dobry człowiek, widząc to „szachrajstwo", tylko by się uśmiechnął pod nosem i pomyślał: „Ser naruszony, ale ze strachu przed odpowiedzialnością nie zjedzony". Oto, proszę pani, na czym polega dobro i zło.

– Już na podstawie tego jednego szczegółu mogę sobie wyobrazić pańskie dzieciństwo. Na pocieszenie powiem panu, że przeżycia z dzieciństwa wcale nie przeszkodziły panu stać się przystojnym chłopcem. Poza tym ma pan w sobie coś co ludzi przyciąga. Nie będę mówiła, za wszystkich ale mnie pan się podoba.

– Mam też w sobie coś, co ludzi odpycha, – z żalem skonstatował Wiesiek, pamiętając poniewierkę, jaką „darzyli" go rodzice między innymi i za to, że miał czarne oczy.

– Niech pan zapomni o głupich rodzicach, a pamięta o swych czarnych oczach i włosach. To są elementy składające się na całość pańskiej osoby, która nigdy nie będzie obojętna dziewczętom...

Pukanie do drzwi. Katarzyna widocznie poznała po sposobie pukania, że nie są to rodzice. – O, już przyszedł mój narzeczony – powiedziała, i poprosiła Wieśka, aby się nie krępował. – On co prawda jest zazdrosny, jak każdy mężczyzna – dodała, – ale taktowny i o nic nie będzie wypytywał.

Otworzyła drzwi i udała, że się cieszy z jego przybycia, ale uprzedziła, że nie jest sama. Narzeczony pocałował ją w rękę i w policzek, po czym wyprzedzając Katarzynę wszedł do pokoju. Wiesiek wstał z krzesła i czekał na reakcję obojga narzeczonych. Tymczasem Katarzyna powiedziała: – Bądźcie znajomi i zostańcie przyjaciółmi. To jest Zbyszek, a ten pan – pokazała na Wieśka, – został dzisiaj po-

znany przez mnie na placówce, a nazywa się Wiesław Piotrowski. Panowie podali sobie ręce i jednocześnie zajęli miejsca siedzące przy okrągłym stole. Katarzyna zaproponowała Zbyszkowi herbatę, ale ten powiedział, że na herbatę nie ma ochoty i podziękował. Dziewczyna nie nalegała.

Rozmowa przy stole na chwilę zacichła, bo chyba każda z osób nie za bardzo wiedziała o czym tu mówić. Wiesiek był intruzem dla Zbyszka, a Zbyszek dla Wieśka. Na pewno wszyscy byli niezadowoleni powstałą sytuacją, bo rzeczywiście była ona niezgrabna, jeżeli ludzie siedzący przy wspólnym stole mieli się za uczciwych. Wiesiek spróbował rozładować sytuację i wstał zza stołu mówiąc, że na niego czas. Zbyszek z pewnością nie miałby nic przeciw temu, aby rywal jak najszybciej się zmył z jego oczu, ale z kolei Katarzyna szczerze nalegała, żeby pozostał.

Wieśkowi było bardzo niezręcznie przyjąć propozycję pozostania i nawet byłby rad opuścić tylko co poznane towarzystwo. Ale dziewczyna tak nalegała, że musiał ulec i ponownie zajął miejsce na tym samym krześle. W tym czasie Zbyszek wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zaproponował Wieśkowi zapalenie. Ten podziękował, bo nie palił, a Katarzyna się zdziwiła, że „wojak, a nie pali". Zbyszek wypuszczał kłęby dymu z ust obramowanych cienkimi wargami i stukając pudełkiem od nieznanych Wieśkowi zagranicznych papierosów o czymś intensywnie myślał, a to jeszcze bardziej onieśmielało intruza. Katarzyna jednak była rada sierżantowi, Zbyszkowi chyba też, bo przecież był jej narzeczonym. W końcu zaproponowała: – Panowie, chcecie posłuchać muzyki? Nastawię płytę. I nie czekając na „tak" lub „nie" ze strony mężczyzn wyszła do drugiego pokoju, skąd za chwilę popłynęło tango, które na pewno nie pozostawiało nikogo obojętnym na piękno tej melodii. Wszyscy słuchali milcząc, pogrążeni w swych myślach. Milczenie przerwał Zbyszek: – Wnoszę po pańskim akcencie, że jest pan, jak i moja narzeczona gdzieś z Kresów Wschodnich. Może jest pan ziomkiem Katarzyny?

– Tak, ten pan jest moim *ziemlakiem* zza Buga i dlatego zaprosiłam go do mieszkania, by powspominać o naszych, miłych ser-

cu stronach – pośpieszyła dziewczyna z wyręką dla Wieśka, aby ten z czymś się nie zdradził i nie popadł w ślepą uliczkę przed, bądź co bądź studentem.

Zbyszek okazał się bardziej czupurny i dociekliwy niźli go scharakteryzowała zaocznie Katarzyna. Zaczął wypytywać Wieśka o powody, dla których uciekł z rodzinnych stron, mimo, że przecież jak na Wołyniu tak w innych regionach byłego polskiego terytorium pozostała masa Polaków, którzy wolą uprawiać swą rodzinną ziemię niż jechać gdzieś w nieznane. Jeszcze nie wiadomo jaki los spotka tych, co tak chętnie osiedlili się na Ziemiach Odzyskanych. Niemcy to nie Polacy – swojego nigdy nie darują...

– A co, pan uważa, że te ziemie Polsce się nie należą, że to są ziemie zagrabione? – nie wytrzymał Wiesiek, chociaż nie bardzo wiedział, w którą stronę gnie Zbyszek. – Czy to znaczy, że według pana ziemie położone na wschód od linii Curzona, na których mieszkają Białorusini i Ukraińcy też niesłusznie należą obecnie do Związku Radzieckiego?

– Tak uważam, mimo, iż zdaję sobie sprawę z tego, że pan o tym doniesie gdzie nie trzeba. A jeżeli tak pan kocha Związek Radziecki, to dlaczego kolego wiałeś stąd aż pięty błyskały? – zaperzył się Zbyszek nie na żarty. – Dlaczego taka masa Polaków wyjeżdżała nawet w nieznane, byle tylko wyrwać się z kołchozowej niewoli i niedoli? Jeżeli pan tak bardzo kocha Związek Radziecki, to dlaczego pan kolaborował z Niemcami i to w dodatku z hitlerowskimi?..

– Ja z Niemcami?! Co panu przyszło do głowy, szanowny studencie?

– Jeżeli pan ma czyste sumienie, to po co pan wywiał z Rosji? Poza tym jest pan złym Polakiem, bo dobry Polak wie gdzie są jego ziemie.

Wieśka szlag trafiał, że musi być piskorzem tylko dlatego, żeby nie zdemaskować Katarzyny, która powiedziała na wstępie, iż zaprosiła Wieśka, aby powspominać dawne, dobre czasy. A ten, jakiś synek, potomek burżuja, przyczepił się jak smoła i politykuje. Jakiż to będzie socjalistyczny naukowiec, nauczyciel, inżynier czy jeszcze ja-

kaś swołocz, jeżeli on wyniósł z domu nienawiść do socjalizmu? – przemknęło Wieśkowi przez myśl i nastawiło go jeszcze bardziej bojowo wobec przeciwnika, który wcale nie był na poziomie sierżanta, bo studiował. Sytuacja, która powstała w rozmowie ze studentem, przywołała przed oczy Wieśka dzieciństwo, kiedy to w czasach panowania takich, jak ten student, burżujów, on łaknął zwykłego, czarnego chleba, niechby nawet bez soli, nie mówiąc już o cukrze, który w ich chacie nigdy nie gościł. Do dziś pamięta, jak kiedyś na wielkie święto Piotra i Pawła zawitała do nich ciocia, siostra ojca i poczęstowała go wysupłanym ze śmieci torebki kawalątkiem cukru. Ach Boże, jakiż on był słodki. szkoda tylko, że raz-dwa zamienił się w ślinę. Mały nawet żałował wypluć z ust paprochy, które pozostały po cukrze. Później, gdy już pracował, czasami jadał najzwyklejszą wodę z sacharyną i był bardzo kontent gdy z tym przysmakiem mógł zjeść czarnego, żarnowego chleba. A już od pszennego i gdyby czasem udało się najeść ziemniaków omaszczonych choćby olejem, skakałby przez chaty z radości o dobrobycie.

Ta myśl przemknęła przez głowę Wieśka lotem błyskawicy i dała bodziec do odpierania ataków narzeczonego Katarzyny, która nie wiedzieć czemu w sprzeczce udziału nie brała. Trudno było sierżantowi wiedzieć co ona w danej chwili myślała i bał się ją zniechęcić swoimi ewentualnymi wywodami, ponieważ przepych w mieszkaniu świadczył o tym, że nigdy chyba nie działo się jej źle... A może to wszystko naszabrowane? At, czort z nimi, niechaj się narażę obojgu, ale swoje powiem.

– Ja zły Polak, a za jakichże to pan uważa Becków, Śmigłych i innych zdrajców, którzy zostawili naród na pastwę losu, a sami niby sfora psów, na prześpiechy gnali do Zaleszczyk, aby jak najprędzej wywiać do Rumunii, aby uratować zagrabione dobro i znienawidzone przez naród cielska? Dlaczego nie chcieli podzielić losu całego narodu, jeżeli uważali się za Polaków? Dlatego, że losy narodu polskiego ich nigdy nie dotyczyły. A tym bardziej nic ich nie obchodziło co się z tym narodem stanie, gdy Niemcy zagarną Polskę. Teraz wiemy co się z tym narodem stało i stałoby się więcej, gdyby nie ci, których

pan aż tak nienawidzi. Niemcy zdołali wymordować sześć milionów ludzi i wymordowaliby jeszcze dwa razy tyle gdyby nie Związek Radziecki...

– A czyż to nie Związek Radziecki, którego pan jest niezachwianym sojusznikiem wbił nóż w plecy Polsce – wpadł w słowo rozeźlony Zbyszek.

– Jaki nóż w plecy, jeżeli Rosjanie przekroczyli granicę dopiero 17 września? Poza tym, proszę nie zapominać, że Rosjanie wkraczając na ziemie Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi, naprawdę takim jak ja przynieśli wolność. Setki tysięcy, jeżeli nie miliony polskich obywateli przed wojną nie mogło zdobyć nawet podstawowego wykształcenia, nie mówiąc już o średnim. A dzisiejsi studenci zamiast dziękować Władzy Ludowej i Związkowi Radzieckiemu za zniszczenie hitleryzmu i dania możliwości studiowania, zaczynają mędrkować i robić bohaterów ze zdrajców. Dlaczegóż to Marian Buczek, komunista, więzień sanacyjny, po wydostaniu się na wolność nie zwiał za granicę, lecz od razu chwycił za broń, by bronić ojczyzny przed wrogiem? Bo to on był prawdziwym Polakiem i tylko takich ludzi obchodzi los narodu polskiego i to właśnie dla niego Marian Buczek i masa innych, nawet bezimiennych, patriotów poświęciło swój osobisty los w walce z bezlitosnym uciskiem i wyzyskiem biedoty. To komuniści demaskowali ciemiężycieli i dążyli do wyzwolenia narodów spod ucisku i wyzysku rodzimego, jak i obcego kapitału. Pan jest za ciemny, panie studencie, aby wiedzieć, że nikt inny, tylko wasz pan Piłsudski wybudował katownię w Berezie Kartuskiej, aby męczyć w niej i mordować tych, co to chcieli wolnej i niepodległej oraz przedstawicieli mniejszości narodowych – sympatyków ZSRR. Czy pan kiedykolwiek dostał po mordzie od przedstawiciela Władzy Ludowej za nic, ot tak sobie, z łaski na uciechę? A jak by się pan czuł, panie studencie demokracji ludowej, którą my, ciemniacy wywalczyli, a pan się kształci i nienawidzi, żeby ktoś z przedstawicieli władzy czy jakiejś instytucji kopał pana butem po głowie za podniesienie pałki z chodnika, aby spalić ją w piecu z biedy, żeby chociaż trochę ogrzać ręce? A ja takim butem dostałem tylko za to, że w lesie podniosłem suchą gałązkę sosnową. Byłem ma-

łym dzieckiem, kiedy macocha wysłała mnie do lasu po chrust. Gdy ten chrust zbierałem w oddalonym o ponad dwa kilometry od mojej wsi lesie, spotkał mnie gajowy, odebrał te parę gałązek, zbił mnie butem po głowie i zagroził, że jeżeli mnie spotka jeszcze raz to zabije.

Czy to tylko ten gajowy dwoił się i troił, żeby wiernie służyć swoim mocodawcom i bić nawet niewinne dzieci? Nie, nie tylko. A niechaj pan zapyta starych robotników ilu ludzi popełniło samobójstwa w wyniku bezrobocia, bo to oznaczało głód, brak mieszkania i poniewierkę, a więc nie dbanie o klasę robotniczą i jej wręcz poniżanie. Oni panu powiedzą bez owijania w bawełnę. I próżne tu pańskie ujadanie na Związek Radziecki i socjalizm w jeszcze szerszym znaczeniu, bo obecny naród już nie pozwoli sobie wydrzeć władzy z rąk, którą zdobył w wyniku zwycięstwa nad faszyzmem.

Dosyć naginania grzbietu na burżuazyjnych hulaków i leni trwoniących dobro narodowe w kasynach gry hazardowej poza granicami i przepijaniu ludzkiej krzywdy w najdroższych hotelach świata! Dosyć krwi i łez przelanych przez nasz naród w okresie międzywojennym i podczas okupacji, by teraz zaprzepaścić swe zdobycze... I tu, ze złości Wiesiek zaśpiewał:

Wara od Odry, od Nysy wara!
Od naszych granic – precz!
Ziemia to nasza, piastowska stara,
Zachód to nasza rzecz...
Nie papież nam wybrzeże dał,
Ni Śląsk biskupów był.
Ziemię tę żołnierz polski krwią zlał,
Na niej praojciec żył...

Kiedy faszyści mordowali naród polski na zachód od Bugu, dzieci biedoty na ziemiach wschodnich, wyzwolonych przez Armię Czerwoną zaczęły chodzić do szkoły i dopiero wtedy poczuły się ludźmi. Osobiście poszedłem do szkoły po raz pierwszy właśnie do szkoły radzieckiej, a dzisiaj, jak pan widzi, jestem sierżantem. Czy

możliwe to byłoby za waszych „dobrych czasów?" Najwyżej mógłbym służyć w wojsku jako mięso armatnie i wysłuchiwać bredni przeciwko braciom klasowym, dzięki którym i Polska odzyskała niepodległość, a później przekształcono ją w państwo obszarników i kapitalistów, którzy kształtowali naród na swoje kopyto, opowiadając o „czerwonych diabłach, odcinających kindżałami piersi kobietom". Pan by się wstydził powtarzać głupstwa płynące z wrogich ośrodków o „nożu w plecy", bo każdy uczciwy Polak wie, że to nieprawda. Tacy jak pan i pańscy rodzice sami w to nie wierzycie, co kolportujecie. Ale wam idzie o to, żeby naród polski nadal nastawiać przeciwko Związkowi Radzieckiemu, bo tak chce wasz londyński rząd, którego bandy jeszcze grasują po lasach ojczyzny. Ale już niebawem przyjdzie czas, że ociemniali przejrzą i pójdą za nami. Szkoda tylko, że tacy jak pan zdobywają wykształcenie...

– Wykształcenie zdobywają mądrzejsi, a nie tacy, co to zegarki nakręcają kłonicą lub wypijają atrament! – wykrzyknął zdenerwowany Zbyszek, przerywając Wieśkowi monolog wygłaszany niby w transie, bo sierżantowi jawiły się przed oczyma coraz to nowe fakty z jego osobistych przeżyć i z życia powojennej Polski. – Gdyby wszystkich cepów posłać do szkół, to kto by pracował w kołchozach i fabrykach? – już też krzyczał Zbyszek. – Każdy z was, wylazłszy z gnoju od razu chciałby posiąść wiedzę i wepchnąć się na stanowisko i rządzić państwem, czyli męczyć ten biedny naród, który nie ze swojej winy i woli znalazł się pod dyktatem Moskwy!

– A właśnie, że ze swej dobrej i nieprzymuszonej woli naród polski wybrał drogę socjalistycznego rozwoju i wiecznej przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. I właśnie, mając doświadczenie, już się nie pozwoli męczyć i wyglądać łaski z waszych pańskich rąk...

– Panowie, coście się tak zacietrzewili? – wtrąciła się wreszcie Katarzyna. – Czy skakanie do oczu dwóch nieznajomych sobie mężczyzn w prywatnym mieszkaniu dziewczyny coś zmieni? Nie wygłupiajcie się. Tym bardziej, że politycy i rządzący nie pytają was o z danie. Chwała wam obu za twarde i nieugięte stanowisko na zajętych przez siebie pozycjach, ale czy my tego chcemy czy nie to i tak uwa-

żam, że pan sierżant ma rację. Jednak proponuję oderwać się od polityki, a zająć się sprawami bardziej przyziemnymi. Przed nami nauka i wejście w nowe życie. A teraz napijemy się po kieliszku na zgodę.

Wiesiek wstał z krzesła i powiedział: – Niech się pan nie obawia moich donosów, ale proponowanego kieliszka z panem nie wypiję, ponieważ jestem dla pana tym, co to zegarki nakręcają kłonicami i wypijają atrament w biurach. Serdecznie pani dziękuję za zaproszenie mnie do domu, ale naprawdę muszę już iść, bo zbliża się pora kolacji, więc muszę być obecny chociażby nawet dlatego, aby przypilnować porządku, a i muszę się przyznać, że sam też już jestem głodny. Żegnam panią – ukłonił się Wiesiek zgodnie z regulaminem i opuścił towarzystwo.

Po tygodniu od rozmowy pomiędzy Wieśkiem a Zbyszkiem Katarzyna przysłała do Wieśka list pełen wyznań, sympatii i żalu, że to z jej winy doszło do tak przykrej rozmowy. Przyznała, iż mogła inaczej zareagować lub chociaż uprzedzić Wieśka o Zbyszkowej nienawiści do władzy ludowej, nie mówiąc już o Związku Radzieckim. W końcowej części listu bardzo serdecznie zapraszała sierżanta do składania jej wizyt kiedy tylko będzie chciał.

Wieśkowi szkoda było takiej fajnej dziewczyny, zarówno jako człowiekowi i jako mężczyźnie. Ale był święcie przekonany, że żonatemu nie wypada uderzać w zaloty. Chciał jej o wszystkim napisać, lecz zdawał sobie sprawę, iż dla bądź co bądź sierżanta nie będzie ładnie, gdy dziewczyna popatrzy na charakter jego jakże nie wyrobionego pisma i obnaży błędy w pisanym po polsku liście. Zatem skorzystał z zaproszenia i najbliższego niedzielnego popołudnia odważył się zapukać do znajomych drzwi, chociaż z punktu widzenia klasowego, jak rozmyślał Wiesiek, zupełnie do niego nie przystających. Na sygnał dzwonka w rozwartych na oścież drzwiach ukazała się w pełnej krasie rozpromieniona Katarzyna, jak gdyby nań czekała, a możliwe, iż widziała przez okno idącego, więc dlatego tak szybko znalazła się na progu witając „chłopca". Skąd mu to wiedzieć. Dosyć, że się ucieszyła i nawet jej piękne oczy nie mogły tego stanu ukryć, gdyby próbowała. Objęła zaskoczonego Wieśka za szyję i wpi-

ła się ustami w jego usta. Po chwili jednak odskoczyła i przeprosiła za spontaniczność. Tak naprawdę to ta dziewczęca spontaniczność, której przez zapomnienie nie mogła opanować Katarzyna, Wieśkowi spodobała się i ten „nalot" mógłby potrwać przez długie kilkanaście minut, ale wszystko przecież zależało od ust gospodyni.

Dzisiaj Katarzyna przywitała go jak jakiegoś najdroższego przyjaciela, z którym niejedno widziała, wychowując się w tej samej piaskownicy i bezceremonialnie przeszła na „ty". Posadziła na krześle w gościnnym pokoju i nakazała: – Dzisiaj jesteś pod moimi rozkazami i proszę je wykonywać bez dyskusji, gdyż ja sprzeciwów nie cierpię, zrozumiano?

– Tak jest, ale ja z kolei nie znoszę rozkazów.

– To zrobimy tak, ja nie będę wydawała rozkazów, a ty nie będziesz ich wykonywał. Ale pamiętaj, że żaden dżentelmen nie odmawia prośbom kobiety.

– O, jakbym śmiał odmówić prośbie kobiety, a tym bardziej takiej damy jak ty. Z tym tylko, że żadna z próśb nie może wyjść poza ściany tego budynku, ponieważ na przykład trzepanie dywanów mogłoby doprowadzić do kompromitacji mnie w oczach kolegów, gdyż nie daj Boże, któryś mógłby się napatoczyć. Mogę tylko ukradkiem wynieść śmieci – zażartował Wiesiek, wpadając w dobry nastrój.

– Nie, jeszcze dzisiaj trzepać dywanów nie będziesz, chociażby dlatego, że jest niedziela. Ale zapewniam, że Zbyszek trzepałby je nawet w święta Bożego Narodzenia, gdybym tylko tego sobie życzyła.

Kasia, szczebiocząc niby skowronek, w te pędy przygotowała „coś na ząb", po lampce koniaku i kawę. To „coś" składało się z tabliczki czekolady, kilku rodzajów ciastek i małego okrągłego torcika.

Sącząc koniak małymi łyczkami – Wiesiek bardzo uważnie temu się przyglądał, gdyż nie wiedział, jak pić ten trunek w towarzystwie kobiety, a i do kawy nie był przyzwyczajony – Katarzyna wyraźnie prowokowała do wyznań i dawała do zrozumienia, że mogliby się nawet całować, chwaląc jego wargi, piękne zęby. Zauważyła też, że jak na wiejskiego chłopaka posiada zgrabne ręce. Wiesiek niezgrabnie odwzajemniał komplementy, lecz nie śmiał naruszyć wewnętrz-

nego spokoju zarówno swojego jak i Kasi, która wcale nie była mu obojętna. Bał się, iż Katarzyna może go tak dalece oczarować, że odzyska wiarę w siebie i może znienawidzić Bronię, która w niczym nie dorównuje Kasi i co najważniejsze, jest histeryczką zdolną do awantur w każdym towarzystwie i o byle co. Prawdopodobnie sądzi wszystkich podług siebie. Kiedyś, w godzinie szczerości powiedziała Wieśkowi, swojemu mężowi, że dla niej stosunek płciowy z tym czy innym mężczyzną to tylko kwestia podmycia się. A Katarzyna już prawie kończy studia i przyrzeka, iż jeszcze nie miała kontaktu fizycznego nawet ze Zbyszkiem, którego zna od lat. Poza tym Bronia jest nieobliczalna i bez ambicji.

Kiedyś, pięknej letniej niedzieli jej mama postanowiła wydać obiad dla najbliższej swej rodziny i zaprosiła nań swą rodzoną siostrę z dwiema zamężnymi, czy już rozwiedzionymi córkami – Jadzią i Celiną. Nawiasem mówiąc, mama Broni była bardzo dobrą i kochaną kobietą, która w ogóle nie miała wrogów, a już Wieśka wręcz uwielbiała i on ją tak samo. Mama widocznie chciała przed siostrą i siostrzenicami pochwalić się następnym zięciem. Gości przybyło ze dwudziestu. Fajnie było, bo towarzystwo okazało się bardzo miłe, poza Celiną, która w pewnym momencie powiedziała, że woli Niemca pocałować w d... niż Ruska w twarz. To była rozmowa polityczna, ale wyraźna aluzja do Wieśka, który puścił to mimo uszu, bo nie chciał rozróby. Tym bardziej, że mama Broni wyraźnie ostro potępiła za to swą siostrzenicę.

Kiedy obiad dobiegł końca i goście zaczęli opuszczać stół, Wiesiek razem z Ryśkiem zerwali się, by podawać kobietom ich nakrycia. Wtedy Bronia też się zerwała ze swego miejsca i zawołała: – Widzicie chama? Już do mojej ciotecznej siostry zaleca się, chociaż ta wyraźnie dała mu do zrozumienia, że ma go w najgłębszym poważaniu, co znaczy, że ma w d... tego skurwysyna.

Mama i inni próbowali łagodzić sytuację, chociaż poza Bronią nikt nie krzyczał, ale nie uratowali. Goście jak niepyszni szybko powychodzili zza stołu i szybko opuścili gościnny dom. Od tego czasu Wiesiek tylko kilka razy spotkał Jadzię, ale już nigdy – Celiny. Reszta

rodziny spotykała się, ale sytuacja jakoś zawsze była napięta i nigdy nie można było czuć się w pełni szczęśliwym, ponieważ Bronia zawsze wyszukiwała zaczepki, by się „pokazać".

Tymczasem Katarzyna „nacierała" na sierżanta, aby dowiedzieć się kto on taki, skąd pochodzi w rzeczywistości i czy jest kawalerem. Chłopak postanowił sprawę rozstrzygnąć uczciwie, zgodnie z sumieniem członka partii, więc wziął i wszystko Kasi opowiedział. Dziewczyna, mimo ogromnego wysiłku nie ujarzmiła łez, które zdradziły jej stan, cieknąc dwiema stróżkami.

– Tak przypuszczałam, że możesz być żonaty. A to, że jesteś Białorusinem – ciągnęła wycierając chusteczką łzy – i pochodzisz z Białostockiego oraz nie dorównujesz mi poziomem wykształcenia zdaje się być pestką w naszym wieku; parę lat i skończysz studia jeżeli zechcesz. A jak nie to i tak bylibyśmy szczęśliwi, jak mi się wydaje, gdyż widzę to i czuję, że byłeś stworzony dla mnie i tylko dla mnie, ponieważ wszystko w tobie mi się podoba, łącznie z prostotą, która ciebie cechuje i twoją białoruską uczciwością. Dzisiaj rozstaniemy się na zawsze, ale pragnę, abyś pamiętał mnie przez całe życie tak, jak ja będę pamiętała ciebie. I jeszcze jedno. Starzy ludzie u was w Białostockiem chyba też mówią, że dobrego Pan Bóg lubi, ale doli mu nie daje. I ty w swoim życiu nigdy szczęśliwym nie będziesz, chociaż ja o tym nie będę wiedziała.

Czułe, prawdziwe i pełne grozy słowa Katarzyny wzruszyły sierżanta. Ale on, jak zawsze, wstydził się swoich łez. Szybciutko wyjął z kieszeni pomiętą, żołnierską chusteczkę, wytarł oczy i bez pożegnania opuścił mieszkanie Katarzyny. Na zawsze, gdyż nigdy nie zbliżył się nawet do domu, w którym mieszkała. Pogodził się z losem, lecz stał się zupełnie innym człowiekiem. Wiedział, a raczej starał się pojąć, że życie jest podłe i nikogo nie głaszcze po głowie. Jest twarde i bezpardonowe. Niechaj sobie ktoś będzie zupełnym głupcem, ale kiedy jest z tak zwanej dobrej rodziny, jest bezczelny i ma krzepę, to ma i rację i tylko tacy w życiu się liczą. Pamięta jeszcze z dzieciństwa jak byle gówienko bogatego ojca narozrabia i nic, bo to „sławny", a biedak musiał w pokorze znosić ciosy i obelgi, gdyż w razie sta-

wiania oporu bestiom bez czci i honoru był bity przez większość, która gotowa była lizać ręce synom bogatych rodziców. I tak aż do dorosłości. Wiesiek pamięta i to, jak jego ciotki śpiewały: Oj, Boże, mój Boże, Boże mój Jedyny, nie dałeś mi szczęścia jak mojej rodzinie. Moja rodzinoczka gdzie idzie tam wciąż skacze, a ja młodziusieńki, gdzie idę to płaczę...

* * *

Życie szkolne płynęło bardzo wartkim potokiem, ponieważ program był, jak wówczas mówiono, „przeładowany do ostatnich granic". W dodatku różni funkcyjni musieli pokonywać wiele problemów, jak na przykład Wiesiek – dowódca plutonu. Było to związane z różnego rodzaju nasiadówkami. Kłopot kierownictwa szkoły polegał na tym, aby wszyscy kursanci osiągnęli jak najwyższy poziom wiedzy, wtłaczanej dzień i noc przez wykładowców i samokształcenie. Wiadomo, że kierownictwo szkoły sobie do pomocy wciągało dowódców plutonów, kompanii i innych funkcyjnych, w rodzaju sekretarzy POP, aby czasu na samokształcenie nie przebimbali w szachy, warcaby czy inne rozrywki nie związane z planami nauki w rzemiośle kontrwywiadowczym. Nikt nikomu nie zabraniał na tego typu odpoczynek po ciężkim dniu, nawet organizowano rozrywki, ale przede wszystkim był kładziony nacisk na opanowanie celu zasadniczego: umiejętności prowadzenia tajnej obserwacji, posługiwania się modelami aparatów fotograficznych i nadawczo-odbiorczą aparaturą radiową, umiejętności doboru kandydatów na tajnych współpracowników, szyfrowania i odszyfrowywania tajnych dokumentów, studiowanie historii WKP(b), historii Polski, polityki, religioznawstwa. Nawet dano im trochę liznąć kryminalistyki i kryminologii. Wszystko to robiono pośpiesznie i z ogromnym wysiłkiem, gdyż szybko trzeba było zasilić aparat kontrwywiadu ludźmi chociaż trochę obeznanymi i przyuczonymi do zawodu przyszłych oficerów profesji cichociemnych.

Wiadomo jednak, że jak nierówny jest las, tak samo nierówni są ludzie. To zostało zapamiętane jeszcze z Wieśka dziecięcych lat, kiedy zapyziali „mądrale" na każdym kroku wykrzykiwali „Co wolno woje-

wodzie to nie tobie smrodzie". Do takich „wojewodów" należała macocha, która nie znała ani jednej litery żadnego alfabetu, a wszystkich obzywała durniami i złodziejami, sama zaś kradła co u kogo mogła. Takim „wojewodą" był każdy złodziej, leń i łachmyta, żeby wszystkich nie wymieniać po nazwiskach.

Szkolna brać nie należała do tego typu ludzi, ale wśród przyszłych adeptów sztuki kontrwywiadowczej, która nakazuje wszystko widzieć, a samemu być niewidocznym, wszystko słyszeć, a samemu nie puszczać pary z gęby, bo wróg podsłuchuje, poziom nigdy się nie wyrównał zgodnie z życzeniami nie tylko komendanta szkoły ale i całego MBP. Wiadomo, różni ludzie z różnych środowisk reprezentowali różny poziom wykształcenia, a to odbijało się na stopniach otrzymywanych w szkole. Były też wyjątki, do których należał Wiesiek. On wciąż jeszcze nie posiadał podstawowego wykształcenia, a był przodującym kursantem. Kończył szkołę wśród najlepszych i uzyskał stopień starszego sierżanta. Został skierowany do pracy w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego na miasto stołeczne Warszawę, na stanowisko wywiadowcy.

* * *

Na urlop wypoczynkowy, a nawet kilkudniowy odpoczynek poszkolny nikt starszemu sierżantowi nie pozwolił, a sam był zbyt nieśmiały, aby o takie coś zapytać. Zawsze uważał, że mu wszyscy robią łaskę. Po powrocie na łono rodziny trochę się ochałuczył po podróży i zameldował się u naczelnika Wydziału „A", kapitana Gapisa.

Sekcją, do której przydzielono Wieśka kierował porucznik Kobus, a bezpośrednią opiekę nad nowo upieczonym, już „prawdziwym" wywiadowcą objął inny oficer, Ludwik Idzikowski, który jednocześnie pełnił funkcję I sekretarza OOP. Tak się złożyło, że prawie od pierwszego spojrzenia obaj nawzajem się spodobali i od razu zaczęli mówić sobie per „ty". Wiesiek tak by nie postąpił, ale Ludwik z miejsca zaznaczył, iż będą razem pracowali i dwunastoletnia różnica wieku nie jest aż taka wielka, żeby nie można było być kolegami.

Bronek, drugi wywiadowca, który pracował w tym samym pokoju był już dużo starszy, łysy, gderliwy, zarozumiały i nieżyczliwy. Jak się później okazało, pracował w policji niemieckiej, o czym wiedział cały Wydział, ale nie wiadomo co się z nim stało. W każdym razie był to człowiek z tupetem i dbający tylko o siebie. Za „zasługi" dla Polski otrzymał dwa pokoje z kuchnią w nowym budownictwie, chociaż nie miał dzieci, a tylko żonę.

To, że Ludwik był sekretarzem OOP dla Wieśka było bardzo ważne z punktu widzenia korzyści osobistych. Chodziło przede wszystkim o to, że nie miał swojego mieszkania. Poza tym tworzyło to osłonę dla młodego, nie zapoznanego z otoczeniem wywiadowcy przede ewentualnymi opiniami, nawet ze względu na jego wschodni akcent w mowie. Nic takiego, przynajmniej w oczy, Wiesiek nie odczuwał. Wręcz przeciwnie, bo gdy jako zadanie partyjne Ludwik polecił mu opracowanie i przedstawienie na forum kilku wydziałów pogadanki zwanej prasówką, został przez wielu oceniony wysoko i pochwalony przez sekretarza już w pokoju. I chyba dotarło to wyżej, ponieważ sekretarz Komitetu Zakładowego na jednym z zebrań też go pochwalił i jednocześnie zapytał, kiedy w końcu będzie chciał przeszeregować się z kandydata na członka PZPR. Wiesiek przemilczał, bo nie wiedział czy sam ma o to prosić, czy czekać aż go przeszeregują.

Szef Urzędu, major Paszkowski też jakoś go zauważył i pewnego razu wezwał Wieśka do siebie, aby zlecić mu przesłuchanie dwóch osób, które zgłosiły się do Urzędu z ważnymi sprawami natury kontrwywiadowczej. Wiesiek je przesłuchał, a spisaną notatkę przekazał osobiście zleceniodawcy. Nigdy jednak się nie dowiedział, jakie wrażenie odniósł przełożony o jego „dziele". Musiało być jednak pozytywne, co wykazała pewna sytuacja.

Mianowicie w latach pięćdziesiątych na Warszawę spadła plaga okradania sklepów i pracowników sklepowych odnoszących utargi dzienne do nocnych trezorów. Pewnego razu szef Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego na m. st. Warszawę, major Paszkowski zwołał naradę pracowników operacyjnych i powiedział mniej więcej tak: – Towarzysze, jak wiadomo, w stolicy panoszą się grupy zło-

dziejskie okradające sklepy, terroryzując bronią palną ich załogi. Na polecenie kierownictwa resortu musimy się włączyć do pomocy milicji, celem przerwania tego złodziejskiego procederu – dywersji gospodarczej, co niewątpliwie ujemnie wpływa na nastroje społeczeństwa stolicy od strony zaufania politycznego do władzy. Proszę iść na obiad, a na godzinę siedemnastą każdy z was zamelduje się u kierownika wyznaczonego sklepu i w porozumieniu z nim zajmie ukrytą pozycję celem obserwacji kupujących.

Po naradzie wszyscy pracownicy operacyjni udali się do domów. Wiesiek wyszedł z Pałacu Mostowskich i na przystanku u zbiegu ulic Świerczewskiego i Nowotki wskoczył na przedni pomost odjeżdżającego już tramwaju linii 26, mając na to odpowiedni bilet, a więc jak najbardziej legalnie. Milicjanci byli jednak innego zdania i zgodnie ze swoim blacharskim widzimisię zażądali, aby Wiesiek opuścił tramwaj, mimo, że ten już był w pełnym biegu. – Panowie – powiedział po cichu – ja mam bilet upoważniający mnie do wsiadania każdym pomostem i o każdej porze dnia i nocy. O, popatrzcie – pokazał.

Funkcjonariusze MO trzymali się raz powziętej decyzji odnośnie „intruza" i na przystanku przy ul. Żelaznej próbowali go wypchnąć z tramwaju. Aby ratować sytuację Wiesiek szepnął, że jest z UB i jedzie służbowo. Gdy milicjanci to usłyszeli zaczęli krzyczeć na cały głos, aby ludzie słyszeli jak oni ubliżają nie tylko wywiadowcy, ale całemu aparatowi. Wreszcie przy ul. Okopowej, bo do tego komisariatu jechali, wysadzili Wieśka siłą z tramwaju i poprowadzili ze sobą. Idąc chodnikiem Wiesiek okazał legitymację i powiedział, że zachowali się niczym dzikusy wobec pracownika pokrewnej instytucji i nastraszył, że będzie pisał raport, gdyż swoim zachowaniem przerwali mu czynność służbową.

Blacharze puścili go, ale zamiast niego oni od razu napisali raport, obsmarowując go od chuliganów, co było wówczas modne i okładając niewybrednymi, jak przystało na podwarszawskich cwaniaków epitetami, które miały przekonać majora Paszkowskiego, jakim to okropnym osobnikiem jest jego podwładny.

Wiesiek już na obiad nie pojechał, bo spóźniłby się na wyznaczoną godzinę do przydzielonego mu sklepu, więc wrócił do Urzędu. Na korytarzu spotkał go szef i pyta: – Co, już po obiedzie?

– Nie, towarzyszu szefie, nie pojechałem, to znaczy nie dojechałem do domu, ponieważ milicjanci mnie wysadzili z tramwaju za to, że wszedłem przednim pomostem – odpowiedział zdenerwowany wywiadowca.

– Dobra, idźcie do pokoju i zaraz napiszcie raport o zajściu.

Wiesiek już jednak nie miał czasu na napisanie tego raportu, bo trzeba było jechać na ul. Kijowską do sklepu obuwniczego. Skończyło się tym, że w odpowiedzi na swój raport milicjanci otrzymali po siedem dni aresztu każdy, a Wiesiek cieszył się, że jednak ma zaufanie u szefa.

* * *

Wiesiek otrzymał nową szafę i część biurka w pokoju dotychczas zajmowanym tylko przez Ludwika i Bronka. Ludwik z miejsca nabrał do Wieśka zaufania i polubił go. Kiedyś, pod nieobecność Bronka, uprzedził, by się wystrzegał gdyż ten Wieśka nie lubi, a jest chętnym donosicielem. – Uważaj – dodał, – gdyż Bronek jest wrednym facetem. Jeżeli będziesz trzymać język za zębami to coś ci powiem.

– Nie wierzysz mi?

– Wierzę, ale to jest wiadomość specjalnego znaczenia i jeżeli mnie zdradzisz, będę pokutował za długi język.

– To lepiej nie mów, ale chciałbym wiedzieć z kim pracuję.

– Właśnie, musisz wiedzieć z kim pracujesz po to, aby być ostrożnym. Kierownictwo posiada dokument świadczący o tym, że nasz kolega pracował w niemieckiej policji. Teraz on wszystko robi, aby się przypodobać. Kiedyś pokażę ci jego zdjęcie, a sam zobaczysz...

– Dlaczego więc nie dobiera mu się do skóry?

– Właśnie, że się mu dobiera. Ale on zaprzecza, mówi, że do policji wstąpił na polecenie ruchu oporu, lecz jakoś nie bardzo może sprecyzować jaki to był ruch oporu i przez kogo imiennie był skierowany do policji. „Spece" już się kręcą koło niego, a co będzie – zobaczymy.

Po pewnym czasie atmosfera w wydziale zaczęła być jakaś zagęszczona. I to bodaj ze względu na różne poziomy intelektualne i różne zaszłości, co powodowało też odmienne poglądy na istniejącą sytuację. Kiedyś w dyskusji Wiesiek na ułamek milimetra wyraził się krytycznie o prezydencie Bolesławie Bierucie, a już gotów był go zjeść jeden z wywiadowców. W tym momencie jego zacietrzewienie, na pewno wynikające z sugestii Bronka, chwilowo zgaszono. Ale kto da gwarancję, że ten siusiek nie pobiegł do Komitetu Zakładowego PZPR i nabrechał?

Najbardziej wykrystalizowała się opinia wówczas, gdy stanęła sprawa przydziału Wieśkowi mieszkania. Ludwik wszystko robił, aby jak najszybciej to mieszkanie miał, a Bronek i półanalfabeta Czesław Pawłowski stawali przeciw, argumentując, że Wiesiek krótko pracuje. I wiadomo, nie omieszkali użyć wyświechtanych frazesów, że socjalizm jest ustrojem sprawiedliwym i tego winno się przestrzegać. – Nie martw się – pocieszał Ludwik, – ale musisz pracować bez zarzutów, żeby ci „specjaliści" z Bożej łaski nie mieli do czego się przyczepić.

Któregoś razu, widocznie w celu przekonania się o roztropności nowo przyjętego towarzysza, kierownik sekcji realizacji, wspomniany Czesław Pawłowski, zaprosił go pod jakimś pretekstem do swojego pokoju i „uciął" gadkę: – Ty chyba jesteś Ukraińcem, bo masz jakieś takie białoruskie nazwisko?

– Tak, jestem Białorusinem.

– O, znam was dobrze, jakie jesteście ciemne. Kiedy w dwudziestym roku byliśmy na Białorusi, aby was przyłączyć do Korony, tośmy się przekonali o waszej kulturze – uśmiechnął się szyderczo. – Najśmieszniejsze było to, kiedy paliły się wasze słomiane chałupki. Baby biegały z obrazami naobkoło pożaru, modląc się, żeby ogień zgasł. Hi, hi, hi jakaż to głupota – śmiał się. – Zamiast strzechę polewać wodą, a ściany rozrywać bosakami, wasze ludzie miotały się i nie wiedzieli co robić, a my za brzuchy trzymając się pękały ze śmiechu. Jeszcze powiem ci i to – rozochocił się Cz. P., widząc zdziwienie chłopca, – że tchórzami też jesteśta. Jednego razu złapałem na

ulicy prawie równego sobie wzrostem i tuszą chłopa w łapciach i pytam: – Skąd i dokąd idziesz. A ten nic, jeno milczy. To ja go przyprowadziłem do słupa, oparłem i mówię: – Powiedz gdzie byłeś, bo dostaniesz w mordę. A ten jakby nie do niego. Wtedy ja się zamachnął, a ten łbem o słup, aż mu odskoczył. Ja wtedy znowu po ryle i on ponownie w słup. Mówię ci, można było skonać z tej jeich głupoty...

Wiesiek nie życzył sobie podobnych oszczerstw pod adresem Białorusinów i po prostu opuścił pokój faceta, któremu nie wiadomo dlaczego zebrało się na podobne wynurzenia. Nikomu nigdy nic nie wspominał, ale sam się zamyślił nad zasłyszanym. Markotnie mu się zrobiło, że wielu Polaków pozostaje takimi, jak ten tu Cz. P., wśród których musi jakoś egzystować. Dobrze jednak, że są i tacy jak Lutek, teściowie i inni. Jego teść też nazywał się Cz. P., ale bardzo Wieśka lubił i nie wyśmiewał jego rodaków. Po roku od tamtej rozmowy przemądrzały Cz. P. z kierownika sekcji realizacji „awansował" na sztaniarza w Grand Hotelu.

* * *

Dzięki staraniom Ludwika, Wiesiek otrzymał mieszkanie, wspólnie z rodziną milicyjną i kawalerem, chyba też pracującym w MO, ale zawsze ubranym po cywilnemu. Wszyscy mieli po jednym pokoju i wspólną kuchnię.

Tak więc Wiesiek z żoną i córeczką zamieszkali z zupełnie obcymi ludźmi, mając jednak poczucie pewnego komfortu. Cieszyli się z ładnego pokoju oraz kuchni i łazienki z gazem. Sprawa tylko w tym, że nikt nie umiał uruchomić zainstalowanego piecyka wieloczerpalnego. Wszyscy byli ze wsi, oprócz Broni, w której dotychczasowym mieszkaniu też nie było urządzeń gazowych. Nikt jednak nawet nie przyznał się, iż coś podobnego widzi po raz pierwszy w życiu.

Najgłupszym, a ten zawsze jest najciekawszym, okazał się... Wiesiek. Domyślił się, że skoro to coś jest zainstalowane w łazience i to jeszcze nad wanną, więc jest to urządzenie do grzania wody by się wykąpać. Zaczął studiować umowne znaki narysowane na obu-

dowie tego, na pewno potrzebnego urządzenia. Na lewo od wycięcia na wajchę był narysowany płomień świecy, a na prawo duża czarna kropka. Zaczął ruszać wajchą, przesuwając ją w lewo i spodziewając się zapłonu, a tu nic. W lewo – też nic, ale domyślał się, że wajcha przesunięta do kropki powoduje zgaśnięcie płomienia. Tak wajchował, wajchował, a ognia nie było. Woda z kranu wciąż płynęła. Wtedy zapalił zapałkę i chciał wsadzić ją w szparę, po której poruszała się rączka, zwana przez niego wajchą. Coś huknęło, a Wiesiek znalazł się w przedpokoju, nie wiedząc co się stało. Wstał, podszedł do piecyka i z przerażeniem zobaczył, że ten wisi zaledwie na jednym haku. Wyrwało. Ucieszył się, że piecyk nie spadł. Tak się nauczył obchodzić z piecykiem wieloczerpalnym ku uciesze własnej i żony.

* * *

Nadszedł trzydziesty pierwszy grudnia. Społeczeństwo stolicy szykowało się do balów sylwestrowych. W Politechnice Warszawskiej przygotowywano bal dla najwyższego kierownictwa partii i rządu. Wiadomo było, że w zabawie tej wezmą udział takie osobistości jak Bolesław Bierut, Józef Cyrankiewicz i wielu innych z tego otoczenia. Urząd Bezpieczeństwa na m. st. Warszawę otrzymał zadanie zabezpieczenia gmachu Politechniki przed ewentualną dywersją. W grupie wyznaczonej do tego celu znalazł się też Wiesiek. Wspólnie z saperami, szczegółowo sprawdzano metr po mitrze wszystkie pomieszczenia gmachu, wszystkie zakamarki w pobliżu gmachu Politechniki i zabezpieczono je, aby nikt niczego nie mógł podłożyć już po sprawdzeniu. Zajęło to cały dzień, ale za to przyjechał do Politechniki naczelnik wydziału kapitan Gapis i poinformował, że wszyscy ci, którzy brali udział w przygotowaniu gmachu do bezpiecznej zabawy, zostali wraz z żonami zaproszeni przez prezydenta Rzeczypospolitej, towarzysza Bieruta na bal.

Wojsko, wiadomo, po skończeniu morderczej pracy pomaszerowało do koszar, a grupa pracowników UB chętnie, a nawet skwapliwie z zaproszenia skorzystała. Wiesiek w życiu nie był na tego rodzaju zabawie, która aż balem się zwie, a tym bardziej w Politechnice

Warszawskiej i w dodatku w towarzystwie najwyższych władz państwowych. Wpadł do domu z takim impetem, jak gdyby goniło go sto rozwścieczonych burków i nie patrząc na to, że burczy mu w żołądku, od progu krzyknął: – Broniu, ubieraj się jak najpiękniej, bo jesteśmy zaproszeni przez samego prezydenta Bieruta na bal sylwestrowy!

A Bronia, zamiast wykazać zrozumienie i podzielić radość męża, bo też nigdy na podobnym balu nie była, wyzwała go od skurwysynów, że ją zdradza i narobiła takiego rejwachu, że mu się odechciało żyć, a nie tylko iść na bal sylwestrowy i oglądać, jak ludzie się radują życiem i sobą wzajemnie. Poczerniało chłopakowi w oczach i w końcu ostatecznie zrozumiał, że zawiązał sobie świat na zawsze. Rozżalony, że chciał dobrze, a wyszło na to, iż żona uwierzyła sąsiadce z pokoju: – Pani jeżeli chłopa nie ma cały dzień, ani na obiad, to gdzie on ma być? Ani chybił ma kochankę.

Płakać mu się chciało, że wszyscy normalni ludzie, jego współpracownicy pójdą na bal, a on może już nigdy takiej okazji nie będzie miał, by się pobawić w wielkim świecie i popatrzeć na ludzi nieprzeciętnych. Roztrzęsiony za przypięte mu epitety i świadom życiowej wpadki, położył się spać bez kolacji, z płaczącym sercem – Boże, za co mnie przez całe życie karzesz?

Długo nie mógł zasnąć z powodu doznanej krzywdy, jak od macochy i oczyma wyobraźni widział tłum bawiących się ludzi z roześmianymi twarzami, kochającymi się i życzącymi sobie wszystkiego najlepszego. Gdyby był roztropniejszy, to tak by się nie męczył, poszedłby na bal sam i przyłączył do któregoś z małżeństw, albo pojechałby na Sadybę do kochającej go teściowej i miałby przyjemność choć jeden wieczór pobyć z ukochaną córeczką, którą opiekowała się przez jakiś czas babcia. Ale zawsze był ciapą, bo myślał, że ktoś go zrozumie, że ktoś pożałuje. To już tak od dzieciństwa.

Po Nocy Sylwestrowej, jak zresztą i przed nią praca w resorcie bezpieczeństwa publicznego toczyła się wartko, ponieważ w Warszawie, jak i w jej okolicach pozostawało wciąż sporo pracy. Oprócz rozpracowań operacyjnych prowadzono rozpoznanie środowisk i orga-

nizowano zasadzki w mieszkaniach, w których według danych agenturalnych, odbywały się zebrania reakcyjnego podziemia oraz w tych mieszkaniach, z których w tajny sposób znikał działacz podziemia, będąc doprowadzonym do budynku UB. Tam spodziewano się wyłapania kontaktów, dlatego organizowano zasadzki w mieszkaniach ludzi podejrzanych lub zatrzymanych. Niezależnie od powyższego, pracownicy oficjalni przeprowadzali wywiady na zlecenie innych jednostek i brali udział w prowadzonych obserwacjach za obiektami pozostającymi w zainteresowaniu innych jednostek operacyjnych. Żeby się zbytnio nie rozwodzić nad wyliczaniem obowiązków wystarczy powiedzieć, że wielu byłych pracowników, szczególnie tych zdyscyplinowanych i tych, co to od pierwszego wejrzenia zakochali się we władzy ludowej, nie wiedziało jak rosną ich dzieci. Z tego powodu było wiele rozczarowań, zawodów, rozwodów i rodzinnych tragedii.

Najgorszą zarazą były zasadzki. Dobrze, jeżeli w ciągu kilku dni w zasadzkę nikt nie wpadł. Ale czyż może tak być, że w ciągu kilku dni nikt nie „wpadnie" do domu? Bywało, że uzbiera się aż kilka osób nawzajem nie znających się. Wtedy choć bierz i płacz. Nikogo nie wolno wypuścić w obawie, że pobiegnie i uprzedzi kogo trzeba, by nie wchodził pod wskazany adres. Niebagatelną sprawą było i to, że ludzie żyjący muszą załatwiać potrzeby fizjologiczne. Jeżeli w mieszkaniu była ubikacja to nie ma o czym mówić, ale przeważnie bywało tak, iż ubikacje znajdowały się w podwórzu. Przynoszono do chaty wiadra i tylko smród po izbie buszował. Starsze panie niejednokrotnie mdlały lub udawały, że mdleją, a wywiadowcy nie mieli możliwości wezwania karetki pogotowia. Trafiały się też matki karmiące, które przychodziły na chwilę, aby coś załatwić i wsiąkały. Od tych pobierało się zobowiązanie o zachowaniu tajemnicy i puszczano, nawet wiedząc, iż tajemnica może być zdradzona i zasadzka spali na panewce. Ale innego wyjścia wywiadowcy nie widzieli, a nawet takie sprawy puszczali przez palce – co będzie to będzie. Chodziło tylko o to, żeby ktoś z nich nie doniósł na drugiego.

Kiedyś we Włochach urządzono zasadzkę w tak brudnej melinie, iż Wiesiek był prawie „wniebozwięty", ponieważ czuł się tak jak

w dzieciństwie przy macosze. Będąc świadom sytuacji, wybrał sobie miejsce siedzące na gołym krześle, przy gołym stole. Inni wywiadowcy, jak i zatrzymani ludzie gnieździli się gdzie popadło, a więc i na łóżku z betami bodaj nigdy nie pranymi. Dwie kobiety siedząc w łóżku zupełnie bezceremonialnie iskały sobie nawzajem włosy, wyszukując wszy, a inni temu się przyglądali i nic sobie z tego nie robili. Wiesiek nie mógł przełykać śliny. Może inni też, ale jakoś tak im się udawało zachować pozory, że nawet taki bystrooki wywiadowca jak Wiesiek niczego nie dostrzegł. Na noc też ze „swojego" krzesła nie ustąpił. Gdy zadrzemał położywszy głowę na dłoniach opartych o blat stołu, poczuł we śnie, iż jest chyba cięty przez jakąś swołocz, bo go zaswędziało czoło. Dotknął miejsca swędzącego i... złapał wesz. Przeraził się, że będzie oblężony przez już dawno nie widziane stworzenia, a to spowoduje i to, że żona będzie się awanturowała za amory z jakimiś „wszawymi kurwami". Ale nie, po wysłuchaniu pomogła nawet doprowadzić ubiór i ciało do odwszenia.

Zdarzały się zasadzki, że daj Boże każdemu przyjacielowi, jak w jednej z kampinoskich wsi czy kolonii, gdzie można było siedzieć miesiącami. Domownicy, w tym młoda kobieta byli ludźmi kulturalnymi, przyjemnymi i gościnnymi. Chyba dopiero tam Wiesiek spróbował prawdziwej czarnej kawy. Albo w zasadzkach, gdzie były młode dziewczęta. Im było plwać na tych czy owych, one polityka się nie interesowały, ale młodymi i przystojnymi wywiadowcami nawet bardzo.

Dzisiaj, starszy człowiek, w którego opowiadania nikt nie wierzy, powiedziałby – wszelak bywało, bo takie jest życie, lecz być człowiekiem zawsze trzeba, choć nie zawsze sprzyja temu sytuacja.

Kiedyś, w czasie zasadzki w Rembertowie, wpadł w nią jakiś mężczyzna w wieku lat pod czterdzieści. Z początku był nieufny, mrukliwy i zły. Nigdy nie był w takiej sytuacji i nie zdawał sobie sprawy, co ci ubecy mogą z nim zrobić. Szczególnie podejrzliwie spoglądał na Wieśka, ale co komu do tego, jak się kto zachowuje, byle był posłuszny i nie robił głupstw. Raptem wieczorem, kiedy już oswoił się z sytuacją, zadał wywiadowcom pytanie: – Co wy tu robicie i po co zatrzymujecie ludzi?

– A, to już nasza sprawa! – odpowiedział stary konspirator, warszawiak z krwi i kości.

– Pewnie, że wasza. I nie pytałbym co wy tu robicie, gdyby nie pan profesor, którego tu widzę – pokazał właśnie na Wieśka.

– Ja, profesor? – zdziwił się Wiesiek. – Skąd panu to przyszło do głowy?

– A to heca! Przecież pan uczy moje dzieci, a ja od czasu do czasu chodzę na wywiadówki.

– Nie przypuszczałem, żeby pan aż tak często chodził na wywiadówki...

– Chodzę tak często jak tego wymaga sytuacja – przerwał zatrzymany.

Stare wygi chichotali i mrugając do Wieśka mówili: – No, co się zapierasz, że jesteś nauczycielem? A to, że przeszedłeś pracować do nas to tylko dlatego, że u nas lepiej płacą, nieprawdaż?

– No właśnie – znowu wtrącił swe zdanie obcy. – Ja też myślę, że nic złego w tym nie ma, że pan profesor przeszedł z nauczyciela na wywiadowcę. Tylko dlaczego pan się tego wypiera przed nami, mieszkańcami Rembertowa?

Wiesiek nie wiedział, jak się zachować – żartować czy wyprowadzić faceta z błędu. Ale w sukurs Wieśkowi przyszedł sam zatrzymany. Poprosił najstarszego z grupy, właśnie tego starego warszawiaka, aby poszedł z nim do kuchni na słówko. Po jakimś kwadransie zatrzymany wrócił do pokoju, a wywiadowca nie wiedzieć dlaczego poszedł do miasta, skąd wrócił po kilkunastu minutach z legendą, że musiał zadzwonić do szefa czy mają jeszcze siedzieć.

Nad ranem przyjechali do Rembertowa dwaj oficerowie z tak zwanego „speca" i zabrali Wieśka do Pałacu Mostowskich dla wyjaśnienia pewnej sprawy. Po przesłuchaniu przyznali, że ma szczęście, iż nie pokrywa się zeznanie zatrzymanego, bo by przez jakiś czas miał kłopoty.

– A o co tu chodzi? – zapytał Wiesiek. – Ja przecież tego zatrzymanego nigdy na oczy nie widziałem.

– Tak, ale on Heniowi powiedział i przyrzekł, żeś mu przekazał informację o mającym nastąpić aresztowaniu i o zasadzce.

– Ale ja i o aresztowaniu nic nie wiedziałem.

– Tak, ale ten sukinsyn ma jakąś pretensję do nauczyciela, który uczy jego dzieci. On jest inżynierem, czym zabłysnął Heniowi, a ten od razu do nas. Tym razem jednak krzywdy ci nie zrobimy, bo wszystko szybko się wyjaśniło. Bieda tylko, że Henio będzie się ciebie wstydził. Musisz mu jednak wybaczyć, bo u nas czujność obowiązuje wszystkich. Tym bardziej, że jesteś z innej jednostki, a Henio z III Wydziału. Nie przejmuj się, – życie przed tobą, zrobisz jeszcze niejedno głupstwo, jako i my robimy. Były i takie zasadzki, że wywiadowcy z zatrzymanymi młodymi ludźmi w chowanego i w ciuciubabkę się bawili.

Któregoś razu, prowadząc rozpoznanie w Rembertowie, Wiesiek natknął się na panią Szymańską, która w czasie okupacji udzielała schronienia samemu Kazimierzowi Mijalowi. Pokazywała skrytki w drzwiach, w których K. Mijal przechowywał pistolet i opowiadała o jego zaangażowaniu w walce z okupantem o Polskę Socjalistyczną. Pani Szymańska utkwiła w pamięci Wieśkowi dlatego, że bardzo entuzjastycznie opowiadała o K. Mijalu i była wdzięczna losowi, iż ten ją zetknął z tym komunistycznym konspiratorem i bojownikiem o Polskę Ludu Pracującego. Częstowała Wieśka herbatą i cieszyła się, że może z kimś tak szczerze porozmawiać, ponieważ Wiesiek okazał się wdzięcznym słuchaczem, chłonąc relację sympatycznej starszej pani o człowieku z górnej półki działaczy konspiracyjnych w czasie szalejącego terroru niemieckiego.

Wieśka ta praca interesowała o tyle, że trzeba było gdzieś pracować, aby zapewnić egzystencję rodzinie i sobie. Był młody, przystojny, ale skrzywdzony przez los, który zabrał mu matkę, a „wynagrodził" macochą. Jej nieustanny fizyczny i moralny terror przyniósł na przyszłość takie wyniki, że Wiesiek nigdy nie był pewien tego co wykonywał i nigdy nie śmiał eksponować swego zdania. Tak i teraz. Wiedział, że ma wykonywać rozkazy i zadania przełożonych, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że nie wykonuje tego czego go uczy-

li w szkole we Wrocławiu. Zamiast organizować pracę kontrwywiadowczą i w wybujałym uniesieniu czekać na dopływ informacji agenturalnych o pojawieniu się agenta obcego wywiadu w tym czy innym przedsiębiorstwie lub w pobliżu jednostek wojskowych czy zakładów specjalnych. Temu zagadnieniu poświęcał akurat najmniej czasu. Sytuacja w kraju powodowała, iż zamiast tego (rozumowanie Wieśka) trzeba było wykonywać zajęcia mniej korzystne i nieefektowne, chociaż nie mniej niebezpieczne.

Od pewnego czasu jedna z prokuratorek otrzymywała anonimy z pogróżkami o morderstwie. Kierownictwo UBP na m. st. Warszawę „przypięło" Wieśka do zagrożonej, by ją uratować od śmierci czy ewentualnego pobicia. Rola jego polegała na tym, że rano, samochodem Wydziału „A" odwoził ją do pracy, a po południu – z pracy do domu. Kiedy zaś pani prokurator musiała brać udział w naradach organizowanych dla prokuratorów, sesjach natury tematycznej czy innych przedsięwzięciach, w których musiała czy chciała być obecna, to wówczas Wiesiek musiał jej towarzyszyć. Przed znajomymi kolegami pani prokurator kamuflowała Wieśka jako bratanka, a on się starał nie odzywać, by nie wzbudzić podejrzenia swoim akcentem. Gdy podawano mu rękę mamrotał coś na kształt nazwiska, ale niewyraźnie, żeby nie podpaść i nie zrobić niedźwiedziej przysługi swojej podopiecznej. Ona czasami spoglądała na Wieśka z lekkim uśmiechem, lecz nic nie mówiła, a on nie wiedział czy nie popełnił gafy. Wśród prokuratorów oglądających po kolei przez mikroskop jakieś żyjątka czuł się najgorzej, bo to diabelstwo po obejrzeniu mikroskopijnych stworków dzieliło się uwagami między sobą, a Wiesiek przecież nie mógł powiedzieć, że coś podobnego widzi po raz pierwszy.

Jednak ta „opieka" nad panią prokurator nie trwała długo ponieważ była ona osobą samotną. Wiesiek nie mógł oczywiście nocować u samotnej kobiety z kilku powodów. Przydzielono więc prokuratorce wywiadowczynię Marysię, a jemu polecono zająć się Muzeum Narodowym i Muzeum im. Lenina, gdyż właśnie w tych obiektach kultury pojawiły się wrogie napisy i zostały uszkodzone niektóre eks-

ponaty, mimo, że w jednym jak i w drugim muzeum w salach przebywali etatowi dozorcy.

Po Muzeum im. Lenina oprowadzali zwiedzających studenci Uniwersytetu Warszawskiego. Wśród nich była studentka o imieniu Basia. Spotykali się rano, przed otwarciem muzeum i chętnie ze sobą rozmawiali. Ona wiedząc, że Wiesiek jest ze wschodu, próbowała doń mówić po rosyjsku, aby się wprawiać, a on po polsku pisał jej wierszyki. Widać było, że oboje przypadli sobie do gustu, ale Wiesiek był lojalny wobec żony i nigdy niczego Basi nie sugerował. Nigdy nie umówili się nawet na kawę. Zresztą, on nigdy nie był niczego pewny, pamiętając, że jest „ni do Boga, ni do ludzi".

Ten stan trwał też niedługo, ponieważ przed wyborami do Sejmu i w czasie wyborów było tyle pracy oprócz oglądania muzeów, że pracownicy UBP w domu byli zaledwie gośćmi, zaś w czasie bezpośrednio przyległym do wyborów Wiesiek przez 84 godziny dyżurował przy telefonie w gabinecie naczelnika. W poniedziałek rano po wyborach, wymęczony, niewyspany i głodny, pojechał do Muzeum Narodowego, gdzie znowu ktoś nabroił. Spenetrował wszystkie zakamarki w poszukiwaniu ewentualnego złoczyńcy, który mógł gdzieś się „zaszyć", a po zamknięciu wywrócić wszystko do góry nogami. W jednym z zakamarków znalazł kochającą się parę pracowników tej placówki. Poprosił mężczyznę do pokoiku, spisał protokół, ale nie zrobił z niego żadnego użytku, gdyż mężczyzna bardzo go prosił o nie nadawanie biegu i rozgłosu temu wydarzeniu. – Kochamy się od dawna, – mówił, – ale nie mamy warunków do tego rodzaju przyjemności. Osobiście nawet nie wiedziałem, – przyznał, – że w Muzeum istnieje wasza komórka. Wiesiek zapewnił go, że nikt się o tym nie dowie i jednocześnie poprosił, aby też zwracał uwagę na podejrzanych zwiedzających, którzy mażą ściany wrogimi napisami. Ten obiecał i poszedł do swojego gabinetu, a Wiesiek zadowolony z „sukcesu", powlókł się do domu, żeby się wykąpać i najeść.

Wiesiek nigdy chytrością nie grzeszył, a zatem nie pracował dla pochwał czy nagród, jak inni cwaniacy. Po spisaniu „protokołu" brzydko zatemperowanym ołówkiem, opuścił gmach muzeum,

a po 15-20 minutach po tym przyszli do niego w odwiedziny kapitan Gapis i porucznik Rutkowski. Może porozmawiać i wytypować do dyplomu uznania za aktywny udział w wyborach lub od kogoś z portierów dostali cynk o wyjściu wywiadowcy z muzeum. Inny szef zaraz by ukarał dyscyplinarnie albo postawiłby sprawę na partyjnym zebraniu za samowolne opuszczenie powierzonego posterunku. Natomiast naczelnik wydziału nie dał dyplomu, ale i nie ukarał. Nawet nie zwrócił Wieśkowi najmniejszej uwagi. Nie tak jak major Romanowski w Legnicy.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że Wiesiek od 1945 roku cierpiał na straszny ból głowy. Zżył się z nim i nic nikomu nie mówił, gdyż myślał, że wszyscy tego doświadczają. Będąc we Wrocławiu, ktoś mu poradził, aby zamiast syczeć z powodu bólu zęba poszedł do dentysty. Wiesiek zlekceważył tę radę, pamiętając, że kiedyś, w dzieciństwie z powodu tego bólu właził pod prycze i gotów był pozwolić na wybicie wszystkich zębów. Płakał, tarzał się po podłodze, a rodzice chichotali, bo tak śmiesznie wyglądał. Potem ból ustał. Ząb jeszcze czasami pobolewał w wojsku, ale kto by na taką drobnostkę zwracał uwagę. Jednak na następny dzień Wiesiek skorzystał z rady kolegi i poszedł do lekarza. Do dziś pamięta, jak lekarka obejrzała przedmiot dokuczliwości i orzekła, że trzeba usuwać. Wiesiek się pocił ze strachu, ale wyjścia miał tylko dwa: cierpieć lub usunąć ząb. Wyrwała i zdziwiła się: – Pan ma końskie zdrowie, skoro mógł w takim stanie żyć latami. Coś mówiła o jakimś czy jakiejś torbieli, ale on się na tym nie znał i nie pytał co to takiego. Zacisnął tampon zębami, jak pani doktor kazała i poszedł do koszar.

Teraz, w czasie bytności w Muzeum Narodowym, pani Żmijewska ni stąd ni zowąd pewnego razu w rozmowie zapytała czy nie cierpi na ból głowy. Wiesiek przyznał się i poskarżył, że nie wie co to oznacza brak bólu. Pani Żmijewska obiecała pomoc i rzeczywiście po paru dniach powiedziała gdzie ma się zgłosić do profesora. Badano chorego różnymi aparatami, jakimiś przewodami umieszczonymi na głowie i prześwietleniami. Po tym wszystkim profesor dokonał oględzin gardła, nosa i zewnętrznej powierzchni głowy.

– Oprócz śladów kamieni na czaszce – powiedział, – z pana głową jest wszystko w porządku. Ból głowy jest spowodowany czymś innym prawdopodobnie, co ma swoją genezę w przeżyciach. Czy dobre miał pan dzieciństwo? – zapytał. – A, no właśnie. A jednak kiedyś to panu ustąpi, może po czterdziestu pięciu latach?

Wiesiek nie wiedział – profesor żartował czy prawdę powiedział, ale był wdzięczny zarówno pani Żmijewskiej za troskę i pomoc, jak i profesorowi, który raczył przebadać szczegółowo stan jego głowy i pocieszył, że oprócz blizn z lat dziecięcych i młodzieńczych, kiedy nikt mu nie żałował ani kamieni, ani kijów, nic tej głowie nie jest (inny na jego miejscu pewnie by się wykończył).

Wiesiek dopiero wchodził w życie miejskie ze wszystkimi jego konsekwencjami. Nie był więc aż tak okrzesany, aby umieć na każdym kroku zachować się według norm zakorzenionych u ludzi dobrze wychowanych i wykształconych. Może mu nie zawsze wychodziło jak należy to „dziękuję" czy „przepraszam", ale ludzie go tolerowali z sympatią. Może dlatego, że robił wrażenie kulturalnego i otwartego w rozmowie. Nie da się ukryć, że zdradzał go wschodni akcent mowy, ale warszawianie okazali się tolerancyjni. Może jeszcze i dlatego tolerancyjni, że w Warszawie skupiło się mnóstwo różnych regionów. Gorzej było, kiedy taki delikwent mówił akcentem niby Rosjanin, a legitymował się legitymacją Urzędu Bezpieczeństwa. Niektórzy wręcz pytali: – Co, pan przyjechał z Rosji? Ale inteligencja nigdy nie zdradziła się co o Wieśku myśli. Z tymi akcentam,i to przesada, bo Wiesiek oprócz wyraźnego „ł" wcale nie śledzikował, jak Polacy z Kresów Wschodnich.

* * *

Któregoś razu Ludwik zapytał Wieśka, jak mu się mieszka w „kołchozie". Wybidowany przez całe życie chłopak powiedział, że wspaniale. Ludwik zaśmiał się i powiedział: – Wiem, że na przeciw twojego życia we wsi, w tym mieszkaniu możesz się czuć dobrze. Ale wyobraź sobie mieszkanie samodzielne, gdzie będziesz tylko ty z żoną i dziećmi. Nikt obcy nie będzie ci się plątał pod nogami i zaglą-

dał w garnki. Przyjdź do mnie jutro, to coś ci pokażę. Tylko pamiętaj, przyjdź.

Gdy Wiesiek zaszedł do niego do domu – obaj mieszkali na tym samym osiedlu przy ul. Płockiej róg Górczewskiej – Ludwik podprowadził go do okna i pokazał: – O, widzisz ten nowo budujący się blok? To okno z lewej strony klatki schodowej na paterze możesz uważać za swoje. Otrzymasz je, gdy wykończą blok.

Wiesiek się ucieszył, ale że niejedną obiecankę w życiu miał bez pokrycia, nie uwierzył. Dla niego było to takie piękne, że aż nieprawdziwe. – Obiecanki cacanki, a głupiemu radość – przytoczyła małżonka wyświechtane powiedzonko, usłyszawszy nowinę.

Nie upłynęło wcale tak wiele czasu, bo nie więcej niż sześć-siedem miesięcy, gdy blok oddano do eksploatacji. Okazało się, że rzeczywiście Wiesiek w tym miejscu mieszkania nie otrzymał. Wcale tym się nie przejął, bo miał gdzie mieszkać, więc nic nikomu nie mówił, bo i nie uważał za stosowne mówić. Jak to? Co on takiego dobrego zrobił dla ojczyzny, żeby aż otrzymać mieszkanie? Ale Ludwik był innego zdania: – Bronek nie ma dzieci, a tylko z żoną zajmuje dwa pokoje z kuchnią i jeszcze narzeka, a ty masz dwoje dzieciaków i będziesz się gnieździł we wspólnym? Poza tym, sam wiesz, kim jest Bronek. A wiesz, że kiedy omawialiśmy sprawę mieszkań, ten palant był przeciw tobie? Nie przejmuj się, będzie mieszkanie.

W czasie kanikuły kierownictwo Urzędu odwołało z urlopu kwatermistrza i nakazało dać Wieśkowi mieszkanie – to, które było mu przeznaczone przez komisję kwalifikacyjną. Wkrótce Wiesiek z żoną w ciąży i córeczką wprowadził się do swojego, oddzielnego mieszkania, składającego się z dużego pokoju z dwoma oknami, dużej kuchni, przedpokoju i łazienki. Wszędzie świeżość, parkiet, białe kafelki w łazience i kuchni, piecyk gazowy w łazience i dwupalnikowy w kuchni. Później wstawili kuchenkę czteropalnikową. Radość, żyć nie umierać!

Bronia pracowała w Instytucie Techniki Budowlanej w laboratorium, niewiele zarabiała, gdyż nie miała nawet podstawowego wykształcenia, a Wiesiek też nie za bardzo na stanowisku referenta...

Gdyby chociaż był odpowiednio rozgarnięty, to zaoszczędziłby trochę grosza pracując w X Departamencie, a tak mieli tylko na jakie-takie utrzymanie. Ale oboje byli skromni, do czasu cieszyli się tym, co mają. Wiesiek rozpływał z radości i w każdej chwili był gotów oddać życie za socjalizm, który stworzył mu aż takie warunki. To było niemal rajem w porównaniu z jego życiem we wsi, którą ukochał bez wzajemności.

Już posiadali tapczan, szafę i okrągły stół z sześcioma krzesłami. Na dokupowanie mebli nie było gotówki, ale istniał system ratalny pod nazwą ORS. Wiesiek wziął w listopadzie urlop i poświęcił go na szukanie amerykanki, gdyż Bronia sobie tego zażyczyła. Znalazł dwóch żyrantów i wszystko jakoś załatwił. Było bardzo ciężko z załatwieniem kupna na raty, ponieważ dużo było jeżdżenia po Warszawie, ale wyszło. Najbliższy sklep meblowy był przy ul. Płockiej, a więc wygoda! Poszedł Wiesiek do kierowniczki tego sklepu i prosi o wymarzoną amerykankę. Miła pani odpowiada, że nie ma i nie wiadomo kiedy będą. Przyszedł do domu zmartwiony i powiedział Broni co i jak, a ta go „pocieszyła" apodyktycznym „Pokaż to!". Wiesiek podał jej plik papierów z pieczątkami i wekslami, a Bronia... podarła to wszystko w drobny mak. Niemal z płaczem, że tyle się nachodził i najeździł oraz z przerażeniem, iż drugi raz może mu nikt nie zechce żyrować, ukląkł i pozbierał najmniejsze skrameteczki dokumentów, zebrał to wszystko do gazety i ponownie poszedł do sklepu po radę, co ma z tym wszystkim zrobić.

Kierowniczka popatrzyła na chłopaka i zapytała: – Co się stało? Pan wygląda jak starzec przed zawałem. Usłyszawszy o zaistniałym zapłakała i obiecała, że pierwszą amerykankę, którą dostanie sprzeda jemu. – A te szpargałki zaraz posortujemy i nakleimy na arkusze biurowego papieru – powiedziała, śmiejąc się przez łzy – Schowamy do szafy i będziemy czekać na towar. Niech się pan nie martwi, zaraz będziemy kleić, tylko wezmę klej, bo i tak mebli nie ma... Kleili nie rozmawiając i trudno by było wróżyć o czym każde z nich myślało. Po jakimś czasie przyszły te nieszczęsne amerykanki i Wiesiek rzeczywiście otrzymał pierwszą. Nie było uciechy, nie było przeprosin, bo to już nie to, co miało być.

* * *

27 listopada urodziła się druga córeczka Iwonka, która ponownie wniosła w małżeństwo radość, szczęście i dumę. Oboje tego dzieciaka wyrywali sobie z rąk. Obie córki były pieszczone, z tym tylko, że Anusia już dobrze chodziła i umiała sama się bawić, a tego niemowlaka trzeba było nosić na rękach lub bawić w łóżeczku. Charaktery dzieci były zupełnie odmienne, chociaż urodą mało się różniły. Anusia, gdy tylko nauczyła się mówić, wszystko powtarzała za rodzicami jak papuga, a gdy jechała tramwajem z ojcem – kręciła się dookoła szukając liter i czytała: a-b-c-d, abcd. Ludzie mówili, że będzie świetną polonistką, a Wiesiek był dumny. Czasem panie zabierały od niego tego malucha i bawiły się, a Wiesiek odpoczywał, bo mu ręce mdlały od trzymania na rękach dobrze doglądniętego skarbu. W tramwaju i autobusie, którymi dojeżdżał z Woli na Sadybę, nikt nigdy nie ustąpił mu miejsca. Z tego powodu mógł nienawidzić warszawiaków, ale panie, które bawiły jego dzieci i cieszyły się przekazując jedna drugiej, koiły zarówno złość jak i niechęć do mieszkańców stolicy.

Później było to samo z Iwonką i ludźmi. Ale Iwonka siedziała spokojnie i bawiła się koralami czy innymi błyskotkami. Obie były bardzo fajne, lubiane nie tylko przez rodziców. Były grzeczne, spokojne i posłuszne. Z tym jednak, że Anusia była bardzo śmiała, mogła wszędzie wejść bez bojaźni, brać do rąk raki, żaby, węże. Przed niczym nie czuła respektu, a jednocześnie obie kochały wszystkie zwierzęta, co nie raz rodziców stawiało w niezręcznej sytuacji, gdy dziewczynki z płaczem przynosiły z ulicy biedne wychudzone i pokaleczone psy i koty, prosząc, aby je ratować. Trzeba było kupić własnego pieska, żeby się nim opiekowały, a nie obcymi.

Obie dziewczynki były bardzo dobrze dopatrzone przez mamę i wyglądały jak pączuszki. Ubrane jednakowo wzbudzały sympatię ludzi. Iwonka była niestety wielką nieudacznicą, zawsze coś jej się przytrafiało złego, co dziecku przynosiło ból, a rodzicom zmartwienie. Gdy miała osiem czy może dziewięć lat wszyscy pojechali na Wieśkową ojcowiznę i siódmego sierpnia poszli na odpust św. Anny

do Starego Kornina. Stamtąd Jawdola Borowik z mężem Jankiem zaprosili ich do siebie w gości. Starsi jedli zakrapiany obiad, a dzieci bawiły się na podwórzu. Nagle wizg. Wyglądają, a Iwonka ma rozharataną łydkę. Spadła z roweru i kółko werżnęło się w nogę. Telefonu we wsi Krywiatycze nie było, aby wezwać pogotowie, zresztą, nie wiadomo czy komuś to przyszłoby do głowy. Janek poradził, aby wziąć jego motocykl i jechać do Orli szukać lekarza.

Wiesiek nigdy nie jechał na motocyklu, chociaż kursy kierowców skończył. Posadził ledwo żywą córeczkę na siedzenie z tyłu i dawaj jakoś jechać. Za wsią motocykl stanął. Wiesiek nie wie o co mu chodzi. Wraca do Janka, aby poradził. Ten powiedział, że gaz był zamknięty. Odepchnął zacisk i motor „przemówił". Pojechał jakoś te cztery czy pięć kilometrów do Orli. Pyta przechodniów o lekarza, a ci odpowiadają, że w Orli nie ma żadnej przychodni ani lekarza. Trzeba jechać do Bielska. Ktoś jednak przypomniał, że jest lekarz na emeryturze, który może coś pomoże. Noga dziecku krwawi, a on jeździ po osadzie. Wreszcie znalazł tego lekarza. Pan doktor usprawiedliwia się, że nie ma żadnych narzędzi chirurgicznych, aby móc coś zrobić. Wiesiek prosi na miły Bóg. Doktor ulega i szybko bierze się za wygotowywanie tego co ma. Na żywo zakłada dziecku osiem klamerek. Iwonka płacze i sinieje. Jest bliska omdlenia czy śmierci – Wiesiek nie wie i chce żeby to wszystko się udało i skończyło. Lekarz obandażował nóżkę i polecił, aby za kilka dni pójść do przychodni lekarskiej w Dubiczach Cerkiewnych.

Jak teraz wrócić do domu gościnnego, gdy lunął deszcz i z wyschniętej gliny na drodze prowadzącej z Orli do Krywiatycz utworzyła się maź. Ale nic nie zrobisz, trzeba jechać. Motor i tak ślizgał się, że trudno było go utrzymać, a tu jeszcze jadące na przeciw furmanki z pijanymi woźnicami, wracającymi z gościny, którzy rechotali widząc motocyklistę i próbowali zepchnąć go ze ścieżki. Co będziesz krzyczał gdy ich wielu i każdemu tłumaczyć co się stało? Jechał Wiesiek, wymijając wesołków, breją ponad rowem. W pewnym momencie wywalił się do rowu, ale dzieciak nie wpadł razem z nim, bo zdążył zeskoczyć z siodełka. Wieśka szlag trafiał na to wszystko, ale

jednocześnie spostrzegł, że dziecku się zrobiło lżej, skoro potrafiło zeskoczyć z siodełka. Z biedą dojechali, ale już było po gościnie. Nawet nie poszli na zabawę, na której królował milicjant, zdaje się Stanisław Ryniejski z Supraśla, który zalał się na służbie niby przysłowiowa świnia i wciąż podkreślał, jaki to on bohater, że na oczach oficera ukarał mandatem jego kuzynkę za nieprawidłową jazdę rowerem.

Przez okres urlopu w Grabowcu noga podgoiła się, w przychodni w Dubiczach Cerkiewnych zdjęto szwy i do Warszawy wrócili z prawie wygojoną nóżką. Pomimo bolącej nogi Iwonka ani chwili nie pozostawała w pościeli. Całymi dniami biegała kulejąc z wiejskimi koleżankami i siostrą po pastwisku i ulicy. Kiedyś rozwścieczony buhaj gnał je aż do wrót wuja. Iwonka przesadziła je w ostatniej chwili. Na świniach i baranach jak Ania jeździła, bo już miała dosyć roweru. A jeszcze wcześniej, bo mając dwa latka, spadła z muru przy Pałacu Kultury i Nnauki przebijając drewnianym palem nogę. I też na żywo w pogotowiu usuwano jej z nóżki, z poszarpanej rany, drewniane szczepki na oczach ojca. Później złamała rękę, a potem jeszcze nogę. Taka to nieudacznica, a teraz wspaniały człowiek i matka.

* * *

W nowo otrzymanym mieszkaniu Wiesiek z Bronią nie mieli żadnych obrazków czy makatek upiększających lokum. Wiesiek oprawił więc w ramki wycięty z „Ogońka" kolorowy portret Stalina i powiesił na honorowym miejscu, lubując się, że zbliża się do ludzi kulturalnych, którzy znają się na malarstwie. Bronia też nie protestowała i sąsiedzi niczego nie mówili. Aż któregoś razu przyjechał w odwiedziny szwagier, Rysiek Jankowski. Zobaczył na ścianie portret i zapytał:
– Czy nie masz kogoś innego na ścianę, zamiast tego bandyty?!

Wiesiek wytrzeszczył oczy, że były pracownik więziennictwa w ten sposób nazywa wodza narodów, lecz nic nie odpowiedział. Po jakimś czasie w tych samych ramkach na miejscu Stalina znalazł się portret Puszkina. Też kolorowy. Przy drugiej wizycie Rysiek pochwalił szwagra: – O, teraz widzę porządnego człowieka. A to powiesił skurwysyna i jeszcze się cieszy.

Wiesiek nie dopytywał się, dlaczego Rysiek tak nazywa Stalina, którego wszyscy chwalą, ale nikomu o tym nie doniósł. Z początku myślał, że Rysiek nienawidzi Rosjan, ale kiedy ten pochwalił Puszkina, Wiesiek już nie rozumiał niczego. Osobiście był fanatykiem wszystkiego co rosyjskie, a szczególnie uwielbiał pieśni i poezję.

W latach pięćdziesiątych miał już „Pioniera" i gdy tylko miał czas słuchał Moskwy – na warszawskiej fali i bezpośrednio. Wówczas, w niedzielę o godzinie piętnastej Moskwa nadawała koncerty dla słuchaczy polskich. Fanatyk tych koncertów mógł być w lesie z rodziną, czy też na plaży nad Wisłą, a mimo to zdążał, aby się nie spóźnić na audycję. Żona nie protestowała, bo i sama polubiła te śpiewy, ale dzieci tego nie chciały rozumieć. Co jednak biedne miały zrobić, gdy ich ojciec miał fioła? Już od 1953 roku zaczął pisać listy do redakcji w Moskwie i prosić o piosenki. Bardzo często otrzymywał piosenki i listy – do dzisiaj ma ich całą teczkę. Nawet osobiście poznał w Moskwie Mikołaja Orłowa i Natalię Sierżantową, którą rozgniewał swoim impertynenckim zachowaniem. Mianowicie w czasie wizyty w rozgłośni wniósł do niej pretensję, że nie nadała mu takiej piosenki, o jaką prosił, zamiast, jako gość – podziękować za całokształt poświęconej mu uwagi przez tych ludzi. Gdy wychodził z gmachu przy ul. Piatnickiej 25, odprowadzał go redaktor Mikołaj Orłow. Rozmowa była serdeczna i przyjazna, ale Wiesiek czuł się „łyso", bo myślał, że Natasza się obraziła. Ale tak nie było.

A w pracy? W pracy nie było czasu na nudę. Zawsze coś się działo i trzeba było brać w tym udział. Teraz ten udział był bardziej konkretny. Jeżeli w wyniku operacyjnego rozpracowania ustalono, że człowiek czy grupa ludzi prowadzi działalność antypaństwową obojętnie jakim zabarwieniu, to się zatrzymywało się ich w miejscu zamieszkania lub „zdejmowało" po cichu, aby nikt nie widział. Wszystko zależało od tego, co z danym osobnikiem zamierzano zrobić – zwerbować go do współpracy czy sądzić.

Kiedyś, w zimową noc, nieopodal kawiarni „Telimena" został ustawiony czarny citroen, zwany przez wszystkich „cytrynką". Nikomu nie rzucał się w oczy, gdyż przed Prokuraturą Generalną

stało ich więcej. Z tym tylko, że „cytrynka” nie była pusta jak inne. Siedziała w niej i marzła grupa wywiadowców z przystojnym repatriantem z Francji na czele.

W tym samym czasie w kawiarni, którą bacznie obserwuje sam wieszcz Adam, stojąc na wysokości, bawili się ludzie. Było im ciepło, wesoło i syto. Beztrosko hulali w parach, grupami i pojedynczo, podrywając wolne kobiety. Młodzi wyznawali sobie dozgonną miłość, rozochoceni alkoholem, siedząc w zakątkach nieciekawi innych widoku. Panie najstarszej profesji mierzyły oczyma pląsających po parkiecie ich zdaniem „nadzianych” podtatusiałych panów, a inni podpiwszy przechwalali się przed nowo poznanymi kumplami swoimi osiągnięciami w pracy, w działalności politycznej i... konspiracyjnej, a jeszcze inni przyszli tylko po to, aby w „Telimenie” pozostawić „zaskórniaki”. Wszyscy oni jednak byli obojętni dla siedzących w „cytrynce”, których interesował jeden-jedyny człowiek z całego tego towarzystwa. Był on jednym z tych, którym się nie podobała władza ludowa i robił wszystko, by ją obalić, a na dodatek jeszcze się tym przechwalał. Dzisiaj jednak przyszła kryska na Matyska – zostanie zgarnięty przez obrońców władzy ludowej, a dalsze jego losy będą zależały od niego samego.

Wieczór strzałą mknął innym, a dłużył się niemiłosiernie drugim. Jedni w spokoju ducha pili gorzałkę i jedli schabowe z pieczarkami, a drudzy, obrońcy ładu i porządku w kraju, zapobiegający penetracji socjalistycznej ojczyzny przez obcą agenturę, marzli na zimnym powietrzu.

– Kiedy on wyjdzie, bo mnie już cholera bierze w tej gablocie! – odezwał się wywiadowca siedzący za kółkiem „cytrynki”.

– To wyjdź i sobie pobiegaj! – poradził mu starszy zmiany.

– Pobiegać jak pobiegać, ale do lokalu mógłbym wejść i czegoś gorącego się napić.

– To sobie wejdź, ale na własny koszt, bo naczelnik nie pozwolił wydawać pieniędzy operacyjnych. Zresztą, rzeczywiście możemy we dwóch korzystać z dobrodziejstw kawiarni, ale baczcie, żeby nam nie uciekł.

Wszyscy wyszli z samochodu – dwóch aby wejść do kawiarni, a dwóch rozprostować nogi. Ale w tym samym momencie wyszedł z kawiarni „obiekt" i skierował się wprost do grupy stojących mężczyzn. Podszedł i popisał się mową wiązaną: – Raz, dwa, trzy, cztery, cztery czarne charaktery. A że Wiesiek jest z natury wesołkiem więc od razu zareplikował: – A ten Hipek z Nowolipek jest czarniejszy od nas typek!

Wszyscy, łącznie ze zdezorientowanym „obiektem" wybuchli śmiechem, a ten zdegustowanie i chyba z przerażeniem zapytał: – Skąd pan mnie zna? Na to starszy zmiany, ten przystojny repatriant z Francji, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów, zapytał „nieznajomego": – Zapali pan?

– Owszem zapalę, chociaż już tak się nakopciłem, że jutro będę miał kaca tytoniowego zamiast alkoholowego.

– To może wsiądziemy do samochodu, bo pan jest spocony?

– A, mnie tam wszystko jedno, możemy i do samochodu. Grunt to kulturalne towarzystwo. W kawiarni z jakimiś przygodnymi dziwami przepuściłem zaskórniaki, to teraz sobie odpocznę. Chciały, żeby z nimi iść, ale ja mimo zalania pały pomyślałem sobie, że te kurwy, o, przepraszam – dzidzie, mogą mnie gdzieś zaprowadzić i wypuścić rano w kalesonach, albo i nagiego, dla śmiechu. A kto mi zagwarantuje, że te prostytuty, o, znowuż źle wyraziłem się o kobietach, nie pozarażane są jakim szankrem lub syfem, kto?

– No, chyba umknął pan temu, ewentualnemu nieszczęściu i jest pan w gronie przyjaciół – odezwał się ponownie „Francuz". – Niech pan wsiada, bo zimno.

Na tylnym siedzeniu zmieściło się trzech i na przednim dwóch. „Obiektowi" przypalono papierosa i „cytrynka" ruszyła. Podpity wróg władzy ludowej zaciągnął się papierosem zaledwie kilka razy, nie zdążył nawet się zorientować, gdzie jedzie, jak zaproponowano mu wysiadkę.

– Gdzie ja jestem? – rozglądając się po murach okalający placyk, zapytał nieco rozbawiony „obiekt", który nawet nie zauważył bramy, przez którą wpuszczał ich wartownik.

– Jest pan w Pałacu Mostowskich, panie Iksińsk! – zawiadomił go „Francuz”.

– Boże, alem głupi! – strzelił sobie dłonią w czoło zatrzymany. – Tak się dać wrobić!

* * *

Chyba wiosną 1952 roku Urząd Bezpieczeństwa Publicznego na miasto stołeczne Warszawę otrzymał zadanie zabezpieczenia trasy przejazdu pociągu wiozącego do Warszawy prezydenta NRD Wilhelma Piecka. Oficer odpowiadający za ochronę podległego mu odcinka torów pomiędzy Dworcem Zachodnim a Głównym, wyznaczył Wieśka do nastawni ostatniego odcinka jazdy z zadaniem: – Po przejechaniu parowozu pilota nie wolno nastawniczemu dotknąć żadnych urządzeń w nastawni. Odpowiadasz za to głową!

Wiesiek przyjął zadanie z przejęciem i honorem, bo to wszakże nie kawałek jakiegoś tam odcinka gołych torów, a nastawnia, gdzie będzie musiał reagować na poczynania może nawet wroga PRL, który zechce narobić hałasu na cały świat, że w Warszawie wysadzono pociąg z prezydentem Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Nastawniczy stale manipulował przy masie drążków i drutów. Jedne opuszczał inne podnosił, a Wiesiek przyglądał się i milczał, nie wtrącając się do niczego pomimo ciekawości. Służba. Aż wreszcie, po długim oczekiwaniu w napięciu, przemknął parowóz-pilot. Po przejeździe pilota nastawniczy rutynowo chwycił za drążek, aby coś wykonać, a Wiesiek, zgodnie z otrzymanym poleceniem krzyknął: – Proszę niczego nie dotykać!

Nastawniczy zbladł i niemal błagalnie, chociaż na pewno ze złością, wyrzekł: – Panie poruczniku, jeżeli pan mi zabroni wykonać niezbędną czynność, do której jestem zobowiązany nie tylko przy przejeździe dygnitarzy, to zostanie spowodowana katastrofa. Szlag może trafić Niemca, a pan pójdzie do więzienia, bo przecież pan się nie wyprze, że dał mi rozkaz niczego nie dotykać!

– Tak, ale ja też otrzymałem taki rozkaz.

– Panie poruczniku, pan otrzymał rozkaz głupi albo celowy, żeby pana uziemić. Niech pan go nie wykonuje, bo obaj będziemy leżeć, a może z nami legnie i ten, kto taki rozkaz panu wydał, lecz teraz nie ma czasu na dyskusję!

– Niech pan wykonuje to, co do pana należy – Wiesiek uwierzył w stanowczą perswazję nastawniczego i postanowił nie wykonywać rozkazu.

Wilhelm Pieck szczęśliwie dotarł do celu, oficer zebrał podległych sobie pracowników i powiózł do Pałacu Mostowskich. A Wiesiek nic nikomu nie mówiąc cieszył się, że nie wykonał głupiego rozkazu i wstydził się przed kolejarzem za „własną" głupotę.

W wojsku zawsze tłoczą do głowy, że nawet niedorzeczny rozkaz przełożonego należy wykonać, a potem pisać raport do wyższego dowódcy. Ciekawe co pomógłby nawet najpiękniejszy raport, gdyby Wiesiek, nie otrzaskany przecież z tego rodzaju sytuacjami, będąc stalinowskim głąbem, powiedział: – *Stalin mienia postawił, Stalin mienia snimiet!* Dobrze, że są ludzie, którzy nie boją się zaryzykować i wierzą innym.

Cóż, ludzie podobni do naszego bohatera bardzo rzadko otrzymują pochwały i nagrody „ku czci..." Oficerowi, który stawiał Wieśka w nastawni nawet do głowy nie przyszło, że zamiast nagrody pieniężnej i Krzyża Zasługi w związku ze Świętem Lipcowym, mógł siedzieć w więzieniu. Ale do Wieśka uśmiechnęło się szczęście, bo właśnie w związku ze świętem 22 Lipca 1952 roku otrzymał pierwszy stopień oficerski. Większego szczęścia chłopak nie mógł się spodziewać. Nawet do głowy mu nie przyszło, że będzie oficerem. Wraz ze stopniem otrzymał pieniądze na mundur oficerski, który uszyli mu krawcy z „Konsumów" MBP.

Z czasem nawet Bronek zmienił doń stosunek na lepszy. Kiedyś, w okresie polowań na zające, zaproponował Wieśkowi wzięcie udziału w polowaniu. Ten odpowiedział, że taki luksus musi mu przejść przed nosem, gdyż nie posiada strzelby. Bronek go pocieszył, że ma dwie. Wiesiek opłacił więc wszystkie należne koszty i pewnej niedzieli w grupie starych repów pojechał na zające, żeby mieć pasz-

tet na święta, a co najważniejsze zaimponować żonie, gdy przywiezie z pięć, a może i dziesięć sztuk tej dziczyzny. Można będzie jednego dać mamie, jednego albo i dwa sobie, a resztę sprzeda w celu pokrycia kosztów polowania, no i na jakąś półlitrówkę zarobi.

Stare repy o coś tam kłócili się przed wyjazdem, przezywali się nawzajem i kazali jeden drugiemu całować siebie tam, gdzie słońce nie dochodzi. Wieśkowi było dziwne, że starzy oficerowie tak się do siebie odnoszą, ale co tam. Ważne, że on nastrzela zająców i może chociaż w tym wypadku dorówna innym albo nawet ich zadziwi, bo przecież strzela jak snajper. Wszyscy myśliwi, poubierani byli jak Pan Bóg przykazał, a Wiesiek w wojskowym mundurze, w kamaszach, spodnie spięte miał stosowanymi wówczas w wojsku getrami, no i oczywiście płaszcz wojskowy.

Po dojechaniu na miejsce łowczy porozstawiał myśliwych na stanowiskach a naganiaczy gdzieś powiózł tym samym samochodem, którym przywiózł grupę oficerów na polowanie. Wiesiek był bardzo podniecony, gdyż w tego rodzaju imprezie brał udział po raz pierwszy. Załadował pożyczoną mu broń jednym nabojem, bo była to jakaś archaiczna strzelba i czekał. Po jakimś czasie gna w ich stronę parę zajęcy. Myśliwi obok zaczęli strzelać. Jeden zając podskoczył i padł martwy, drugie nie wiedzieć dlaczego zawrócił i po paru susach też wykopyrtnął, a trzeci śmigał prościutko pod lufę Wieśka. Ten podpuścił go jeszcze bliżej i wystrzelił. Wraz ze strzałem lufa odleciała od strzelca parę metrów do przodu, zając zawrócił i natychmiast zginął od innego strzału, a Wiesiek stał z kolbą w ręku i przez chwilę nie wiedział co się tu dzieje.

Przełaził z myśliwymi calutki dzień, poprzecierał spodnie na wysokości kostek, a do kolan wysmalcował glinianą breją. Płaszcz tak samo. „Korzyści" miał z tego tylko tyle, że się wyśmiał za całe życie. Wesoło mu było dlatego, że zające wpędzone w koło zabijaków, nie wiadomo dlaczego mknęły wprost na niego. Skąd one wiedzą – myślał zataczając się ze śmiechu, – że ja im nie zrobię krzywdy?

Chłopcy namordowali tych biednych szaraków po kilka. Łuczak miał najwięcej, bo aż osiem. Wiesiek prosił, żeby mu ktoś sprzedał

chociaż jednego, ale nikt nie chciał pojawić się w domu z małą ich ilością, więc Wiesiek przyjechał bez żadnego. Ale za to, jak mówiła Bronia, pobiegał po świeżym powietrzu, zniszczył płaszcz, spodnie i kamasze, wydał pieniądze i... zobaczył zająca. Było to pierwsze i ostatnie polowanie w życiu. I chwała Bogu, bo zabijanie Bogu ducha winnej zwierzyny nie leżało w jego guście ani ambicji. Natomiast raz poznał ludzką zachłanność i nieżyczliwość, mimo że w gadce każdy jawi się przyjacielem. Niestety, przyjaciół bywa mało. A szczególnie takich, jakim okazał się dla Wieśka Ludwik Idzikowski.

Wieśka w wydziale traktowano poważnie, jak każdego dojrzałego pracownika i nawet po dwóch latach kandydowania, przeciągającego się z powodu pracy konspiracyjnej w X Departamencie i przeszkolenia we Wrocławiu, przyjęto go w szeregi PZPR. Czuł się jednak nieswojo. uważając się za mniej wartościowego w porównaniu z innymi. Męczył go przede wszystkim fakt nie posiadania nawet podstawowego wykształcenia. Wciąż myślał o szkole, ale nie wiedział co zrobić by rozpocząć naukę. Praca operacyjna temu nie sprzyjała, gdyż absorbowała całe życie bez względu na porę dnia i święta. Był nieśmiały w dbaniu o siebie, lecz myśl o przyszłości popychała go, aby ze swoimi problemami zwrócić się do zastępcy szefa UBP.

Wykoncypował sobie, że najlepiej byłoby znaleźć się w plutonie ochrony gmachu. Tam praca na zmiany, można sobie planować czas i po nocnym dyżurze aż 48 godzin wolnego. Tak pomyślał i poszedł do upatrzonego szefa. Ku zdziwieniu Wieśka szef jak najbardziej zgodził się z jego wywodami, od siebie dodając, że na terenie Warszawy w pracy operacyjnej, zwłaszcza z agenturą nie jest wskazane, by obsługiwał ją człowiek spoza Warszawy, a tym bardziej z takim akcentem. No, niekoniecznie musi to być warszawiak, ale żeby dobrze mówił po polsku, gdyż tajni współpracownicy myślą, że współpracują z oficerami radzieckimi. Obiecał, że za parę dni powiadomi o decyzji kierownictwa.

I rzeczywiście, po kilku dniach Wiesiek został przeniesiony do Komendantury na stanowisko dowódcy plutonu. Bardzo się ucieszył, gdyż tu była praca na zmiany, a więc mógł z żoną godzić wo-

żenie dzieci do żłobka i wreszcie zacząć się uczyć. Niestety, szef Komendantury Kobylak okazał się człowiekiem nieżyczliwym, zawistnym i postępował zgodnie z powiedzeniem, że nie matura lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera. Dbał o ochronę gmachu, bo po to go tu postawiono, a nie o to, by jego podwładni miewali jakieś zachciewajki. Do szkoły mu się zachciało chodzić, patrzcie... Sam umiał się podpisać i uważał, że to mu wystarczy, a komuś miał ułatwiać, żeby go prześcignął?

Wiesiek z nie osiągniętego celu zwierzył się jednemu z pracowników biurowych Komendantury narodowości żydowskiej. Ten powspółczuł koledze i powiedział: – Pal go licho, że nie pozwolił zapisać się do szkoły. Na razie niech tak zostanie, ale ja ci proponuję zacząć się uczyć gry na akordeonie. U nas jest sprzęt, pożyczymy ci go do domu i będziesz trenował. A na zajęcia będziesz chodził wtedy gdy będziesz miał wolne od służby. Tylko musisz ustalić to z profesorami.

Wiesiek aż zachłysnął się z radości, bo propozycja wydała mu się nieziemska. Akordeon uwielbiał od dzieciństwa, ale czyż mógł wtedy o nim marzyć? Pobiegł w te pędy do Ogniska Muzycznego na ul. Nowy Świat. Tam go od razu przesłuchano i przyjęto na naukę. Wiesiek myślał, że niebo się przed nim rozstąpiło. W dodatku dowiedział się, że muzyki będzie go uczył sam profesor Dyżbański. Z tym tylko, że każdorazowo trzeba będzie uzgadniać godziny, gdyż profesor był gęsto obstawiony uczniami. Profesor powiedział mu, że w dzień zawsze będzie mu ułatwiać naukę, by nie zrywać go ze służby, gdyż to może nie spodobać się przełożonym. Trudno o większe szczęście.

Wiesiek był już przecież oficerem i zdawał sobie sprawę, że czas najwyższy coś umieć, czymś zaimponować kolegom, żonie i jej rodzinie. Może żonie najbardziej, ponieważ jej brat Józek na akordeonie grał pięknie. Natomiast Bronia zawsze miała ogromną ambicję, niestety bez pokrycia. Kiedyś, gdy byli w jej mieszkaniu sam na sam, wzięła na kolana akordeon i jednym palcem zagrała parę taktów „Wlazł kotek na płotek..." Gdy to grała, patrzyła na narzeczone-

go tak wyniośle, jakby była co najmniej Czerny-Stefańską, a on nigdy nie widział takiego instrumentu.

Na lekcje Wiesiek chodził regularnie i na ćwiczenia do profesora Dyżbańskiego też. W domu trenował zawzięcie, chociaż niewiele czasu temu poświęcał z uwagi na jego stały brak. Jednak krok za krokiem poznawał tajniki zapisane na pięciolinii.

Niestety, i tu mu się nie powiodło. Nie więcej niż po pół roku pracy na stanowisku dowódcy plutonu, przyjechał do Komendy Miasta szef Komendantury MBP podpułkownik Bolesław Pietrakowski i dowiedział się, że jest tam taki to a taki oficer. Nazajutrz poprosił Wieśka do siebie szef ochrony gmachu i polecił napisać raport o przeniesienie do Komendantury MBP. Wiesiek jeszcze bardziej się ucieszył, że teraz już oficjalnie będzie pracował w MBP, chociaż nie wiedział co ten, nie znany mu podpułkownik Pietrakowski szykuje.

Napisał raport i poszedł do szefa UBP, majora Szenauka, po akceptację. Ten próbował młokosowi perswadować, że jest tu dobrze widziany, że kierownictwo pamięta o jego osiągnięciu, chociażby wtedy, gdy do gmachu usiłował wedrzeć się uzbrojony osobnik, by zastrzelić szefa. – Wyście przecież go zatrzymali razem z Dionizym – ciągnął szef. – Może was uraziło, że Dyzio otrzymał awans do stopnia plutonowego, a wy, jako jego przełożony nie otrzymaliście nic? Tak, to było nasze przeoczenie. Nie tak nasze jak Kobylaka, który nie dał na was żadnego wniosku, ale my o was pamiętamy.

– Nie, ja za nic się nie gniewam, ale bardzo chcę iść do MBP!

– A czy wiecie, jak wam się ułoży współpraca z pułkownikiem Pietrakowskim? Tu już macie swoje stanowisko i my was znamy, a tam, kto jego wie... Radzę się zastanowić, pomyśleć, a nawet popytać w Komendanturze co to za taki ten Pietrakowski.

Stary rep wiedział co to za Pietrakowski, lecz nie chciał żółtodziobowi dobitnie powiedzieć, bo może gdzieś wypaplać, a i tak chyba go się nie przekona. Wiesiek kategorycznie uparł się, że chce iść do MBP i prosił o pozytywne rozpatrzenie swojego raportu.

– Dobrze – odpowiedział uśmiechając się szef. – Ja was puszczę i życzę powodzenia, ale nie przychodźcie nigdy ze skargą, że was

skrzywdzono! Sami chcecie, sami pójdziecie. Podał rękę na pożegnanie, a oczy jakby mówiły: – Ech, ty głupi gówniarzu, dlaczego nie chcesz słuchać starszych i mądrzejszych?!

Już na drugi dzień Wiesiek znalazł się z samego rana w gabinecie komendanta Ochrony MBP przy ul. Koszykowej. Zameldował się przepisowo i z chęcią, gdyż ujrzał człowieka w stopniu podpułkownika, bardzo przystojnego, energicznego i... wesołego. Chyba major Szenauk straszył – pomyślał. Podpułkownik Pietrakowski trochę z Wieśkiem porozmawiał, wypytał co go interesowało, a potem kazał zawołać dowódcę kompanii porucznika Butryłę, który niebawem niedbale zameldował się.

Butryło wydał się Wieśkowi człowiekiem starym, flejtuchowatym i gadatliwym. W toku wspólnej pracy jeszcze się przekonał, że jest fałszywy. Najdotkliwiej jednak odczuł oficerską „lojalność" już po fakcie, bo w 1956 roku. Wtedy to Wieśkowi pokazano w kadrach charakterystykę, którą napisał jego zastępca porucznik Dmowski, a Butryło podpisał. Porucznik Dmowski nie tylko, że zgnoił Wieśka w tej charakterystyce, to jeszcze i sfałszował podpis Wieśka, że niby on z tą charakterystyką się zgodził.

Podpułkownik ustalił z Butryłą jakim plutonem Wiesiek ma dowodzić i na tym rozmowę zakończono. Następnego dnia wieczorem miał się stawić w kompanii i ze swym plutonem objąć służbę przy ochronie gmachu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Przyszedł do domu i pochwalił się żonie, że od jutra będzie pracował w MBP. Żona nie zareagowała bo jej prawdopodobnie było wszystko jedno.

Gdy Wiesiek przyjechał do pracy pluton już czekał na odprawę. Wiesiek bardzo nie chciał, żeby w jego pierwszym zetknięciu z podwładnymi uczestniczył dowódca kompanii, ale być nie mogło, żeby Butryło nie posłuchał, jak się zachowa jego nowy podwładny. Przyszedł, ale nawet Wieśka nie przedstawił czekającym na sali wartownikom. Wiesiek też chyba nie powiedział nic o sobie. Wtedy była moda na bojowe frazesy, więc Wiesiek z przekonaniem je zastosował, kończąc: – Pamiętajcie towarzysze, że musicie być gotowi, aby wła-

snym ciałem zatknąć każdą dziurę, jeżeli wróg ją przebije i nie dopuścić do sforsowania strzeżonego przez was obiektu. Po czym rozkazał „Wychodzić!" Pluton opuścił pomieszczenie, pozostawiając w nim dowódcę kompanii. Jakie wrażenie na Butryle wywarły Wieśkowe frazesy trudno zgadnąć, ale chyba pozytywne, ponieważ wówczas wszyscy nimi żyli i gęsto stosowali.

Ciekawy był skład personalny Komendantury. Podpułkownik Bolesław Pietrakowski był rosyjskim Polakiem. Tak wpłynął na swego zastępcę, kapitana Strzeleckiego, że ten odbierając telefon mówił *Sziljecki, słucham*, co miało znaczyć, że jest też ze Wschodu, co wywoływało śmiech u rodowitych warszawiaków. Wśród niższego personelu było dużo oficerów i podoficerów Polaków – repatriantów z Francji, paru Białorusinów z Białostocczyzny i Polacy z podwarszawskich wiosek i z samej Warszawy.

Było ogromne donosicielstwo. Wiesiek podejrzewał o to tylko podporucznika repatrianta z Francji i jego kolegę, porucznika L. też „Francuza". Ale kiedy po latach, w innej jednostce kontrwywiadowczej zapoznał się z Jankiem W., który po przybyciu z Francji też pracował w Komendanturze, ten uświadomił Wieśkowi, że wśród personelu Komendantury co drugi był „uszakiem". Przy tym opowiedział, jak jego namawiano, aby uczył się pisać po polsku: – O, – mówił porucznik, – wam na pewno będzie źle szedł język polski, bo we Francji uczyliście się francuskiego, więc starajcie się dużo pisać. Co zauważycie w czasie służby napiszcie na karteczce. Oddacie mi, ja poprawię błędy i tak będziecie się dokształcać.

Janek jednak nie skorzystał z tej nauki, zapewniając porucznika L., że tyle co tu jest do pisania to on sobie poradzi. Wiesiek w głębi serca poczuł się urażony, że do niego nikt się nie zwrócił z propozycją bycia „uszakiem". To znaczy – myślał, – że inni na niego donosili, a on nie był zaufanym. – Zresztą, co kto mógł o mnie złego powiedzieć – konkludował Wiesiek, a Janek: – Chłopie, kiedy nawet puściłeś bąka, to donieśli, żeś się zes...

Wiesiek szybko zaaklimatyzował się w Komendanturze. Nie miał powodu do zadzierania nosa, a więc go nie zadzierał, żył z podwład-

nymi za pan brat i ci go za to szanowali, ale jednocześnie czuli respekt, gdyż jego prezencja sugerowała wiedzę, elokwencję i powagę. On w to nie wierzył, gdyż był zbyt prostym człowiekiem. Wiedział, że w normalnych warunkach już dawno powinien zdobyć wyższe wykształcenie, gdy tymczasem będąc oficerem nie posiada podstawowego. Dzięki komendantowi Pietrakowskiemu uczęszcza do zorganizowanej przy Komendanturze szkoły podstawowej, ale co to jest? Mimo wszystko ochoczo do niej uczęszczał, gdyż wiedział, że razem z nim uczą się ludzie starsi od niego i to wielu z nich – repatriantów z Francji. Byli też oficerowie z WP, którzy przeszli do pracy w Komendanturze, zachęceni widocznie spokojniejszym życiem niźli w siłach zbrojnych.

Życie biegło wartko, różnego rodzaju obowiązki nie pozwoliły dostrzec jak dzieci rosną, gdyż praca na zmiany, szkoła wieczorem, szkolenie polityczne w dzień, a zebrania partyjne wieczorami i to koniecznie długo, żeby były prawomocne, na których dowództwo kogoś zawsze beształo. Ale w miarę częstszych besztań człowiek staje się gruboskórny i potok zarzutów a czasem wręcz dyskredytacji jednym uchem wpływa a drugim wypływa. Ludzie tylko czekają na koniec zebrania i dalej żyją, jak uważają, a uważają tak, jak przywykli albo zgodnie z nadarzającą się sytuacją. A więc jedni się uczą, drudzy na to gwiżdżą i grają w karty a jeszcze inni po prostu popijają.

Którego razu, kiedy Wiesiek trochę się wzbogacił otrzymując ekwiwalent za sorty mundurowe, kupił sobie jasnobeżowego materiału na garnitur. Wtedy była moda na modłę bikiniarską – wąziutkie krótkawe spodnie, kolorowe skarpetki w pasy, pantofle na dwucentymetrowej podeszwie, kapelusiki z małym rondem i odpowiednie jesionki. Natomiast Wiesiek hołdował modzie wschodniej, biorąc przykład z pracowników różnych przedstawicielstw radzieckich, których oglądał na ulicach Warszawy i też z Polaków, którzy lubili modę szeroką a tępili bikiniarzy. Zaniósł ten materiał do „Konsumów" i poprosił, aby mu uszyto garnitur dwurzędowy z szerokimi spodniami. Jeden z krawców wziął materiał do rąk i powiedział: – Oho, bra-

ciszku, kupiłeś drogi naserowski materiał. Do rzeczy, czy pan wie skąd się wziął Naser?

– ?

– Hitler wpadł w wasser, a wyszedł Naser. Ale materiał jest na prawdę dobry, więc uszyjemy ładny garnitur. Jaka będzie szerokość spodni?

– A najszersze ile mają centymetrów?

– Trzydzieści dwa.

– No to trzydzieści dwa.

Gdy Wiesiek zakładał ten garnitur i wychodził na ulicę ludzie się za nim oglądali, a on cieszył się, że jest takim modnisiem. W Komendanturze też najpierw mrugano porozumiewawczo i śmiano się z wiejskiego modnisia, a później jeden po drugim wszyscy poszyli sobie podobne garnitury, ale nikt nie miał spodni podobnej szerokości. Wiesiek miał ten garnitur długo, a gdy przeszedł do jednostki operacyjnej tam podobnego ubrania nikt nie miał. Wszyscy wywiadowcy oscylowali raczej do mody zachodniej, chociaż bali się być bikiniarzami, bo mogli być stawiani na zebraniach partyjnych za hołdowanie modzie wrogów, albo nawet wylecieć z pracy dyscyplinarnie, jak Wacek S. za opowiadanie żydowskich dowcipów. Wiesiek, chcąc pasować do ogółu, musiał zadbać o sprawienie innych ubrań. Tym bardziej, że wtedy już nie mógł paradować w mundurze oficerskim.

Szkołę Podstawową dla Pracujących Wiesiek ukończył z trzema piątkami i pięcioma czwórkami. Dogonił tym samym swego byłego szefa, podpułkownika Józefa Światło. W nagrodę za wytrwałość i osiągnięcie dobrych wyników w nauce otrzymał wtedy liczącą 997 stron książkę Mikołaja Ostrowskiego „Jak hartowała się stal" i „Zrodzeni z burzy". Było to drugie z kolei świadectwo ukończenia szkoły, gdyż pierwsze otrzymał po ukończeniu szkoły podoficerskiej WBW w Katowicach z wynikiem „Zupełnie dobrym".

Cieszył się tym bardziej, że w tak zwanym międzyczasie ukończył kurs naczelników aresztów, ale tej funkcji nie przyjął. Jednocześnie doznał też przykrości, kiedy w czasie fetowania zakończenia roku

szkolnego i otrzymania świadectwa podstawówki dyrektor szkoły powiedział, że talentom w przeszłości nie dano się rozwinąć, a teraz jest już zbyt późno, żeby osiągnąć wyższe studia. – Chociaż – dodał – pamiętajcie dzisiejsi abiturienci, że uczyć się trzeba przez całe życie.

Ze strony abiturientów przemawiali porucznik Dąbrowski i Wiesiek. Zanim jednak przyszło do przemówień, porucznik Dąbrowski zwrócił się do Wieśka z prośbą, aby nie przemawiał lub zabrał głos po nim: – Po twoim przemówieniu nie będę miał o czym mówić. Wieśkowi to schlebiło, więc powiedział koledze, że z ochotą posłucha jego pierwszego.

* * *

Po przyjściu do pracy w Komendanturze i objęciu funkcji dowódcy plutonu, Wiesiek nikomu chyba nie podpadł, gdyż nigdy go nie wzywał do siebie na „dywanik" podpułkownik Pietrakowski. Ba, gdy opracowywano instrukcję dla poszczególnych posterunków, pułkownik powołał Wieśka w skład komisji, a po niedługim czasie przeniósł go ze stanowiska dowódcy plutonu na stanowisko dyżurnego oficera Komendantury. A to już było szczytem kariery. Wiesiek nawet pochwalił się żonie, z którą żył prawie na bakier od chwili, gdy zamówił u ogrodnika pęk róż na jej urodziny. Gdy wstał raniutko, by pojechać po nie, żona otworzyła oczy i zapytała: – Dokąd to się wybierasz chamie, przecież dopiero na wieczór przyszedłeś ze służby?

– Widzisz, Broniu, wczoraj po raz ostatni pełniłem funkcję dowódcy warty – mówił Wiesiek. – Dzisiaj twoje urodziny, a jutro obejmuję stanowisko dyżurnego oficera. Przy takiej okazji wczoraj wieczorem zamówiłem róże u ogrodnika, aby ci przynieść jeszcze z rosą.

– Ja s... na twoje róże – odrzekła Bronia i tak już zostało.

Następnego ranka Wiesiek objął służbę, przyjmując od poprzedniego dyżurnego wszelkie przepisy, instrukcje, wykazy i całkiem inne obowiązki niż miał poprzednio. Odchodzący do domu dyżurny pół żartem, pół serio powiedział Wieśkowi: – Uważaj na pułkownika. Gdy wchodzi do pracy z daszkiem czapki do góry możesz być spokojny, gdyż jest w dobrym humorze. Ale nie daj Boże, jeżeli wejdzie

z daszkiem na nosie – musisz tylko przytakiwać bo gotów cię rozerwać.

Wiesiek uwagę przyjął serio i zaczął się bać, aby chociaż w pierwszym dniu pułkownik przyszedł wesoły. Ale jak pech to pech. Podpułkownik wszedł z czapką na nosie, a Wiesiek zameldował: – Obywatelu pułkowniku, melduję, że przyjąłem służbę od porucznika Jadacha bez zastrzeżeń...

– Ale ja mam zastrzeżenia do was. Gdzie powinna być opaska?

– Nad łokciem, towarzyszu pułkowniku – odpowiedział dyżurny.

– Opaska winna być wysoko nad łokciem, a nie na łokciu, jak u was – z iskierkami w oczach wrzasnął Pietrakowski i nawet nie witając się z sekretariatem, schował się w gabinecie, trzasnąwszy drzwiami.

– Oho! – powiedziała kierowniczka sekretariatu. – Szef dzisiaj też jest wściekły, ale niech się pan nie przejmuje.

Dobrze jej mówić „niech się pan nie przejmuje". Sama o szesnastej pójdzie do domu, a ja zostanę z pułkownikiem aż do nocy – myślał Wiesiek, gdyż on lubi wieczorami pracować albo uczyć się w biurze. Przy tym lubi wszystko wiedzieć.

Wiesiek dobrze pamiętał niedawne wydarzenie w kasynie MBP, które dodatkowo charakteryzowało komendanta. Mianowicie kilku szefów Departamentów po całodziennej ciężkiej pracy postanowiło odpocząć w kasynie przy kieliszku. Wśród nich byli Pietrakowski i Różański. Popili i o coś się posprzeczali. Pietrakowski długo nie myśląc, chwycił za słuchawkę i wezwał z Komendantury pięciu podwładnych. Gdy ci zameldowali się w kasynie, podpułkownik rozkazał, aby zabrali tych oto panów od stolika i zaprowadzili do aresztu. Żołnierzom w to graj. Jeszcze nigdy nikogo nie aresztowali, a tu od razu pułkowników...

Na drugi dzień podpułkownik Pietrakowski przyszedł do pracy i kazał wypuścić kolegów z aresztu. Pierwszy wychodził Różański. Zobaczył Pietrakowskiego i wysyczał: „To, że jesteś ch...em, wiedziałem od dawna, ale teraz stwierdzam, że jesteś arcych...em!" Pietrakowski nie zdryfił: „Milcz, bo dołożę ministru!" Jak było da-

lej Wiesiek nie wiedział, ale wbił sobie do mózgownicy, że frontowiec z masą odznaczeń w pewnych momentach może być nieobliczalny. Z tego powodu wszyscy się go bali. A niech tylko usłyszał, że ktoś niepoprawnie się po polsku wyraził, od razu reagował: „Nie kalecz polsku mowu, tudy twoju mać!" A z tym *dokładaniem ministru* też było wiele nieporozumień, gdyż oficerowie innych departamentów słysząc to myśleli, że pójdzie bić ministra, póki się nie nauczyli, że on tak nazywa meldunek. *Dołożyt'* – po rosyjsku znaczy zameldować.

Dzień jakoś zszedł w miarę spokojnie. Ale trzeba trafu, że po południu, gdy jeszcze szef był w pracy, pracownik jakiegoś departamentu, bo na pewno nie śledczego, gdyż ten znałby formalności, przyprowadził aresztowanego z niewypełnionym wnioskiem o osadzeniu go. Wiesiek pyta dlaczego nie wypełniony wniosek. Oficer odpowiada niepewnie, że to chyba wypełnia Komendantura. Wiesiek na to: – Jak może wypełniać Komendantura, skoro wniosek jest zaadresowany do Komendantury? Obaj się przekomarzają, bo obaj też nie wiedzą jak postąpić, a szef za półotwartymi drzwiami stał i słuchał. W pewnym momencie z całym impetem wyskoczył z gabinetu i do Wieśka: – Ty wypełniasz wniosek o osadzenie w areszcie, a nie ten, kto przyprowadzi!

– Towarzyszu pułkowniku, to dlaczego napisano „Do Komendanta Ochrony Gmachu"...

– Zamilcz ofermo – jeszcze bardziej zawzięcie wykrzyknął szef. – Bo ciebie też posadzę! A na razie zdejmuj opaskę, oddaj broń i marsz do domu. Służbę obejmie sierżant Lachor. Przyprowadź go do mnie!

Wiesiek zdjął opaskę i położył pistolet na stole. Bez dodatkowych pytań i wyjaśnień pojechał do domu. A że żona była pewna nieobecności męża do jutra rana, dosyć swobodnie i spokojnie zabawiała się na nowej amerykance z Tadkiem Wejcmanem, sąsiadem vis a vis. A jego żona z dziećmi czekała męża na kolację. Tadek był młodszy od Broni o jakieś plus-minus osiem lat, a Wiesiek tylko o trzy i pół. Ale ona „szła" nie tylko z młodszymi. Jej aby kto.

Nazajutrz Wiesiek przyszedł do pracy nie znając swego dalszego losu. Podpułkownik wszedł do dyżurki, przywitał się z oficerami,

a do Wieśka powiedział: – A ty napisz raport o wczorajszym zajściu.

Wiesiek siadł i wszystko jak było opisał. Gdy zaniósł do szefa, ten wyskoczył doń z matem *...twoju mat'*, a Wiesiek nie zdryfił i odpowiedział: – Suczkę.

– Jak ty się odzywasz do przełożonego? – zacietrzewił się znowu szef.

– A dlaczego towarzysz pułkownik obraża mnie i moją matkę, kiedy ona zmarła w półtora roku po urodzeniu mnie? Obaj jej nie znaliśmy.

Pułkownik usiadł i zaczął czytać raport. Po przeczytaniu go podniosł oczy na Wieśka i zapytał: – Oddać ministru?

– Tak, oddać! – stanowczo przystał Wiesiek.

Wtedy Pietrakowski ku zaskoczeniu wczorajszej ofiary powiedział: – Wiesz, lepiej będzie, gdy go wyrzucę do kosza. Wczoraj byłem zdenerwowany i możliwe, że cię obraziłem, ale się nie gniewaj. Teraz idź odrabiaj lekcje, a na dyżur przyjdziesz w swojej kolejce.

Wiesiek zgodził się na wyrzucenie raportu do kosza, ale wiedział, że dobra nie będzie, gdyż szef był narwańcem. Poza tym bardzo nie lubił gdy ktoś miał inne zdanie niż on, niezależnie od racji. Kiedyś na strzelnicy Wiesiek wsadził wszystkie kule w dziesiątkę z tym tylko, że jedna upadła na linii dziesiątki z dziewiątką. Wiesiek zawsze był bardzo dobrym strzelcem, ale Pietrakowski nie tylko, że nie uznał mu dziesiątki, to jeszcze obraził swoim sposobem przed całym stanem osobowym. A znowu kiedyś w czasie ćwiczeń Wiesiek złamał kciuk prawej ręki drzwiami samochodu i otrzymał zwolnienie lekarskie. Pietrakowski też go nie uznał i kazał przychodzić normalnie na służbę. Najgorzej było z pisaniem, bo dłoń była w gipsie. Były jeszcze i inne perypetie, o których nie ma co wspominać.

* * *

W nocy, gdy warty zwyczajnie pełniły swoje obowiązki, dowódca warty kontrolował posterunki, a oficer dyżurny wpisywał do książki dyżurów jakąś uwagę, zadzwonił telefon. Wiesiek podniósł słuchawkę i wyuczonym sposobem przedstawił się. W słuchawce usły-

szał: – Słuchaj, ja jestem dyżurnym z VII Departamentu. W tej chwili otrzymałem z Moskwy wiadomość, że towarzysz Stalin jest chory. Jeżeli chcesz to możesz zadzwonić do swojego szefa i powiadomić go. Ja swojego już powiadomiłem.

– Co ty, ja będę w nocy budził pułkownika, żeby mnie zbeształ jeszcze i za to, że Stalin zachorował?

– To jak chcesz, ale moim zdaniem jest to wiadomość ważna.

– Przyjdzie do pracy, to go powiadomię.

Ta wiadomość rzeczywiście była gromem z jasnego nieba także dla Wieśka, który portret Stalina kiedyś nawet powiesił u siebie w domu, ale później zamienił go Puszkinem, bo szwagier powiedział, że czci bandytę. Od tej chwili Wiesiek czcił „wodza" biernie i chwalił jak wszyscy, chociaż ciągle się poddawał ogólnemu zachwytowi jego osobą, bo wszędzie słyszał tylko same peany i kantaty. Nie mógł jednak spokojnie czekać przyjścia szefa do pracy. Swoim niepokojem nie mógł się z nikim podzielić, gdyż dyżurny VII Departamentu zastrzegł, żeby nie rozgłaszać, bo powstanie panika.

Nie wiadomo dlaczego ale tego dnia do pracy jako pierwszy przybył właśnie podpułkownik. Wiesiek zameldował mu sytuację na służbie, że nic ważnego nie zaszło, a później, trzymając ręce *po szwam* powiedział, że Stalin chory. Boże, jak ten nie skoczy, jak nie wrzaśnie, że jego podwładny sieje wrogą propagandę.

– Towarzyszu pułkowniku, dzwonił dyżurny VII Departamentu i podpowiadał mi, żeby was powiadomić telefonicznie w domu – próbował się tłumaczyć dyżurny. Ale gdzie tam. Pietrakowski skakał jak czort i groził Wieśkowi, że go posadzi, jeżeli się dowie, iż komukolwiek zdradził tajemnicę. Wiesiek nierad był, że dziób otworzył, ale z drugiej strony bał się, że może oberwać za nie powiadomienie. Tak źle i tak niedobrze. Jednak odniósł wrażenie, że Pietrakowski już o tym wiedział, a wkurzył się dlatego, że nie był pierwszym, z czyich ust oficerowie mogli się dowiedzieć o „tragedii".

Gdy prasa i radio ogłosiły, że Stalin zmarł, okazało się, że rzeczywiście jest to tragedia dla wielu. Pietrakowski zwołał do gabinetu oficerów i oficjalnie to ogłosił. Wierzcie albo nie, ale żywymi łza-

mi płakali wszyscy oficerowie poza Wieśkiem – nie wiadomo dlaczego. Najgłośniej szlochał repatriant z Francji, porucznik L. Wiesiek po raz pierwszy w życiu ujrzał zbiorowy płacz mężczyzn. Śmiać mu się chciało, bo to nie tylko zwykli mężczyźni, ale oficerowie . On od małego wstydził się płakać, nawet gdy go ktoś grzmocił za pasienie krów w szkodzie. Inni uciekali, a on wstydził się uciekać i obrywał cięgi. A tu oficerowie jęczą, nie wstydząc się jeden drugiego za nienaturalnie wykrzywione usta. Pietrakowski płakał stojąc nad biurkiem. Wiesiek szybko opuścił gabinet, bo bał się, że parsknie śmiechem.

* * *

Chciałoby się powiedzieć, że powiedzenie „kto się lubi ten się czubi" jak ulał pasowało do Pietrakowskiego. Wieśkowi wydawało się, iż Pietrakowski najbardziej go nie znosi i najczęściej beszta. Może tak i było, ale podpułkownik widocznie dostrzegał w nim cechy pozytywne i darzył Wieśka ogromnym zaufaniem, chociaż ten wcale się nie wysilał by szefowi schlebiać, bo miał go za rubasznego, frontowego oficera i prosił Boga, aby nie obrosnąć w jego maniery. Chociaż raz mu się zdarzyło wygłupić się i wrzeszczeć na podwładnych w pomieszczeniu kompanii za zupełnie nieistotne przewinienie. Na dodatek, gdy wrzeszczał na paru swoich chłopaków w sąsiednim pomieszczeniu znajdował się dowódca kompanii porucznik Butryło i wszystko to słyszał. Później komentował, iż dowódca plutonu chciał się przed nim popisać. Otóż, gdy rozpoczął się proces sądowy kieleckiego biskupa Czesława Kaczmarka i jego spółki, komendant ochrony MBP musiał dać żołnierzy na ławę oskarżonych zamiast milicjantów do pilnowania i konwojowania sądzonych. Pułkownik Pietrakowski wybrał według swojego gustu. Wśród wybranych znalazł się też Wiesiek, a to świadczyło o zaufaniu. Wiesiek z kolei bardzo się ucieszył tą misją, bo jeszcze dotychczas nie widział żadnych rozpraw sądowych, nie mówiąc o roli, jaką będzie pełnił w sądzeniu tak wysokiego funkcjonariusza Kościoła rzymskokatolickiego i to za szpiegostwo na rzecz jednego z państw zachodnich, jak się wówczas pisało.

Na tej też rozprawie Wiesiek miał szczęście poznać osobiście panią redaktor Wandę Odolską, która dzień po dniu relacjonowała z gmachu sądu przebieg rozprawy i... nieszczęście skompromitowania się przed tą, bardzo inteligentną kobietą. Otóż podczas przerwy w rozprawie, gdy oskarżonych wyprowadzono do specjalnie przygotowanej sali na posiłek składający się z czegoś takiego co Wiesiek widział po raz pierwszy, jakieś jabłka – nie jabłka, jakieś żółte, zakrzywione coś... Okazało się, że były to banany i pomarańcze. No, cukierki, herbatę i kawę to już widział.

I to właśnie wtedy, w palarni – Wiesiek nie palił, ale zapałki miał zawsze – podeszła doń pani Odolska i poprosiła o ogień. Chłopak z drżeniem rąk, żeby wypaść jak najlepiej, zapalił zapałkę, a ta jak na złość wypadła mu z rąk. Czubaryk zamiast zapalić i podać drugą, nachylił się i podniósł z podłogi palącą się wciąż zapałkę przypalając papierosa pani redaktor. Ta uśmiechnęła się, podziękowała i poszła do kolegów, a on został ze wstydem ze swoimi kolegami. Nikt dzisiaj tego nie pamięta, ale Wiesiek się wstydzi za swoje nieokrzesanie. Teraz widząc coś podobnego u innych toleruje, ale mierzi go to, bo nauczył się taktu w postępowaniu, szczególnie z kobietami. Wtedy usprawiedliwieniem było to, że i inni byli mu podobni

Przy okazji trzeba dodać, że Wiesiek był ciekawy życia i nieco urwisowaty, żeby nie powiedzieć – chuliganowaty, ale nadzwyczaj sprawiedliwy, a to go gubiło i ratowało. No bo jak można sobie wyobrazić, aby słuchacz kursu przyszłych naczelników aresztów pewnego wieczoru otworzył drzwi do szkolnego radiowęzła i aż do północy nadawał muzykę radziecką z płyt? Nikt mu w tym nie przeszkadzał, więc on płyta za płytą zmieniał melodie i raczył słuchaczy pozostających w salach sypialnych swoimi ulubionymi pieśniami. Dziwne, że umiał obsłużyć aparaturę radiową, którą po raz pierwszy ujrzał na oczy. Na koniec, o północy zagrał hymn ZSRR i poszedł spać, pozostawiając radiowęzeł w takim porządku w jakim zastał.

Nazajutrz, jeszcze przed śniadaniem, dyżurny kursu znalazł Wieśka w łazience przy goleniu i zasapany zawiadomił, że ma się natychmiast zameldować u komendanta Pietrakowskiego. Wiesiek wy-

tarł gębę ręcznikiem i wcale nie dbając o wygląd przepisowy – jak natychmiast to natychmiast – w podkoszulce zameldował się przełożonemu, czekającemu w gabinecie.

Pułkownik był widocznie w dobrym nastroju albo nawet po stronie Wieśka jeżeli chodzi o muzykę, ale musiał przyjechać by nie pokazać „uszakom", że ich lekceważy.

– Co znowu narozrabiałeś – zapytał, jak ongiś na Ksawerowie, gdy Wiesiek zamiast czekać na niego przy wejściu otrzymawszy sygnał z Koszykowej, poszedł na kolację. – Czy ty się nie doskaczesz, że będę musiał wygonić ciebie z pracy?

– Za co, towarzyszu pułkowniku?

– Za co? To jeszcze mało narozrabiałeś dzisiejszej nocy w szkole?

– Ja nic nie rozrabiałem, ja tylko muzykę nadawałem, jak w prawdziwym radio, żeby kolegom trochę przynieść ulgi w tej uciążliwej nauce. Towarzysz pułkownik nie widzi, jak oni biedni tu się mordują, zawaleni różnego rodzaju zajęciami od śniadania aż do kolacji? A przecież niejeden z nich nie ma nawet podstawowego wykształcenia i jest już niemłody, aby móc rozgryźć wszystko to, co nam oficerowie przynoszą – jakaś psychologia, filozofia i inne czort wie co...

– Ty tu przestań filozofować, bo, jak Boga kocham, wypędzę ze szkoły i z pracy na zbity pysk, ty chuliganie.

– Już więcej to się nie powtórzy, towarzyszu pułkowniku.

– Pamiętaj, jeżeli jeszcze raz gdzieś narozrabiasz, nie będę zważał na nic tylko wywalę na bruk.

Wieśka jeszcze wtedy nie było stać na słowo „przepraszam". Giął się, opuszczał oczy na podłogę, bo było mu wstyd, ale nie umiał przeprosić. Pułkownik jednak zwrócił uwagę na słowa „już więcej się nie powtórzy", bo powtórzył: – Pamiętaj, by się więcej nie powtórzyło! – i wyszedł bez zbytniego krzyku, jak to miał w zwyczaju.

* * *

Po śmierci wodza narodów rosyjski Polak Bolesław Pietrakowski wyjechał do ZSRR, a Wiesiek przeszedł do zarządu Łączności Specjalnej, aby pracować w jednym z punktów zagłuszających obce

radiostacje i jednocześnie zapisał się do Technikum Łączności nr 3 przy ul. Wilczej. Był to rok 1954.

Po przyjściu do nowej pracy Wiesiek zetknął się z zupełnie innym środowiskiem. Gdy zaprowadzono go na jeden z punktów zagłuszania, włosy mu się zjeżyły bo ujrzał tam tyle różnej aparatury, iż jej się zląkł. Od razu jednak napotkał przychylność pracujących tam ludzi, chociaż nic o nich nie wiedział, jak i oni o nim. Ot, zobaczyli oficera przyprowadzonego przez szefa jednostki pułkownika J. i nuż nim się opiekować według wskazań szefa. Wieśka z polecenia kierownika punktu wzięła pod opiekę sympatyczna i życzliwa Gienia, na tym bowiem punkcie jak raz królowały młode kobiety. Mężczyznami byli kierownicy zmian, kierownik punktu i kilku operatorów. Za to w grupie pelengacyjnej pracowali wyłącznie mężczyźni.

Wiesiek, ujrzawszy tyle różnej aparatury pomyślał sobie, że nie da z niczym rady, gdyż dopiero zaczął uczęszczać do Technikum Łączności, a tu na pewno wszyscy są inżynierami. Ale jak ich o to zapytać? Gienia posadziła nowo przybyłego operatora za pulpit i zaczęła tłumaczyć sposób łączności z operatorami po drugiej stronie kabla. Wytłumaczyła mu na początku, że tam są ludzie, którzy na ich polecenie włączają nadajniki na wskazaną częstotliwość. – U nas jest rozkład poszczególnych wrogich radiostacji – mówiła – i ich częstotliwości, to znaczy fal, na których pracują te radiostacje. My podajemy im godzinę wyjścia w eter danej radiostacji i częstotliwość. Oni nadajnik nastrajają na tę częstotliwość, a my słuchamy czy ten nadajnik jest dobrze nastrojony na środek korespondenta i kontrolujemy, aby się nie rozstroił. W razie schodzenia go, tego nadajnika, z korespondenta, przy pomocy tego oto klucza dzwonimy do nich, żeby poprawili pracę nadajnika czyli dostroili. Oprócz tego klucza, którym łączymy się z operatorami włączającymi nadajniki mamy jeszcze dwanaście podobnych kluczy, którymi włączamy właśnie te nadajniki, które są w tej chwili potrzebne...

Wiesiek siedział na krześle niczym na gorącej blasze i wiedział, że nigdy nie zrozumie tego co mu ta dziewczyna tłumaczy. Jak ona to wszystko wie – myślał. A ta, niby odgadła jego myśli i ciągnęła: – To

jeszcze nie wszystko. Oprócz tego pulpitu, który masz przed sobą, musisz umieć posługiwać się tym oto falomierzem, przy pomocy którego namierzamy i odczytujemy ewentualną nową częstotliwość wrogiej radiostacji. Tu masz skalę przybliżoną, a tu faktyczną...

– Gienia, ja nigdy się tego nie nauczę, bo nie mam o niczym pojęcia.

– Nauczysz się, nauczysz – zaśmiała się dziewczyna. – Tu nie tacy byli i jakoś pracują, a ty, uczeń technikum łączności, zaraz wszystko załapiesz.

Wieśkowi jednak naprawdę nie było do żartów z jego ambicją bycia dobrym. Weź tu i daj wszystkiemu radę, gdy wszystko co widać jest cholernie obce i skomplikowane. Nic go tak nie irytowało jak stojąca na środku sali ogromna krosownica, której nie rozumiał ani w ząb, a jednocześnie cholera go brała, gdy widział, jak Marysia Tołub operowała bezbłędnie połączeniami wielu dziesiątek dziur naraz.

– Gieniu – zapytał przerywając koleżance wywody mające go kształcić w dziedzinie skutecznego zagłuszania „Wolnej Europy", „Głosu Ameryki", BBC czy Watykanu, – a czy ludzi, którzy są po drugiej stronie kabla są wam znani?

– Nie – odpowiedziała Gienia. – Nam nie wolno z nimi się spotykać i znać. Tym bardziej, że to my jesteśmy zakonspirowani, jako wojsko, a nie oni. Jednak są to ludzie oddani władzy ludowej i zaufani. Nasz szef na pewno spotyka się z ich szefem w celu różnych uzgodnień, ale nam nie wolno.

– A powiedz, Gieniu – Wiesiek szeptał w zaufaniu, – czy ten stary kapitan też ma wyższe wykształcenie?

– Co tobie przyszło do głowy? – żachnęła się dziewczyna. – Tu z wyższym wykształceniem jest tylko kierownik, który jest podporucznikiem, a jego zastępcą jest właśnie kapitan B., który przyszedł do nas z Departamentu Śledczego. Inżynierowie i magistrowie są przeważnie w pelengacji i w zarządzie. Oni kontrolują i opiekują się wszystkimi urządzeniami. My tylko obsługujemy podległą nam aparaturę i polecamy załączać nadajniki zwane generatorami głuszący-

mi. Jeszcze muszę ci powiedzieć, o czym sam niebawem się przekonasz, że nasze nadajniki są bardzo słabe i nie przykrywają korespondenta tak szczelnie, jak byśmy sobie życzyli, ale to brzęczenie i klepanie ludzi denerwuje i może mniej słuchają...

– A ty wiesz, że ja jeszcze tego nigdy nie słuchałem? – „wpadł" jej w słowo Wiesiek. – Chociaż słyszałem, że to coś jest i że UB zabrania tego słuchać. Nawet jeden mi mówił, że kogoś aresztowano za słuchanie Londynu, ale ja myślałem, że tak trzeba, bo te obce radiostacje rozsiewają po świecie wrogą propagandę i niepokój. Nasza prasa pisze, że koniecznie za wszelką cenę imperializm amerykański dąży do wywołania trzeciej wojny światowej.

Towarzystwo było zgrane i życzliwe sobie nawzajem, chociaż nie bez tego, że zawsze kogoś nowego po cichu oplotkowywało. Ale potem się docierało i zaraz byli wszyscy na „ty". Przede wszystkim na tym punkcie pracowały cudowne dziewczyny – tak ogólnie dzisiaj Wiesiek określa koleżanki bez względu na stan cywilny, – które mu dużo pomogły, a on im pozostaje wdzięczny do dziś.

Z punktu BO mieszczącego się w willi na Żoliborzu tylko on jeden uczęszczał do technikum wieczorowego. Gdy szedł do szkoły, pozostali pracownicy rozdzielali pomiędzy siebie jego dwanaście nadajników, a więc przysparzali sobie dodatkowego zatrudnienia, żeby mu ułatwić naukę.

Wiesiek zapamiętał też panią Kupfer, która nic nikomu nie dała powiedzieć na partię, a po Stalinie płakała jeszcze w 1956 roku. Koledzy uprzedzili nowo przybyłego oficera, a by był raczej ostrożny:
– Możesz być niepotrzebnie uwikłany w jakieś podejrzenie. Przecież widzisz, że ta towarzyszka niczego nie umie a jest wśród nas.

To powiedzenie kolegi Wiesiek uznał za ostrzeżenie, aby się nie wychylać. Tym bardziej, że kiedyś niespodziewanie wtargnął do pokoju kierownika i zauważył nagrywanie rozmów prowadzonych pomiędzy operatorami punktu a operatorami obsługującymi gdzieś w mieście nadajniki. To go nie dotyczyło, ponieważ był lojalny wobec władzy ludowej, ale już zdawał sobie sprawę z takiego pojęcia jak prowokacja, więc nie wdawał się z nikim w rozmowy, które ktoś

mógłby zrozumieć dwojako i donieść gdzie trzeba. A że był lekkoduchem, więc podczas tych kilku wolnych chwil, gdy na poszczególnych częstotliwościach pracowało niewiele nadajników, włączał się do opowiadających kawały. Największych amatorów dowcipów był właśnie on i Zdzisiek. Obaj już byli po przeczytaniu „Dobrego wojaka Szwejka", więc dorabiali do tego własne koncepcje, a śmiała się cała załoga, oprócz kierownika zmiany, bo ten siedział za szybą w oddzielnym pomieszczeniu i tylko „jeździł" po pasmach wszystkich częstotliwości, nasłuchując czyj nadajnik pracuje dobrze, a czyj już spełza z korespondenta odsłaniając go. Dzwonił na dane stanowisko i nakazywał dostrojenie nadajnika. Operator z kolei dzwonił do tych, co je włączają i też nakazywał dostrojenie, chociaż sam niczego, albo prawie niczego nie słyszał.

Nadajniki ryczały, punkty kontrolne i kierownik zmiany pieklili się na ich rozstrajanie, a operatorzy robili wszystko, klnąc w żywy kamień życie i aparaturę, aby przykryć np. BBC. A gdzie ty go przykryjesz, gdy on wychodzi mocą może ze sto kilowatów, a tu nadajniki jeden i pół kilowata, w dodatku pracujące na dwóch częstotliwościach, zwane klapaczami. To znaczy, że ten jeden nadajnik był nastarajany na dwie sąsiednie częstotliwości i nie ryczał jednym ciągiem tylko klapał raz po jednej, raz po drugiej częstotliwości. W takich wypadkach ludzie w Polsce mogli wysłuchać wszystkiego, czego tylko chcieli.

Takie rozgłośnie jak „Wolna Europa", „Głos Ameryki", Ankara, Paryż czy Watykan wychodziły słabiej, więc i pokrywane były szczelniej. Natomiast BBC zawsze był obsługiwany tylko pro forma. Czasami po dwunastu godzinach pracy puchły skronie. Później jakoś to odchodziło i znowu się bombardowało po imperialistycznych rozgłośniach, aby narody nie wiedziały, co i gdzie się dzieje.

Były i nadajniki siedemdziesięciokilowatowe, ale przeznaczone na „eksport". Bo trzeba nieuświadomionym wiedzieć, że i w tej dziedzinie Układ Warszawski ściśle ze sobą współpracował. Warunki terenowe nieraz uniemożliwiały zastosowanie rodzimego nadajnika, a dobrze tam pasował obcy, więc na tej zasadzie istniała wymiana zagłuszaczy.

Kiedyś i Wieśkowi przypadło w udziale obsłużenie siedemdziesięciokilowatowego nadajnika skierowanego na Rumunię. Był wieczór. Wiesiek polecił zestroić tego giganta i usłyszał jak zagrzmiał. Wiedział, że te nadajniki rzadko się rozstrajają, więc zdjął słuchawki z uszu i poszedł obsługiwać inne, wewnętrzne nadajniki, pracujące na „Wolnej Europie" i „Głosie Ameryki". Po odpowiednim czasie kazał go zdjąć z częstotliwości i zakończył pracę.

Nazajutrz rano na punkcie szum. Okazało się, że Mołdawia złożyła ostry protest konsulowi polskiemu w Kiszyniowie z powodu przykrycia tego miasta polskim nadajnikiem zagłuszającym. Wiesiek dowiedział się, że uniemożliwił Mołdawianom, mieszkańcom Kiszyniowa słuchanie jakiejkolwiek audycji radiowej w czasie największej słuchalności. Był szum międzynarodowy, ale Wieśkowi włos z głowy nie spadł dzięki rozumnemu szefowi. Pietrakowski zaraz by oddał pod sąd, przynajmniej koleżeński.

Kiedy już Wiesiek nauczył się z drugą stroną obsługi nadajników, bo z początku bał się, że mu źle wypadnie, powierzono mu samodzielne stanowisko, na którym stało dwa radioodbiorniki Lambdasuperhetorodyny, pulpit sterujący i falomierz, rozkład audycji wrogich radiostacji, księga rejestracji godzin pracy nadajników i stopień ich skuteczności oraz nocna lampka stołowa. Chłopak się cieszył, że jest aż tak dobrze – pomieszczenie ciepłe i czyste, koledzy przychylni i solidarni, praca na zmiany, co było mu na rękę, bo mógł się dalej uczyć. Po dwunastu godzinach dziennych miał dwadzieścia cztery wolne, a po tyluż nocnych aż czterdzieści osiem. Poza tym, jak już się rzekło, do szkoły był zwalniany.

O tym jak ważną sprawą dla władz Polski Ludowej było zagłuszanie zagranicznych radiostacji świadczy fakt istnienia na każdym punkcie agregatu prądotwórczego. Jeżeli w dzielnicy „wysiadało" światło, od razu biegło się do piwnicy i włączało agregat, by nie daj Boże, nie przestały pracować nadajniki. Wiadomo, że była to taka sama „lipa" jak każda inna, bo jak już wyżej powiedziano – Londynu niczym się nie dało przykryć. Ale ot, aby zmarnotrawić jak najwięcej energii elektrycznej i udawać, że jest wszystko w porządku. Punkt

przed kierownictwem jednostki, ta przed ministrem, a on przed Układem.

W czasie rutynowej obsługi poszczególnych częstotliwości, na których pracowały obce radiostacje, Wiesiek dostrajał nadajnik na „Wolną Europę". Nagle usłyszał: – Tu rozgłośnia polska radia „Wolna Europa", za chwilę nadamy wypowiedź byłego wicedyrektora X Departamentu MBP, podpułkownika Józefa Światło. Nadajnik już pracował, ale Wiesiek zdjął klucz, aby posłuchać co za chwilę powie jego były bezpośredni przełożony. Rzeczywiście, głos i sposób mówienia były Światły. Znał go dobrze, ponieważ współpracowali ze sobą na co dzień.

Wiesiek nic nie wiedział o „pryśnięciu" swojego byłego szefa na Zachód. A teraz usłyszawszy jego głos włosy mu dęba stanęły, że zaraz zacznie sypać nazwiskami swoich byłych podwładnych. Ale to była naiwność młodego człowieka, który uważał się za coś ważnego w tej grze. W tej sytuacji podpułkownik Światło o współpracownikach nie wspomniał ani słowem. Natomiast mówił o komunistycznym reżymie, o prześladowaniach i morderstwach ludzi nie godzących się z socjalistycznym porządkiem narzuconym Polsce przez obce mocarstwo i o sługusach Moskwy. Wiesiek swym niedoświadczonym i młodzieńczym umysłem nie mógł pojąć kiedy Światło mówił prawdę. Bo przecież tak niedawno „wieszał psy" na imperializmie amerykańskim. Dalej opowiadał o rozpracowywaniu i inwigilacji pracowników urzędów i instytucji centralnych oraz wyższych funkcjonariuszy partyjnych, łącznie z kierownictwem Komitetu Centralnego PZPR. Mówił: – Towarzyszu „Tomaszu" (chodzi o Bolesława Bieruta) i towarzyszu Cyrankiewicz, powyciągajcie aparaty podsłuchowe w swych mieszkaniach. Przy tym wskazywał, gdzie one były konkretnie zainstalowane. Na przykład okazało się, że jeden z aparatów był zainstalowany w żyrandolu pokoju stołowego towarzysza „Tomasza".

Wiesiek był zmuszony z powrotem włączyć nadajnik, opuściwszy klucz do dołu, bo kierownik zmiany sygnalizował, że na częstotliwości 11850 nadajnik jest rozstrojony, gdyż słychać „WE". Nie wiedział, że Wiesiek słucha mowy swojego byłego szefa, który zdra-

dził ojczyznę idąc na współpracę z obcymi ośrodkami dywersyjnymi i wywiadowczymi, aby zaszkodzić Polsce i Związkowi Radzieckiemu. Posmutniał, że rzeczywiście może dojść do wybuchu III wojny światowej, w której może być użyta broń atomowa, ponieważ takowa jest w posiadaniu nie tylko USA. Wiesiek dobrze pamiętał słowa Stalina, który ostrzegł Stany Zjednoczone, że jeżeli wywołają wojnę to w ZSRR znajdzie się tyle bomb atomowych ile będzie trzeba, aby unieszkodliwić cały świat imperialistyczny, dążący do panowania nad światem. Ale co z tego – myślał – jeżeli zostanie zdruzgotana Warszawa i Moskwa oraz jego dwie ukochane córeczki?

Następnie Amerykanie drukowali miliony ulotek z wypowiedziami Józefa Światły i przy pomocy balonów kolportowali je na całą Europę. Wiesiek znienawidził Światłę za ten krok, ponieważ z niedalekiej przeszłości pamięta Jakuba Strelczuka, który należał do Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, współpracował z II Oddziałem sztabu Generalnego, z „defą", a następnie z gestapo. Po wojnie zaś wyjechał do USA, gdzie jest hołubiony, jako ten, który poświęcił życie do walki z czerwonymi.

Według Wieśka, tacy ludzie jak wyżej wymienieni oraz były attache wojskowy i attache kulturalny w Paryżu, którzy uciekli na Zachód, powodowali osłabienie własnego kraju pod względem ekonomicznym, a więc zubażanie stopy życiowej narodu, bo trzeba przecież od podstaw wszystko zdradzone przerabiać, przenosić i na nowo maskować. Niechaj się nie wygłupiają – zżymał się. – Oni nie myślą o własnym narodzie, tylko o własnych kieszeniach. Wiesiek widział w nich strasznych ludzi, którzy gotowi pójść na każdą podłość byle zarobić Piłatowe srebrniki.

Nie od rzeczy będzie dodać, że jeżeli jakaś wroga radiostacja wychodziła w eter tak silnie jak BBC to starano się ją zagłuszyć nie jednym ale kilkoma nadajnikami, jeżeli były wolne. Od chwili usłyszenia jak Światło szkaluje władze PRL i ustrój socjalistyczny, Wiesiek „przykrywał" radio „WE" tyloma nadajnikami iloma mógł, aby głos tego renegata nie ogłupiał Polaków. Dzisiaj o attache wojskowym z tamtych lat nie mówi się niczego, natomiast Czesław Miłosz wyrósł

na profesora i laureata literackiej Nagrody Nobla. Tym attache wojskowym PRL w USA był major Tykociński, który później znalazł się w Izraelu i dowodził dywizją pancerną.

* * *

W celu podniesienia kwalifikacji zawodowych operatorów, kierownictwo wprowadziło tak zwane techminimum, w ramach którego uczono nawet alfabetu Morse'a i umiejętności posługiwania się kluczem do szyfrowania. Ludzie bardzo chętnie na to przystali, bo chcieli być dobrymi fachowcami. Ale to już zaczęło być dokuczliwe, ponieważ absorbowało resztę tak potrzebnego wolnego czasu. Różne szkolenia ideologiczne, zebrania partyjne, organizowane zawsze po pracy, a trwające godzinami ostudziły zapał do szkolenia zawodowego, ale nie u wszystkich. Zresztą, nie wszystkim było to potrzebne. Wielu operatorów wiedziało z praktyki wszystko co dotyczyło zakresu ich pracy, a nadawania alfabetem Morse'a nie chcieli się uczyć, bo to sprawa innych – mówili. Ale tylko mówili miedzy sobą, na zajęcia zaś musieli uczęszczać, bo taka była wola kierownictwa.

Wiesiek nawet brał do domu generator i ćwiczył kluczem ti-ti-ta-ta. Nie miał jednak na to za dużo czasu, gdyż pochłaniała go nauka w technikum, dalekie dojazdy i kłopoty rodzinne. Zarobki Broni były niewielkie, a i Wieśkowe nie dawały luksusowego utrzymania. Postanowili zarobić na własnej krwi i od czasu do czasu jeździli na ul. Chocimską do Instytutu Hematologii, aby ją tam sprzedać. Nie było tego wiele, ale grosz do grosza...

Bronia okazała się zarozumiałą bez pokrycia, a zatem i wymagającą ponad stan. Była zadufana w sobie, więc zapragnęła mieć portret. Wtedy chodzili malarze z Lublina i przyjmowali zamówienia na tego rodzaju podobizny. Bronia od razu zamówiła sobie portret z posiadanego zdjęcia, nie licząc się z tym, że nie ma pieniędzy na bardziej potrzebne rzeczy do domu i wyżywienie. Gdy Wiesiek zapytał przy oferencie skąd wezmą pieniądze na ten portret Bronia narobiła takiej awantury, że sam proponujący chciał się wycofać z oferty. Portret jednak był wykonany i opłacony. Trzeba jednak przyznać,

że nie była wybredna jeśli chodziło o ubrania i jedzenie. Wiedziała, że jest trudno i z tym się godziła. W tych latach w PRL obowiązywał system kartkowy. Wiesiek by nawet o tym nie pamiętał dzisiaj, gdyby nie to, że mając kartkę na 60 dkg cielęciny stał po nią w sklepie MBP przy ul. Rakowieckiej aż dwa dni. W dodatku jeżdżąc po to mięso aż z ul. Górczewskiej, zamiast się uczyć. Ale taka była sytuacja.

W lipcu otrzymał skierowanie na wczasy rodzinne do Olecka. Pojechali ze starszą, trzyletnią Anusią, a półtoraroczna Iwonka została pod opieką małżeństwa Jankowskich, którzy na ten czas zgodzili się zamieszkać u Broni i Wieśka. Po dwutygodniowym pobycie zorientowali się, że można mieć ze sobą i drugie dziecko, więc Wiesiek pojechał do Warszawy po młodszą córeczkę. Wszedł rano do domu od razu otworzyła oczka i powiedziała: – Tiatia, ja cie siuchego chlebcia. Wieśkowi serce stanęło z żalu, że dzieciak jest głodny do tego stopnia, że marzy o kawałku suchego chleba. Zabrał je i powiózł na wczasy, gdzie wszyscy najadali się do syta.

Na wczasach Bronia też pokazała co potrafi, a Wiesiek nie wiedział, gdzie ma schować oczy przed wczasowiczami, którzy jawnie z niego kpili, nazywając szwagrem starszego sikawkowego albo wręcz rogaczem. Kiedyś szedł alejką już będąc po kolacji usłyszał fragment rozmowy: ...chłopak nogi myć i wodę pić, a ta k... na oczach wszystkich puszcza się z chabetą ni do Boga, ni do ludzi. Rozmowę było słychać doskonale i na pewno Wiesiek dowiedziałby się więcej, ale nie chciał stać i słuchać; jemu wystarczyło to, co sam widział i teraz słyszy. Ale dzieci, dzieci... Powrót do domu też był awanturniczy, a w domu dokończyli na oczach szwagrostwa. W narodzie mówią – sądzę ciebie według siebie. Tak i Bronia. Po przyjeździe na dworzec Wileński, grupa warszawiaków udała się na przystanek tramwajowy przy ul. Towarowej. Wiesiek z Bronią i dziećmi czekał na tramwaj „26", inni – na inne. Jacyś państwo wsiedli do „18" i na pożegnanie pomachali ręką. Wiesiek też im pomachał, a ta od razu: – Ty skurwysynu, już się zalecasz?! Nie zważając na ludzi krzyczała zarówno na przystanku jak i w tramwaju. Dobrze, że Wiesiek był po cywilnemu.

Było też trochę przyjemności, lecz niepełnej, ponieważ dusza już nigdy nie może oczyścić się z rdzy, która ją przeżarła. Ale póki się żyje, coś trzeba robić. Dziewczynki pięknie rosły i nad podziw się rozwijały. Umiały sporo wierszyków i jedna przed drugą popisywały się przed tatą. Anusia będąc jeszcze zupełnie maleńką, bo przed urodzeniem Iwonki, nauczyła się od babci z Sadyby śpiewać jakąś wojskową piosenkę. Umiała ją całą i pięknym głosikiem po dziecinnemu sepleniła jej słowa, a rodzina się cieszyła i wybuchała śmiechem, gdy ten maluch kończył „...kupię ciewići" – tatusi, dodawała, bo w tekście tego nie było.

* * *

Zbliżał się kolejny Sylwester w życiu Wieśka, całkiem inny, niż „Bogaty Wieczór", który obchodzono w jego stronach czternaście dni później. Na Sylwestra, a ściślej – w noc Sylwestrową Polacy bawią się na zabawach w różny sposób organizowanych. Natomiast we wsi Wieśka ludzie wieczerzali jedząc mięso i tradycyjnie na ten wieczór przygotowaną kiszkę kaszaną. Nawet najbiedniejsi jedli kolację okraszoną skwarkami.

Wieczór ten nazywano *Hohotuchą*. Wtedy kobiety zbierały się w kilkuosobowe grupy i *hohotały*, czyli śpiewały odpowiednie pieśni wesołe, aby właśnie otrzymać kiszki czy kiełbasy. Wiedziały do kogo iść z tą *hohotuchą*, a kogo omijać bo nie da, gdyż sam w ciszy rodziny zjadał kapuśniak z chlebem zaledwie omaszczony i to skąpo. Nawet ktoś wymyślił brzydką piosenkę: *Hohotucha hohotała, nigdy kiszki nie dostała*... i tak dalej, ale tego co dalej nie można do rymu przetłumaczyć dosłownie. Zresztą, i tak nie warto przytaczać, bo po co bez potrzeby powoływać się na cudzą głupią „mądrość".

Wiesiek z Bronią postanowili, że w ten wieczór sylwestrowy do Anusi i Iwonki przyjdzie Dziadek Mróz. Przyszedł Wiesiek tak ucharakteryzowany na Mikołaja, że dzieci nie poznały. Bardzo się denerwowały odpowiadając na pytania i na wyścigi, jedna przed drugą, mówiąc wierszyki. Nawet w pewnym momencie mniejsza Iwonka powstrzymała Anusię, że właśnie ona powie wierszyk o marchew-

ce czy o ziemniaczku, a „Dziadek Mróz" rozpływał się w uciesze, gdy Iwonka mówiła: „Pójdź, ziemniaćku, do ganuśka i ugotuj się. Ź malchewećką, pietusiećką w galku siobie leź, będzie ziupka dla Anusi i tatusi też". Po otrzymaniu podarków dzieci pożegnały Dziadka Mroza, a za chwilę powitały przybyłego „z pracy" tatę i też jedna przed drugą opowiadały, jaki to dobry był Dziadek Mróz i chwaliły się podarkami.

Miło było patrzeć na radosne dzieci, ale w sercu wcale radośnie nie było, gdy patrzyło się realnie na sytuację rodzinną. Wiesiek zawsze był gotów wszystko puścić w niepamięć niby zły sen, ale nazbyt często Bronia przywracała go w realia życia codziennego. Nie mógł zapomnieć nie będąc przeproszonym wydarzenia sprzed roku czy półtorej, gdy to niespodziewanie wrócił do domu ze służby i nadział się na Bronię leżącą na amerykance z sąsiadem, Tadkiem Wejcmanem. Nie zabezpieczyli się zamknięciem drzwi, wyganiając z domu dzieci, a ten jak raz na to wszedł. Napluł Broni w oczy, a Tadka poprosił do kuchni, aby przy winie porozmawiać o sytuacji. Gdy Wejcman z przestrachu, że Wiesiek może wpaść w furię, przyznawał się do „pomocy sąsiedzkiej", rogacz czekał, że może żona wstanie z wersalki i chociaż dla ludzkiego oka zaprzeczy wszystkiemu. Nic takiego się nie stało. Widocznie oboje paraliżował strach przed pistoletem. Wejcman nawet siedział z rozchełstanymi spodniami, bojąc się je poprawić. Myślał, iż Wiesiek nie widzi.

Rozstali się jak na szwagrów przystało – w przyjaźni i pokoju. Bronia z dziećmi w kuchni już się nie pokazała i chyba nawet bez kolacji położyła się spać, a Wiesiek siedząc w kuchni rozmyślał nad swoim teraźniejszym i przyszłym życiem.

Doszedł do wniosku, że życia nie miał i mieć nie będzie. Wyjął z kabury pistolet i zarepetował go z myślą odebrania sobie reszty tego podłego życia. W tym momencie niby cień wpełzła do kuchni malutka Iwonka. Wiesiek się zawstydził, rozpłakał się i chwycił dziecko na ręce, całując je przyrzekał, że nie popełni samobójstwa dopóki ich nie podchowa. Iwonkę położył obok Anusi na wersalce, a sam się położył na tapczanie obok żony, która zawsze w czasie zbliżenia łóżkowego wy-

mieniała imiona Stefana, Józka, Tadka. Któregoś razu nawet brzegiem dłoni szukała wąsów pod nosem Wieśka. Cierpiał, bo kochał i żałował dzieci, sam nie znając miłości matczynej, bo jej nie pamiętał, gdyż był niemowlęciem jak ona zmarła, a ojciec go tylko bił póki żył, bo pragnął pochwał od macochy. A czyż nie mógł nakazać

A wtedy czyż nie mógł Wejcmana wyprowadzić z rękoma uniesionymi do góry i spuszczonymi spodniami na klatkę schodową, i narobić rabanu? Wtedy jego żona Lidka sama wszystko by za niego załatwiła. A toż nie...

* * *

Nadeszło lato 1955 roku. Wiesiek otrzymał kolejny stopień oficerski, a w Warszawie szykował się Międzynarodowy Festiwal Młodzieży Świata i zbliżał się czas urlopu, czyli same przyjemności. Każdy rozumny człowiek w takiej sytuacji, gdy młodzież całego świata zjeżdża się do Warszawy, pozostałby w niej, aby uczestniczyć w różnych imprezach. A on zabrał rodzinę i pojechał na wieś do wujka harować w polu i spać na słomie rozesłanej na podłodze dziurawej chaty zwanej szkołą, bo z powodu braku lepszego pomieszczenia do nauki dzieci stało tam parę ławek szkolnych. Teraz były wakacje, dzieci siedziały w domu, a Wieśkowe maluchy bawiły się w szkołę, podczas gdy on całymi dniami machał kosą, aby wujostwu zapewnić chleb na zimę. Było też przyjemnie, bo Wiesiek bardzo kochał swoją wioskę, pola i ścieżki, po których chodząc lał łzy, ropę z gnojniaków i krew z pokaleczonych nóg.

Ciągnęło go tam jak magnesem i jechał, bo trudno sobie wyobrazić, aby kiedykolwiek komukolwiek dziki ptak usiadł na głowę. Tymczasem Wieśkowi, gdy szedł z pola grając na akordeonie, który sobie przywiózł z Warszawy, usiadła kukułka na rozciągający się miech instrumentu. Wiesiek wiedział, że tego dnia dokosi żyto, więc wziął ze sobą w pole akordeon, aby odznaczyć dożynki. Związawszy i postawiwszy w mendel ostatni snop rozciągnął akordeon i zagrał, aż echo odbiło się o ścianę lasu zwanego Biegunką. Muzykę słychać było nawet daleko we wsi. Tak sobie szedł i grał obwieszczając wszem

i wobec zakończenie żniw. Nagle patrzy, a tu klapnął na akordeon jakiś ptaszek. nadleciał z tyłu, od lasu i Wiesiek zobaczył go dopiero, gdy usiadł na śliskim instrumencie, wachlując skrzydełkami aby się na nim utrzymać.

Zebrał akordeon do kupy, aby uspokoić ptaszka i szedł już cicho, a kukułka chwiejąc się przypatrywała mu się ni to ze zdziwieniem, ni to z jakąś pretensją. Wiesiek szedł i bardzo chciał, aby kukułeczka pozostała z nim, aż póki zajdzie na podwórko i to cudo pokaże dzieciom i żonie. Okazało się, że się bał niepotrzebnie, bo kukułeczka nawet nie myślała uciekać. Sfrunęła na płot dopiero wtedy, gdy do taty podbiegły dzieci, aby zobaczyć co to takiego on przyniósł z pola. Żałowały, że nie dała im się pogłaskać. A ona niby z pretensją obejrzała się na nie z płotu i poleciała na gruszę.

W czasie gdy Wiesiek zbierał plony z pola wuja, wuj z synem pracował w Warszawie na Dworcu Zachodnim, bo w domu było mu ciężko gospodarzyć. Przy odjeździe zapytał wujenki ile płaci za udostępnienie lokum w „szkole", wujenka machnęła ręką: – At, tyle pomagałeś, wystarczy trzysta złotych. Wiesiek miesięcznie zarabiał tysiąc czterysta czterdzieści złotych. Przypuszczał, że jeżeli zorganizują sobie wyżywienie na własną rękę, to wujenka odstąpi ten „apartament" za pracę. Ale wujenka dobrze wiedziała, że Wiesiek jest nadal parobkiem z tym tylko, że teraz – z cenzusem.

Będąc na urlopie miał okazję odwiedzić matkę chrzestną, córkę diakona i jednocześnie pochwalić się przed tą szacowną rodziną swoją żoną i pięknymi córeczkami. W niedzielę wybrali się do cerkwi, a że chrzestna mieszkała w tej samej wsi, w której była cerkiew, więc po nabożeństwie zaprosiła ich do siebie. Dziadek diakon z żoną, a zresztą i matka chrzestna też, prawdopodobnie po raz pierwszy spojrzeli na Wieśka ludzkim okiem. Może nie tak na niego samego, jak na to, że jest w mundurze oficerskim – on, wczorajszy obdartus. Diakon, patrząc na śliczne dzieci zauważył: – Ależ ładne te wasze córeczki, aż nie można oczu oderwać. A jak one się nazywają?

– Anusia i Iwonka – chórem odpowiedzieli rodzice.

– A gdzie ty je pochrzciłeś, w kościele czy w cerkwi?

– Nigdzie – odpowiedział teraz już sam Wiesiek zgodnie z prawdą.

Najpierw poszedł po izbie pomruk niezadowolenia, a później dziadek wstał z krzesła i zaczął wielkimi krokami przemierzać izbę do drzwi i z powrotem, tudzież nerwowo wydawać dźwięki: pam, pam, pam. Reszta milczała. Chodząc prawdopodobnie szukał jakiegoś przygniatającego argumentu, którym za chwilę miał przygwoździć bezbożnika. I właśnie, jak mu się wydawało, takowy argument na jego potępienie znalazł, bo oto zatrzymał się przed Wieśkiem i prawie w sam nos zasyczał: – Jak to tak, żeby twoje dzieci pozostawały Żydami? O, tutaj siedzi twoja matka chrzestna, która chrzcząc ciebie w cerkwi przyrzekła Bogu, że będzie za ciebie odpowiedzialna!

Do monologu dziadka dołączyła Bronia i zaczęła narzekać, jaki to Wiesiek odszczepieniec, a ona byłaby gotowa pochrzcić je nawet w cerkwi, chociaż jest katoliczką. Od razu się wszystkim spodobała, a więc chórem obruszyli się na oficera i jego poglądy. Ten poczekał, aż się wygadają i rzekł: – Dziadek mówi, że matka chrzestna obiecała Bogu być za mnie odpowiedzialną, kiedy miała zaszczyt być kumą u moich rodziców. Wiedzą Bóg i ludzie, że ja zostałem sierotą już w półtorej roku życia. Miałem złą macochę i niedbałego ojca, który zresztą też długo nie żył, ale wróćmy do czasów sprzed wojny. Czy matka chrzestna wiedziała, że ja zawsze głodowałem, chodziłem boso i nago, i byłem nieustannie tylko bity? Czy chrzestna mama dała mi choć raz kawałek chleba? Czy mam chrzestna zadbała o to, abym chociaż jeden raz znalazł się w szkole?

Chrzestna i jej matka cicho siedziały zawstydzone, natomiast diakon zareplikował: – A czego było do tej szkoły chodzić, kiedy tam uczyli tylko lepienia garnków?!

– Niech bym się nauczył garnki lepić, to też zawód – odpierał argumenty Wiesiek.

– Kiedy u nas i tak byś więcej nie ukończył niż cztery oddziały tej podstawówki, łażąc do niej przez siedem bitych lat – trzymał się dziadek swej idei.

– Dobre i to. Za Polski ukończyłbym cztery klasy, a za Sowietów uczyłbym się dalej. A tak po przyjściu Sowietów musiałem iść tylko do drugiej klasy mając trzynaście lat i z tymi trzema klasami, które ukończyłem za okres istnienia u nas Sowietów poszedłem do wojska!

– To może mi powiesz, w co ty wierzysz?!

– W partię wierzę, drogi dziadku i w socjalizm, bo tylko ten ustrój dał możliwość takim jak ja stania się ludźmi.

Dziadek-diakon dalej chodził po izbie milcząc, ale intensywnie o czymś rozmyślając, aż do wystąpienia sinej żyły na czole. Trzeba zaznaczyć, że diakon był bardzo poważanym człowiekiem w swoim środowisku za wiedzę, którą reprezentował i za zasługi dla batiuszki-cara. Posiadał nawet kilka carskich orderów, jako jakiś wysoki czynownik czy wojskowy. Wiesiek nie wie, gdyż o tym nigdy nikogo nie zapytał, ale widział zdjęcie w niby wojskowej formie. Za Sowietów zaś był nauczycielem we wsi Policzna i nauczał dzieci nie tylko piosenek radzieckich, ale i miłości do tej władzy.

Po paru minutach znowu zatrzymał się przed Wieśkiem i ni to z zazdrością, ni to z zadowoleniem rzekł: – Znaczy się wierzysz w partię? Co to takiego ta wasza partia komunistyczna, kiedy wy wszyscy gotowi jesteście za nią położyć głowy. Kiedy odstępowała Armia Czerwona w czasie napaści niemieckiej w czerwcu 1941 roku – ciągnął dziadek, – u mnie zatrzymało się dwóch sowieckich oficerów i tak jak dzisiaj ty powiedzieli, że wierzą w partię, która zmobilizuje wszystkie siły dla obrony ojczyzny i znowu tu wrócą. Widząc spasionych, roześmianych i po zęby uzbrojonych żołnierzy niemieckich, nie dałem im wiary w powrót do nas. Ale nie sprzeczałem się, nie zbijałem ich z pantałyku. Myślałem sobie: – Zjedzcie młodzieńcy, co wam żona podała i szybciej zmykajcie, by już u mnie nie dostać się do niewoli. Okazało się, że ci oficerowie mieli rację wierząc w partię, bo za parę lat jednak wrócili. Nie tylko zresztą wrócili sami, ale rozgromili tak potężną armię i jeszcze wyzwolili Europę od niechybnej śmierci.

– No, cieszę się, że dziadek mnie zrozumiał – poweselał Wiesiek. – A to już myślałem, że zostanę wygnany z domu...

– Nikt ciebie z chaty nie wygania, ale w Boga trzeba wierzyć i dzieci chrzcić, a nie hodować w domu Żydów.

– A czy wasz syn Wołodia był ochrzczony?

– Był, a jakże.

– A w Boga wierzył?

– Do czego ty zmierzasz, kiedy mój syn już dawno nie żyje?!

– A właśnie. Był ochrzczony i w Boga wierzył. A zginął od niemieckiej kuli w furtce swojego podwórka, kiedy wracał z frontu po rozpadzie Wojska Polskiego, którego był żołnierzem...

– Zginął, bo do domu szedł w mundurze.

– A mało cywilów zginęło od wkraczających wojsk niemieckich? A przecież żołnierze niemieccy nawet na sprzączkach pasów głównych nosili napis *Gott mit uns* – Bóg z nami. Czemu więc nie pofatygowali się podjechać motocyklem i zobaczyć, co ten polski żołnierz robi, tylko od razu, bez żadnego wyjaśnienia czegokolwiek wzięli i zastrzelili, jak jakąś kuropatwę.

Po tej wypowiedzi Wieśka wszystkich niby zamurowało. Co kto myślał trudno zgadnąć, ale z niczyjej strony żadnej repliki nie było. Wiesiek też nie wiedział co się stało i zawstydził się swojego argumentu, bo z natury rzeczy był delikatny i wolał wiele przemilczeć, niż powiedzieć coś niestosownego. Dużo wycierpiał od ludzi z powodu niedomówień, ale taki już był i pozostał.

Po skończonych odwiedzinach, diakon, który w czasie wesela, gdy jego córka, a Wieśka chrzestna matka wychodziła za mąż nawet nie zwrócił na głodnego chłopaka uwagi, z zadowoleniem i poczuciem dumy odprowadził Wieśka z żoną i dziećmi aż do połowy drogi między wsiami. Idąc wciąż powtarzał, że nie matura, lecz chęć szczera robi z ludzi oficerów.

– Cieszę się – mówił, – że jesteś oficerem i wiem, że na takich jak ty rząd może polegać. Szkoda tylko, że komuniści nie wierzą w Boga, bo przecież wiadomo, że bez Boga ani do proga, a z Bogiem i za morze. U nas tu kiedyś służył batiuszka Łopatinski i my jednego razu na plebanii w gronie *priepodobnych* przyjaciół trochę wypiliśmy. Batiuszka Łopatinski w pewnym momencie wyszedł na dwór czegoś.

Czekamy, czekamy, a jego nie ma. Myślimy – co się mogło stać i nawet przestaliśmy odmierzać czarki ze strachu. Aż po jakimś czasie wchodzi na plebanię biedny duchowny, cały mokry i mówi, że wraca z tamtego świata. Pamięta, że się utopił, okazał się na niebie, zobaczył je i wrócił z powrotem, aby nam opowiedzieć jak tam jest...

– I wyście w to uwierzyli? – ośmielił się zapytać Wiesiek.

– A uwierzyliśmy, bo batiuszka Łopatinski nigdy nie kłamał.

– Dziadku, rzeczka płynie tuż obok plebanii, a Łopatinski prawdopodobnie położył się na jej brzegu, aby się ochłodzić po spożytej wódce i mógł stoczyć się do wody. Jakoś udało mu się wykaraskać, więc wrócił żywy i pożartował z wami, że był na tamtym świecie.

– No, no, no. Ty mi tu przestań pleść banialuki, bo mnie i tak na komunistę nie wsadzisz. Ty myślisz, że jak z ciebie zrobili niedowiarka, to i ty z nas będziesz ich robić? Niechaj sobie ty nie wierzysz, ale co złego byłoby w tym, żebyś dzisiaj ty pozwolił swoim dzieciom podejść i pocałowac krzyż, kiedy wszyscy podchodzili po zakończonej służbie cerkiewnej? Ludzie to widzieli i komentują ganiąc ciebie.

– A ja nic na pokaz nie robię. I teraz nie chciałem, żeby moje dzieci całowały obśliniony krzyż, kiedy już wszyscy go obficie obślinili.

– Masz rację, bo ja tego też nie lubię, ale dzieciom nic by się nie stało, a ty uchodziłbyś w oczach ziomków za porządnego człowieka, a tak obgadują, bo przecież tylko na ciebie dzisiaj zwracali uwagę, bo tylko ty świeciłeś gwiazdkami chodząc naokoło cerkwi.

Wiesiek zamikł, bo mu zrobiło się przykro, że teraz ludzie aż tak nań zwracają uwagę i komentują z obrzydzeniem jego zachowanie, gdy jeszcze tak niedawno jego los był wszystkim obojętny. Komentują, jak dziadek mówi, że nie dopuścił, złapał i przytrzymał, gdy dzieci puściły się, aby pocałować krzyża obślinionego, a nikt, w tym i dziadek, nawet nie rochnie o fakcie dostarczenia do tej cerkwi przez tego oto niedowiarka krzyża znalezionego w bieszczadzkich krzakach w 1947 roku. Innych to by zaraz wspominali w czasie kazań, a mnie – myślał Wiesiek – nadal traktuje się jak coś najgorszego. Taki to już jest ten obłudny świat. Gdyby na przykład ten krzyż

został dostarczony przez osobę lubianą przez aktualnego batiuszkę, to by na jego przykładzie zachęcał w coniedzielnym kazaniu do brania z niego przykładu, jak się służy Bogu, a tak, to nawet nikt o tym nie wie.

Diakon zapytał, dlaczego Wiesiek nic się nie odzywa. A Wiesiek odpowiedział, że nic, tylko jakoś mu się zrobiło markotnie i chyba już będą się musieli pożegnać, gdyż dziadek i tak już tyle drogi odprowadził. Diakon ściskał mu prawicę i uważnie przyglądał się.

– Gdy patrzę na ciebie widzę twoją pokojną matkę. Jesteś tak bardzo do niej podobny. Bywało, kiedy jeszcze żyła ta wspaniała i wykształcona, jak na owe czasy, kobieta nie było poniedziałku, abym nie zajechał do was na wódkę jadąc z jarmarku z Kleszczel. Oho, Hanna... A kiedy ona biedna zmarła i twój ojciec się ożenił z tą zadrypanką, to już moja noga tam nie stanęła.

To była pierwsza i ostatnia rozmowa pomiędzy dwoma biegunami, z których jeden tylko teraz został dostrzeżony, kiedy został odziany w mundur wojskowy i w dodatku z gwiazdkami na naramiennikach. Wiesiek na pewno byłby dostrzeżony przez dziadka i dużo wcześniej, ale on tam nie zachodził, o nic nigdy nie prosił, więc nie zwracał na siebie uwagi.

Zresztą Wiesiek nawet babci, która mieszkała w tej samej wsi o parę chat od niego też się z niczego nie zwierzał i o nic nie prosił. Raz poprosił chleba, widząc jak inni jej wnukowie, nawet ci bogaci jak Polikarp i Iwan, rwali go spod obrusa. Ale babcia widocznie zagniewana na nich za takie postępowanie odburknęła Wieśkowi żeby się odczepił. Ten się odczepił na zawsze. Chyba że wuj Roman czasem siłą posadził za stół i nakazał jeść, to jadł. Ale też się wstydził, że u obcych, a nie u siebie je. Koledzy bardzo z tego się wyśmiewali i brzydko takich nazywali. Rozumni gwizdali na wyśmiewy umysłowych platfusów, a ten dureń mógł umrzeć z głodu, lecz nie poprosił.

Po pożegnaniu się z dziadkiem przez pocałowanie go w rękę, rodzina wróciła do „swojej szkoły". Wiesiek z żoną pozostali na podwórku, a dzieci pobiegły do koleżanek – obie w mig nauczyły się mówić po „chachłacku".

Rodzina ze wsi wróciłaby wypoczęta i szczęśliwa, gdyby nie wypadek z kartami w pociągu jadącym z Hajnówki do Warszawy. Ktoś z pasażerów szukał chętnych do gry w tysiąca. Przyłączyli się Wiesiek z Bronią. Już w drugim albo w trzecim rozdaniu Wiesiek wziął przykup, w którym był król czerwienny. Podejrzał, że u Broni jest do niego para, więc króla dał komuś innemu. Bronia trzasnęła kartami o podłogę, a Wieśka wyzwała od alfonsów, który zawsze sprzyja tylko obcym, a o nią nie dba. Ludzie wycofali się z imprezy, pozbierali karty i przeszli do innego przedziału, a „kochające się" małżeństwo awanturowało się aż do Dworca Wschodniego.

* * *

Gdy wrócili do Warszawy Festiwal młodzieży i Studentów Świata już dobiegał końca. Po wałęsających się delegatach różnej maści widać było znudzenie i zmęczenie. A po stolicy krążyła masa najróżniejszych plotek, zarówno o zachowaniu się młodych delegatów, jak i młodych Polaków. Niestety, okazało się, że były fakty kradzieży i... zamęczenia na śmierć kilku dziewcząt w Parku Dreszera przez obcokrajowców, którzy ustawiali się w kolejkę, jakby nie było innych kobiet. Przy ciałach denatek milicja znajdowała po parę dolarów, czasem zegarek. A ile potem urodziło się Murzynów i Arabów nikt nie ujawnił. Na pewno było bardzo wesoło.

Wiesiek, dowiedziawszy się, że występuje cyrk radziecki z Moskwy, poszedł do brata wujecznego, u którego ojca tylko co wykosił zboże, aby go zaprosić na tę imprezę. Paweł, jak się wyżej rzekło, wraz z ojcem mieszkał w baraku kolejowym przy Dworcu Zachodnim, gdzie i pracowali. Cyrk występował w Hali Mirowskiej. Narodu była taka masa, że nie było gdzie wcisnąć przysłowiowego jabłka. Występował słynny komik cyrkowy Oleg Popow. Z początku ludzie śmieli się normalnie aż hala trzeszczała, ale po jakimś czasie ogólnej wesołości już chyba ludzi kolki pospierały, bo było słychać tylko rzężenie i ojkanie, a Oleg dokazywał nie wypowiedziawszy ani jednego słowa.

Tyle było Wieśka udziału w Festiwalu, a Bronia i tego nie widziała, bo do cyrku iść nie zechciała. Na pozostałe dwa tygodnie pojecha-

li do Olecka, gdzie Wiesiek doświadczył miana rogacza, gdy zobaczył kolejkę do żony w cudzym namiocie. Dużo by o tym pisać...

Lato szybko minęło, a urlop jeszcze szybciej. Powróciły szare dni, przepełnione nieustanną krzątaniną dnia codziennego, a dla Wieśka dodatkowo nauką w Technikum Łączności, do którego uczęszczali do niego przeważnie wojskowi i pracownicy MBP związani ze służbami łączności oraz cywilni pracownicy telekomunikacji.

* * *

Z chwilą ukończenia szkoły podstawowej i przejściu do pracy w Zarządzie Łączności Specjalnej Wiesiek jakby odżył w sensie swej wartości. Tu bowiem w 1954 roku został wicemistrzem „Gwardii" w strzelaniu z KB-4, a rok później i otrzymał wyższy stopień oficerski.

W strzelaniu był zawsze dobry, chociaż nie zawsze był prawidłowo oceniany przez zazdrośników w rodzaju Pietrakowskiego, a już na pewno nikt nie myślał o tym, by go robić mistrzem. Dopiero tu zwrócono nań uwagę, gdy okazało się, że strzela najlepiej z całej jednostki. Ale to wcale nie oznacza, że umożliwiono mu chociażby jaki taki trening. Po prostu gdy „Gwardia" ogłosiła, że zostaną przeprowadzone mistrzostwa w strzelaniu jesienią 1954 roku ktoś pomyślał, że można pchnąć tam Wieśka. Gdy w czasie zawodów przyszła jego kolej na strzelnicy, bez nadziei zajęcia jakiegoś liczącego się miejsca, położył się na wyznaczonym stanowisku i na sto metrów trafił dwie dziesiątki i dziewiątkę. Skrycie myślał, że już został mistrzem, do momentu, gdy zaczął strzelać Rysiek, bardzo przystojny oficer z tej samej służby specjalnej. Strzelił trzy dziesiątki i to on został mistrzem, a Wiesiek „wickiem".

Niestety, ten zakompleksiony człowiek nawet nie potrafił się cieszyć, nikomu o tym nie powiedział, bo wiedział, że jego radości i tak nikt z nim nie podzieli. Kiedyś na odpuście w Wilanowie nikt nie potrafił strącić piramidki ustawionej z pudełek i zarobić butelkę wina. Wiesiek zrobił to za pierwszym razem lewą ręką, bo rzuca lewą, chociaż goli się, trzyma nożyce i przyszywa guziki zarówno lewą jak

i prawą ręką. Gdy po jego szparkim uderzeniu piłką piramidka rozprysła się jak woda, ludzie wybuchli krzykiem: – Niech żyje lewa ręka! A żona i rodzina żony, którą teściowa zaprosiła na obiad nawet nie uwierzyła w to. Myśleli, że Wiesiek wino po prostu kupił.

* * *

Nadszedł rok 1956. Rok nieszczęść dla Polski i dla Wieśka. W pracy póki co szło wszystko normalnie. W domu, jak zawsze, ale już nie chce się o tym wspominać. Nauka natomiast szła nie najgorzej i za drugi okres roku szkolnego 1955/56 wszystkie przedmioty były ocenione na 4, a język rosyjski na 5. Ale że Wieśkowi nigdy nic nie przychodziło lekko, bo zawsze go prześladował przeklęty pech, więc trzeba było, aby na jego nieszczęście zmarł prezydent RP Bolesław Bierut.

Od czasu wystawienia w gmachu KC PZPR przy ul. Nowy Świat trumny z ciałem prezydenta na widok publiczny do czasu pogrzebu obejrzało ją setki tysięcy, jeżeli nie miliony. Wiesiek nie wiedział czy ci ludzie byli gnani do Warszawy siłą, czy szli i jechali dobrowolnie, ale wokół gmachu Komitetu Centralnego nie można było się przecisnąć. Z tym, że to „wokół" to ulice Nowy Świat, Aleje Jerozolimskie, Plac Trzech Krzyży, Książęca i inne pobliskie ulice, które były zatłoczone na amen. Wydawało się, iż cały naród przybył, aby się pokłonić Bolesławowi Bierutowi. Wszystkich bram i możliwych wejść pilnowała masa milicji i różnych innych, do tego powołanych służb, wśród których byli wojskowi, strażacy i cywile z opaskami.

W przeddzień pogrzebu wyruszyło i Technikum Łączności nr 3, aby odwiedzić i oddać cześć nagle zmarłemu prezydentowi. Ponieważ szkoła przyszła pod KC znacznie wcześniej niż miała być otwarta brama od ul. Książęcej, na komendę dyrektorki uczniowie zaczęli się przepychać jak najbliżej do bramy, żeby po jej otwarciu być pierwszymi. Tłum falował, ścisk był nieznośny, a bramę mieli otworzyć dopiero o piętnastej. Cel dyrektorki był jasny – obejrzeć trumnę ze zmarłym i na czas wrócić do szkoły. W tym tumulcie okazało się, że Wiesiek już nie widzi nikogo z kolegów. Zbrzydł mu ten harmider

i ścisk. Rad byłby opuścić to zgromadzenie i pójść już nie do szkoły, a do domu. Ale nie, wyjść już nigdzie nie było można. Do ogrodzenia miał kilka metrów i widział tam stojących oficerów.

Nagle brama otwarła się i tłum, jak stado bizonów na prerii, ruszył do szturmu gmachu KC. Wiesiek upadł. Ale upadł już nie na gołą ziemię, a na kogoś. Powstał niesamowity i histeryczny wrzask. Znajdujący się pod nim ludzie najpierw krzyczeli, przerażeni, że mogą być zgnieceni na śmierć, później już tylko charczeli, aby za chwilę zacichnąć. Wiesiek upadł o tyle szczęśliwie, że nie na wznak, a na brzuch. Przy tym był bardzo zdrowy i wysportowany, więc chociaż z ogromnym trudem, ale jakoś znosił napór ludzi i coraz cięższą stertę leżących na sobie ciał.

Nie wiedział jak długo to wszystko trwa. Był pewny, że tym razem nie wykaraska się od śmierci. Słyszał wrzawę i tumult z wierzchu, znowu czyjeś rzężenie nad sobą, czy gdzieś obok i histeryczny krzyk o pomoc dopiero co zwalonych i duszonych ludzi. Przez ten cały czas dotychczasowe życie przebiegało mu przed oczyma, jak w kalejdoskopie. W czasie swego tragicznego konania przebiegł wszystkie swoje drogi życiowe i jeszcze zdążył pomyśleć: – Kiedy mnie będą chować – jutro, razem z Bierutem, czy pojutrze?.. Na tym świadomość mu się urwała.

Po jakimś czasie otwiera oczy i półprzytomny miarkuje, że chyba żyje. Leżąc na chodniku dziwi się, że nie ma sterty ciał. Widzi wokół siebie niewielu ludzi i nie ma pojęcia co się stało, kto powstrzymał napór ślepego tłumu... Podbiega doń Paweł Andruszkiewicz z żoną Wiesią, z którymi pracował w Komendanturze MBP i próbuje podnieść. A on, już prawie dobrze oddychając mówi: – O, kurwa, jeszcze raz trzeba będzie umierać!

Te ordynarne słowa młodego oficera najlepiej świadczyły o jego cierpieniu, które tylko co przeżył. W życiu miał co najmniej kilka konań, więc teraz tylko pragnął, aby szybciej nadeszła śmierć i przerwała cierpienia oraz żeby następnego dnia pochowali go na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach.

Gdy żołnierze przyprowadzili Wieśka do punktu doraźnej pomocy lekarskiej, który był zawczasu przygotowany na zapleczu gmachu KC w jakimś pomieszczeniu na parterze i posadzili w głębokim fotelu wskazanym przez lekarza-pułkownika, ujrzał stertę ciał połamanych w najwymyślniejszy sposób, że nawet sam Picasso miałby problem w rozpoznaniu co do czego. Ale tylko ujrzał. Był zbyt słaby i oszołomiony, aby analizować co się stało. Lekarz dał mu się czegoś napić, zrobił zastrzyk i polecił żołnierzom, żeby odwieźli go do Lecznicy Rządowej przy ul. Emilii Plater.

Tam okazało się, że głowa jest w wielu miejscach pobita i porysowana jakby obcasami, mundur zakrwawiony. Siostry Pogotowia Ratunkowego szybko go rozebrały, wymyły i opatrzyły głowę, po czym położyły na kozetce w jakimś osobnym pokoiku i rozpoczęły się badania. Po godzinie czy dwóch Wiesiek już zaczął żartować z personelem medycznym, co świadczyło o jego dobrym stanie psychicznym i fizycznym. Poleżał tak do głębokiej nocy. To nic, że ma obandażowaną głowę i piersi, ale przecież żyje i jaką ma o siebie troskę!

Kiedyś nawet pies z kulawą nogą nim się nie interesował, gdy skakał na palcach jednej nogi, bo drugą miał pod palcami przebitą gwoździem, a na obu piętach wysypały się gnojaki. Teraz trochę boli, ale to nie to. Leży w szpitalu i troszczą się o niego ludzie w bielusieńkich chałatach, a kiedyś nic, tylko zdychaj, a musisz wyganiać w pole krowy sąsiadów, którzy za cały sezon od kwietnia do grudnia zapłacą po 16 kg żyta. Uch, żeby ich szlag trafił z ich krowami i owcami! Jak dobrze, że przyszedł do Polski ustrój socjalistyczny i powstała Władza Ludowa – rozmyślał chłopak, leżąc na kozetce.

Naraz przypomniał sobie połamańców, których ujrzał w punkcie sanitarnym w pomieszczeniu KC. Żeby jutro nie zapomnieć kupić gazety – myślał. – Tam na pewno będzie podane ile ludzi zginęło tylko za to, aby po raz ostatni zobaczyć ciało zmarłego prezydenta. Osobiście już nie chciałem tego zobaczyć i zresztą nie zobaczyłem... Cholera, że i ja musiałem upaść. Mógłbym nawet zginąć i nikt by nic nie wiedział. Najbardziej żal maleńkich córeczek. Żona sobie męża

znajdzie, a dzieci ojca – nie. Jeżeli trafiłby się im taki ojczym, jak mnie macocha, to lepiej żeby umarły razem ze mną – rozmyślał popadając w coraz głębszy pesymizm i rozżalenie na swój przeklęty los. Niechaj sobie i Wejcman. On teraz z nią się bradziaży, ale przecież ma tę swoją Lidkę i dwóch synów. Po co mu będą potrzebne moje dzieci? A ci różni Stefani, Józki i Staśki, których wymienia w czasie zbliżenia, to nie to samo co Tadek? Zdenerwował się Wiesiek ze złości, że jest taki głupi.

W dyżurce widocznie usłyszano podejrzane westchnienie. Przyszedł lekarz dyżurny i poprosił, by ten się uspokoił, gdyż nic wielkiego nie ma. – Myśleliśmy, że może powstały krwotoki wewnętrzne i połamania. Ale okazało się, że złamany „tylko" mostek. Najgorzej będzie z oczyma, ale i to przejdzie. Zaraz karetka zawiezie pana do domu i wszystko będzie w porządku.

W domu Bronia otworzyła drzwi i ujrzawszy Wieśka jęknęła z przerażenia: – Co się stało, że jesteś cały siny i oczów nie widać?

Dopiero teraz Wiesiek uprzytomnił sobie słowa lekarza, że najgorzej będzie z oczyma. Popatrzył w lustro i zamiast siebie zobaczył siną spuchniętą gębę jakiegoś pijaka czy czort wie co. Nazajutrz okazało się, że oczy są koralowe niczym u angorskiego królika, a twarz nadal sina. Ale Wiesiek, świadom dyscypliny wojskowej, nie zważając na dolegliwość w piersiach i ból głowy, pociągnął do szkoły. Tam zobaczyła go dyrektorka Jagodzińska i powiedziała: „ Panie poruczniku, proszę z taką twarzą i oczyma nie przychodzić do technikum. Przyjdzie pan, gdy już wszystko będzie w porządku". Więc pracował, ale do szkoły nie uczęszczał i uczył się w domu. Opuścił 162 godziny nauki.

Do lata Wiesiek był zupełnie zdrów i nawet oczy pozbyły się krwawych nacieków. Do radości jednak było daleko, gdyż sytuacja polityczna kraju uległa raptownemu pogorszeniu – strajki robotników i strzały w Poznaniu. Ale że w Warszawie póki co był spokój, więc praca w jego jednostce toczyła się normalnie. Były skąpe komunikaty radiowe i prasowe o zajściach w Poznaniu, w których gromiono imperializm amerykański za podżeganie Polaków do walki z wła-

dzą ludową, ale Wiesiek wierzył, że do niczego groźnego nie dojdzie i zaczął myśleć o urlopie. Wiedział, że otrzyma go latem z uwagi na to, że uczęszcza do szkoły, ale nie wiedział, gdzie go spędzi. Jako człowiek nie przyzwyczajony do wygód najchętniej znowu pojechałby na wieś do pracy, ale Bronia odradziła, że tam nie ma podstawowych warunków nawet do biednego wypoczynku. Tylko pracuj, a oni ci nawet jedzenia nie dają!

Pewnego razu Wiesiek poszedł załatwić jakąś sprawę w Biurze Paszportowym i zobaczył w poczekalni mnóstwo ludzi.

– Co to za takie zbiorowisko? – zapytał kapitana, którego był interesantem.

– A to są moi klienci, którzy wyjeżdżają do Związku Radzieckiego, ale muszą czekać, bo nie nadążamy ich załatwiać – beznamiętnie odpowiedział milicjant.

– Jak to, wyjeżdżają do ZSRR?

– W odwiedziny rodzin – wyjaśnił kapitan.

– Psia krew, szkoda, że ja tam nikogo nie mam, bo by też chciał pojechać.

– Chcesz pojechać do Związku Radzieckiego?

– Pewnie, że chciałbym.

–To masz, wypełnij kwestionariusz, i pojedziesz.

– Nie mogę wypełnić, bo nie wiem co pisać, do kogo jadę.

– Pisz, że chcesz odwiedzić ciotecznego brata, a ja ci dam wyjazd. Przyjdź w czwartek po odbiór dokumentów.

Tym wydarzeniem Wiesiek bardzo się ucieszył i pochwalił się Broni. Bronia nic nie miała przeciwko temu, gdyż myślała, że Wiesiek za parę dni pobytu w Brześciu może coś kupić do domu. Tylko co zawieźć, żeby zarobić rubli? Siostra Broni Janeczka zaraz gdzieś zdobyła piękny kupon wełny na męski garnitur i przyniosła, bo też myślała, że też otrzyma od Wieśka jakiś prezent.

Uzbierali trochę ciuchów i Bronia odprowadziła Wieśka do autobusu, którym pojechał na Dworzec Główny. Jechał w mundurze i cieszył się, że zobaczy Związek Radziecki. Na dworcu w Brześciu wysiadł i nie wiedział, gdzie ma się udać. Aż podbiegają doń dwie

dziewczyny i zapraszają, żeby szedł z nimi, bo one czekały na gościa z Białej Podlaskiej, ale nie przyjechał. – Mieszkamy w Twierdzy Brzeskiej – szczebiotały. I będzie panu u nas wygodnie. Zaszedł, ale nie dał żadnych prezentów, ani nawet nie miał przy sobie półlitrówki, ponieważ nie spodziewał się żadnej gościnności i nie znał realiów. Myślał, że zamieszka w hotelu, sprzeda i kupi co trzeba, i powróci do domu. Pozostawił u nowo poznanych ludzi walizeczkę, w której miał tylko ten wełniany kupon dostarczony przez Janeczkę na kredyt i kupon materiału w kratę na kostium damski. I właśnie ten kupon w kratę wywołał śmiech i uwagi niektórych przechodniów.

Ludzie widząc idącego z dziewczętami *zagranicznika* zaczęli pytać, czy ma coś do sprzedania. A ten na chodniku otworzył walizkę i pokazał co ma. Przechodzący obok kolejarz wyraził swoje zdanie: – O, myśli facet, że kiedy jest oficerem, to można mu i na ulicy spekulować. Wieśka niby trachnął po twarzy. Ale w tym momencie jakaś kobieta zainteresowała się kuponem w kratę. Przyglądały mu się z sympatią, łagodnie uśmiechając się i prosząc, aby szybciej iść do nich do domu. Później się okazało, że gospodarz, ojciec tych dziewcząt, pracuje w milicji i to on wytłumaczył, dokąd Wiesiek ma się udać celem dopełnienia formalności rejestracyjnych na pobyt czasowy.

W komisariacie, w czasie wypełniania sporej ilości druków, okazało się, że trzeba podać adres czasowego pobytu, a Wiesiek takiego nie miał. Przysłuchiwała się rozmowie pewna starsza pani, która też przyjechała do Brześcia w odwiedziny. – Co? – zapytała. – Pan nie ma gdzie się zatrzymać?

– Ano, na razie nie mam – przyznał się z zakłopotaniem, bo w czasie rozmowy powiedział, że w hotelu nie ma miejsca, a ona to usłyszała.

– Niech się pan nie martwi tym, co nie ma o czym – pocieszyła z miłym uśmiechem starsza, schludnie odziana kobieta. – Zaraz wyjdziemy to ja panu pokażę dom, w którym mieszka moja koleżanka jeszcze sprzed wojny, Nadieżda Wiktorowna. Ona pana ulokuje. Niech więc pan pisze w ankiecie jej adres, żeby mieć spokój z meldunkiem.

Kapitan milicji nie zajmował żadnego stanowiska słysząc rozmowę, a zatem Wiesiek napisał adres jeszcze nie widzianej kobiety, nie wiedząc, jak ona zareaguje, gdy zobaczy, że ma „gościa".

Po dokonaniu formalności, Wiesiek pobiegł do twierdzy po walizkę. Tam już był ktoś chętny na kupno materiału na garnitur. Dziewczęta same by sprzedały, ale nie wiedziały ile kosztuje. Wiesiek wziął za niego tysiąc pięćset rubli, bo na tyle ocenił go kupujący, zabrał walizkę i poszedł do Nadieżdy Wiktorowny.

Kobieta wytrzeszczyła oczy, ponieważ nigdy nie spodziewała się, że w rodzinie w Polsce ma oficera. Wiesiek jak umiał tak wytłumaczył o co chodzi, stojąc z walizką w ręku za bramą na podwórzu. Aż wychodzi z chaty jakaś piękność i pyta o co chodzi. Dogadali się. Później się okazało, że to jest córka Nadieżdy Wiktorownej Regina, która z dwójką dzieci przyjechała w gości do matki aż ze Szczecina. Przybycie oficera na podwórko trochę je zaskoczyło, bo myślały, że może ktoś coś doniósł do polskich władz o zajściu na granicy, gdyż wiozła nie tyle co Wiesiek towaru. A gdy już się wyjaśniło co do czego, pani Renia powiedziała, że zaraz do niej przyjdzie jej koleżanka, Kazaszka z pochodzenia, która jest bardzo kulturalną i wrażliwą osobą – uświadomiła pani Renia nowo poznanego przybysza, nie wiedzieć czemu. – Ona panu się spodoba i przypuszczam, że pan jej też – dodała.

Wiesiek poprosił o możliwość umycia się, bo już i jeść mu się chciało, gdyż pora była pod południe. Panie domyślały się, że przyjezdny może chce jeść, ponieważ dając mu ręcznik, powiedziały: – Proszę, proszę, niech się pan umyje, bo zaraz będzie obiad. Ale Wiesiek powiedział, że za obiad dziękuje, cieszy się, że ma gdzie pozostawić walizkę i dziękuje za umożliwienie chwilowego przytułku.

Umył się i zapytał, gdzie tu jest jakiś bar. To pytanie usłyszała kobieta, która była na podwórku od chwili przybycia Wieśka do Nadieżdy Wiktorownej i od razu zadeklarowała, że pokaże najbliższy bar. Wiesiek spojrzał na nią z niechęcią, bo wyglądała bardzo niekorzystnie. Ale że zawsze był ciapcią, więc i tu nie odmówił. Zaszli do zupełnie pustego baru. Wiesiek zapytał co może dostać na śniada-

nie i zajął miejsce przy stoliku, gdzie już siedziała jego towarzyszka. Zanim podano wieprzowinę na zimno, podeszło do stolika dwóch żołnierzy wojsk wewnętrznych i zapytało Wieśka czy zna tę panią, która mu towarzyszy. Wiesiek odpowiedział zgodnie z prawdą, że nie zna. Kobiecie zrobiło się tak samo „łyso" jak i Wieśkowi. Zjadła wieprzowinę i wyszła z baru wcześniej niż on. Potem okazało się, że to rzeczywiście kobieta „lewa". – Ale skąd raptem znaleźli się tu żołnierze, aby pana ostrzec? – dziwiła się gospodyni. A pani Renia na to: – Ot, zobaczyli oficera zaprzyjaźnionego państwa, to go ostrzegli, żeby nie popadł w jakieś tarapaty.

– A czy nie uważasz – zapytała matka córkę – że albo nasz dom, albo ten pan jest pod obserwacją?

W godzinach południowych rzeczywiście przyszła owa piękność, o której uprzedziła pani Regina. Rzeczywiście, była tak zgrabna, piękna i sympatyczna, że Wiesiek na sam widok tej pani stracił mowę. Widać było, że pani Maria też się zarumieniła. Nadieżda Wiktorowna zaprosiła do stołu. Jedli i pili, ale rozmowa się nie kleiła. Jedna tylko pani Regina szczebiotała, próbując rozładować nie wiadomo dlaczego napiętą sytuację. Po obiedzie Maria Fieoktistowna kupiła od Wieśka materiał w kratę na kostium i widząc, że on gdzieś się śpieszy, zaprosiła go na wieczór do siebie.

Wiesiek zebrał swój skromny *czemodanczik i* poszedł na ul. Osipienko do państwa Marii i Jana Szwedów, których adres przed wyjazdem do ZSRR dał mu kolega Stefan, z prośbą, aby ich odwiedził i przekazał pozdrowienie. Państwo Szwedowie też przyjęli Wieśka jak rodzonego brata, gdy dowiedzieli się, że jest z tych samych stron, tylko rozdzielonych obecną granicą państwową, i że adres ich dał mu Stefan. U nich też Wieśkowi było fajnie, bo pani Maria okazała się bardzo serdeczną i życzliwą kobietą. Był u nich kilka dni.

Wieczorem jeszcze raz zaszedł do Nadieżdy Wiktorowony, głównie po to, aby z panią Reginą porozmawiać na temat przepięknej Kazaszki i... zastał ją tam. Siedzieli wspólnie do późnego wieczora. Potem poszli do niej. Mieszkała w drewnianym dużym domu przy ul. Szerokiej. Mieszkanie było urządzone bardzo szykownie i bogato, jak

na Wieśka gust, i tak jakoś swojsko, bo jak u niektórych bogatszych ludzi w jego wsi poduszki leżały na łóżku w dwóch piramidkach po trzy. A podłoga koloru czerwonego była tak wyglansowana, że przedmioty odbijały się niczym w lustrze. Pośrodku ogromnego pokoju stał prostokątny stół i krzesła, przy którym właśnie Wiesiek zajął miejsce, a pani Maria Fieoktistowna zakrzątnęła się przy herbatce.

Siedząc przy herbacie i pierniczkach rozmawiali już tak szczerze, jak gdyby znali się od lat. Pani Maria zwierzyła mu się, że jest zdradzana przez męża, bo kiedyś niechcący zaszła do niego do pracy i zastała go w jakimś magazynku w niedwuznacznej sytuacji z podległą mu pracownicą. Wiesiek też się skarżył, że jest zdradzany i opowiedział, jak noc minionego Sylwestra 1955/56 spędził na dworcu kolejowym, aby tylko nie być z żoną w domu. Calutki dzień robił zakupy, a żona leżała w łóżku udając chorą i musztrowała wyzywając go od różnych.

– Widocznie umówiła się z sąsiadem – mówił z goryczą – i zastosowała metodę kłótni, aby mnie zdenerwować. Osiągnęła cel, ponieważ opuściłem dom na całą noc. Kiedy rano wróciłem, żona spała jak anioł i nawet nie zapytala, gdzie byłem, gdy siadaliśmy do śniadania. Później, kiedy już mi było wstyd, że jestem szmatą a nie oficerem – ciągnął Wiesiek, – na zapytanie kolegi gdzie spędzaliśmy Sylwestra, odpowiedziałem, że ja w obcym towarzystwie, a żona w domu. Kolega tą wiadomością podzielił się z naszą koleżanką, która nie omieszkała donieść żonie, że ją zdradzam, czym przyczyniła się do pogorszenia życia koledze z tej samej wsi. Była to Maria M., córka Dominiki – tej, która była koleżanką macochy.

Pani Maria słuchała bardzo uważnie wynurzeń polskiego oficera i dziwiła się, że świat jest wszędzie jednakowy, jeżeli chodzi o stosunki międzyludzkie. Podobają się sobie, żenią się, a potem dochodzą do wniosku, że źle wybrali. – Mnie mój omotał tym, że kiedyśmy się poznali, on był szychą na kolei, a ja gąską siedemnastoletnią nie znającą życia ani ludzi. Nie dał nigdzie się ruszyć i wyszłam za Lonię, pozostawiając swój rodzony kraj Kazachstan. Ja jestem Rosjanką, ale tam się urodziłam i nawet się upodobniłam do tego narodu...

– Jest pani piękna – przerwał Wiesiek. – Nawet nie wierzyłem, że aż tak, jak mówiła mi pani koleżanka. Pani Maria zarumieniła się i opuściła swą maleńką głowę z kruczoczarnymi włosami, mówiąc: – Ja o tym wiem, ale niech pan nie przesadza, bo pomyślę, że się pan zaleca.

– Ja prosto nie śmiałbym do pani zalecać się z wielu powodów, ale wolno mi jest mówić prawdę...

Przegadali do rana, będąc oboje na pewno w napięciu, lecz żadne nie ośmieliło się na poufałość. Nazajutrz, gdy spotkali się na ulicy, Maria oznajmiła, że Lonia przyjechał z Mińska zaraz po jego wyjściu.

* * *

Wiesiek dowiedział się od Janka Szweda, że Stefan przyjechał na urlop do teściów do wsi w rejonie Omeleńca. Ucieszył się tą wiadomością i postanowił odwiedzić kolegę.

Z Brześcia do Wierchowicz dojechał autobusem. A co teraz mam robić? – pomyślał, gdy nie ma czym się tam dostać. Poszedł do komisariatu milicji, gdzie zastał dzielnicowego lejtnanta Cwietkowa. Oficer podrapał się za uchem i powiedział, że ma motocykl i konia z bryczką – może wybierać. Wiesiek nie uwierzył, bo myślał, że ten kpi sobie z przybysza. Ale Cwietkow wcale nie kpił, więc Wiesiek wybrał bryczkę, którą ciągnął wypieszczony koń Kary.

Pogoda była piękna, droga z Wierchowicz do Omeleńca już nie taka, ale bryczka dobrze zresorowana, więc miękko bujała Wieśka jadącego w kierunku Puszczy Białowieskiej. Przejeżdżając przez napotkane po drodze wioski kilka razy zatrzymywał się i rozmawiał z ich mieszkańcami, a Kary tymczasem szczypał na poboczach drogi smakowitą trawę. Dziwili się ludzie, że polski oficer podróżuje bryczką uczastkowego. Wiesiek wyjaśnił, że jest na urlopie i jedzie do kolegi. – Wy stąd? – pytali.

– Nie, ja pochodzę spod Hajnówki – tłumaczył Wiesiek. – Ale mi się udało przyjechać do was i popatrzeć jak żyjecie.

– A, chyba że spod Hajnówki, bo nie słychać, aby ktoś tu nas zdradził i poszedł do polskiego wojska. Służyliśmy w Wojsku Polskim wtedy gdy byliśmy pod waszą okupacją, to znaczy do trzydziestego dziewiątego roku. Ale później Armia Czerwona nas wyzwoliła i zjednoczyła z Rosją. Teraz nasi chłopcy służą w Armii Czerwonej, a nie jak pan, w polskiej – zacietrzewił się jakiś starszy mężczyzna, a Wieśkowi znów stało „łyso". – Wy, państwo, jesteście przyzwyczajeni jeździć bryczkami po cudzej ziemi...

– Obywatelu – przerwał Wiesiek skonfundowany, – to przecież bryczka waszej milicji.

– Tak, naszej. Ale nasza milicja swoją bryczką jeździ po swojej ziemi, a pan po cudzej i w cudzej bryczce – nie dawał za wygraną kołchoźnik.

Wiesiek uznał, że nie ma potrzeby tłumaczenia się przed nieznajomym człowiekiem, który nie wiadomo czego chce. Ubodło go to, że ludzie mieszkający po drugiej stronie granicy uważają go za zdrajcę, chociaż on Bogu ducha winien w ustanowieniu wydumanej granicy w tym miejscu, gdzie po obu jej bokach żyją ci sami ludzie i posługują się tą samą mową. Pojechał dalej, aby jak najszybciej dotrzeć do celu.

Zatrzymał się jeszcze tylko raz, zobaczywszy jak z podwórka przygląda mu się jakieś dziewczę. Młoda, bardzo szykowna dziewczyna, ale z pryszczem na wardze, zaprosiła gościa do chaty i zapytała czy chce mleka. Wiesiek odmówił, ponieważ ani jeść, ani pić mu się nie chciało. Dziewczyna pytała o życie w Polsce, o młodzież i... o kołchozy. A że Wiesiek był zdania państwowego, więc prawdopodobnie dziewczyna pomyślała „Dobrze im tak", gdyż odprowadzając oficera na podwórko wyznała: „ Zawsze chciałam żyć w Polsce i wyjść za mąż za wojskowego, ale teraz już mi wszystko jedno". Wiesiek jej przytaknął i pojechał dalej.

Już po chwili jazdy wśród rozbrajającej przyrody wrócił mu dobry nastrój i znowu żałował, że jego rozkoszy nie widzą ci, co nigdy mu nic dobrego nie życzyli i nie przewidywali – wujkowie i ciotki. Kary z własnej woli gnał tak, że trzeba było go ciągle powstrzy-

mywać. A Wiesiek po dziadku bardzo lubi konie w ogóle, a jeździć nimi lub na nich w szczególności. Cieszył się jak dziecko, gdyż ma to w charakterze, iż drobnostki go cieszą i drobnostki doprowadzają do szału, jeżeli są podszyte kłamstwem.

Przejeżdżając przez kolejną wioskę, Siporkę, spotkał grupę mężczyzn stojących przy jednej z chat i o czymś żywo rozprawiających. Gdy zobaczyli zbliżającego się człowieka w mundurze, ale nie radzieckim, wszyscy jak na komendę zwrócili twarze w jego kierunku. Ale Wiesiek jak jechał tak pojechał. Gdy oddalił się od grupy kilkanaście metrów, usłyszał za sobą wołanie w języku polskim: – Panie oficerze, niech pan poczeka.

Zatrzymał Karego, ciekaw co też ktoś może od niego chcieć. Do bryczki podbiegł mężczyzna o znajomej dla Wieśka twarzy, ale póki co nie mógł sobie przypomnieć skąd go zna. A ten podszedł i od razu po nazwisku, ale już po rosyjsku: – Witaj bratku, skąd żeś się wziął? Na Wieśkowe zdziwienie odpowiedział: – Co, nie poznajesz? Jestem Wasyl Lejczyk z Jelonki.

– Właśnie patrzę, że ktoś znajomy, ale nie wiem kto. Zresztą, ja was widziałem wszystkiego może jeden albo dwa razy po parę sekund, bo przecież wy byliście w partyzantce...

– Dokąd jedziesz?

– Do Świniowego, tam urlopuje kolega.

– O nie. Dzisiaj to ty tam nie pojedziesz. Dobrze, że spotkałem kogoś ze swoich stron, to chociaż się nagadam. Ty przecież znasz mój los i los mojej rodziny, a więc zajeżdżaj, będziesz najdroższym gościem.

Wasyl Lejczyk odprowadził konia do stajni, dał mu obroku i siana na noc, a Wieśka zaprosił do domu. Żył tylko z żoną, która zobaczywszy Wieśka od razu go poznała, ale zbytniej wesołości w oczach jej nie było. Aż jakoś nieswojo mu się zrobiło, bo pomyślał, że gospodyni mu nie rada. Ale to nie było tak.

Lejczykowa zakrzątnęła się przy kolacji. Zaraz na stole znalazła się wódka i zakąska. Rozmowa zaczęła się od „co słychać u was w Polsce?" Wiesiek trochę opowiedział o sobie, i wydarzeniach w Po-

znaniu i to, że mieszka w Warszawie, czego nigdy się nie spodziewał. A już to, że kiedykolwiek będzie oficerem, nie śniło mu się w najpiękniejszym śnie.

– Otóż to – podchwycił Lejczyk. – Życie ludziom dostarcza masę niespodzianek, kieruje ich losem, a oni mu się nie poddają, naginają go do swoich potrzeb lub widzimisię. Nie wiem dlaczego ludzie nazywają los ślepym, kiedy on z nami czyni co mu się żywnie podoba. A jeżeli ktoś go nie szanuje albo stara się przechytrzyć, to go wali w łeb. I to czasem tak walnie, że nie ma odwrotu, a pozostaje tylko zgrzytanie zębami i aż do śmierci narzeka się na zły los, zamiast narzekać na głupi rozum.

Dam ci przykład ze swojego własnego życia, chociaż wiadomo, że swój odcisk najbardziej boli. Ja nie powiem, żebym w życiu nie miał szczęścia, ale ono było zniweczone przez głupi rozum, a to spowodowało, że do końca swoich dni nie będę miał spokoju. Nie wiem czy ty wiesz, że przed wojną, za sanacji, co chwila mnie aresztowano za tak zwaną działalność komunistyczną i to jest prawdą, że byłem wywrotowcem rządu polskiego, który nienawidziłem, bo krzywdził biedny naród, nawet Polaków. Ty byłeś mały i możliwe, że nikt ci jeszcze nie mówił, jak obchodziła się policja z nami, aresztantami. Ty nie wiesz, że w czasie przesłuchań leli do nosa wodę albo naftę. Ty też nie wiesz jak wiązali pod kolanami kołki i tarzali człowieka po ziemi, łupcując go czym popadło i gdzie popadło. Wśród tych często bitych i poniewieranych przez policję byłem i ja. A wiesz co jest w tym wszystkim najsmutniejsze? To, że teraz, po tylu latach, w głębi serca w pewnym stopniu jakbym przyznawał im rację.

Kiedyś przed pierwszym majem przyszedł do mnie policjant z Kleszczel, aby zatrzymać i osadzić w areszcie. Żona po człowieczemu dała mu mleka, a on zaczął mnie uświadamiać, abym zaprzestał swej działalności, bo i tak to wszystko zda się psu na budę. Tak powiedział, *jejbohu*. A ja sobie z tego tylko kpiłem, bo wiedziałem, że opowiada głupoty. Burżuazja bawi się poza granicami, wieś głodna i przeludniona, w miastach bezrobocie, a żebraków, którzy szli do biednych rolników i błagali o kawałek chleba, też pełno. Ja mu to

mówiłem, a on ironicznie się uśmiechnął i pytał mnie, czy wiem co się dzieje w kraju, w imieniu którego idę w bój z sanacją. Ponieważ byłem z nim sam na sam, odpowiedziałem, że wiem. Wiem także i to – podkreśliłem z naciskiem – że w Polsce też niedługo dokona się przewrót i lud będzie rządził sobą i swym krajem, a nie burżuje!

Policjant tylko się uśmiechnął i powiedział: – Panie Lejczyk, zrobi pan co zechce, ale niech pan zapamięta moje słowa – kiedyś pan tego pożałuje.

Zjadłem śniadanie i poszliśmy do Kleszczel do ciupy. Szliśmy nie mając do siebie żadnej pretensji: on przedstawiciel władzy, która gnębi naród, a ja przedstawiciel narodu poniewieranego, rozmawialiśmy po drodze jak równy z równym, chociaż nas dzieliła ogromna przepaść, nie tylko ideologiczna...

Niemcy Polskę rozbili w 1939 roku, a Sowiety nas, Zachodnią Białoruś i Zachodnią Ukrainę przyłączyły do siebie. Cieszyliśmy się. I było czym się cieszyć, bo zaraz pootwierano szkoły, młodzież pojechała do miast pracować i zdobywać fach oraz poznawać świat, jak to młodzież. Tym bardziej nasza, która niczego dobrego w życiu nie widziała, oprócz tego, że służyła w wojsku. Żeby chociaż to wojsko było naszym wojskiem, a to musiała służyć w obcym wojsku, nosić obcy mundur i słuchać obcych komend, a gdy zajdzie taka potrzeba to i położyć głowę za obcy interes. Nasz los zawsze taki sam. O, jesteś oficerem, ale przecież służysz w polskiej a nie w swojej armii. Czy ci serce z tego powodu nie boli?

– Sprawa naszego losu spoczęła w rękach wielkich wodzów, a nie nas, maluczkich – odpowiedział Wiesiek. – Nas nikt nie pytał, jakiej chcemy polityki i po której stronie granicy chcemy żyć. Po mojemu, najlepszą granicą pomiędzy Polską a ZSRR byłaby granica na Bugu, ale wyszło tak, że granica pobiegła pomiędzy stodołami i chlewami tych samych wiosek: pole zostało w Polsce a chata w ZSRR lub odwrotnie, bo tak chciał jakiś tam Curzon. A co do mojej służby, to już wolę być oficerem w Polsce Ludowej niż pastuchem czy parobkiem w tej pańskiej, burżuazyjnej...

– To teraz posłuchaj, co ci powiem dalej. Napadli Niemcy na Związek Radziecki. Tu już nie trzeba tobie tłumaczyć, jaki zapanował terror. Niemcy też zaczęli prześladować i wyłapywać komunistów i działaczy lewicowych. Po pewnym czasie czując, że grunt mi się pali pod nogami, poszedłem do lasu, a rodzina została w Jelonce. Byłem w oddziale partyzanckim. Zdawało się, że wszyscy partyzanci są swoi chłopcy z okolicznych wsi, a i we wsiach też swoi. Pewnego razu poszedłem do domu, aby zmienić bieliznę i chociaż raz porządnie się najeść. Chata moja, jak wiesz, stoi na końcu wsi nieopodal lasu. Noc przespałem spokojnie. Raniutko, żeby nikt nie widział, że byłem w domu, wstałem, ubrałem się i zacząłem jeść śniadanie. Żona popatrzyła w okno i mówi, że jedzie jakiś samochód. Zobaczyłem, że się zatrzymuje, więc nie dociekając prawdy, po co on tu przyjechał dałem nura w okno, te od ogrodu, i przez ogrody do lasu.

Niemcy błyskawicznie okrążyli dom i zażądali poddania się. Żona wyszła do sieni i oznajmiła im, że mnie nie ma w domu. Poczekali aż się dobrze rozwidni, po czym kilku weszło do domu i zapytali przez tłumacza, gdzie jestem. Żona odpowiedziała, że nie wie. – Jak to nie wiesz, ty suko, kiedy my wiemy, że był w domu – harknął Niemiec. – Mów gdzie jest, bo pożałujesz. Żona upierała się, że mnie nie było i nie wie, gdzie jestem od dawna. Dostała za to kopniaka, a najstarszą córkę Olę wyciągnęli z pościeli i w bieliźnie wrzucili do ciężarówki. Żonie powiedzieli, że jeżeli mąż się do nich zgłosi, to córkę puszczą. I pojechali.

W tym momencie Lejczyk przerwał, bo się bardzo wzruszył. Płakał. Płakali oboje, a Wiesiek siedział i nie wiedział co im powiedzieć, jak pocieszyć, chociaż wiedział też, że w takich sytuacjach pocieszyć kogoś jest bardzo trudno. Po wypłakaniu się Lejczyk ni to siebie, ni to Wieśka zapytał: – Co miałem robić, jeżeli nie znałem sytuacji? Uciekłem do lasu i myślałem, że jakoś będzie. Byłbym się zgłosił, gdybym wiedział, że wzięli córkę w zakład. Nie wiedziałem. Mówię ci, że jeżeliby ktoś dał mi znać, że moja Oleńka w łapach żandarmów czy esesmanów, poszedłbym ją ratować. Dobrze jednak, że nikt mi o tym nie powiedział, bo bym niepotrzebnie zginął, gdyż Olę

już w drodze z Jelonki do Kleszczel psy żywcem rozszarpały w skrzyni samochodu.

Tu znowu polały się łzy z oczu opowiadającego. – Możesz sobie wyobrazić, jak ta moja biedna Oleńka, osiemnastoletnia dziewczyna, cierpiała. Po tej tragedii byłem gotów wybić wszystkich Niemców, a nie mogłem. Czy zdajesz sobie sprawę ze stanu, w którym tkwisz powodowany niemocą? Pamiętaj jeszcze jedno – w wielu wypadkach nasi byli gorsi od Niemców, bo wydawali wrogowi swoich.

Później wszyscy się dowiedzieli kto mnie wydał, a tym samym na męczeńską śmierć skazał moją córkę. Po wojnie został skazany na dwadzieścia pięć lat więzienia. Po dojściu Chruszczowa do władzy wypuszczono go na wolność. Teraz porównaj, bracie, naszą sytuację. ja od młodych lat walczyłem jak umiałem o władzę robotników i chłopów – jak nam mydlono oczy, a ten bydlak poszedł na współpracę z Niemcami, którym wydawał swoich braci. Dzisiaj obaj mieszkamy w tej samej wsi. Ja jak wół haruję w tym przeklętym kołchozie, a zaprzaniec, który pomagał faszystom zwyciężać komunistyczny ustrój niszcząc swój naród, w tym samym kołchozie pasie cielęta. Czyż nie prawdę mówił sanacyjny policjant, że kiedyś tego pożałuję? Czy ty wiesz, że ta, tak zwana władza radziecka w osobie Nikitki Chruszczowa zdziera z nas podatek od każdej jabłoni i od każdej kury? To jest władza, za którą szli do więzień i na szubienicę miliony ludzi? Te zamordowane tysiące nigdy nie pomyślały, że ich towarzysze pozostali przy życiu na swój nieszczęsny los wywalczyli „władzę ludu". Kołchoźnicy w pocie czoła zarabiają po garści zboża za trudodzień, a czerwony burżuj Nikitka za nasze pieniądze buszuje po świecie w charakterze turysty. Stalin nigdzie nie jeździł i wszyscy go się bali i z nim się liczyli. A ten turysta nie zdążył wykarabkać się na najwyższy państwowy fotel i już powiózł angielskiej królowej parę najlepszych ogierów arabskiej krwi...

– Interesuje mnie, jak się zachowuje bandyta, który przyczynił się do rozerwania przez psy waszej Oli?

– Robi wrażenie beztroskiego, byczy się nic nie robiąc, a przy spotkaniu ze mną – ucieka...

– I co, całe życie będzie uciekał?

– Nie, bo ja go już niedługo dopadnę i tymi oto rękami uduszę, jak psa.

– I zamiast niego wy będziecie siedzieć w więzieniu.

– Tak, ja już do śmierci z więzienia nie wyjdę, ale nie mogę dopuścić, aby zdrajca i morderca chodził po tym samym świecie co ja i cieszył się życiem.

– A czy on nie wie, czego narobił? Wie. I dlatego tylko istnieje, a nie cieszy się życiem. Radzę nie brudzić rąk i nie iść z powodu takiego gada do więzienia, zostawiając żonę i dzieci.

– Została, bratku, mi tylko najmłodsza córka. Olę rozszarpały psy niemieckie, a Janek już po wojnie wyjechał do pracy w Murmańsku i tam zginął w wypadku w stoczni.

– Nie zabijajcie, zobaczycie, jak lekko jest żyć nie uczyniwszy nikomu krzywdy. Niech dręczy sumienie tych co nas skrzywdzili. Wy ż znacie Teodora Markiewicza, którego brat Michał poszedł do partyzantki jako niemiecka wtyka, a mnie zamiast do Niemiec nasz sołtys skierował do pracy właśnie do Markiewicza. Poszedłem bosy i tylko w jednej zgrzebnej koszulinie trzeciego kwietnia 1943 i pracowałem katorżniczo aż do wyzwolenia dniami i nocami. W dodatku co drugą noc musiałem iść na ochronę kolei aż pod Dobrowodę. Bardzo często pędziliśmy samogon w lesie nocami, bo on niby bał się Niemców. Jednej takiej nocy wiosną w 1944 roku rozerwało beczkę i mnie całego oblało wrzącą brahą. Gniłem pod daszkiem przy stodole. Wylizałem się dzięki holenderskiemu lekarzowi, który zobaczywszy mnie oznajmił, że nic ze mnie już nie będzie, ale na wszelki wypadek poradził, aby smarować tę śmierdzącą zgniliznę lnianym olejem. Smarowali i karmili... Nie, nie karmili, bo nie wiadomo gdzie były usta, ponieważ twarz to jeden burchel. Rozkołupał Teodor otwór między wargami i rureczką wlewano mi wodę, a później już rzadką zupę. Wylizałem się i pracowałem dalej, aż do przyjścia Armii Czerwonej. Gdy wkraczali do wsi pierwsi wyzwoliciele, żołnierz sprzedał Markiewiczowi trzewiki za ćwierć podpłomyka, bo był taki głodny. Proszę zwrócić uwagę na bezduszność Juhana. Żołnierz

z głodu, bo tyły zostały daleko, sprzedał trzewiki, a ten mu nie dał nawet całego podpłomyka tylko ćwierć, będąc bogatym. Do dziś żałuję, że nie pokazałem żołnierzom kiełbas, mięsa i słoniny schowanej chytrze w pomieszczeniu najbliższym ulicy, zamkniętym na kłódkę.

Były żniwa, więc pomyślałem, że gospodarz ofiaruje mi te buty, które mu się dostały za darmo i założyłem je na nogi, aby choć raz ściernisko nie kłuło nóg. Markiewicz to zobaczył i kazał zdjąć buty z nóg. Sam je założył, a mnie nawet nie pozwolił obuć swoich starych, w których dotychczas chodził. Poczułem ogromną krzywdę i jak przyszedłem, tak i odszedłem od Markiewiczów goło, boso i z ranami jeszcze nie wygojonymi na głowie i twarzy, po szesnastu miesiącach harówki na trzydziestu hektarach. W domu, na mojej ojcowiźnie, spotkała mnie macocha z widłami od gnoju. Takie to jest życie biednych ludzi, wujku Lejczyk...

– Partyzanci, odchodząc do Bresta, po wyzwoleniu Białostocczyzny dali mi *sprawkę o* współpracy, ale nie wzięli mnie ze sobą mówiąc, że tu będzie Polska i ja zostanę u siebie. Teraz będzie inna Polska, inna niż przedwojenna, a ty u siebie. Było mi przykro, że mnie zostawiaja panom na parobka.... Dobrze ci poradzili. A co tam w Polsce teraz słychać? Bo u nas, jak nie usłyszysz czegoś pocztą pantoflową, to przez radio i gazety niczego się nie dowiesz. Słyszałem, że w Poznaniu jakieś powstania czy strajki?

– Tyle co ja wiem, to robotnicy największych zakładów im. Cegielskiego zostali podburzeni i wyprowadzeni na ulicę przez wrogów ustroju socjalistycznego. Tak podała polska prasa. Natomiast obce, wrogie nam radiostacje aż zachłystują się, że poznańscy robotnicy wyszli na ulicę z żądaniem polepszenia warunków życia klasy robotniczej i ich rodzin, a milicja i UB otworzyły do nich ogień z broni palnej. Byli zabici i ranni. Więcej niczego nie wiem, bo jestem tutaj.

– No, jeżeli w Polsce klasa robotnicza żyje tak, jak u nas, to wcale jej się nie dziwię, że robi powstanie.

– A co, u was źle się żyje klasie robotniczej? Przecież w Polce i innych krajach socjalistycznych bierze się przykład z ZSRR w sposobie

życia i w ogóle. Przecież my na zajęciach politycznych, studiując historię WKP(b) tylko i mówimy o dobrobycie panującym w pierwszym na świecie państwie socjalistycznym. Oprócz tego oglądamy filmy radzieckie i dusza się raduje, jak naród skazany na zagładę przez faszyzm w czasie drugiej wojny światowej oraz ustrój, będący solą w oku burżuazji międzynarodowej, który miał być zduszony przez interwencję aż czternastu państw zaraz po zwycięstwie Rewolucji Październikowej, kwitną i rozwijają się w takim tempie jak żadne inne państwo...

– Posłuchaj, ty...

– Dajcie dokończyć. Świadectwem tego, że nie jest inaczej, jak my się uczymy, są motocykle...

– Jakie motocykle? Co ci, chłopcze, przychodzi do głowy?

– Kiedy pociąg wjechał na dworzec w Brześciu, pierwsze co zobaczyłem, to perony zastawione tysiącami motocykli. Myślałem, że to dostawa dla wojska, gdzieś w Polsce czy NRD. Okazało się, że to są motocykle kupione w ZSRR przez normalnych, prywatnych obywateli polskich. Kiedy już to wiedziałem, bo mi kolejarz wytłumaczył, o to samo zapytał mnie turysta francuski. Był to Rosjanin, który po czterdziestu latach przyjechał do ZSRR w odwiedziny do krewnych, jak mi sam powiedział. I to właśnie on podszedł do mnie na dworcu widząc, że jestem w mundurze polskim i zapytał po rosyjsku: – Pan wybaczy, czy nie będzie zbyt ciekawe z mojej strony, jeżeli zapytam dokąd idą te motocykle, którymi są zapchane wszystkie perony?

– To są motocykle polskich turystów, które czekają na swoją kolejkę, aby odjechać do Polski – odpowiedziałem też po rosyjsku.

Francuz-Rosjanin prawdopodobnie został mile zaskoczony tym, że polski oficer rozumie go i po rosyjsku odpowiedział, wyjął z kieszeni długopis koloru kości słoniowej i chciał go Wieśkowi sprezentować. Ten długopisów jeszcze nie widział i bardzo by chciał go mieć, ale że nie miał nic na wzajemność – podziękował. Francuz jednak nalegał, mówiąc, że on nie potrzebuje żadnego podarku, bo i niczego kupionego też nie daruje. To są długopisy z jego firmy, które wyrabiają niewidomi przez niego zatrudnieni.

– Jestem ich producentem i chcę panu sprezentować swój wyrób w drodze reklamy.

Wiesiek przyjął zwykły, prosty, sześciokątny długopis z czerwonym wkładem. Francuz powiedział na pożegnanie, że jedzie do Leningradu, ale adresów nie wymienili, gdyż już samo pytanie turysty z Francji o motocykle nasunęło Wieśkowi myśl, że to jest bez wątpienia szpieg.

– Posłuchaj, chłopcze – nie mógł wytrzymać Wasyl Lejczyk. – To prawda, że technika u nas poszła w górę i produkuje się nie tylko motocykle, ale i czołgi niezłe. Natomiast rolnictwo leży, jak to Polacy mówią, na łopatkach i nikt nie dba, aby je podnosić, chociaż wiele jest krzyku i obiecanek na ten temat. Nie wiem, czy pamiętasz, że Armia Radziecka w 1943 roku przywróciła pagony? To był wybieg Stalina, aby podnieść morale wojsk zdziesiątkowanych długotrwałą wojną. Poszła po kraju fama, że „dali pagony, to dadzą i zagony", bo tak bratku ludziom obrzydły kołchozy, do których zaganiano siłą.

– W Polsce też porobili spółdzielnie produkcyjne i PGR-y, na wzór waszych sowchozów. Ale siłą do tych spółdzielni, po waszemu – kołchozów, nikt nikogo nie zagania. Owszem, agituje się za kołchozami, lecz nie zagania... Był fakt naruszenia praworządności socjalistycznej przez pracowników UB w Gryficach, a skończyło się na hucznym procesie i skazaniu tych, którzy właśnie siłą chcieli zakładać spółdzielnie produkcyjne. U nas buduje się na wsi socjalizm w oparciu o biedotę, w sojuszu ze średniakiem i w walce z kułactwem.

– O, to to. Wzorem bolszewików zniszczcie tak zwanych kułaków, którzy najwięcej chleba dają krajowi, a wtedy nie tylko, że będziecie stać w kolejkach z kartkami po mięso, ale i po chleb. Po socjalistycznemu, jak u nas. *Maładcy*, *oj, maładacy*. Bić tych sukinsynów kułaków, bo po jaką cholerę przez cały rok mają chleb i do chleba, i jeszcze nawet sprzedać, kiedy można mieć go tylko do Bożego Narodzenia! A jak u nas, to i to nie starcza. Żyją u nas niektórzy, czort ich nie bierze, ale większość kołchoźników bieduje. Plan, plan, dawaj plan dostaw dla państwa żyta, pszenicy, lnu, wełny i wszystkiego tego, co wieś może wyprodukować. A trzeba tobie wiedzieć, że te

plany dostaw owych towarów nie były sporządzane przez fachowców tu na miejscu, a tam, gdzieś w Moskwie, według jej potrzeb i to w zeszłym roku. Te plany przekazywano Stalinowi z wrzaskiem „Plan dostaw produktów rolnych *wypołnim i pierewypołnim*!" Techniki rolniczej bratku brak, nawozów brak, kultury rolne posiane albo posadzone nie tam gdzie trzeba, bo wiadomo, że ani len, ani burak nie wyrośnie na piachu. Naród diabli biorą na takie planowanie, ale spróbuj sprzeciwić się, to zaraz jesteś wrogiem narodu i... na Sybir, a nawet jak i nie, to do miejscowego więzienia. Naród plany wykonuje, a sam głoduje i zgrzyta zębami na władzę radziecką. Władza radziecka jest bratku dobra, ale kierują nią źli ludzie. Ci ludzie chcą tę władzę radziecką zohydzić w oczach narodu i doprowadzić do jej upadku. Ja o nią walczyłem, ty możesz donieść do NKWD to co dzisiaj ode mnie słyszysz i jeszcze usłyszysz. Ale ja prorokuję, że jeżeli naród będzie tak męczony i prześladowany nadal, jak było i jest dotychczas, to ta władza długo się nie utrzyma.

– Słyszałem od wielu ludzi, że u was żyje się źle, a już „Wolna Europa" czy „Głos Ameryki" to w ogóle opluwają tę władzę radziecką za męczenie narodu. Tymczasem czytam gazety o dobrobycie w ZSRR, słucham radia, które opowiada o życiu narodów radzieckich i aż żałuję, że nie mieszkam tu. A pieśni to co? Chyba nikt nikomu nie nakazał, aby napisał pieśń *Szyroka strana maja radnaja* albo *W kołchozach chleba połnyje ambary*? A przecież to w tych pieśniach mówi się o bogatym, beztroskim i wolnym życiu w Kraju Rad. Komu więc ja mam wierzyć? Tym, co im się w życiu nie powiodło – kilkunastu tysiącom osób, czy poetom i kompozytorom, którzy przejechali kraj wzdłuż i w poprzek, oglądając spokojny trud ludu pracującego miast i wsi? Pewnie, że będę wierzył gazetom.

– Ty sobie wierz nawet samemu diabłu, ale nie domyślaj się, że ja jestem wyjątkiem w cierpieniu i osądach.

– Coś wam powiem, kiedy już jesteśmy przy tak drażliwych sprawach, jak być albo nie być Związkowi Radzieckiemu. Któregoś razu, rok czy dwa lata temu, w niedzielę pojechałem do Powsinka nad jeziorko, aby trochę odpocząć po nieustannej harówce. Wy nie wiecie,

gdzie to jest, ale to nieważne. Tam spotkałem chińskiego studenta i pracownika dyplomatycznego Ambasady NRD w Warszawie. Nad jeziorkiem było wszystkiego paru wędkarzy i my. Niemiec mówił po polsku z jemu charakterystycznym akcentem, Chińczyk z jemu, a ja ze swoim. Aleśmy się rozumieli. Ktoś z nas poruszył temat stosunków międzynarodowych, bośmy się prawdopodobnie, to znaczy oni domyślili, że i ja nie jestem Polakiem, chociaż noszę polski mundur. Zaczęli mówić o osiągnięciach narodów świata po II wojnie światowej i o coraz większym kurczeniu się państw imperialistycznych, będących posiadaczami ogromnych kolonii i taniej siły roboczej. Wtedy Niemiec zwrócił uwagę na to, że jeżeli państwa socjalistyczne w wyścigu do dobrobytu nie wygrają z osiągnięciami kapitalizmu, to przegramy na całej linii razem ze Związkiem Radzieckim. Dzisiaj ekonomika odgrywa decydującą rolę w życiu narodów, a nie propaganda, która tylko mówi o swoich sukcesach, a ich nie odnosi.

– O, widzisz. To ambasador, a tu ja i to samo mówimy i to samo wróżymy.

– Śmiech bierze z radości, że jesteście wszyscy tacy mądrzy. Nie wiem czy znacie Tychonia z Grabowca?

– A jakże, ja wszystkich znam, jak i oni mnie.

– Kiedyś żołnierze śpiewali idąc *Strana maja, Maskwa maja*, a Tychoń, który gdzieś tam w 1922 albo w 23 powrócił z *bieżenstwa i* doświadczył tam tego życia zaśmiał się i za nimi krzyknął *Moskwa twoja i strana twoja, ale chata ne twoja. Ty życie możesz oddać tylko za rodinu i Stalina*. Co ja w takim przypadku mam myśleć?

– A co my, mali ludzie, możemy myśleć? Nam pozostało, jak zawsze, wykonywać tylko cudzą wolę i być posłusznymi na każde zawołanie. A im pławić się w naszym bogactwie i mieć nas za bydło, ot co! A bandytę, który skazał moją córeczkę na męczeńską śmierć i tak uduszę tymi oto rękoma! Ludzie giną od kul, od bomb, a moją Olę rozszarpały wraże psy, sprzedaną przez takiego samego *Białorusa* jakim jestem ja i ty. Ten psi syn, Michał Markiewicz, też był wpuszczony do partyzantki jako wtyka, ale szybko go rozgryziono i unieszkodliwiono...

– A czy wiecie, jak to było?

– Słyszałem coś, ale szczegółów nie znam.

– Ich pięciu czy sześciu chłopaków na Wielkanoc 42 roku sobie popili i postanowili rozprawić się z naszą kawalerką. Wzięli furmankę, naładowali do niej granatów i karabinów, i przyjechali zawojować Grabowiec. Ale nasi chłopcy, po zorientowaniu się o co chodzi, tak im wsypali, że gieroje ledwo z życiem uciekli do sąsiedniej wsi Rutka, bo do siebie nie mogli. Niemcy, otrzymawszy meldunek, przyjechali do Jelonki i wszystkich ich aresztowali. Wśród aresztowanych Markiewiczowi „dorobili uszy", czyli zwerbowali i wszystkich wypuścili z aresztu gdzieś po tygodniu. No i zaraz potem Markiewicz poszedł do partyzantki, aby właśnie wydawać Niemcom swoich braci.

– A ty go znałeś?

– Nie.

– O, bratku, jaki to był skurwysyn, to ludzkie pojęcie przechodzi. On na zabawę bez sprężyny zakończonej jakąś śrubą nie szedł. Był niskiego wzrostu, ale bardzo silny i zadziorny. Zawsze tylko szukał z kim się tu pobić. Dobrze, że gada utłukli, póki zdążył kogoś oddać w ręce Gestapo. – Przykro mi, że wy, starsi ludzie, którzy walczyli o socjalizm, teraz go nam przedstawiacie jak coś, co was oszukało. Trudno mi w to uwierzyć i w dodatku jestem innego zdania. Popatrzcie, gościcie dzisiaj u siebie oficera, który za Polski sanacyjnej mógłby być wszystkiego tylko szeregowcem wykonującym rozkazy burżuazyjnych oficerów i czyszczącym im buty. Najtragiczniejsze w tym jest to, że ja, *Białorus w* polskim mundurze, stoję na straży bezprawia. Ja przecież jestem jednym z nikomu niepotrzebnych dzieci tej „dobrej" Polski. Dla mnie nie było ni szkoły, ni chleba i żadna polska organizacja charytatywna nie zainteresowała się moim losem i nie dostarczyła choćby połatanej skarpetki. A ja dzisiaj w rozmowie z wami pochwaliłbym tę organizację czy osobę, która pomogłaby mi się obuć chociaż w łapcie i pójść do szkoły. Powtórzę jeszcze raz, że ja ani jednego dnia nie byłem w szkole tej przeklętej pańskiej Polski. Dzisiaj, za władzy ludowej, dzięki państwu i własnemu,

zdawałoby się nie do pokonania wysiłkowi, jestem oficerem. Pewnie, że jak powiedział na zakończenie szkoły jej dyrektor wręczając świadectwa, iż szkoda, że tacy zdolni ludzie dopiero teraz uzyskali możliwość dokształcania się. Jest to dużo za późno, aby w życiu coś osiągnąć. Po nim wystąpił komendant ochrony gmachu podpułkownik Pietrakowski i bardziej optymistycznie przedstawił sprawę, niż wspaniały pedagog mgr Radkiewicz. Pułkownik obiecywał, że w miarę dobrych postępów w pracy zawodowej i partyjnej wielu z towarzyszy zostanie skierowanych do różnych szkół oficerskich, co podniesie ich statut społeczny i rangę zawodową. – Trudno – powiedział podpułkownik Pietrakowski. – Nasze pokolenie nie miało luksusów nigdzie, bo to pokolenie przemian i wojny. Zamiast uczyć się, musieliśmy wojować...

– Stop, stop. Ty przestań mnie tu agitować, bo ja pierwszy niż ty poszedłem wojować o socjalizm. A teraz, mimo, że jesteś oficerem, to ja i tak lepiej od ciebie wiem kto na tym wygrał. Powiem tylko tyle, że naród przegrał, bo to, co się u nas dzieje jest przeciwko narodowi, a ten z kolei stawia opór temu gównianemu socjalizmowi, który obiecywał ludziom dobrobyt, a postawił przed obliczem nędzy. Czy ty zdajesz sobie sprawę, że aby utrzymać armię i aparat ucisku, kołchoźnik musi głodować? Pewnie, że tobie jest lepiej niż mnie, ale pamiętaj, że w oczach niedożywionego społeczeństwa jesteś cząstką machiny ciemiężącej je. I tu jest pies pogrzebany. Jesteś z narodu i do tego najbiedniejszego i niby mu służysz, a to nieprawda, bo go uciskasz, chociaż wierzę, że ty tego nie widzisz. Spróbuj na zebraniu partyjnym albo gdzie indziej tam u was, na jakiejś naradzie powiedzieć coś przeciw kołchozom albo wywózkom na Sybir za nie, to wtedy się przekonasz czy pozostaniesz w wojsku, jeżeli nie spotka cię coś gorszego. Z drugiej strony nie zapominaj, że nosisz obcy mundur, co jest solą w oku twojego narodu, gdyż ten mundur jest synonimem tego, co do 1939 roku przeżywał naród białoruski i ukraiński pod rządami sanacji.

– A czyż przed 1939 rokiem nasi chłopcy nie służyli w tym burżuazyjnym wojsku? Służyli i byli przygotowywani do ewentualnej

wojny z bolszewikami, a więc z braćmi klasowymi w obronie swych ciemiężycieli...

– Tak było, bo i Polacy służyli w Armii Radzieckiej i służą. Ale tak jak sanacyjna Polska nie miała zaufania do mniejszości narodowych i nie dawała im możliwości wybicia się na oficera, tak i Związek Radziecki...

– Stop, stop, imienniku Lejczyk. A kto wam powiedział, że w Armii Radzieckiej Polacy nie są oficerami?

– Są, ale wszystko jedno do nich nie ma takiego zaufania, jak do innych. No, ale czas iść spać, bo chyba zaraz będzie świtać.

Na drugi dzień Wiesiek wrócił do Wierchowicz, oddał konia z bryczką lejtnantowi Cwietkowowi i postawił w barze półlitrówkę moskiewskiej. Lejtnant co prawda częstował się wódką nie czyniąc Wieśkowi żadnych wymówek z powodu jego zachowania się w drodze do Siporki, ale widać było, że coś go męczyło. Widocznie miał przykrości od przełożonych za udostępnienie powozu czort wie komu i to aż na całą dobę.

Bardzo sympatyczny i ludzki był to oficer. Wielu go wspomina w podobny sposób. Wiesiek żałuje, że więcej razy nie udało się go zobaczyć, ponieważ następnym razem w Wierchowiczach był już służbową Wołgą generała Leonida Iwanowicza, który zaproponował Wieśkowi i jego żonie obejrzenie Puszczy Białowieskiej od strony radzieckiej z jej atrakcjami, Białej Wieży i miejsca, gdzie dwóch cekaemistów radzieckich w 1941 roku wykosiło kompanię Niemców.

Tego arcysympatycznego i przystojnego generała, w przeszłości żołnierza broniącego Stalingradu, Wiesiek spotkał przypadkowo podczas kolejnego wyjazdu do Brześcia u jednego z weteranów wojny. Od razu przypadli sobie do gustu i generał zaprosił Wieśka do gabinetu. Tu trochę porozmawiali, przedstawiając się kto kim jest i rozeszli się. To znaczy Wiesiek wiedząc, że nie można nadużywać gościnności, opuścił gabinet powiedziawszy „Do zobaczenia". Rzeczywiście, widzieli się jeszcze parę razy i rozmawiali jak dwaj bracia. Generał pytał, czy Wiesiek ma dobre mieszkanie, ile ma dzieci i jak mu się układa praca. Wiesiek szczerze odpowiadał, gdyż odczuwał, że z tego człowieka

emanuje tylko dobroć i życzliwość. Raptem Leonid Iwanowicz zapytał, skąd Wiesiek tak dobrze zna język rosyjski. Ten się zarumienił i odpowiedział, że nie tak dobrze, ale zna, ponieważ jest *Białorusem* to raz, a po drugie za Sowietów chodził do szkoły dwie zimy, gdzie po rosyjsku uczyli, oraz obecnie, za władzy ludowej uczył się zarówno w technikum jak i w szkole oficerskiej, więc rozumie, chociaż akcentu chyba się nie wyzbędzie.

– A wy słyszycie, jak tu w *Briestie* mówią po rosyjsku z akcentem i nikt się nie martwi z tego powodu? – zapytał generał.

– Słyszę i o swój akcent też się nie martwię. Nawet na państwowym egzaminie otrzymałem czwórkę.

– O, to wspaniale. Ten fakt potwierdza moją tezę, że wystarczy wam poobcować z Rosjanami rok czasu i macie język doszlifowany. A w związku z tym proponuję wam przejście do nas do pracy i wyjazd do Związku Radzieckiego na pobyt stały.

Ta propozycja Wieśka zatkała w sensie pozytywnym i jednocześnie pomyślał, co na to powie żona. A generał ciągnął: – Od razu dostaniecie dwupokojowe mieszkanie z kuchnią, stopień majora i 220 rubli pensji. Z uzyskaniem obywatelstwa potrwa, bo to proces długi, ale uzyskacie i będziecie obywatelem radzieckim. Przy tym obiecuję wam, że w razie przeniesienia mnie do innego garnizonu czy miasta – zabiorę was ze sobą, jeżeli oczywiście zechcecie.

Wiesiek powiedział żonie o tej propozycji, a ta i słuchać nie zechciała, mówiąc: – Gdzie ciebie licho poniesie z Białegostoku, gdy tam masz pracę, dom i dzieci? A skąd wiesz, że tu sobie polepszysz itd. itp, aż do znudzenia. Wiesiek pogodził się z losem, aczkolwiek niechętnie, bo mu imponował mundur radziecki i zupełnie nowa sytuacja.

Któregoś razu Wiesiek z żoną siedzą na skwerze przy ul. Mickiewicza, aż Wiesiek spostrzegł, że w ich kierunku zbliża się generał. Przywitał się, usiadł i bez wstępu zapytał, czy Wiesiek pytał żonę o zgodę na przeprowadzkę do Briesta. Wiesiek uśmiechnął się i pokazał na żonę, żeby sama powiedziała jak to było. Żona znowu swoje, a generał bez natarczywości, wstając z ławki rzekł: – No, jak

chcecie, to wasza osobista sprawa. Życzę przyjemnego pobytu w naszym bohaterskim mieście.

* * *

Życie toczyło się dalej, chociaż sytuacja w Polsce, jak zresztą i na Węgrzech była bardzo napięta. Po wypadkach poznańskich w Polsce wrzało. W sierpniu na budynkach Uniwersytetu Warszawskiego wywieszono ogromne płótno z napisem: „Co słychać? Nic, bo głuszą. Za ile? Za milion złotych dziennie". To spowodowało, że władze centralne poleciły zlikwidować punkty zagłuszania, aparaturę zabezpieczyć w magazynach, a operatorów poprzydzielać do innych jednostek MSW i do Biura Ochrony Rządu. Z tym, że polecenie o likwidacji stacji zagłuszających wydano po dojściu Gomułki do władzy.

Oficerowie i inni pracownicy przychodzili do pracy lecz już nie na zmiany, a w godzinach urzędowania i dyskutowali co z nimi zrobią. Wiesiek nadal uczęszczał do technikum. We wszystkich jednostkach byłego MBP dniami i nocami odbywały się zebrania partyjne i żarliwe dyskusje nad powstałą sytuacją. Któregoś razu Wiesiek poszedł do kina „W-Z", aby zobaczyć jakiś rozreklamowany film, a zobaczył Kronikę Filmową, która postawiła mu włosy dęba. Pokazano w niej powrót pułkownika Skalskiego z Wielkiej Brytanii i krzyczano: „Orły wracają do gniazd, dość mamy krzywd i bezprawia, w którym żyliśmy dwanaście lat!" Oszołomiony kroniką wracał ulicą Wolską do domu, a tu, jakby na potwierdzenie jego obawy, że Polska Ludowa zginie, a on będzie musiał wracać na wieś z żoną warszawianką, aby szukać chleba u jakiegoś gospodarza, przemknął samochód z głośnikami wrzeszczącymi „Polska dla Polaków, a Warszawa dla warszawiaków!" Nie bał się o siebie, ale co zrobi z rodziną, nie mając ni domu ni łomu?

Nazajutrz wstaje rano, spogląda w okno i widzi idących przez osiedle żołnierzy radzieckich. Patrzy dalej, a tam stoi szereg samochodów jakiejś jednostki łącznościowej, bo z antenami. Wychodzi, aby się zorientować o co chodzi. Widzi, że tych maszyn cała ulica Syreny aż do Wolskiej. Próbuje rozmawiać z oficerami, sam będąc

w mundurze, ale oni nie są rozmowni. Koło południa opuściły Wolę udając się gdzieś w kierunku zachodnim.

Wieczorem znowu zebranie partyjne, na którym był obecny, bo do tej organizacji należał, generał J. Hübner. Egzekutywa w dzień opracowała rezolucję o potępieniu swojej dotychczasowej działalności na szkodę własnego narodu, który pozbawiała elementarnych zasad demokracji – wolności prasy i audycji radiowych. Rezolucję poddano pod głosowanie, ale niewielu było za jej podjęciem i opublikowaniem. Zebranie wrzało, a Wieśka nurtowała wczorajsza kronika. Serce mu waliło i język skołowaciał, gdy pomyślał, że w takiej sytuacji aż się prosi, by zapytać generała, człowieka frontowego, bohatera Związku Radzieckiego, co on myśli i jakie jest zdanie kierownictwa resortu na temat wydarzeń i ewentualnej interwencji wojsk Układu Warszawskiego.

Gdy Wieśka dopuszczono do głosu, zdołał tylko opowiedzieć, co wczoraj widział w kinie i stwierdził: – Jeżeli te dwanaście lat budowy socjalizmu w Polsce było bezprawiem i krzywdą dla narodu, to trzeba to naprawić, oddając władzę w ręce rządu emigracyjnego w Londynie.

Mówił to z sarkazmem i złością, z pozycji człowieka, który z biedaka awansował na oficera i pracuje w elitarnej jednostce, zapobiegającej rozlewaniu się wrogiej, antysocjalistycznej propagandy, sączącej się spod piór różnych imperialistycznych mętów, którzy zbiegli przed wymiarem sprawiedliwości, a emitowanej w eter przez sprzyjające im ośrodki obcych agentur, finansowanych przez CIA.

Generał Hübner, wywołany do tablicy, mówił dużo o nieodpowiedzialnych pismakach i propagandystach mających na celu zohydzić władzę ludową w Polsce i socjalizm w ogóle, ale to tylko ich marzenie, gdyż Związek Radziecki i Układ Warszawski do tego nigdy nie dopuszczą. Pracownicy pochodzący z podobnego, albo i identycznego środowiska co i Wiesiek, poczuli się lepiej. Generał zapewnił, że nikt nie zostanie bez pracy, chociaż Łączność Specjalna została rozwalona. Kadry mają zalecenie, aby was poprzydzielać do różnych jednostek resortu, kto pozostanie i zechce nadal pracować w naszym

resorcie, a inni odejdą do instytucji cywilnych zgodnie ze swoimi kwalifikacjami – zapewniał generał.

Wiesiek naukę w technikum musiał przerwać, ponieważ nikogo to już nie interesowało. Teraz głównym zadaniem składu osobowego, jednak z wyłączeniem kobiet, było utrzymanie porządku w mieście, a szerzej – władzy. Dyżury trwały dzień i noc, ale nikt z pracowników nie miał prawa posiadania broni palnej. Któregoś razu Wiesiek trafił na dyżur do gmachu byłego MBP przy alei Stalina 3, gdzie było około trzystu oficerów. Ich zadaniem było obserwować sytuację i wkraczać do akcji tylko wówczas, gdy demonstranci będą atakowali gmach. Gdy tak ta masa ludzi siedziała w jednej świetlicy i gwarzyła, ktoś wbiegł i oznajmił, że za chwilę przybędzie Jerzy Putrament.

Za parę minut pisarz rzeczywiście wszedł do świetlicy i z miejsca zaczął opluwać Rosjan i Związek Radziecki. Na Rosjan mówił, że to są nieokrzesane chamy, którzy do dziś śpią w waciakach na chlebowych piecach i mają *woszy* jak gęsi, a Związek Radziecki kierowany przez takich ludzi jak Kanstantin Rakassowski, jest zdolny tylko do ujarzmiania innych narodów.

– Sam byłem głupi! – krzyczał pisarz. – I uwierzyłem w Rokossowskiego do tego stopnia, że własnemu synowi nadałem imię Konstanty. A teraz go nienawidzę i przyłączam się do tych demonstrantów, którzy niosą hasła „Rokossowski do Moskwy!". Zobaczcie, towarzysze, jak to jest! – rozzuchwalił się Putrament, widząc, że oficerowie nie reagują na jego krzyki. – Rakassouski i jego klika próbowali nastawić naród polski antysemicko, a nastawili antysowiecko. Myśleli, że Polacy są głupi i dadzą się manipulować. Naród zrozumiał i występuje nie przeciwko Żydom a przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Pytania będą?

Wstał jakiś starszy człowiek w cywilnym ubraniu i powiedział jak się nazywa oraz oznajmił, że jest weteranem wojny hiszpańskiej i zapytał: – Towarzyszu Putrament, wy przyszliście tu, aby nas, oficerów i w ogóle zdaje się cały naród nastawić przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Popełniacie błąd, gdyż w wypadku wybuchu konfliktu

zbrojnego pomiędzy nami a ZSRR oni zasypią nas czapkami. Z czym do gości, czego wy chcecie?

Putrament zerwał się z krzesła niby ukłuty szpilką i zareplikował: – *Da, wy pożyłoj czełowiek, no oczeń miełko pławajuszczij. Jest' w mirie siły, kotoryje pomogut nam oswobodit'sia ot bolszewikow!*

Usiadł zgaszony weteran, usiadł Putrament, promieniejący satysfakcją z osiągniętego celu, milczeli oficerowie. A Wiesiek przyrzekł, że nie weźmie do ręki żadnej książki tego farbowanego lisa. Jednocześnie uzyskał potwierdzenie, że jeżeli członek Biura Politycznego KC PZPR tak mówi, to znaczy, że Polskę Ludową szlag trafił.

Nazajutrz zebranie w gmachu przy ul. Rakowieckiej, którego Wiesiek był bohaterem, gdyż jako pierwszy zadaje pytanie: – Towarzysze, co z nami będzie? Rozwydrzone tłumy chodzą po ulicach z hasłami antysocjalistycznymi, antyradzieckimi. Putrament nastawia nas przeciwko ZSRR, ja zostałem pozbawiony pracy, a pan Nikita Chruszczow bawi się w turystykę, jeżdżąc po świecie, obdarowując koronowane głowy ogierami926 donieckiej hodowli!

Rozruszane tym „kijem" mrowisko huczało całą noc. Jedni byli po stronie Wieśka i domagali się, aby położyć tamę burdom nawet przy użyciu siły, drudzy zaś próbowali łagodzić sytuację, mówiąc aby poczekać, gdyż może się tak stać jak na Węgrzech, z tym, że dużo gorzej, bo Polska jest większym krajem. Ktoś wyskakuje z miejsca i krzyczy, że przeklina.

– Kogo przeklinacie, towarzyszu? – pyta ktoś zza stołu prezydialnego.

– Wszystko i wszystkich – odpowiada zapytany i siada.

Na drugi dzień woła Wieśka do siebie pułkownik J. i mówi: – Towarzyszu, jestem z wami i popieram wasze poglądy, ale nie można wam na tego rodzaju forum krytykować Chruszczowa. Poczekajcie, sytuacja się wyjaśni. Na razie nam płacą, a więc bądźmy dobrej nadziei.

– Towarzyszu pułkowniku, słyszałem, że dali nam pensję już tylko za ten miesiąc, a co będę miał na drugi miesiąc, nie mając w zapasie gotówki?

– Powiadam wam, nie denerwujcie się, może jakoś to wszystko się unormuje.

Poszedł Wiesiek do kadr, aby się dowiedzieć co jest, ponieważ z jednostki podległej pułkownikowi J. wszyscy, nawet ci co mieli tylko podstawowe wykształcenie, gdzieś zostali umieszczeni, a ich dwóch, uczniów Technikum Łączności, pozostaje na wylocie. Tam go przyjął kapitan Zabawa i powiedział: – Towarzyszu, wiem, że jesteście fajnym chłopem i potraficie zatrzymać sobie to, co zaraz ode mnie usłyszycie. Otóż was dwóch, ale nie tylko, już nie będzie mogło pracować w naszych organach, gdyż pułkownik Górecki wszystkich tych, którzy pracowali w X Departamencie umieścił w swej czarnej księdze. Radzę wam szukać pracy w mieście, bo tu już dla was miejsca nie będzie. Słyszałem, że „Orbis" potrzebuje konduktorów na międzynarodowe pociągi. Idźcie tam i zapytajcie.

Wiesiek jak był tak i poszedł w mundurze do dyrekcji „Orbisu". Nie wiadomo, bo był zdenerwowany, czy zapukał do drzwi sekretariatu dyrektora, czy może wszedł bez pukania. Dosyć, że zastał dyrektora z sekretarką w pozie raczej nie na pokaz, co spowodowało konsternację. Wiesiek, nie przywiązując wagi do chwili, bo myślał, że dyrektor sekretarkę może całować kiedy tylko chce, oznajmił z czym przychodzi. Dyrektor, nie mówiąc o tym, że są lub nie ma miejsc dla przybyłego z potrzebą oficera, tylko zapytał; – Jak wy się nazywacie? Usłyszawszy nazwisko powtórzył pytanie: – Jak, jak? Teraz usłyszał dobitnie imię i nazwisko, dyrektor już więcej niczym się nie interesował. Odpowiedział konkretnie: – Nie ma u nas żadnej pracy.

W końcu jednak okazało się, że Wieśka nie zwolniono do cywila, a zaproponowano mu pracę w Poczcie Specjalnej, na nowych warunkach, ale z zachowaniem stażu pracy. Naukę w technikum przerwał – jeździł po Polsce z korespondencją Poczty Specjalnej. Niebawem okazało się, że takich „podejrzanych" znalazło się więcej i nawet starszych od niego stopniem. Jeździli, w hotelach odpoczywali często z przyjemnościami i cieszyli się, że mają chleb.

To było już wtedy, gdy Władysław Wicha został ministrem spraw wewnętrznych. Gdy W. Wicha został mianowany na to stanowisko

– przyszedł do świetlicy i przedstawił sytuację polityczną w Polsce. Wynikało z niej, że do przelewu krwi nie dojdzie, socjalizm będzie budowany dalej i wszyscy ci pracownicy, którzy pracując w MBP nie splamili się krwią pozostaną na swoich stanowiskach, a innych się przemieści do jednostek posiadających wakaty tak, że nikt nie zostanie pokrzywdzony. Jeżeli, jak powiedział, nie ma skrwawionych rąk.

Na takie dictum Wiesiek się ucieszył, bo nawet nie wiedział, że ktoś kogoś bił, a nie to, że sam to stosował. Jednak nie wybaczono mu, bo tak chciał niejaki Górecki, pracy w X Departamencie pod wodzą podpułkownika Światło i dano do Spec Poczty na kuriera. Nie było tam zresztą źle, bo naczalstwo w osobach panów Gorynia i Surmacza było dobre, a i obowiązki nieuciążliwe. Najgorsze były nocne zebrania i różnego rodzaju szkolenia. To zabierało czas i denerwowało. Wiesiek nie był zadowolony sytuacją z tego powodu, że przerwał szkołę, ale nic nie mógł poradzić.

Któregoś razu przeczytał w gazecie, że przy ul. Bema powstało wieczorowe Technikum Ekonomiczne. Ucieszył się, bo to było tylko jeden przystanek tramwajowy od jego miejsca zamieszkania. Poszedł i dowiedział się, że bardzo chętnie zostanie wpisany na listę „studentów", ale do I klasy.

* * *

Po paru miesiącach pracy wewnątrz MSW Wiesiek widocznie dał się poznać jako dobry i sumienny pracownik, gdyż dopuszczono go do największych tajemnic Biura „B". Między innymi poznał wszystkie lokale konspiracyjne będące na stanie poszczególnych wydziałów, sporo wywiadowców tych wydziałów i naczelników. Zresztą naczelnicy nie stanowili aż takiej tajemnicy, gdyż mogli w każdej chwili przyjeżdżać do oficjalnego gmachu, gdzie rezydował dyrektor biura.

Nie ulega wątpliwości, że przez cały ten czas, gdy pracował na stanowisku kontaktów z lokalami konspiracyjnymi, był obserwowany. Nic jednak podejrzanego nie wynikło z jego strony, skoro Kadry zaproponowały mu przejście do pracy konspiracyjnej w jednym z wydziałów, którego naczelnikiem był kapitan Koralik – fałszywy,

podstępny i bardzo niedouczony sukinsyn, który gnębił podległych sobie wywiadowców, a podlizywał się kierownictwu.

Lokal konspiracyjny był duży i dobrze wyposażony w sprzęt potrzebny wywiadowcom, jak do pracy tak i do rozrywki. Tam odbywały się zebrania partyjne i narady produkcyjne. Wieśkowi było o tyle niewygodnie, że ów lokal znajdował się aż na Mokotowie, w okolicy ulicy Odyńca, a on mieszkał na Woli. Dojazdy zabierały dużo czasu, ale czego się nie robi dla chleba? Kierownikiem sekcji, do której go przydzielono okazał się jego były podwładny i kolega Władek, z którym rozpracowywali marszałka Żymierskiego. Wiesiek nie za bardzo był zadowolony z takiej sytuacji, bo wiedział, że Władek, teraz już nazywany Mydlarzem, jest zarozumiałym i wrednym człowiekiem. Będzie chciał pokazać przed dowódcą grupy jaki to on ważny. Ale do roboty!

W wydziale obserwacyjnym pracowali przede wszystkim mężczyźni rekrutujący się ze wsi. Do pracy dostali się w różny sposób, trochę było robotników z różnych stron Polski, ale najwięcej wśród wywiadowców było chyba Polaków-repatriantów z Francji. Było bardzo dużo lizusów-donosicieli i to powodowało różne niesnaski w kolektywie. Były też kobiety i panny, które wykorzystywano nie tylko do obserwacji zewnętrznej, ale przede wszystkim do obserwacji w lokalach rozrywkowych itp., jak też do pełnienia obowiązków gospodyni lokalu konspiracyjnego, gdzie od czasu do czasu coś się pitrasiło, aby zapach na klatce schodowej obwieszczał sąsiadom, że jednak tu ktoś mieszka.

Co prawda z tą konspiracją było różnie, bo to zależało od sytuacji i elokwencji samych wywiadowców, a i pomyłki też bywały tak kardynalne, że aż nie przystoi o tym wspominać, jak i o tym, co się tam czasami działo. A to powodowało, że sąsiedzi wzywali milicję. Milicja, jak na całym świecie, a polska w szczególności, była cholernie nierozgarnięta i żadne jakieś dawanie do zrozumienia, że to się załatwi, nie dawało rezultatu. Dochodziło do totalnej dekonspiracji lokalu konspiracyjnego i rabanu aż w Komitecie Zakładowym PZPR przy MSW. Lokal się zmieniało, sprawę łagodziło, a Koralik dalej pa-

nował liżąc tyłek też półanalfabecie – dyrektorowi Biura „B", szlifowaniem materiałów i donosami na podległych sobie wywiadowców.

Wiesiek na łono wydziału Koralika został przyjęty przychylnie, bo po bardzo krótkim czasie otrzymał premię pieniężną w wysokości 500 złotych. Pieniądze te przekazał zaraz na budowę Domu Partii, bo o to apelował Gomułka. Inni wywiadowcy nie dali nawet po 50 zł, a on aż 500, wtedy gdy na utrzymanie dorabiał oddając krew i to razem z żoną. Głupich nie sieją, oni sami rosną i to na każdej glebie.

Sytuacja Wieśka zaczęła się psuć na skutek intryg kolegów i może nawet zbiegów okoliczności lub umyślnej złej woli kierownictwa, aby go „uziemić", ponieważ na zebraniach zaczął zabierać głos i krytykować niektórych kierowników sekcji i poszczególnych wywiadowców, nie wiedząc kto jest czyim pupilem. Atmosfera zaczęła się zagęszczać wokół Wieśka od momentu, gdy trzeba było podejmować i ustalać kontakty, czyli osoby odwiedzające pewną ambasadę jednego z państw kapitalistycznych. Jankowi W. i Wieśkowi trafiła się kobieta, której oni zaraz nadali pseudonim „Olga". Janek już po pięciu minutach zgubił się. Nie wiadomo, celowo czy na prawdę, dosyć że Wiesiek pozostał sam.

„Olga" szalała po mieście, przesiadając się z tramwaju do tramwaju, odwiedzała sklepy, domy towarowe i znowu wskakiwała do trolejbusu lub autobusu, aby po jednym przystanku wysiąść i wskoczyć do jakiejś klatki. Gdy Wiesiek po kilku godzinach znalazł się z „Olgą" w Centralnym Domu Dziecka, postanowił prosić o pomoc albo chociaż o szatnię, żeby się móc przebrać, ponieważ przypuszczał, że mógł być przez nią zauważony, a to groziło dekonspiracją przedsięwzięcia. Koralik odpowiedział mu, że na razie nikogo nie może podesłać i szatnia też jest w terenie, więc niech zatelefonuje jeszcze raz. Gdy Wiesiek znalazł okazję by zatelefonować jeszcze raz okazało się, że naczelnik też nie może nic poradzić. Powiedział: – Jesteś chłop z jajami, więc sobie radź sam. Wiesiek odłożył słuchawkę i poszedł pod sklep, w którym zostawił kontakta. Ale tam „Olgi" już nie było, więc zgubił.

Przyjechał do lokalu konspiracyjnego na Mokotowie i napisał komunikat z obserwacji i o tym, w jakich okolicznościach obiekt spod

tej obserwacji wyszedł. Koralik, po zapoznaniu się z komunikatem polecił Wieśkowi napisać szczegółowe wyjaśnienie. Nie Jankowi W., który zgubił się po paru minutach, ale właśnie Wieśkowi, który uczciwie pracował. Wiesiek w swoim wyjaśnieniu użył zwrotu „przecież" przez „rz" na końcu. Był to ewidentny błąd ortograficzny, ale napisany machinalnie, bo co jak co, ale uczęszczając do technikum Wiesiek to już wiedział. To by się rozeszło po kościach wśród ludzi, którzy pisali *wutka*, chociaż pili ją każdego dnia po trosze, ale Koralika ubodło to, że Wiesiek w wyjaśnieniu napisał, że mimo próśb nie otrzymał pomocy i przytoczył słowa Koralika o tym, jaki to on chłop.

Po paru dniach zwołano zebranie partyjne na temat dyscypliny pracy. Kto wie, czy to nie było zebranie nadzwyczajne, zdaje się, że tak, bo drugie w miesiącu. W punkcie pierwszym poprosił o głos (dyrektor biura „B") Michał Drzewiecki, który poskarżył się przed organizacją, że pracując w Gabinecie Ministra został ukarany naganą partyjną. Długo wyjaśniał, że pewne kręgi funkcjonariuszy MSW już od dawna do niego się uczepiły, aż wreszcie znaleźli okazję by go ukarać. – Proszę więc towarzyszy – powiedział na zakończenie swoich wywodów, – o zrozumienie sytuacji niektórych z nas, zawsze krzywdzonych i o podjęcie uchwały o zatarciu mojej winy.

Jako pierwszy do wniosku dyrektora Drzewieckiego ustosunkował się, jak zawsze najgłupszy, „czubaryk" i zaproponował, aby karę partyjną, którą niesłusznie wymierzono, jakby on tam był i wie za co Drzewieckiego ukarano, zatrzeć oraz uznać za niebyłą. Innych wniosków nie było, więc wszyscy głosowali za zniesieniem kary. Niechby spróbowali inaczej. W tym wypadku Drzewiecki nie musiałby polegać na opinii Koralika, aby kogoś odpowiednio „załatwić", jak Wacka S. dyscyplinarką. On sam by wiedział, kto i jak głosuje.

W punkcie drugim wzięto się za sprawę zasadniczą, a więc za dyscyplinę pracy. Tu też zabrał głos M. Drzewiecki, jako pierwszy i od razu podniósł sprawę Wieśka, na tle której obraził nie jednego wywiadowcę, ale nie wymieniał z nazwisk. Natomiast Wieśka nazwał analfabetą, mówiąc, że każde dziecko w Polsce wie, iż „przecież" pisze się przez samo „żet", a nie przez „er-zet". Kończąc powiedział, że

tacy wywiadowcy będą pod szczególną opieką, trzeba ich przesiewać i przewiewać, bo oni przynoszą jedynie hańbę kolektywowi. Wiesiek pojechał do domu w nastroju wisielczym, bo go obrażono i wyśmiano. A po drugie był pewien, że teraz mu nie ujdzie płazem żadne potknięcie i będą stosowane poczęcia prowokacyjne.

Nazajutrz w lokalu konspiracyjnym przy ulicy Nowy Świat, w obecności Fernandela i Szymka Wiesiek skarżył się na wczorajszą sytuację na zebraniu, mówiąc, że otrzymał zapłatę za wniosek o zatarcie kary dyrektorowi biura... W tym momencie wszedł do pomieszczenia Mydlarz i usiadł przy stoliku, pytając co słychać. Wiesiek mówi, że za tę jedną literę miał i ma tyle wstydu i upokorzenia. Mydlarz, jak zawsze zarozumiały i cyniczny, a broniący pozycji dyrektora nogami i rękami, zaczął ironizować: – A co ty myślisz, że my tu analfabeci i wciśniesz nam każdą bzdurę? Towarzysz dyrektor ma rację, że w Polsce oprócz analfabety nikt nie napisze „przecież" przez „er-zet".

– Posłuchaj ty, naukowcu, a jak się pisze „sprawy bieżące"?

Gdy Władek siadł na krześle kładąc przed sobą teczkę, Wiesiek z zadowoleniem spostrzegł, że na tej teczce jest wykaligrafowane *Sprawy bierzące*. Mydlarz wzburzony poczerwieniał i krzyknął: – Ty mnie nie będziesz egzaminował!

– Nie mam takiego zamiaru, ale „sprawy bieżące" pisze się przez zet z kropką, a nie przez er-zet, jak u ciebie, bo pochodne od bezokolicznika biec, czyli biegnąć. A spółgłoska „g" przechodzi w „ż". Wziąłeś przykład z dyrektora, bo u niego też tak samo widziałem kiedyś.

To powiedzenie „zamurowało" Fernandela i Szymka, ale nie Mydlarza. Chwycił teczkę i ze słowami: – Ja cię nauczę, jak mnie się sprzeciwiać! – opuścił pokój. Ci dwaj chłopcy też nie wiedzieli, jak to się pisze i nawet byli przychylni Mydlarzowi. Poradzili jednak, że trzeba by zajrzeć do podręcznika gramatyki. Na tym scysja zacichła, bo Wiesiek nie miał możliwości ani chęci z kimkolwiek o to się sprzeczać. Ale spokój to był pozorny, gdyż Wiesiek zaczął odczuwać wokół siebie ordynarne szykany.

Po kilku dniach od scysji o literę, zawołał go do siebie kierownik sekcji Tadeusz Bartoszewski i w obecności Janka W. zaczął mu wypominać nieumiejętne zachowanie się w czasie prowadzenia obserwacji, tendencyjne „naciąganie" komunikatów z obserwacji itd., itp. Nie Wiesiek ale Janek, jako starszy zmiany wszystkiemu zaprzeczył i powiedział, że w jego przekonaniu Wiesiek jest jednym z lepszych wywiadowców w wydziale. Wtedy Bartoszewski zarzucił Jankowi, że go kryje, ale to niebawem wyjaśni się dlaczego i rozmowę uznał za zakończoną.

Jeżeli chodzi o samego Bartoszewskiego, to nie ze złośliwości, ale zupełnie obiektywnie trzeba powiedzieć, że nie tylko na kierownika sekcji obserwacyjnej się nie nadawał, ale i jako wywiadowca był antytalentem. Chodził za obiektem krok w krok, a jeżeli się zdarzało, że obserwowany raptem wracał, wówczas Tadzio też wracał i idąc przed obiektem co chwila oglądał się za siebie czy gdzieś nie skręcił. To uwidoczniało się szczególnie w terenie o małym ruchu. Wywiadowcy komentowali to jego zachowanie się, ale więcej nikt o tym nie wiedział, gdyż na pupila Koralika nikt nie śmiał donieść, ani powiedzieć o tym w czasie narad roboczych. Wieśka denerwowało i to, że w czasie gdy obserwowany obiekt gdzieś wszedł, wtedy wywiadowcy skupiali się wokół Bartoszewskiego i gawędzili stojąc naprzeciw bramy. A gdy podchodził Wiesiek kierownik uważał, że powstało skupisko powodujące dekonspirację. Pewnego razu tak się zagadali, że stracili z oczy wychodzący obiekt, a za nim Wieśka. Później znowu go sztorcowano, że widział jak obserwowany wychodził, a nie powiadomił i oni musieli zwinąć manatki udając się do lokalu konspiracyjnego, aby czekać z jakim rezultatem przyjdzie Wiesiek. Później w notatce z przebiegu pracy za danym obiektem nic nie wspominali o tym, że do końca prowadził obserwację tylko jeden wywiadowca. Ba, było i tak, że nie doczekali się powrotu, więc szli do domu. Później rano przychodzili, aby zapoznać się z rezultatem wczorajszej pracy i znowu sklecić notatkę o sposobie i przebiegu obserwacji obiektu „X". Wieśka krew zalewała, ale był bezradny, a kanty cwaniaków biły w niego.

Gdy zamordowano syna Bolesława Piaseckiego – przewodniczącego PAX-u, wszystkie siły milicji i bezpieki rzucono do wykrycia sprawców tej zbrodni. Ten okres dla Wieśka był gehenną jeszcze i dlatego, że on jeden uczęszczał do technikum. A to powodowało, że praca stykała się z pracą, bo gdy miał lekcje to pracował na pierwszej zmianie, a gdy nie miał to na trzeciej. Bywało tak, że nocami w domu nie był, gdyż zakończył pracę w Sulejówku późną nocą, przyjeżdżał do „Świetlicy", pisał komunikat, przeciągał się przez kilkanaście minut na stole bilardowym i jechał znowu do Sulejówka już z inną zmianą, aby podjąć obserwację pewnego technika samochodowego, podejrzanego o współudział w morderstwie siedemnastolatka. Ten technik był we wszechstronnym rozpracowaniu, a więc trzeba było ustalać wszystkie kontakty osobowe.

Któregoś razu, gdy Wiesiek pracował na trzeciej zmianie, zajrzał do tego technika jakiś mężczyzna. Po kilku chwilach wyszedł i udał się na stację PKP. Trzeba było ustalić dokąd jedzie i po co. Przypadło to w udziale Wieśkowi i Zającowi. Mężczyzna pojechał do Warszawy i poszedł do jednej ze szkół licealnych. Trzeba było czekać aż skończy lekcje i ustalić miejsce zamieszkania. Był co prawda siarczysty mróz, ale to z nikogo nie zdejmowało obowiązku dalszej obserwacji „obiekta". Tymczasem Zając po półgodzinnym staniu na mrozie powiedział, gdzie on ma obserwację i co na nią położył. Zabrał się i pojechał do domu.

Obserwowany nauczyciel skończył lekcje do dwudziestej pierwszej i pojechał na Dworzec Śródmieście, aby pociągiem elektrycznym udać się do Sulejówka, gdzie mieszkał. Wiesiek ustalił jego adres i przyjechał na Mokotów, aby napisać komunikat. Na tym mu zeszła prawie cała noc, gdyż do Warszawy wracał też pociągiem, bo wozów operacyjnych w Sulejówku już nie było. Zdał komunikat dyżurnemu i powlókł się do domu nocnym tramwajem.

Nazajutrz raniutko chytry Zając przybiegł do lokalu, przejrzał co Wiesiek napisał i spokojnie siedział czekając na naczelnika. Gdy naczelnik zapytał co słychać, Zając zdał mu relację z ustalenia wczorajszego kontaktu „Technika" i nie omieszkał zaznaczyć, że gdyby nie

on, to by ten kontakt nie został ustalony, ponieważ „Wiesiek gdzieś zginął, prawdopodobnie poszedł do domu". Koralik to sobie zakonotował, a Zająca pochwalił za lojalność. Nawet nikt z nich okiem nie mrugnął, że komunikat napisany Wieśka charakterem. Koralik może na to nie zwrócił uwagi, ale Zając w swej bezczelności przerósł samego siebie, chociaż mówiąc obrazowo nie było tam czego przerastać, gdyż był niskiego wzrostu. Nie tak jak zwykł siebie przedstawiać. Gdy na przykład trzeba było podać rysopis jakiegoś „kontakta" w prowadzonej sprawie, to Zając wcale bez żartów mówił „Wysoki taki, jak ja". A nie miał więcej niż metr pięćdziesiąt.

Kiedyś znowu Wiesiek i Zając mieli dyżur w lokalu konspiracyjnym przy ulicy Nowy Świat. Ciekawski Zając z nudów przeglądał „Książkę wykorzystania garderoby do celów służbowych". Wertował stronice i sypał wiązankami. Gdy Wiesiek zainteresował się o co chodzi ten wyjaśnił: – Zobacz, kurwa go mać, naczelnik. Kiedy ty widział, żeby Koralik prowadził osobiście obserwację?

– A po co mu być wywiadowcą, kiedy jest naczelnikiem? – pytaniem na pytanie odpowiedział Wiesiek.

– To jeżeli nie jest wywiadowcą, a tylko naczelnikiem, to dlaczego codziennie nieomal wypożycza służbowe garnitury – oburzał się Zając.

Wiesiek na swój sposób nie zareagował na te zarzuty, bo go to nic nie obchodziło, gdyż miał masę własnych problemów. Myślał, że wszyscy są tacy sami, więc nie podejrzewał żadnej intrygi. Tymczasem okazało się, że to nie Zając a Wiesiek rzekomo podsumowywał Koralika za częste ubieranie się w służbowe garnitury do codziennej pracy. Ujawniło się to podczas obchodów rocznicy Rewolucji Październikowej. W lokalu „Świetlica" zebrano cały wydział w godzinach popołudniowych, lecz bez udziału dyrekcji departamentu, czyli w tym wypadku biura i przedstawiciela Komitetu Zakładowego PZPR, ponieważ w tym czasie była akademia w MSW, a więc wszyscy dygnitarze tam byli. Nawet nikt się nie zniżył, aby się pofatygować do zakonspirowanych wywiadowców celem wręczenia odznak przyznanych przez ministra.

Jak zwykle nastrój był podniosły, gdyż wywiadowcy wiedzieli, że w tak uroczystym dniu nikt ich nie będzie łajał i „podsumowywał" za jakieś niedociągnięcia, co było zasadniczym punktem na każdym zebraniu partyjnym i roboczej naradzie. Dowcipkowali, śmieli się, czekając aż się pojawią ich eminencje Koralik i jego zastępca nazywany „Pawim Oczkiem". Nawiasem mówiąc „Pawie Oczko" był o wiele taktowniejszy i lepszy od swego pryncypała, chociaż pod wpływem Koralika nabrał manier wyraźnie prostackich – podając rękę niby kluchę patrzył w drugą stronę, zaczął być zarozumiały, a w lokalach konspiracyjnych w stosunku do wywiadowczyń zaczął zachowywać się po koralikowemu, po wypiciu paru kieliszków. I o nim różnie mówiono, ale wywiadowcy bardziej go szanowali, jeżeli w ogóle o szanowaniu może być mowa, niż Koralika, który był fałszywy na wskroś.

Zaczęła się akademia ku czci z długim referatem opracowanym na poziomie szkoły podstawowej, ponieważ Koralik był butny, pewny swojej „wiedzy", a nie lubił wtrącania się innych. „Pawie Oczko" na pewno mu w tym pomagał, ale może i wolał, żeby go kompromitować. Przed referatem jednak wygłoszono mowę-trawę pod adresem kierownictwa biura, w której powiedziano, że dzięki niemu szereg towarzyszy otrzymuje odznaczenia i odczytano listę wyróżnionych. Wśród nich znalazł się i Wiesiek, któremu przyznano odznakę „X lat w Służbie Narodu". Te odznaki wręczał zastępca naczelnika.

Po skończonej akademii, Koralik głośno zapowiedział, że prosi do siebie towarzyszy Mydlarza, Zająca, Marcelego i Wieśka. Resztę poprosił, aby się nie rozchodzili, bo będzie herbatka i poczekali na werdykt.

Wiesiek wiedział, że jeżeli jest proszony do ciemni w tym towarzystwie, to na pewno nie na kielicha, ale wcale się nie domyślał o co chodzi. Wyjaśniło się po kilku sekundach, gdy Koralik zaczął górnolotnie od odznaczeń towarzyszy, którzy na to nie zasługują, gdyż po chamsku i z niskich pobudek rozsiewają fałszywe plotki o swoich zwierzchnikach. Macie tu towarzysze przykład człowieka o niskim morale, co do którego i ja się pomyliłem, wierząc, że jest dobrym wy-

wiadowcą. Kiedy przyszedł do wydziału, już po krótkim czasie wyróżniłem go nagrodą pieniężną, dzisiaj otrzymał odznaczenie, a nie wart jest, by go nazywać wywiadowcą. Nie będę miał nic przeciwko, jeżeli mu towarzysze tu, w ciemni, wpierdolicie...

– Za co, towarzyszu naczelniku, macie mnie bić? Co ja komu zrobiłem?!

– Za co?! A za plotki, które rozsiewacie, podrywając autorytet naczelnika!

– Za jakie plotki? Kiedy ja nic z nikim o was nie plotkowałem!

– A kto mówił, że naczelnik codziennie zmienia służbowe ubrania?!

– A, to już zapytajcie obecnego tu Zająca, może on wie.

– Zając, widzicie jego bezczelność? Kłamie nam w oczy, że to wy mówiliście!

– A co, ja? Powiedz, Zając, jak to było z tymi garniturami, bądź choć raz mężczyzną.

– A, to o to chodzi, towarzyszu naczelniku? – zaczął Zając. – Ja kiedyś przeglądałem książkę garderobianą i mówiłem, że naczelnik zmienia garnitury, ale co w tym złego?

Wtedy Koralik odwrócił się do Zająca z tym samym sykiem żmii, z którym przed chwilą zwracał się do Wieśka i zaczął go besztać za chwiejność. Wiesiek, korzystając z chwili nieuwagi „towarzyszy", którzy mieli go pobić, opuścił ciemnię, wychodząc zdenerwowany na salę. Koledzy zwrócili uwagę, że jest zdenerwowany. – Co się tam dzieje? – pytali. Po chwili wyskoczył też Zając i wyciągnął do Wieśka rękę z przeprosinami za to, że wytworzył wokół niego tak nieprzyjemną atmosferę. Wiesiek przeprosiny przyjął, tym bardziej, że to się odbywało na oczach całego wydziału. Po chwili wypełzli z ciemni zawiedzieni „gieroje" i wszyscy się rozjechali do domów.

Dalej z Zającem była sztama, gdyż rzeczywiście okazał się mężczyzną, ratując kolegę z opresji, wyświetlając stan faktyczny. Ale intrygi nie ustawały, podsycane przez Mydlarza. Nota bene złośliwe, fałszywe – zmierzające do dyskwalifikacji Wieśka jako wywiadowcy, a więc do napisania dwóch kolejnych charakterystyk o nieprzydatno-

ści i zwolnienia go z pracy. Co prawda nie dyscyplinarnie, jak Wacka S. za opowiadanie żydowskich dowcipów, ale z paragrafu o nieprzydatności.

Kiedyś Mydlarz przyszedł do lokalu konspiracyjnego i oznajmił, że od następnego dnia biorą pod obserwację faceta podejrzanego o współpracę z obcym wywiadem. – Jest zorganizowany punkt przy jego miejscu zamieszkania i pracy. O szóstej rano pójdziecie pod dom i weźmiecie go pod obserwację. Nie mam jego zdjęcia, lecz o pomyłce nie może być mowy, ponieważ drugiego takiego trudno sobie wyobrazić w całej Warszawie, a nie tylko w jednej bramie. Jest średniego wzrostu, chodzi w meloniku i utyka lekko na nogę. Gdy następnego dnia wywiadowcy poszli pod wskazaną bramę okazało się, że takich facetów, jak opisał Mydlarz, z tej bramy wyszło ośmiu i za wszystkimi trzeba było iść, by ustalić miejsce pracy. Wiesiek od samego rana był skierowany na punkt obserwacyjny przy miejscu pracy domniemanego szpiega. Punkt był zorganizowany w pokoju pułkownika prowadzącego sprawy wojskowe jednej z instytucji. W pewnym momencie Wiesiek otrzymał przez radiostację „teleport" – informację, że obiekt przyszedł do pracy. To znaczyło, że teraz, od tej chwili spada na Wieśka cała odpowiedzialność nie przegapienia wyjścia obserwowanego z pracy bez powiadomienia wozu. Nikt z wywiadowców nie znał zakresu obowiązków służbowych „obiekta", nikt nie znał jego funkcji i czy w ciągu dnia wychodzi do miasta, czy też przez całe osiem godzin przebywa w biurze. To dopiero miało się wyjaśnić w toku obserwacji.

Wiesiek siedział przy biurku pułkownika niby petent, gdyby ktoś miał wejść do pokoju. Mając włączoną radiostację stojącą za biurkiem, obserwował drzwi wyjściowe instytucji, w której pracował podejrzany. Radiostacja cicho sobie szumiała, pułkownik coś pisał, a Wiesiek patrzył w okno, rozmawiając czasem z gospodarzem pokoju. Gdzieś koło południa rozległo się głośne pukanie do pokoju pułkownika. Na hasło „Proszę" weszło trzech energicznych mężczyzn i bezceremonialnie zbliżali się do biurka z hałasem znajomków.

Wiesiek zdążył nogą wyłączyć radiostację, żeby nie usłyszeli jakiegoś podejrzanego szumu, a jeszcze nie daj Boże usłyszenia „Co tam u ciebie słychać?", bo nastąpiłaby dekonspiracja obecnego tu człowieka i pozostawiłaby pułkownika w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Przybyli powiadomili pułkownika, że mają zamiar przeprowadzić inwentaryzację w jego gabinecie. Pułkownik wyraził zgodę na tę operację, ale od jutra, bo dzisiaj ma dużo obowiązków pilnych, które musi wykonać. Ci porozsiadali się na krzesła i zaczęli rozmawiać. Wiesiek w takiej sytuacji nie mógł patrzeć tylko w okno. Gdy pułkownik dał do zrozumienia gościom, że nie ma czasu na pogawędkę z nimi, bo ma tu petenta, z którym musi uzgodnić plany, goście opuścili gabinet, a Wiesiek powiadomił wóz, że była przerwa w obserwacji i zaproponował, aby ktoś sprawdził czy obiekt jest na miejscu. Okazało się, że tego rodzaju sytuacje robią psikusy – w czasie krótkiej przerwy w obserwacji obiekt wyszedł.

Oceniono to tak, że Wiesiek nie tylko że przegapił wyjście „obiektu", ale zrobił to umyślnie, a więc działał na rzecz wroga. Nic nie pomagały sążniste wyjaśnienia. Gdyby nie ów pułkownik, to Wiesiek wyleciałby z pracy właśnie dyscyplinarnie. Mydlarz uprzedził, chociaż wiedział jak było naprawdę, że jeżeli jeszcze raz coś podobnego się wydarzy, to Wiesiek gorzko pożałuje. Doszło do tego, iż Wiesiek bał się przychodzić do pracy. Do osób niechętnych Wieśkowi dołączył jeszcze jeden kierownik sekcji – repatriant z Francji, który w zasadzie był fajnym chłopem, ale dał się wciągnąć w tę niecną grę.

Kiedyś w niedzielę, raz na kilka lat, Wieśkowi udało się kupić bilet do kina. Chciał pójść z żoną na jakiś rozreklamowany film do kina „Moskwa". Pochwalił się przed tym właśnie Francuzem, niczego się nie spodziewając. Mimo że miał dzień wolny, Francuzowi zamaniło się ściągnąć go z domu celem przekazania „wroga" ojczyzny z łódzkiej, antyżydowskiej grupy pod obserwację innej sekcji, gdyż rzekomo nikt go nie znał. Była niedziela, więc człowiek nie wyszedł z domu aż do nocy, a Wieśkowi nie tylko że przepadły bilety, to jeszcze żona nawyzywała od różnych za łażenie po babach, a lekceważenie jej. Francuz, mając dyżur w lokalu konspiracyjnym obiecał Koralikowi, że Wieśka

z kinem „załatwi" i załatwił. Tym bardziej „załatwił", gdyż spowodował pogorszenie sytuacji rodzinnej, która i tak była napięta z różnych powodów. Żona zdradzała męża i sądziła go według siebie, a do tego dochodziła jeszcze ciągła nerwówka z powodu szykan w pracy.

W wydziale było ponad 50 chłopa, a naczalstwo w osobie Koralika i Mydlarza, który po trupach był gotów pchać się do władzy, gdyż pragnął jej, a nie miał wykształcenia, więc lizał tyłek Drzewieckiemu i Koralikowi, gnojąc kolegów, co dwa tygodnie wlepiało dodatkowe dyżury nocne w lokalu konspiracyjnym, żeby prowokować Wieśka do wystąpień na zebraniu lub pisania raportów o niesprawiedliwości. Wtedy oni tego raportu nigdzie nie przekazywali, a wiedzieli z której mańki go zajechać. Wywiadowcy-przyjaciele po cichu radzili milczenie, „bo cię zgładzą", a głośno bał się każdy coś powiedzieć, aby samemu nie podpaść. Niebawem wybuchł nowy skandal, który też skompromitował, lecz znowu nie Wieśka tylko Mydlarza i jego grupę.

Podjęto pod obserwację faceta podejrzanego jak zwykle o działalność szpiegowską. W trakcie jego prowadzenia spostrzeżono, że się bardzo kontroluje – często zmienia środki lokomocji miejskiej, a więc przyjęto taktykę nie wsiadania za nim do tramwajów i trolejbusów, by się nie połapał, że ma za sobą ogon. Na Placu Konstytucji do trolejbusu linii 51 wsiadł inny człowiek zauważony przez wszystkich wywiadowców,o podobnym wyglądzie zewnętrznym i identycznym ubiorze, nawet z takim samym szalikiem. Po przejechaniu jednego przystanku na skrzyżowaniu ulic Pięknej i Stalina (obecnie Alei Ujazdowskich) jeden z tych mężczyzn wysiadł z trolejbusu i poszedł Alejami w kierunku Belwederu, a drugi pojechał. Oba samochody pod kierownictwem Mydlarza ruszyły za trolejbusem, a Wiesiek stwierdził, że jedzie w nim nie ten, którego prowadzą, a sobowtór. Wszyscy na niego wyraczyli się ze złości, że gówno wie, a się mądrzy. Wiesiek nie dał za wygraną, nie zląkł się ewentualnych konsekwencji służbowych, a wręcz zażądał, aby go wypuszczono z samochodu. Kierowca-wywiadowca Władek zahamował warszawę aż opony zapiszczały i powiedział: – Wyp...j, ale nie czekaj pobłażania od naczel-

nika, bo sam kierownik zmiany widzi twoje zachowanie! Kierownik w dodatku puścił za Wieśkiem wiązankę i pojechali za trolejbusem.

Co się działo po zakończonej zmianie, gdy Mydlarz przekazał następnej zmianie prowadzonego przez całą zmianę domniemanego szpiega, można sobie tylko wyobrazić. Wieśka po prostu wyzywano. Mydlarz od razu napisał notatkę o samowoli wywiadowcy, o jego nieudolności i krnąbrności. Oprócz tego, żeby Wieśka ujaić dodatkowo, polecił mu napisać osobny komunikat z obserwacji. Wiesiek zamiast iść do technikum, przez cały wieczór pisał komunikat i wyjaśnienie dlaczego tak postąpił. A postąpił tak, gdyż był bystrzejszy od innych i zauważył, że mężczyzna wsiadający do trolejbusu przy Placu Konstytucji miał niższe obcasy od faktycznego *szpiona*, które mu się jakoś rzuciły w oczy i inaczej leżał kołnierz jesionki-dyplomatki.

Departament-zleceniodawca otrzymał oba komunikaty i przekonał Koralika i jego zgraję, że właściwy komunikat był napisany przez Wieśka, gdyż trasę i wszystkie miejsca pobytu oraz jazda po mieście różnymi środkami komunikacji i inne fakty opisane przez wywiadowcę były identyczne z tymi, które opisał oficer przygotowywany na wywiadowcę za granicą. Ale co Wiesiek ucierpiał, to ucierpiał. Gdy zaś się wyjaśniło, nikt nawet nie rochnął, aby go przeprosić. Nawet koledzy. A charakterystyka o nieprzydatności już poleciała do Wydziału Kadr i Szkolenia.

* * *

Po jesiennej zawierusze 1956 roku Wiesiek trochę szerzej otworzył oczy i zaczął po swojemu przyglądać się temu „nowemu". Szczególnie uświadomił sobie, też po swojemu, dwoisty stosunek narodu polskiego do Związku Radzieckiego, marszałka Rokossowskiego, Rosjan, Ukraińców i Białorusinów. Jerzy Putrament ochrzcił syna Konstantym na cześć Konstantego Rokossowskiego, a później tego żałował. Koralik ochrzcił syna imieniem Sergiusz, a podwładnego Białorusina traktował poniżająco, aby dogodzić przełożonemu pochodzącemu z innej mniejszości narodowej. Ten nie lubił innych narodowości, a Koralikowi może i było obojętne kto kim jest, ale lizał

pięty pułkownikowi D., bo wiedział, że od niego zależą jego awanse i dalsze pozostanie w pracy.

Wieśkowi zrobiło się jakoś markotno i nawet pogłębiła się tęsknota za czymś swoim, a może i za swoją wioską, którą kochał bardzo, za swoimi dziewczynami i kolegami, którzy tam pozostali i każdej niedzieli chodzą do cerkwi, urządzają wspólne zabawy, wychodzą pod wieczór przed chaty na ławeczki i śpiewają rzewne *rohulki*. Wesela i chrzciny wyprawiają też na swój liryczno-awanturniczy sposób, bo najpierw śpiewają piękne pieśni zrodzone nad Dnieprem, Dniestrem i Wołgą, a później się biją. Tęsknota z oddali do rodzinnych miejsc – za wydeptanymi ścieżkami polanymi obficie krwią i łzami, za odwiecznie płynącą obok cerkwi rzeczułką, w której nieprzebrana ilość raków i ryb, za matką chrzestną, która pozostawała w jego oczach wielkością, chociaż od niej też nigdy nie doznał ciepła należnego dziecku, a tym bardziej synowi chrzestnemu. Mimo wszystko tęsknota była ogromna, nawet do czegoś wyimaginowanego, nierealnego. A to powoduje rozstrój nerwowy, pogłębia pesymizm i często prowadzi do depresji jednostki ludzkie mniej odporne na stresy.

W takiej sytuacji Wiesiek dowiedział się, że w Warszawie istnieje i działa Rosyjskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. Pojechał na Krakowskie Przedmieście do hotelu, zdaje się „Europejskiego" i stał się jego członkiem, otrzymując legitymację wypisaną po polsku i po rosyjsku. Było to jego trzecie członkostwo, obok PZPR i ZMP. W bardzo nielicznych tak zwanych wolnych chwilach czasami tam zachodził, aby porozmawiać po rosyjsku i trochę podszlifować swoją wymowę, ogromnie różniącą się od tej, którą posługiwali się ludzie tam pracujący.

Pewnego razu dowiedział się, że Towarzystwo organizuje trzytygodniową wycieczkę Warszawa – Brześć – Moskwa – Leningrad – Warszawa, która dla członków będzie kosztowała zaledwie 2,5 tys. złotych. Wiesiek informację przyjął z zadowoleniem, ale znając sytuację w wydziale wobec siebie nie był pewny, czy to mu się powiedzie. Poprosił z dziecinną uciechą o wpis na listę uczestników z zastrzeżeniem, że może nie pojechać. O miejscu jego pracy nikt nic nie wie-

dział, bo gdy wstępował do Towarzystwa był w mundurze, więc nadal go chyba traktowano jako wojskowego. Nie dociekali.

Był czerwiec 1958 roku. W lipcu Koralik i Drzewiecki poszli na urlop. Na szczęście albo nieszczęście Wieśka w lipcu odbyła się narada robocza z udziałem podpułkownika Boczka, zastępcy dyrektora Biura. Po skończonej naradzie Wiesiek poprosił o rozmowę i zapytał, czy może pojechać na wycieczkę zorganizowaną przez RTSK. Podpułkownik Boczek odpowiedział, że nic nie stoi na przeszkodzie, ale trzeba napisać raport, żeby była podstawa do udzielenia zezwolenia na wyjazd za granicę. Czując przychylność przełożonego Wiesiek zapytał, czy może gromadzić do kupy wolne dni za przepracowane niedziele i noce. – Możecie, to nikomu nie przeszkadza – zgodził się podpułkownik Boczek. – Ale uzgodnijcie to z kierownikiem sekcji, żeby było wiadomo o co chodzi i żeby nikt do nas się nie przyczepił o jakieś manipulacje. Siadajcie i piszcie raport, bo ja tu jeszcze trochę pozostanę.

Wiesiek napisał raport o zezwolenie na wyjazd do ZSRR w ramach wycieczki, a Boczek w lewym górnym rogu raportu napisał „Zgoda".

Mając taki dokument w kieszeni Wiesiek poszedł do Kadr, aby uzyskać pisemne zezwolenie. Rysiek Piasecki u kogoś zapytał jak to ma wyglądać i od ręki wydał. Wiesiek pracował ze zdwojoną energią, z uciechy, że zobaczy Moskwę i Leningrad. W sierpniu wyżej wymienieni szefowie powrócili z urlopów i dowiedziawszy się, że Wiesiek ma wyjechać za granicę, anulowali zezwolenie, mówiąc: – Towarzyszu, piszcie drugie podanie o zezwolenie na wyjazd – mówił Koralik, – ponieważ towarzysz Drzewiecki nie zgadza się na podpis swojego zastępcy. On sam musi zadecydować. Wiesiek siadł i napisał, a Koralik w te pędy pobiegł do swojego szefa. Ten napisał „Nie zgadzam się".

Wiesiek postanowił jednak oprzeć się intrygom i zatelefonował do I sekretarza Komitetu Zakładowego PZPR z prośbą o ratunek przed szykanami ze strony naczelnika wydziału i dyrektora biura, zaznaczając, że zezwolenie ma już w kieszeni. I sekretarz KZ Piotr K. obiecał, że sprawę wyjaśni i nakazał zadzwonić następnego dnia.

Tymczasem w wydziale huczało, że Wiesiek oszukał kierownictwo i jedzie do swoich braci na spekulację. Przykro mu było, bo kupił tylko kilka metrów żorżety i jeszcze coś na własne wydatki. Gdy mu ktoś z kolegów w oczy powiedział, że słyszał, iż jedzie na spekulację, przyznał się, że ma parę metrów żorżety i to wszystko. Od tej pory Anzelm pierwszy nazwał go żartobliwie „turystą", a ktoś drugi, albo i ten sam Anzelm – „Żorżetą". To Wieśka gniewało, ale postanowił nie dać za wygraną. Nazajutrz zadzwonił do Piotra, a ten go z góry: – Słuchaj bratku, oszukałeś dyrektora Biura, oszukałeś naczelnika Wydziału i jeszcze chcesz oszukać mnie, pierwszego sekretarza KZ PZPR? Nie wiedziałem, kurwa, że jesteś takim spryciarzem i kłamcą. Wczoraj napuściłeś mnie, abym się ośmieszył broniąc cię przed towarzyszami, którzy nigdy nie godzili się na twój wyjazd...

– Towarzyszu sekretarzu...

– Nie przerywaj, chcę dokończyć. Pamiętaj, że kłamstwem daleko nie zajedziesz!

– Przepraszam, a na czym polega moje kłamstwo?

– Na tym, że zawracasz mi głowę swoimi wyjazdami, a nikt ci nie dał na to zezwolenia. Towarzysze mnie wykpili, że dałem się wmanewrować w głupie rozgrywki...

– Towarzyszu sekretarzu, to wy za nich się wstydźcie a nie za mnie, ponieważ ja legalnie, bez obłudy uzyskałem pisemne zezwolenie, a oni w bezczelny sposób wszystkiego się wypierają przed pierwszym sekretarzem...

– Słuchaj, przyjacielu, jak ty możesz wszystkim kłamać w żywe oczy? Kiedy i kto ci dał zezwolenie?

– Dobrze wiecie, że nie wolno mi wchodzić do gmachu, proszę więc ze mną się umówić, to pokażę.

– Dobra. Dziś o piętnastej na rogu Puławskiej i Rakowieckiej od strony Narbutta.

Przy spotkaniu z sekretarzem Piotrem K. Wiesiek bez ceregieli pokazał mu wydany przez odpowiedni wydział kadr świstek. Piotr przeczytał uważnie i powiedział: – Ot skurwysyny, do czego są zdolni, a ja myślałem, że rzeczywiście rozrabiasz...

– Oni nie przypuszczali, że ja, ciągle przez nich szantażowany ośmielę się zatelefonować aż do pierwszego sekretarza Komitetu Zakładowego i dlatego byli tacy pewni swego w swej bezczelności i złej woli.

– No to teraz obiecuję ci, że na pewno pojedziesz, a im powiem, co o nich myślę. Trzymaj się.

Na drugi dzień Rysio Piasecki dzwoni do wydziału i poszukuje Wieśka. Z chwilą połączenia się czynił mu zarzuty, że narozrabiał, a później prosił, aby mu podyktować jak brzmi takie zezwolenie, ponieważ nie ma odpisu. Wiesiek podyktował zredagowane przez tegoż samego Rysia zezwolenie.

– Rysiu, a dlaczego dublujesz pracę, przecież zezwolenie na wycieczkę mam w kieszeni?

– To co masz nie jest już ważne, otrzymasz nowe.

Rzeczywiście, po paru dniach Wiesiek otrzymał inne zezwolenie, podpisane przez dyrektora Biura „B" i teraz pracował intensywnie, bez dni wolnych, aby uzbierać czas na wycieczkę i szykował się do wyjazdu, mimo zwisającej nad nim burzy gradowej, żeby wyrazić to obrazowo.

Nadszedł dzień wyjazdu. Wiesiek ze skromną walizeczką udał się pod hotel „Europejski", skąd miał odjechać autobus. Gdy przyszedł na miejsce zbiórki tam już z polecenia Koralika był wywiadowca Marceli z zadaniem sprawdzenia z jakim bagażem wyrusza w podróż „turysta". Podszedł do Wieśka i na swój sposób obcesowo zapytał: – Co wieziesz na spekulację?

– Uuu, pełno. Przy sobie mam co prawda tylko tę walizeczkę, ale za to trzy w autobusie.

Marceli śmiało wkroczył do autobusu i obejrzał jego wnętrze. Nie było tam jeszcze żadnej walizki, bo nikt nie wsiadł. Wyszedł więc jak niepyszny z pojazdu i bez słowa odjechał służbową warszawą do „Świetlicy", aby zdać Koralikowi relację z oględzin. Nie wiadomo jak ta relacja wyglądała, ale można przypuszczać, że na pewno nieobiektywnie.

Wiesiek przez trzy tygodnie na trasie wycieczki używał rozkoszy, zapominając o wiszącym nad nim intryganckim mieczem. Ba, nawet nie przypuszczał co go czeka. Chociaż na wycieczce też miał wielką przykrość, gdyż niejaki Dymitr Graznow z Łodzi, uczestnik tej wycieczki, ukradł Wieśkowi sporą kwotę rubli. Inni wycieczkowicze nakupowali w Leningradzie różnych „pamiątek" w postaci naczyń porcelanowych, złota, pończoch, sztućców i czego tylko chcieli. Wieśka było stać na kupno dziesięciu par modnych wtedy kapronowych pończoch. Jednak nie dowiózł i tego do domu, żeby zrobić żonie prezent, ponieważ dziwnym „zbiegiem okoliczności" celnicy polscy w Terespolu skontrolowali tylko Wieśka i zażądali opłaty celnej za te dziesięć par pończoch. A że nie miał przy sobie polskich pieniędzy, więc je zabrali. Czyż nie było tam ingerencji ze strony kogoś z przełożonych szykanowanego oficera?

Po powrocie z wycieczki, gdy tylko Wiesiek zgłosił się do pracy, Koralik z Mydlarzem zawołali go do pokoju naczelnika i Koralik prawem przełożonego pierwszy zapytał: „Powiedzcie, ile zarobiliście na spekulacji?" Wiesiek nie stracił rezonu i odpalił: „Tyle, ile Władek na wietnamskim kauczuku".

Wiesiek wiedział od kolegów, że Mydlarz był w Wietnamie i wracając przewoził kauczuk, z którym „wpadł". Mydlarza tak to ubodło, że od razu poczerwieniał i ubliżał Wieśkowi słowami, które mu tylko przychodziły na myśl. Wreszcie, gdy Koralik poczuł się usatysfakcjonowany wstępem Mydlarza, powiedział: – Władek, daj spokój, on nie jeździł na spekulację, tylko w odwiedziny do swoich braci.

– A pewnie, że nie jeździłem na spekulację, tylko na wycieczkę – odrzekł Wiesiek i opuścił pokój, zdenerwowany i poniżony do poziomu łobuzów, spekulantów i pijaczków. Ale nie było lądu. Musiał pracować, jeżeli chciał jakoś utrzymać rodzinę. Jak i inni wciąż pamiętał co oni zrobili z Wackiem S. za to, że był wesołkiem i lubował się w opowiadaniu żydowskich kawałów.

Następnego dnia Wiesiek dowiedział się, że zostały mu anulowane wszystkie dni zapracowane na wyjazd, a wyjazd uznano w ramach urlopu bezpłatnego, a więc za wrzesień nie otrzymał pensji. Pobory

żony były jeszcze mniejsze niż jego, więc oboje postanowili, że zgłoszą się do Stacji Krwiodawstwa w Instytucie Hematologii i sprzedadzą krew. Na szczęście oboje byli zdrowymi ludźmi, od których pobrano krew i zapłacono po 490 złotych.

Śmierć frajerom, których prezesem mógłby być właśnie Wiesiek! Otóż któregoś razu w ramach szkolenia wojskowego cały wydział pod przewodem Koralika udał się autokarami nad Zalew Zegrzyński. Tam co kto chciał to robił. Niektórzy wywiadowcy łowili ryby, ktoś spacerował, a naczalstwo piło. Pod wieczór, wracając do Warszawy, Koralik tak się rozbuszował, że nie zważając na nic darł wywiadowczynie za piersi, podnosił im sukienki do góry. Te piszczały i trzepały go po rękach, a Lech W. wszystkie te sceny utrwalał na kliszy fotograficznej. Po powrocie od razu wywołał klisze w lokalu konspiracyjnym i rozwiesił w ciemni, aby schły.

Wiesiek w tę noc miał dyżur w „Świetlicy" i mógł zrobić dowolną ilość odbitek zdjęć z kretesem kompromitujących Koralika i zanieść do Komitetu Zakładowego. Nie zrobił tego, bo był głupim bałwanem. Dostarczenie zdjęć do Komitetu wpędziłoby w nielichą kabałę zarówno samego Koralika jak i paru jego popleczników. W tej sytuacji to chyba nic by nie mógł sam szef Drzewiecki. Ale co zrobić, gdy ten „czubaryk" nawet nie umiał się bronić. Na drugi dzień, gdy Koralik zdał sobie sprawę ze swych „występów", zawołał do siebie Wolaka i prosił, ażeby ten nie robił odbitek z dokonanych zdjęć. Wolak miał obiecać, że nie zrobi, ale nie wiadomo, jak to się skończyło z jego strony. W każdym razie nic z imprezy Koralika nie ujrzało światła dziennego, a Lech wrócił z powrotem do pracy w Ursusie. Widocznie nie chciał pracować pod tego rodzaju kierownictwem. Wkrótce zastrzelił się też Marceli.

Wiesiek z pewnością należał do grupy najlepszych wywiadowców, ponieważ miał ku temu predyspozycje i był odpowiednio przeszkolony. Kiedyś, w czasie prowadzonej pracy tak się ucharakteryzował, że sam Koralik tłumaczył mu gdzie jest ulica Oboźna. Dopiero gdy Wiesiek zaśmiał się i zapytał „Co, towarzysz naczelnik mnie nie poznaje?", żachnął się i powiedział, że w pierwszej chwili nie poznał,

ale potem głos wydał mu się znajomy. I może właśnie to powodowało, że wobec Wieśka, i nie tylko, stosowano „arystokratyczne" szykany, aby nie pozwolić mu na wywyższanie się nad nich – sześcio-siedmioklasowych „naukowców". Już przecież od dawna wiadomo, że nieuk nadrabia tupetem.

* * *

Rok 1958 dla wywiadowców Wydziału IV był bardzo owocny, gdyż ich zasługą było przyłapanie na gorącym uczynku kilku szpiegów państw obcych i ich polskich „kontaktów". Wpadł nawet pierwszy sekretarz ambasady kraju, który uważano za posiadający najlepszy wywiad. I to dzięki Wieśkowi, za co został skierowany do Wyższej Szkoły Oficerskiej.

Świadom sukcesów własnych i swojego wydziału, Wiesiek myślał, że jego zmartwienia z powodu szykan już przeszły do przeszłości. Pracował i uczył się. Do szkoły chodził chętnie z dwóch powodów – po pierwsze chciał koniecznie uzyskać średnie wykształcenia, a po drugie z czysto egoistycznych, męskich pobudek. Posiadał bowiem niezbite dane, że kocha się w nim jedna z profesorek. Ona też mu się podobała, ale uważał, że nie ma do tego prawa, bo jest żonaty, a po drugie krępował się – ona, profesorka, a on dopiero ściga maturę. Powinien jednak być z tego dumny, chociażby z tego powodu, że jego żona była brzydsza, bez wykształcenia, nawet podstawowego, i go zdradzała. A ta dziewczyna w czasie wykładów nie zwodziła z niego wzroku, a w czasie konwersacji sam na sam rumieniła się niby podlotek. Siostra żony, Janeczka, z którą siedział w ławce, już dawno zwróciła na to uwagę i chyba powiadomiła siostrę, bo ta w czasie kłótni wciąż wysyłała go: – Idź, idź do tej swojej profesorki, ale pożałujesz tego!

Ale wataha nie byłaby watahą, gdyby nie zaatakowała uprzednio upatrzonej ofiary. Tak i Koralik. Któregoś razu poprosił Wieśka do swojego pokoju i powiedział, że chce rozmawiać z jego żoną. Wiesiek poradził, że zawsze może przyjść do nich i porozmawiać ile sobie życzy. – Nie – powiedział Koralik. – Ja chcę, żebyście powiedzieli jej, iż ja proszę ją do siebie do biura.

Wiesiek, jak każda d..., powiedział żonie, bo nawet był ciekaw o czym Koralik chce z nią rozmawiać. Po powrocie żony z tej „rozmowy" w domu rozgorzało ponownie piekło. Bronia awanturowała się i wyzywała Wieśka od łajdusów. – Nawet -mówiła, – naczelnik mi powiedział, że jesteś łajdakiem uganiającym się za kobietami! Powiedział mi: „Proszę pani, on oszukuje panią i nas"!

Taki szubrawiec jak Koralik doskonale wiedział, jakiej struny kobiety dotknąć, aby rozpalić domowy pożar. To nic, że sam nie tylko w lokalach konspiracyjnych bradziażył się z ulicznicami. To nic, że Bronia prawie jawnie puszczała się z kim popadło, ale to właśnie ci ludzie malowali obraz Wieśka na swoje podobieństwo. Koralik wiedział, że niczym tak nie upodli mu życia, jak awanturami małżeńskimi i dopiął tego. Kiedyś Wiesiek zwierzył się z tej sytuacji Heńkowi R. i wyraził myśl, aby odpłacić Koralikowi pięknym za nadobne, powiadamiając jego żonę o prowadzeniu się męża. Heniek odradził mu to, ponieważ, jak mówił Koralikowie są oboje do siebie podobni i tym donosem tylko ściągnie na siebie kpiny kolegów, oprócz jeszcze większej nienawiści Koralika. A jeżeli pani Koralikowa jest porządną kobietą, to tylko ją dobije, a nic przecież mu z tego nie przyjdzie – perswadował Heniek. Wiesiek posłuchał go i nigdzie nie poszedł nikomu odpłacać. Żył z dnia na dzień, a do pracy szedł niby do rzeźni.

Kontrwywiad był coraz lepiej wyposażony w technikę operacyjną. Coraz lepsze były aparaty fotograficzne, aparatura radiowa, która sięgała aż do Włoch, gdyż czasami było słychać: „Allo, Polakko!", samochody, aparatura na podczerwień itd. Wszystko to powodowało ciekawość młodych ludzi i pewność, że będzie jeszcze lepiej, zarówno w pracy kontrwywiadowczej, jak i w życiu codziennym. Dlatego też Wiesiek nie wyobrażał sobie innego życia i ciągle był zatroskany, że grupa intrygantów spowoduje, że usuną go z pracy nie tylko tej, ale i w ogóle z organów MSW, gdyż taka groźba już nad nim wisiała.

Z drugiej strony było mu bardzo przykro podlegać ludziom, którzy nie podnosili swojej wiedzy, a tylko nadrabiali tupetem i donosami, a więc po trupach do awansów. Wiesiek nie mógł zapomnieć przykrości przeżytej z powodu słowa „przecież" napisanego przez

„rz" od tych, którzy pisali „bierzący" i „kontynułatorka" – Koralik na obchody 15 rocznicy PPR przygotował hasło, że PZPR jest jej „kontynułatorką" i nie dawał się przekonać, że pisze się inaczej. Pienił się i analfabetami nazywał właśnie Wieśka i Heńka B., którzy mieli to hasło wypisać na czerwonym płótnie i wywiesić w „Świetlicy".

* * *

Zbliżał się okres wymiany legitymacji partyjnych. Któregoś dnia ogłoszono, że odbędzie się nadprogramowe zebranie partyjne, podczas którego towarzysz Drzewiecki dokona wręczenia nowych legitymacji partyjnych. Wybrano dzień, w którym nie było zleceń do wykonania i w „Świetlicy" zorganizowano to zebranie. Po pełnym frazesów wystąpieniu dyrektora Biura rozpoczęła się ceremonia wręczania legitymacji. Drzewiecki brał je tak jak były ułożone i czytał nazwiska poszczególnych wywiadowców. Ci podchodzili, otrzymywali legitymacje z uściskiem pulchniutkiej dyrektorskiej ręki i wracali na miejsce. Gdy przyszła kolej na Wieśka, Drzewiecki głośno wymówił: – Jakiś ...uk, niech podejdzie i zabierze swoją legitymację.

Wiesiek podszedł, wyszarpnął legitymację z ręki dyrektora i nie przyjmując podawanej ręki wrócił na miejsce ze słowami: – Jakiś ...uk, to nie jakiś przybłęda. Ale mówił to tak cicho, że słyszeli tylko najbliżsi. Wśród nich i Władek, który o dziwo powiedział „Przestań, bo wpadniesz" i nigdzie nie doniósł.

Wiesiek i na myśl nie przychodziło, aby zwracać jakąś specjalną uwagę na czyjąś narodowość, a tym bardziej robić komuś z tego powodu przykrości. A jego narodowość ciągle ten czy ów kacyk złośliwie wypominał, tak jakby była gorsza od innych. Nie wypominali mu jej koledzy, a tylko ci, którzy chcieli dopiec. Drzewiecki też nie był Polakiem i mimo doznanych z jego strony szykan, Wiesiek nigdy by nie pomyślał, że z tej przyczyny dozna takiego upokorzenia. Nie wstydził się swojego nazwiska ani imienia, ale zabolało go to ironiczne „uk", a więc po tchórzowsku „odgryzł się". Po tchórzowsku, bo powinien przecież wstać i zapytać o powód, dla którego wywołano go w ten sposób. I to pytanie mogłoby się gdzieś odbić rykoszetem.

* * *

Lata jakoś mijały. Wiesiek z trudem skończył szkołę średnią, a z wyróżnieniem – Szkołę Oficerską MSW, otrzymując kolejny stopień oficerski i nagrodę komendanta uczelni. Będąc w szkole oficerskiej w 1961 roku tak ciężko zachorował, że lekarze nie pozwolili wieźć go do obwodu wyborczego, aby zagłosował, a tylko na zmianę siedzieli przy nim, czekając na śmierć. Nikt o tym nie wiedział, nawet żona, gdyż nie chciał jej pocieszać wiadomością o swojej chorobie. Był przekonany, że się ucieszy.

W tej też uczelni Wiesiek ujawnił swój talent pisarski, zamieszczając felietony i wiersze w gazetce „Głos Centrum Wyszkolenia". Próbował też pisać krótkie rymowanki satyryczne o życiu podchorążych, jak chociażby taka:

Oj, gdzie, oj, gdzie ty braciszku tak wyrywasz
I swoje spodenki nie zapięte w ręku trzymasz?
Ach, bracie mój, nie jedz w stołówce pasztetu,
Bo nie zdążysz dobiec do najbliższego klozetu...

albo:

Niebieska książeczka i żółty zeszycik,
Po skończeniu zajęć wędrują gdzieś w kącik...

Ale tego nie zamieszczano, gdyż uważano, że może zaszkodzić opinii uczelni. Natomiast inne drukowano.

W szkole oficerskiej Wiesiek czuł się dobrze, gdyż od razu po rozpoczęciu nauki na prośbę komendanta uczelni zorganizował drużynę futbolową, czym w jego oczach zasłużył na miano dobrego organizatora. Niezależnie od tego wśród wykładowców miał też powodzenie z uwagi na dobre oceny.

Często go korciło pojechać do domu wieczorem i zobaczyć się z dziećmi i żoną. Ale każdego razu, gdy tylko zajechał zawsze spotykał się z awanturniczym przywitaniem ze strony żony. Czasami nawet

nie nocował w domu, gdyż żona, nie zważając na dzieci, które cieszyły się tatusiem, obrażała go, najwyraźniej dążąc, aby wyjechał. Długo nie wiedział o co chodzi. Naiwnie myślał, że żona pozrywała wszelkie erotyczne kontakty. Później okazało się, iż zdradzała nie tylko jego, ale i każdego z nich, swoich nowych wybrańców. Najbliższym był Tadeusz Wejcman, bo mieszkał naprzeciwko.

Wiesiek, jak się rzekło, bardzo kochał dzieci, a więc chwilowo godził się na coraz gęstsze poroże, aby podchować nikomu nic nie winne istoty. Wiedział, że i tak trzeba będzie kiedyś się rozwieść, ale czekał na cud.

* * *

Po powrocie do pracy w swej jednostce znalazł się ponownie w tej samej nieprzyjaznej atmosferze, a może jeszcze bardziej zagęszczonej, ponieważ w kierownictwie wzmogła się obawa, że Wiesiek, będąc wykształconym człowiekiem może zagrażać ich egzystencji, że może będzie się domagał zmiany stanowisk. Były to jednak ich czcze obawy, ponieważ Wiesiek nosił się z zamiarem nie „wygryzania" kogokolwiek, a opuszczenia na zawsze Warszawy.

Któregoś razu pojechał do Białegostoku, aby zorientować się w tamtejszej Komendzie, czy znalazłaby się dla niego jakaś praca. Kierownik sekcji kadr, dowiedziawszy się o odpowiednich kwalifikacjach petenta powiedział, że nie tylko go zatrudni, ale zaproponował stanowisko zastępcy naczelnika wydziału. – Proszę tylko szybko się uwijać z przeniesieniem – dodał.

Wiesiek po powrocie do Warszawy, nikomu nic nie mówiąc napisał raport o przeniesienie do Białegostoku. Niestety, raport ten był odrzucany kategorycznie, ponieważ dział kadr MSW nie chciał go od siebie wypuścić. Gdy Wiesiek, chwytając się ostatniego argumentu powiedział, że w takiej atmosferze, która panuje wokół niego w Biurze „B" nie może pracować, okazało się, że ten argument nikogo nie zaskoczył. Pani naczelnik odpowiedniego wydziału kadr powiedziała, że ta sytuacja jest jej znana. – Ale że milczeliście – powiedziała – więc co mieliśmy robić? Teraz przeniesiemy was do innego departamentu.

Wiesiek jednak uparł się, bo wiedział, że w Białymstoku czeka go awans. Po kilkukrotnych odwiedzinach pani naczelnik wreszcie się zgodziła na przeniesienie, ale powiedziała, że będzie tego żałował. – Radziłam wam po przyjacielsku, ale na upór nie ma leku. Z dniem 1 marca 1962 roku jesteście przeniesieni do Białegostoku.

W czasie utarczek z kadrami o przeniesienie, w Białymstoku sytuacja zmieniła się tak, że nie tylko obsadzono stanowisko obiecywane Wieśkowi, ale też zwolniono z pracy kierownika sekcji kadr za przestępstwo syna. Nieszczęście, które spadło na tę rodzinę, spowodowało tragiczne skutki, łącznie z rychłą śmiercią 52-letniego majora, nad którego grobem przemawiał właśnie Wiesiek, wypychając słowa przez zaciśnięte gardło. Ale już jako rencista, gdyż z powodu choroby odszedł na rentę i został działaczem społecznym, pełniącym jedenaście różnych funkcji, ale po kolei...

* * *

Po przeniesieniu się do Białegostoku i podjęciu pracy na stanowisku starszego wywiadowcy w wydziale „B" pozwolono Wieśkowi zamieszkać w lokalu konspiracyjnym, a więc chwilowo odpadł problem mieszkania. Już po paru tygodniach z powodu tęsknoty za dziećmi Wiesiek napisał list do żony. Ta odpisała tak płomiennie, że jeszcze raz przebaczył jej upokorzenia doznane w ciągu dziesięciu lat i postanowił, że zamieni warszawskie mieszkanie na Białystok. Amatorów było co niemiara, ale Bronia ze swym wybujałym „znawstwem" wybrała najgorsze z możliwych, bo na parterze i w śródmieściu. W zasadzie chodziło jej o to, żeby było jak najmniej do sprzątania.

Tymczasem Wiesiek zżył się ze środowiskiem i zaprzyjaźnił się z kilkoma rodzinami. Do najbardziej szczerych i oddanych przyjaciół jeszcze do dziś zalicza małżeństwo Henię i Sławka Sawickich oraz Marysię i Józka Wasilewskich, których mama, pani Zofia Wasilewska, będąca też matką Heni, dowiedziawszy się o Wieśkowych przeżyciach usynowiła go. Wiesiek wolny czas zawsze spędzał w towarzystwie tych ludzi, będąc chętnie goszczony.

Jesienią przewiózł Bronię z dziećmi do Białegostoku i myślał naiwnie, że oderwie ją w ten sposób od grona „wielbicieli". I tym razem sromotnie się pomylił, bo zdradziła go już w noc sylwestrową. Gdy tylko ją z kimś przyłapał, wszczynała awanturę i tłukła naczynia. A gdy w fartuchu kuchennym znalazł zdjęcie z dedykacją „Na pamniontkę kokanej Bronyi" to nie on, ale ona skakała do bicia, bo po co znalazł to zdjęcie i przeczytał. – Ten pan – krzyczała – ma na koncie 63 tysiące złotych i mówił, że będą moje, jeżeli tylko ja będę jego. Ale ja się poświęciłam dla ciebie, chamie, a ty mi tak odpłacasz? Co ja jestem winna, że wszystkim się podobam?!

I tak na co dzień. Jeżeli nie wychodziła gdzieś wieczorem, to w dzień odwiedzali ją różni tacy, jak chociażby elektryk z administracji osiedla, który coraz to przychodził „korki wstawiać". A Wiesiek wciąż czekał kiedy podrosną dzieci, za które był odpowiedzialny tylko on, jak wynikało z zachowania się żony. Już dawno mu proponowała, żeby dał jej 1200 złotych i wyniósł się z domu, to ona sobie znajdzie kogo będzie chciała.

Po kilku latach gehenny rzeczywiście wyniósł się, zabierając ubrania i telewizor, a w piątek 13 stycznia1966 roku orzeczono rozwód. Na ostateczną rozprawę Bronia nie omieszkała przyprowadzić dzieci, czym dobiła Wieśka do reszty. Piekło go w piersiach, ale już się nie poddał. Wynajął zimną górkę na Dojlidach i mieszkał tam z telewizorem, którego mu też nigdy nie wybaczyła.

Po rozwodzie stracił zaufanie w swoim wydziale. Nawet byli tacy, którzy biegali do naczelnika, aby postawić Wieśka pod pręgierz organizacji partyjnej za niemoralne prowadzenie się i rozbicie rodziny. Ale naczelnik w tym wypadku okazał się przychylny Wieśkowi i nie dopuścił do urządzenia farsy przez hurrarewolucjonistów, z których jednego żona rzuciła.

Nie był to jednak koniec związanych z tym nieprzyjemności, bo była żona poszła do komornika i powiedziała, że Wiesiek nie przysłał alimentów. Komornik zajął mu pobory i Wiesiek przez miesiąc nie miał nawet złotówki na chleb. Napisał podanie o pożyczkę bezzwrotną. „Hrabia" Model nawet sekretarkom i maszynistkom przyznał po

600-700 złotych, a Wieśkowi, oficerowi operacyjnemu – 300. Ten oburzył się i nie przyjął, czym uraził swojego bezpośredniego szefa, który powiedział, że nikt nie ma obowiązku utrzymywać rozwodników. Na trzy dni przed wypłatą Wiesiek zwrócił się do Grzegorza S., aby pożyczył mu 10 złotych na obiad. Ten odpowiedział, że ma „tylko" 400 zł, a więc pożyczyć nie może. Wiesiek zwrócił się do Grzesia tylko dlatego, że nie spodziewał się odmowy, ponieważ nie tak dawno załatwił mu bardzo ważną sprawę. Nawet naczelnik nie uwzględnił mu kosztów w wysokości 106 złotych, wydanych w czasie werbunku tajnego współpracownika, mówiąc, że można wydać na poczęstunek tylko 50 złotych. – Ale wiadomo. Wy póki dna nie zobaczycie, to od stołu nie odejdziecie. Wieśka to upokorzyła i kolejny raz przekonało, że w biedzie mało kto pomoże.

Wszystko to spowodowało, że Wiesiek zaczął chorować i już w kwietniu 1969 roku odszedł na rentę.

* * *

Gdy Wiesiek już przez dłuższy czas przebywał na rencie i piastował liczne funkcje społeczne dla dobra partii, różnych organizacji, miasta Białegostoku i narodu, zjawił się u niego oficer z jednego z zachodnich województw i poprosił o jeszcze trochę pracy dla dobra Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Wieśka nawet ucieszyło to, że jeszcze ktoś go chce zatrudnić do pracy kontrwywiadowczej, z którą rozstał się przed prawie ośmiu laty. Ale nie wiedział, jak na to zareaguje żona Kława i Komitet Miejski PZPR, gdy się dowie, że jeden z jego lepszych, acz nie zawsze posłusznych sekretarzy zniknie bez wieści.

Żona z oporami, ale się zgodziła, gdyż wolała, aby pracował w konkretnym miejscu, choć daleko, niż za darmo był wszędzie wołany, a czasem i ganiony za niewykonanie jakiegoś społecznego obowiązku. Jeżeli zaś chodzi o KM to oficer obiecywał Wieśkowi, że bez niego wszystko będzie załatwione.

Ostateczna rozmowa odbywała się w kawiarni hoteli „Cristal", przy koniaku i kawie. Wiesiek, mile połechtany przez przyjezdnego

oficera, który rzekomo znalazł Wieśka via Warszawa, zaczął być rozmowny. W trakcie dialogu przyznał się, że pierwszym sekretarzem, tyle że POP, został wybrany wcześniej niż Gierek i tę funkcję pełni już siódmy rok. Wszędzie ma mir i poważanie – nawet u takich zacnych obywateli jak pan Włodzimierz Hubar – przewodniczący Komitetu Osiedlowego, były więzień NKWD, z zawodu nauczyciel, inżynier Ryszard Badowski – przewodniczący Komisji Pojednawczej. W kole ZBOWiD i innych organizacjach miał posłuch i wszędzie był zapraszany na posiedzenia. Nawet był zaproszony na „złote wesele" państwa Hubarów. – Ale jeżeli KM dowie się, że nie uczęszczam na zebrania partyjne i nie opłacam składek na czas, to wszystko zrobi – ciągnął, – aby mnie wywalić z partii.

– Nic się nie bój – zapewnił Andrzej. – Składki w POP będzie opłacała żona, a resztę załatwimy tak, że sam diabeł się nie połapie.

Wiesiek zwołał zebranie, na którym ogłosił, że rezygnuje z funkcji pierwszego sekretarza, ponieważ wyjeżdża z Białegostoku. POP nie uwierzyła i nie chciała przyjąć rezygnacji, motywując tym, że rzekomo nie znajdzie się wśród członków tej organizacji nikt, kto by tak prowadził pracę i skupiał wokół POP wszystkie organizacje społeczne. Wiesiek wstał i powiedział, że każdy z obecnych może być na jego miejscu. Komitet Miejski patrzy tylko na dobrze ułożone sprawozdania i ceni sobie posłuszeństwo. – Ja zaś nie jestem posłuszny – ciągnął Wiesiek, – gdyż robimy to, co uważamy za słuszne tu, u siebie. Pamiętacie ubiegłoroczny czyn pierwszomajowy? Komitet nam wyznaczył odcinek pracy przy Komendzie Wojewódzkiej MO, a my uprzątaliśmy gruzy wokół budynku nr 41 przy ulicy Mazowieckiej. Harowaliśmy, a ludzie z balkonów kpili z nas, wołając „O, patrzcie, zamiast iść do kościoła oni socjalizm budują". Za nic im było to, że właśnie wokół ich bloku staruszkowie uprzątają słupki betonowe, zakopują doły i zbierają cegłę. Kierownik administracji osiedla Staszek Skłodowski wykonaną pracę ocenił bardzo wysoko i obliczył według tabeli, ile organizacja wypracowała złotówek na rzecz miasta. Niestety, biurokraci partyjni, koordynujący pracę w mieście, nie uznali dla naszej POP wykonania żadnej pracy, gdyż nie posłuchaliśmy ich i nie po-

szliśmy pod komendę z łopatami, grabiami i miotłami. W takiej atmosferze ja nie mogę pracować. – Popatrzcie – krzyczał już – ile pracy społecznej wkłada każdy z nas, a egzekutywa w szczególności, dla dobra społeczeństwa, a co na to partyjni urzędnicy? W związku z tym, niniejszym rezygnuję z funkcji sekretarza, a co zrobicie wy, to już nie moja sprawa!

Na takie dictum, w ślad za sekretarzem poszła cała egzekutywa. Wtedy ktoś zaproponował, aby zwołać nadzwyczajne zebranie z udziałem przedstawiciela Komitetu Miejskiego i wybrać nową egzekutywę.

Tak się też stało. Na następne zebranie przyszedł też aktywista społeczny KM Staszek N., z dyplomem dla starego, bo prawie siedmioletniego sekretarza, ale dla formy jeszcze raz zapytał go, czy musi rezygnować. Wiesiek kategorycznie podtrzymał swą decyzję, w związku z czym na tymże zebraniu zaczęto typować ludzi do nowej egzekutywy. I sekretarzem został Mieczysław S., który od lat pragnął nim być, gdyż chorował na Krzyż Kawalerski, zwany chlebowym. Nikt go jednak nie chciał ze względu na jego pychę i zarozumiałość. Wiesiek też nie chce podać jego nazwiska, aby nie zaistniał na stronicach książki, a jego pseudonimu akowskiego nie pamięta.

W maju 1977 roku Wiesiek opuścił Białystok, czym spowodował lawinę plotek o sobie. Mietek z Władzią, kobietą-monstrum, prześcigali się w domysłach i swoje domniemania zanosili do Komitetu Miejskiego. Między innymi Komitet dowiedział się, że Wiesiek „jest" właścicielem hotelu „SkanPol" w Kołobrzegu, a także smażalni ryb i jeszcze czegoś w Szczecinie. Żona, nie mylić z Bronią, bo to już druga, opłacała składki i nikt jej nic nie mówił i nikt nigdy nie pytał, gdzie jest mąż. Oni wszystko „wiedzieli" i spowodowali, że Wieśka skreślono z listy członka partii.

Po roku mitręgi daleko od domu, za grosze tylko na jakie takie wyżywienie, Wiesiek wrócił do domu. Namawiano go tam, aby jeszcze pozostał chociaż na rok. A gdy się nie zgodził, poczęstowano koniakiem i odwieziono służbowym samochodem do Białegostoku.

Już na drugi dzień po powrocie Wiesiek poszedł do przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej, aby zameldować swój powrót. Na korytarzu spotkał pracownicę kartoteki KM, która przywitała go słowami: – Co, towarzysz był na dorobku?

Zawsze była miła i witała go uśmiechem, a tu zachowała się jakoś tak, jakby był intruzem. Co to jest? – pomyślał sobie. – Ale co będę jej tłumaczył. Pójdę do kogo iść miałem. Zapukał do drzwi gabinetu przewodniczącego. Usłyszawszy „Proszę" ochoczo wszedł, ponieważ wiedział, że ten go przyjmie z sympatią, ponieważ na zjeździe ZBOWiD ujawnił przed przewodniczącym WKKP, że jest zatrudniony przez służbę specjalną, co ten przyjął ze zrozumieniem, mówiąc: – Dobrze, że towarzysz mi o tym powiedział, gdyż w życiu różnie bywa.

Po wejściu do obszernego gabinetu Wiesiek nie dostrzegł w oczach towarzysza przewodniczącego iskierki zadowolenia ze spotkania, a raczej grymas niezadowolenia. Mimo to zameldował: – Towarzyszu przewodniczący, melduję swój powrót z wygnania... Wiesiek zrobił to żartobliwie, gdyż w partii nikt nikomu na szczęście się nie meldował, ale przewodniczący wcale na serio, nie podając ręki, użył tego samego zwrotu, co pracownica kartoteki: – Co, towarzyszu, byliście na dorobku?

– Towarzyszu przewodniczący, w takiej sytuacji nie mamy o czym rozmawiać – zareplikował dotychczas wesoły naiwniak.

– Ano, nie mamy – potwierdził przewodniczący i Wiesiek, urażony opuścił gabinet.

Schodząc w dół pomyślał, że najlepiej sprawę wyjaśnić z pomniejszymi urzędnikami aparatu niż z „głowami" i poszedł do znajomego instruktora, który opiekował się jego organizacją. Jeszcze nie powiedział „dzień dobry", gdy ten mu na spotkanie krzyknął: – Ja z wami nie chcę rozmawiać!

A żesz psia wasza mać, co się tu narobiło, że nikt ze mną nie chce rozmawiać – rozzłościł się „dorobkiewicz" i wparował do I sekretarza KM Romualda Ż., aby dociec prawdy. Ale od tego grubianina dowiedział się tylko, że jest dorobkiewiczem i nie zasługuje na miano

członka partii. – Oszukałeś mnie i swoją POP. Wierzyłem ci jak nikomu, bo nawet dyrektorka szkoły powiedziała mi, że z tobą to można do tańca i do różańca, a tyś partię zamienił na jakąś knajpę gdzieś na Wybrzeżu – wrzeszczał na cały gabinet.

– Towarzyszu sekretarzu – próbował bez złości wyjaśnić sprawę Wiesiek. – O tym, gdzie ja byłem wie w Białymstoku pułkownik J, gdyż był obecny przy naszej wstępnej rozmowie, kiedy mnie angażowano.

– To i tego ch... wyp... z partii, jak i ciebie – obiecał Romuald Ż.

W takim stanie Wiesiek opuścił kolejny gabinet i poszedł do domu. Po paru dniach ponownie zaproszono go do KM, gdzie przesłuchiwał go jakiś nowy instruktor Szmyt. W czasie tego przesłuchania Wiesiek też powołał się na pułkownika J. Szmyt coś pisał i pisał. Potem, jeszcze Wiesiek nie opuścił gmachu partyjnego jak towarzysz Szmyt już pojechał do pułkownika J., aby sprawdzić prawdomówność Wieśka. Pułkownik powiedział mu, że jeżeli wyrzucają z partii tego towarzysza, to śmiało mogą zrobić to ze wszystkimi.

W lipcu i sierpniu zebrania partyjne były zawieszone, bo był tak zwany sezon ogórkowy. We wrześniu Wiesiek normalnie poszedł na zebranie jakby nigdy nic i nikt mu nic nie mówił. W innych organizacjach też uczestniczył z nową werwą. Prezes koła ZBOWiD, podpułkownik Heniek Kaszuba ucieszył się z powrotu wiceprezesa z tułaczki, jak on to nazywał, a Wiesiek kolejny raz przekonał się, że zbowidowcy to nie urzędnicy partyjni i że świat nie bez porządnych ludzi. Na zebrania uczęszczał regularnie i opłacał składki, które od niego przyjmowano.

W tym czasie Polska podpisała umowę z Czechosłowacją na budowę elektrowni w Pruneřowie. Było to konsorcjum „Beton-Stalu" z innymi przedsiębiorstwami budowlanymi. I właśnie „Beton-Stal", na podstawie starań pułkownika Stefana W. zatrudnił Wieśka na tej budowie. Wiesiek wziął z POP przeniesienie partyjne i pojechał do Warszawy. Był dzień 18 lutego 1981 roku.

Pojechał, lecz jeszcze przed mającym nastąpić wyjazdem, będąc w redakcji „Niwy" zwierzył się ze swojego zamiaru pisarzowi biało-

ruskiemu Sokratowi Janowiczowi. Ten nadawał Wieśkowi adresów w Pradze i poradził, aby odjeżdżając wziął ze sobą magnetofon, kaset ile ma i żeby przeprowadził rozmowy na temat literatury białoruskiej w Polsce z takimi autorytetami jak Vaclav Żidlicky, Vladimir Lybovicky i inni.

Po zajechaniu do Warszawy, mając załatwione wszystkie formalności związane z zatrudnieniem w Czechosłowacji, Wiesiek udał się do biur „Beton-Stalu", aby dopełnić formalności dotyczących przeniesienia partyjnego. Tam mu poradzili, aby pozostawił legitymację partyjną u nich, a tylko pokazał przeniesienie sekretarzowi Borowemu, już na budowie elektrowni w Pruneřowie.

Wiesiek rad, że wreszcie ma za sobą wszystkie formalności, poszedł do kawiarni obok Dworca Centralnego i zamówił sobie dużą czarną. Doczekał się upragnionego pociągu relacji Warszawa-Praga, zajął miejsce w przedziale pełnym takich samych amatorów dorobku i hajda do Zebrzydowic.

Do stacji granicznej Zebrzydowice pociąg dotarł gdzieś nad ranem. Do przedziału wszedł jakiś celnik-wymoczek o nazwisku Józef Mżyczek (nie, nie przedstawił się, to wyszło później w toczącej się sprawie o „przemyt"), który zapytał: „Co macie do oclenia?" Pasażerowie jednogłośnie odpowiedzieli, że nie mają nic. Wtedy celnik Mżyczek tyknął palcem w Wieśkową torbę i nakazał otworzyć. Wiesiek otworzył, a celnik zobaczył magnetofon i już nikomu więcej otwierać walizek czy innych toreb nie polecił. Wystarczył mu jeden „przemytnik".

Pociągnął Wieśka z całym jego bagażem przez oblodzone perony daleko do jakiejś pakamery na szczegółową rewizję. Wiesiek z bagażami, chorą nogą i takim sercem tak się tym forsownym marszem zmęczył będąc w kożuchu, że po dotarciu do miejsca rewizji był cały mokry od potu, czym wywołał współczucie już zatrzymanych podróżnych-spekulantów, którzy mieli po kilka walizek pokaźnych rozmiarów i po cztery-pięć futer luzem. Mżyczek nie dał mu odsapnąć ze zmęczenia i wrażenia. Zaprowadził za piec i obmacywał kieszenie i nogawki. Kiedy tam nic nie znalazł, rozpoczął operację z przygoto-

wanym przez żonę na rok czasu bagażem. Ale tam też nic podejrzanego nie wyszperał, więc sporządził protokół i skonfiskował radiomagnetofon Grundig.

Wiesiek prosił kierownika mytni, aby wpłynął na podwładnego i spowodował zwrot aparatu. Ale gdzie tam. Ten tylko się uśmiechnął i nakazał podwładnemu czynić swoją powinność. Wieśkowi swędział język, aby postraszyć tych panów „kimś" z MSW, kto te wyjazdy organizował, ale później od tej myśli odstąpił. Poprosił jedynie, aby razem z magnetofonem zabrali też kasety. Nie, kaset nie skonfiskowali.

Po dokonaniu formalności związanych z rewizją i konfiskatą przedmiotu „kontrabandy", celnik musi przestępcę zaprowadzić do oficera dyżurnego placówki WOP i przekazać go wraz z paszportem. Gdy weszli do oficera dyżurnego WOP, którym okazał się kapitan przypominający Wieśkowi jako żywo oficera SS, który w 1943 roku bił go po twarzy za nie zdjętą czapkę, ten przestał przesłuchiwać kobietę obłożoną futrami i zapytał „Kto to?" Celnik położył przed nim paszport Wieśka. Kapitan wziął paszport do ręki i głośno przeczytał nazwisko, po czym wrzasnął: – Siadaj, skurwysynu! Myślisz, że jak się nazywasz na „uk", to jesteś oczkiem w głowie?

– Towarzyszu kapitanie, ja proszę bez wycieczek – odezwał się Wiesiek, oburzony zachowaniem oficera.

– Milcz, psia twoja mać, bo zaraz dostaniesz po gębie – tym samym tonem wyrażał pretensję oficer WOP do Wieśka za to, że ktoś mu kiedyś, u progu nowej cywilizacji wyznaczył nazwisko na „uk", a potem nakazał sierżantowi, zdaje się Nowickiemu, aby postawił krzesło koło progu i kazał przestępcy usiąść i milczeć.

– Panie kapitanie – ponownie odezwał się Wiesiek. – Ja proszę o wyekspediowanie mnie tym pociągiem do Pragi, gdyż ja muszę jechać na budowę autokarem, który nas zabierze z dworca kolejowego.

– Jak ja cię, kurwa, wyekspediuję – wrzasnął kapitan – to cię rodzona matka nie pozna! Chłopaki, warto mu chyba wpierdolić.

Wiesiek milczał na krześle, chociaż mu znów do głowy cisnęło się, aby powiedzieć chamskiemu oficerowi, że jedzie na budowę ze specjalną misją, o której wie taki to a taki generał. Ale Wiesiek za-

wsze był niemrawą czy honorowym, diabli to wiedzą, więc i tym razem przemilczał. Zresztą wierzył, że kapitan WOP poskacze i ostygnie. Nawet nie przypuszczał, że go nie puści do Pragi.

Pociąg odjechał, a Wiesiek siedział przy progu i czekał na paszport, aby móc odjechać do... Warszawy. Kapitan wobec pań – spekulantek, był uprzejmy, a nawet szarmancki. Pomagał im wnosić do swojego gabinetu futra i zwracał się per „proszę panią". Nie można było jednak nie zauważyć, iż jego nadzwyczajna grzeczność nie była całkiem bezinteresowna.

Wiesiek wrócił do Warszawy pociągiem relacji Wiedeń-Moskwa. Przejechał z Dworca Gdańskiego na Centralny i wrócił do domu, nie zachodząc nawet do „Beton-Stalu", aby się poskarżyć. Będąc w domu myślał o napisaniu raportu do dowództwa WOP o zaistniałym incydencie, ale po namyśle odstąpił od zamiaru, ponieważ nie chciał, aby taki gnojek otrzymał stopień majora za wzorową służbę. Mogło tak być.

Oficer WOP, pełniący dyżur w placówce z 18 na 19 lutego 1981 roku był inny niż Wiesiek. napisał raport-elaborat do komendanta rejonowego MO w Białymstoku, a ten od razu przysłał podwładnego, by spisał protokół „przestępstwa". Wiesiek odesłał wszystkie dokumenty, w tym paszport służbowy do „Beton-Stalu" i żył w napięciu, co z nim zrobią. Mimo to pełnił szereg obowiązków społecznych. Po jakimś czasie otrzymał wyrok, który mówił o tym, że przedmiot przestępstwa został skonfiskowany i dodatkowo wymierzono mu karę 4 tysięcy złotych za kontrabandę. Wiesiek poczuł się jeszcze bardziej pokrzywdzony i postanowił napisać odwołanie do Głównego Urzędu Ceł. Tam załatwiono sprawę po myśli „przestępcy", anulując grzywnę i nakazując kacykom z Urzędu Celnego w Zebrzydowicach zwrot poszkodowanemu „przedmiotu przestępstwa". Po prawie roku magnetofon wrócił do żony Wieśka z uszkodzonym potencjometrem. Nie było komu dochodzić dlaczego zepsuto magnetofon, gdyż Wiesiek jednak pracował w Czechosłowacji od maja 1981 roku.

* * *

Wiesiek pracował na wyznaczonym stanowisku, brał udział w pracach zbowidowskich i partyjnych, opłacał składki partyjne w koronach. Nie dorobił się nawet byle jakiego motoroweru, nie mówiąc już o samochodzie. Byli nawet tacy, co za pracę w Czechosłowacji pobudowali wille i to aż piętrowe, albo i dwupiętrowe, a on wrócił do domu 2 czerwca 1982 roku tylko z podręczną torbą i piętnastoma tysiącami koron.

Zaczynał się właśnie „sezon ogórkowy", który Wiesiek postanowił wykorzystać na wyjazd do Związku Radzieckiego. Ktoś mu jednak powiedział, że w tej sytuacji – trwał wtedy jeszcze stan wojenny – nie tak łatwo otrzymać wizę w konsulacie radzieckim, nie mając pisma z Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Poszedł tam. Na korytarzu spotkał sekretarza KW Mikołaja K. i zapytał czy to prawda, że trzeba pisma od pierwszego, aby uzyskać wizę? Sekretarz potwierdził, ale jednocześnie dodał, że w tym wypadku nie będzie żadnych trudności.

Napisał więc Wiesiek podanie do I sekretarza, zdał w kancelarii i czekał. Po mniej więcej tygodniu zatelefonował i zapytał, jak załatwiono sprawę jego wyjazdu. Kierownik kancelarii już nie mówił do niego towarzyszu tylko obywatelu i powiadomił, że podanie załatwiono odmownie. Wiesiek nie dociekał dlaczego tak załatwiono, a poszedł do znajomego sekretarza Mikołaja K. (nie mylić z Kirylukiem) i żartobliwie zameldował: – Towarzyszu sekretarzu, melduję posłusznie, że podanie, o którym z wami rozmawiałem zostało załatwione odmownie.

Na to sekretarz wcale nieżartobliwie odpowiedział: – Tak, bo towarzysz Zawodziński daje takowe pisma do Ambasady tylko członkom partii.

– Ja jestem członkiem partii – odpowiedział z uśmiechem petent.

– Taaaak? – ironicznie zapytał sekretarz.

Po tonie rozmowy Wiesiek zorientował się, że coś tu nie tak i w te pędy pobiegł do kartoteki. Tam dowiedział się, że już dawno jest skreślony z listy członków partii za odstąpienie od jej linii progra-

mowej. Znowu puknął się w głowę, że tyle lat płacił składki i nawet w koronach, nie będąc członkiem PZPR. Postarało się o to dwoje lizusów w osobach Władysławy K. z POP nr 24 i sekretarza tej organizacji – Mieczysława S. A Komitet Miejski zatwierdził to nie powiadamiając zainteresowanego, ani nie próbując przeprowadzić z nim rozmowy na ten temat. Bali się Wieśka zarówno urzędnicy KM jak i egzekutywy POP. Albo myśleli, iż wyrządzą mu niepowetowaną szkodę skreślając z listy, a sami za wzorową postawę partyjną od razu otrzymają Krzyże Kawalerskie. Niczego takiego nie osiągnęli, a teraz przy spotkaniach czemuś spuszczają oczy w dół, a Wiesiek z politowaniem im się przygląda i myśli: – Kot zawsze wie, że szperkę zjadł.

Po latach, gdy pierwszym sekretarzem KW PZPR w Białymstoku był już Włodzimierz Kołodziejczuk, Wiesiek napisał: „Dobro robiłem po cichu, a zło głośno. Teraz wszystko razem wylazło mi bokiem". Napisał to jako motto w „Zamiast odwołania", które zachowało się w całości. Oto ono:

Towarzysz Włodzimierz Kołodziejczuk,
I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Białymstoku

Zamiast odwołania

Towarzyszu I sekretarzu KW PZPR, nie odwoływałbym się od decyzji Komitetu Miejskiego PZPR w Białymstoku nr 23661 bo mi już zbrzydło udowadnianie swoich racji w różnych sprawach, a nie tylko w tej, która miała zadecydować: jestem czy nie jestem działaczem. Nie każdy musi być działaczem ruchu robotniczego, chociaż nie jeden nim jest, bo w 1945 roku wypełnił deklarację. Na wypełnieniu deklaracji jego działalność rozpoczęła się i zakończyła, a drugi nie jest, ponieważ działał, lecz się nie chwalił. Nie pisałbym niczego, gdyby KM w drugim akapicie swojej odmowy nie dał mi do zrozumienia, że tacy jak ja w partii nie są potrzebni, gdyż nie realizują jej generalnej linii i powodują odchylenia sprzeczne z postawą członka PZPR. Może poziom mojej działalności nie zasługuje na miano działacza ruchu robotniczego.

Tu Wiesiek wymienił szereg zasług wobec partii i państwa, poczynając z okresu okupacji, a kończąc na 1978 roku, przedstawiając kserokopie oryginalnych dokumentów, w tym pismo z ambasady Demokratycznej Republiki Wietnamu z podziękowaniem za dostarczanie dzieciom wietnamskim pomocy szkolnych w czasie wojny z USA. Dalej przypomina w piśmie do sekretarza:

– W marcu 1950 roku formalnie zostałem przyjęty w szeregi PZPR, a w maju wyjechałem do Warszawy, gdzie pełniłem służbę w jednostce specjalnej, jako dowódca grupy. I tak aż do 1962 roku. W 1962 roku powróciłem do Białegostoku i nadal pracowałem w kontrwywiadzie. Z tym, że przez rok byłem kierownikiem szkolenia partyjnego w jednym z wydziałów i II sekretarzem OOP.

– W 1951 roku ożeniłem się bez ślubu kościelnego i dzieci też nie pochrzciłem w kościołach. Ośmielam się gorzko zażartować, że może to dlatego zawsze tak zawzięcie jestem spychany z drogi marszu.

– Po odejściu na rentę w związku z ciężką chorobą w 1969 roku, przez ponad siedem lat pełniłem funkcję I sekretarza Terenowej POP w Białymstoku i jedenaście innych funkcji społecznych. I pełniłbym dalej, gdybym się nie dał ponownie wciągnąć w wir walki kontrwywiadowczej w latach 1977-1978. Prosiłem angażujących mnie oficerów, by powiadomili sekretarza Komitetu Miejskiego o moim oddaleniu się z Białegostoku, bo będę miał kłopoty. Ci odpowiedzieli, abym się nie martwił, oni tak to zamaskują, że będzie wszystko w porządku. Zostało na tym, że żona opłacała za mnie składki partyjne w POP nr 24, a ja rzekomo w sanatorium.

Po powrocie do Białegostoku dowiedziałem się, że jestem spekulantem, dorobkiewiczem, fałszerzem, właścicielem smażalni ryb, oszukańcem i wszystkim tym, co tylko nie licuje z mianem członka partii. Powiedziałem sobie: – To nic, że ludzie plotą różne bzdury, ważne, że wykonałem zadanie z honorem i mogę śmiało każdemu patrzeć w oczy. Z tą myślą i z piersią wypiętą do Komandorii wybrałem się do tow. Kiryluka, by mu zameldować swój powrót z zadania, gdyż on trochę wiedział o tym, ponieważ mu uchyliłem rąbka tajemnicy, będąc na zjeździe ZBOWiD, na który byłem zaproszony.

Idąc korytarzem KM spotkałem tow. Nadzieję K., która, już nie tak miła jak zawsze, zapytała: „Co, towarzysz był na dorobku?" Tak – odpowiedziałem i poszedłem dalej, gdzie iść miałem. Tylko przekroczyłem próg przewodniczącego WKKP jak usłyszałem identyczne pytanie: Co, towarzysz był na dorobku? Uderzyła mnie ta plotka z POP, przeniesiona do gmachu partyjnego, a to już jest groźne. Porozmawialiśmy trochę z tow. Kirylukiem o tym co zaszło, ale widziałem, iż to nie moje słowa go przekonują lecz tamte. Poczułem się skrzywdzony i niby intruz opuściłem gabinet. Przykro mi było usłyszeć epitet „dorobkiewicz", kiedy pracowałem w oddaleniu od domu dniami i nocami za trzy tysiące złotych, czyli tylko za skromne utrzymanie. Pracowałem z myślą, że jeszcze raz przydałem się Ojczyźnie.

Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie gdy zajdę do instruktora KM i wszystko wyjaśnię. Tylko otworzyłem drzwi i powiedziałem „dzień dobry" jak w odpowiedzi usłyszałem od tow. Łosia: „Ja z wami nie życzę rozmawiać!" Czym prędzej się wycofałem i jak każdy naiwniak, który wie, że ma rację, ale nie wie, jak z nią postąpić – poszedłem do I sekretarza KM tow. Romualda Żukowskiego. Tan najbardziej szczery i otwarty towarzysz powiedział mi wprost: „Jeżeli będziesz tak postępować jak postępujesz, to wyp... ciebie z partii!" Towarzyszu sekretarzu, – próbowałem tłumaczyć, – czy nie możecie zapytać pułkownika S. J., który był przy rozmowie, kiedy mnie angażowano do tego zadania? Tow. Żukowski krzyknął, że tego ch... też wyp... z partii. Przeprosiłem go za zajęcie minuty czasu i wyszedłem niby zbity pies. Tak przeżyłem do 1981 roku, kiedy w kraju buszowała „Solidarność". Z uwagi na ciągłe telefoniczne pogróżki, że będę zabity, jeżeli nie przestanę swej pisaniny, wyjechałem do Czechosłowacji, gdzie w owym czasie budowano Elektrownię Pruneřov II, celem zabezpieczenia tej budowy przed wpływami obcego elementu i sabotażem. Pracowałem tam wspólnie z innymi towarzyszami, uczęszczałem na zebrania partyjne i opłacałem składki w koronach...

W czerwcu 1982 roku powróciłem do Białegostoku. A że to już był okres kanikuły dla terenowych POP, więc postanowiłem pojechać

do ZSRR. Wiedziałem, że jest potrzebne odpowiednie pismo od sekretarza KW PZPR do Ambasady ZSRR w Warszawie. W gmachu spotkałem sekretarza KW tow. Kozaka, który jak zawsze mile się przywitał i zapytał co słychać. Powiedziałem mu, że chcę jechać do Związku Radzieckiego. Tow. Kozak powiedział, że trzeba mieć pismo od pierwszego sekretarza KW, ale w tym wypadku nic nie stoi na przeszkodzie, aby takie pismo otrzymać, tylko trzeba napisać podanie. Napisałem. Po paru tygodniach dowiaduję się, że moją prośbę załatwiono odmownie. Idę więc do tow. Mikołaja Kozaka i melduję mu, że zostałem załatwiony odmownie. Tow. Kozak powiedział: Tak, tow. Zawodziński daje zezwolenia tylko dla członków partii.

– Jestem członkiem partii.

– Taaak? – prawie ze złością zapytał tow. Kozak.

Jego ton i sposób w jaki to powiedział, podpowiedział mi, aby pójść do Kartoteki i sprawdzić, co się ze mną dzieje. W Kartotece dowiedziałem się, iż jestem już dawno skreślony z listy czł. partii.

Towarzyszu I Sekretarzu, dlaczego nikt mnie nie uprzedził, że zostanę skreślony z listy członków partii, jeżeli będę zachowywał się tak, jak się zachowuję? Dlaczego nikt mi nie powiedział o dokonanym skreśleniu? Czyżbym był aż takim człowiekiem, którego trzeba się bać, że wszystko robiono skrycie i podstępnie? Kto kształtuje moją opinię i kto kieruje moim losem? Dlaczego w takiej sytuacji nikt nigdy z żadnego komitetu nie zechciał wysłuchać co ja mam do powiedzenia o tym co czynię?

Ja nie muszę być działaczem ruchu robotniczego, ale dlaczego ktoś pomniejsza moją działalność i poniża moją osobę? Czyż aktywistą jest tylko ten, kto przychodzi często do Komitetu i regularnie raz w miesiącu posiedzi na zebraniu partyjnym, a nie ten, kto naprawdę coś robi dla partii? Czyż pisanie do różnych gazet w obronie dobrego imienia partii nie jest działalnością korzystniejszą od biernego siedzenia? To jest działalność, tylko zależy kto to robi, czy czasem nie ten, kogo się wzięło na indeks. A już na pewno nikt nie uwierzy, że jakiś tam „uk"-oszust mógłby pomagać Wietnamowi. Każdy, kto by o czymś podobnym usłyszał, powiedziałby, że jest to wierutne kłam-

stwo. A tymczasem „Uk" jak mógł tak pomagał. Proszę zobaczyć pismo z odpowiedniej Ambasady.

Towarzyszu I Sekretarz, przepraszam, że aż tyle musiałem się nachwalić nie pytany, ale ja naprawdę czuję się obrażony słowami zawartymi w drugim akapicie pisma Komitetu Miejskiego, podpisanego przez I sekretarza Józefa Kowalczyka, gdzie dano mi do zrozumienia, że straciłem kontakt ideowy z partią i odstąpiłem od jej generalnej linii.

W załączeniu:

– 3 listy od Z. Kałużyńskiego;

– opinia służbowa z Czechosłowacji;

– archiwalna sprawka i pismo przewodnie;

– Zaświadczenie nr 377439;

– pismo z Ambasady DRW w Polsce.

Z partyjnym pozdrowieniem

podpis

PS. Towarzyszu I Sekretarz KW. Jest okazja, aby wyłożyć przysłowiową kawę na ławę. Idea komunistyczna jest dobra, ale trudno jej się obronić, kiedy realizują ją tacy ludzie, jak Mieczysław S. – karierowicz i lizus, który wstąpił dopiero w 1961 roku do partii; takie coś, jak Władysława K., która tylko wie, że trzeba się podlizywać i donosić. Ale to są płotki, o których nie warto byłoby wspominać, gdyby nie to, że w oparciu o ich krecią robotę zostałem skreślony z listy czł. partii. Oni oboje upodlali wszystko kogo mogli, żeby otrzymać krzyże chlebowe, ale jak dotychczas nie otrzymali. Gorsze jest to, że partią i narodem sterują bezwzględni karierowicze na samej „górze". A tu M. Kiryluk i Józef Kowalczyk, i jemu podobni.

Boże, jaki jestem głupi. Całe swoje życie i nawet wolne chwile poświęciłem komunistycznej partii i socjalistycznej ojczyźnie, które poprzez swych przedstawicieli mają mnie gdzieś! Mam masę odznaczeń i stopień oficerski, a nie mam zadowolenia i czystego sumienia, że dałem się wciągnąć w wir walki o „lepsze jutro", a przyczyniłem się do zubożenia ludzi pracy i życia ponad stan za społeczne pieniądze takich jak Wy. W czasie wojny wiozłem prawosławnego księdza do chorego, u którego pracowałem jako parobek. Wtedy od tego księdza do-

wiedziałem się, że najlepiej będzie, gdy w przyszłości zostanę na roli. Nie posłuchałem rady człowieka niewątpliwie doświadczonego i pognałem szukać „lekkiego" i „zaszczytnego" chleba, bo to mundur, bo to chęć zaimponowania może kolegom i dziewczynom. Niech by było i to, ale żeby nie było tyle chamstwa, obłudy i złodziejstwa. Komu ja, psia mać, służyłem?! Dobrze żeście mnie skreślili, bo ja ze swoim charakterem nigdy do was nie pasowałem. Wałęsy nienawidzę, bo wiem, że będzie takim samym karierowiczem i oszukańcem, jak wielu z tych, którym, niestety, służyłem, będąc przekonanym, iż służę Ojczyźnie i to Ojczyźnie robotników i chłopów!

Nikt mnie tak nie wyprowadził z błędu, jak sytuacja „przodującego Kraju Rad", gdzie miliony ludzi permanentnie niedojadało i zawsze chodziło w kufajkach i gumowych butach. Widziałem to też osobiście, ale wierzyłem propagandzie. Teraz czytam „Ogoniok" i „Litieraturnuju Gazietu". Zawarte tam wypowiedzi i dokumenty postawiły mi na głowie wszystkie włosy i pokazały, jakiej idei służyłem, zamiast grzebać się we własnej skibie i pić czystą wodę. Ostatecznie przekonałem się o siedemdziesięcioletnim kłamstwie i bandytyzmie moich ideowych bogów, kiedy nie zawiadomiono nawet własnego narodu o jądrowej katastrofie w Czarnobylu. Naród umierał od skażenia radiacyjnego, a „wodzowie" gnali go na pierwszego maja, by defilował przed ziemią cuchnącym manekinem Breżniewa i wznosił okrzyki na cześć KPZR.

Ja nigdy nie darzyłem Breżniewa zaufaniem i sympatią, a zacząłem nienawidzieć już wówczas, kiedy on zaczął wieszać na swe piersi gwiazdy Bohatera Związku Radzieckiego i nadał sobie stopień marszałka. Nic jednak szary człowiek nie może zrobić. Z drugiej strony, niech by sobie wieszał te odznaczenia, których nie dał prawdziwym bohaterom, kiedy się nie wstydzi, ale żeby chociaż trochę pomyślał o narodzie borykającym się z przeciwnościami wynikłymi z przymusowych kołchozów i totalnego złodziejstwa grup uprzywilejowanych.

W świetle powyższego, Towarzyszu I Sekretarzu Kołodziejczuk muszę Wam się przyznać, że ogromnie żałuję, iż nie posłuchałem starego batiuszki, który mi dobrze radził, nie na wiecu, a w saniach na słomie, w siarczysty mróz, kiedy odwoziłem go do Kleszczel po ostatnim na-

maszczeniu chorego ojca mojego gospodarza, który też był fałszywy, bo pazerny, jak dzisiejsi „działacze”, czyli urzędnicy partyjni.

Tym pismem Wiesiek zaskarbił sobie sympatię jednego z wyżej postawionych pracowników KW, ale nic poza tym. Nikt z nim nie przeprowadził rozmowy i nikt mu nie odpisał.

Wiesiek wiedział, że to, co on tu napisał jest wbrew jego poglądom i przekonaniu, gdyż wiedział, iż za „dobrych czasów” Polski sanacyjnej mógłby służyć w wojsku jedynie jako mięso armatnie, a Polska Ludowa i jemu dała szansę stać się człowiekiem i został człowiekiem. Chciał jednak dopiec sekretarzowi i na własnym przykładzie pokazać, że nie jest tak, jak głosi program budowy i rozwoju społeczeństwa socjalistycznego.

On jeden chyba bezgranicznie wierzył w ideały socjalizmu. Dlatego też i jego rozczarowanie było większe niż u innych, gdy różne czasopisma, a szczególnie radzieckie zaczęły wydobywać z archiwów i publikować dokumenty o dokonywanych zbrodniach na narodach ZSRR w imię tegoż socjalizmu oraz relacje świadków o przepychu, w którym pławili się prominenci partyjni i państwowi, podczas gdy naród wiecznie wystawał w kolejkach po kawałek chleba czy zczerniałej, starej *gowiadiny* – wołowiny. Z dokumentów tych Wiesiek dowiedział się też ilu ludzi różnych narodowości wymordowała „zwycięska” rewolucja październikowa przez 75 lat swego istnienia, a narodów zniewolenia.

Gdy Mieczysław Rakowski ogłosił rozwiązanie PZPR, Wiesiek, jak i inni, poszedł do Komitetu Miejskiego, aby zabrać swą teczkę partyjną. Przyniósł ją do domu, usiadł w łazience nad sedesem i rwał dokumenty, na przemian płacząc i śmiejąc się. Ale oto natrafił na urzędowy dokument, który jakoś przeoczyli partyjni urzędnicy czyszcząc jego teczkę. Przeczytał i pomyślał: Tak samo traktowano nas, szeregowych członków partii, jak i „wierzono” nam. Dobrzy byliśmy płacąc składki członkowskie, wykonując czyny społeczne i niby głupcy żrąc się na zebraniach partyjnych kto lepszy i głupszy. Dokumentu urzędowego jednak nie zniszczył, a brzmi on tak: Tow.

Sekretarz POP, Warszawskie Przedsiębiorstwo Budowy Elektrowni Przemysłu „Beton-Stal", 00-834 Warszawa, ul. Pańska 73.

To dosłowny adresat, a oto treść pisma:

Rejon Ewidencji w KM PZPR w Białymstoku prosi Towarzysza Sekretarza o odpowiedź na n/w zapytania:

1. Czy z ramienia Waszej instytucji na w/w budowie pracował Ob. (tu imię, nazwisko i dokładny adres).

2. Czy Sekretarzem przy WP BEiP „Beton-Stal" na budowie elektrowni Prunežow II w Czechosłowacji był tow. Zakarzewski (brak imienia)?

Powyższe informacje są potrzebne w postępowaniu odwoławczym Ob. (tu znowu imię i nazwisko) od uchwały o skreśleniu z listy członków partii.

Prosimy o szybką odpowiedź na adres KM PZPR w Białymstoku.

Instruktor Rejonowy Ewidencji
Walentyna Jóźwik, podpis nieczytelny

Wiesiek gorzko się uśmiechnął i jeszcze raz się przekonał, że KM, KW i nawet WKKP uwierzyły kłamcom – Kasperkiewiczowej i Sobotce, którzy oczernili Wieśka nieprawdziwie, a nie uwierzyły temu, który zawsze był uczciwy i lojalny. Dobrze mi tak – pomyślał Wiesiek i przypomniał opowiadanie starego Ryhora, jak to sezonowi pracownicy leśni chodzili do Puszczy Białowieskiej na zarobek. Wśród nich był jeden taki, który nie mógł ścierpieć tego, że jego koledzy pracowali lelum po lelum, a on uczciwie harował przez cały dzień. Gdy przyszło do zapłaty to ci otrzymywali po równo, a ten pracuś najmniej, ponieważ w czasie każdego przybycia gajowego ci pracowali, a on z gajowym prowadził rozmowę, aby trochę odpocząć. On byłby oceniany prawidłowo do zapłaty tylko wtedy, gdyby każdy z pracowników miał wyznaczone poletko do obróbki. A tak, aby być równym, nie trzeba chcieć być lepszym w kolektywie, w oczach nieobiektywnych oceniaczy.

W życiu trzeba byłoby kierować się rozumem. Ale ten rozum trzeba mieć. Poza tym, nigdy nie wolno nikomu bezgranicznie ufać i zdawać się na los szczęścia. Szczęście to pojęcie abstrakcyjne, które sprzyja lub nie, w naszym życiu.

Kiedy zaczynałem pisać tę książkę, chciałem oddać dokumentalną atmosferę swojej wegetacji wśród ludzi na tym, Bożym świecie. Ale w plątaninie sytuacji, sporo niezręczności, wstydu i obaw, że ludzie to odbiorą w różny sposób. I właśnie to wszystko z domieszką bylejakości spowodowało, że książka powstała taka, a nie inna, co wcale mnie nie satysfakcjonuje. Wiem jedno i Was ostrzegam, że po wejściu w dorosłe życie miałem dużo więcej przyjaciół lub obojętnych niźli nieprzyjaciół. Ale w miarę dorastania i jakiego-takiego obrastania w wiedzę potrzebną do pracy w kontrwywiadzie czy w wojsku, zacząłem odczuwać mniejszą przychylność ludzi do siebie. A więc z tego wniosek, że otoczenie durniejszych bardziej toleruje niż równych sobie. Albo płaszczy się, gdy jest uzależnione od tego kto to środowisko przerósł i wybił się na jakiś tam szczebel wyżej od grupy, w której pracuje. Naród wśród siebie posiada więcej ludzi mądrych niż głupich, ale mniej dobrych niż złych. I to jest nasze memento.

Nie wiem, czy jak raz w tym miejscu wypada to powiedzieć, ale muszę, bo zawsze zapominam, a teraz przypomniałem. Otóż chcę wyrazić pogląd, który trapi mnie od dawna, mianowicie taki, że żałuję, iż się urodziłem i stąd wywodzi się cały mój tragizm życiowy, który szczelnie przykrywa moje czasami chwilowe radości. Mało było tych radości, a i te zaraz ginęły w natłoku koszmarnych wspomnień z dzieciństwa i lat młodości, których nie miałem.

Szkoda, że w dziedzinie literatury faktów nie przyznaje się Nagrody Nobla za, chociażby, przeżycia i cierpienia, a potem opisanie tego obnażając się aż do slipek albo i do naga. Nagrody przyznaje się za wymyślone powieści i nie zawsze dobre wiersze. Bo nie jest ważne co napisano, a ważne to, kto to napisał.

Na koniec muszę się pochwalić, że w swym tragicznym życiu zawsze miałem szczęście w obcowaniu z ludźmi dobrymi, natomiast

też zawsze ponosiłem porażkę i doznawałem krzywd oraz zniewag od ludzi, którzy nie mieli spokoju i mieli złe sny wówczas, kiedy nikogo nie skrzywdzili.

W swej opowieści najmniej miejsca poświęciłem ludziom dla mnie najlepszym – Heni i Sławkowi Sawickim oraz matce Heni – Pani Zofii Wasilewskiej. Ale to chyba zawsze tak jest, że skarb chowa się w miejscu najbardziej bezpiecznym – skrytym, czym w moim wypadku jest serce. Więcej czasu i miejsca przyznaczę Im – jeżeli mi się uda – w innej książce. Teraz tylko ze smutkiem i żalem dodam, że ta Zacna Pani odeszła na wieczny spoczynek mając zaledwie 68 lat, a jej zięć Sławek 52.

Pozostała mu Heniusia, rodzina Piątków – Teresa i płk Julian oraz kilku profesorów, wszyscy z Warszawy, którzy wołają na niego „Wasiuniu". To niezwykle miłe i wzruszające, gdy przyjaciele Polacy bez żadnych drwin tak zdrabniają jego imię. Miejscowi koledzy, swoi, stosują mało kurtuazyjne „te" lub „ty". Drobiazg? O, nie, to poziom kultury osobistej.

Epilog

Gdyby Wiesiek chciał się ustosunkować do swojego życia wśród i obok posiadanej masy swojaków w postaci wujków, wujenek, ciotek i ich ogromnego potomstwa, byłoby nieodzownym napisać osobną grubą książkę. On nie chce tego robić, bo wśród nich niewiele miał chwil szczęśliwych, które mógłby mieć. Natomiast przypominanie przeżytych bólów, strachu przed biciem, poniewierek, chłodu, głodu, nienawiści, oszustw, kpin, wszy, żalu, łez i czego tam jeszcze, pogłębi nienawiść do autora jeszcze bardziej niż ta, która już panuje wśród ich potomstwa. Bo ani ci, wśród których przyszło wegetować Wieśkowi, ani ich dzieci i wnuki bardzo nie lubią prawdy. Nic zresztą dziwnego, ponieważ nikt nie lubi takiej prawdy, która kładzie się cieniem na jego sumienie. Sprawa tylko w tym, że wielu ze swojaków

reprezentuje sumienie jakieś osobliwe, które wcale ich nie boli, jeżeli im się nie wytknie gołej prawdy. Taki stan rzeczy cechuje wielu ludzi oprócz plejady Wieśkowych bliskich i krewnych.

Żeby nie wracać na szerokie pole tego zagadnienia, przytoczę może z jeden przykład naszej mentalności, która pokutuje w nas bez względu na wykształcenie, cenzus naukowy i hierarchię społeczną; my jesteśmy zaklęci w te prawdy, które nam wygodne z czyjejś strony i w te bolesne, które sami miotamy w innych nie sprawdziwszy faktów. Cieszymy się, gdy nas chwalą i złościmy, gdy ganią. Chociaż jedno pojęcie, jak i drugie, nie musi być eksponowane. A najgorzej jest wtedy, gdy nie znamy sprawy, a wsadzamy nos, czym na pewno krzywdzimy atakowanego.

Kiedyś przyjechał do Wieśka jego jednowioskowiec Sergiusz Bartoszuk z lamentem o pomoc w znalezieniu dobrego chirurga w Białymstoku, bo jego synowi konieczna jest operacja. Wiesiek zapomniał o co tam chodziło – czy już w Hajnówce i Bielsku nie chcieli go operować, czy sam nie ufał tym lekarzom. Dosyć, że uzyskał od kogoś Wieśkowy adres, przyjechał i nawet przywiózł cztery kurze jaja, żeby go „podkupić". Wiesiek obdzwonił cały Białystok do znanych sobie chirurgów. Ale uprosił jedynie słynnego pana doktora Biedzińskiego z polikliniki, jeszcze wtedy MSW. Kiedy Bartoszuk już był pewny swego, bo odgadł, że Wiesiek nie cofnie się z obiecanego przy nim załatwienia sprawy, zaczął nie dosyć elegancko Wieśka pytać, jak ten listonosz z Dubicz, dlaczego w swej książce tak źle opisał swoją macochę. Wiesiek z zażenowaniem odpowiedział, że napisał trochę prawdy o swoim życiu, ale wcale nie tendencyjnie w złym świetle przedstawił macochę... Bartoszuk na to: „Takie były czasy i nie tylko ty się męczyłeś". Wiesiek to potwierdził i zapytał: „Czy dużo Bartoszuk zna przypadków, aby rodzice przed dziećmi chowali chleb, mało że do komory pod klucz, to jeszcze w pakuły, aby w razie wyłamania zamka nie znalazły chleba w pakułach?" Bartoszuk skrzywił się jakoś dwuznacznie i bez słowa jakiejkolwiek wdzięczności opuścił mieszkanie. A kiedy w Grabowcu spotkali się na ulicy, to błagający niegdyś o pomoc odwrócił głowę.

Wątpliwe, że Bartoszukowi chodziło o to, że w książce Wiesiek „skrzywdził” macochę. Oburzyło go jeszcze w mieszkaniu Wieśka prawdopodobnie to, że przyjął on cztery jajka, które Bartoszuk położył na barku; zamiast postawić pół litra na stół i zaprosić de zakrapianego obiadu, bo on przecież bogatego ojca syn. Niestety, teoria Kalego będzie u nas jeszcze długo pokutowała. A oprócz znanej i buszującej po świecie teorii Kalego, w naszym narodzie tkwią swoje, kudy mądrzejsze i bardziej wyrafinowane teorie, które pozwalają mądralom pasożytować na głupich, bo litościwych.

Kiedy Wiesiek był małym pastuszkiem i podrastającym młodzieńcem, był mułem niezmiernie eksploatowanym przez wszystkich, kto tylko chciał. Wynajmowano go do pasienia, bronowania, młócenia, orania, traczowania, kradzenia sosen z Puszczy Białowieskiej, wartowania wioski, noclegowania koni i czort jeszcze wie do czego. Ale nie zawsze, ba! Bardzo rzadko przypominano sobie, że może po ciężkiej harówce jeść mu się chce, albo i spać. O nie, jak to mogło czegoś podobnego mu się zachciewać?! Kiedyś konkubina jednego z Wieskowych wujków zobaczyła, jak chyba napadł na kapuśniak z grzybami, kiedy zawołała na obiad traczów (a Wiesiek był bez śniadania), i wykrzyknęła: „O Boże, jaki obżartuch!” A wujek, u którego Wiesiek traczowałem przywiezioną nocą sosnę, nigdy nie zawołał na kolację, a tylko przychodził w nocy i nakazywał mu jechać z nim do lasu.

A kiedy Wiesiek już był oficerem i zamieszkał w Warszawie, to znaleźli go tam nie tylko koledzy z Grabowca, aby pojeść i przenocować, bo często czegoś przyjeżdżali do Warszawy. Nie raz wstydził się za nich, kiedy do czystej pościeli ładowali się w sukiennych wyszmelcowanych spodniach i takichże kraciastych koszulach. A kto uwierzy, że i w walonkach z jęczmiennymi paprochami? To było jeszcze wtedy, gdy Wiesiek mieszkał u teściów. A kiedy otrzymał samodzielne mieszkanie i podał adres wujowi z Grabowca, to pracujący w Warszawie przy budowie hotelu „Europejskiego” nasi ziomkowie, w tym wuj pozbawiony funkcji gajowego, którą pełnił od 1922 roku, to jest od chwili powrotu z „bieżeństwa”, z synem Pawłem odwiedzali go na-

der często. Wuj z synem pracowali na Dworcu Zachodnim PKP, a to było blisko do Wieśka, więc wuj dobierał sobie kompanię i szedł do niego na „pogawędkę". Ale ani wuj, ani „Świeży chlib" z Rutki nigdy nie przynieśli nie to, że ćwiartkę, ale jakich parę jajek! W tych czasach w Warszawie trudno było z żywnością, a wieś dawała sobie radę, z mięsem też, nigdy nikt nic nie przyniósł, bo Wiesiek był zobowiązany łożyć na gości. A skąd brać – to jego rzecz, przecież gości wujków-dobrodziejów!

Drugi wuj, który najbardziej Wieśka eksploatował od małego, gdy wypatrzył, że Wiesiek i jego żona są zadowoleni z wizyty wuja, to przyjeżdżał do Warszawy chyba w celu sprzedaży gęsi, chociaż nigdy tego nie mówił, i często przychodził na noc. Wchodził do kuchni i zamawiał u Wieśkowej żony: „Jak będziesz robić jeść, to mnie możesz nasmażyć tłustego boczku". Tego w domu nie mieli, lecz gospodyni – zastaw się i postaw się! – biegała po sklepach i żebrała. Mało tego, po noclegu przy śniadaniu, kiedy już miał odjeżdżać do domu, wuj siedząc przy stole wyjmował z kieszeni portfel, zaglądał do niego i znowu chował. Robił to tak długo, póki Wieśkowa żona nie zwróciła uwagi i nie zapytała: „Co, znowu wujek nie ma pieniędzy?". Potem już nie manipulował portfelem, lecz każdy raz pożyczał na bilet. Ale jakoś nigdy mu nie przyszło do głowy, by zwrócić pieniądze albo przywieźć kawałek słoniny czy jajka.

I to ten wujek, któremu Wiesiek zostawił zbiory i dwa hektary ziemi, kiedy odchodził do wojska. Te ten wujek, którego Wiesiek uwielbiał, a on eksploatował go tak ordynarnie, że w 1945 ręku jadąc rowerem z Kleszczel wspaniały człowiek, były nauczyciel za Sowietów, Artemiusz Czykwin zajechał do niego i z troską dobrego ojca zapytał: „Dokąd ty będziesz harował na tych wyzyskiwaczy? Czy nie czas przestać im służyć za darmo, a pójść do miasta i poszukać lżejszej, a jeżeli nie lżejszej, to chociaż płatnej pracy? Nawet w milicji będziesz miał zapewniony chleb i ubranie, a tu co masz?". To ten wujek, któremu z wojska Wiesiek przysyłał papierosy, bo sam nie palił, a on mu za to raz przysłał sucharów z chleba, jak jakiemuś żebrakowi. Wieśkowi było wstyd, że koledzy to zauważą, więc wyniósł torbę z tymi sucha-

rami za budynek kuchni. To ten wujek, którego wnuczka, pracownica Uniwersytetu w Białymstoku po zapoznaniu się z Wieśkiem powiedziała: „My nie jesteśmy swojakami!". A drugi raz, kiedy wypadło im siedzieć na bankiecie po konferencji naukowej przy jednym stole, odeszła od tego stołu do innego. A Wiesiek szczerze, po dziecinnemu czekał, by ją poznać, gdy się dowiedział na cmentarzu od jej matki, że Nina pracuje na wtedy jeszcze Filii Uniwersytetu Warszawskiego. A tu masz, przestali być swojakami. To „uświadomiona" wnuczka tego wujka, którego syn po ukończeniu podstawówki przyjechał do Wieśka do Warszawy, aby mu poszukać jakiegoś technikum. On sobie siedział u niego, a Wiesiek jeździł po Warszawie i szukał odpowiedniej szkoły. Znalazł Technikum Sztuki Teatralnej, którego dyrektor zgodził się przyjąć chłopaka ze względu na Wieśka, bo zajechał doń w oficerskim mundurze. Nie ukończył tego technikum, bo uciekł z Warszawy nic nikomu nie mówiąc. To ten wujek i jego potomkowie, nienawidzący Wieśka, ten, który obarczał go pasieniem swojego bydła w składzie sześciu sztuk i buhaja, nigdy go nie wyręczając, żeby dzieciak pospał choć w niedzielę. W dodatku wysyłał Wieśka do wodzenia koni na noclegi w cudzą saradelę czy owies, nie pytając jak mały czuje się w jednej koszulinie zgrzebnej w nocy na grzbiecie klaczy i czy czasem nie chce mu się jeść lub spać.

Dużo by o tym pisać, ale starczy i tego, aby uważny i czuły czytelnik odczuł tragiczne Wieśkowe dzieciństwo. Jego rodzina ze strony zmarłej mamy też nie była bardzo czuła na czyjąś krzywdę. Nigdy nikt nie zapytał Wieśka, dlaczego kuleje, dlaczego płacze. Wszyscy widzieli jaki jest obdarty i zawszony, a nikt nie dał mu świeższej od zakropkowanej przez pchły koszuliny, której aż do zdarcia nikt nigdy nie uprał. Ba! Jednego razu Wiesiek szedł spod dachu stodoły, gdzie spędził krótką letnią noc, do chlewa, aby daleko do wschodu słońca gnać na pastwisko krowę rodziców i właśnie te sześć z dziadkowym buhajem. W pewnym momencie urwał mu się życiorys... Gdy oprzytomniał, spostrzegł, że leży twarzą w brei – mieszaninie odchodów krowich, świńskich, psich i ludzkich (tam wszyscy się załatwiali). Odgarnął rękoma śmierdzący gnój z twarzy i zobaczył, że niebawem

za stodołą wzejdzie słońce, a on sobie leży! Zerwał się, wygnał swoją krowinę i pędem po bruku po dziadkowe. Zabiega i widzi, że drzwi obory są pootwierane. Zrobiło mu się wstyd, że zaspał i dziadek musiał swoje bydło na pastwisko gnać sam. Ale w tym samym momencie dziadkowi nie przyszło do głowy, aby sprawdzić co się stało, że wnuk zaspał. Na pewno w złości pomyślał sobie: „Ja swoje krowy sam dzisiaj pogonię paść, ale ty, suczy synu, musisz gnać swoją!" Bo gdyby przyszedł, to by zobaczył, jak wnuk leży w gnoju i może by tego ranka wyręczył go od pasienia. Ale gdzież tam! Pewnego razu nad wsią tak szalała burza, że drzewa łamały się niby zapałki. Wiesiek nocował pod daszkiem stodoły, która była zamknięta na kłódkę. Burza i ulewa go obudziły. Nie miał gdzie się schować, ponieważ deszcz chlustał na jego barłóg. Stanął plecami do ściany i drżąc czekał, kiedy to ustanie. Nie przestawało, a zaczęło się rozwidniać. U niego nie było tak, że może w ulewę nie wyganiać krów na pastwisko, więc pobiegł ze swoją krówką po dziadkowe. Ale zanim dobiegł do dziadkowej chaty, był cały mokry i zziębnięty. Podbiegł pod rosnący przed oknami dziadka ogromny wiąz i przytulił się doń plecami, aby się „rozgrzać". Burza nie ustawała, więc w błocie po kolana poszedł przez podwórko do chlewów (oborami tych pomieszczeń nie nazywano), aby mimo wszystko gnać bydło do lasu. Krowy jeszcze leżały, a więc nie były głodne. Wypędził je z chlewów i gnał po tej zimnej brei. Aż otwierają się drzwi sieni, wychodzi z sieni wujek za swoją potrzebą, sika na kamień przyprogowy, a do pastucha mówi: „A j... twoju mat', zaraz będzie słońce wschodzić, a on dopiero krowy wygania!" Schował siurka w spodnie i zamknął za sobą drzwi. Nawet nie zapytał, czy Wiesiek chciałby na grzbiet choć jakiś worek, by trochę się przykryć. Czy to jest ludzkie? W taką burzę i ulewę ta rodzina chyba też nie spała, lecz bydła nie pognała – mieli pastucha, który ją wyręczy od tego obowiązku za darmo i nie trzeba nawet mu dać jeść...

W tym miejscu wypada zapisać na korzyść Wieśkowego dziadka ze strony mamy to, że wieloczłonowe i rozgałęzione jego potomstwo było (jeszcze tu i ówdzie jest) bardzo ładne, przystojne, zdrowe i mądre oraz nieprzeciętnie silne. A głosy mieli i mają iście włoskie!

Tylko że kiedyś często śpiewali, bo dużo było wesel i chrzcin, a teraz nawet nie wszyscy się znają. Któregoś dnia w październiku 2004 roku Wiesiek zatelefonował do swojej chrzestnej córki, rodzonej córki swego ciotecznego brata, aby zapytać, co słychać u córki wujecznego brata Marysi Niczyporuk. Irenka Surel odpowiedziała mu, że nikogo, takiego nie zna. A przecież to są bliscy kuzyni! Sprawa tylko w tym, że się porozjeżdżali po miastach i każdy żyje swoim życiem ze swoimi kłopotami i radościami. Wielu jest wykształconych, niektórzy są przedsiębiorcami, jeszcze inni rencistami i emerytami, wielu choruje. Jeden brat wujeczny, który jest pochowany w Dubiczach Cerkiewnych, był chyba ze wszystkich najzdolniejszy, bo choć nie miał wykształcenia, umiał zrobić wszystko, co trzeba było do gospodarki i nie tylko. Robił koła do wozów, beczki, meble, stolarkę budowlaną, budował domy, piece... Ma jedną córkę, Marysię Niczyporuk, która co chwilę błyszczy w telewizji i udziela wywiadów. Najgłupszym z tego ogromnego dziadkowego krzaka okazał się Wiesiek, który nigdy nie potrafił sobie poradzić ze zwalającymi się nań problemami. A tylko zawsze chciał wszystkim dogodzić, żeby go chwalono. Niestety, stało się odwrotnie. Ale cóż? Ano nic!

Czego nie powiesz, nie będzie usłyszane, czego nie napiszesz, nie będzie przeczytane. Tak więc, niechaj ludziska chociaż tyle wiedzą o czyimś losie, bo swojaki na pewno na pogrzeb nie przyjadą. Dla nich Wiesiek już jest pochowany. Do przykrych wspomnień Wieśka walnie przyczynił się jego ulubieniec wujek, drugi wujek, który w restauracji „Pod Dwójką" w Warszawie śpiewał *Tam u horody sucha hrusza hude*... i dziadek. Resztę nieszczęść zapewnił sobie na całe życie sam Wiesiek na czele z tym, że zechciał się urodzić, nie będąc nikomu potrzebnym.

Nie wiem, czy jeszcze coś napiszę, gdzie będę mógł z jakiegoś powodu wymienić nagrody za walkę i pracę, którymi uhonorowano Wieśka. Zrobię więc to tu dla historii rodzinnej, bo inna się nim nie zajmie. Rodzina też nie, ponieważ wśród Wieśkowych wnucząt nie ma chłopców. Oto te nagrody: polskie – dwadzieścia trzy odznaczenia i odznaki, w tym cztery krzyże na czele z Krzyżem Kawalerskim

Odrodzenia Polski; radzieckie, rosyjskie i białoruskie – jeden order i pięć medali (w tym z okazji 65. rocznicy wyzwolenia Białorusi, otrzymany z rąk konsula Michała Alaksiejczyka w Białymstku); dyplomów i listów pochwalnych – dwadzieścia pięć, i inne.